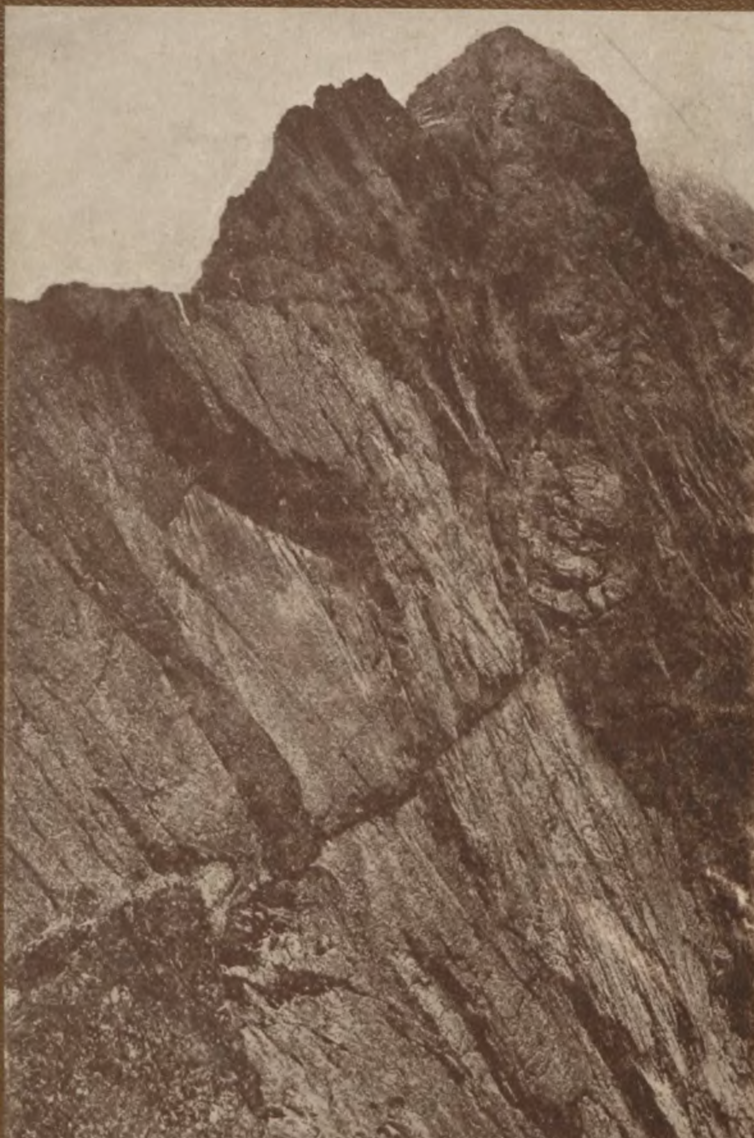
# WIERCHY



ROCZNIK TRZECI

# WIERCHY



OBÓZ CHAŁUBIŃSKIEGO

OBRAZ TAD. AJDUKIEWICZA

# WIERCHY

## ROCZNIK POŚWIĘCONY GÓROM I GÓRALSZCZYŹNIE

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO. WŁASNOŚĆ I WYDAWNICTWO ODDZIAŁU LWOWSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSIWA TATRZAŃSKIEGO. — KOMITET REDAKCYJNY: PROF. DR. JAN GW. PAWLIKOWSKI (RED. NACZ.), PROF. DR. ADOLF CHYBIŃSKI, DR. ROMAN KORDYS, MAJOR BRONISŁAW ROMANISZYN.

ROK TRZECI



KSIĘGARNIA WYDAWNICZA H. ALTENBERGA WE LWOWIE 1925

Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO" WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM WILHELMA ANT. SKRZYCZYŃSKIEGO

# SPIS RZECZY.

**Ilustracje.**

Rocznik ten zawiera 48 ilustracyj w tekście, — 2 tabele, (3 il.) cynkotypowe poza tekstem (ilustrujące artykuły W. Goetla i ks. J. Humpoli), — 1 cynkotypię na okładce (Ganek, fot. T. i S. Zwolińskich), — i 1 rotograwurę (Obóz Chałubińskiego, z obrazu olejnego T. Ajdukiewicza).

Rotograwura wykonana została w Drukarni Narodowej w Krakowie, cynkotypie w kliszarni W. Hotry we Lwowie.

# WIERCHY (LES CIMES).

Annuaire de la Société polonaise de Tatras, édlté par le Détachement de Lwów. Redaction: prof. Jean Gwalbert Pawlikowski (red. en chef), prof. dr. Adolphe Chybiński, dr. Roman Kordys, major Bronisław Romaniszyn.

## TABLE DES MATIÈRES.



---

*Adresse de la Redaction:* Dr. J. G. Pawlikowski, Lwów (Pologne) rue 3 Mai 5.

*Adresse de l'Administration:* H. Altenberg éditeur, Lwów (Pologne) rue Pańska 16.

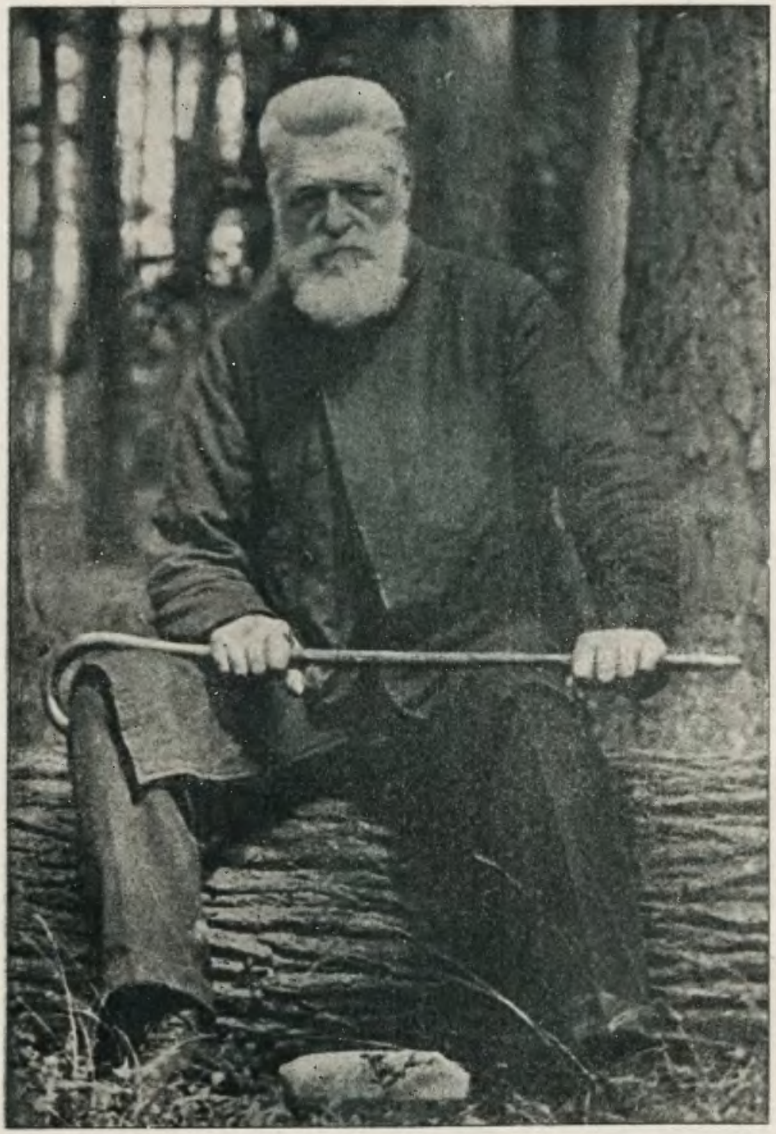
# Władysław Zamoyski.

## Wspomnienie pośmiertne.

Życie Władysława Zamoyskiego było górne i w przebiegu swym głęboko dramatyczne.

Urodził się na emigracji w Paryżu dnia 18 listopada 1853 r., z ojca Władysława, jenerała wojsk polskich i Jadwigi z Działyńskich. Ojciec walczył w powstaniu r. 1831, później na emigracji rozwijał wraz z ks. Adamem Czartoryskim żywą działalność patrjotyczną. Matka po śmierci męża oddała się całą duszą wspomnieniom niepospolitej postaci jenerała, którego „Pamiętniki“ troskliwie opracowywała i wydawała, niestrudzonej pracy nad założeniem, utrzymaniem i rozwijaniem szkoły domowej pracy dla kobiet w Kuźnicach, oraz wychowaniu syna, odpłacającego jej najgorętszą miłością i czcią.

Niecodzienna skala życia rodziców była pięknem tłem, na którem bujnie rozwinęła się indywidualność syna. Młodość Jego spłynęła na obczyźnie w Paryżu, gdzie ś. p. Władysław skończył liceum i szkołę politechniczną; jako syn obywatela francuskiego odbył służbę wojskową w wojsku francuskiem, a następnie, wysłany przez Rząd francuski w delegacji ekonomicznej do Australji, na wystawę w Sydney, puścił się w dwuletnią podróż dookoła świata, pełną nadzwyczajnych wrażeń i przygód. W tym czasie zmarł rodzony Jego wuj, Jan Działyński i zapisał Mu dobra Kórnik w Wielkopolsce wraz z zamkiem, bibljoteką i muzeum. Na Władysława Zamoyskiego spadło ciężkie zadanie objęcia tych dóbr w stanie tak obdłużonym, że w zwykłych warunkach należałoby sprzedać część, ażeby uratować resztę. Wtedy zabłysnęły nieporównane zalety Zmarłego w całej pełni: z rozmachem i właściwym sobie entuzjazmem, żelazną pracą, wytrwałością i oszczędnością zabrał się do uzdrowienia dóbr i w krótkim stosunkowo czasie nietylko spłacił wszystko, ale począł ratować inne majątki polskie w Poznańskiem, aby nie przeszły w ręce niemieckie. Działalność ta sprowadziła na



Władysław Zamoyski.

Niego w czasach polityki kolonizacyjnej niemieckiej i rugów Bismarkowskich prześladowanie Niemców; w roku 1886 musiał Zamoyski wraz z ma-

tką opuścić ojczystą ziemię i udać się na wygnanie, na którem przebywał 33 lat, tylko ukradkiem dojeżdżając do Kórnika.

Ale cios ten nie przerwał Jego czynnego i ofiarnego trybu życia. W roku 1889 nabywa Władysław Zamoyski zniszczone dobra Zakopane, aby z całą energją zabrać się do ich ratunku i podniesienia. Odtąd życie Jego dzieli się pomiędzy rozmaite prace w Poznańskiem, jak sanacja i niedopuszczenie do przechodzenia w obce ręce kilkunastu majątków oraz współdziałanie w akcji ekonomicznej wszelkiego rodzaju, a działalność w Zakopanem, gdzie jest inicjatorem, duszą i stróżem wszystkich wielkich i dobrych dzieł. Prace te posuwały się naprzód wśród niezmiernych trudów, szczególnie ciężkiem zadaniem było utrzymanie dóbr Kórnik, które pozbawione bezpośredniej opieki właściciela, coraz bardziej podupadały. Mimo to Zamoyski nie dopuścił nigdy do sprzedaży choć części swych dóbr, które już wówczas za własność Narodu uważał: zacisnąwszy zęby, trwał w swym arcyoszczędnym i prostym trybie życia, zapobiegliwością i oszczędnością, utrzymując Swe mienie w nienaruszonym stanie.

Na walce tej i znoju zeszły Mu długie lata aż do wojny światowej. Z chwilą jej wybuchu sytuacja Zamoyskiego stała się jeszcze trudniejszą. Jako francuski obywatel zmuszony przez cały czas wojny przebywać zagranicą, toczył z Paryża, gdzie wraz z matką i siostrą pędził prawdziwą biedą ścieśnione życie, zażartą walkę o utrzymanie Kórnika, który Niemcy chcieli skonfiskować. Równocześnie służył umiłowanej nad życie sprawie polskiej słowem, piórem, propagandą, stosunkami, jakie miał zagranicą w bardzo rozległej mierze.

Zakończona wojna przyniosła wreszcie to, za czem tęsknił Swem gorącem sercem i o czem marzył przez całe Swe życie: niepodległość Ojczyzny. Zamoyski wraca do kraju i spędza w wolnej Polsce ostatnie Swe lata w niestrudzonej pracy nad odbudową Swego zniszczonego wojną mienia w jednym jedynym wielkim celu: ofiarowania go Narodowi, którego był najwierniejszym sługą.

Oszczędzając, odmawiając sobie wszystkiego, doprowadza do porządku dobra Kórnik, zabliźnia rany, zadane wojną Zakopanemu, wypracowuje projekty fundacji „Zakładów Kórnickich“ o wzniosłych i szlachetnych celach społecznych i naukowych, przeprowadza uroczyste zrzeczenie się majątku Swego i Swojej siostry na rzecz fundacji w wielkodusznym akcie donacyjnym z dnia 16 lutego 1924 r.

Po śmierci ukochanej matki, która wywołała gwałtowne wstrząśnienie psychiczne i nerwowe u syna, zdwaja Władysław Zamoyski Swe wysiłki w kierunku realizacji fundacji. Ostatnie miesiące Jego życia to gorączkowe

wysiłki w zwalczaniu piętrzących się trudności i napięte oczekiwanie na decyzję najwyższych czynników Rzeczypospolitej, w których ręce złożono losy fundacji. Wreszcie dnia 30 września 1924 r. Rada Ministrów przyjmuje i zatwierdza statut fundacji, a w kilka dni później, dnia 3 października, umiera Zamoyski. Czy powalony ciężką niemocą i niemal nieprzytomny rozumiał jeszcze szczęsną dla Niego wiadomość o wejściu fundacji w życie, niewiadomo...

---

Dla wszystkich miłośników naszych najpiękniejszych gór polskich, postać Władysława Zamoyskiego pozostanie w niezatartej pamięci, jako człowieka dla Tatr i Zakopanego prawdziwie opatrznościowego.

Już sama chwila i sposób zakupienia przez Niego Zakopanego były zwiastunami, że w dziejach Tatr Polskich zaczyna się nowa karta.

Wskutek długoletniej rabunkowej gospodarki i niedołężnej administracji, Zakopane, wraz z większą częścią należących do nich najpiękniejszych okolic Tatr Polskich, popadły w latach ośmdziesiątych w stan zupełnej ruiny. W szczególności stan lasów był tak okropny, że Tatrom Polskim groziła zamiana na całkowitą pustynię, a Towarzystwo Tatrzańskie w słusznem zrozumieniu zawisłej nad Tatrami klęski, rozwinęło usilną akcję w kierunku nabycia zakopiańskiego klucza na rzecz Narodu. Mimo to dobra zakopiańskie wystawione zostały na licytację, a Towarzystwo Tatrzańskie stając do tej licytacji dnia 9 maja 1889 r., a rozporządzając środkami bardzo ograniczonemi, mimo wszelkich wysiłków mało miało widoków na zapobieżenie nieuchronnej, zdawało się, katastrofie, jaką byłoby przejście Zakopanego w ręce obce.

I wówczas zjawia się zbawca Tatr w postaci Hr. Władysława Zamoyskiego, który na licytacji zniszczone dobra zakupuje. Jak wielką była radość z tego zdarzenia miłośników gór, świadczy fakt, że Towarzystwo Tatrzańskie oceniając wielkoduszne intencje Zamoyskiego, składa Mu przez osobną deputację najserdeczniejsze podziękowanie i postanawia zbierać fundusze na wystawienie przy Morskiem Oku kaplicy, na pamiątkę wydobycia Zakopanego z rąk obcych.

I rzeczywiście dzieje dóbr zakopiańskich zmieniają się odtąd całkowicie na lepsze. Władysław Zamoyski rozpoczyna wielką, na długie lata zakreśloną pracę nad zasadzeniem i odnowieniem zniszczonych lasów tatrzańskich, nad uporządkowaniem gospodarki i podniesieniem ekonomicznem Zakopanego i Podhala. Nie ma rzeczy, ani dzieła doniosłego, w którem nie brałby udziału, którego nie byłby inicjatorem, twórcą lub wielką częścią: wybudowanie drogi Zakopane — Morskie Oko, udostępnienie regli tatrzańskich, kolej Chabówka—Zakopane, wykup propinacji w okręgu zakopiań-

skim i przelanie jej z rąk obcych do rodzimych, założenie, zbudowanie i ciągłe popieranie szkoły przemysłu drzewnego, budowa nowego kościoła i rozmaitych budynków użyteczności publicznej w Zakopanem, budowa wodociągu, urządzenie oświetlenia elektrycznego, toru bobsleighowego, założenie i rozwinięcie Spółki handlowej w Zakopanem, jako wielkiej placówki polskiego handlu, podniesienie zakładu Dr. Chramca, oddanie gruntu pod szereg instytucji publicznych, jak gimnazjum, nowa szkoła przemysłu drzewnego, kolonie urzędnicze i wojskowe, zakłady zakonne pracy i miłosierdzia, wzorowe letniska, uprzemysłowienie Kuźnic przez założenie papierni i kamieniołomów, utrzymywanie i prowadzenie, przy ogromnym nakładzie wysiłków i pieniędzy, przez lat 42 Zakładu kuźnickiego pracy kobiet, założonego w roku 1882 przez p. Jenerałową w duchu ideałów narodowych i katolickich, przeprowadzenie wzorowej gospodarki leśnej na obszarze większej części Tatr Polskich, wykupienie szeregu hal górskich dla



*Z terenów uzyskanych w sporze z Węgrami.*
Czarny Staw i turnie Mięguszowieckie.
(Fot. H. Gąsiorowski).

podniesienia ich stanu i ochrony przyrody, ostatnio nowa wielka skocznia narciarska — oto główne etapy tego błogosławionego dzieła, jakiego dokonał Władysław Zamoyski w Zakopanem i w Tatrach.

Obok jednak tego olbrzymiego dorobku postępu i kultury, inną wielką zasługą zasłużył sobie Zamoyski na wieczny pomnik w Tatrach: udziałem w sporze o Morskie Oko. W sporze tym, trwającym lat ośmnaście, we wszystkich 8 procesach i sądzie międzynarodowym, który ostatecznie sprawę rostrzygnął, był Zamoyski duchem sprawy, mieczem walczącym, płomieniem niewygasłego entuzjazmu, zapału porywającego i wiary niezłomnej. Z całym romantyzmem swego usposobienia, czystością zasad i niezwalczoną energją stał Zamoyski przez lat kilkanaście na straży kilkuset morgów nagich skał tatrzańskich, jako wcielenia Jego idealizmu życiowego i narodowego. On to organizował i podtrzymywał opór ludności miejscowej przeciw gwałtom żandarmów węgierskich, On brał czynny udział w homeryckich scenach bojów z „jegrami" o przebieg granicy, On bronił wpływami, stosunkami i obroną prawną swych górali przed ściganiem ich wyrokami, On swą wspaniałą postacią, zapałem, siłą uczucia i oryginalnością sądu przekonywał i zjednywał do obrony naszej słusznej sprawy najlepsze jednostki w społeczeństwie, gromił i zwalczał opornych, budził obojętnych. On inicjował akcję prasową i propagandową, On jeździł niezmordowanie, pracował i działał słowem i czynem we wszelkich instancjach krajowych i międzynarodowych, gdzie spór się toczył, On popierał materjalnie i wszelkim wysiłkiem wszystkie prace w całym sporze od najdrobniejszych do największych.

Z drżeniem też do głębi wzburzonego serca jechał Zamoyski do Gracu na sąd międzynarodowy w roku 1902, a gdy wyrok tego sądu oddał nam sporny obszar, szlachetna Jego dusza zabrzmiała tonami najwyższego entuzjazmu radości i szczęścia. Do śmierci swej wspominał tę chwilę, jako jedną z najszczęśliwszych w Jego życiu...

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie uzyskało w Zamoyskim wielkiego orędownika i protektora. Nie było pracy Towarzystwa, którejby szczędził swej pomocy, czynnie nawet pracując w Wydziale Towarzystwa, którego przez szereg lat był członkiem. Jemu zawdzięcza Towarzystwo możność budowy i wydatne poparcie budowy schroniska nad Morskiem Okiem, Jego nieustannej cichej ofiarności w materjałach, pieniądzach i ludziach, przebudowy schronisk w dol. Pięciu Stawów Polskich i w dol. Roztoki, budowę przeważających części dróg, szlaków i ścieżek turystycznych w Tatrach, Jego wydatnej pomocy budowę dworców w Zakopanem, Jego darowiźnie wybudowanie i uzyskanie na własność dobudowy Szkoły Prze-

mysłu Drzewnego. W Dworze Zakopiańskim dzięki Jego stanowisku Polskie Towarzystwo Tatrzańskie miało i ma ostoję, o którą opierało się i opierać może wszelkie swe prace na obszarze Tatr.

---

Gdy szlachetne dzieła Zamoyskiego postawiły Mu trwały pomnik w dziejach Narodu, Jego niezwykła i nawskróś oryginalna indywidualność zjednały Mu niewygasłą pamięć wszystkich tych, którzy z nim bezpośrednio się stykali. Pamięć ta żyje dwojaka, jak dwojaką jest natura człowieka: ludzie, którzy mają odczucie wyższych celów życia, uważali Zamoyskiego i uważają za wielkiego ascetę, świętego niemal człowieka w swem dobrowolnem wyrzeczeniu się wszystkiego i bezgranicznej ofiarności, — ludzie, których udziałem jest wszelkiego rodzaju małość, wzruszali i wzruszają ramionami na wspomnienie Zamoyskiego, za dziwaka i zaciekłego skąpca przez nich ogłaszanego. — Istotnie jedną z naczelnych cech charakteru Zamoyskiego była oszczędność. Odmawiał sobie wszel-



*Z terenów uzyskanych w sporze z Węgrami.*
Pod granią Żabiego.
(Fot. H. Gąsiorowski).

kich przyjemności czy rozrywek, gdy to miało pociągnąć za sobą najmniejszy choć wydatek, słynął z ograniczania się do ostateczności w podróżowaniu. Zapatrzony w wielkie cele swego życia, przejęty chrześcijańską miłością ofiary, nie oglądał się na to, co mówili o nim zjadliwie, jak przedrwiwali te Jego właściwości mali ludzie i kroczył śmiało swoją drogą. Ci jednak, którzy znali i rozumieli głębiej Jego życie, wiedzieli, że ten człowiek, który odmawiał sobie wszystkiego, nie znał granic w swej bezgranicznej szczodrobliwości dla innych. To, co odejmowal sobie, oddawał w nieustannej, absolutnie utajonej ofiarności na ciche stypendja, darowizny, pomoce doraźne, dary kolatorskie i niezliczoną była liczba tych, którzy cicho sławili Jego imię.

Tak niezwykle pojmowanej oszczędności odpowiadała przedziwna prostota Jego życia. Kto widział tego człowieka, jak ubrany w najskromniejsze szaty, przemieszkiwał w umeblowanej z największą prostotą izbie, sypiał na twardem łożu, szczerze i bezpośrednio obcował z najbiedniejszym prostaczkiem, zasiadał do skromnego posiłku z całym personalem w Kuźnicach czy Kórniku, — odnosił wrażenie wskrzeszonego typu pierwszych chrześcijan.

W każdym kroku i ruchu tego wielkiego chrześcijanina, przebijała jednak niezwykła rasa starego świetnego rodu. W całej wspaniałości rozbłyskiwała ona na tle ślicznego, niezwykłego pod każdym względem zamku w Kórniku. Tam otaczała wdzięcznego gościa niezrównana i podbijająca gościnność staroszlachecka, tam w entuzjastycznym przewodniku po zbiorach zamkowych, jakim był Zamoyski, znajdowało się odbicie wspaniałych dziejów Jego rodu, zasług dla Ojczyzny najlepszych Jej synów, dramatycznych i poświęcenia dla Narodu pełnych czynów rodziny Działyńskich. A gdy z głębokiem wzruszeniem dobywał Zamoyski z niepokaźnego pudełka największą świętość, jaką przechowywał, czapkę katorżną męczennika Sybiru, który po przebytych niesłychanych mękach znalazł u niego schronienie,— a wreszcie dźwignął swą potężną dłonią wielki miecz krzyżacki o rozmiarach Zerwikaptura i machnął nim swobodnie w powietrzu, miało się nieodparte wrażenie zmartwychwstania tych typów magnatów polskich, których prostota, połączona z niezrównanym gestem, fantazja, wojowniczość i siła fizyczna, związane z największą chrześcijańską pokorą, głęboką wiarą i spartańskim trybem życia, czyniły z nich najświetniejsze typy rycerzy chrześcijaństwa.

Niezwykle ujmującym, pełnym niewypowiedzianego czaru był sposób Zamoyskiego obcowania z ludźmi i Jego dar narratorski. Dzień spędzony z Zamoyskim należał do najszlachetniejszych przyjemności. Ze skarbca Jego przepysznej indywidualności buchały niepowstrzymanym strumieniem doskonałe, pełne humoru i temperamentu powiedzenia, świetne aforyzmy

i opowieści, głębokie i na wskroś oryginalne myśli, arcyciekawe wspomnienia, wspaniałe pomysły i ideje. Człowiek czuł się mimowoli wciągniętym w krąg Jego bogatego życia, dźwigniętym w świat wzniosłości i służby dla idei, przeniesionym w sfery podniebne.

Nieporównanem było zdrowie wewnętrzne, pogoda i optymizm Zamoyskiego. Podłości i złości ludzkiej niemal nie dostrzegał, jeśli wciskały się przemocą, stając na Jego drodze, starał się je tłumaczyć jak najlepiej i granic nie znał w mądrej pobłażliwości. Jedynie przyziemność ludzka zupełna, życie dla podłego codziennego używania bez żadnych celów wyższych, budziło w nim odrazę i obrzydzenie. Gdy natomiast natrafił na ludzi, choć nieco wzniesionych ponad szarzyznę, lub choć życzliwych idei, zbliżał się do nich z wiarą dziecka i za każdy ich czyn, a nawet słowo dobre, płacił im głęboką wdzięcznością swej gorącej natury. Właściwość ta Jego, dała się szczególnie zauważyć w ostatnich latach, gdy niepodległość Ojczyzny całemu Jego życiu nadała jeszcze żywsze zabarwienie i pogłębiła je we wszystkich Jego bezcennych właściwościach.

Bogactwu ducha Zamoyskiego odpowiadała wspaniała jego oprawa cielesna. Cóż to za przepiękny był typ człowieka! Rosła, świetnie zbudowana, barczysta i silna postać o żywości, młodzieńczości i sprężystości ruchów do ostatnich lat Jego życia niezrównanej! Twarz o regularnych, klasycznych niemal rysach, okolona majestatyczną brodą i bujną czupryną, a w niej lśniące przeczystą pogodą i wzniosłością ducha jasne, promienne oczy. Gdy patrzyło się na to arcydzieło natury, jakiem był ten człowiek, z radością przypływała myśl, że rasa polska, której był On wspaniałym wyrazem, na takie ukoronowania swego typu się zdobywa!

---

Dzisiaj spoczywa Władysław Zamoyski w grobie. Wielkie jednak dzieło Jego życia, dzieło Jego twórczej radości i mocy ducha trwa i rozwija się.

I gdy człowiek zwiedzający okolice Kórnika, na obszarach tych północnych równin polskich ujrzy szereg zakładów społecznych, wychowawczych i naukowych, powołanych do życia ideją Zakładów Kórnickich, a wędrowiec po południowych naszych wyżynnych kresach, zapuści się w głąb nieprzejrzanych lasów wysokogórskich, płaszczem przepysznej zieleni pokrywających zbocza Tatr i tworzących podstawę do zrealizowania w Tatrach idei Parku Narodowego — wspomni sobie z wdzięcznością i podziwem imię niepospolitego człowieka, który tym dziełom poświęcił swe wzniosłe życie!

*Walery Goetel.*

# Spór o Jaworzynę a Park Narodowy Tatrzański.

**1. Spory graniczne w Tatrach Spiskich.** Istnieją w niektórych okolicach na zetknięciu się państw ogniska zapalne, źródła odnawiających się wiecznie granicznych konfliktów. O trwałości tych ognisk decydują różne czynniki, niewątpliwie jednak najdłużej trwają spory graniczne tam, gdzie uzasadnione są one geograficznem położeniem i wynikającemi z niego nieodmiennemi ekonomicznemi prawami. I dlatego to szczególniej w górach, gdzie sytuacja geograficzna wybitniej jak gdziekolwiek decyduje o życiu gospodarczem człowieka, silniej wpływa na przebieg granic państwowych i żywiej oddziaływuje na psychikę społeczeństw, wytwarzają się konflikty graniczne, trwające nieraz wieki całe.

Znane są takie spory graniczne, istniejące w Pirenejach między Francją a Hiszpanją i regulowane od dawnych, dawnych czasów przez rozmaite komisje i traktaty, znane takie zatargi i układy ze wszystkich niemal granic górskich europejskich krajów (Francja — Włochy, Szwajcarja — Włochy, Niemcy — Austrja i t. d.

W Polsce terenem, stworzonym jakby do wywołania granicznych konfliktów, są Tatry, i to przedewszystkiem w części ich wschodniej, spiskiej. Jest rzeczą znamienną i stanowiącą o trwałości spiskiego sporu granicznego, że wielkie doliny Tatr Spiskich, otwarte ku północy, jak dolina Jaworowa i Białej Wody, uchodzą nad wody rzeki Białki, toczącej swe wody do Dunajca a z nim do zlewiska Bałtyckiego Morza, natomiast są zupełnie odcięte najwyższym grzbietem Tatr od południa. Stąd wynika trwały geograficzny, gospodarczy i komunikacyjny związek tych dolin, a wraz z niemi całego Spiskiego Zamagórza z Polskiem Podhalem, stąd też państwo węgierskie, jako były właściciel północnych dolin Tatr Spiskich i Zamagórza Spiskiego, posiadało w tych okolicach sztuczny przyczepek do swych posiadłości, naturalnie niczem z terytorjum państwa nie związany.

I z tych to przyrodzonych przyczyn wynikł fakt, że teren Tatr Spiskich był widownią zatargów o granicę już od XVI wieku. Dla załatwienia tych sporów zwoływano wielokrotnie w ciągu wieków komisje polsko-węgierskie, które jednak podobnie, jak słynne komisje hiszpańsko-francuskie w Pirenejach, nie odnosiły skutku.

Ostatniem przed wojną ogniwem w łańcuchu tych sporów, na zmniejszonym już co prawda silnie na naszą niekorzyść terenie, był spór o Morskie Oko. Spór ten o kilkaset morgów nagich skał i dwa jeziora tatrzańskie

trwał lat kilkanaście, przeszedł przez szereg procesów pomiędzy właścicielami gruntów po obu stronach granicy, hr. Władysławem Zamoyskim i ks. Chrystjanem Hohenlohe i ostatecznie zakończył się wyrokiem sądu międzynarodowego w Gracu w r. 1902, przyznającym Galicji teren sporny aż po grzbiet Rysy — Żabie.

Spór o Morskie Oko był dowodem, jak żywotnemi są w państwach i narodach problemy czysto ideowe i jak doniosłemi mogą być ich następstwa polityczne. Wszak spór ten o wartość w stosunku do realnych dóbr minimalną, przez szereg lat utrzymywał w najwyższem napięciu oba społeczeństwa, zaprzągł po obu stronach do akcji i działania najlepsze jednostki, mobilizował prasę i opinję do rozmiarów przytłaczających inne, zdałoby się daleko ważniejsze, sprawy, gdy zaś rozstrzygnięty został na naszą korzyść, wywołał najwyższą radość w narodzie.

Zatarg ten jednak nie załatwił ostatecznie sprawy. Już podczas posiedzenia sądu w Gracu znakomity obrońca praw naszych prof. Balzer zgłosił do protokołu zastrzeżenie, że decyzja sądu nie wyczerpuje pretensji polskich do terytorjów Tatr Spiskich, gdyż na obszarze tym od wieków tworzył naturalną granicę Polski główny grzbiet Tatr od Rysów aż po Polski Grzebień i dalej aż po Rówienki.

Zastrzeżenie prof. Balzera pozostało ostatnim głosem przedstawicieli Polski na forum międzynarodowem w sprawie granicy Tatr Spiskich aż do końca wojny światowej.

Gdy jesienią w r. 1918 nastąpił rozpad Austrji, a wojska Republiki Czeskosłowackiej jęły posuwać się na wschód, obejmując Słowaczyznę w posiadanie, nieprzedawnione prawa Polski do spornego terytorjum odezwały się znowu z żywiołową siłą, czego wyrazem było natychmiastowe zajęcie siłą zbrojną polską całego terytorjum Zamagórza Spiskiego aż po dział wód pomiędzy doliną Białki i doliną Popradu wraz z Jaworzyną Spiską i dolinami Białej Wody i Jaworową.

Nasza okupacja wojskowa została wycofaną z Zamagórza po kilkomiesięcznym trwaniu, równocześnie jednak strona polska rozpoczęła zabiegi u Konferencji Pokojowej w Paryżu o całe terytorjum sporne i szeroką propagandę w kraju i zagranicą na rzecz sprawy. We wszystkich ówczesnych zabiegach i pracach przygotowawczych naszych, skoncentrowanych w Komitecie Narodowym Obrony Spisza, Orawy i Czadeckiego, struna ideowa miłości społeczeństwa polskiego do gór i górskiego naszego kraju tak mocno swego czasu dźwięcząca w sporze o Morskie Oko, rozbrzmiewała ponownie z pełną siłą. Najwięksi pisarze i poeci, najtęższi uczeni, najwy-

bitniejsi działacze społeczni, brali bezpośredni udział w akcji i uzasadniali nasze prawa do terenu spornego[1]).

Ze strony przeciwnej udział w tych pracach szczytów czeskosłowackiego społeczeństwa nie był jeszcze tak silny, i o tak wybitnie zarysowanej ideowej fizjonomji miłości do gór. Że jednak i z tamtej strony rósł i pogłębiał się ów kierunek, który później tak wybitnie miał wpłynąć na cały przebieg sprawy, spotkałem tego dowód w jesieni 1919 r. Na wycieczce w Tatry Bielskie i okolicę Jaworzyny, które opracowywałem naukowo, spotkałem wówczas wyprawę badawczą profesorów szkół wyższych z Pragi czeskiej, zaznajamiających się z Tatrami. W rozmowie z nimi natknąłem się na strunę entuzjazmu dla gór i ich problemów. W czasach późniejszych profesorów tych spotykałem częstokroć po drugiej stronie, jako najgorętszych obrońców sprawy Tatr i Jaworzyny po stronie czeskosłowackiej i jako najpoważniejszych ideowych przeciwników naszej akcji...

Na skutek zabiegów polskich Rada Najwyższa zarządziła dnia 27 września 1919 plebiscyt na Spiszu i Orawie, obejmując nim całe terytorjum Zamagórza i Jaworzyny Spiskiej z przylegającymi Tatrami.

Rozpoczęła się praca plebiscytowa spisko-orawska, której kierownictwo objęły po obu stronach specjalne komitety plebiscytowe. Akcja ta opierała się na różnorodnych czynnikach: etnograficznych, geograficznych, historycznych, ekonomicznych i wywołała na Spiszu i Orawie, jak wszędzie na terenach plebiscytowych, obok podniesienia uświadomienia narodowego i aktów wzniosłego poświęcenia dla sprawy, pewną demoralizację części ludności, nakłanianej gwałtownie ku sobie przez obie rywalizujące strony.

Tym jednak czynnikiem, który akcji plebiscytowej spisko-orawskiej nadawał szczególną cechę, różniącą ją od innych analogicznych spraw, był w dalszym ciągu naszych sporów granicznych na południu Polski element ideowy, płynący z gór, najpiękniejszych gniazd i łańcuchów górskich Polski i Czechosłowacji, wchodzących w skład terenu plebiscytowego: Tatr, Pienin i Babiej Góry. Ten to element zaprzągł po obu stronach do pracy obok działaczy miejscowych, szereg miłośników gór, z poza terenu plebiscytowego pochodzących, mobilizował w obronie sprawy Spisza i Orawy wielkie Towarzystwa turystyczne obu państw i opinję

[1]) Wystarczy przytoczyć nazwiska autorów prac i utworów, poświęconych sprawie Spisza i Orawy w roczniku XXXVII Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego z roku 1919—1920, jak W. Semkowicza, S. Radzikowskiego, L. Sawickiego, R. Zawilińskiego, E. Schechtla, M. Orłowicza, W. Szajnochy, L. Stasiaka, J. Kantora, K. Roupperta, ks. A. Sapiehy, J. Burschego, S. Żeromskiego, J. Zborowskiego, ks. H. Weryńskiego, B. Limanowskiego, K. Przerwy - Tetmajera, F. Gwiżdża, ks. F. Machaja.

najwrażliwszej części społeczeństwa: inteligencji, a z nią rozbudził prasę w sposób może czasem nawet nieproporcjonalny do wielkości i materjalnej wartości terenów spornych.

Silny dowód, jak wielką rolę ten czynnik odgrywał w pracy najwybitniejszych jednostek, działających w plebiscycie spisko-orawskim, także i po drugiej stronie, — znalazłem w pamiętnej rozmowie z przewodniczącym czeskosłowackiego komitetu plebiscytowego spisko - orawskiego ks. biskupem Blahą w zimie 1920 r.

Z przewodniczącym komisji plebiscytowej międzysojuszniczej, pułkownikiem francuskim, jechaliśmy wtedy, dwaj przeciwnicy[1]), samochodem z Nowego Targu do Zakopanego. Rozmowa, którą zacny i sympatyczny pułkownik francuski starał się skierować w kierunku pewnego porozumienia zwaśnionych „aljantów", toczyła się o tem i o owem, ciągle jednak wzrok nasz błądził po wspaniałym, oślepiającym w słonecznym blasku, śnieżnobiałym łańcuchu Tatr, zamykającym gigantycznym murem południe. Nagle odezwał się ks. biskup: Wszak prawda, że o te góry głównie w całej sprawie chodzi?

Nie mogłem odmówić słuszności temu twierdzącemu zapytaniu. Góry te, jak ideał piękna i majestatu, jak skarbiec zaklęty cudów przyrody, unosiły się nad wysiłkami komitetów plebiscytowych broniących ludności i ziemi Spisza i Orawy, góry te tworzyły wzniosłe tło całej akcji, dawały przemęczonym i przygniecionym nieustannym trudem pracownikom odświeżenie, gorący ton i wytrwałość w pracy.

Gdy też plebiscyt został odwołany i zapadł fatalny wyrok Konferencji Ambasadorów z dnia 28 lipca 1920 r., stwarzający na Orawie prawdziwy absurd graniczny w postaci rozdarcia nieszczęsnej wsi Lipnica Wielka na dwie części, na Spiszu zaś drugą taką samą potworność przez przecięcie granicą wsi Jurgowa i oddzielenie Jaworzyny linją graniczną od tych wsi Zamagórza, dla których była ona podstawą życia, myśl nasza zaraz pobiegła ku owym czynnikom ideowym, działającym w ukryciu, jako sprawcy wszystkiego.

I rzeczywiście: Na Orawie Lipnica została podzieloną na dwie części w ten sposób, że od głównej części samej wsi Lipnicy Wielkiej, została odciętą na stronę czesko-słowacką najbardziej sztucznie w świecie górna jej część ze wspaniałymi lasami, porastającymi południowe zbocza Babiej Góry i szczyt tej góry wraz z pięknymi terenami turystycznymi. Na Spiszu odcięto wbrew wszelkim prawom geograficznym, gospodarczym i naturalnym

[1]) Prowadziłem wówczas polski komitet plebiscytowy spisko - orawski.

i również niesłychanie sztucznie (a bardzo zarazem dokładnie) od terytorjum polskiego cały obszar Jaworzyny z Tatrami, oraz wielkie lasy, położone na obszarze katastralnym gminy Jurgowa. W tych warunkach nasuwała się z nieprzepartą siłą myśl, że czynnikom, które w kierunku tak sztucznych podziałów oddziaływały, nie obce były motywy właściwej wartości terenów wysokogórskich.

Nasz dzielny przeciwnik ks. Blaha dość szczerze też to wyznał w lecie 1920 r., w czasie ostatecznego oddania terenów spisko-orawskich przyznanych Polsce, które obejmywałem wtedy imieniem Polskiego Rządu, mówiąc: a jednak Jaworzyny wam nie oddaliśmy!

Sprawa jednak nie była z tą chwilą zakończona. Przepisy, wydane przez Konferencję Ambasadorów dla komisyj delimitacyjnych, z których jedna rozpoczęła prace nad rozgraniczaniem Spisza i Orawy, dozwalały na przedstawienie pretensji granicznych stron zainteresowanych, o ile te żądania usprawiedliwione były względami ekonomicznymi, geograficznymi i komunikacyjnymi pogranicza. Opierając się na tych przepisach, wnieśliśmy z mjr. B. Romaniszynem, jako polscy komisarze graniczni, do międzysojuszniczej komisji delimitacyjnej z wiosną r. 1921, wniosek na zmianę granicy przez przyłączenie do Polski na Orawie całej gminy Lipnica Wielka, a na Spiszu odciętej części gminy Jurgów i całej gminy Jaworzyna. Żądanie nasze argumentowaliśmy całym szeregiem danych ekonomicznych, geograficznych i komunikacyjnych. Dane te, dzięki własnościom rozerwanego przez granicę górskiego terenu, okazały się tak uzasadnionemi, że wywołały zajęcie się międzysojuszniczej komisji całą sprawą.

W ten sposób rozpoczął się spór graniczny polsko-czeskosłowacki, który na Orawie zakończył się zamianą Lipnicy Wielkiej, przyznanej Polsce wraz ze znaczną częścią masywu Babiej Góry, na wsie Głodówkę i Suchą Górę, oddane Czechosłowacji. Na Spiszu, po odbytej przez Komisję międzysojuszniczą w maju 1921 r. szczegółowej wizji lokalnej, która wykazała słuszność naszych argumentów rzeczowych, spór przeszedł w długotrwałą i ciężką „sprawę Jaworzyny“.

Sprawa ta przez lat parę przechodziła rozmaite koleje: z komisji delimitacyjnej przeszła w lecie 1921 na bezpośrednie rokowania polsko-czeskosłowackie, weszła w skład projektowanej umowy polsko-czeskosłowackiej z dnia 6 listopada 1921, — po daremnych próbach ugodowego załatwienia drogą t. zw. komisji jaworzyńskiej, złożonej z przedstawicieli nauki i polityki obu stron powróciła znowu do komisji delimitacyjnej, gdzie doczekała się dnia 25 września 1922 r. jednomyślnego wniosku aljanckich komisarzy do Konferencji Ambasadorów. Wniosek ten proponował przyznanie Polsce 3/5

terytorjum Jaworzyny wraz z całą doliną Białej Wody (a więc też całym terenem, do którego zgłosił w Gracu w r. 1902 swe zastrzeżenie prof. Balzer), połową doliny Jaworowej i częścią Tatr Bielskich, a oddanie Czechosłowacji wsi Kacwina i Niedzicy. Na skutek wysunięcia wątpliwości prawnych, sprawa przez szereg miesięcy spoczywała nierozstrzygnięta w Konferencji Ambasadorów w Paryżu, aż wreszcie przeszła w lecie 1923 r. do Ligi Narodów, stąd do Międzynarodowego Trybunału w Hadze, z Trybunału tego z orzeczeniem z dnia 6 grudnia 1923 r., korzystnem dla nas we wniosku końcowym, a niekorzystnem w części uzasadnienia, powróciła do Rady Ligi Narodów. Rada Ligi Narodów na posiedzeniu dnia 18 grudnia 1923 r. w Paryżu odesłała sprawę ponownie do Konferencji Ambasadorów, z poleceniem, aby komisja delimitacyjna wypracowała nowy, dostosowany do opinji Trybunału w Hadze wniosek co do granicy na Spiszu. Komisja delimitacyjna dnia 11 lutego 1924 r. wypracowała wobec tego nowy wniosek graniczny, oddający nam odcięte „linją Ambasadorów" grunta mieszkańców Jurgowa i pozostawiający przy nas Kacwin i Niedzicę, a całą Jaworzynę przy Czechosłowacji. Komisja delimitacyjna zastrzegła się jednak przytem formalnie, że pierwotny swój wniosek z dnia 25 września 1922 r. podtrzymuje w całości, jako słuszny i usprawiedliwiony warunkami geograficznymi, ekonomicznymi i komunikacyjnymi pogranicza; gdy jednak względy prawne realizacji tego wniosku nie dopuszczają, komisja delimitacyjna uważa za konieczne uzupełnienie zmodyfikanego swego nowego wniosku o granicy z dnia 11 lutego 1924 r. protokołami, regulującemi w sposób trwały zagrożone sztuczną granicą interesy gospodarcze i komunikacyjne ludności pogranicza.

Wniosek ten Rada Ligi Narodów dnia 12 marca 1924 r. w Genewie ostatecznie zatwierdziła, zalecając równocześnie, aby komisja delimitacyjna wypracowała protokoły, regulujące interesy ekonomiczne i komunikacyjne pogranicza. Jak silną była wymowa realnego stanu rzeczy i całego przebiegu sprawy, świadczy fakt, że według orzeczenia Rady Ligi protokoły te miały być wypracowane jako integralna część decyzji o granicy, tak nazbyt widocznie nienaturalnej i nie odpowiadającej potrzebom ludności.

Z tą chwilą sprawa Jaworzyny weszła na forum międzynarodowem w ostatnią swą fazę, którą wielu uważa za całkowitą naszą przegraną.

Za przegraną uważają ją ci, którzy stając na straży interesów ludności polskich wsi spiskich Jurgowa, Czarnej Góry i Rzepiska, zawisłych od Jaworzyny w całej swej egzystencji gospodarczej w postaci pastwisk, lasów, zarobków i t. d., widzą tę ludność i nadal odciętą od podstawy jej bytu państwową linją graniczną.

Za przegraną uważają ją ci, którzy idąc za pędem rozbudzonej opinji, śledzili przebieg sprawy i osądzając ją z punktu widzenia Tatr, w fakcie, że nasz stan posiadania w tych górach ostatecznie się nie powiększył, podstawę do głoszenia zupełnej klęski naszej znajdują.

Tak osądza rezultat także wielu z tych, którzy uważali spór o Jaworzynę za czynnik polityki międzynarodowej.

I rzeczywiście trudno zaprzeczyć, że przegrana nasza co do Jaworzyny z tego ostatniego punktu widzenia była szczególnie dotkliwą. Oto stracono w sposób bezprzykładny sprawę, w której strona polska miała za sobą pierwszorzędny atut w postaci jednomyślnego i rzeczowo znakomicie uzasadnionego wniosku międzysojuszniczej komisji delimitacyjnej. Była to sprawa niemal nie do przegrania!

Jeśli jednak rozpatrzymy przebieg sprawy Jaworzyny, spokojnie i chłodno rozważając wszystkie etapy długiego trwania i skomplikowane koleje tego sporu, wnikając w jego tajniki i zakulisowe sprężyny, a nadewszystko obejmując nieco szersze horyzonty i dalsze perspektywy, dojdziemy do niezbitego wniosku, że naszą przegraną polityczną wywołała okoliczność, której dziesiątki innych podobnych przegranych zawdzięczamy: ciągłe zmiany naszych ministrów spraw zagranicznych. W czasie trwania samej sprawy Jaworzyny zmieniło się tych ministrów dziesięciu, z każdym zmienił się sposób myślenia, ujęcia i prowadzenia akcji, a z niektórymi zmienili się niestety niemal wszyscy ważniejsi współpracownicy i rwały się wszystkie nici rozpoczętej, czy będącej w pełnym toku akcji. Naprzeciw tych dziesięciu ministrów, zmieniających się jak w tragicznym kalejdoskopie, trwał przez cały czas jeden człowiek, min. Benesz i to człowiek, któremu największy jego wróg nie może odmówić zalet niepospolitej indywidualności i talentu politycznego — a z Beneszem jeden system, jedna konstrukcja myślowa, jednolita akcja, ci sami sprawę znający i z nią związani ludzie.

Na ten stosunek sił szczególnie jaskrawe rzuciła światło sesja Rady Ligi Narodów w grudniu 1923 r. w Paryżu, kiedy sprawy polskie padały jedna za drugą, a nieszczęsna sprawa Jaworzyny wobec nacisku prestige'u, jaki swą wytrwałą pracą, oraz długoletniem trwaniem na swym posterunku zjednał sobie w Lidze Narodów min. Benesz, nie mogła się tam poprostu w duchu naszych życzeń ostać.

Jeśli jednak pod względem polityki międzynarodowej należy uznać sprawę Jaworzyny w tej formie, w jakiej była ona dotąd stawianą, za przegraną, to pod względem terytorjalnym, gospodarczym i turystycznym nie wyszliśmy z niej z próżnemi rękami,

nadewszystko zaś nie wyszliśmy z niej z przegraną moralną i ideową.

A więc przedewszystkiem uzyskaliśmy w decyzji Rady Ligi Narodów i Konferencji Ambasadorów pewne terytorjum, odcięte poprzednio „linją Ambasadorów“ z dnia 28 lipca 1920 r., t. j. pola, stanowiące własność polskiej gminy Jurgów. I jakkolwiek teren to niewielki, kilkaset zaledwie morgów wynoszący, to jednak pamiętać należy, że uzyskaliśmy go bez żadnej z naszej strony terytorjalnej rekompenzaty. Jeżeli zaś wspomnimy, że za każdy niemal morg terenu, uzyskanego n. p. na Orawie, musieliśmy płacić odpowiednią rekompenzatą, to zysk na Spiszu stanie przed nami we właściwym świetle, jako poważna zdobycz.

Ażeby jednak zrozumieć całkowicie, na czem polega znaczenie naszych zdobyczy gospodarczych i turystycznych, przedewszystkiem zaś ideowych w dzisiejszej fazie sprawy Jaworzyny, należy przypomnieć raz jeszcze, jak to już podkreślałem, że spór o Jaworzynę popularność swą zawdzięcza Tatrom.

Góry te z ich cudowną, jedyną w swym rodzaju w Środkowej Europie przyrodą o typie alpejskim, przywiązywały i przykuwają do siebie najlepsze po jednej i po drugiej stronie jednostki. Jak niegdyś w sporze o Morskie Oko, tak maleńkie w porównaniu z terytorjum górskiem Jaworzyny, tak w sporze o Jaworzynę, inteligencja, kwiat narodu, przez swe przywiązanie ideowe i uczuciowe do Tatr, skupiła wokół siebie w walce o skrawek tych gór całe społeczeństwo. Publikacje, sprawie Jaworzyny i Spisza poświęcone [1]), rozliczne artykuły w dziesiątkach najpoważniejszych pism polskich, setki konferencji, wieców i odczytów, propaganda wszelkiego rodzaju, — wszystkie te wysiłki o zdobycie Jaworzyny prowadzone były i podsycane przez najtęższych ludzi nauki, polityki, sztuki i życia społecznego. Nazwiska członków komisji Jaworzyńskiej delegowanych z polskiej strony dla polubownego załatwienia sprawy w okresie bezpośrednich rokowań 1922 r. pos. S. Grabskiego i S. Osieckiego, prof. H. Arctowskiego, E. Romera i W. Semkowicza, nazwiska najczynniejszych z tych, którzy działali, pisali i pracowali dla sprawy, jak J. Bednarski, A. Chybiński, J. Czerwiński, J. Diehl, K. Dobrowolski, F. Gwiżdż, A. Jakubski, R. Kordys, M. Kozłowski, Machay'owie, K. Nitsch, M. Orłowicz, J. G. Pawlikowski, K. Prauss, S. Sokołowski, K. Sosnowski, K. Stecki, S. Stroński, W. Szafer, W. Szajnocha, S. Szkocki, M. Za-

[1]) Jak n. p. Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego z r. 1919—1920. specjalne numery „Tygodnika Ilustrowanego“, „Ziemi“, „Myśli Narodowej“, broszury Narodowego Komitetu Obrony Spisza i Orawy, Towarzystwa Kresów Południowych, Tow. Krajoznawczego i szereg innych.

ruski, J. Zborowski i szeregu posłów do sejmu i senatu, dyplomatów, wojskowych, publicystów i dziennikarzy, których niepodobna tu wymieniać, świadczą o tem, jak szerokie zainteresowanie obudziła ta sprawa w społeczeństwie i jak wybitne jednostki w krąg swój wciągnęła.

To samo nastąpiło i ze strony czeskosłowackiej, acz może, wskutek mniej na ogół intenzywnego stosunku do Tatr ogółu społeczeństwa Czechosłowacji, liczba osób zajmujących się sprawą Jaworzyny nie była tak liczną. Ale i tam szeroko znane i ogólnie poważane nazwiska pos. Hruszowskiego, prof. Niederlego, Nemeca, Pantoflicka, Bidlo i i. były firmą czeskosłowackiej komisji „jaworzyńskiej“, i tam wielu wybitnych uczonych, polityków i działaczy społecznych, brało żywy udział w nader różnorodnej akcji o Jaworzynę.

Dowodem też wielkiego rozgłosu i zainteresowania sprawą Jaworzyny były wizyty na spornym terytorjum jaknajznakomitszych i najwyżej stojących jednostek. Odwiedzali więc pogranicze Jaworzyny z naszej strony prezydentowie ministrów i ministrowie Ponikowski, Sikorski, W. Grabski, Narutowicz, Seyda, marszałek sejmu Rataj, Osiecki, szereg wybitnych posłów i senatorów polskich, — wszyscy zapoznawali się i interesowali żywo sprawą, podkreślając dobitnie jej ideowy charakter. Dłuższą wizytę poświęcił pograniczu spiskiemu p. Prezydent Wojciechowski, — w słowach pełnych entuzjazmu dla wzniosłego piękna gór wyrażając swą życzliwość dla sprawy.

Także i ze strony czeskosłowackiej bawiły wielekroć na terytorjum Jaworzyny liczne wycieczki i wizytacje znakomitych osób ze sfer rządowych, parlamentarnych, naukowych i politycznych.

Również silnem było zainteresowanie się zagadnieniem sfer kulturalnych i politycznych za granicą. Wycieczki oficjalne: duńska, finlandzka, estońska, francuska, szwajcarska, turecka i inne bawiły nad tatrzańską granicą spiską i niektóre z nich w licznych i szczegółowych artykułach prasowych rozgłaszały sławę Jaworzyny w całym świecie, częstokroć rozstrząsając przytem górskie i ideowe tło tego granicznego sporu.

Przez cały ten czas we wszystkich tych działaniach, tak po naszej, jak po czeskosłowackiej stronie, trzon akcji; i ośrodek akcji pobudzający nieustannie opinję publiczną, władze rządowe i ustawodawcze obu stron i grupę ludzi stojącą na najczulszej straży całej sprawy, stanowili znawcy i wielbiciele Tatr, którzy pracę swoją wykonywali dla pobudek ideowych, i w pobudkach tych odnajdywali niewyczerpane źródło energji i pomysłów.

**2. Próba rozwiązania sporów po rezolucji Rady Ligi Narodów z r. 1924.** Możemy więc stwierdzić, że tak w obu państwach spierających się, jak za granicą było szerokie i głębokie zaintere-

sowanie sprawą Jaworzyny, i w zainteresowaniu tem jednym z głównych czynników była nuta ideowa kulturalnego znaczenia świata górskiego dla ludzkości i miłości do gór.

W rozpatrywaniu więc rozwiązania sprawy Jaworzyny powinna być ta strona zagadnienia szczególnie silnie uwzględniona.

Naczelny też ten problem mieliśmy bacznie przed oczyma, gdy w marcu 1924 r. stanęliśmy z Mjr. B. Romaniszynem w Genewie wobec orzeczenia Rady Ligi Narodów.

W orzeczeniu tem mieściła się utrata korzyści, które dawał nam wniosek Komisji Delimitacyjnej z dnia 25 września 1922 r., ale równocześnie, jak to już wspominałem, pewien czysty zysk terytorjalny, możność naprawy krzywd gospodarczych wyrządzonych ludności w odpowiednich protokołach oraz stwierdzenie naszych praw moralnych w całym sporze.

Pozostawały wobec tego stanu rzeczy dwie drogi do obrania: albo starać się odrzucić decyzję Rady Ligi nietylko formalnie, ale także i istotnie i wytrwać w dalszym oporze w stosunkach z Czechami, albo też starać się stworzyć porozumienie z dotychczasowym przeciwnikiem i z orzeczenia Rady Ligi i owego porozumienia wydobyć jaknajwięcej dla naczelnego zagadnienia i istoty całego sporu: rzeczowej korzyści ludności pogranicznej i turystyki górskiej oraz ideowego dobra całego społeczeństwa polskiego w Tatrach.

Po dojrzałym namyśle obraliśmy tę drugą drogę i wystąpiliśmy z odpowiednim projektem wobec delegacji czeskosłowackiej, pozostającej pod kierownictwem komisarza rządu czeskosłowackiego w komisji delimitacyjnej Inż. W. Roubika, przeciwnika, którego energji i nieugiętości, z jaką bronił swej sprawy, zamiłowaniu i znakomitemu znawstwu rzeczy, a równocześnie lojalności wobec nas niech mi tu będzie wolno należyty hołd złożyć.

Projekt nasz szedł w tym kierunku, aby protokoły, uzupełniające w myśl rezolucji Rady Ligi, granicę na Spiszu ułożyć bezpośrednio w całkowitem porozumieniu przez obie delegacje zainteresowane, a następnie uzgodnione przedstawić komisji delimitacyjnej do zatwierdzenia. Nadto projektowaliśmy, aby, prócz protokołów dotyczących bądź co bądź tylko części tatrzańskiej granicy, zawrzeć pomiędzy obu państwami konwencję turystyczną dla całej granicy górskiej polsko-czeskosłowackiej i w najpiękniejszych i najlepiej pod względem przyrodniczym zachowanych grupach górskich pogranicza, a przedewszystkiem w Tatrach, założyć parki natury, obejmujące tereny obu państw.

Propozycja nasza, co stwierdzić należy, została z gotowością przyjętą w kwietniu 1924 zasiedliśmy, z szerokim udziałem przedstawicieli obu

rządów, do rokowań bezpośrednich z delegacją czeskosłowacką w Krakowie. Po długich i intenzywnych obradach, zostały dnia 6 maja u. r. ostatecznie ułożone, uzgodnione i podpisane protokoły t. zw. „krakowskie“, które regulują kompleks spraw gospodarczych, komunikacyjnych i turystycznych na obszarze Jaworzyny i Spisza, a częściowo i całych Tatr. Protokoły te, przyjęte w całej rozciągłości przez komisję delimitacyjną, zostały w dniu 5 września 1924 ostatecznie zatwierdzone przez Konferencję Ambasadorów i od dnia tego obowiązują oba państwa, jako integralna część decyzji o granicy na Spiszu.

Jedna grupa przepisów tych protokołów reguluje życie ekonomiczne gmin, przylegających do pogranicza spiskiego z obu stron granicy. Najdalej idące ułatwienia gospodarcze i zarobkowe, w komunikacji i ruchu granicznym, w sprawach cłowych i t. d., przyniosą po ostatecznem wprowadzeniu protokołu w życie także i w przepisach wykonawczych, zasadniczą poprawę w egzystencji całego Spisza. Jak pożądaną zdobyczą są dla życia gospodarczego te przepisy, świadczy o tem fakt, że coraz głośniej rozlegają się dzisiaj głosy ludności innych części pogranicza o wprowadzenie także i dla niej podobnych ułatwień.

Dalsza grupa postanowień protokołu obejmuje uregulowanie ruchu turystycznego. Osobne „legitymacje tatrzańskie“, ostatecznie już wprowadzone w życie na późniejszej konferencji w Cieszynie w lipcu 1924 legitymacje dla przewodników tatrzańskich i członków pogotowi ratunkowych, dają turystom obu stron i przewodnikom możność swobodnego przekraczania granicy na obszarze całych Tatr wraz z ich podnóżem, Zamagórza Spiskiego i Pienin.

Wreszcie szerszym postulatom ideowym czyni zadość artykuł II protokołu głównego, który brzmi:

„Poza kwestjami zawartemi w tekście aneksu *A)* niniejszego protokołu, obaj Komisarze przedyskutowali szereg spraw natury ogólniejszej, stojących w związku z pracami delimitacyjnemi i interesami kulturalnymi pogranicza i doszli do zgodnego wniosku, aby zalecić swym rządom jak najrychlejsze zawarcie:

*a)* konwencji turystycznej, którаby umożliwiła i ułatwiła na całem górskiem pograniczu polsko-czeskosłowackiem rozwój turystyki, przedewszystkiem przez zniesienie trudności paszportowych, ułatwienia komunikacyjne i t. d.

*b)* konwencji o parku przyrodniczym (rezerwat), którаby wzorem analogicznych konwencji między Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej a Kanadą stworzył na pograniczu polsko-czeskosłowackiem rejony,

zastrzeżone dla kultury, fauny i flory, oraz charakteru krajobrazu miejscowego".

Celem przygotowania tych postanowień art. II-go odbyliśmy w dniach 6—8 września 1924 w Zakopanem posiedzenia obu delegacji w międzysojuszniczej komisji delimitacyjnej z udziałem przedstawicieli interesowanych ministerstw, władz administracyjnych i ekspertów polskich i czeskosłowackich. Konferencje w Zakopanem przyniosły bogaty plon w postaci opracowania projektu konwencji turystycznej polsko-czeskosłowackiej i układu pomiędzy dwoma największemi towarzystwami turystycznemi obu stron: Polskiem Towarzystwem Tatrzańskiem i Czeskosłowackim Klubem Turystów oraz szeregu układów wstępnych co do założenia na pograniczu polsko-czeskosłowackiem parków natury.

Projekt konwencji turystycznej przewiduje utworzenie z obu stron granicy polsko-czeskosłowackiej szerokiego pasa turystycznego, obejmującego wszystkie wybitniejsze pasma i gniazda górskie pogranicza Polski i Czechosłowacji. W obrębie tego pasa ma według projektu panować znaczna swoboda przekraczania granicy, ulgi legitymacyjne dla członków Towarzystw turystycznych, ułatwienia komunikacyjne i celne. Z chwilą realizacji tego projektu, której należy się spodziewać w łączności z ogólnymi układami polsko-czeskosłowackimi w niedługim czasie, cała granica górska polsko-czesko-słowacka, zostanie otwarta dla ruchu turystycznego i straci pod tym względem charakter oddzielającej oba państwa barjery.

Układy co do pogranicznych parków natury przyniosły zasadniczo porozumienie co do utworzenia czterech większych rezerwatów, obejmujących obszary chronione częściowo i całkowicie w najpiękniejszych i najlepiej pod względem pierwotności przyrody zachowanych okolicach, a więc na Babiej Górze, w Tatrach, Pieninach i na Howerli. Dla wszystkich tych terenów przedstawiono konferencji wnioski polskie według publikowanych opracowań terenowych[1]) lub na mapach i dla wszystkich tych okolic zgodzono się na wprowadzenie w obszar rezerwatów, przylegających do siebie terytorjów obu państw.

**3. Park Narodowy w Tatrach.** *A) Przygotowania polskie.* Najlepiej opracowanym okazał się jednak projekt zamiany Tatr w Park Narodowy i w projekcie tym obie strony złożyły do wspólnego skarbca poważny dorobek, jako podbudowę wielkiego kulturalnego dzieła.

Ze strony polskiej przedstawiliśmy przedewszystkiem jako teren nadający się już dzisiaj do uznania go za park natury

---

[1]) Publikacje Państwowej Komisji Ochrony Przyrody w Polsce.

obszar dóbr Zakopane hr. Władysława Zamoyskiego, ofiarowany i wchodzący dziś w skład wielkodusznej fundacji Kórnickiej. Jeszcze 30, a nawet 20 lat wstecz nie bylibyśmy w stanie włączyć tego obszaru do Parku Narodowego. Dobra Zakopane obejmujące całą dolinę Kościeliską z otoczeniem, wszystkie doliny reglowe okolicy Zakopanego i wielką połać terenu od Poronina wzdłuż Białki aż do Morskiego Oka, były wówczas w stanie jałowej pustaci. Długoletnia rabunkowa gospodarka właścicieli tych dóbr Eichborna i Peltza doprowadziła do całkowitego niemal wyniszczenia lasów. Okolice dolin reglowych koło Zakopanego, Zazadni, Głodówki i Gołego Wierchu aż po Rusinową Polanę, obrane niemal zupełnie z drzew, przedstawiały się rozpaczliwie i smutno. Miłośnicy gór, skupieni w Towarzystwie Tatrzańskiem, obawiając się, jak czytamy w protokole z Wydziału T. T. dnia 10 grudnia 1887 r., że „Zakopane dostanie się w ręce żydowskie i niemieckie, że polska część Tatr, pozbawiona lasów, stanie się Karstem, a Zakopane z obecnemi pięknemi willami, zniknie z powierzchni ziemi, zasypane piargami“, założyli specjalne Towarzystwo Ochrony Tatr Polskich dla zebrania funduszów na wykupno dóbr Zakopiańskich z rąk obcych i ochronę lasów od zniszczenia. Celem skupienia sił całego społeczeństwa polskiego około zbożnego dzieła i porwania narodu wielkiemi hasłami, rzucił jeden z członków Wydziału Towarzystwa Tatrzańskiego myśl zamiany Tatr na wielki park narodowy w rodzaju Yellowstone i nazwania go Parkiem Narodowym imienia Adama Mickiewicza[1]). Wyłonione z Towarzystwa Tatrzańskiego Towarzystwo Ochrony Tatr Polskich, zebrało pewne fundusze, nie zakupiło jednak dóbr Zakopiańskich. Nabywcą ich stał się w dniu 9 maja 1889 r. hr. Władysław Zamoyski, ku największej radości Towarzystwa Tatrzańskiego, które nabycie większej części Tatr Polskich przez tego niepospolitego człowieka uważało za zrządzenie łaskawej dla Tatr i ich przyrody Opatrzności.

Od tej chwili zaczął działać na obszarze Tatr Polskich, należących do kompleksu dóbr Zakopane, potężny i wspaniały idealizm Zamoyskiego. Rezultatem trzydziestokilkuletniej Jego pracy niestrudzonej, bezgranicznie ofiarnej i owianej najszlachetniejszą miłością do gór, była zamiana kamienistej i ogołoconej z roślinności pustyni na przepiękny kraj górski o znakomitem utrzymaniu lasów, oraz powiększenie dóbr Zakopane drogą wygranego sporu o Morskie Oko, którego Zamoyski był z naszej strony duszą, a także i kupna, o szereg hal i obszarów górskich, objętych obecnie wzorową gospodarką leśną. W państwie piękna gór Zamoyskiego znajdują się dzisiaj takie

[1]) Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego z r. 1888, Tom XII.

klejnoty, jak cała niemal dolina Kościeliska z rozgałęzieniami, przeważna część ślicznej doliny Miętusiej, grupa Czerwonych Wierchów oraz regli zakopiańskich, niezrównana w swem pierwotnym i romantycznym uroku okolica Hali Filipki i Gęsiej Szyji, najdziksza z dolin Tatr Polskich Waksmundzka, większa część wspaniałej i doskonale pod względem przyrodniczym zachowanej Doliny Roztoki oraz najbardziej wysokogórskiej w Tatrach Polskich Doliny Pięciu Stawów Polskich, a wreszcie bezcenna perła Morskie Oko i Czarny Staw z ich majestatycznem górskiem otoczeniem[1]).

W dorobku naszym na konferencji zakopiańskiej mogliśmy dalej podać konkretny plan terytorjalny Parku Narodowego w Tatrach. Plan ten opracowany szczegółowo i opublikowany w osobnej broszurze przez znakomitego znawcę Tatr prof. S. Sokołowskiego[2]), obejmuje całość Tatr Polskich i terytorjum Jaworzyny, dzieląc Tatry Polskie na dwie strefy: rezerwatu częściowego i rezerwatu ścisłego.

Podział ten, oparty na trzeźwej ocenie dzisiejszego stanu rzeczy, wytworzonego w Tatrach przez daleko posuniętą i rozwiniętą w nich gospodarkę ludzką i turystykę, przewiduje w strefie rezerwatu częściowego, obejmującego głównie niższe okolice Tatr, ochronę przyrody niezupełną. Dozwoloną ma być na tym obszarze gospodarka leśna według specjalnego planu gospodarczego, uwzględniającego postulaty ochrony przyrody. Pasterstwo ma być również dozwolone, jednak tylko w dotychczasowym pierwotnym charakterze i w rozmiarach niewyniszczających szaty roślinnej. Budowa zakładów przemysłowych i wyzyskiwanie sił wodnych dla celów przemysłowych byłyby niedopuszczalne; natomiast dozwolone niektóre konieczne budowle wodne i kamieniołomy, a wreszcie wznoszenie szałasów i niezbędnych prostych budynków dla służby leśnej, oraz schronisk dla turystów.

Na obszarze ścisłej ochrony przyrody, obejmującej w myśl tego projektu górne tereny Tatr, żadna gospodarka ludzka byłaby niedopuszczalna, z wyjątkiem pierwotnego pasterstwa i turystyki. Lasy na tym obszarze mają być nietykalne, jakiekolwiek roboty przemysłowe i terenowe wykluczone, linje komunikacyjne ściśle ograniczone, z budynków dopuszczalne tylko szałasy i najniezbędniejsze schroniska, specjalnie budowane i dostosowane do krajobrazu.

---

[1]) O pracach i dziele Władysława Zamoyskiego w Tatrach piszę obszerniej we wspomnieniu pośmiertnem w tym samym tomie „Wierchów".

[2]) Wydawnictwa Państwowej Komisji Ochrony Przyrody w Polsce, Tom 4, 1923 S. Sokołowski: Tatry jako Park Narodowy.

Myślistwo i rybołostwo na obu obszarach miałoby podlegać najściślejszym prawidłom ochrony przyrody, całość Parku Narodowego pozostawać pod dozorem specjalnych organów państwowych i społecznych, a opierać się w swej organizacji na szczegółowych ustawach i przepisach. Na dowód możliwości wprowadzenia w życie Parku Narodowego na podstawie tych idei, mogliśmy się z prawdziwą dumą powołać na fakt, że właśnie na terenie dóbr Zakopane opracowuje się już i realizuje nowy plan gospodarczy, oparty ściśle na projekcie prof. Sokołowskiego.

Jednem jednak z najważniejszych zagadnień w Tatrach, które wymaga szczególnie troskliwego traktowania w stosunku do Parku Narodowego, jest sprawa turystyki, tak silnie rozgałęzionej w tych najwyższych górach Polski i Czechosłowacji po obu stronach granicy.

I w tym kierunku mogliśmy na konferencjach zakopiańskich przedłożyć sposób uregulowania gospodarki turystycznej w Tatrach, uchwalony przez Walny Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w r. 1923.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie przyjęło wtedy jako wytyczne dla swej działalności w Tatrach nad udostępnieniem tych gór pewne postanowienia ogólne.

Zasada pierwsza stwierdziła, że ilość schronisk wysokogórskich, dzisiaj istniejących w Tatrach Polskich jest dla ruchu turystycznego tatrzańskiego w tych małych górach całkowicie wystarczająca. Ilości tych schronisk nie należy więc pomnażać, natomiast skierować cały wysiłek ku przebudowie i rozszerzeniu dzisiaj istniejących budynków. Na tę słuszną drogę wstąpiło też P. T. T. przez swój Oddział Warszawski, wznosząc w miejsce starego nowe, okazałe, granitowe, czyniące zadość potrzebom cywilizowanego człowieka i po zmianie pierwotnych planów doskonale dostosowane do otoczenia schronisko na Hali Gąsienicowej, — przez Oddział Zakopiański budując nowe, obszerne drewniane schronisko przy Pięciu Stawach Polskich, — a przez Zarząd Główny, rozszerzając schronisko w Roztoce. Pozostaje na przyszłość, jako najpoważniejszy może problem, przebudowa nieodpowiedniego schroniska nad Morskiem Okiem, przyczem coraz to silniejsze podnoszą się głosy opinji turystycznej za tem, aby schronisko to przenieść z dzisiejszego eksponowanego miejsca na morenie, nieco w głąb doliny Rybiego Potoku. Uchwalono przytem z naciskiem wniosek, logiczny tak z punktu widzenia turystyki, jak ochrony przyrody, że schroniska w Tatrach nie mają nigdy przybierać postaci hoteli, ale wyłącznie schronisk czysto wysokogórskich, przeznaczonych dla czynnie zwiedzających Tatry turystów.

Zasada druga uznała istniejącą dzisiaj wielką ilość ścieżek i szlaków turystycznych w Tatrach Polskich również za zupełnie wystarczającą, a budowę nowych ścieżek turystycznych za zbędną. Natomiast wypowiedziało się Polskie Towarzystwo Tatrzańskie najusilniej za odnowieniem i ulepszeniem ścieżek i rozpoczęło już żywą pracę w tym kierunku od znaczenia farbą wszystkich szlaków według nowego, racjonalnego systemu znakowania.

Dalej oświadczyło się P. T. T. przeciw prowadzeniu w głąb Tatr dróg jezdnych, z wyjątkiem dzisiaj już istniejących. Zmięszanie elementu turystycznego z żywiołem przygodnych zwiedzaczy Tatr, osiągających wnętrze tych gór najwygodniejszą drogą i szereg towarzyszących temu niepożądanych zjawisk, nakłonił też Polskie Towarzystwo Tatrzańskie do wypowiedzenia się za zatrzymaniem ruchu kołowego w pewnej niewielkiej odległości od schroniska na drodze od Morskiego Oka, oraz za utrzymaniem w dolinie Suchej Wody jedynie wąskiej drogi jezdnej do schroniska na Hali Gąsienicowej, oraz zamknięciem jej dla ogólnego dojazdu poniżej schroniska.

Wreszcie zastrzegło się Polskie Towarzystwo Tatrzańskie przeciw budowie kolejek zębatych i linowych w głębie Tatr, podkreślając natomiast ich racjonalność u podnóża gór.

Te przewidujące i słuszne uchwały Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego przedstawiają w dzisiejszych warunkach niemal całkowite rozwiązanie problemu uzgodnienia postulatów turystyki z zagadnieniem Parku Narodowego w Tatrach.

Pragnąc prace nad realizacją tego parku oprzeć na pewnych podstawach, zwróciliśmy się o wzory do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, klasycznego terenu wielkich Parków Narodowych i rezerwatów, jedynego kraju na kuli ziemskiej, na którego granicy z Kanadą powstały parki natury, obejmujące terytorja dwu państw. Za uprzejmem pośrednictwem p. Chappellier w Paryżu, sekretarza gen. francuskiego Komitetu dla ochrony przyrody, otrzymaliśmy z Ameryki od Prof. Hornaday'a, jednego z najwybitniejszych działaczy tamtejszych na polu ochrony przyrody, dokładne rady co do postępowania, a nawet konkretny plan założenia i administrowania parkami narodowymi na pograniczu Polski i Czechosłowacji. Plan ten, oparty na podstawie dwudziestopięcioletniego doświadczenia prof. Hornaday'a nad zakładaniem i administracją parków natury w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, jest prawdziwą kopalnią nader cennych wskazówek i umocnił nas w naszych projektach.

W uwzględnieniu wskazówek prof. Hornaday'a, kierowaliśmy się przekonaniem, że nic nie wskaże nam lepszej drogi, jak przykład niezrównanej organizacji kulturalnej Ameryki Północnej, która w sposób najwspanialszy łączy wymagania idei z życiem realnem. Część ta świata, siedziba największego na kuli ziemskiej przemysłu i handlu i największego zarazem, jak powiada się ogólnie, zmaterjalizowania, stworzyła wszak na terytorjum Stanów Zjednoczonych 19 wielkich parków natury i 34 mniejszych rezerwatów o powierzchni ponad 3,500.000 h., a w Kanadzie 19 parków o powierzchni 5,000.000 h., organizując zarazem świetnie i z nakładem olbrzymich wysiłków i kosztów nadzór nad parkami, zwiedzanie ich przez publiczność i całą w nich gospodarkę. Zdrowy sens i „praktyczny idealizm" Ameryki w zrealizowaniu tak szeroko pojętej ochrony przyrody zrozumie każdy, kto bliski jest amerykańskiego ducha. Oto kraj ten pragnie w parkach bezwzględnie dzikiej i dziewiczej natury stworzyć obszary zupełnego wytchnienia i odwrócenia się od codziennego życia dla wyczerpanej zgiełkiem i szalonem tempem miast, zgnębionej trudem i szarzyzną środowisk fabrycznych i handlowych jednostki ludzkiej! Im więcej też ta jednostka zagrożona jest wielkiem zmaterjalizowaniem dzisiejszego amerykańskiego życia, tem zupełniej odpoczywa na łonie pierwotnej przyrody i do niej tęskni. Ten też na wskroś zdrowy, „realny idealizm" przemawia z listów prof. Hornaday'a, które przedstawiliśmy na konferencji zakopiańskiej, gdy w nich ten wielki organizator ochrony przyrody pisze do p. Chappelliera:

„W pierwszym rzędzie doradzam Panu jaknajusilniej przekonywać swoich kolegów polskich i czechosłowackich o konieczności zabezpieczenia się przed jakimikolwiek zakusami ze strony interesów handlowych. Wiem bowiem z własnego doświadczenia, ile pracy poświęcać musimy, walcząc stale na naszych kongresach z prywatnemi przedsiębiorstwami, usiłującemi wyzyskać siłę wodną, drzewo budulcowe, dalej paszę, a niekiedy także środki komunikacyjne, jak linje kolejowe i t. p. na własną korzyść, co w wysokim stopniu drażniłoby nasze społeczeństwo.

„Jest jednakże koniecznem, by Rządy utrzymujące Parki Narodowe, postarały się, aby społeczeństwa, prócz pewnego zadowolenia estetycznego, mogły mieć przytem i korzyści materjalne. I dlatego to nasze wielkie parki jak Yellowstone, Glacier i Yosemite mają znakomite hotele i tereny letniskowe, wyposażone przez rząd i administrowane według ścisłego regulaminu rządowego, mającego na względzie dobro zwiedzających".

A dalej, proponuje w swym planie administrowania parkami pogranicznymi Polski i Czechosłowacji:

„Eksploatacja Parków Narodowych dla celów handlowych jakiegokolwiekbądź rodzaju, powinna być ustawowo wzbronioną. Jedynie przy zakładaniu hoteli i urządzaniu środków komunikacyjnych należy brać pod uwagę korzyści i wygody zwiedzającej publiczności. Wszelkie wycinanie drzew, budowanie tam lub grobli, zakładanie urządzeń wyzyskujących siłę wodną, budowa linji kolejowych, zakładanie kopalni, zbieranie paszy i innego rodzaju eksploatacja w celach wyzyskania zasobów parku — powinny być surowo wzbronione. W przewidywaniu ustawicznych ataków, na jakie zasobny park będzie narażonym ze strony ludzi dbałych o swe interesy materjalne, koniecznem jest, by ustawy te były ściśle określone i z bezwzględną surowością wykonywane. W szczególności wycinanie t. zw. dojrzałych drzew winno być zakazanem, ze względu na to, że wszystkie takie operacje zmierzają do zniszczenia naturalnego piękna lasów, powodują dewastację i ułatwiają powstawanie pożarów. Ludność stanu Nowy York, będąca właścicielką wielkich obszarów leśnych w górach Adirondack, stale sprzeciwia się wycinaniu drzew dojrzałych dla celów handlowych, wychodząc z założenia, że ochrona piękna naturalnego lasów jest o wiele ważniejszą dla społeczeństwa, aniżeli mała suma pieniędzy, którąby skarb publiczny za taką niszczącą akcję uzyskał“.

Głęboką była nasza radość, gdy mogliśmy stwierdzić, że idee, zawarte w cennych pismach prof. Hornaday'a, były w zasadzie wytyczną naszych poprzednich przygotowań do uregulowania ochrony przyrody i Parku Narodowego Tatrzańskiego. Zgodność niezależnego od siebie sposobu myślenia w tych sprawach z tej i tamtej strony oceanu okazała się zdumiewającą. W szczególności odnosiło się to do naczelnej zasady, na której oparł swą pracę autor projektu ustawy o parku narodowym tatrzańskim prof. J. G. Pawlikowski. Projekt tego seniora taternictwa polskiego i wielce zasłużonego bojownika o ochronę przyrody w Polsce, przedstawiony przez nas konferencji zakopiańskiej, przewiduje założenie parku tatrzańskiego drogą traktatu międzynarodowego polsko-czeskosłowackiego tylko w podstawowej umowie co do powołania parku do życia, natomiast uregulowanie wszystkich spraw parku pozostawia ustawom wewnętrznym obu państw zainteresowanych, uchwalonym przez ich ciała parlamentarne w formie możliwie uzgodnionej i w jednakowym czasie. Zasada ta ma na celu dostosowanie organizacji parku po dwu stronach granicy do ustawodawstwa obu państw i zapobiega uciążliwościom, jakie mogłyby powstać przy spetryfikowaniu szczegółowych przepisów parkowych przez trudny do zmiany traktat międzynarodowy. Projekt prof. Pawlikowskiego jest więc projektem ustawy wewnętrznej Sejmu polskiego o założeniu w Tatrach

Parku Narodowego i w szeregu przepisów reguluje kwestje terytorjalne, przedmioty podlegające ochronie w rezerwacie ścisłym i częściowym, sposób wykonywania ochrony, stosunek gospodarstwa ludzkiego i turystyki w Parku Narodowym, sankcje karne, zarząd i administrację parku.

Jeżeli Tatrzański Park Narodowy ma być w swej konstrukcji podobnym do parków pogranicznych natury między Stanami Zjednoczonymi i Kanadą, nasuwa się jako konieczność potrzeba analogicznego również zorganizowania nadzoru państwowego i społecznego całkowitej ochrony przyrody w Polsce i Czechosłowacji. Ujednostajnienie jaknajdalej idące tego nadzoru uchyli możliwe niezgodności w organizacji pogranicznego Parku Narodowego w stosunku do obowiązujących w obu państwach ogólnych zasad ochrony przyrody, oraz ułatwi stworzenie odpowiedniej, także i we władzę wykonawczą wyposażonej opieki nad parkiem. Temu też celowi służył przedstawiony przez nas w dalszym ciągu projekt przemiany dotychczasowej polskiej państwowej Komisji Ochrony Przyrody na nową formę organu ministerjalnego, mającego zajmować się ochroną przyrody w Polsce, oraz powołania Rady Ochrony Przyrody, funkcjonującej pod patronatem tego urzędu jako organizacja społeczna. Przedkładając ten projekt, również przez prof. J. G. Pawlikowskiego opracowany, dawaliśmy wyraz przeświadczeniu, że Państwowa Komisja Ochrony Przyrody tak pod znakomitem kierownictwem prof. W. Szafera zasłużona, spełniła w dotychczasowej formie całkowicie swe zadanie w ciągu jej pięcioletniego istnienia. Komisja ta musi się obecnie przemienić w nową organizację, związaną w każdym razie z wydziałem nauki Ministerstwa Oświaty, który przez cały czas trwania Komisji otaczał ją troskliwą i pełną zrozumienia opieką. W związku także i w przyszłości nowej organizacji ochrony przyrody z tym wydziałem ujawni się logicznie i jasno jeden z głównych celów Parku Narodowego w Tatrach: służenia parku nauce.

W końcu dopełniając obrazu naszego dorobku w położeniu podwalin pod park tatrzański wskazaliśmy na konferencji zakopiańskiej na dotychczasowe prace przygotowawcze nad uregulowaniem stosunków i podniesieniem stanu Zakopanego i Podhala jako oprawy Parku Narodowego ze strony polskiej. W pracach tych wybijają się na pierwszy plan projekty ujęcia górnego Skalnego Podhala, zawierającego letniska podtatrzańskie, w osobne starostwo, jako jednostkę administracyjną, dostosowaną do potrzeb klimatycznych, uzdrowiskowych, turystycznych i ochrony przyrody tych obszarów, oraz plan regulacji Zakopanego. Pierwszy z tych projektów jest w stadjum przygotowawczem, żywo popierany przez kulturalne sfery miejscowe, drugi, opracowany przez inż. K. Stryjeńskiego, został ostatecznie

zatwierdzony i rozpocznie niebawem obowiązywać, przynajmniej w sensie negatywnym, aby nie działy się na obszarze Zakopanego rzeczy, które w przyszłości sanacji uzdrowiska będą szkodzić. Wysiłki dalsze będą musiały iść w tym kierunku, aby oba projekty zrealizowały się także w kierunku pozytywnym.

*B) Przygotowania czeskosłowackie.* Do tej podbudowy idei Parku Narodowego ze strony naszej dołączyła na konferencjach Zakopiańskich strona czeskosłowacka swoje poważne dane.

Bezcenne są one zwłaszcza, jeżeli chodzi o pierwszy zasadniczy warunek powstania Parku Narodowego na terenie Tatr czeskosłowackich, reny pierwotnej górskiej przyrody.

Już od czasów węgierskich, na południowej stronie Tatr, zaprowadzono na terenach będących własnością rządu, doskonałą i pełną troski o piękno natury gospodarkę leśną. Wielkie obszary okolic doliny Cichej, Koprowej, Krywania, Jeziora Szczyrbskiego, Łomnicy Tatrzańskiej, porośnięte były najwspanialszym starodrzewiem, którego oszczędzano nadzwyczaj starannie w planach gospodarczych. Rosły tam wszystkie gatunki drzew tatrzańskich z obfitą limbą, wśród lasów i nad nimi rozpościerały się łąki i hale z doskonale zachowaną roślinnością, a całość, wraz z turniami granitowemi, zapełniona była liczną górską zwierzyną z kozicą, niedźwiedziem i świstakiem na czele. Dzięki przezornej gospodarce rządu węgierskiego, okolice te przepiękne pod względem krajobrazowym, stanowiły prawdziwe ozdoby Tatr granitowych, a w głąb doliny Hlińskiej, Koprowej czy Cichej wędrowiec mógł zapuszczać się jak w najdzikszy matecznik. Zachwycony nim głęboki miłośnik gór Mieczysław Karłowicz, pisał też słusznie w swym opisie dziewięciodniowej wycieczki „Po młodym śniegu“ [1]):

„Górna część doliny Koprowej to ulubione moje miejsce w Tatrach. Cóż za cudna gęstwina drzewna! Nigdy jeszcze siekiera nie dotknęła tego boru. Olbrzymie smreki, oczepione siwymi porostami, stoją zwartą gromadą, a w cieniu ich leżą mchem pokryte zwały padłych przed wiekami ich praojców. Poznałem się bliżej z tym borem przed laty, gdy idąc poraz pierwszy z Zaworów, zgubiłem ścieżkę i szedłem na przełaj. Setki drobnych ruczajów przebiegały pomiędzy zwałami, miejscami wypadało rękami torować sobie drogę wśród gęstwiny, a niejednokrotnie ciupaga, oparta na omszałem pniu, przebijała na wylot jego spruchniałe cielsko. Zdawało się: lada chwila rozchylą się gałęzie i ukaże się zbrojna w łuk spiżowa postać człowieka pierwotnego, co za niedźwiedziem przez gąszcz się przedziera!“

Te wspaniałe obszary pierwotnej przyrody rząd czeskosłowacki przejął

[1]) „Taternik“ rok I. Nr. 4. sierpień 1907.

i przechował w nienaruszonym stanie, prowadząc nadal pieczołowitą i rozumną gospodarkę leśną.

Ale obok tych drogocennych terenów rządowych na stronie czesko-słowackiej, leży inny, piękniejszy niemal jeszcze obszar nietkniętej górskiej przyrody w postaci posiadłości ks. Chrystjana Hohenlohego, obejmujący po południowej stronie Tatr część doliny Mięguszowieckiej z rozgałęzieniami, okolice doliny Batyżowieckiej, Popradzkiego Stawu i Hagów, a na północnych zboczach całą Jaworzynę Spiską z doliną Białej Wody, Jaworową z ich rozgałęzieniami oraz większą część Tatr Bielskich.

Ks. Hohenlohe, kupując przed kilkudziesięciu laty te obszary od poprzednich węgierskich właścicieli, był o tyle w szczęśliwszym położeniu od swego sąsiada z drugiej strony Białki hr. W. Zamoyskiego, że lasy Jaworzyny i Hagów nie były wytępione, jak lasy dóbr Zakopane. Hohenlohe otrzymał w swych terenach okolice dzikie i mało zagospodarowane, ale olbrzymią jego zasługą jest to, że skarb ten pierwotnej przyrody nietylko utrzymał w nienaruszonym stanie, ale w utrzymanie to tchnął swój talent organizatorski i zrealizował w swym majątku pierwszy w Tatrach park natury.

Zbudowawszy sobie wielki plan stworzenia zwierzyńca myśliwskiego alpejskiego typu na obszarze Tatr, pracował Hohenlohe przez lat kilkadziesiąt niezmordowanie nad jego realizacją, nie szczędząc na to wysiłków i ofiar moralnych i materjalnych. W ciągu tego długiego czasu uregulował on zasadniczą dla parku sprawę pastwisk, przeprowadzając z największym trudem komasację posiadłości włościańskich na terenie Jaworzyny, łącząc te posiadłości w jeden kompleks na ofiarowanych przez niego gruntach w okolicy między Podspadami a Jurgowem, usuwając drobne i rozprószone parcelki z hal tatrzańskich i oddając na rzecz górali w stałe używanie coroczne pewne obszerne, ale ściśle określone i ogrodzone tereny na pastwiska. W planie gospodarczym leśnym na całym obszarze Jaworzyny i Hagów zaprowadził Hohenlohe jak największe oszczędności i rezerwy w wyrębach, wszystkie zaś lasy powyżej początku regli uznał za lasy ściśle ochronne. Celem ochrony zwierzyny i racjonalnej gospodarki myśliwskiej, zbudował w ciągu lat wielkim nakładem ogrodzenie parku, ciągnące się na przestrzeni wielu kilometrów i wspinające się nawet na grzbiety górskie, zaś służbę myśliwską powierzył wytrawnym i dyscyplinowanym strzelcom, częściowo sprowadzonym ze Styrji, gdzie gospodarka łowiecka alpejska tak wysoko stoi, częściowo zaś starannie wychowanym z ludności miejscowej. Zwierzynę górską otoczył najtroskliwszą opieką, ochraniając ją przed kłusownikami, żywiąc ją i podtrzymując jej egzystencję wszelkimi możliwymi sposobami, nawet przez sprowadzanie w Tatry okazów z innych

gór dla odświeżenia rasy oraz aklimatyzowania gatunków nowych, jak koziorożce alpejskie, jelenie kaukazkie i wapiti, bizony i t. d. Celem ochrony swego parku, wydzierżawił też Hohenhole wszystkie okoliczne tereny myśliwskie, płacił olbrzymie sumy roczne odszkodowań za szkody, przez zwierzynę wyrządzane okolicznym włościanom, dokupował gdzie mógł, przylegające grunty.

Rezultatem tej olbrzymiej pracy było stworzenie z najwspanialszej części Tatr wielkiego zwierzyńca górskiego. Zwierzyniec ten, obejmujący przestrzeń ponad 10.000 ha po północnej i południowej stronie Tatr mieścił w sobie za najlepszych czasów przed światową wojną kilkadziesiąt niedźwiedzi, ponad 600 kozic, ponad 1.000 jeleni, sarn i danieli, ogromną ilość świstaków, nierzadkie rysie i żbiki, ze zwierząt importowanych do stu koziorożców i kilkadziesiąt bizonów, a nadto obfite i różnorodne ptactwo tatrzańskie, jak orły skalne, jastrzębie, głuszce, jarząbki, sowy, puchacze, ptactwo wodne i t. d.

Liczna ta zwierzyna zamieszkiwała obszary, na podstawie bogactwa nienaruszonej pierwotności przez nieustanną pracę i opiekę ludzką zamienione w prawdziwy raj natury. Kozice wolne, niepłoszone przez nikogo, hasały całymi kierdelami po ścianach i grzbietach podniebnych granitowych szczytów otoczenia Doliny Czarnej Jaworowej i pasły się po upłazach Bielskich Tatr, jelenie kryły się wśród potężnych, dzikich, nietkniętych borów, zarastających zbocza Szerokiej Jaworzyńskiej czy Holicy i schodziły się stadami przy wodopoju u małych, skrytych w lasach, dyszących wilgocią młak, lub swobodnie i dumnie, nie obawiając się człowieka, przed którym tak troskliwie były ochraniane, przebiegały szerokie przestrzenie doliny Świstowej, błądziły po skalnych progach doliny Kaczej i urwiskach Żabich Stawów Białczańskich. Sarny pasły się na cudownych, trawą niekoszoną porosłych, zwartą gęstwą starodrzewia otoczonych polankach doliny Szerokiej, czy Gałajdowej, a koziorożce wędrowały ostrożnymi szeregami po strzelistych turniach i wspaniałych stromych ścianach Murania i Hawrania. Niedźwiedzie znajdowały swe główne schronienie w dolinie Jaworowej, z której mateczników rozchodziły się jesienią w inne strony Tatr, a rysie czaiły się w praborach północnych zboczy Nowego, czy Szalonego Wierchu, czyhając na zdobycz.

Gdy okolice te przebiegałem przed laty jako turysta i geolog i poznawałem wszystkie ich tajniki, nie wiedziałem, co bardziej podziwiać: czy bogactwo jedynego w tym rodzaju i różnorodności zespołu wysokogórskiej zwierzyny, czy też wspaniałość krajobrazu. Bo nieporównaną jest piękność takiej doliny Międzyściany, o dnie pokrytym zielonym kobiercem bujnych

traw, o zboczach zwartych w jasnym pierścieniu pionowych, pełnych jaskiń wapiennych turni Murania, — lub zboczy północnych doliny Koperszadów, przepychem najpiękniejszych, nigdy nie koszonych kwiatów i łąk, okalających białe iglice i ściany Tatr Bielskich. Przed majestatem natury, chronioną umiejętną wolą człowieka, korzyła się tu w pełni ma dusza. Gdy zaś danem mi szczęśliwie było późną jesienią wznieść się w górę jedną z doskonale utrzymanych i poprowadzonych, ale wąskich i starannie w wądołach ukrytych myśliwskich ścieżek ku wdzięcznemu szczytowi Czerwonej Skałki, i przez dzikie lasy przedrzeć się stamtąd na wzniosły grzbiet Szerokiej Jaworzyńskiej, skąd nieporównany rozlega się widok na serce nietkniętego świata gór, a wreszcie zbiegnąć ku uroczej polance Tilly'ego, gdzie człowieka otacza, jak okiem zasięgnąć, ze wszech stron królestwo praboru i pierwotnej tatrzańskiej przyrody, — zrozumiałem i odczułem w pełni wielkość dzieła Hohenlohego!

Wtedy też zrodziła się we mnie myśl i głębokie przekonanie, że pracy Hohenlohego należy przypisać dla drugiej strony Tatr równą doniosłość i zasługę, jak dziełu Zamoyskiego dla Tatr Polskich.

Realizacja parku myśliwskiego w Tatrach, pociągnęła za sobą ograniczenie ruchu turystycznego na obszarze Jaworzyny, które było źródłem wielu nieporozumień i rozgoryczenia naszego turystycznego świata w stosunku do ks. Hohenlohego. Zamknięcie bocznych dolin, rozgałęzionych od doliny Jaworowej i Białej Wody, utrudniające dostęp na szereg wspaniałych szczytów Tatr ze strony północnej, przez nas tak łatwo osiągalnej, przypisywano fantazji i zachciankom magnackim, a nawet hakatystycznemu rozpędowi Hohenlohego. Nic nad to mniemanie niesłuszniejszego! Ks. Hohenlohe, jak sam to wielokroć zapewniał i jak o tem świadczy szereg faktów, chcąc stworzyć park dla zwierzyny górskiej na wyniszczonym ze zwierząt i zaniedbanym terenie, jaki zakupił w dobrach Jaworzyńskich, był zmuszonym początkowo zamknąć niemal całkowicie większe obszary Tatr dla ruchu turystycznego, gdyż ruch ten rósł i potężniał z roku na rok, a mały tylko wśród niego ułamek stanowiły prawdziwie kulturalne i umiejące uszanować dziką przyrodę jednostki. Gdy jednak z wielkim wysiłkiem i nakładem materjalnym udało się Hohenlohemu utrzymać, ochronić i rozmnożyć zwierzynę i dopuszczanie ruchu turystycznego, nawet masowego, nie groziło już zniszczeniem całego dzieła, otwierał kolejno Hohenlohe poszczególne główne przejścia dla tego ruchu. Po przejściu przez dolinę Białej Wody i Świstową na Polski Grzebień, został otwarty bez żadnych ograniczeń szlak przez Koperszady i Przełęcz Pod Kopą, potem przez dolinę Jaworową i Przełęcz Lodową, a ostatnio przez dolinę Kaczą i Przełęcz Że-





Morskie Oko i przyroda rezerwatu Wł. Zamoyskłego w Tatrach.

*Fot. J. Oppenheim.*

Lasy rezerwatów tatrzańskich hr. Wł. Zamoyskiego i ks. Ch. Hohenlohego nad rzeką graniczną Białką.

*Fot. J. Małachowski*

laznych Wrót. Nadto w miarę ujęcia w karby turystycznego ruchu wydał ks. Hohenlohe ciche polecenie swym strażnikom, aby turystom, udającym się w niewielkich grupkach nawet w zakazane obszary, a zachowującym się pod każdym względem odpowiednio, nie czyniono żadnych przeszkód. Dzięki temu już w ostatnich latach przedwojennych chodzili wytrawniejsi i znający teren turyści po wszystkich „zakazanych“ dolinach i ścianach i kolejno padały jedne po drugich najcięższe „problemy“ tatrzańskie w zabronionych okolicach, rozwiązywane przez polskich taterników. Z jakąż to jednak ostrożnością i jakiem nabożeństwem w duszy wkraczał każdy z tych taterników do świątyni Hohenlohego, w której królował dziki zwierz!

Że pobudki, które kierowały Hohenlohem w jego dążeniu, były czysto ideowe (oczywiście z zabarwieniem wielkiej myśliwskiej pasji), na to dowodów znajdzie się wiele. Jednym jednak z najbardziej charakterystycznych było postąpienie tego niezwykłego człowieka przed laty po południowej stronie Tatr, w Hagach. Kiedy miano tam wznieść myśliwski pałacyk na pięknem miejscu, obranem przez właściciela, a okazało się po bliższem zbadaniu, że dla tej budowy trzeba będzie zwalić pewną ilość wspaniałych rosnących tam modrzewi, Hohenlohe od budowy odstąpił w myśl zasady, że cenniejszem jest wielkie dzieło przyrody, uosobione w takich prastarych drzewach, aniżeli wygoda człowieka!

Jeśli zaś sędziwy ks. Hohenlohe obchodził w ostatnim roku jubileusz zastrzelenia tysięcznej kozicy, to wszyscy miłośnicy dzikiej przyrody tatrzańskiej nie tylko nie mieli nic przeciwko temu, ale łączyli się w życzeniach, aby jubilatowi danem było powiększać jeszcze jak najdłużej tę cyfrę. Tej bowiem liczbie kozic, odstrzelonych według ścisłych reguł myśliwskich z liczby sztuk dla utrzymania zwierzyny zbytecznych lub wręcz szkodliwych, odpowiada liczba szeregu tysięcy kozic, ochronionych i wyhodowanych niemal przez Hohenlohego.

Jeżeli też istnieje wogóle w Tatrach zwierzyna górska, stanowiąca tak niezrównaną tych gór ozdobę, to jest to w lwiej części zasługą ks. Hohenlohego. Gdyby nie jego zwierzyniec i jego dlugoletni wysiłek w ochronie lasów, hal i zwierzyny, okolice Jaworzyny przedstawiałyby prawdopodobnie dzisiaj obraz Tatr Polskich, gdzie kłusownictwo i masowy napór ludzki wyniszczyły i wypłoszyły zupełnie zwierzynę i gdzie widok kozicy należy dzisiaj już do wielkich rzadkości i to mimo wszelkich wysiłków zarządu dóbr Zakopane, aby temu zapobiec. Gdyby też nie zwierzyniec Hohenlohego, zabrakłoby w Tatrach tego rezerwoaru górskiej zwierzyny, jakim była i jest dzisiaj Jaworzyna dla całych Tatr.

Wielkość dzieła Hohenlohego najlepiej można ogarnąć, stojąc na

ganku zameczku myśliwskiego w Jaworzynie. Z zameczku tego, kryjącego w sobie najznakomitsze zbiory zoologiczne i myśliwskie, jedyną w swoim rodzaju kolekcję zwierzyny tatrzańskiej w ogromnej ilości i najwspanialszych okazach, roztacza się widok jedyny w swoim rodzaju. Z pod stóp drewnianego, szlachetnego w swej prostocie domu, opada lekko w dół przepyszna ogromna łąka o najżywszej halnej zieleni. W obramieniu drzew, okalającem łąkę, bieli się w dali maleńki kościółek Jaworzyny, jedyne widome z zameczku dzieło rąk ludzkich. A ponad ten kościółek wznosi się w niebo gmach granitowych olbrzymów tatrzańskich z majestatycznym trzonem Szerokiej Jaworzyńskiej i królującą wspaniałą kopułą Lodowego. Obok nich wystrzela potężna, pionowa ściana Murania o kształcie przechylonej białej czapy, spoczywającej na podłożu kosówek i smreków i kamienny grzebień krzesanych skał Nowego, — wszystko zaś tonie w jasnej zieleni podniebnych hal i w ciemnem morzu nietkniętych borów tatrzańskich, które ze szczytów i hal spływają nieprzejrzaną falą ku zameczkowi. Człowiek stoi tu w obliczu olbrzymiego obszaru czystej, nietkniętej, pierwotnej przyrody jedynego wysokogórskiego gniazda w Europie Środkowej. Zagłębiając się w ten widok, szukając wzrokiem kozic, stale błądzących pod ścianą Murania, przebiegając myślą wielkie etapy niezmierzonego wysiłku, poświęconego temu dziełu, zrozumie gość zameczku jaworzyńskiego, że praca człowieka, poświęcona ochronie przyrody może się wznieść na wyżyny twórcze. Gdyż park natury Jaworzyny Spiskiej jest niewątpliwie dziełem twórczego ducha ludzkiego w takiej samej mierze, jak wielkie dzieła nauki, sztuki, polityki, czy innych działów kulturalnego dorobku ludzkości.

To też głębokie wrażenie przenikało członków konferencji zakopiańskiej, gdy po ukończonych obradach, przepięknego jesiennego popołudnia, spoczęli na ganku jaworzyńskiego zamku pod nieprzemożonym urokiem roztaczającego się stamtąd widoku tatrzańskiego. A z wrażenia tego wynikła i połączyła się z niem myśl, że naruszenie Parku Jaworzyńskiego byłoby taką samą zbrodnią, jak zniszczenie jakiegokolwiek dzieła twórczego ducha ludzkiego!

Opierając się na doświadczeniach, poczynionych w sprawie ochrony zwierzyny górskiej na obszarach rządowych i Jaworzyny, wystąpiła delegacja czeskosłowacka na obradach zakopiańskich z projektem zaprowadzenia w niektórych obszarach Tatr czeskosłowackich a b s o l u t n y c h r e z e r w a t ó w d l a z w i e r z y n y, a przedewszystkiem kozic.

Motywy, któremi kierowała się delegacja czeskosłowacka w swych projektach, były tak natury teoretycznej, jak praktycznej. Pod względem

teoretycznym opierały się plany te na dokładnem naukowem opracowaniu terenów rządowych przez wybitnych zoologów czeskich, którzy po paroletniem badaniu życia zwierząt, a przedewszystkiem kozic i to tak w lecie, jak w zimie (miejsca przezimowania) doszli do wniosku, że dla utrzymania kozicy po południowej stronie Tatr, niezbędnem jest zapewnienie jej zupełnej swobody rozwoju na pewnych ochronnych terenach. Do tych samych wniosków doszli z punktu widzenia praktycznego łowcy i leśnicy, a to drogą długoletniej obserwacji i doświadczenia.

Wniosek więc delegacji czeskosłowackiej szedł w tym kierunku, aby na dwu dokładnie określonych terenach: zboczach Krywania od dolnej części doliny Niewcyrki i górnej części doliny Złomisk, utworzyć na pewien przeciąg lat (na razie 10), strzeżone rejony ścisłej ochrony zwierzyny górskiej z daleko idącem ograniczeniem ruchu turystycznego. Ruch ten ograniczyćby się musiał do wycieczek indywidualnych o małej ilości osób, wpuszczanych do obszaru ścisłego rezerwatu na podstawie specjalnych legitymacji. Po upływie określonego czasu i utrwaleniu się ostatecznem zwierzyny na danym rejonie, obszar ścisłej ochrony zostałby przeniesiony w inne strony.

Ze strony polskiej, uznając w zasadzie słuszność tych projektów, przedstawiono również wnioski na zaprowadzenie podobnych rezerwatów ścisłych na obszarze kotłów Litworowego i Mułowego, oraz górnej Świstówki w grupie Czerwonych Wierchów, a nadto partji Szczotów Wołoszyńskich i części doliny Waksmundzkiej.

Wnioski w całej tej sprawie wywołały ożywioną dyskusję. O ile sama sprawa Parku Narodowego napotkała w sferach turystycznych obu stron już zasadniczo przychylne przyjęcie, to we wprowadzeniu takich ścisłych rezerwatów z ograniczeniami turystycznego ruchu, część sfer turystycznych widziała zbyt daleko idące skrępowanie swobody człowieka w górach. Ale i w tej sprawie, ze względu na jej najpoważniejsze motywy, opozycja nie była zasadnicza. I tu nie podniosły się głosy opozycji przeciw projektom rezerwatów ścisłych polskich, jako położonych na obszarach turystycznie małego znaczenia, również projektowane czasowe zamknięcie północnego zbocza Krywania nie budzi większych obaw. Silne sprzeciwy zwróciły się jedynie przeciw projektowi zamknięcia górnej części doliny Złomisk, jako szczególnie dotkliwego dla turystycznego świata i sprzeciwy te wywołały też ze strony czeskosłowackich sfer ochrony przyrody oświadczenie, że projekt tego rezerwatu zostanie poddany rewizji, która jest już w toku.

Niewątpliwie też przy rozumnem, duchem dobrej woli i pojednawczości nacechowanem traktowaniu sprawy ze strony czynników z Tatrami w jaki-

kolwiek sposób związanych, da się w całej tej kwestji znaleść sposób wyjścia, godzący częściowo sprzeczne dążenia w myśl wyższych, a wspólnych wszystkim miłośnikom Tatr ideałów.

Nie w tem też leży istota całego ważnego zagadnienia, ale w odpowiedzi na pytanie, czy wogóle urządzanie takich ścisłych rezerwatów jest bezwzględną koniecznością dla Parku Narodowego. Zanim na pytanie to odpowiedzą dokładnie fachowcy, zoologowie i łowcy, którzy z obu stron sprawą tą się zajmują, a do których zwróciła się Polska Państwowa Komisja Ochrony Przyrody o odpowiednią ekspertyzę z zamiarem publicznego ogłoszenia jej wyników, pragnę tu dzisiaj podać kilka motywów, uzasadniających mojem zdaniem konieczność zaprowadzenia ścisłych rezerwatów dla zwierzyny w Tatrach.

Oto nie ulega wątpliwości, że Park Narodowy w Tatrach, o ile ma mieć jakiekolwiek znaczenie, musi zawierać możliwie bogatą faunę wysokogórską; park bez tej zwierzyny byłby wogóle nonsensem. Jak to tymczasem wykazują ścisłe fachowe badania tak teoretyczne, jak praktyczne na obszarze wszystkich gór alpejskiego typu, położonych w obszarach cywilizowanych i odwiedzanych masowo przez turystów, jedynym sposobem utrzymania zwierzyny jest tam zaprowadzenie pewnych ścisłych terenów ochronnych. Rezerwaty takie mają nietylko znaczenie jako tereny bezpośredniego zachowywania i kultywowania zwierzyny wszelkiego rodzaju na danym obszarze, ale jako rezerwoary fauny górskiej dla całej, dalekiej nieraz okolicy, po której zwierzyna rezerwatu się rozchodzi, aby w razie zbyt silnego prześladowania znowu do obszaru ochronnego się schronić. Dlatego też rezerwaty takie, częściowo myśliwskiego, częściowo parkowego typu, istnieją w wielu miejscach w Alpach, a w Ameryce Północnej są one najistotniejszą, obok lasów, częścią składową Parków Narodowych.

W Tatrach, gdzie obszar wysokogórski jest maleńki, a klimat ciężki i surowy, życie zwierząt górskich, w szczególności kozic wskutek tego znacznie trudniejsze do utrzymania, niż w Alpach [1]), pasterstwo halne niezmiernie silnie rozwinięte [2]), kłusownictwo niemożliwie rozpanoszone [3]), ruch

[1]) Dowodzą tego doświadczenia porównawcze, poczynione przez personal myśliwski ks. Hohenlohego nad utrzymaniem kozicy w Styryjskich Alpach i Tatrach.

[2]) Pasterstwo rozwinęło się szczególnie w czasie wojny w Tatrach tak nadmiernie, że, jak wykazały konferencje fachowe, odbyte w tej sprawie z zainteresowanymi czynnikami w lecie 1924 r. w Zakopanem, niektórym okolicom Tatr Polskich grozi wskutek paszenia zupełne ogołocenie z szaty roślinnej.

[3]) Jaskrawym tego obrazem jest fakt zabicia w r. 1923 na obszarze Jaworzyny dwóch strzelców ks. Hohenlohego przez kłusowników, przydybanych na bezczelnej kradzieży i mordowaniu kozic na otwartem polu w biały dzień.

turystyczny na małej przestrzeni olbrzymi [1]), a jego stopień kulturalny przeważnie nader niski [2]), zwierzyna jest tembardziej zagrożona. Stan jej też w ostatnich latach pogorszył się tak znacznie, że zarysowuje się dzisiaj już zupełnie wyraźnie możliwość całkowitego wyginięcia fauny tatrzańskiej, a to tak po stronie polskiej, gdzie zwierzyna istnieje tylko w drobnych szczątkach [3]), jak nawet po stronie czeskosłowackiej, na skutek ogromnego zniszczenia parku myśliwskiego ks. Hohenlohego [4]). Jeżeli więc w górach tatrzańskich wskutek szczególnie trudnych warunków stosunki są tak złe, mimo nawet istnienia wzorowego rezerwatu i schroniska zwierzyny wysokogórskiej w postaci zwierzyńca ks. Hohenlohego, to konieczność utrzymania i polepszenia stanu tego zwierzyńca, oraz zaprowadzenia ścisłych rezerwatów dla fauny także gdzieindziej, tembardziej jest oczywistą.

W myśl też tych wywodów miłośnicy gór, a z nimi i ogół prawdziwych turystów — taterników z pewnością się zdecyduje na częściowe zamknięcie pewnych części Tatr, ci zaś, którzy są zwolennikami absolutnej wolności w górach, będą musieli złożyć małą ofiarę z tej swobody na ołtarzu wyższej sprawy, jaką jest założenie Parku Narodowego. A ofiara ta nie będzie istotnie bolesna i dotkliwa. Jeżeli zważymy, o jak małe w tej sprawie chodzi tereny w porównaniu do obszaru całych Tatr, że zamknięcie tych terenów będzie tylko czasowe i że wreszcie i do tych terenów będzie mógł na podstawie osobnego zezwolenia dostać się w czasie ich zamknięcia każdy turysta dający gwarancję odpowiedniego zachowania się, dojdziemy do wniosku, że sprawa jest prosta i jasna. Aby jednak nie wywoływała

[1]) Dla zdania sobie sprawy z rozmiarów naszego turystycznego ruchu wystarczy porównać mapę ścieżek turystycznych w Tatrach z mapą jakiegokolwiek analogicznego obszaru alpejskiego lub spojrzeć na Halę Gąsienicową i szlak Zakopane-Zawrat-Morskie Oko w pogodny letni dzień.

[2]) Wskazuje na to niesłychana ilość uszkodzeń i zniszczeń schronisk, altan urządzeń Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Tatrach przez niesforne bandy naszych pseudo-turystów, notowana w sprawozdaniach Pol. Tow. Tatrz. z ostatnich lat.

[3]) Jak dobrze to wiadomo taternikom i myśliwym, kozica utrzymuje się dzisiaj stale tylko w kilku egzemplarzach w najbardziej oddalonych dolinkach Tatr Polskich, jeleń pojawia się wyłącznie sporadycznie jako gość w lasach naszych, o ile umknie ze zwierzyńca ks. Hohenlohego, a nawet z ptactwa są Tatry Polskie zupełnie niemal ogołocone. Dowodem tego nader smutnego stanu rzeczy jest śmiertelna cisza, jaka panuje w lasach reglowych koło Zakopanego; jedynie w najmniej zwiedzanych i na uboczu leżących dolinkach rozlega się tu świergot ptaków.

[4]) Stan zwierząt w dobrach Jaworzyńskich zmniejszył się dzisiaj na skutek redukcji dozoru w latach wojennych, słabego żywienia i kłusownictwa do $^1/_3$—$^1/_4$ przedwojennego stanu, a w niektórych gatunkach zwierzyny nawet poniżej tej cyfry.

ona dalszej dyskusji i niepotrzebnych sporów, trzeba będzie dbać troskliwie, aby na rezerwaty ścisłe dla zwierzyny w Tatrach nie wybierać o ile możności terenów szczególnie turystycznie popularnych i stworzyć system możliwie nietrudnego wydawania uprawnień wstępu do tych rezerwatów.

Delegacja czeskosłowacka w osobach zasłużonych dla ochrony przyrody prof. K. Domina i kons. R. Maximovic'a, przedstawiła wreszcie na konferencjach zakopiańskich d o r o b e k  o g ó l n y  C z e c h o s ł o w a c j i  n a  p o l u  o c h r o n y  p r z y r o d y. Na podstawie przedstawionego w toku obrad materjału należy też stwierdzić, że organizacja czeskosłowacka ochrony przyrody, jakkolwiek młoda, zdziałała już wiele i to szczególnie w kierunku praktycznym tworzenia rezerwatów. Oparta o specjalny organ urzędowy, konserwatora ochrony przyrody, funkcjonującego przy Ministerstwie Oświaty, organizacja ta ma wszelkie widoki najpomyślniejszego rozwoju. Nie ulega też wątpliwości, że strona polska będzie musiała wytężyć wszelkie siły, aby w szlachetnym kulturalnym wyścigu na polu ochrony przyrody nadążyć pracy, rozwiniętej przez Czechosłowację. Wyścig ten jednak jest i będzie o najlepszym wyniku dla obu stron i dla samej sprawy!

**4. Korzyści z utworzenia Parku Narodowego.** Z dotychczasowego przedstawienia wynika jasno, że i s t n i e j e  j u ż  d o b r a  p o d b u d o w a  d l a  d z i e ł a  P a r k u  N a r o d o w e g o  w  T a t r a c h, obejmującego terytorja obu graniczących ze sobą państw. Droga też dalsza, którą tworzyć powinniśmy dla osiągnięcia naszego celu, zarysowuje się prosto: w toczących się rokowaniach polsko-czeskosłowackich zawrzeć ostatecznie konwencję turystyczną i umowę o utworzeniu Parku Narodowego w Tatrach, a w przyszłości umowy o dalszych parkach natury na naszem południowem górskiem pograniczu; wypracować i przeprowadzić przez ciała parlamentarne obu interesowanych państw ustawy wewnętrzne o Parku Narodowym, równocześnie przebudować i dostosować do sprawy parków pogranicznych natury całą organizację urzędową i społeczną ochrony przyrody w obu państwach; ostatecznie uzgodnić i ująć stosunek gospodarki turystycznej po obu stronach granicy do zagadnień parków przyrody; po wcieleniu w życie idei Parku Narodowego w Tatrach zdobyć środki na jego utrzymanie i rozbudowę, stworzyć sprawną wspólną administrację i należyty dozór parku.

Zadania te, tworzące program na przyszłość bliższą i dalszą, są olbrzymie, przeszkody na drodze do ich urzeczywistnienia, leżące w małości natur ludzkich i sprzeciwowi przeciw wzniosłej idei wszystkiego, co przyziemne i nikczemne, są ogromne. Mimo to jednak sprawa, poważnie

rozpoczęta i mająca oparcie w duchu czasu, ma widoki jej przeprowadzenia. W nadziei tej realizacji utrzymuje coraz liczniejszych pracowników na polu tatrzańskiego Parku Narodowego przekonanie, że metody, których się oni w dziele swym trzymają, są, jakkolwiek służą one celom ideowym, nawskróś rzeczowe. Przyświecają im tu wielkie wzory amerykańskie, najlepszym będące dowodem, jak urzeczywistniać można idee, zdawałoby się fantastyczne. Nikt też już dzisiaj, po przebytych wstępnych etapach drogi, wiodącej ku tym celom, nie może im zarzucić, że nie liczą się ściśle z realnym stanem rzeczy i w gonitwie za urojeniem bujają po obłokach nierzeczywistości, jako owe „romantyczne dziady", których mało piękną nazwą chrzczono do niedawna w pewnych sferach obóz t. zw. „ochraniarzy".

Śmiało też, krocząc tą spokojną i trzeźwą naszą drogą, możemy wskazać na wielki pożytek, jaki Park Narodowy przyniesie kulturze europejskiej i naszego narodu, oraz Tatrom.

Na pierwszy plan wysuwają się tu korzyści dla nauki. Nauka polska ma w Tatrach jedyny teren dla badań przyrodniczych i etnograficznych wysokogórskich i to obszar bezcenny, gdyż góry te są mimo maleńkiego ich obszaru rozwinięte wspaniale we wszystkich ich alpejskiego typu właściwościach. Niezmiernie interesującą jest przedewszystkiem ich budowa geologiczna, która od dziesiątków lat czyniła Tatry przedmiotem zainteresowania geologji europejskiej i ośrodkiem największego poza Alpami napięcia dyskusji o sposób powstania gór, szczególnie od czasów międzynarodowego kongresu geologicznego w r. 1903. Na obszarze Tatr rodziły się i dojrzewały wielkiego znaczenia teorje górotwórcze, a geologja polska miała i ma w tych górach jedyny na ziemiach polskich objekt prac i szkoły tektonicznej wysokogórskiej, zaś petrografja jedyne w swoim rodzaju do badania skały krystaliczne. Również doniosłą jest rola Tatr dla nauk botanicznych. Na obszarze Tatr Polskich wre od lat szeregu praca nad geografją roślin i mapami geobotanicznemi, oraz sposobem życia lasów górskich, a dla jednych i drugich badań szata roślinna tatrzańska jest jedyną w Polsce i nieocenioną podstawą. Dalej zoologja i łowiectwo znajdują w Tatrach wyłączny przedmiot badań nad zwierzyną wysokogórską na całym obszarze Europy Środkowej. Wreszcie dla badań etnograficznych, szczególnie w najciekawszym ich w górach przejawie: pasterstwie halnem, Tatry są jedynym w swoim rodzaju terenem. Bezcenne zbiory Muzeum Chałubińskiego w Zakopanem są tak w przyrodniczym jak w etnograficznym dziale najlepszym dowodem, jak niezmierne skarby dla nauki polskiej zawierają w sobie Tatry.

Jedynym trwałym sposobem zabezpieczenia tego jedynego w swoim rodzaju laboratorjum naukowego wysokogórskiego na obszarach ziem polskich, laboratorjum, którego bezcennej zawartości grożą wielkie niebezpieczeństwa ze strony różnorodnej spekulacji, jest zamiana Tatr na Park Narodowy. Przewidywany zaś wspólny, z uczonych i wybitnych działaczy obu stron składający się zarząd parku, będzie miał tu pole do najszlachetniejszej emulacji świata naukowego obu państw na polu opracowania naukowego Parku Narodowego i organizowania w porozumieniu ze sobą wspólnych prac naukowych wysokogórskich; niektóre z tych prac zarysowują się już w planach, jako niezwykle interesujące formy międzynarodowej współpracy intelektualnej.

Obok znaczenia naukowego Parku Narodowego, wielkiej wagi będzie też jego znaczenie ogólno-kulturalne. Jak niedopuszczalnem jest z punktu widzenia kultury światowej, aby narody, po obu stronach Tatr zamieszkujące, zatraciły niezmierne wartości, które na polu ochrony przyrody tatrzańskiej zdziałali wielcy ideowcy Zamoyski i Hohenlohe, tak świadectwem kultury tych narodów będzie rozwinięcie dzieła Zamoyskiego i Hohenlohego na cały obszar Tatr. Praca, zmierzająca w tym kierunku znajduje już i znajdzie zawsze wdzięczne echo w świecie kulturalnym europejskim i amerykańskim i będzie probierzem naszego stopnia cywilizacji.

Możemy być pewni, że gdy obok dzieła parków pogranicznych natury na granicy Stanów Zjednoczonych i Kanady, stanie na przyszłych międzynarodowych kongresach i wystawach dzieło pierwszego w Europie Parku Narodowego, obejmującego wspólne terytorja Polski i Czechosłowacji, dla obu naszych państw będzie to największą chlubą i propagandą kulturalną. Liga zaś Narodów, z której orzeczenia dzieło to wyrosło i której duchowi doskonale ono odpowiada, nie będzie mu z pewnością szczędzić poparcia i uznania.

Nieobliczalne też znaczenie mieć będzie Park Narodowy dla szerokiego turystycznego i taternickiego świata. Jeśli bowiem hasłem bojowem dla towarzystw turystycznych, działających na terenie tatrzańskim aż do początku bieżącego wieku było jaknajdalsze udostępnianie dzikich i zaniedbanych gór naszych, to w ostatnich dziesiątkach lat na pierwszy plan wysunęło się hasło utrzymania Tatr dla turystyki i ich pomnożenia [1]), — a jedno

---

[1]) Jest rzeczą niezmiernie znamienną i dla kierunku rozwojowego turystyki górskiej europejskiej charakterystyczną, że w tym samym czasie, gdy u nas Pol. Tow. Tatrz. w uchwałach swych z r. 1923 weszło na tę nową drogę, wkroczyło na nią też największe w Europie, bo ponad 200.000 członków liczące towarzystwo alpinistyczne, Deutsch- und Österreichischer Alpenverein. Jak czytamy w doskonałej książce

i drugie jest możliwe tylko przez ścisłą ochronę przyrody tatrzańskiej. Tylko też ulegalizowana i utrwalona przez Park Narodowy ochrona przyrody w całych Tatrach zdoła uchylić takie groźne niebezpieczeństwa dla taternictwa, jak projektowane i rozpoczęte w ostatnich latach wycięcie całego lasu w dolinie Suchej Wody aż w pobliże nowego schroniska na Hali Gąsienicowej, co schronisko to, chlubę naszych poczynań turystycznych, pozbawiłoby całego sensu jego istnienia, projektowana budowa kolejki linowej i obserwatorjum na szczycie Garłucha, projektowana budowa dróg jezdnych w szereg dolin południowego skłonu Tatr, rozpoczęte niszczenie lasów doliny Chochołowskiej i t. d. Nadto podstawowe znaczenie dla świata turystycznego obu stron będzie miało całkowite otwarcie całego obszaru Parku Narodowego wraz z podnóżem podtatrzańskiem dla ruchu turystów obu państw, niezależnie od przebiegającej przez Tatry granicy politycznej. Tylko we wspólnym granicznym Parku Narodowym leży zapewnienie takiego trwałego otwarcia całych Tatr, które w innego rodzaju umowach mogłoby podlegać rozmaitym wahaniom i zmiennościom.

Także utrzymanie lasów tatrzańskich, jako nieocenionego zbiornika wspaniałego powietrza górskiego, tej podstawy klimatycznej dla całego Podtatrza północnej i południowej strony, oraz czynnika, hamującego gwałtowne przybieranie wód w czasie powodzi na Podhalu, które w ostatnich latach tak srogo dały się tym okolicom we znaki, znajdzie swe całkowite zabezpieczenie tylko w urzeczywistnieniu Parku Narodowego. Zdrowym też instynktem kierowało się swego czasu Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, gdy w r. 1887 szukało ochrony przed grożącem wówczas zupełnem zniszczeniem lasów tatrzańskich w idei Parku Narodowego.

Każdy, kto patrzy nietylko w teraźniejszość, ale w przyszłość naszej turystyki i widzi niebezpieczeństwo, grożące jej wskutek gwałtownego wzrostu ruchu turystycznego i ciasnoty odpowiednich terenów, dojrzy nadto w idei Parków Narodowych na naszem pograniczu jedyny sposób pewnego i trwałego uchylenia tego niebezpieczeństwa. Wszak dla takiego masowego i żywiołowego ruchu turystycznego, jaki dzisiaj wlewa się w obszary Beskidu Zachodniego z Górnego Śląska, skąd spieszy co niedziela inteligencja pracu-

---

Enzenspergera „Bergsteigen" (Berlin 1924), Alpenverein uchwalił w latach 1922—1923 t. zw. „Richtlinien", w których zobowiązał swe wszystkie sekcje do usunięcia ze schronisk alpejskich wszelkiej gospodarki hotelowej, reklamy i t. d., jaknajdalszego ograniczenia budowy nowych schronisk, ścieżek, drogowskazów i t. d., uregulowania i ograniczenia wycieczek zbiorowych i masowych szkolnych w góry, zaprowadzenia terenów ochronnych przyrody alpejskiej i wogóle powrotu do s k r o m n e g o ż y c i a w g ó r a c h, jako rezerwoaru ideałów wzniosłości i prostoty.

jąca i robotnicy w góry, aby w nich zaczerpnąć powietrza i odświeżyć się w górskiej przyrodzie po fabrycznym znoju, — musimy zabezpieczyć tereny górskie w ich najlepszej, nieskażonej niczem szacie. Jedyną do tego celu wiodącą pewną drogą jest stworzenie wielkich rezerwatów w Beskidzie Zachodnim. Ten sam problem w nieco innej formie występuje i wymaga rozwiązania w Tatrach, a jedynem tem rozwiązaniem jest Park Narodowy.

Gdy wreszcie powrócimy do początku tych wywodów i przypomnimy sobie, jak teren Tatr Wschodnich był przedmiotem sporów politycznych o granicę w ciągu długich wieków i to niezależnie od tego, jakie państwa ze sobą wzdłuż Białki graniczyły, to niewątpliwie korzystnem nam się zda znalezienie takiego sposobu wyjścia, aby tym sporom położyć kres i jedno, terytorjalnie drobne, ale ideowo doniosłe i silnie zapalne ognisko granicznych sporów na naszych kresach zagasić.

A takiem rozwiązaniem sporu granicznego tatrzańskiego i to rozwiązaniem, przynoszącem korzyści obu stronom spierającym się, kulturalnie doniosłem i zaszczytnem będzie zamiana całych Tatr na wspólny Park Narodowy, w którym granica państwowa będzie istniała tylko formalnie, a cały obszar najcudowniejszych gór tej części Europy będzie służył ideowym potrzebom obu państw. Park stanie się też próbą możliwości utrzymania dobrych naszych kulturalnych stosunków z Czechosłowacją, która w razie pomyślnego udania się, będzie miała niewątpliwie poważne znaczenie dla naszego współżycia z tem państwem. W ten wreszcie sposób zakończy się też ostatecznie nietylko spór o Morskie Oko i Jaworzynę, które są wszak małemi tylko całych Tatr częściami, ale usunie się raz na zawsze możliwość takich zatargów na przyszłość.

Urzeczywistniając Park Narodowy tatrzański, stworzymy wspólnym wysiłkiem idealizmu Polski i Czechosłowacji, opartego o potężny idealizm Ameryki Północnej, po raz pierwszy w powojennej Europie sposób rozwiązania sporu granicznego i politycznego, w którym nie wygra ostatecznie żadna ze stron walczących, ale oba państwa porozumieją się, aby wygrała wielka idea Tatr, właściwy przedmiot długoletnich zatargów o granicę!

*Walery Goetel.*

# Po śnieżnej grani.

Spoczywając na ganku mej podleśnej sadyby, wygrzewam się na wiosennem słońcu i wsłuchuję się w rozhowor boru świerkowego i szum wezbranego roztopami Czarnego Potoku. I oto ze spływającemi od gór echami nadlatują wspomnienia przeżytych niedawno chwil, roztaczają się widziane obrazy, niezapomniane czarem baśniowym i grozą. A tak potężnie wryły się w pamięć, że jeszcze teraz stają w całej krasie słońca, śniegu, granatu dalekich gór, ciemnej zieleni lasów, błękitu, mgieł i nocy księżycowej i gwiezdnej.

Śnij się więc zimowa legendo.

Wczesnym kwietniowym rankiem wyruszyliśmy z Hali Gąsienicowej, kierując się Doliną Stawów Gąsienicowych pod Przełęcz Świnicką. Kotliny i północne stoki zawalone były jeszcze głębokim śniegiem, tylko na południowych uboczach widniały gdzieniegdzie zrudziałe łysiny. Po graniach snuły się senne mgły, grożące przy panującej ciepłocie wiosennym deszczykiem. Wogóle warunki do wyprawy nie były najlepsze, w milczeniu więc posuwaliśmy się po twardym śniegu w stronę Suchej Przełęczy. Zatoczywszy u stóp Beskidu duży łuk, zwróciliśmy się ku Świnicy. Mgły podniosły się nieco i odsłoniły cel naszej wędrówki: Świnicką grań. Wydała się nam stokroć piękniejszą, ale zarazem groźniejszą i niedostępniejszą niż latem.

Mijając Zielony Staw oglądaliśmy stare lawiny, jakie zleciały ze żlebów i ścian Pośredniej i Skrajnej Turni. Mimowoli wzrok nasz pobiegł na olbrzymie strome i u dołu podcięte spady śnieżne z pod Świnickiej Przełęczy, którędy wkrótce mieliśmy się wspinać.

Staliśmy w kotle Świnickim. Przed nami piętrzyło się szeroko rozsiadłe a podniebnych wyżyn sięgające cielsko skalne Świnicy. Potężna jej północna ściana spadała do naszych stóp kaskadami śnieżnych krzesanic i urwisk, strugami zawrotnych żlebów, falami grzęd i nawisów — — — Boski majestat, groza i piękno!

Tak musiały wyglądać pierwsze formy ziemi, wydźwignięte z chaosu wszechmocarnem skinieniem Stwórcy...

W miarę jak wznosiliśmy się ku przytulonemu do skał schronisku pod przełęczą, nachylenie stoku wzrastało coraz bardziej. Twardy na powierzchni śnieg zmuszał do żmudnego wbijania lub wyrębywania stopni. Głębiej jednak dobierał się czekan do śniegu suchego i sypkiego, w którym grzęzły stopy. Warunki tedy dla lawiny przy coraz bardziej psującej się pogodzie, stawały się coraz bardziej dogodne. Posuwaliśmy się tedy w kilkudzie-

sięciumetrowych odstępach, aż coraz twardszy śnieg i podcięte skały pod stopami nakazały wreszcie zwrócić uwagę na bliższe niebezpieczeństwo. Związaliśmy się tedy liną i ubezpieczali się już dalej z za czekana. Wreszcie zamajaczyła przez mgły zasypana do połowy budka na cyplu skalnym. Stanąwszy przed nią, odpoczęliśmy chwilę. Wokół przewalały się leniwo mgły, z pobliskiej przełęczy dolatywały już chłodne podmuchy. Wziąwszy się za budką zaraz w prawo do góry, wyszliśmy wkrótce na grań, przerąbawszy sobie drogę przez nawis.

Rozejrzałem się po niewidzianym stąd dawno już świecie, na szczęście od południa nie zakrytym. Stary gazda-Krzywań siedział jak i dawniej na uboczu za Hrubym i drzemał, zwiesiwszy na piersi osiwiały łeb z garbatym nosem, a wokół niego nieprzejrzane stado wirchów i kop wystawiających niby owce swe białe grzbiety do słońca.

Na niższym wierzchołku Świnicy, który łatwo dosięgnęliśmy, urządziliśmy sobie dobrze zasłużony godzinny odpoczynek. Rozesławszy na śniegu płaszcze, wyciągnęliśmy się na nich i posilając nadwątlałe siły, cieszyliśmy się coraz piękniejszą pogodą. Od okolicznych śniegów bił oślepiający blask, musieliśmy więc wdziać okulary przydymione. Leżąc, wpatrywaliśmy się w czekającą nas drogę... Grań obiecywała różne i niemałe rozkosze zimowe, ale niemniej już stąd poznaliśmy, że ciężka nas czeka praca i znój, zwłaszcza od Gąsienicowej ku Niebieskiej Turni. Ośnieżenie grani było wprost olbrzymie. Więcej śniegu na tak ostrym grzbiecie czyto w postaci koni śnieżnych, czap, czy nawisów nie może się chyba zmieścić, niż to było obecnie. Przypomniałem sobie, że za mej ostatniej tu bytności zimą, śniegu było znacznie mniej. No, ale tem klasyczniejsza będzie przeprawa, większy tryumf i zadowolenie... Po należytym odpoczynku spakowaliśmy plecaki, obejrzeliśmy liny i węzły i chwyciwszy mocno w garść czekany ruszyliśmy po śnieżne grani....

Na samym wstępie zaraz, jakby dla wypróbowania swych przeciwników, spiętrzyła nam grań niemało trudności. Konie skalne i uskoki zawalone były takiemi zwałami śniegu, że chcąc się dobrać do skały, lub twardszego podłoża, musieliśmy niejednokrotnie nurzać się po pas w nawianym puchu. Pod ciężarem ciała załamywały się grzebienie śnieżne, a zwieszone zdradnie nad bezdnią nawisy, groziły oberwaniem się za lada stąpnięciem. Na dobitek stopniały południowem słońcem lód nie spajał jak dotychczas głazów, które też raz po raz wymykały się z pod stopy. Od ścian Kościelca dolatywał też co chwilę stłumiony grzmot walących się odłamów skalnych... Na głównym wierzchołku Świnicy zatrzymaliśmy się tylko na chwilę. Trjangulacyjny znak otulony był jakby najmisterniejszą koronkową szatą, zwie-

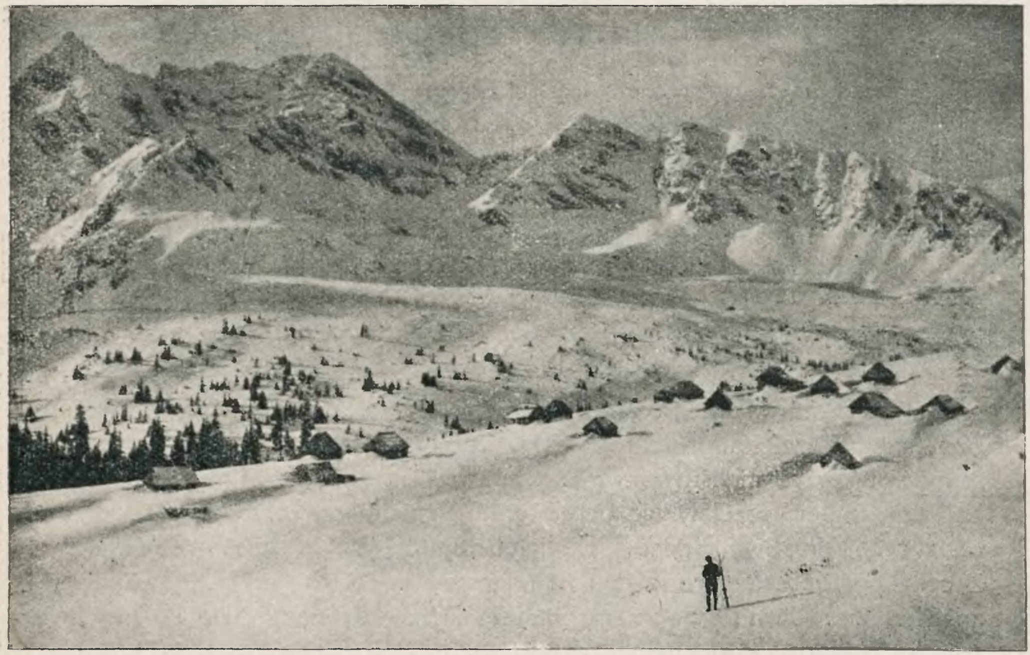
szającą się fałdziście od szczytu na drewniane poprzeczki niby ramiona i ścielącą się jeszcze suto po śniegu. Strojny był dziś ów skromny zazwyczaj graniczny strażnik...

Do Gąsienicowej Turni szło się prędzej, bo trudności nie było prawie żadnych. Mało rzeźbiona grań, dobrze przykryte twardniejącym popołudniu stopniowo śniegiem, pozwalała na pewne stawianie kroków, łatwe ubezpieczenie z za wbitego czekana i marsz bez użycia rąk. Pogoda też robiła się coraz piękniejsza, a zimowa przyroda jakby dla wynagrodzenia naszych trudów zaczęła roztaczać przed oczyma naszemi cudowne obrazy i zjawy. Nad Podhalem rozlało się naprzód bezkresne i sfalowane a zastygłe morze mgieł, z którego wynurzały się góry śnieżną krawędzią jakiegoś bajecznego podbiegunowego lądu.

Po południowej stronie rozgrywało się tymczasem tytaniczne swym rozmiarem i przebiegiem i niewidziane przezemnie dotychczas widowisko. O ile nad Podhalem panował martwy spokój, o tyle nad doliną Wagu mgły kłębiły się nieustannie. W pewnym momencie ułożyły się one i tu w burzące się morze, które zatopiło nawet olbrzymie gniazdo Wielkiej Kopy Koprowej. Aliści wkrótce przewalające się fale, rozkołysane smagającym je snać coraz mocniej wiatrem, zaczęły wzbierać, rosnąć, jakby gotować się do jakiegoś wściekłego szturmu na sterczącą dumnie ku słońcu naszą śnieżną grań — aż wreszcie chcąc widać tem straszliwiej uderzyć, zlały się wszystkie razem w niebotyczną, pionową falę, która wezbrawszy w mgnieniu oka, przerosła wielokrotnie najwyższe szczyty i wierchy.... I runęła na nas.... Mimowoli przystanęliśmy i wbili czekany głęboko.... Chlusnęły na nas bałwany mgieł, przelały się przez grań i zniknęły w chłodnej, zacienionej otchłani kotła Świnickiego. Obejrzeliśmy się za siebie.... O dziwo! Z całej powodzi, z potopu jaki nam groził, ze ściany mgieł niebosiężnej — ani śladu... Jasna i pogodna, a bezśnieżna, uśmiecha się do nas przez szeroką bramę górską dolina Wagu, wierchy Kopy Koprowej i Zachodnich Tatr błyszczą w słońcu, ciepły granat urwisk Krywania i Hrubego pieści oko.... Staliśmy jeszcze chwilkę zadumani i zdjęci podziwem nad bezmiarem piękna zimy... poczem ruszyliśmy dalej naszym podniebnym, słonecznym szlakiem ku tajemniczemu Przeznaczeniu, które czekało na nas hen daleko na kresach śnieżnej grani... Czekała na nas dziewicza jeszcze w swej zimowej szacie Niebieska Turnia. Ku niej biegły nasze myśli, ku niej biły nasze serca, ku niej wyciągały się nasze ręce, przerębujące czekanami drogę w nawisach i oblodzonych ścianach, ku niej niosły nas stopy przez kopne zaspy.

Od Gąsienicowej Turni weszliśmy na szlak nietknięty nogą ludzką

w zimie. I nie dziw! Trudności skalne i śnieżne czynią tę grań znacznie niedostępniejszą niż w lecie. Do tego grubsze ubranie, krępujące swobodę ruchów, rękawice podwójne nie pozwalające na pewne chwyty, czekan, raki — wszystko to zaczęło zawadzać przy przechodzeniu coraz to ostrzejszej grani. Tempo też marszu znowu zwolniało. A tu słońce przetoczyło się już przez większą część swej dziennej drogi i skłaniać się poczęło ku zachodowi... Przesłoniły się rozpylą świetlną góry od zachodniej strony, w głęboko zaś u stóp naszych rozwierających się dolinach zaczęły nieznacznie ale nieustannie rozpościerać się cienie... Raz po razu któryś z nas



Kościelec, Świnica, Pośrednia i Skrajnia Turnia.

spozierał poza siebie na słońce, a potem na dzielącą nas od Niebieskiej Turni przestrzeń. Grań tymczasem w miarę jak zbliżaliśmy się do celu, stawała się coraz trudniejszą. Zasypane cienką stosunkowo pokrywą śniegu konie skalne i uskoki nie pozwalały często na pokonanie ich zejściem. Wymagałoby to bowiem, dla wyszukania chwytów, odkopania całej turni z pod śniegu. Śnieg zaś leżący na ścianie nie dawał żadnego oparcia dla stopy. Nie było rady, tylko trzeba było w takich razach zjeżdżać na zaczepionej o cypel linie. To znów poziomy koń, ostry i skrzesany gładko na

obie strony, unosił na swym grzbiecie nawis, który trzeba było do cna zrąbać, nim się dosiadło takiego rumaka. O omijaniu turniczek i uskoków nie było i mowy. Wszystkie wzięliśmy „na ostrzu“. Swoją drogą, taka dopiero wędrówka daje pojęcie o „graniówce“ zimowej. Wrażenie otchłanności spotęgowane jest znacznie gładkością okutanych białym całunem ścian, których rzeźba ginie pod nim zupełnie. Wzrok opierający się w lecie na byle skałce, cyplu, ześlizguje się teraz po zawrotnych stromiznach, leci w bezdenne głębie, nie miarkuje gdzie już dno doliny, myli się ustawicznie w ocenie odległości... Naokół zaś najzupełniejszy spokój... Żaden odgłos życia nie dolatuje tu jak w lecie, martwej ciszy nie mąci ni poszum potoków, ni dzwonki owiec, ni brutalne hałasy intruzów. Wspaniałe uczucie osamotnienia wśród tej białej pustyni napawa ducha jakąś dziką, pierwotną rozkoszą. Sami, zdani tylko na siebie, nie żądający, ani nie mogący nawet żądać żadnej pomocy od świata, gdzie zresztą nie wiedzą nawet o celu naszej wędrówki...

Stanęliśmy u stóp Niebieskiej Turni. Było jeszcze pół godziny dnia. Bez zwłoki zaatakowałem stromą ścianę śnieżną, która miała mię już wywieść na szczyt. Ostatnie „zamki“ były jednak niemniej trudne. Strome upłazki trawiaste, po których latem bez trudu się schodzi, pokryte teraz rozmiękłym śniegiem odepchnęły mię zrazu... Nogi oślizgiwały się bezradnie, nie znajdując spodem żadnego oparcia, ręce na próżno szukały na gładkich płytach uskoku jakiegoś chwytu. Na dobitek niebezpieczeństwo lawiny było nader wielkie, gdyż miękki śnieg groził lada chwila zjechaniem po trawkach pod nim leżących. Ufając jednak wyśmienitemu ubezpieczeniu przypuściłem zdecydowany atak trzymając się krawędzi śniegu i wyzyskując szczeliny przyskalne. Tonąc chwilami po piersi w śniegu, zapadając się w zdradne szczeliny znajdowałem jednak krok za krokiem jakieś oparcia dla stóp; pomagałem sobie przytem czekanem, kładąc go poziomo na śniegu, lub wbijając go dzióbem w odkopane trawki. Tak dotarłem do charakterystycznego „okienka“ w grani. Stąd, trzymając się znów jej ostrza, jeszcze parę trudnych chwytów i oto staję już na długiej grani szczytowej, pokrytej grubo śniegiem... Promienie zachodzącego słońca zastały mię już na szczycie.... Za chwilę stali koło mnie Marek i Adam... Spojrzeliśmy sobie radośnie i z dumą w oczy, przebiegliśmy jeszcze raz wzrokiem po ostro rysującej się teraz grani i niezwłocznie ruszyliśmy dalej, by w ostatnich jeszcze blaskach gasnącego dnia zorjentować się w trudnym problemie zejścia na Niebieską Przełęcz...

Stojąc na znanym tak dobrze z lata „ganeczku“ u szczytu południowej ściany, utworzonym przez poziomą prawie załupę, odwiązywałem się

z dłuższej 25 m. liny, którą mieliśmy zamiar użyć do zjazdu. W chwilę potem zwisała już obu końcami w mrocznym kominku, mającym ujście na płaśni w połowie ściany. Jako blok do zaczepienia posłużył wielokrotnie do zjazdów w lecie używany cypelek, obrobiony nawet cokolwiek do tego celu uderzeniami kamienia.

Pierwszy zjechał Adek ubezpieczony przezemnie z góry drugą 15 m. liną. Stanąwszy na płaśni śnieżnej odwiązał się, poczem lina wciągnięta do nas z powrotem, połączyła mię z Markiem. W ten sposób nikt nie zjeżdżał bez ubezpieczenia.

Zimny wiatr, jaki po zachodzie słońca się zerwał, mroził nas niewymownie tem bardziej, że od ciągłego brnięcia w śniegu byliśmy do połowy przemoczeni. Również kostniały nam ręce, odziane w przemoczone rękawice. Gdy zjechał już i Marek i przyszła kolej na mnie, było już całkiem ciemno. W obawie aby lina się nie zacięła, podłożyłem pod nią chustkę do nosa, poczem, zdjąwszy rękawice, by móc pewniej chwycić linę, zjechałem do mych towarzyszów. Próbuję ściągnąć linę — nie idzie. Ciągnę za drugi koniec — to samo. Usiłuję przerzucić ją — bezskutecznie.... Ładna historja! Tego tylko brakowało. Ciągniemy kolejno za każdy koniec we trzech — ani drgnie. Albo się mimo chustki zacięła, albo przymarzła... Zimno bowiem robi się coraz przenikliwsze... Usiłujemy jeszcze przez jakiś czas odebrać turni naszą starą towarzyszkę — ale nadaremnie. O wychodzeniu z powrotem w tych warunkach ani mowy! Niema rady, ani czasu do stracenia, więc z bolem serca dobywam scyzoryka, podchodzę parę kroków i tnę zwisające końce liny. Żegnaj stara drużko, towarzyszko tylu wypraw... Może to zresztą i lepiej, że się tu ostaniesz, zamiast odmówić posłuszeństwa w krytyczniejszem jeszcze położeniu!... Odcięte końce związane razem liczą około 8 m. długości. Trochę trudno będzie zjechać na tem do przełączki, ale jakoś to się zrobi! Na razie trzeba obmyślać dalszy plan boju. Schodzimy do dużego bloku asekuracyjnego po stromej płaśni śnieżnej. Szukam haka wbitego w półeczkę skalną. Ani śladu! Przykryty widać lodem. Ano trudno! Wszystko się przeciw nam spiknęło. Przywiązuję „linę zjazdową“ do bloku i spuszczam ją (oczywiście pojedynczo) ku pęknięciu dolnemu... Czy jej tam wystarczy — licho wie, pierwszy kto będzie zjeżdżał, zbada. Jedzie Adek... „Trzymać! Koniec liny, a załupy jeszcze niema“ — dolatuje mnie z głębi. „Psia....“ — „Spuść mnie na załupę“ — komenderuje Adek. Popuszczam zwolna liny. „Dość! Stoję na załupie. Liny brakuje najwyżej pół metra“ — leci z dołu wiadomość. No, mogło być gorzej. Powtarza się historja jak u góry. Adek się odwiązuje, ja wiążę się z Markiem, który podobnie zjeżdża, a częściowo zostaje spuszczony. „To dobrze —

myślę sobie tymczasem — ale jak ja się do nich dostanę?“ Jakiejś żywej drabiny przy takich warunkach asekuracji nie można chyba ryzykować. Wtem doskonały pomysł przychodzi mi do głowy. Wciągam do siebie „linę zjazdową“ i robię na jej końcu pętlę, przez którą odwiązawszy się na chwilę przewlekam linę asekuracyjną. Mam tedy zapewnione ubezpieczenie z dołu przez pętlę i zjazd aż do przełączki. Praktyczność tego pomysłu okazała się wkrótce. Zjechaliśmy już bowiem bez przeszkód wszyscy aż do stóp turni. Zajęci w ostatnich godzinach mozolną wędrówką po grani, zdobywaniem Niebieskiej a potem zjazdem z niej, nie pomyśleliśmy o głodzie, który teraz, gdy jak nam się zdawało, wszystkie większe trudności były już za nami, zaczął dokuczliwie dawać się nam we znaki. Jęliśmy go więc zaspakajać a raczej oszukiwać na razie olbrzymiemi ilościami czekolady, obiecując sobie długi odpoczynek i „kolację“ dopiero na Zawracie.... Na razie zaś staliśmy na śnieżnej płaśni przełączki, przytuleni do zimnej turni, osłaniającej nas od wichru, który szlakiem zorzy wieczornej przybył jak co noc ze swych białych zamków lodowych. Ukryci w cieniu słuchaliśmy pieśni wichru wpatrzeni w gwiaździste niebo nad nami, po którem żeglował nikły jeszcze sierp księżyca... Słuchaliśmy tej odwiecznej pieśni, zwolna w serca nasze sączyć się jęła rzewność jakaś i żal za temi czarownemi chwilami, któreśmy przeżyli a które już minęły...

Przejmujące zimno ocknęło nas z zadumy... Wiatr ciął nas ostremi podmuchami... Opuściliśmy tedy naszą kryjówkę i związawszy się pozostałą 15 m. liną ruszyliśmy w dalszą drogę... Zaprawdę była to jedyna w swym rodzaju wędrówka tatrzańska! Mroki nocy rozjaśniał nieco tylko wschodzący księżyc... W jego poświacie widniała wysoko nad nami potężna Zawratowa Turnia. Spadała bystro od niej ku Niebieskiej Przełęczy ostra, u dołu uskokami poprzerywana i płytami opancerzona grań, ku dolinie Stawów Gąsienicowych srebrzyły się do miesiąca lodem i śniegiem okutane skrzyżale, przygniatające swym niesamowitym ogromem i zawrotną przepaścistością... Tą właśnie granią, zwieszoną nad owe bielejące otchłanie, niby przez bajeczny most Mahometa, wiodła nasza droga. Na samym początku mieliśmy do przełamania największe zapory. Cienką warstwą śniegu przykryte dolne płyty ostatniego uskoku odpierały zrazu nasze wszelkie zdobywcze usiłowania, póki rozgrzani ruchem nie przypuściliśmy rozpaczliwego szturmu. Spychając z nich czekanami całe masy śniegu, macając w mroku rękami po skale, zdobywaliśmy z mozołem stopnie i chwyty. Wszystkie zmysły wytężyły swą sprawność. Wzrok zdawał się przebijać ciemności, wynajdywał ukryte listwy i szpary, przemykał się po czerniejącem na tle wyiskrzonego nieba ostrzu grani. Ręce pracowały za oczy i za

siebie. Wciskały się w czarne głębie szczelin i załomów, odgrzebywały z pod śniegu ukryte dla oka chwyty, a gdzie nie mogły sięgnąć, tam wysuwały czekan, który wówczas niby wydłużone ramię sondował grubość śniegu, podpierał lub chwytał za szreń lub skałę swym krzywym stalowym pazurem...

Z godzinę tak poraliśmy się z granią, nie zaniedbując przytem kardynalnej reguły ubezpieczenia, by z trójki posuwał się zawsze tylko jeden.



Świnica

Przy bardzo małych odstępach, w jakich byliśmy uwiązani, pochód musiał być oczywiście niesłychanie powolny! Nie spieszyliśmy się już jednak, bo przedewszystkiem „mieliśmy czas", jak z humorem twierdził Marek, a powtóre nocna taka wędrówka, zimą, przy księżycu piękną granią, miała w sobie tyle uroku, że radzibyśmy ją byli przedłużyć w nieskończoność...

Stroma i ostra część grani skończyła się wreszcie i do szczytu doprowadził nas już łagodny, lekko wznoszący się śnieżny grzbiet — — — —

Cały świat dokoła jaśniał przesubtelną poświatą, która wypełniała głębokie kruże dolin i przelewając się przez ich poszczerbione brzegi lśniła się

po szczytach i przełęczach. Tylko Niebieska Turnia, pogrążona w cieniu, straszyła nas teraz swym czarnym, pochylonym ku przepaści łbem i parą płatów śniegu, co niby martwe, zbielałe źrenice spozierały ku nam z mrocznej twarzy potwora... Bez obawy jednak patrzyliśmy na tę zjawę... Wszak niedawno temu deptaliśmy jej siwy łeb... Nie była już dla nas groźna!

Spojrzeliśmy ku naszej dalekiej grani. Widzieliśmy ją teraz znowu, ale jakże inną! Nie była to już owa bliska, a w potokach oślepiającego światła złocąca się śnieżna grań... Przed nami sunął teraz w oddali korowód majestatycznych jakichś mar, w miesięczne blaski odzianych turni i szczytów ze Świnicą niby królową czy wróżką na czele...

Sunie ten orszak zwolna... sunie cicho jak sen.... ucieka od nas daleko... daleko gdzieś ku zachodowi... jakby biegł za słońcem... o! Już niknie w mgle oddali..... Co to! Czary czy złuda?... Przecieram senne oczy... Ach, nie! Nasza śnieżna Księżycowa Grań zniknęła istotnie we mgle...

Myśmy jej jednak już nie ujrzeli, gdyż pożegnaliśmy ją zaraz wziąwszy się z Zawratowej Turni ku Zawratowi...

Długie godziny nocnej wędrówki, jaką jeszcze musieliśmy odbyć napół senni, przemarzyliśmy o cudach śnieżnej grani.

Na Zawracie urządziliśmy sobie wreszcie gruntowny odpoczynek i „kolację". Jak na kulturalnych i z europejskiemi formami życia obeznanych ludzi przystało, zasiadaliśmy do stołu o godz. 12. w nocy...

Schodziliśmy żlebem Zawratowym. Z pod stóp naszych zbiegał w bezdeń jakby biały szeroki gościniec w głębokim czarnym wąwozie. Po okolicznych szczytach jęły znów snuć się mgły, od Zmarzłego pociągał przejmujący lodowaty wicher... Dygocąc z zimna brnęliśmy w głębokim i sypkim śniegu, wypełniającym dno żlebu. Teren był tak równy, że można było iść z zamkniętemi oczyma. Coby to była za wyśmienita jazda na nartach! Korzystając z tego, że podmuchy rozdzierały raz poraz zasłonę z mgieł, staraliśmy się wedle okalających turni zorjentować jak nisko już zeszliśmy. Wreszcie towarzyszące nam dotąd ściany Zawratowej i Małego Koziego rozbiegły się na obie strony, a wkrótce zaczerniały przed nami skałki z kolebą. Zniknął zarazem puszysty śnieg, tak że trawers do przełączki, którą przechodzi letnia „górna" ścieżka, odbyliśmy już po twardym śniegu. Trzeba było teraz trafić jeszcze na przejście od Zmarzłego do Czarnego Stawu. Asekurując się znów, bo żaden z nas nie miał ochoty przejechać się po szreniastem urwisku na dno czarnego, przepaścistego jaru, spuściliśmy się aż do wyraźnej śnieżnej krawędzi, którą wzięliśmy się silnie w lewo i ku wielkiemu swemu zadowoleniu stanęliśmy wkrótce na siodełku w grańce. Stąd oblodzonym kominkiem dostaliśmy się na strome pole śniegowe

i niem schodziliśmy już wprost na widniejącą w dole „bulę“ nad stawem. Gdy stanęliśmy na niej witały nas już pierwsze brzaski pochmurnego, mglistego dnia... Odtajałe pasy przy brzegu nie zachęcały do skrócenia sobie drogi przez staw; puściliśmy się więc sennym krokiem po wyśmienicie noszącym śniegu dokoła jeziora. Wkrótce jednak zastąpiła nam drogę rozłożysta i bujna kępa kosówki. Przed oczyma sennej i trochę zmęczeniem zgorączkowanej wyobraźni zamajaczyły nęcące obrazy puchowego łoża... Nogi zaplątały się jakoś dziwnie w gałęziach, z omdlałych rąk wysunęły się czekany... i po chwili tonęliśmy już w sprężystej, zielonej i wonnej pościeli...

Uleciało z nas w jednej chwili całe zmęczenie, po ciele zozlała się błoga ulga, znojne powieki opadły na oczy... Ciepło i niezmącona już najmniejszym podmuchem cisza panowała wokoło... Tylko jakiś maleńki ptaszek, zwiastun nadchodzącej wiosny, ćwierkał koło nas, jakby dziwiąc się ludziom, którzy zawitali tu doń o tak niezwykłej porze i ze szczytów śniegiem i mgłami otulonych gór...

*Marjan Sokołowski.*

# Przewodnicy.

*(Z cyklu: Z Podhala).*

Zebrali się przewodnicy
Na brzyzku nad Morskiem Okiem.
Z północka zebrali się razem
W gospodzie starej Burowej.

Był między nimi Wojtek Roj,
Z wielkim koralem pod brodą
Niedźwiedź, co ponoć się wyrwał
Z oklepców puszcz Podkrywańskich.

Był Szymek Tatar, prawdziwy,
Wspaniały wojewoda,
Który z starego wyskoczył obrazu,
Aby się przebrać za chłopa —

Na giętkie nogi wdział portki
I kosę chwycił do ręki
I poszedł kosić owse
Na grońkach obok Skibówek:

A przed żniwami, lub po nich,
Gdy ziarno schował w sąsieku,
Wyruszał z ceprami w drogę
Na jasną „węgierską“ stronę.

Nawet miedziany Sabała
Hipnął ze swego siedziska
Pod piersią Chałubińskiego
I przywlókł się między swoich.

Weszła do izby Burowa
Z fajeczką w bezzębnych uściech.
Butelkę stawiła na stole
I z szkła rżniętego kieliszek:

„Wszyscyśmy bracia rodzeni
Dzieci jednego Boga,
Więc pijmy z jednego kieliszka,
Nie chłopom pić po szlachecku“.

Nadszedł i Klimek Bachleda
Z ciupagą i pękiem lin.
Łokciami się oparł na stole
I na Burową zawołał:

„Dalejże, pani Burowa,
Postawcie swieżą butelkę.
Tyle widzicie chłopa
A tak się mało troskacie“.

Obudził się z drzemki siarczystej
I Jan Gąsienica Daniel,
Pogładził wąsa i rzeknie
Zwrócony do Bachledy;

„Kiej dyabła!“ — zawołał w stół waląc
Jan Gąsienica Daniel.
Przyśliście tu sami umarli!
Szczególne zbiegowisko!

„Hej, bracie Klimek, — zapewne
Przyśliście dzisiaj po mnie,
Aby mnie przeprowadzić
Do schroni przy Nowotarskiej?*)

I owszem, pójdziemy z muzyką,
Jest i Sabała z nami,
Zakwili nam „zbójnickiego“
Na swych gęśliczkach miedzianych“.

*) Nowy cmentarz w Zakopanem.

Rozejrzał się po izbie:
Nie było-ci, — w niej nikogo;
Sam tylko jeden, zbudzony
Przy pustym siedział stole.

Zerwał się z miejsca i poszedł
Swoich obudzić ceprów,
Ażeby z nimi co tchu
W ostatnią wyruszyć drogę.

*Jan Kasprowicz.*

# Na piargu.

## (Szkic biologiczny).

Piarg jest stałym i wszędzie obecnym składnikiem krajobrazu górskiego. Rodzi się on ustawicznie z gruzu wietrzejących turni i podlegając prawu ciążenia „spływa“ z pod ścian skalnych w dół, usypując każdemu dobrze znane stożki nasypowe, otulające podnóża każdego szczytu tatrzańskiego. Jeden rzut oka na amfiteatr skał zamykających Morskie Oko lub Czarny Staw wystarcza, ażeby pojąć pierwszorzędną rolę piargu w krajobrazie gór, zwłaszcza zaś gór tak stromych, jakiemi są Tatry.

W cyklu życiowym Tatr jest wszędzie obecny piarg symptomem śmierci górskich olbrzymów: wszystkie one ulegną przecież z biegiem wieków siłom erozyjnym, wszystkie rozsypią się kiedyś w kamieniste piargi i wszystkie spłyną siłą własnego ciężaru lub siłą niwelującej wszystko wody ku dolinom.

Ruchome pargi górskie, złożone w strome stożki o bardzo bystrem nieraz nachyleniu, tak bardzo pochopne do nagłego ruszenia z miejsca właśnie wtedy, kiedy sobie tego najmniej życzymy, znane doskonale każdemu turyście i każdemu przyrodnikowi, nie przywodzą nam zwykle na myśl smutnych refleksji o śmiertelności szczytów górskich, lecz przeciwnie, wydają się one — i słusznie — najbardziej może ruchliwym i ożywionym elementem przyrody wysokogórskiej. Lecz gdy zejdziemy w niższe piętra górskie, gdzie się już piargów „żywych“ prawie nie spotyka, ale gdzie ustawicznie stąpamy po rozmytych polach i zboczach piarżystych, zarośniętych gęsto roślinnością zielną lub okrytych płaszczem lasu górskiego, to te obumarłe już, niezdolne do ruchu, zamulone piaskiem i gliną stare piargi, przypomnieć muszą każdemu tę smutną prawdę, że nic niema w przyrodzie wiecznego i że nawet najdumniejszy szczyt tatrzański spocznie kiedyś snem spokojnej śmierci w utrwalonych zwaliskach piargów, które gromadzą się już dzisiaj u jego stóp jako zadatek zgonu.

Jest jeden tylko potężny czynnik w przyrodzie wysokogórskiej, który śmie przeciwstawiać się temu nieubłaganemu biegowi rzeczy i który wedle sił i możności pracuje niestrudzenie nad tem, ażeby proces zesuwania się w dół piargów był w sile swojej ograniczony. Tym czynnikiem jest szczególna roślinność, która potrafi nietylko wedrzeć się na sunący w dół „żywy“ piarg, ale co więcej, potrafi odebrać mu siłę ruchu i spowodować jego zatrzymanie się, czyli — jak mówimy — jego utrwalenie się. Tej grupie roślin — pionierów pragnę w niniejszym szkicu poświęcić nieco uwagi.

Wielka rozmaitość warunków życia, jaką stwarzają w każdych górach czynniki klimatu, wystawy (ekspozycji), gleby, wilgotności i konkurencji, czyli walki o byt, różna w różnych piętrach górskich, była przyczyną wyłonienia się z pomiędzy rzeszy gatunków roślin tworzących górską szatę roślinną kilkunastu wyraźnych „zespołów" roślin, czyli grup specjalistów życiowych, żyjących razem w ściśle określonych warunkach. I tak w cienistym lesie regla dolnego żyje grupa roślin leśnych dolnoreglowych, dostosowana do warunków życia panujących w lesie złożonym głównie z buka i z jodły, w świerkowych, wiecznie zielonych borach górnego regla rosną



Amfiteatr turni granitowych i piargów w dolinie Batyżowieckiej.
*(Fot. W. Pawlica).*

gatunki roślin górnoreglowe, w pasie kosodrzewiny specyficzne rośliny kosówkowe, skały wapienne żywią florę wapienną, skały granitowe granitową, wywierzyska wywierzyskową, torfowiska torfową — a piargi piargową.

Z punktu widzenia biologicznego budzą najwięcej zainteresowania te gatunki roślin, które są przywiązane ściśle do jednego tylko zespołu, gdyż z góry można się spodziewać, że w budowie takich ciasnych specjalistów odbija się najsilniej wpływ swoistych warunków życia charakteryzujących środowisko, w którem żyje dany zespół. Każdy prawie z kilkunastu

dobrze socjalnie zbudowanych zespołów roślin, jakie dotychczas w Tatrach poznaliśmy, posiada swoiste (sobie wierne), czyli charakterystyczne gatunki; posiada je także piarg, jak się o tem zaraz przekonamy.

Ze względu na warunki egzystencji i swobody rozwoju organizmów jest piarg środowiskiem naogół bardzo niekorzystnem. Najpierw jest on niekorzystnym a nawet wrogim dla sadowiących się na nim organizmów dlatego, że przedstawia żywioł „płynny“, zmieniający ustawicznie swe położenie i budowę. Jeden ulewny deszcz, jedno obsunięcie się skał, a nawet jeden większy głaz spadający z góry na jego powierzchnię, jedno przejście po nim kierdla kozic lub grupy turystów, zdolne są wprawić w ruch powierzchnię żywego piargu, przyczem sunące ku dołowi lawiną kamienie narażają roślinność żyjącą na piargu na niebezpieczeństwo mechanicznego uszkodzenia lub pogrzebania poprostu żywcem we wnętrzu szutru piargowego. Z drugiej strony żywy piarg jest miejscem, gdzie nie tworzy się, względnie nie utrzymuje się gleba i humus, a zarazem miejscem szybkiego wsiąkania w głąb wody deszczowej. Słowem, piarg wysokogórski jest nietylko niebezpiecznem i nieodpowiedniem miejscem dla roślin dlatego, że grozi on im ustawicznie lawiną w dół sunących kamieni, ale także dlatego, że jest zazwyczaj w górnych warstwach pozbawionym gleby, oraz, że dzięki swej przepuszczalności jest środowiskiem nieraz bardzo suchem.

Te niekorzystne warunki dla życia roślin, znamionujące żywy piarg wysokogórski sprawiają, że bardzo wiele spotykanych w Tatrach piargów nie posiada na sobie zgoła żadnej roślinności kwiatowej. Szczególnie strome, prawie ustawicznie ruchome a zarazem pozbawione wody piargi, należą w Tatrach do częstych zjawisk, lecz nie są one znów tak częstemi, jakby można sądzić na podstawie powierzchownej obserwacji. Najczęściej spotykamy wśród turni tatrzańskich piargi takie, które tylko w górnych swych częściach, oraz w głównym, ciągle ruchomym nurcie są pozbawione roślinności, natomiast u podstawy stożków i po ich brzegach zajęte są przez specyficzną roślinność piargową. Już to samo dowodzi, że istnieje wśród flory tatrzańskiej grupa roślin - specjalistów, która wszędzie i na każdem miejscu gdzie tylko tworzą się piargi usiłuje je zająć i że w ataku na tę trudną do zdobycia pozycję posługuje się sobie właściwą taktyką zaczepną, która wyraża się w tem, że pionierska flora piargowa osiada najpierw na brzegach i u podstawy żywego piargu i z tych dopiero miejsc wyjściowych przypuszcza ustawiczne ataki na centrum, czyli na ruchliwy i niebezpieczny nurt żywego piargu.

Zanim przedstawię czytelnikowi obraz tej walki, pragnę zaznajomić go nieco bliżej z budową i obyczajami żołnierzy - roślin, którzy stają do walki

z piargiem. Ponieważ pragnąłbym, ażeby temi, nader osobliwemi zjawiskami zainteresowali się nietylko przyrodnicy, ale także turyści, będący tylko miłośnikami przyrody, lecz znający florę tatrzańską pobieżnie, przeto ograniczę się na tem miejscu do omówienia najwybitniejszych przedstawicieli roślin piargowych.

Sposoby walki roślin z „żywemi“ piargami są różne, a co zatem idzie różnemi są ich postacie czyli typy biologiczne, jakie przedstawiają one w swej budowie i sposobie życia. Najbardziej typowi przedstawiciele roślinności kwiatowej żyjącej na piargach dadzą się ująć w cztery rozmaite grupy, które scharakteryzuję tutaj na wybranych przykładach.



Piargi zajmowane przez zespół kosodrzewiny *(Pinetum montanae)* na pn. zboczach Tomanowej Polskiej. *(Fot. M. Sokołowski).*

I-szy typ ekologiczny roślin piargowych reprezentuje we florze Tatr, dobrze każdemu znany dębik ośmiopłatkowy *(Dryas octopetala)*, roślina bardzo częsta w Tatrach, o wielkiej amplitudzie życiowej i wielkiej odporności, dzięki której spotykamy ją na podłożu wapiennem na nader rozmaitych stanowiskach. Na piargu wapiennym przedstawia dębik szczególnie częste zjawisko. Jest on swoją budową przystosowany doskonale do życia na tem ruchomem podłożu.

W piargu żyjący dębik zakorzenia się bardzo głęboko przytwierdzając się do trwałego wnętrza piargu korzeniem-kotwicą, podobnie, jak to czyni okręt, który spuściwszy kotwicę nie pozwala się falom zerwać z uwięzi. W nurcie płynącego piargu utrzymuje się więc dębik dzięki korzeniowi palowemu o niezwykle silnej budowie mechanicznej, przyczem jego warkoczowate pędy ulistnione unikają ciosów zadawanych im przez sunący

w dół żwir piargowy dzięki swej elastyczności. Typ taki (rysunek 1), możnaby więc nazwać typem kotwicowym.

Skoro tylko piarg płynący zesłabnie nieco w swej sile płynięcia w dół dzięki przerośnięciu jego ciała korzeniami i biczowatemi pędami dębika, wtedy pędy dotychczas słabo rozgałęzione i „pływające“ elastycznie po jego powierzchni rozgałęziają się wszechstronnie i łączą się w gęstą i zbitą tarczę zieloną. Biały piarg wapienny noszący na swem ciele kilka lub kilkanaście takich okazów dębika wygląda wtedy z daleka tak, jak gdyby przybity był do ściany skalnej z pod której spływa, szeregiem ciemnozielonych gwoździ o wielkich i płaskich główkach. Porównanie takie nie jest wcale przenośnią, lecz odzwierciedla ono ściśle rolę dębika w utrwalaniu piargu, tembardziej, że na ciemnych plamach wytworzonych na tle piargu przez pionierskiego dębika sadowią się bardzo rychło inne rośliny, korzystając z wielkiej ilości humusu, jaką on wytwarza i następnie wychodzą z tych wysp na dalszy podbój piargu.



Rys. 1. Dębik ośmiopłatkowy *(Dryas octopetala)*. 1/2 naturalnej wielkości.

W rozwoju indywidualnym jest każdy okaz dębika rosnącego na ruchomym piargu najpierw cienkim warkoczykiem zakorzenionym głęboko, potem systemem gęstych warkoczy wiszących w dół i szarpanych płynącym piargiem, wreszcie zieloną tarczą utrwaloną na powierzchni piargu. Podczas tego długotrwałego rozwoju indywidualnego dębika na piargu zdarza się nieraz, że sunący w dół miał skalny zasypuje go, więc posiada on zdumiewającą odporność na zranienia, które rychło zabliźniają się. W walce swej z piargiem nie zawsze jest dębik zwycięzcą. To też nieraz zdarza się spotykać okazy tej rośliny oderwane od korzenia macierzystego i zamierające w dolnej części nurtu piargów wapiennych.

Nader obfite owocowanie i lotność puszystych owoców zabezpiecza dębikowi w walce z piargiem ustawiczny dopływ świeżych rezerw, w postaci wielu tysięcy młodych roślinek, które usiłują wykiełkować na piargu, a wykiełkowawszy, zakorzenić się w jego głębi kotwicznym korzeniem, zanim ich nie usunie z powierzchni nowy prąd kamieni. W niezliczonych miejscach toczy się w Tatrach równocześnie i z rozmaitemi szansami po obydwu stronach ten

bój o prawo życia; tysiące dębików niedochodzi co roku do rozwoju lub wyrósłszy, pada ofiarą tej walki, lecz w rezultacie udaje się zawsze, wcześniej lub później, choćby tylko kilku pionierskim osobnikom rośliny ostać się trwale na płynnem podłożu, torując drogę innym roślinom do stopniowego unieruchomienia i opanowania piargu.

II-gim typem biologicznym w pośród roślin piargowych są te, dla których przedstawicielem może być u nas w Tatrach piękny, biało kwitnący mak piargowy *(Papaver Burseri Cr. = P. alpinum L. pro p.)*.

Spotykamy go dość często na wapiennych piargach wśród turni tatrzańskich, jako najpiękniejszą bodaj ich ozdobę, przyczem łatwo zauważyć, że nie unika on wcale piargów bardzo stromych i że nieraz wychyla swe białe główki z pośrodka żywo płynącego nurtu piargu. Dziwić to może tembardziej, że cała postać tej rośliny — w przeciwieństwie do omówionego dębika — jest niezwykle delikatną, że jest rośliną zielną, nie drewniejącą, a liście jej i kwiaty należą do tak subtelnych i niewytrzymałych, że wkrótce po zerwaniu więdną one zupełnie.



Rys. 2. Mak piargowy — *(Papaver Burseri)*. — $^1/_2$ naturalnej wielkości.

Skąd ta delikatna mieszkanka gór czerpie siłę do walki z piargiem i w jaki sposób na niem się osiedla?

Ażeby zrozumieć tajemnicę broni, jaką walczy subtelny mak z niebezpieczeństwem egzystencji na piargu, musimy ostrożnie i cierpliwie wydobyć jeden okaz tej rośliny ile możności w całości z pomiędzy szutru wapiennego, w którym jest pogrążony. Obok umieszczona rycina (rys. 2) przedstawia nam taki właśnie okaz maku piargowego. Uderzają w nim następujące cechy: 1) liczne i długie rozgałęzienia pędów wijących się wśród piargu, 2) wielka ich elastyczność, 3) silny i długi korzeń palowy, 4) ślady charakterystycznego odnawiania się pączków ustawionych w piętrach ponad sobą, 5) liście porozcinane w liczne, pierzaste odcinki, 6) kwiaty stosunkowo bardzo duże i wonne.

Te właśnie cechy stanowią rynsztunek bojowy maku piargowego w walce z żywym piargiem wapiennym. I tak: silny korzeń palowy przytwierdza silnie roślinę w głębi piargu i nie łatwo pozwala ją wyrwać z podstawy, system elastycznych pędów przepuszcza, niby przez rzadką sieć,

sunące w dół kamienie, umiejętność tworzenia pączków odnawiających roślinę w serjach piętrowych umożliwia roślinie zasypanej piargiem wystawić niejako ponownie głowę na jego powierzchnię, liście cienkie i porozcinane ustępują dzięki swej elastyczności łatwo i szybko z drogi sunącym w dół drobnym kamieniom, a duże, choć nieliczne jej kwiaty, gwarantują tej samotnie nieraz na pustym piargu żyjącej roślinie zwabienie nawet z oddali owadów, niezbędnych pośredników w akcie zapylenia.



Rys. 3. Szczawiór alpejski *(Oxyria digyna)*. — $^1/_2$ naturalnej wielkości).

O wielkiej skuteczności tych prostych środków walki, jakiemi na piargu posługuje się mak piargowy, świadczy nietylko to, że spotykamy go często w bystrych piargach, którym się skutecznie przeciwstawia, ale także to, że żyć on potrafi w samym nurcie „żywego“ piargu, tam, gdzie nie zapuszczają się zwykle inne rośliny piargowe.

Zupełnie analogiczną budowę wykazują dość liczne inne rośliny piargowe, n. p. nader częsty zarówno na wapieniu, jak i na granicie szczawiór alpejski *(Oxyria digyna Hill.)* (rys. 3), na wapieniu i na granicie rosnąca trawa piargowa, t. zw. wyklina cenijska *(Poa cenisia All.)* i granitowa wyklina wiotka *(Poa laxa Huk.)*.

Szczególnie godnemi uwagi są obydwie wymienione trawy, przywiązane w swem pojawianiu się ściśle do piargów, nie rosnące niemal wcale w innych warunkach. W ich celowej budowie uderzają nas, obok cech wspólnych z makiem piargowym, zwłaszcza ich długie liście, które długo zachowują zdolność wzrostu, dzięki czemu zasypane ruchomym piargiem szybko wyrastają ponad niego (Rys. 4).

III-ci typ roślin typowo piargowych reprezentuje pospolita w Tatrach gęsiówka alpejska *(Arabis alpina L.)*. Przedstawia ona typ zbliżony do poprzedniego, różny jednak od niego tem, że roślina ta posiadająca zasadniczo podobny układ pędów i podobną ich żywotność, jak wspomniany mak, ma jednak tendencję do tworzenia na powierzchni piargu dużych, bogato ulistnionych i obficie rozgałęziających się pędów. Temi to kępami pędów roślina stawia znaczny opór ruchomemu piargowi, który się na niej nieraz zatrzymuje, tworząc powyżej każdej rośliny na równej powierzchni piargu maleńki kopczyk. Dzięki tej metodzie walki z piargiem, którą możnaby nazwać otwartą i ofiarną, zostają niejednokrotnie jej okazy zasypane i zabite piargiem, z drugiej jednak strony mogą one niejednokrotnie skuteczniej i prędzej przyczynić się do ustalenia żywego piargu.

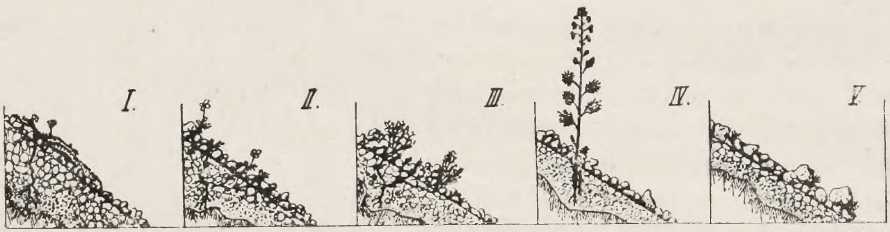


Rys. 4. Wyklina cenijska *(Poa cenisia)*. 1/2 naturalnej wielkości.

IV-ty typ we florze piargowej reprezentują wysokie byliny korzeniowe, takie, jak n. p. tojad mocny *(Aconitum firmum Rchb.)*, ostróżka tatrzańska *(Delphinium exysepalum Pax)* lub różeniec górski *(Rhodiola rosea L.)*. Są to wszystko rośliny spotykane rzadko w miejscach, gdzie piarg wykazuje największą siłę mechaniczną, zato bardzo często osiedlające się na jego brzegach i u podstawy. W sposobie walki z piargiem przedstawiają one — możnaby powiedzieć — typ najprostszy. Oto, osiadłszy na piargu i wytworzywszy silny korzeń palowy, niekiedy zgrubiały jak marchewka, wyrastają one odrazu łodygami swemi, zwykle pojedyńczemi, wysoko nad jego powierzchnię. Ich grube i u nasady zwykle drewniejące łodygi przyjmują ataki sunących w dół kamieni otwarcie, odbijając je elastycznie od siebie. Rany, jakie ponoszą przytem od ostrokrawędzistych kamieni, zabliźniają się u nich rychło tkanką korkową. Dzięki temu, że tracą one często liście u nasady, tuż ponad powierzchnią piargu, wyglądają nieraz jak gdyby podkasane. Wystawiając na

uderzenia ostrych kamieni tylko część podstawową swych wysokich pędów, przeciwstawiają one piargowi możliwie najmniejszą powierzchnię oporu. Dlatego to za okazami tych roślin nie gromadzą się zwykle kopczyki kamieni. Odnawiają się one przeważnie (tak czyni n. p. tojad) co roku z nowego pączka, uformowanego w związku z nowym korzeniem palowym (rys. 5).

Na piargach wilgotnych, gdzie sącząca się wśród kamieni woda znosi i osadza pomiędzy ruchomym szutrem nieco gleby i humusu z sąsiednich skał, sadowią się nieraz, jako pionierzy, biorący piarg w posiadanie, rośliny płytko zakorzeniające się, o postaciach drobnych, prawie karłowatych, które dzięki swym drobnym wymiarom, umieją niekiedy ostać się nawet na ruchomym piargu, zwłaszcza na jego brzegach i u podstawy. Reprezentantem tego typu karlego może być pospolita na piargach wapiennych rzerzużka skalna *(Hutschinsia alpina R. Br.)*. Przedstawia ona jakgdyby reprezentanta 5-go typu biologicznego flory piargowej, jednakowoż z powodu tego, że żyje wyłącznie tylko na piargach wilgotnych, których




Rys. 5. Schemat budowy 5-ciu typów ekologicznych roślin piargowych; I. typ *Dryas octopetala;* II. typ *Papaver Burseri;* III. typ *Arabis alpina;* IV. typ *Aconitum firmum;* V. typ *Hutschinsia alpina.*

nie można porównywać wprost z wyżej omówionemi piargami suchemi, nie stawiamy jej w rzędzie wyróżnionych wyżej typów roślin piargowych.

W ten sposób poznaliśmy najważniejsze postaci roślin zjawiających się na ruchomych piargach wysokogórskich w Tatrach. Poznanie typów ekologicznych nie jest jednak równoznaczne z poznaniem flory piargów, która to flora jest dość bogatą w gatunki i różną, zależnie od materjału skalnego, z jakiego zbudowany jest dany piarg.

Piargi wapienne (lub dolomitowe) posiadają naogół florę bogatszą w gatunki, aniżeli piargi granitowe (względnie kwarcytowe). Nie chcąc

w tem miejscu rozpatrywać bliżej tych różnic, ograniczę się do wyliczenia najpospolitszych gatunków roślin na jednych i na drugich.

**Piarg wapienny:**

*Papaver Burseri*
*Rumex scutatus*
*Cerastium latifolium*
— *Raciborskii*
*Dryas octopetala*
*Saxifraga aizoides*
*Arabis alpina*
*Oxyria digyna*
*Poa cenisia*
*Aconitum firmum*
*Linaria alpina*
*Hutschinsia alpina*
*Rhodiola rosea*
*Delphinium oxysepalum*
*Salix reticulata*
*Sedum atratum*

**Piarg granitowy:**

*Poa laxa*
— *cenisia*
*Luzula spadicea*
*Oxyria digyna*
*Rumex scutatus*
*Rhodiola rosea*
*Aconitum firmum*
*(Sieversia reptans)*

Jaki jest los piargu, który nie oparł się wdzierającej się nań roślinności pionierskiej?

Oto raz utrwalony i zatrzymany w swym ruchu, staje się z reguły polem szybko po sobie następujących zmian w zjawiającej się na nim roślinności. W ślad za roślinami pionierskiemi, których naturę bliżej poznaliśmy, wciskają się na jego powierzchnię coraz to nowi i liczniejsi przybysze, korzystający najpierw z ochronnego sąsiedztwa pierwszych zwycięzców, a później, gdy piarg zupełnie już znieruchomieje i uzyska warstwę powierzchowną gleby, zjawiają się tutaj emigranci z sąsiednich „zespołów“. Teraz dochodzi do szeregu walk pomiędzy gatunkami roślin, które opanowawszy nowy teren i wydarłszy go martwej przyrodzie, starają się go utrzymać w swem posiadaniu. Śledzenie tych walk w każdym ich szczególe i w każdej fazie, należy do jednych z najciekawszych zadań t. zw. dynamicznej socjologji. Po upływie dłuższego czasu opanowuje zwykle na stałe piarg ten „zespół“ roślin, który w danej wysokości i w danych warunkach miejscowego klimatu jest zespołem najsilniejszym. W krainie turni wapiennych utrwalone piargi zajmuje zwykle ostatecznie zespół kostrzewy pstrej *(Festucetum variae)* lub też zespół turzycy

t ę g i e j *(Caricetum firmae)*, wśród turni granitowych, powyżej granicy lasu zespołem zwycięzkim zostaje zwykle zespół t r z c i n n i k ó w *(Calamagrostidetum)*; utrwalone piargi w piętrze kosówki zajmuje ostatecznie zespół k o s o d r z e w i n y *(Pinetum montanae)*, w piętrze leśnem wreszcie odpowiedni zespół leśny.

Tak oto przedstawia się w krótkim zarysie problem życia roślin na piargu górskim. Objawia się ono — jak widzieliśmy — w cyklach następstw, czyli s u k c e s y j jednych gatunków po drugich. Najdłuższą jest faza początkowa, w której rośliny pionierskie, posiadające specjalne przystosowania do życia na żywym piargu, usiłują zdobyć ruchomy piarg i zatrzymać go w miejscu. Po tej fazie, trwającej niekiedy bardzo długo (t. zw. faza t r w a ł a), przechodzi piarg niejako z rąk do rąk, będąc polem ścierania się i walki konkurencyjnej licznych gatunków roślin, które będąc emigrantami często przypadkowemi, usiłują utrzymać się na nowem stanowisku. W trzeciej wreszcie fazie opanowuje piarg ten „zespół" roślinności górskiej, który w danych warunkach okazuje się najsilniejszym.



Piarg wapienny w dolinie Chochołowskiej w stadjum utrwalenia go zespołem kostrzewy pstrej *(Festucetum variae)*; pośrodku żywy nurt. *(Fot. W. Goetel)*.

Muszę jednak zauważyć, że cykle przemian, jakim ulegają piargi, nie rozwijają się wszędzie tak samo i nie przebiegają wszędzie w takiem samem tempie. Gra czynników klimatycznych, edaficznych i biotycznych jest bowiem w naturze grą tak skomplikowaną i w efektach swoich często tak nieoczekiwaną, że nieraz zdarza się, iż rozpoczęty w pewien sposób cykl sukcesji nagle się przerywa, a uwięziony już przez

roślinność piarg górski uzyskuje na nowo swoją pierwotną siłę i ruchliwość. Wtedy gra cała zaczyna się na nowo, a cykl sukcesji wchodzi ponownie w swe stadjum początkowe.

Lawiny łamiące las i zdzierające szatę roślinną ze zboczy górskich, wiatr halny, katastrofalne ulewy, wreszcie nieopatrzna gospodarka człowieka (leśna i pasterska) — oto szereg nieobliczalnych czynników, które zakłócają t. zw. naturalny bieg wypadków w przyrodzie tatrzańskiej.



Piargi wapienne w grupie Tylkowych Kominów, z wkraczającym na nie lasem świerkowym. (*Fot. J. Motyka*).

Życie roślin na piargu górskim rodzące się ustawicznie i walczące ciężko o swój byt, dążące wytrwale do utrwalenia każdego „żywego" piargu i będące zadatkiem dalszych, nigdy w rzeczywistości nie kończących się walk i przemian w szacie roślinnej, jest w całości swej i w każdym swym szczególe przedmiotem godnym zainteresowania. Niech mi będzie wolno wyrazić nadzieję, że nasza tatrzańska turystyka, której poświęca się dzisiaj wiele tęgiej fizycznie i duchowo młodzieży, wzbogaci się i nabędzie nowych wartości, gdy taternicy nasi oprócz problemów czysto turystycznych, którym poświęcają tak wiele wysiłków i pracy, zainteresują się więcej aniżeli dotychczas także problemami, jakie nastręcza każdemu badawcza obserwacja przyrody tatrzańskiej.

*Władysław Szafer.*

Kraków, w grudniu 1924.

# Jesienna wycieczka na Babią Górę.

Ołowiane chmury, pędzone wiatrem, wloką się po szczytach, gdy krótki pociąg górskiej koleji, unosi mię do Huciska. Już przy samej stacji zaczyna lać deszcz, który towarzyszy mi przez dość długi czas. Spuściwszy się z pierwszych pagórków, do okolicy Koszarawy, idę wśród chałup, niezbyt interesującą drogą wiejską. Przed kościołem droga skręca na lewo i wnet staję przy prymitywnym chłopskim tartaku, u stóp Jaworzyńca; krótki odpoczynek, posiłek i w górę. Maleje zwolna Koszarawa i znika, a ogarnia mię śliczny las bukowy, szeleszczący czerwienią zwiędłych liści. Październik.

Deszcz ustał, chmury przerzedzają się nieco, połyskując od czasu do czasu błękitem i promieniami słońca. Pod Mądralową słyszę koło uszu świst paru kamieni, posłanych mi z grzeczności przez wyrostków pasących konie. Zresztą pustka ogromna. Na lewo wznosi się prześliczny samotnik górski, Jałowiec, który się przyodział na jesień kolorową szatą traw i liści. Ze szczytu Mądralowej, ukazuje się w świetle słońca Babia, lecz silnie zamglona. Mgły rozdzierają się, z za nich wyłania się zaśnieżony Djablak, lecz po chwili wystarczającej do zrobienia zdjęcia, wszystko znika, zciemnia się i zaczyna sypać śnieg, który jednakowoż wkrótce ustaje. No, teraz kolej na deszcz, potem na grad, a wreszcie znowu na słońce myślę sobie, będąc już przyzwyczajonym do tego rodzaju wybryków babiogórskich. Tym razem jednak omyliłem się, bo mgły nie ustąpiły aż do wieczora. Ześlizgnąwszy się w przełęcz jałowiecką, wychodzę przez stary i ogromny las na Czarną Halę.

W rogu hali wznosi się nikły, błękitny dymek z ogniska, przy którym siedzi celnik polski. Zwierza mi się on, że kartkę wysłaną przezemnie do zawiadowcy schroniska, dziś rano doręczył Gancarczykowi i dziwi się, że idę sam. Idę dalej zaglądając po drodze do Markowego Stawku, który już wysechł zupełnie i po którego dnie chodzę najspokojniej. Lecz otóż i schronisko. Poczciwy Gancarczyk rozpala ogień, częstuje czem może, rad, że widzi znajomego turystę. Przed zmierzchem idę do altanki T. T. Wokoło cisza, że aż w uszach dzwoni. Babia owija się coraz niżej w czepiec mgieł. Jak okiem spojrzeć góry i lasy. W dole bieleje wstęga Skawicy z rozsianemi przed nią domkami Zawoji. A wokoło mnie dyszy tajemniczością prastary bór babiogórski, urwisko. Wracam do schroniska i nakryty dziewięcioma kocami zasypiam kołysany słodką nadzieją jutrzejszego wschodu słońca.

Nad ranem budzę się około 3, ubieram i zapaliwszy acetylenową latarkę, ruszam na szczyt. W nocy chwycił mróz, bo śnieg przed schroniskiem silnie chrzęści pod nogami. Niebo wyiskrzone gwiazdami i oświe-

tlone silnym blaskiem księżyca, wróży pogodę. Za chwilę pochłania mię ogromny bór, aby wypuścić aż pod Izdebczyskami. Drapię się na nie zlodowaciałym wąwozem i staję na przełęczy zachwycony cudnym widokiem, który się przedemną otwarł. Po drugiej stronie w dole leży skąpana w poświacie księżyca, ubielona śniegiem Orawa. Za nią ciemnieje łańcuch turni tatrzańskich lekko spowity chmurkami. A na lewo widnieje szczyt Babiej, na którym lśni się parę mgiełek seledynowo do księżyca. Patrzę i napatrzeć się nie mogę. Lecz czas nagli, zaczyna dąć od Orawy lodowaty wicher.

Po przejściu kosówki, ogarniają mię drobne chmury, które tymczasem wiatr rozpędził, i przez które blask księżyca ledwo się przebija. Na szczęście drogę znam dobrze, więc już instynktownie kieruję się ku szczytowi. Od czasu do czasu wyłania się jak widmo, ośnieżony słup narciarski i wnet znika. Podchodzę ku turni szczytowej i pnę się w górę po oblodzonych głazach. Pojawia się czubek piramidy trjangulacyjnej, a za nim szczyt. Lokuję się czemprędzej za kupą głazów, by czekać na wschód słońca. Mija kwadrans, pół pół godziny, godzina. Gdzieś nad Pieninami zaczyna przebielać niebo i różowieć. Słyszę świst syreny w tartaku w Półhorze. Chmury zwolna przechodzą, widnokrąg się oczyszcza. Robi się coraz jaśniej. Barwa nieba zmienia się szybko na fjoletową, seledynową, złotą, aż wreszcie strzelają pierwsze race wschodzącego słońca i ogromna kula ponsowo-złota wytacza się z za widnokręgu; otaczają ją szybko rwące obłoczki i ma się wrażenie, że to wspaniałej struktury most pod którym perli się, żarem tryskający wodospad. Płoną wierzchołki Tatr i zarysowują się coraz wyraźniej. Odcina się na tle nieba Murań, Nowy, Lodowy, Łomnica, Wysoka... A dalej na prawo dolomitowy Chocz i dziko poszarpana Mała Fatra. Słońce wznosi się szybko coraz wyżej.

Robię zdjęcie szczytu ze znakiem mierniczym, który z czapą śniegową na wierzchu, ośnieżony cały, wygląda jak chochoł. Czynność ta długo się przeciąga, bo z mrozu zachodzi ustawicznie szronem soczewka i palce grabieją. Wreszcie wszystko skończone; rzuciwszy ostatnie pożegnanie wierchom, ruszam w dół z powrotem. W śniegu po kostki brnę znowu przez Izdebczyska na Małą Babią, przechodzę koło tajemniczej groty poszukiwaczy skarbów, i zagłębiam się powoli w dolinę ku Hucisku [1]).

*W. Midowicz.*

---

[1]) Gdy w dwa miesiące później, to jest 29 grudnia 1924 r. byłem z całą wycieczką znowu na Babiej, nie było tam śniegu ani mrozu zupełnie, panowała całkowita cisza, a nad Tatrami tymczasem szalała burza śniegowa.

# Początki taternictwa.

I.

Wyprawy Stanisława Staszica na Krywań, na Lodowy (w sierpniu 1805 r.; pierwsza wyprawa znana na ten szczyt), na Łomnicę i inne — mimo, że nierychło znalazły u nas naśladowców, dzięki wspaniałym opisom w jego kapitalnem dziele O Ziemiorodztwie Karpatów, oraz innych gór i równin Polski, Warszawa 1815 — w bardzo wysokim stopniu przyczyniły się do rozbudzenia polskiej turystyki tatrzańskiej. — „Czytając uczone rozprawy Staszica o Ziemiorodztwie gór, a szczególniej Karpat, niepodobna jest nie zapragnąć własnemi oczyma oglądać miejsca, które go natchnęły“ — wyznaje Ambroży Grabowski, zasłużony badacz starożytności polskich i znany literat krakowski w opisie wycieczki swojej (z lipca 1825 roku) p. t.: **Kilka godzin pobytu w Tatrach** nad jeziorami Morskie Oko i Czarny Staw w Galicji w Cyrkule Sandeckim *(Dziennik Warszawski* r. 1826, Nr. 10).

Staszic był nietylko pobudką i zachętą do zwiedzania Tatr, ale zarazem dzieło jego, wielkie w swej miłości do gór, spełniało również rolę pierwszego polskiego pisanego przewodnika po Tatrach. Okazuje się to jasno ze słów d-ra Ludwika Pietrusińskiego, który w swoim Przelocie z Krakowa na szczyt Łomnicki w Tatrach, Warszawa 1845, opisując, jak w towarzystwie przewodników niemieckich wychodził na Łomnicę w r. 1844 — woła z entuzjazmem, pełen żywej ciągle pamięci o tym pierwszym naszym badaczu Tatr: „Ty jesteś przy mnie, wiekopomny Staszicu! Ciebie, którego jako swojskiego przewodnika trzymałem naprzód w ręce, niosęj teraz w chustce na piersiach przywiązanego jak depeszę. Ty byłeś i jesteś moim prowadzicielem: Tyś szedł tutaj temi samemi skał urwiskami, tyś się wspinał po tych samych kamykach, na szczyt tego, jak go zowiesz, Krapaku. Było ich tu wielu na tym szczycie, ale znakomitszego, cnotliwszego od Ciebie nie było“.

Możemy łatwo stwierdzić, że przed Staszicem, nie było odeń nikogo „znakomitszego, cnotliwszego“ na Łomnicy, bo myli się dr. Pietrusiński — jeśli maj na myśli turystów, biorących udział w wyprawach wcześniejszych — jakoby ich tam było zbyt wielu; wyprawa Staszica (21 sierpnia 1805 roku) jest bowiem czwartą zaledwie wyprawą znaną na ten szczyt. Nietylko więc przed nim, ale także długo potem, nie było tam nikogo równie znakomitego.

Nie był zaś nim napewno Karol Soczyński, dr. medycyny, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, senator Rzeczypospolitej krakowskiej — drugi z Polaków, który wszedłszy w ślady Staszica — stanął na szczycie Łomnicy.

Prof. Soczyński zwiedzał Tatry — jakby dla udowodnienia, że Kraków zawsze należał do miast, które Tatry znają najlepiej — w tymże samym roku, w którym odbył wycieczkę swoją Ambroży Grabowski. Okazuje się to z tytułu rozprawy, większych prawdopodobnie rozmiarów, przygotowanej przez dzielnego profesora medycyny pod napisem: Karpaty w r. 1825 ze wstępem na Wielki Krępak z odwiedzeniem Morskiego Oka, Rybiego jeziora, Czarnego Stawu i Kościelisk i t. d. Manuskrypt tej pracy, nieogłoszonej nigdy drukiem, nie przechował się niestety; sam jedynie pełen bogatej treści tytuł podaje Żegota Pauli w swej tece z materjałami dotyczącemi Tatr, przechowywanej pod nr. 5373 w Bibljotece Jagiellońskiej. Praca Soczyńskiego o Tatrach — przypuszczać należy — nie jest przeróbką lub kompilacją opisów obcych, lecz owocem spostrzeżeń własnych. Wyprawy Soczyńskiego w Tatry, które mu dały możność ich opisania i stanowiły podstawę rozprawy, pozostawały zapewne w związku z jego podróżami, odbywanemi głównie po Spiszu w celu zawodowym dla naukowego badania źródeł mineralnych, któremu to przedmiotowi poświęcił również rozprawę (znaną tylko z zapisku Żegoty Pauli'ego) p. t.: *Manuscripta ubi de aquis et thermis carpathicis in Drużbaki, Kamionka, Łączkowa, Lubowla, Topór, Szczawnik, Powroźnik, Słotwina, Tylicz, Muszyna, Kwaśnik, Krynica, Bardyów, Sławków, Szczawnica, Śmierdząćka et insuper de thermis in Piszczany, Trenczyn, Łucki, Slacz, Wichnia etc. tractatur.*

Soczyński z czasem zaniechał jednak praktyki lekarskiej i literatury medycznej i uległ zupełnie innym upodobaniom, przerzuciwszy się cały na pole badań nad sztukami pięknemi. Notaty jego i zbiory, przypuszczalnie także i rękopis pracy o Tatrach, padły ofiarą pamiętnego pożaru Krakowa w r. 1850; niezrażony tem rozpoczął swoją pracę, więcej amatora i szperacza, niż uczonego, na nowo i zdołał zebrać ogromne materjały, odnoszące się do zabytków sztuki i kultury, które utworzyły jego dwudziestoczterotomowy „Lexikon sztuk pięknych". O leksykonie tym ukazała się anonimowa broszura u Budweisera, Kraków 1858; wywnioskować z niej można, że dzieło roiło się wprost od niedorzeczności; skrzętność w zbieraniu materjałów i jak najlepsze zamierzenia nie mogły zastąpić koniecznego przygotowania naukowego. Jedynie tom, obejmujący życiorysy artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych, z którymi pozostawał w osobistych stosunkach, mógłby mieć

większe znaczenie. — Jaką wartość miała jego rozprawa o Tatrach, czy taką, jak „Lexikon sztuk pięknych" — zupełnie niewiadomo.

Nie uprzedzając się jednak, musimy stwierdzić, że w każdym razie literatura tatrzańska zyskałaby na tem wydawnictwie ogromnie wiele. Rozprawa Karola Soczyńskiego zajmowałaby wśród dawniejszych opisów Tatr, jedno z naczelnych miejsc, wyprzedzając, — uważane w literaturze niemieckiej, nieuwzględniającej dzieła Staszica — za szósty z rzędu opis Tatr: dzieło Albrechta von Sydow: *Bemerkungen auf einer Reise im Jahre 1827 durch die Beskiden über Krakau und Wieliczka nach den Zentral-Karpathen, 1830,* z ówczesnych prac, poświęconych Tatrom może najdokładniejsze i najgruntowniejsze, szczególnie zaś cenne z powodu dodanej doń mapy — pierwszej karty geograficznej Tatr wogóle; jak bowiem wiadomo, mapa J. Wahlenberga jest właściwie tylko — szkicem. Jako podróżnik, musi Sydow stanowczo ustąpić miejsca Soczyńskiemu, albowiem z dzieła Sydowa o jego własnych drogach i przejściach tatrzańskich bardzo niewiele możemy się dowiedzieć, zaledwie tyle da się stwierdzić, że przechodził on przez przełęcze: Tomanową, Goryczkową, Zawory i przez Przełęcz pod Kopą.

Karpaty w r. 1825 prawdopodobnie wyprzedziłyby w chronologji pierwszych opisów Tatr także i *Wegweiser durch die Zipser karpathischen Alpen,* magistralne dzieło znanego i cenionego botanika spiskiego Thomasa Mauksch'a (1749—1832), przygotowane w r. 1826 do druku w Wiedniu, gdzie bezskutecznie szukano nakładcy; obecnie w rękopisie (422 stron in quarto) zalega półki Bibljoteki Akademji Węgierskiej w Budapeszcie. — Mauksch'a, który z jednym wyjątkiem Sławkowskiego szczytu odbywał wycieczki tylko dolinne i jedynie po południowej stronie Tatr, należy również jako turystę postawić znacznie niżej, niż Soczyńskiego (por. Dr. Theodor Posewitz: *Aus alten Zeiten in der Tatra. Jahrbuch des Ungarischen Karpathenvereins. XL. Jahrgang 1913. Iglo,* str. 38—39 i 31—35).

Wyprawy Stanisława Staszica, ojca taternictwa polskiego, były na owe czasy, pełne najprzesadniejszych o Tatrach wyobrażeń — czemś zupełnie niezwykłem, pomimo, że tradycje wypraw polskich w Tatry mają bardzo odległą przeszłość. Według kroniki miasta Keżmarku (por. Christian Genersich: *Denkwürdigkeiten der Stadt Kesmark 1807, I,* str. 260) już w XVI. wieku miał jeden z członków rodziny Łaskich, władającej wówczas Keżmarkiem, urządzić z licznym orszakiem w czasie Świąt Zielonych wycieczkę w Tatry[1]). Tradycja ta, pozbawiona ciągłości, była jednak martwa.

[1]) Posewitz (op. cit., str. 1) podaje, że była to żona starosty keżmarskiego Łaskiego (Laszky w transkrypcji węgierskiej), która wkrótce po swoim przybyciu do

Dlatego też podróży Soczyńskiego z roku 1825 nie należy lekceważyć; jest ona jeszcze zupełnie wyjątkowem zjawiskiem i jedną z najpoważniejszych wypraw, jakie historja taternictwa może wskazać w tym czasie. Wycieczka jego na Łomnicę była drugą znaną wyprawą polską na ten szczyt; — którą z rzędu jest wyprawą wogóle — trudno o tem coś pewnego powiedzieć i chcę się od tego powstrzymać. Janusz Chmielowski, który w swoich Przyczynkach do monografji Łomnicy (*Wierchy* R. II. Lwów 1924) ułożył chronologję pierwszych ośmiu wypraw na ten szczyt, w dawnej nomenklaturze niemieckiej noszący nazwę: Késmárker Spitze, — wyznaczyłby jej zapewne miejsce pomiędzy wyprawą siódmą z roku 1822 lub 1823 oficerów austrjackiego sztabu generalnego, robiących pomiary trjangulacyjne, a o całe dziesięć lat od naszej wyprawy późniejszą — wyprawą, według jego badań ósmą: J. H. Blasius, G. Hartlaub i A. hr. Keyserling, dnia 25 września 1835 roku.

Chmielowski w swojej pracy, mogącej być przykładem, jak tego rodzaju badania należy przeprowadzać, pominął jednak, dawszy się uwieść zbytniemu krytycyzmowi — wyprawę na Łomnicę z roku 1818 — Beudant'a, geologa francuskiego, autora pracy: *Voyage minéralogique et géologique en Hongrie pendant l'anné 1818 (Paris 1822*, t. 3). — Beudant zwiedził w Tatrach — opieram się na badaniach Posewitz'a (op. cit. str. 27) — jedynie dolinę Zielonego Stawu Keżmarskiego i szczyt Łomnicki, którego wysokość oznaczył na 2427 m. — Warto zaznaczyć, że Pauli podając tytuł (w swojej tece 5373 Bibl. Jagiell.) artykułu, zupełnie zapomnianego: *Kirándulás a Łomnicri scucsra* w piśmie *Család Könyve (Pest 1856)*, — zanotował obok i jego zarazem treść: „tu opisuje [autor artykułu] Szmeks-Tatra-Füred, z którego przez górę Kämmchen (Kisgerinczen) do doliny Kolbaku (Kahlbachnak, t. j. Łysianek) do Łomnicy, na której byli niemcy: Pfisterer,

Keżmarku, urządziła wycieczkę w góry — jak zaś przypuszcza — do Zielonego Stawu Keżmarskiego. Inaczej interpretuje przekaz, podany przez Genersicha — G. A. Hefty (por. G. A. Hefty und dr. J. Vigyázo: *Ausführlicher Führer durch die Hohe Tatra.* Kesmark 1922, str. 47); według niego miałaby to być młoda małżonka Hieronima Łaskiego. Zarówno Posewitz, jak i Hefty podaja zgodnie datę wycieczki — 1565. Wiadomości te są sprzeczne, bo Hieronim Łaski zmarł tragicznie w r. 1542 w Krakowię; wdowa zaś po nim Anna Kurozwęcka zm. w r. 1553. Syn ich i następca w Keżmarku — Olbracht Łaski, ożeniony był po raz pierwszy z Katarzyną Buczyńską z Olszyn, wdową po Jerzym Seredym; drugi raz w r. 1564 zaślubił blisko 50-letnią słynną Beatę Kościelecką (zm. w r. 1576); trzeci raz ożenił się z francuską Sabiną de Séré (zm. w r. 1620). Która z wymienionych małżonka obu Łaskich — ma zaszczyt być pierwszą „taterniczką", nie można na razie rozstrzygnąć z powodu niedostępności odnośnych źródeł historycznych.

Asbóth, Fischer, Buchholtz, Fichtel, Rochel, amerykanin Dacamera, hiszpan Gimbernat, francuz Beudant, anglicy Townson Robert, Hunter, Arnold, Hambrough, węgier Berzeviczy". Notatka ta, niezbyt zresztą krytyczna, odnośnie do Beudant'a jest prawdziwą i potwierdza fakt zwiedzenia przezeń Łomnicy — burząc tem samem układ chronologiczny pierwszych wypraw na ten szczyt, tak pracowicie sporządzony przez Janusza Chmielowskiego.

Mniej więcej od czasów wyprawy Karola Soczyńskiego, t. j. od roku 1825, zaczyna się Łomnica stawać najpopularniejszym szczytem tatrzańskim (według J. Chmielowskiego przypada to dopiero około roku 1835; por. op. cit. str. 150). Wyraźnie jednak świadczy o tem Moja podróż do Karpat (data napisania 5 sierpnia 1830; rękopis w tece 5373 Bibl. Jagiell.), której autorem jest x. Michał Świętopełk Głowacki, postać znana z powstania chochołowskiego (por. **Powstanie chochołowskie r. 46.** Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza wydał Dr. Stanisław Eljasz Radzikowski, Tydzień, Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego". R. 10, Nr. 30, str. 236, r. 1901). X. Głowacki odbył w roku 1830 wycieczkę do Morskiego Oka, która musiała się świetnie udać, skoro zachwycony nią projektował jeszcze raz odwiedzić Tatry, oświadczając: „że tej podróży nigdy zapomnieć nie zdołamy, i owszem, nowe przedsięwzięcia czynimy uczcić te wspaniałe hale z przydatkiem Kościeliska, plesów, Łomnickiego szczytu..." — Widocznie więc Łomnica należała już w roku 1830 do zwykłego programu wypraw tatrzańskich.

Był to jednak, niewielkiej dopiero stosunkowo garstce ludzi dostępny — najwyższy szczebel ówczesnej karjery taternickiej. — Podróżnicy z pierwszych 30 lat ubiegłego stulecia od polskiej strony zmierzający ku Tatrom zwiedzali w nich po większej części stałym trybem jedynie Morskie Oko, uważane podówczas „za najcelniejszy punkt w Tatrach". — Na tle też środowiska taternickiego tej doby niepoślednie znaczenie wyprawy Soczyńskiego występuje niezwykle wyraźnie; w porównaniu z nią — inne współczesne wycieczki wyglądają bardzo blado [1]).

---

[1]) Dla podkreślenia doniosłości wyprawy Soczyńskiego, przytoczę kilka zapomnianych i bibljografją Hugona Payer'a (por. jego: *Bibliotheka Carpatica, Kesmark 1880. Selbstverlag des Ungarischen Karpathen-Vereines, Iglo 1880)* nie objętych, opisów takich, zbyt skromnych, zbyt nieśmiałych i ograniczonych w swych zamierzeniach, wypraw w Tatry z tych właśnie lat. Te opisy wycieczkowe, nieraz pogardliwie zaliczane do działu bezwartościowych utworów belletrystyki tatrzańskiej — mają jednak wartość nieocenioną jako jedyne źródło dla poznania dróg rozwojowych i dążności taternictwa polskiego, odbijają ówczesne sposoby wycieczkowania i informują o ówczesnych urządzeniach turystycznych. Są to następujące:

## II.

Padło tutaj już kilkakrotnie nazwisko Żegoty Pauli'ego (ur. 1840, zm. 1895); zanim zapuszczę się w dalszą dziedzinę naszego tematu, godzi się poświęcić kilka słów uwagi temu nestorowi naszych archeologów, bibljografów i etnologów. Powinien on być wciągnięty do dziejów taternictwa, choćby na miejsce tych wielu nazwisk figurujących tam zupełnie bezpodstawnie — takich bowiem jak on gorących miłośników Tatr, tak niezmiernie żywo i wszechstronnie niemi się zajmujących, naliczyć można podówczas bardzo niewielu. — Nie bez znaczenia w jego biografji jest dla taternictwa fakt, że debiutował on literacko w piśmie lwowskiem *Mnemosine* (por. Leonard Lepszy: **Żegota Pauli,** Jego Żywot i Spuścizna Literacka. Cz. I. Kraków 1897, str. 8), wychodzącem pod redakcją prof. Ale-

---

*Bemerkungen auf einem Ausfluge nach dem Meerauge in den Karpathen des Sandezer Kreises von C. von B. (Wiener Zeitschrift für Kunst, Literatur, Theater und Mode. Wien 1818. Nr. 146—149).*

Pobyt w Karpatach dnia 25 sierpnia 1823 przez W... (Rozmaitości. Lwów 1823 r. Nr. 61, str. 481—486) — artykuł ten, będący opisem wycieczki do Morskiego Oka, a którego autorem jest późniejszy namiestnik Galicji Wacław Zaleski, długi czas był wielce popularny, przedrukowano go też (z opuszczeniami) w Pszczółce polskiej (Kraków, tomik III. Nr. 13 i 14) już w tym samym roku.

Wzmagającego się zainteresowania do gór, nie mogły zadowolić nieliczne opisy oryginalne polskie wycieczek w Tatry; często też zadowalano się tłumaczeniami, przeważnie z języka niemieckiego, wycieczek obcokrajowców. Taki n. p. opis podróży z roku 1826 profesora A. Wilhelm'a: *Reise in die Karpathen des Sandezer Kreises: Das Thal Kościelisko, die 5 Seen, das Meerauge. (Hormayers Archiv für Geschichte, Staatenkunde, Literatur und Kunst. I. Nr. 54, Wien 1829)* — tłumaczono i przedrukowywano po rozmaitych dziennikach i pismach „czasowych" bez końca. Wyszła ona i w Rozmaitościach lwowskich (r. 1830, Nr. 5, str. 33—35 i Nr. 6, str. 42—45) p. t.: Podróż w Karpaty obwodu sandeckiego, Dolina Kościelisko, pięć jezior, Oko Morskie, przez profesora... z niemieckiego. — Tę samą podróż Wilhelm'a przedrukowano bez wymienienia jednak autora p. t.: *Reise in die Karpathen des Sandezer Kreises in Galizia (Zeitschrift zur Unterhaltung, zur Kunde des Vaterlandes, der Kunst, der Industrie und des Lebens, herausgeg. von Jos. Edl. von Mehoffer. II. Jahrg. Lemberg 1841, Nr. 22—25).*

Wspomnianym powyżej Rozmaitościom lwowskim zapewnił miejsce w literaturze tatrzańskiej również artykuł (pióra kobiecego) anonimowy p. t.: Moja podróż do jeziora Morskie Oko w górach Karpackich leżącego, odbyta w lipcu 1827 r. (1830 r. Nr. 17, str. 129—131).

Miejsce w literaturze tatrzańskiej ma jeszcze jedno pismo lwowskie: *Mnemosine, Galizischer Abendblatt für gebildete Leser,* gdzie wyszła: *Reise in die Karpathen der Sandezer Kreises im Jahre 1834 von Prof. Tachau (Jahr. 1835, Nr. 22—26)* — jest to opis podróży do Pięciu Stawów Polskich, Morskiego Oka, Czarnego Stawu, Kościelisk i Zakopanego.

ksandra Zawadzkiego, przyrodnika, autora kilku cennych rozpraw i znanego badacza Tatr, o którym wspominają nieraz w swych pismach różni autorowie-turyści. Żegota Pauli już jako ośmnastoletni młodzieniec poznał prawdopodobnie Podhale (por. artykuł o nim Adolfa Strzelbickiego. Lud, z. 8, 1895), a w roku 1854 zwiedził Spisz; zdaje się, że wtedy to był również w Szmeksie w towarzystwie d-ra Bylickiego i Bronisława Ryxa (nazwiska znane w dziejach turystyki tatrzańskiej), i że stamtąd też wówczas przedsięwziął wycieczkę na Łomnicę.

Pauli zostawił po sobie, tylekroć w niniejszej rozprawie cytowaną tekę materjałów (głównie wypisów z różnych dzieł historycznych), dotyczących Podhala i Tatr, przechowywaną pod nr. 5373 w Bibljotece Jagiellońskiej. Część swoich materjałów wyzyskał w małej, lecz cennej rozprawie okolicznościowej, drukowanej w czasie procesu o Morskie Oko z Węgrami p. t.: Spór o Morskie Oko (Kraków 1891, nakł. „Czasu“). W rękopisie leżą gotowe lub napół gotowe rozdziały większej pracy o Tatrach, które poddał, a szczególniej „Tatry galicyjskie“, wszechstronnym badaniom: „pod względem geograficznym, historji naturalnej i etnografji“. W pracy swojej zwraca Żegota Pauli uwagę i na cele praktyczne, — rozprawa jego mogłaby być znakomitym podręcznikiem dla podróżujących po Tatrach, pod tym względem, obejmując teren specjalnie tatrzański, przewyższa nawet pierwszy przewodnik polski z roku 1860 prof. Eugenjusza Janoty, chociaż nie posiada tak systematycznego, jak ten, układu. W swoim czasie dziełko jego opublikowane — dzisiaj poza drobiazgami, nie przyniosłoby niczego nowego — byłoby świadectwem zupełnego opanowania przezeń całej współczesnej wiedzy o Tatrach; niemniej przebija się zeń również i praktyczna znajomość gór, — dlatego też, oddawszy pracy jego całkiem zasłużoną pochwałę — bardzo żałować wypada, że Pauli rozpoczętej pracy nie dokończył i nie ogłosił drukiem.

* * *

W drugim tomie *Wierchów* podałem krótką notatkę o pierwszej znanej wyprawie na Gierlach, zaczerpniętą z materjałów Żegoty Pauli'ego, którego kompetencja w sprawach dotyczących Tatr — nie ulega chyba wątpliwości; do jej ocenienia wystarczają już zupełnie słowa, poświęcone mu przezemnie powyżej. — Dzieje pierwszych wypraw wtedy tylko zasługują na dokładne przedstawienie, jeśli chodzi o przedsięwzięcie alpejskie w wielkim stylu. Ze względu na ważność roli, jaką odgrywa zdobycie Gierlachu, najwyższego szczytu tatrzańskiego w historji turystyki w Tatrach — zajmę się tym tematem dokładniej.

Dzieje zdobycia Gierlachu mają wręcz inne koleje, aniżeli historja zdobycia najwyższego szczytu w Alpach. — Zdobycie Mont Blanc przez Jacques Balmat i d-ra Piccard 8 sierpnia 1786 roku, po wielu bezowocnych próbach, z których najpoważniejsza datuje się z r. 1775; po wyznaczeniu nagrody pieniężnej w r. 1760 za znalezienie drogi przez H. B. de Saussure, który na szczyt ten wyszedł w rok po zdobyciu, jako drugi, pod przewodnictwem J. Balmat, — przypada w czasie, kiedy niemal wszystkie najwybitniejsze szczyty w Alpach pozostawały jeszcze dziewicze (por. Hans Pfann: *Der Montblanc. Zeitschrift des Deutschen und Osterreichischen Alpenvereins* T. XLIII. R. 1912, Wiedeń, str. 126). Zupełnie przeciwnie ma się rzecz w Tatrach. Zanim powszechnie stał się głośnym Gierlach, cały szereg najwyższych szczytów, jak: Krywań, Łomnica, Lodowy — oddawna już często odwiedzano. Stało się to głównie dzięki temu, że wskutek niedokładnych pomiarów, wiele szczytów tatrzańskich uchodziło kolejno za najwyższe, — a na najwyższe szczyty były skierowane wyłącznie wyprawy ówczesne. Jedna jedynie Wysoka, którą Mathias Bél (w dziele: *Prodromus Hungariae antiquae et novae,* Norymberga 1723) uważał za najwyższą górę na Spiszu (por. Posevitz op. cit. str. 16), nie mogła się jeszcze pochwalić zdobywcą. — Gierlach natomiast, skromny, jak każda prawdziwa wielkość i oddalony cokolwiek od ówczesnego centrum ruchu turystycznego — miasta Keżmarku (podkreśla to Posevitz op. cit. str. 2), nie zwracał zupełnie niczyjej uwagi; na współczesnych widokach Tatr i mapach, chociaż nawet umieszczany i wymieniany, potraktowany jest też dziwnie po macoszemu. To milczenie źródeł, lub ich w tym punkcie zwięzłość, wyklucza niemal możliwość, by znalazł się ktoś, kogoby zajął bliżej ten szczyt, nie nęcący niczem a odpychający groźną z daleka ścianą, wznoszącą się ponad kotłem Gierlachowskim. Trzeba było dopiero, aby trygonometryczny pomiar, wykonany jesienią roku 1838 przez Ludwika Greiner'a, dyrektora lasów księcia koburgskiego na Węgrzech półn., ogłoszony drukiem w jednem z pism budapeszteńskich w roku następnym (por. *Jahrbuch des Ungarischen Karpathenvereins* 1896, str. 130—133), — przyznał pierwszeństwo co do wysokości — Gierlachowi. Pomimo tego długo jeszcze za najwyższy szczyt w Tatrach uchodziła jednak Łomnica, albowiem o pomiarze Greinerowym mało kto wiedział; więcej znanym stał się on po ogłoszeniu go w *Allgemeine land- und forstwirtschaftliche Zeitung,* Wiedeń 1852 (Nr. 4, str. 32, artykuł p. t.: *Ueber Höhenbestimmungen den Karpathen);* następnie spopularyzował pomiar Greiner'a — inż. Jan Fabriczy w swoim: *Alphabetisches Verzeichnis der gemeszenen Meereshöhen in der Centralkarpathen und deren Umgebung, (Mittheil. des ung. Forstvereines,* III, 1857 Preszburg; por. Bronisław

Gustawicz: Pomiary tatrzańskie, Pam. Tow. Tatrz., r. 1883, t. VIII. Kraków, str. 70 i 71). Ciągle nasuwające się wątpliwości obaliły i ostatecznie sprawę wysokości rozstrzygnęły pomiary F. D. Fuchs'a, a następnie K. Koristki, opublikowane w roku 1863 i 1864, (o Fuchsie i Koristce patrz: Posevitz op. cit. *Jahrbuch des Ungarischen Karpathenvereines XLI. Jahrgang 1914. II. Theil;* jakoteż Janusz Chmielowski op. cit. str. 142). W tym też mniejwięcej okresie, bo dopiero przy końcu lat 60-tych zeszłego stulecia — według opowiadań mieszkańców wsi spiskiej Nowoleśna (por. Dr. August Otto: *Die Hohe Tatra,* wyd. 5. Berlin 1903, str. 124) — miał być Gierlach zwiedzony po raz pierwszy przez jakiegoś niewiadomego nam nazwiska turystę niemieckiego, którego wyprowadził tam Marcin Urban, młynarz, zajmujący się pobocznie przewodnictwem. — Zachodzi jednak pytanie — które zresztą przy sposobności omawiania pierwszych wypraw zdobywczych zawsze sobie można postawić — czy Gierlach nie był, tak samo jak Łomnica lub Krywań, zwiedzany od niepamiętnych czasów, a jedynie brak jest jakichkolwiek wiadomości o tych dawniejszych wyprawach? Świadectwo dobrze poinformowanych tubylców, mieszkańców Nowoleśnej, gdzie przewodnictwo zawsze kwitnęło — zdaje się to wykluczać. Gierlach przez pewien, chociaż krótki czas — dzielił prawdopodobnie losy Wysokiej. Fakt, że Gierlach nie był zwiedzony wcześniej, potwierdza również podawanie się za jego pierwszego zdobywcę Jana Still'a ze wsi Staroleśnej na Spiszu, nauczyciela szkółki elementarnej[1]), po którym pamiątki, laskę (Spazierbeil) i raki ofiarował niedawno do Muzeum Karpackiego w Popradzie dr. August Otto. (por. *Jahresbericht des Karpathenvereines 45, Jahrgang 1923,* Kesmark, str. 19). — Wyprawa Still'a, znanego zresztą, ale znacznie później, z pierwszego wyjścia na Pośrednią Grań (E. Téry i P. Schwarz z przewodnikami Stillem i S. Horway'em 11 sierpnia 1876), który na Gierlach miał się dostać razem z czterema koziarzami (nazwisk tych ewentualnych świadków nie podał) już w 1834 roku, a więc jeszcze przed pomiarem Greiner'a i w czasie ogólnego zastoju w ruchu taternickim na Spiszu (o upadku tym wspomina również: Gy. A. Hefty: *Die Erschlieszung [der Tatra],* Gy. A. Hefty i dr. J. Vigyázó: *Ausführlicher Führer durch die Hohe Tatra,* Kesmark 1922, z. I, str. 51), — budziła zawsze wiele zastrzeżeń i jest uważana za pewnego rodzaju „łacinę myśliwską“ przy jakiejś spo-

[1]) Oczywiście nie był Still nauczycielem dyplomowanym, ale chłopem-nauczycielem, zimą uczącym czytania i pisania dzieci wiejskie; tacy światlejsi chłopi jeszcze do niedawna — byli jedynymi nieraz krzewicielami oświaty w tych zapadłych kątach (por. x. Fr. Machay: Drobiazgi ze Spisza i Orawy, Cz. II. Czas. 11. X. 1924, Nr. 232).

sobności wymyśloną zupełnie celowo. Przedewszystkiem wiele daje do myślenia dziwnie długa przerwa, jaka upłynęła pomiędzy jego rzekomo pierwszą wyprawą na Gierlach a wyprawą drugą (w 1872 roku), po której bezpośrednio w latach następnych po kilkakroć wychodził na ten najwyższy szczyt w Tatrach, co nawet dało Chałubińskiemu (patrz jego: Sześć dni w Tatrach, Pam. T. T. R. 1879, T. IV, str. 58), powód do nazwania ambitnego nauczyciela — „monopolistą Gierlachu". — Pierwszą jednak jego wyprawę — powtarzam raz jeszcze — wobec zupełnego jej odosobnienia, więc też i płynącej stąd jej zagadkowości — należy uważać za rodomontadę turysty, broniącego swego zaszczytnego tytułu, czy pragnącego go jeszcze bardziej ugruntować.

Zaszczyt zrobienia pierwszej znanej wyprawy na Gierlach przypada według ostatnich wiadomości — niezaprzeczenie dwom botanikom: doktorowi medycyny Zygmuntowi Bośniackiemu i księdzu doktorowi Wojciechowi Grzegorzkowi (prace ich naukowe podaje H. Müldner: Bibliografia Karpacka. Pam. T. T. r. 1876), którzy wyszli na Gerlach dnia 11 sierpnia 1855 roku; a uprzednio byli na Łomnicy (7 sierpnia); nieco zaś później zwiedzili Lodowy (14 sierpnia) i Krywań (24 sierpnia) — i oprócz tego cały szereg dolin, z których w terminaturze ich wycieczki (por. *Wierchy* t. II, str. 256) są wymienione jedynie Koperszady Zadnie, Koperszady Przednie, Kołowa Dol., Dolina Zimnej Wody, Dolina Staroleśna, Wielicka Dol., Mięguszowiecka Dol., Koprowa, „Wiercicha" (stara nazwa) i Dolina Kościeliska. Przełęcze, przez jakie niezawodnie przechodzić musieli nie są podane; domyśleć się ich jednak nie trudno. Nic natomiast nie wiemy, czy wycieczka owa, tak niesłychanie pochlebnie świadcząca o ich temperamencie, inicjatywie i zdolnościach taternickich, — odbyła się w towarzystwie przewodników. Owoczesne wycieczki odbywały się jednak z reguły zawsze z przewodnikami; przypuszczać więc należy, że i wyprawy d-ra Zygmunta Bośniackiego i x. Wojciecha Grzegorzka nie obeszły się bez nich. Prawdopodobnie — z podanego itinerarium wycieczki nie można wywnioskować jednak pod tym względem niczego — byli to przewodnicy polscy, znaną bowiem jest powszechnie ambicja ówczesnych turystów polskich, aby chodzić jedynie pod przewodnictwem górali zakopiańskich, jak o tem można się przekonać z uważnej lektury pism taternickich X. Józefa Stolarczyka i Tytusa Chałubińskiego. Echo znamienne tego odezwie się jeszcze i w zarzutach podnoszonych przeciwko Karolowi Englischowi z Krakowa m. i. z powodu chodzenia wyłącznie z przewodnikami niemieckimi. Stwierdzić wypada jednak i wszelkie inne rozumowania są zbyteczne, że

nie znamy nazwisk ani polskich, ani spiskich przewodników, którzyby w tym czasie (r. 1855) wyprowadzali turystów na Gierlach.

W roku 1860 wyszedł w Krakowie (zakł. Jul. Wildta) Przewodnik w wycieczkach na Babią Górę do Tatr i Pienin (z mapą i widokiem) pióra x. d-ra Eugenjusza Janoty, odkrywcy wielu dróg nowych w Tatrach (ciekawą sylwetkę jego kreśli Stanisław Tarnowski: Szujskiego lata szkolne, Przegląd Polski. R. XIX, z. X. 1885, str. 25—27). Do przewodnika tego dodany jest: Spis roślin właściwych Tatrom (według rękopisów F. Berdaua); wśród stanowisk roślin, które spis ten podaje, figurują niejednokrotnie pozycje, będące świadectwem poważnych nawet wypraw tatrzańskich, przedsiębranych przez botaników-taterników w najodleglejsze zakątki Tatr, tak Zachodnich, jak i Wysokich. W spisie tym — Gierlach, jako stanowisko roślinne, wymieniony jest cztery razy (str. 78, 79, 80, 81). Z innych szczytów, najwięcej zadziwia wymienienie Wysokiej (str. 78) i „Mięguszowskiej“ (str. 81). — Wielce jest możliwem, że dane dotyczące Gierlachu udzielone zostały Feliksowi Berdauowi przez x. Grzegorzka lub dra Bośniackiego, zwłaszcza, jeśli się zważy, że pozostawali oni wzajemnie w osobistych stosunkach; x. Grzegorzek brał udział wraz z Berdauem i X. Stolarczykiem w wyprawie z r. 1854 na Lodowy, która, jak cały szereg wycieczek urządzonych przez ks. Stolarczyka (n. p. pierwsza wyprawa na Gierlach; wycieczka na wschodni szczyt Giewontu) — skończyła się na niczem. — „Jeśli wielbłąd idzie do Mekki, to niekoniecznie musi to być zaraz pielgrzymka“. Niezawsze również i botaniczne poszukiwania — były wyprawami. Chociaż zaś wiadomości o stanowiskach roślinnych w przeważnej ilości wypadków oznaczają raczej miejsca roślin po stokach górskich (doliny są wymieniane starannie), aniżeli same szczyty — czego najlepszym przykładem jest Mnich (nad Morskiem Okiem) w wykazach tych wspominamy często, — to jednak nie można wstrzymać się od przypuszczeń, że niejednokrotnie i same wierzchołki zostały zwiedzone przez botaników, zapędzających się aż tutaj w wielkim zapale naukowym. Przypuszczenia te zaś potwierdzają pośrednio wiadomości o zdobyciu Gierlachu przez wyprawę z dnia 11 sierpnia 1855 roku.

## III.

Wiadomości o wyprawach tatrzańskich d-ra Zygmunta Bośniackiego i x. d-ra Wojciecha Grzegorzka obdzierają z zadawnionej sławy nietylko Marcina Urban'a i jego towarzysza turystę-anonima, ale także i x. Józefa

Stolarczyka. — Tradycyjna charakterystyka X. Stolarczyka jako taternika, kierowała się wyłącznie wielką dlań czcią, jaką on bezsprzecznie zdobył sobie zasługami około parafji zakopiańskiej, będąc jej pierwszym proboszczem. W rzeczywistości zdobycze jego na polu taternictwa, a zwłaszcza taternictwa odkrywczego są znikome. Najwięcej zdziałał on swoim osobistym przykładem. Niejeden bowiem, widząc ciężką korpulentną postać księdza kanonika, który na tyle szczytów miał się wywindować, tylu tam bohaterskich czynów dokonać — zaraz nabierał i większej ufności we własne siły i śmiałości do gór. — Sławę pozyskał sobie ksiądz Stolarczyk głównie dzięki wyprawie na Gierlach (22 września 1874 roku z Wojciechem Rojem, Szymonem Tatarem star., Wojciechem Gąsienicą Kościelnym i Wojciechem Giewontem). Jest to — jak wiadomo — druga wyprawa polska, a szósta wogóle z rzędu na ten szczyt, — x. Stolarczyk uchodził jednak powszechnie za jego pierwszego zdobywcę. August Wrześniowski, profesor Uniwersytetu Warszaw. w pracy swojej: Tatry i Podhalanie (Pamiętnik Tow. Tatrz. t. VII, r. 1882, str. 3) pisze — inspirowany zapewne przez samego księdza proboszcza: „Ks. Stolarczyk pierwszy wszedł na szczyt Lodowego i Gierlachu, o czem jednak p. Kolbenheyer w swoim dziwnie oschłym i bezbarwnym przewodniku po Tatrach (*Die Hohe Tatra.* Cieszyn 1876) nic nie wspomina, pomimo, że o obydwóch tych szczytach podaje nic nie znaczące drobiazgi". — Pod rokiem 1867 zanotował X. Stolarczyk w swej Kronice Parafji zakopiańskiej 1848—1890 (patrz: Rocznik Podhalański t. I. Zakopane, Kraków 1914—1921) co następuje: „Dnia 17 września o godzinie pół do pierwszej z południa wyszedłem ja, Pleban z Jędrzejem Walą, Szymkiem Tatarem, Wojciechem Gąsienicą Kościelnym i Wojciechem Ślimakiem pierwszy na Szczyt Lodowy, dotychczas za niedostępny miany, na którym rzeczywiście jeszcze żaden tourista nie był. Tym sposobem byłem już na wszystkich szczytach, oprócz jeszcze Gerłachowskiego, i poznałem całe Tatry".

Na Lodowym nie był X. Stolarczyk pierwszym, podobnie, jak i na Gierlachu lub na Świnnicy (za której zdobywcę uważał się również, dopóki smutnego w tej sprawie odkrycia nie dokonał i nie ogłosił Walery Eljasz Radzikowski w swoich: Szkicach z podróży w Tatry, Poznań-Kraków 1874). — O wcześniejszem zwiedzeniu Lodowego mógłby się był dowiedzieć proboszcz-taternik z dzieła Staszicowego, które jako jedyną współcześnie polską pracę o Tatrach znać należało, — a jeśli nie z tej książki, to z artykułu swego ongiś towarzysza wypraw — Feliksa Berdau'a p. t.: Wycieczka botaniczna w Tatry, odbyta w r. 1854 (Bibl. Warsz. r. 1855, t. 3, str. 536—560), który był na Lodowym jako drugi Polak. —

Pokazuje się, że znajomość odnośnej literatury fachowej, była już wówczas konieczną dla tych, którzy pragnęli odkrywać nowe drogi.

Przed Stolarczykiem również, bo w rok po wyprawie F. Berdau'a wyszli — o czem była już mowa powyżej — na Lodowy dnia 14 sierpnia (1855 r.) — dr. Zygmunt Bośniacki i x. Wojciech Grzegorzek. Wyjść tych było prawdopodobnie więcej, — i myli się Janusz Chmielowski (w artykule: Prof. Leopold Świerz (wspomnienie pozgonne) Pam. T. T. t. XXXIII. r. 1912, str. 4), twierdząc, że wyprawa: Adam Asnyk, dr. Franciszek Bylicki, x. dr. Antoni Krechowiecki, Leopold Świerz, pod wodzą Jędrzeja Wali ojca, dnia 18 sierpnia 1873 roku, — była zaledwie siódmem na szczyt ten wyjściem.

* * *

Oto trochę faktów, dat, stwierdzeń, uwag przygodnych, przypuszczeń i ocen nowych — dotyczących początków taternictwa polskiego. Taternictwa — oczywiście nie z dzisiejszego punktu widzenia, ale w ujęciu ciągłości rozwojowej. — Pośród dat najważniejszym jest rok zdobycia Gierlachu. Wyprawa, która obudziła z martwoty ten najwyższy szczyt Tatr, oznacza bowiem pewien etap finalny w dziejach turystyki tatrzańskiej — obracającej się początkowo w ciasnem kole wypraw, skierowanych jedynie na kadłuby największych olbrzymów tatrzańskich. Odtąd poczynają się wydobywać na wierzch zupełnie nowe problemy; rozszerza się zakres wypraw i popęd poznawczy obudza dążność do wdzierania się — z kolei rzeczy — na najtrudniejsze szczyty, na najniedostępniejsze turnie.

*Jan Dürr.*

# Z dziejów stosunków kościelnych na Podhalu

## z końcem XVI i na początku XVII wieku.

Materjałem do niniejszego artykułu, nie roszczącego sobie żadnych pretensyj naukowych, są trzy księgi wizytacyj kościelnych odbytych w roku 1596, 1608 i 1618 na Podhalu. Księgi te znajdują się w archiwum kapituły krakowskiej na Wawelu, a użyczył mi ich najłaskawiej X. kanonik dr. Jan Korzonkiewicz, za co składam Mu najgorętsze podziękowanie.

Nie mam zamiaru zajmować się sprawami organizacji kościelnej. Za jedyne swoje zadanie uważam zebrać z ksiąg wizytacyjnych ten materjał, który nas interesuje ze stanowiska historji kultury na Podhalu, przyczem już z racji treści tych ksiąg nie mogę zajmować się całokształtem zagadnień historycznych odnośnie do owych czasów w stosunku do Podhala.

Wizytacja z r. 1596 objęła wsi: Tylmanowę, Ochotnicę, miasteczko Krościenko, Szczawnicę, Grynwałd, Kluszkowice, Maniowy, Sromowce Wyżnie, Sromowce Niżnie, Dembno, Łopusznę, Ostrowsko, Waksmund, miasto Nowy Targ, Szaflary, Ludzimierz, Czarny Dunajec, Klikuszowę. Szaflary były zatem ostatnią wsią, do której wizytator biskupi mógł, czy chciał dojechać w kierunku Tatr. Niema zatem wzmianki o Zakopanem. Szereg nazw tych wsi brzmi w księgach wizytacyjnych nieco inaczej, niż dziś. Czytamy mianowicie: Grywałd i Grinwald — Hartlowa (jeszcze w XVIII wieku tak nazywana, n. p. w księdze wizytacyjnej z r. 1727; tak brzmiąca nazwa utrzymała się — według łaskawej informacji p. kusztosza J. Zborowskiego — w ludowej nomenklaturze), Łopuszna i Łopuszno, Wachsmuth i Waxmąnd. Szereg nazw wsi, jak widzimy, nie posiada polskiego brzmienia. Inne ślady obcych elementów znajdujemy również, o czem mowa później

Wymienione wsi obejmowały t. zw. dziekanat nowotarski. Mieściło się w nim niewiele kościołów, kościółków, kaplic i kapliczek, a prawie bez wyjątków były drewniane. W r. 1596 wspomina wizytator biskupi o kilkunastu wsiach, które nie posiadały wcale ani kościoła, ani kaplicy, jak n. p. Kłodne, Mizerna, Biały Dunajec, Bańska, Maruszyna, Leśnica, Krauszów (zwany też Krauszową), Długopole, Morawczyna, Sreniawa (tak! — i to stale zamiast „Sieniawa"), Chochołów, Czerwone, Wróblówka, Rogoźnik, Odrowąż (nazywany w piśmie także „Odrowąs"), Pieniążkowice. Wizytator w r. 1608 wymienia również wsi, pozbawione nawet kaplic, jak n. p. Babiniec, Hałuszowa, Knurów, Stembarg, Gronków (zwany też „Gromkowem" i „Grunkowem"), Skrzypne, Ratułów (nazywany też — zapewne poprawnie — „Ratułtowem"), Ciche („Ci-

cha“), Podbrody, Załuczne, Podczerwone, Dział, Brody, oraz wsi wymienione wyżej. Niektóre z tych wsi były coprawda nowe i posiadały bardzo nieliczną ludność. W następnej wizytacji, w r. 1618, nie są wymienione nowe wsi, nie posiadające swych kościołów i kaplic, ale też niema mowy o powstawaniu nowych kaplic. O Witowie, Poroninie, Zakopanem i wielu wsiach na wschód od tych miejscowości nie znajdujemy żadnych jeszcze wzmianek. Tak więc między r. 1596 i 1618 z 30 w księgach wizytacyjnych wymienionych wsi tylko 19 posiadało swe kościoły wzgl. kaplice.

Gorzej bez porównania przedstawiała się sprawa z ilością proboszczów i wikarych. Oczywiście zdarza się, że jeden proboszcz, zwany zwykle plebanem lub presbiterem, ma do obsłużenia 2 lub 3 wsi, z których tylko jedna jest miejscem jego stałego pobytu. Wizytator w r. 1596 zostaje tylko w 5 wsiach względnie miasteczkach (Nowy Targ, Maniowy, Krościenko — a więc „przy gościńcu“) księży osiadłych na stałe. Brakło proboszczów w 14. wsiach (m. i. w Szaflarach i Czarnym Dunajcu). Tylko połowa posiadała t. zw. filjalne kościoły. W jednych wsiach był kościół, ale proboszcz nie miał domu, w innych wsiach był dom — zwykle lichy i walący się — ale kościół, dawniej już istniejący, znajdował się w gruzach, albo też zabrał go z sobą... Dunajec lub inna rzeczka czy dziki potok. W takich warunkach mogli znaleźć się rybacy, łowiący dusze w mętnej wodzie, a sprzyjały im warunki geograficzne: odcięcie niejako od reszty Polski. Mowa o nich niżej. Stosunki te poprawiały się bardzo powoli. Mimo to wizytator w r. 1618 znalazł jeszcze kilka kościołów nieobsadzonych, przyczem niektóre były obsługiwane z parafji nowotarskiej, z Maniów i Krościenka. Dodać tu należy jeszcze, że często bywały zrywane mosty przez powodzie, jak czytamy w księgach wizytacyjnych, tak, że ludność nie mogła się dostać do kościoła; ileż chrztów i śmierci, pogrzebów, musiało się odbywać bez asysty kapłana, nie mówiąc już o... spóźnionych lub odkładanych na inne czasy ślubach.

W takich stosunkach zatracały się źródła utrzymania proboszcza i kościoła, jak nam mówią cytowane źródła. Tu przywłaszczył sobie śmielszy wójt i nie-wójt (niekiedy także... „opiekun kościoła“, „vitricus“, zwany przez ludność „wytrykusem“) kawałek roli kościelnej, lub wyrąb lasu, zabierał pasiekę kościelną, z której wosk służył na potrzeby kościoła, a miód był sprzedawany dla tych samych celów. Nie brakuje dowodów, że i władcy zamku czorsztyńskiego lub ziemianie patrzyli pożądliwem okiem na pewne kawałki roli kościelnej, którą tak łatwo było coraz bardziej zaorywać. Co prawda wizytator wzywał poważnych wiekiem i radą kmieci, aby dowiedzieć się od nich, co i ile niegdyś mogło do kościoła lub plebana na-

leżeć, nakazywał rewindykacje, groził karami kościelnemi; ale rezultaty tych zabiegów nie były prawdopodobnie zbyt obfite i groźne.

Czytamy też tu i ówdzie, że wylewy rzek i potoków podmywały i niszczyły kościółki i kapliczki; zabierały z sobą nietylko części cmentarza, ale i rolę kościelną. I ludzie i natura nie odznaczały się zbytkiem poszanowania praw kościelnych. I jak z jednej strony nie brakło dowodów naiwnej, prymitywnej religijności, którą niekiedy czuć jeszcze dawnemi kultami, tak z drugiej strony nie brak objawów poufalenia się ze sprawami boskiemi o czem mowa będzie niebawem, a co uwidacznia się w naszych ludowych kolędach i pastorałkach.

Ileż notatek wizytatorskich stwierdza, że w szeregu wsi kościół lub kaplica są niepoświęcone, albo nawet wprost sprofanowane. A to samo odnosi się do wielu ołtarzy! Z siedziby nowotarskiego dziekanatu nie promieniowała widocznie troska o sprawy duchowne. Dlatego też trudno się dziwić, że wysoce pilny i surowy wizytator w r. 1608, X. Jan Januszowski, archidjakon nowosądecki, nazwał dziekanat nowotarski: „receptaculum omnium apostatarum“ — schronieniem wszelkich apostatów, którym góry i trudny dostęp ułatwiały pracę, nie doznającą przeszkody ze strony bezsilnych zapewnie plebanów nowotarskich, a chronioną pewnie przez ludność, która należytej opieki kościelnej mieć nie mogła, choć jej potrzebowała lub pragnęła.

Z odległych stron Polski chronili się na Podhale ci wszyscy, którym jak bohaterowi noweli Tetmajera, sprzykrzył się pobyt w murach klasztornych, a tęsknota do swobody granic nie miała. Uciekali w góry dopiero wtedy, gdy przyszła wieść o zbliżającym się wizytatorze biskupim. Czytamy w księdze wizytacyjnej z r. 1596, że w Szaflarach rządził się jakiś monachus-vagabundus Mikołaj, który uciekł z klasztoru w... Pokrzywnicy. Inny „vagus presbiter“, imieniem Jakób, uciekł z klasztoru św. Katarzyny (w Krakowie?) i trudnił się duszpasterstwem w Sromowcach Wyżnich; nim wizytator zdołał dojechać do tej wsi, już na 3 dni przedtem odpłynął Jakób do Węgier. Czy na długo? Ale nic w tem dziwnego. Król przedstawił do prezenty sromowieckiej jakiegoś Macieja, wikarego z Raby Wyżnej, ale tenże Maciej nie kwapił się z przybyciem. Do owego Jakóba wysyłał wizytator wezwanie, aby do Sromowiec wrócił, ale brat Jakób wolał być mądrym i ostrożnym. W Krościenku urzędował presbiter Krzysztof z Lelowa. Z niewiadomych powodów uciekł przed zbliżającym się wizytatorem. Inny mnich, uciekinier z klasztoru Augustjanów krakowskich, Sebastianus a Roza, rządził się na parafji w Harklowej. Wspomniany wyżej Jakób odprawiał nabożeństwa także w Dembnie.

Podobne stosunki trwały jeszcze w r. 1608. W Sromowcach zjawia się nny apostata, tym razem Marcin z zakonu... kaznodziejskiego, ex-Dominikanin, osadzony tam przez... maniowskiego proboszcza Krzysztofa Piotraszewskiego, któremu z Maniów do Sromowiec było widocznie zanadto daleko. I Marcin nie czekał na wizytatora. Musiał mieć niezłe dochody w Sromowcach (Wyżnich), dokąd z Węgier przybywało 2—3 tysięcy ludzi na spowiedź. Sromowce posiadały jeden z najstarszych na Podhalu kościół, otoczony wielką aureolą sławy. Ale kościół ten zaniedbano. Pisze wizytator o Sromowcach Wyżnich: „To miejsce oddawna było schronieniem apostatów, ponieważ Dunajec, będący naszą granicą z Węgrami, łatwą dla nich stanowi obronę“. Zleca wizytator plebanowi maniowskiemu, aby nie dopuszczał do Sromowiec „heretyków i apostatów“. — W Harklowej zeznają „wytrykusy“, że dawniej w harklowskim kościele rządzili właściwi proboszczowie, „poźniej sakramentów udzielały wszelakie wagabundy i apostaci“. Podobne stosunki panowały w Szaflarach, tuż pod bokiem księdza dziekana nowotarskiego. Także co do plebana ludzimirskiego, Adama Paciorka, miał wizytator pewne wątpliwości, ponieważ Paciorek nie posiadał „litteras ordinationis“.

Wizytacja odbyta w r. 1618 stwierdziła poprawę stosunków. Stosunki proboszcza i kościoła do ludności stają się ściślejsze i bardziej poprawne. Ludność nowotarska zwłaszcza dba o kościół i nie szczędzi ofiar. Działa szereg bractw. Nie zmienia to, co prawda, znanej poufałości u okolicznej ludności wobec spraw religji i kościoła. Księgi wizytacyjne notują szereg interesujących faktów, które bez wyjątku popierają to, co o tym stosunku pisze Witkiewicz, a zwłaszcza K. Tetmajer w swym „Bajecznym świecie Tatr“. Są to fakty interesujące także z tego powodu, że przynoszą garstkę wiadomości o wędrujących po Podhalu pasterskich Wołochach. Opieram się na księgach z r. 1596 i 1608, późniejsze bowiem nie odznaczają się dokładnością w notowaniu ciekawszych wypadków i spostrzeżeń.

Wizytator w r. 1596 szczególnie dokładnie zajął się Nowym Targiem. Nie wszystko go tu zachwyciło. Najmniej losy kaplicy św. Jerzego. Była to kapliczka drewniana, z drewnianemi świecznikami na murowanym ołtarzu i bez żadnych aparatów kościelnych. Nie posiadała też żadnego uposażenia. „Ta kapliczka stoi w polu i dlatego jest w niewielkiem poważaniu“ — pisze wizytator. Przytacza też dowody tego despektu: „Niekiedy pasterze zamykają w niej bydło“. Niekiedy znowu Wołosi (Walachi) chronią się do niej przed deszczem. „Et ideo in suo honore vix conservari potest“ — dodaje smętnie wizytator. Nakazuje kapliczkę zabezpieczyć, aby „pasterze bydła i pijani Wołosi („ebrii Walachi“) nie dostali się do wnętrza

kapliczki. Także kapliczka św. Leonarda nie była zabezpieczona należycie. „Zwierzęta wchodziły pod jej fundamenty". W następnych wizytacjach niema już wzmianki o tych defektach w poszanowaniu kaplic.

Już wyżej zauważyliśmy, że Sromowce Wyżnie były źródłem zgorszenia wizytatorów biskupich. Nie brakło innych „scandala", ale bez złej woli powstałych. Kościół sromowicki, o którym legenda głosiła, że założyła go królowa Kinga, posiadał starożytne obrazy, o których wspomina wizytator w r. 1608. Prócz tego pod ścianą w chórze stała dziwaczna szopka, rzeźba, przedstawiająca położnicę na łożu, a obok niej św. Józefa, położnę, wołu, osła, „i inne osoby" — jak pisze wizytator. Tuż obok wisiał obraz, przedstawiający wprawdzie Trzech Króli, ale „non sine risu et scandalo". Owo łoże wyrzucono z klasztoru w Lechnicy. Znalazło przytułek w Sromowcach Wyżnich i zastało „zaaplikowane" do tego łoża. Wizytator ostrzega przed zgorszeniem i oburzeniem, ale równocześnie dowiaduje się, że w jakiejś skrytce tego łoża mają znajdować się ukryte pieniądze kościelne...[1])

Wiele innych przyczyn niezadowolenia odkrył sumienny wizytator. Tu wali się kapliczka, tam chór należałoby podeprzeć. Gdzieniegdzie cyborjum jest otwarte i pełne much, albo książki kościelne nie w porządku. Niekiedy księgi chrztów i małżeństw nie są wcale prowadzone, albo proboszcz nie protestuje przeciw temu, aby chrzczone dziecko miało po kilkanaście... rodziców chrzestnych (objaw sprytu i wyrachowania podhalańskiego!). Przestrzega też, aby na probostwie nie znajdowały schronienia zbędne osoby, aby nie odbywały się tańce i inne zabawy. Nakazuje wystrzegać się rozmów z heretykami i apostatami.

Kilka interesujących szczegółów jeszcze można podać z wewnętrznych spraw kościelnych. I tak n. p. jedynym kościołem na Podhalu, mającym przy końcu XVI wieku organy, był kościół nowotarski. Pomocnikiem organisty, „kantorem", był... dzwonnik, kościelny. Na chórze śpiewał także chór chłopców szkolnych, pod wodzą swego kantora. — Bibljotek przy kościołach i kaplicach nie było żadnych, co jest rzeczą zrozumiałą. Nie każdy kościół posiadał nawet komplet ksiąg liturgicznych. Jedne księgi były drukowane, inne pisane. W inwentarzach z r. 1596 bywa wspominany „mszał krakowski" (missale cracoviense), bardzo rzadko natomiast mszał rzymski,

[1]) Wizytor czyni wzmiankę o starożytnym klasztorze Kartuzów w Lechnicy, przed niedawnym czasem, a więc w XVI wieku, zajętym przez dyssydentów. Pisze m. i., że klasztor ten znajdował się wśród najwyższych wzniesień górskich w jakiejś przełęczy, posiadał szereg wspaniałych budynków, poczem został zajęty przez zbrojnych dyssydentów, obecnie zaś jest schronieniem heretyków, włóczęgów i apostatów. Dyssydenci zrabowali wszelkie kosztowności, wspaniałą bibljotekę i 130.000 talarów.

Co więcej — szereg kościołów posiada graduał lub antyfonarz „pruski“ (pruthenicum), to znaczy drukowany lub pisany (niekiedy na pergaminie) w Niemczech. Wizytator nakazuje kupić wydania ksiąg liturgicznych według rytu rzymskiego. W Ostrowsku znalazł się nawet mszał ostrzyhomski (missale strigoniense). Szereg ksiąg musiał pochodzić z czasów bardzo dawnych, skoro wizytator nazywa je „antiquissimae“. Nie wszędzie wypełniono wezwanie wizytatora. Jeszcze w r. 1618 stwierdza wizytator, że księgi liturgiczne według rytu rzymskiego tu i ówdzie nie są dotychczas w użyciu,

W księdze z r. 1608 zwraca uwagę wezwanie, aby ornaty przystosowano do zwyczaju rzymskiego. Jaką formę mogły mieć te dawniejsze ornaty? — tego nie wiemy. Jednakże w księdze wizytacyjnej z r. 1723 w opisie kościoła parafjalnego w Rabie, znajdujemy wiadomość, iż były tam w użyciu ornaty rytu greckiego, które wizytator kazał przerobić na formę rzymską („ex ritu graeco in ritum romanum“). Czy takie ornaty były dawniej w użyciu na Podhalu? — trudno oznaczyć.

Zdaję sobie sprawę z tego, że wszystkie te szczegóły, które podałem, nie są niczem innem, jak tylko szczegółami z przeszłości stosunków kościelnych na Podhalu. Daleko jeszcze jest do nakreślenia całokształtu. Praca ta jest raczej zachętą do dalszych badań, które obecnie, przy rozwijaniu działalności regjonalizmu będą mogły może posunąć się szybszem tempem ku owocnej przyszłości.

*Adolf Chybiński.*

# Ideologja alpinistyczna Mallory'ego.

## (Wyprawy na Mount Everest).

Wyprawy angielskie na Mount Everest stanowić będą na zawsze najwspanialsze karty w dziejach alpinizmu. Wieczysta i wrodzona człowiekowi miłość do gór, pragnienie odkrywania nieznanych i tajemniczych światów przyrody górskiej, wśród radości życia rodząca się potrzeba przeżywania i przezwyciężania trudności, które były uważane dotąd za niepokonalne — te wszystkie szlachetne właściwości człowieka złożyły się na olbrzymie, bezprzykładne wysiłki, wśród których niezłomni alpiniści angielscy walczą o pokonanie Chomolungmo, „Matki Gór“, najwyższego szczytu naszej ziemi, nazwanego przez Anglików Mount Everest.

Wraz z całym światem, a w pierwszym rzędzie wraz z alpinistami Europy, również i polscy taternicy śledzą z baczną uwagą i ze wzmagającem się zainteresowaniem przebieg wypraw na Mount Everest. „Jest to zrozumiałem“ — mówi na wstępie opisu swej pierwszej wyprawy bohaterski Mallory — „że wszyscy alpiniści życzą powodzenia wyprawom na Mount Everest, gdyż one są poniekąd ich własnem przedsięwzięciem“. Kiedy więc w czerwcu ubiegłego roku telegraf rozniósł po świecie wiadomość, że trzecia ekspedycja na Mount Everest zakończyła się tragiczną śmiercią Mallory'ego i Irvine'a, wszyscy ci, którzy śledzili przebieg tych wypraw i oczekiwali wiadomości o zwycięstwie, posłali myśli zwątpienia i żalu ku tej wielkiej, tajemniczej górze, z której wionął straszny podmuch śmierci i zniósł na szerokie doliny mgły smutku. Zrazu nie chciano wierzyć tej nieoczekiwanej wiadomości. Każdemu, kto czytał opisy dotychczasowych wypraw na Mount Everest, było przecież wiadomem, że Mallory, poza wyjątkowemi warunkami fizycznemi, odznaczał się niewyczerpaną energją woli, wielką wiedzą i doświadczeniem alpinistycznem oraz zadziwiającą ostrożnością i rozwagą. Mallory, jedyny uczestnik wszystkich trzech wypraw na Mount Everest, zdawał się być niepokonany.

Niestety, po nadejściu dalszych wiadomości, wątpliwości te musiały ustąpić przed bezlitosną prawdą. W pełni sił, w pełni największej chwały alpinistycznej, po przezwyciężeniu najcięższych prób i niebezpieczeństw, padł ten, nietylko wielki, lecz i dziwnie szlachetny alpinista. Tajemnicę jego śmierci kryje zazdrośnie niezdobyty, potężny i groźny Everest. Padł może po ciężkiej, godnej go walce z ostatniemi turniami szczytu. Może straszliwy gniew dumnej „bogini Chomolungmo“ zaskoczył go i złamał, bez możności jakiejkolwiek obrony; a może wreszcie, odniósłszy zwycięstwo,

legł wyczerpany na wieczny sen na szczycie „góry matki". Nie dowiemy się tego nigdy; góra pozostała milcząca, jakby nie chciała odsłonić tajemnicy swych ofiar.

Mallory, jak wspomniałem wyżej, brał udział we wszystkich dotychczasowych wyprawach na Mount Everest. On to odkrył w 1921 r. jedyną drogę, która otwierała możliwość zdobycia góry; on szturmuje dwukrotnie podczas następnej wyprawy szczyt, który w dwa lata później miał się stać jego grobem. Wiedział, że w walce z olbrzymem-górą czekają go nieznane



Mount Everest, 8.860 m., o zachodzie słońca. Na pierwszym planie: główny obóz na wysokości 5.050 m. Mount Exerest oddalony od obozu około 18 klm. w linji powietrznej.

problemy, że grożą mu nowe a nieuniknione niebezpieczeństwa, nietylko z powodu rozrzedzonego powietrza i podbiegunowych mrozów, lecz i z powodu potwornych lawin i burz śnieżnych o nieznanej dotąd nigdzie intenzywności i potędze. Szedł do walki z żywiołami, stojącemi na straży najwyższej góry świata, uzbrojony w tę energję, której moc w obliczeniu niebezpieczeństw zdawała się potęgować. Zapewne sądził, że odniesie zwycięstwo, lecz był gotów odkupić swem życiem doświadczenie pioniera.

Przedewszystkiem jednak szedł Mallory w krainę niezrównanego piękna przyrody górskiej, szukając w niej radości i upojenia. Był jednym z tych, u których — jak mówi Rabindranath Tagore — „radość światła słonecznego, radość świeżego powietrza, mieszając się z radością ich istnienia, stwarza słodką harmonję, panującą w nich i dokoła nich. Ich dusza zwrócona ku nieskończoności, nie szuka bogactw, lecz wolności i radości". Jak ci, którzy „patrzą wzwyż, bo zaprawdę nigdy za wysoko spozierać nie można", szedł Mallory ku podniebnym wyżynom gór himalajskich. I znalazł w nich grób na takich wysokościach, na jakich dotąd żaden człowiek nie spoczął — grób wśród najwynioślejszych turni świata, okryty całunem wiecznych śniegów. Pod nim, o dwa tysiące metrów niżej, leży jego siedmiu towarzyszy-kulisów, przysypanych lawiną podczas wyprawy w 1922 r. [1]). W dali, wśród lodowców potężnego Manga Parbat, spoczywa jego wielki poprzednik i rodak Mummery, który przed laty wraz z dwoma towarzyszami na tym 8.117 m. wysokim szczycie himalajskim zginął bez śladu. W siniejącym w oddali Khamba - Dzong leży jego towarzysz Dr. Kellas, zmarły podczas pierwszej wyprawy na Everest.

„Kto idzie w góry, idzie do swej matki", mówi stare hinduskie przysłowie. Jakżeż bezlitosną dla niego była „Matka Gór", przykuwając go na wieki do swych podniebnych skał, jego, który szedł do niej w wielkiej tęsknocie i miłości....

* * *

Do połowy XIX. wieku najwyższy szczyt świata nie był znany żadnemu Europejczykowi. Za najwyższe wzniesienie Himalajów uchodziła Kanchenjunga, dobrze widoczna z miejscowości Darjeeling. I podobnie jak nasza Łomnica, uchodząca przez długie lata za najwyższy szczyt tatrzański, ustąpiła pierwszeństwa Garłuchowi, tak i Kanchenjunga musiała uchylić dumne swe czoło przed około 400 m. wyższym szczytem Everestu. Kiedy wszystkie śnieżne turnie Alp zostały zdobyte, kiedy na wyniosłych wierzchołkach Kaukazu stanęli Freshfield i Mummery, kiedy wreszcie potężne Andy i ich kró-

[1]) Podczas tragicznego wypadku z lawiną, w którym straciło życie siedmiu kulisów, zapytał Mallory pozostałych górali tybetańskich, czy życzą sobie, aby odgrzebać i znieść w doliny ciała zabitych towarzyszy dla sprawienia im pogrzebu. Kulisi prosili, aby zabitych pozostawić tam, gdzie zginęli. Opis tej sceny kończy Mallory słowami: „W zupełności podzielałem ich uczucia; czyż można sobie wybrać na grób piękniejsze miejsce, niż to, w którym tamci zginęli?"

Ogarnąć nas musi głębokie wrażenie, gdy uprzytomnimy sobie, że w rok później na tych samych wyżynach najwznioślejszego szczytu ziemi znalazł dla siebie grób Mallory...

lowa Aconcagua padły pod stopami Whympera, Conway'a i Zurbriggen'a, zaczął człowiek słać swe myśli i spojrzenia ku najwyższemu szczytowi ziemi, marząc o jego zdobyciu. Douglas Freshfield, weteran alpinistów angielskich, żył tą myślą nieustannie. Lord Curzon, Longstaff, Mumm, Rawling i wreszcie kierownicy ostatnich wypraw, płk. Howard-Bury i gen. Bruce, wielokrotnie usiłowali wprowadzić w czyn swe pragnienia zdobycia Everestu. Niestety niepokonalne trudności natury politycznej paraliżowały ich wszystkie zamiary. Mount Everest leży w rdzennym grzbiecie Himalajów, przez który przechodzi granica Tybetu i Nepalu, dwóch dla świata zamkniętych krajów, do których wstęp był dla Europejczyka jak najsurowiej wzbroniony.

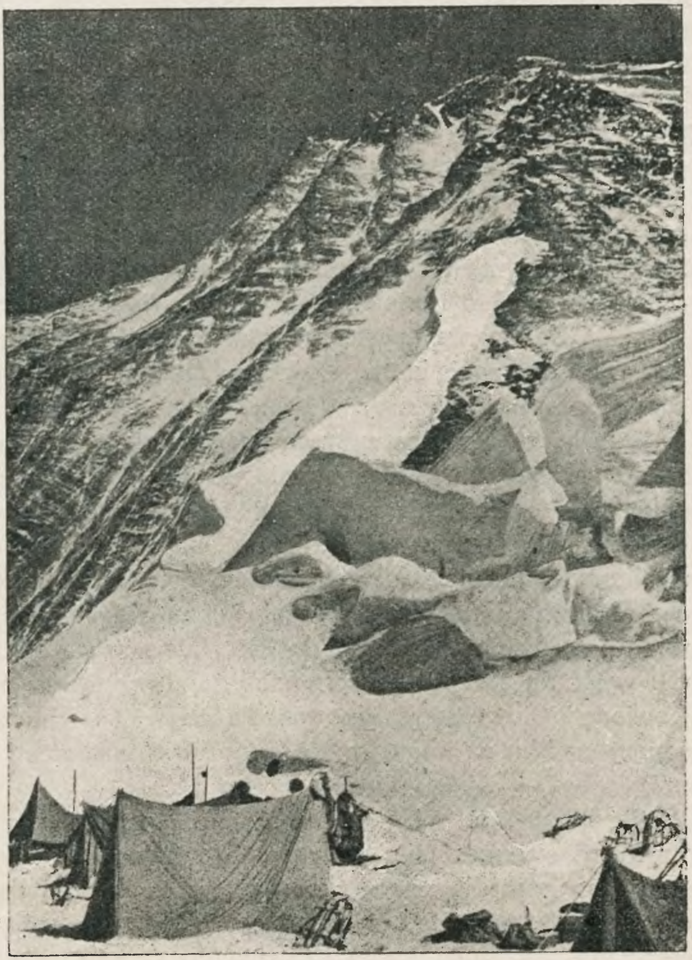
Nieznany świat górski, nieznane trudności i niebezpieczeństwa, nieznane problemy pociągnęły wielu najwybitniejszych alpinistów w inne dostępne dla Europejczyka łańcuchy górskie olbrzymiego świata himalajskiego. Nastąpił szereg wypraw: Younghusbanda, Mummery'ego, Bruce'a, Longstaff'a, Made'a, Crawley'a, Raeburn'a; osiągano stopniowo coraz większe wysokości, aż do największej, 7.500 m. wynoszącej, do której doszedł ks. Abruzzów podczas wyprawy na drugi z rzędu co do wysokości szczyt Chogo-Ri, w grupie Karakorum.

Wyprawy te uchyliły zasłonę, która zakrywała przed naszemi oczami największy chaos górski świata. Otwarło się dla wielu pokoleń olbrzymie pole dla dokonywania wielkich czynów alpinistycznych. Potężny ten łańcuch górski, 3.200 klm. długi, któryby się rozciągał od Calais aż do morza Kaspijskiego, kryje w sobie dla dzisiejszych i przyszłych rzesz alpinistów około 11.000 szczytów ponad 6.000 metrów wysokich, przeszło 80 szczytów wyższych od 7.010 m. wysokiej Aconcaguy w Andach; 20 przekracza wysokość 7.900 m., a 6 wznosi swe szczytowe turnie ponad wysokość 8.200 m. Ponad te olbrzymy wznosi się na wysokość 8.860 m. „król wysokości", Chomolungmo.

Żadnego z wielkich szczytów himalajskich nie zdołał zdobyć do tej pory człowiek. Oprócz bowiem olbrzymich trudności, tkwiących w niemożliwości wdychania potrzebnej dla życia ilości tlenu, grożą tam śmiałemu alpiniście niebezpieczeństwa o tak wielkiej skali, jakiej nie posiadają żadne inne góry naszej ziemi. „Jeśli w Alpach obsunie się śnieg", — pisze prof. Collie, prezes Angielskiego Klubu Alpejskiego, — „to powstaje lawina; w Himalajach staje się ona straszliwym paroksyzmem przyrody. Olbrzymie pola lodowe, zawieszone na wysokich graniach gór, grożą każdej chwili oberwaniem się, a gdy runą, lecą nie na setki, lecz na tysiące metrów w dół; wicher, wywołany pędem tych lodowych mas, zmiata z siłą hura-

ganu resztki lawin z dolinnych lodowców. Niekiedy nawet bywają przerzucane bryły lodu w poprzek szerokich pól lodowcowych". Obrywanie się skał przybiera w Himalajach rozmiary gigantyczne; gigantycznych też rozmiarów lodami są pokryte ściany olbrzymów himalajskich, ściany, zwłaszcza od strony południowej, gdzieniegdzie przeszło 5.000 m. wysokie.

Trudności te i niebezpieczeństwa nie mogą jednak powstrzymać człowieka w jego nieugiętej woli zbadania wszystkich tajników, które kryje przed nim ziemia. Tak, jak niegdyś odkrywał nowe światy, badał ich puszcze i pustynie, schodził wszystkie pasma gór, dotarł do groźnych i lodowych krain biegunów, tak i teraz wypowiedział walkę najwyższej górze ziemi. I stanie zapewne na niej człowiek i odniesie jeszcze jedno zwycięstwo nad tajemniczym światem....



Obóz na Przełęczy Północnej (Chang da) około 7.000 m.

* * *

Wyprawy na Mount Everest zostały zorganizowane przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne oraz Angielski Klub Alpejski. Na czele wyłonionego przez te towarzystwa komitetu, nazwanego „Komitetem Mount

Everest'u", stanął prezes Towarzystwa Geograficznego, słynny badacz chińskiego Turkestanu i Tybetu, Younghusband. Współudział Angielskiego Klubu Alpejskiego wraz z jego prezesem prof. Collie'm, słynnym alpinistą i uczestnikiem tragicznej dla Mummery'ego wyprawy na Manga Parbat, był dla „Komitetu Mount Everest'u" niezmiernie cenny i ważny. Sławny i najstarszy w Europie Klub Alpejski, którego powstanie w połowie XIX. wieku stanowi nowy i wielki okres w dziejach alpinizmu europejskiego, nietylko złożył znaczną część funduszów na pokrycie kosztów wyprawy, nietylko wziął wybitny udział przez swych ekspertów i fachowców w pracach nad przygotowaniem i wyekwipowaniem ekspedycji, lecz przedewszystkiem oddał do dyspozycji Komitetu dwóch swych najlepszych alpinistów, Mallory'ego i Finch'a, którzy mieli podjąć i poprowadzić szturm do najwyższego szczytu ziemi. Wielką tradycję Klubu, wielkie nazwiska w historji alpinizmu, jak Kennedy'ego, Tyndall'a, Whymper'a, Mummery'ego, Conway'a, Freshfield'a, Hastings'a, Collie'go i wielu, wielu innych, reprezentowali ci młodzi ludzie, wysłani na dokonanie największego w dziejach alpinizmu czynu. I nie zawiedli oni oczekiwań, które w nich pokładano; godnymi następcami swych wielkich poprzedników okazali się Finch, a zwłaszcza bohaterski Mallory.

Odbyły się już trzy wyprawy na niezwyciężony dotąd Mount Everest. Pierwsza ekspedycja, po uzyskaniu — dzięki wybitnej pomocy rządu angielskiego — pozwolenia od Dalaj-Lamy na przejście Tybetu i wejście w święte doliny, leżące u stóp Chomolungmo, ruszyła na wiosnę 1921 r. Zadaniem jej było zbadanie warunków topograficznych i klimatycznych Mount Everestu i wyszukanie najłatwiejszej drogi na szczyt. W Himalajach bowiem — w przeciwieństwie do Alp, gdzie szuka się obecnie najtrudniejszych wyjść na szczyty — wyczerpanie, spowodowane trudnością wdychania odpowiedniej ilości tlenu, jest tak dla człowieka niebezpieczne, że jedynie najmniej uciążliwa droga, może umożliwić zdobycie najwyższego szczytu ziemi.

Rezultaty, które osiągnęli uczestnicy pierwszej ekspedycji, były wielkie i niezmiernie cenne. Niestrudzony Mallory, po dokonaniu wielu żmudnych wypraw na górne lodowce i potężne granie, rozciągające się od Everestu ku zachodowi, północy i wschodowi, znalazł wreszcie jedyną drogę, która teoretycznie stwarzała możliwość zdobycia szczytu. Zbadano dokładnie warunki topograficzne i orograficzne „Matki-Góry". Mount Everest tworzy olbrzymią piramidę, określoną trzema graniami, t. j. zachodnią, południowo-wschodnią i północno-wschodnią. Ta ostatnia, opadająca ku przełęczy północnej (Chang-La, około 7.000 m.) i zasypana wzdłuż całej swej długości śniegiem, stanowi jedyną drogę, którą można próbować wyjścia na szczyt.

„Nigdzie zresztą, — pisze Mallory — pośród tego ogromnego labiryntu skał i lodów, który się rozciąga pomiędzy północno-wschodnią a południowo-wschodnią granią aż do szczytu Lhotse, niema dla alpinisty najmniejszej możliwości dla próbowania wyjścia; nawet ściany Mont Blanc nad lodowcem Brenva — pomijając już proporcje — nie mają tak straszliwego, jak te, wyglądu. Co do ścian południowych, które znamy z kilku zdjęć fotograficznych i szkiców, jedno jest pewnem, a mianowicie: ktokolwiek do nich dojdzie, znajdzie przed sobą straszliwą przepaść, utworzoną z gołych i nad wszelką miarę olbrzymich skał, nie dających się porównać co do prostopadłości z żadną ścianą wielkiego szczytu alpejskiego; jedyny widok na te ściany, który mogliśmy uzyskać zeszłego roku z Zachodniego Lodowca i otaczających go grani, odkrył nam najstraszliwszy obraz krainy absolutnie niedostępnej dla człowieka. A więc Mount Everest, nawet, jeśli się nie weźmie pod uwagę jego rozległości i wysokości, jest wielki i piękny, wspaniale zbudowany, majestatyczny, straszny, narzucający respekt; a u stóp jego iskrzących się zboczy winniśmy trwać w pokorze i podziwie".

Poza znalezieniem drogi na szczyt Everestu przeprowadzili uczestnicy pierwszej wyprawy badania geologiczne, zoologiczne i botaniczne, oraz zebrali niezmiernie interesujący materjał z zakresu etnografji. Przedewszystkiem jednak odkryli krainę wyposażoną w najwspanialsze piękno przyrody górskiej, w którem barwy podzwrotnikowej wegetacji mięszają się z blaskiem lodów i wiecznych śniegów w górach. Wszystko tu zostało stworzone w jakiejś ogromnej, niepojętej skali. A więc i biegnące do stóp „Króla Wysokości" olbrzymie doliny himalajskie pokryte są królewskim płaszczem roślinności, o niespotykanej w innych górach intenzywności i wspaniałości. Wegetacja podzwrotnikowa sięga wysokości 2.100 m. Dna dolin toną w mroku olbrzymich borów. Magnolje i bambusy, wyżej srebrne sosny i modrzewie, brzozy i jesiony górskie, splątane ljanami, okryte orchidejami, tworzą las, w którym drzewa o czterometrowej średnicy nie należą do rzadkości. W górnych piętrach dolin strzelają ku niebu na wysokość 45 metrów olbrzymie jałowce, mające niekiedy 6 metrów w obwodzie. Ponad lasami zaczyna się królestwo rododendronów; jak okiem sięgnąć — pisze uczestnik pierwszej wyprawy, znany przyrodnik Wollaston — wszędzie, po ogromnych stokach wzgórz, po rozpadlinach dolin, przelewają się białe, różowe i żółte fale kwietnego morza, z pośród których sterczą iskrzące się lodami olbrzymie szczyty. Z wielkim trudem można się przedzierać przez te gąszcze rododendronów, które osiągają tu nigdzie nieznaną wysokość 3 metrów.

Nic też dziwnego, że przyroda spowiła ten świat górski w tak bogatą szatę. Wszystkie doliny, biegnące do stóp „Matki-Gór" są dolinami świętemi,

w których od niepamiętnych czasów nie wolno zabijać zwierząt i ścinać drzew. I gdy weszli alpiniści angielscy w te doliny, w których przed nimi nie stanęła stopa Europejczyka, przekonali się ze zdumieniem, że zwierzęta nie okazywały lęku przed człowiekiem, który im nigdy krzywdy nie czynił. W dolinach Rongshar-Chu, Rongbuk, Lapche-Kang i innych, zbliżały się stada antylop, koziorożców i „burhele" (dzikie barany) do namiotów, zachowując się tak, jakby były obłaskawione. Z drzew, oraz pobliskich skał zlatywało ptactwo i brało z rąk pożywienie. Przekonał się człowiek, że przyroda umie być wdzięczną dla tego, kto ją miłuje i szanuje.



Wschodnie odgałęzienie lodowca Rongbuk w pobliżu obozu II.

Dziwne i głębokie refleksje zbudzą się w duszy miłośnika przyrody, który wczyta się w opisy świętych dolin himalajskich. Widzimy, że przyroda górska wyposażyła człowieka w ideał moralny, który u najpierwotniejszego dzikusa zarówno, jak u najbardziej wyrafinowanego człowieka kultury wyprzedza zawsze rozum i unosi go w sferę miłości i poświęcenia.

Stara i znana prawda, że góry budziły zawsze uczucie wzniosłości i były przedmiotem czci u ludów od najdawniejszych czasów, które na najwyższych szczytach umieszczały raj, znalazła jeszcze jedno potwierdzenie

z racji wypraw na Mount Everest. Wielką rolę w religji górali tybetańskich, jak i mieszkańców Nepalu odgrywają góry i ich przyroda. Corocznie odbywa ludność pielgrzymki do świętych gór, na których szczytach mieszkają bogowie. Wielki Lama z monasteru w dolinie Rongbuk zapytał Anglików, jaki cel mają ich wyprawy na Mount Everest? Na to pytanie — pisze gen. Bruce — stawiane uczestnikom wypraw nieustannie również i w Europie, daleko łatwiej było odpowiedzieć Lamie z Rongbuku, niż pytającym rodakom w Londynie. Gdy gen. Bruce odpowiedział, że to „religja" Towarzystwa Geograficznego każe badać nieznane krainy świata, oraz „religja" Klubu Alpejskiego każe swym członkom osiągnąć najwyższy szczyt ziemi, Wielki Lama nietylko zadowolił się tą odpowiedzią, lecz uroczyście pobłogosławił uczestników wyprawy.

Podczas powrotnej drogi zwrócił się gen. Bruce do Maharadży Nepalu z prośbą o pozwolenie przejścia jednej z dolin, leżących na południowych stokach Mount Everestu. Maharadża, odpisując odmownie, tłumaczy swą odmowę w następujących słowach: „...Ponieważ najwyższe szczyty są mieszkaniem boga Shivy i bogini Parvati, wszelkie usiłowania naruszenia ich spokoju byłoby świętokradztwem, któreby pociągnęło za sobą straszliwe następstwa dla tego hinduskiego kraju i jego ludu"...

W jakąkolwiek dolinę wchodzili angielscy alpiniści, zawsze kapłani i ludność tybetańska prosili ich o szanowanie przyrody. Szczęśliwe góry doliny himalajskie! Gdzieindziej dopiero drogą zniszczenia przyrody dochodzi człowiek do konieczności tworzenia „świętych dolin", nazywając je rezerwatami lub parkami narodowymi. I nasze Tatry czekają na swoje doliny święte, gdyż — zaprawdę — już wielkiej mocy zniszczenia w nich dokonano!...

Lecz wróćmy do wypraw na Mount Everest! Druga ekspedycja wyruszyła w 1922 r. pod kierownictwem gen. Bruce'a. Badania przeprowadzone przez pierwszą wyprawę wykazały, że jedynie w maju, oraz pierwszej połowie czerwca jest możliwe zdobywanie szczytu. Około połowy czerwca uderza od południa straszliwy wiatr Monsun, a z chwilą jego pojawienia się musi człowiek chronić się w doliny. Ponieważ długość drogi od Darjeelingu, skąd wyruszają wyprawy do lodowca Rongbuk, gdzie zaczyna się wchodzenie na Everest, wynosi około 550 klm., a długa i uciążliwa ta droga prowadzi przez liczne wysokie przełęcze górskie, trudne do przebycia w zimowych warunkach, muszą alpiniści obliczyć w ten sposób czas, aby przechodzić przez wysokie przełęcze tybetańskie z nastaniem cieplejszych wiosennych dni i aby nie spóźnić się z przybyciem do lodowca Rongbuk. Jest to — jak pisze gen. Bruce — wyścig pomiędzy uczestni-

kami wyprawy a monsunem, który niekiedy już w pierwszej połowie czerwca przypuszcza pierwsze ataki do grani Everestu.

Jak podałem wyżej, znaleziona przez Mallory'ego droga na Everest, prowadzi wschodnim odgałęzieniem lodowca Rongbuk aż do Przełęczy Północnej, a z niej północno-wschodnią granią na szczyt. Różnica wzniesienia pomiędzy szczytem a Przełęczą Północną wynosi wprawdzie tylko 1.890 m., jednakowoż droga, którą się musi przejść od tej przełęczy do szczytu, wynosi jeszcze przeszło 6 klm.

Trzy razy szturmowali alpiniści angielscy szczytowe turnie Everestu podczas wyprawy w 1922 r. Pierwszy szturm rozpoczął Mallory wraz z Somervell'em, Morshead'em i Nortonem. Była to nadludzka walka, prowadzona nietylko z groźnym szczytem, lecz i ze straszliwą burzą śnieżną i morderczym wichrem zachodnim. Osiągnął mimo to Mallory bez użycia tlenu nietylko olbrzymią wysokość 8.225 m., lecz i spędził noc na wysokości 7.800 m. Czyn ten, nie mający wówczas równego sobie w dziejach alpinizmu, obudził we wszystkich wiarę, że człowiek zdoła pokonać najwyższy szczyt świata.

Drugi atak do szczytu przypuścił Finch z Bruc'em, posiłkując się tym razem aparatami z tlenem. Na wysokości 7.800 m. spotkała ich straszliwa burza śnieżna. Na stromym stoku góry rozpięli, a raczej przyczepili do oblodzonej skały namiot i przez resztę dnia i długą, mroźną noc walczyli ze straszliwym żywiołem, który ich chciał zmieść do przepaści; zapasy żywności i tlenu zaczynały się wyczerpywać, burza trwała nieprzerwanie dalej. Spędzili w namiocie następny dzień i jeszcze jedną noc, ratując się przed grożącą im śmiercią. Trzeciego dnia, po dwóch nieprzespanych, pełnych grozy i cierpień nocach, próbowali niezłomni ci ludzie iść do szczytu. Doszli do wysokości 8.300 m. i wyczerpani, musieli zawrócić.

Trzeci i ostatni szturm podejmuje znowu nieugięty Mallory wraz z Somervellem. Ze wszystkich uczestników dwóch poprzednich wypraw jedynie ci dwaj ludzie mieli jeszcze siły do podjęcia nowego ataku. Wszyscy inni, poza wyczerpaniem serca, doznali mniej lub więcej ciężkich odmrożeń rąk i nóg, a Morshead nabawił się tak ciężkich odmrożeń, że musiano go czemprędzej odesłać do szpitala w Darjeelingu.

Tymczasem zjawiły się pierwsze gońce monsunu i zasypały obfitym śniegiem zbocza Everestu. Po pierwszych atakach wichru nastąpił, jak i u nas podczas halnego wiatru, chwilowy spokój i cisza. Wykorzystując je, posunął się Mallory i Somervell wraz z towarzyszącymi im Crawfordem i 14 kulisami ku Przełęczy Północnej.

I znowu zastąpił im drogę straszliwy żywioł górski, tym razem w postaci lawiny, która zasypała całą karawanę. Mallory, a w kilka chwil potem Somervell i Crawford, zdołali się szybko wydobyć ze śniegu i rzucili się do ratowania kulisów. Zdążyli jednak wyratować i przywrócić do życia siedmiu, reszta zginęła. Tragiczny ten wypadek unicestwił trzecią próbę zdobycia szczytu. Mount Everest pozostał nadal niezwyciężony.

Niezłomni alpiniści angielscy nie dali jednak za wygraną. Ubiegłego roku wyruszyła z Anglji trzecia wyprawa na Mount Everest. I znowu nadludzką wolą obdarzony Mallory idzie na zdobycie szczytu, by już z niego nie wrócić. Wraz z Irvinem, który brał po raz pierwszy udział w wyprawie na Mount Everest, wyszedł Mallory 6. czerwca z Przełęczy Północnej do obozu V, leżącego na wysokości 7.500 m. Następnego dnia, posługując się aparatami z tlenem, doszli oni do obozu VI, założonego przed kilku dniami przez Nortona i Somervella na wysokości 8.100 m. Ósmego czerwca rozpoczęli Mallory i Irvin swą ostatnią wędrówkę ku szczytowi, który ich miał przykuć tego dnia na wieczny sen do swych podniebnych turni. Jedyne świadectwo ostatnich chwil Mallory'ego i Irvine'a posiadamy w opisie uczestnika ostatniej wyprawy Odell'a, ostatniego człowieka, który z obozu V obserwował tych dwóch bohaterskich alpinistów, będących niedaleko szczytu. Przejmujący w swej prostocie opis ten zamieścił „Geographical Journal": „Gdy obudziłem się nazajutrz rano (dnia 8. czerwca) — pisze Odell — pogoda była przepiękna. Nieco później zaczęły pokazywać się chmurki, lecz na większej wysokości niebo było czyste. Mallory i Irvine byli jednak powyżej lekkiej mgły, która zaczęła mnie otaczać.

Około godziny pierwszej niebo rozjaśniło się nagle i szczyt Everestu ukazał się, wolny od chmur i mgły. Moje oczy przykuły się do maleńkiego czarnego punktu, który zarysował się nagle na niewielkiej grzędzie śnieżnej, na wysokości około 250 metrów poniżej szczytu. Punkt ten poruszał się. Wkrótce ukazał się nieco niżej inny czarny punkcik i posuwał się w górę ku pierwszemu. Pierwszy zbliżył się do wielkiego skalistego progu i w niedługim czasie osiągnął jego wierzchołek; drugi wkrótce stanął przy nim. W tem całe to fascynujące zjawisko znikło, przysłonięte mgłą.....

Byli to Mallory i Irvin, posuwający się szybko w górę prawdopodobnie dlatego, że już im niewiele pozostało czasu na zdobycie szczytu za dnia i na powrót do obozu VI przed zapadnięciem ciemnej nocy. Miejsce, w którem zginęli mi z oczu, to występ skały u podstawy ostatniej piramidy, której szczyt był szczytem Everestu.

Byłem zdziwiony — pisze dalej Odell — że tak późno doszli do tego miejsca. Według planu Mallory'ego powinni oni byli stanąć tam o kilka

godzin wcześniej; prawdopodobnie zatrzymały ich śnieżne nawisy na skałach i trudne do zdobycia progi. Jeżeli nie napotkali na nowe nieprzewidziane trudności na ostatniej, najwyższej piramidzie, powinniby byli w każdym razie około 4 popołudniu dojść na szczyt, licząc od miejsca, w którem ich widziałem... Przypuszczam, że byli oni na szczycie i nie wrócili dlatego, że zaskoczyła ich noc, zanim byli w stanie dosięgnąć obóz. Prawdopodobnie schronili się pod jakąś skałę i zasnęli z wyczerpania. Z powodu niezwykłego zimna na tej wysokości nastąpiła śmierć bez bólu"...

Taki był przebieg dotychczasowych wypraw na Everest. Najwyższy szczyt świata nie został zdobyty. Lecz niestrudzony człowiek nie daje się łatwo pokonać. Anglicy przygotowują czwartą wyprawę na Mount Everest. Jakżeż piękną i wspaniałą jest wola człowieka, której nie mogą złamać najstraszliwsze przeciwieństwa! Swem kruchem i nieodpornem ciałem wobec ogromnej potęgi przyrody i mnogości niebezpieczeństw, na jakie jest narażony, idzie człowiek w bój — w bój niepokonanego życia z niezwyciężoną śmiercią...

* * *

Nie jest to łatwe zadanie przedstawić obraz duszy człowieka, którego się nigdy nie znało, oraz uchwycić jasno i dokładnie jego teorje i zapatrywania, skoro nie pozostawił specjalnego traktatu w tym zakresie. Jedynym materjałem, na podstawie którego przystępuję do skreślenia alpinistycznej ideologji Mallory'ego, są jego opisy dwóch wypraw na Mount Everest. Zapewne — w górach poznaje się szybko człowieka nietylko co do zdolności fizycznej, lecz i wartości moralnej. Stara to i znana prawda, że góry doświadczają i mierzą charaktery. W powrocie do prymitywnej formy życia, w walce z żywiołem, w obliczu niebezpieczeństwa, a niejednokrotnie i śmierci, nikt nie może okazać się innym, niż jest. Wtedy można czytać w duszy człowieka, tak wówczas przeźroczystej, jak to przeczyste, kryształowe powietrze górskie...

Jakkolwiek nie dał nam Mallory w opisach swych wypraw wyczerpującego dzieła naukowego ani przejrzystej syntezy sportu górskiego, rzucił jednak tyle światła na duchową stronę alpinizmu, a równocześnie wydobył na światło dzienne tyle objawów piękna swej duszy, że będziemy mogli skreślić sobie jego obraz, oraz wglądnąć w pełnię głębokich myśli tego niezwykłego człowieka.

Był on przedewszystkiem przedstawicielem tradycji i ideologji Angielskiego Klubu Alpejskiego, z którego wyszedł. Ideologja ta występuje jasno,

gdy czytamy w sprawozdaniu drugiej wyprawy na Mount Everest przedmowę, w której słynny podróżnik i alpinista Younghusband przedstawia cel i pobudki, dla których Mallory i jego towarzysze z Mount Everestu ponosili nadludzkie wysiłki dla zdobycia szczytu. Wysiłki te zostały okupione wielkimi cierpieniami i trudami alpinistów, ceną życia wielu jednostek, a ostatnio życiem Mallory'ego i Irvine'a. Kosztowały one wiele pieniędzy, a przecież nie na zdobywanie złota, węgla, kosztownych kamieni lub żyznych ziem poszli ci ludzie. Jakiż jest cel tych wypraw, jakąż korzyść, chociażby najmniejszą, osiągnie się, jeśli alpiniści zdobędą najwyższy szczyt ziemi?

„To są pytania — pisze Younghusband — które są mi ustawicznie zadawane. Muszę więc przedstawić możliwie jak najjaśniej korzyści, wynikające ze zdobycia Mount Everestu. Najwidoczniejszem dobrem będzie zwiększenie się poznania naszych własnych zdolności. Próbując wszystkich naszych sił, tak fizycznych, jak i duchowych, w usiłowaniu wyjścia na najwyższy szczyt ziemi, poznajemy najlepiej, czego możemy dokonywać. Nikt dziś jeszcze nie może twierdzić, że zdołamy osiągnąć szczyt. A nie możemy tego wiedzieć, dopóki nie spróbujemy. Lecz, jeżeli zdołamy tam dojść, co dziś wydaje się bardziej prawdopodobnem, niż przed dziesięciu laty, będziemy wiedzieli, że możemy więcej, niż przypuszczaliśmy. A ten fakt poznania naszych sił będzie miał wielką wartość. W ciągu mojego życia widziałem, jak bardzo się zwiększała zdolność człowieka w sztuce zdobywania szczytów. I wzmogła się bardzo ta zdolność u ludzi. Wiedzą oni teraz, że mogą dokonywać czynów, które uważano przed czterdziestu laty za niemożliwe do wykonania. A skoro zdobędą szczyt Everestu, to poczucie siły wzmoże się w nich jeszcze; i wtedy ci ludzie, którzy nie myśleli nigdy o możliwości zdobycia niższych szczytów himalajskich, wyjdą na nie tak łatwo, jak niegdyś na szczyty szwajcarskie.


Mallory.

„A więc jakiż będziemy mieli z tego pożytek? Oto ten, że nowa radość otworzy się dla życia. A nie jest-że radość życia poniekąd jego celem? Nie żyjemy dlatego, aby jeść lub zdobywać pieniądze. Jemy i zdobywamy pieniądze, aby się życiem cieszyć. Wielu zaś z nas wie, że wyj-

ście na jakikolwiek szczyt jest jedną z największych radości, jaką możemy sobie sprawić. Walka ze szczytem raduje nas, podnieca nasz zapał, krzepi nasze nerwy, wzmaga zręczność w pokonywaniu trudności, które nam nastręcza góra i daje nam uczucie odnoszenia zwycięstwa ducha nad materją. Cudowne to uczucie i wzniosłe w samem sobie, jest wielkiem pokrzepieniem ducha, nawet wtedy, gdy nie zawsze odnosimy zwycięstwa.

„Lecz nie jest to jeszcze wszystko. Walka z górą wzmaga w nas coraz większą miłość do gór. Niekiedy, zupełnie wyczerpani, chętnie schodzimy z gór w równiny. Lecz z coraz większą miłością wracamy w góry, gdyż one wynoszą nas nad poziom codziennego życia i pokazują nam wyniosłe, przeczyste i potężne piękno, któregobyśmy bez walki z trudnościami górskiemi nigdy nie zaznali“.

W prostych i jasnych słowach przedstawił Younghusband momenty psychiczne, momenty i uczucia, które działają w duszy alpinisty i skłaniają go do podejmowania coraz śmielszych wypraw w światy górskie. Nie wygłosił on jakiejś nowej, senzacyjnej teorji, lecz wypowiedział starą a równocześnie wiecznie młodą prawdę, — starą, jak podziw i tęsknota człowieka do gór i ich potężnej przyrody — a wiecznie młodą, jak radość płynąca z górskiego świata, wśród którego dzisiejszy alpinista przeżywa wielkie i szczytne wizje szczęścia w pięknej i groźnej krainie górskiej. Dzisiejszy alpinizm, jak i nasze taternictwo, jest tylko nowszą formą prastarego stosunku człowieka do gór, stosunku, który się począł w podziwie i tęsknocie, pogłębił w poznaniu i spotęgował w odkryciu piękności i bogactw przyrody górskiej, a w końcu, dla używania radości, którą mu dawało chodzenie po górach, wykształcił czynność dla samej siebie: sport górski. Oczywiście nie użyłem tu wyrażenia „sport“ w ścisłem tego sława znaczeniu, z którym przywykliśmy łączyć czynnik współzawodnictwa. Sport górski, a więc alpinizm, stał się wzniosłą sztuką, zaspakajającą najgłębsze pragnienia i potrzeby psychiki ludzkiej, dającą przebogate uczucie pełni człowieczeństwa, oraz rozwijającą wrodzone uczucia podziwu i tęsknoty w najszczytniejszą miłość do gór i ich przyrody. I zdaje mi się — a raczej wierzę — że ten motyw miłości rozpocznie nową formę stosunku człowieka do gór, że z ideologją jutrzejszego alpinizmu, a zwłaszcza taternictwa, nierozdzielnie będzie związana idea ochrony tego bezcennego a tak już zagrożonego skarbu, jakim jest pustynia górska i jej przyroda. Lecz czy tylko ochrona gór w znaczeniu materjalnem?

Z tem pytaniem przystępuję do skreślenia obrazu jednej z najpiękniejszych postaci współczesnego alpinizmu, Mallory'ego.

Zaczyna on opisy swych wypraw na Mount Everest rozważaniem zadań dzisiejszego alpinizmu, który, wobec wyeksploatowania wszystkich niemal problemów w europejskich górach, stanął dzisiaj na zwrotnym punkcie i szuka dróg dla alpinizmu jutrzejszego. „Jakkolwiek zasłużoną mogła być działalność Angielskiego Klubu Alpejskiego w młodych jego latach, polegająca na krzewieniu nietylko ‚ewangelji gór', lecz i ich znajomości, dziś wybiła — pisze Mallory — dla niego godzina, w której najważniejszem dla Klubu zadaniem powinno być wstrzymywanie rozszerzania tej ‚ewangelji gór', zanadto już spopularyzowanej i chronienie swych członków przed przesadą w nabywaniu wiadomości o dokonywanych rekordach alpinistycznych. Im mniej o nich będziemy wiedzieć, tem lepiej dla nas będzie; nasza spuścizna co do odkryć w górach jest wystarczająco bogatą i niewiele pozostało nam do odkrywania".

Dziwną i głęboką nutą dźwięczą te słowa. A zadziwią nas one jeszcze więcej, gdy uprzytomnimy sobie, że Mallory nie jest odosobniony w wygłaszaniu takich myśli. Coraz częściej płyną ze strony najwybitniejszych alpinistów słowa „memento" pod adresem współczesnego alpinizmu. Nie sposób wymienić ich wszystkich, lecz przytoczę tylko dwóch: jedną z najpiękniejszych postaci w naszem taternictwie, Jana Gwalberta Pawlikowskiego i jednego z największych alpinistów włoskich, Guido Rey'a. Jak u Mallory'ego, tak i u Pawlikowskiego i Guido Rey'a, wybija się na pierwszy plan bezgraniczna miłość do gór. Pragnęliby oni utrzymać na zawsze w alpiniźmie źródło najpiękniejszych wzruszeń, które sami przeżyli. Stąd troska u nich o jutro alpinizmu. Czyż nie te same myśli, co i u Mallory'ego, płyną ze słów, które powiedział Pawlikowski na Akademji jubileuszowej Towarzystwa Tatrzańskiego: „Znajdujemy się dziś raczej jakoby w położeniu owego czarownika, który zaklętych przez siebie duchów opanować nie zdołał. Tatry stały się za ciasne — dusimy się poprostu od nadmiaru. A w dodatku ten nowy element przybywający w Tatry, nie jest najlepszej jakości. Z jego napływem dusi się i przygasa duch dawnego taternictwa; gromada szarych wróbli wypłasza szlachetne ptactwo śpiewające... I tu właśnie otwierają się nowe zadania".

Jak Mallory, który widzi najważniejsze zadanie swojego Klubu Alpejskiego w powstrzymaniu rozszerzania i dalszego popularyzowania „ewangelji gór" i ich znajomości, oraz w chronieniu członków klubu przed zajmowaniem się rekordami alpinistycznymi, tak i Pawlikowski, wskazując „przyszłe drogi" Towarzystwu Tatrzańskiemu, mówi o konieczności opanowania duchów, które Towarzystwo niegdyś zbudziło, gdyż one, liczne jak „stada wróbli", płoszą i niszczą piękne i wzniosłe taternictwo nasze...

Posłuchajmy jednak, co mówi Guido Rey. „Jeśli pragniecie dobra dla alpinizmu, jeśli chcecie utrzymać go młodym i żywotnym, zachowajcie dla niego niezdobyte turnie, lub przynajmniej ułatwijcie mu wiarę, że one jeszcze są; powstrzymujcie tę falę współzawodnictwa, jeśli pragniecie utrzymać na zawsze w alpiniźmie czyste źródło najpiękniejszych wruszeń. Mówcie zawsze każdemu alpiniście, że on jest pierwszy. Nie wznoście „kamiennych kopców“ na szczytach, nie zostawiajcie śladów waszego przejścia; zdejmujcie linę, którą umocowaliście na trudnem miejscu; nie budujcie schronisk, jako widomych znaków zdobycia dziewiczego szczytu!“

Dalej rzuca Guido Rey twarde i śmiałe słowa: „nie piszcie sprawozdań o swych wyjściach!“ Pragnie on bowiem „ażeby wiecznie mogło trwać w nas złudzenie, że kryje się dla nas w Alpach jeszcze coś do odkrywania; zdobyta czy niezdobyta góra przez innych nie zmienia się; jeśli była ona trudną i piękną dla pierwszego, pozostanie piękną i trudną dla następnego, o ile ten nie będzie wiedział, że był tam ktoś przed nim“.

I Mallory wypowiada podobne słowa, gdy się zastanawia nad współczesną literaturą alpinistyczną, w której coraz więcej miejsca zajmują opisy dokonywanych rekordów. Według Mallory'ego taka literatura „ma jedynie na celu wynoszenia chwały człowieka, albo może nawet chwały tylko jednego człowieka, ze szkodą samych gór“.

Tak Mallory, jak i Guido Rey poruszyli w tych słowach zagadkę, stającą się prawdopodobnie coraz bardziej aktualną dla stosunku współczesnego alpinisty do gór. Piszę dlatego „prawdopodobnie“, gdyż pragnę odróżnić jednak odrębny charakter polskiego taternictwa, któremu poświęcam kilka słów przy końcu artykułu.

Na pierwszy plan wybijały się u Mallory'ego pierwiastki uczuciowe oraz momenty etyczne i estetyczne. Nie wspina się on na Everest, aby wyłącznie cieszyć się walką z niebezpieczeństwami i trudnościami, nie idzie on, aby, zdobywszy szczyt, upajać się uczuciem triumfu i zwycięstwa. Przeciwnie — myśl ta, że szczyt może zostać zdobytym, wywołuje w jego duszy dziwną rozsterkę, nieokreślone uczucie żalu, że ta ostatnia wizja czegoś niepokonalnego może raz na zawsze zginąć. „Nie stanowi to zawsze bezwzględnej przyjemności — mówi Mallory — gdy się słyszy wiadomości o dokonaniu nowych wyjść w Alpach, a nawet w górach Wielkiej Brytanji. Urok alpinizmu budzi przecież przedewszystkiem wizje czegoś, co poprzedziło ten akt zdobycia, wizje czegoś tajemniczego, dalekiego, niedostępnego“.

Wyznaje więc Mallory, że nie dla wynoszenia chwały człowieka opisuje wyprawy na najwyższy szczyt ziemi. Wręcz przeciwnie! Jedyną pobudką i wyłącznym celem jego opisów jest „uwielbienie chwały Everestu,

gdyż oparł się on wszystkim wysiłkom ludzkim i pozostał niezwyciężony". „Prawda, — pisze Mallory — że uczyniłem wszystko, co było w mej mocy, aby osiągnąć szczyt, lecz, gdy spoglądam" wstecz i widzę te wszystkie nadzwyczajne przygotowania... (tu podkreśla Mallory rzeczywiście imponującą staranność Anglików w zorganizowaniu i wyekwipowaniu wypraw), kiedy po upływie kilku miesięcy wywołuję w mej pamięci obraz tego olbrzymiego przedsięwzięcia, jakżeż nie mam się radować na widok tej wspaniałości, tej nieprzyćmionej jeszcze chwały: niepokonanej potęgi i dumy Mount Everestu".

Dziwne, nieznane może dotąd nuty płyną z tych słow. Wskazują one granice, gdzie zaczyna się sfera cnót nieutylitarnych, poza które bez samozaprzeczenia przejść nie można. Niesie go w te strefy fala duchowa, sięgająca wzwyż ku czemuś nieokreślonemu, ponad cnoty rozumu, potrzebne dla naszego szczęścia materjalnego i duchowego i każe mu sięgać w bezkres bohaterstwa, poświęcenia, miłości i bezinteresowności. To bijące z każdego słowa bezgraniczne umiłowanie gór zrodziło w jego duszy ten szlachetny i dostojny ideał moralny, zdolny do rezygnacji i poświęcenia, a nawet — w razie potrzeby — do ofiary.

Alpinizm Mallory'ego, jak wspomniałem wyżej, to nie jest wysiłek fizyczny; to nie jest wyłączne pragnienie pokonywania trudności i przyżywanie rozkoszy w walce z niebezpieczeństwami. Nie żyje on myślą triumfu i zwycięstwa nad olbrzymem-górą i jej potężną przyrodą, a jeśli pragnie zwycięstwa, te jedynie nad samym sobą; chce przekonać się, do jakich granic sięgają siły fizyczne i duchowe człowieka. Zwycięstwo to ma dla niego znaczenie symboliczne zwycięstwa ducha nad materją, jak mówi Younghusband. Tkwi w nim, zapewne, ten rys pierwotnego człowieka, który Pawlikowski nazywa pociągiem do bohaterstwa. Nie mógłby on się stać wielkim alpinistą, gdyby mu był obcy ten motyw psychiczny, który nazywamy pragnieniem czynu. Radość, wynikająca z przezwyciężania trudności, które nastręcza góra, ta szlachetna, według Mallory'ego, namiętność, jest przecież jedną z najistotniejszych cech współczesnego alpinizmu.

Dlatego też w czasie podróży przez Tybet robi Mallory wyprawę na wysmukły, skalisty szczyt Sanghar-Ri, nietylko dla spodziewanego zeń wspaniałego widoku na Mount Everest, lecz i dla przeżycia rozkosznych chwil w walce z trudnościami przepaścistych turni. „Ci — pisze Mallory — którzy robią wyprawy na najwyższe góry, nie mają sposobności, lub też w bardzo ograniczonej mierze, do przeżywania radości, którą daje zawsze alpiniście wspinanie się na piękną i nieznaną ścianę; ten mały, śmiałemi turniami na wysokość 6.080 m. wznoszący się szczyt, dawał nam przeto na-

dzieję niezwykłych przeżyć alpinistycznych; mieliśmy znowu sposobność do stwierdzenia, że alpinizm jest zajęciem namiętnem. Pragnęliśmy również nabrać zaufania we własne siły".

Stosunek uczuciowy Mallory'ego do gór zbliża go do typu alpinisty, o jakim mówi M. Karłowicz: „Idealnym typem turysty byłby dla mnie ten, coby wyruszając w góry z jasno określonem pragnieniem szukania wrażeń w pierwszym rzędzie estetycznych, posiadał jednocześnie tyle silnej woli, odwagi i wyrobienia, ażeby wszelkie trudności stały się dlań tylko urozmaiceniem wyprawy". Jak mogliśmy się już przekonać, istnieje w Mallory'm i moment sportowy, tak charakterystyczny dla wyprawy na Sanghar-Ri. Jednakowoż najważniejsszym i najistotniejszym pierwiastkiem jego alpinizmu jest moment uczuciowy, bezgraniczna miłość do gór. Napełniają go radością nietylko zmagania się z trudnościami lodowców, ścian i turni, lecz i wędrówki wśród dolin i lasów i kwietnych hal górskich. Radość alpinistyczna nie zaczyna się u niego z tą chwilą, gdy stawia stopy na lodowcu lub chwyta się rękami urwiska skalnego. W równej mierze — a podkreśla to Mallory wielokrotnie z naciskiem — jest szczęśliwy, gdy może spocząć wśród cichych i pogodnych łąk alpejskich.

Widok samych ścian, turni i szczytów, choćby one były najwspanialsze i najpotężniejsze, nie może mi dać — mówi Mallory — uczucia pełnej radości i upojenia. „Gdy oddałem należny hołd szczytowi Chomolungmo, „bogini-matce" i Chomoyouri, „bogini turkusów", schodzę w dolinę, do jej łożyska, do jej szerokich hal, gdzie mały strumień, wzdłuż którego szliśmy w górę, zakreśla łuki między zielonymi brzegami pod wysoką moreną; miłuję do zapamiętania te wdzięczne i skromne rośliny, te rozrzucone złomy skał, te gencjany i pierwiosnki, tak obfitą tu skropione rosą: lubię tę niebieską toń przeźroczystą, która ma tyle dla nas niepojętego uroku. Korzę się przed boginiami, lecz nie zapominam u ich stóp o obrazie mniej dumnym i wyniosłym, lecz wiernym i zawsze kojącym, nawet wśród uderzeń wichru i ścigających nas kaprysów gór".

Niezmierna wrażliwość Mallory'ego na piękno gór występuje w całej pełni, gdy czytamy jego barwny i pełen wdzięku opis piewszego wyjścia na Przełęcz Północną, z której ma on poraz pierwszy przyjrzeć się bliżej północno-wschodniej grani Everestu i rozwiązać zagadkę, czy leży w granicach możliwości człowieka zdobycie najwyższego szczytu ziemi. Jak zbadano bowiem, jedynie ta grań otwierała widoki znalezienia drogi na szczyt. Nic też dziwnego, że z uczuciem niepokoju piął się Mallory ku przełęczy, na której miał się niejako rozstrzygnąć los wyprawy. „Wyszedłszy na prze-

łęcz — pisze Mallory — zatrzymaliśmy się głęboko zdumieni. Nie mieliśmy wielkiej nadzieji, że Everest nąm się odsłoni. W ciągu drogi stawiałem sobie co do niego tysiące pytań, które pozostawały bez odpowiedzi. Lecz jego nieoczekiwane i wspaniałe zjawisko oddaliło wszystkie myśli, któremi się zajmowałem. Zniknęły we mnie pytania i refleksje — patrzyliśmy".

Serdeczna tęsknota i miłość do przyrody górskiej zadrgała w nim żywo, gdy spojrzał ze śnieżnej grani w dalekie rozsłonecznione doliny. „Łąki alpejskie przypomniały mi się. Zarysował się w mej duszy obraz ich niewysłowionego wdzięku; wydawało mi się, że czuję zapach świerków. I uczułem w sobie pragnienie, aby spocząć wśród tej oazy, żyć tam w spokoju i oddychać najszlachetniejszym zapachem roślinności górskiej".

Ponad wszystko jednak jest szczęśliwy — gdyż jest w górach. Wszystkie trudy i cierpienia, zawody i smutki nikną w nim wobec upojenia, które mu daje pobyt w górach. To uczucie radości mąci mu jedynie troska o bezpieczeństwo swych towarzyszy, gdy potężny i groźny żywioł góry wypowiada im walkę. Gdy, zaskoczony na podniebnej grani himalajskiej zawieruchą śnieżną, musi spędzić mroźną i burzliwą noc pod przyczepionym do skały namiotem, niepokoi się wyłącznie o swego towarzysza. Mallory'emu taki nocleg „daje rozkoszne uczucie szczęścia i komfortu, którego nie można mieć nigdy, nawet, gdy się siedzi w swym fotelu przed angielskim kominkiem".

Ustępy, w których Mallory z niezwykłą wyrazistością rysunku i kolorytu kreśli obrazy najpotężniejszego świata górskiego i opisuje cierpienia i trudy, nadzieje i bolesne zawody, przeżywane w walce z groźnym żywiołem „Matki-Góry", należeć będą do tych wyjątkowych kart w współczesnej literaturze alpinistycznej, które niejednokrotnie z przyjemnością będziemy mogli czytać. Posiadał on bowiem tę szlachetną właściwość, że w opisach swych, pełnych entuzjazmu dla gór i ich przyrody, przedstawiał przedewszystkiem symboliczne wartości gór i uwydatniał więcej podniety duchowe, niż wysiłki fizyczne. Nigdzie nie dostrzegamy chęci akcentowania własnej osoby i w tej właśnie skromności i szlachetnej prostocie leży tajemnica wdzięku opisów Mallory'ego.

Kiedy przed rozpoczęciem pierwszego szturmu do szczytu, po dokonaniu ostatecznych przygotowań, rozważa Mallory widoki powodzenia wyprawy, zwraca główną uwagę na momenty duchowe, podkreślając, że najstaranniejsze wyekwipowanie, oraz największa wiedza i doświadczenie alpinistyczne nie stanowią jeszcze o powodzeniu. „Osiągnięcie zwycięstwa zależy od posiadania przez alpinistę pewnych przymiotów duchowych. Jeśli prawda jest, że historja się powtarza, to powtarza się ona, o ile chodzi

o wyjścia, w sposób bardzo niedokładny i bardzo ogólny. Trudności w osiągnięciu szczytu przedstawiają się bowiem za każdym razem w innej postaci. Przy dokonywaniu wszystkich wyjść, a przedewszystkiem na Mount Everest, jest niezbędnem, aby alpinista umiał jednym rzutem oka oceniać sytuację i aby umiał wycofać się w porę w ciężkich okolicznościach; przedewszystkiem jednak musi posiadać w sobie silne postanowienie spełnienia najwyższego i ostatecznego zadania i posiadać niezłomną wolę do zwycięstwa.

„Aby jednak odnieść zwycięstwo — pisze dalej Mallory — muszą zdobywający szczyt mieć szczęście, najpiękniejsze szczęście, jakie wogóle może mieć alpinista; powinni być również pełni tkliwej miłości do Mount Everest'u i przebaczać mu jego straszne gniewy; powinniśmy jednak pamiętać, że najwyższy szczyt świata jest zdolny do gwałtowności, gwałtowności tak straszliwej i tak fatalnej, że najbardziej spokojni, gdy pomyślą o niej, drżeć będą w chwili rozpoczynania ostatniego wysiłku".

Ile razy też szedł biedny Mallory na zdobycie szczytu, zawsze dumna głowa „Króla Wysokości" jeżyła się śnieżną grzywą w straszliwym gniewie. Jedyny raz doczekał się Mallory łaskawego uśmiechu „Góry-Matki", w onym dniu, w którym z Irvinem odbył ostatnią swą ziemską wędrówkę ku szczytowi.

Jak wspomniałem wyżej, niczem były wszystkie trudy i cierpienia wobec radości, którą mu dawał pobyt w górach. Podczas pierwszego szturmu do Mount Everestu zaskoczyła go nad Przełęczą Północną potworna burza śnieżna. Chroni się wraz z towarzyszami pod skały i czeka na uspokojenie się szalejącego żywiołu. „Wspomnienie, które zachowałem z tej odległej sceny, — pisze Mallory — gdzie, przyciśnięci do siebie, siedzieliśmy pod grzędą skalną, wywołuje mi obraz karawany szczęśliwej, zadowolonej ze swych czynów, zdecydowanej iść dalej i cieszącej się, że jest zabezpieczoną przed straszliwymi atakami wichru". Po chwilowem uspokojeniu się zawieruchy idą niezmordowanie dalej, ku szczytowi. Niestety ze zdwojoną siłą rozpętała się na nowo burza, zmuszając ich do przepędzenia nocy na nieosiągniętej dotychczas przez żadnego człowieka wysokości. Rozpinają dwa małe namioty; w każdym jest miejsce na jeden worek do spania, w którym ciśnie się po dwóch alpinistów. O śnie mowy niema; muszą wytężać uwagę, a niejednokrotnie i wszystkie siły, aby ich wicher nie zmiótł do przepaści. Mimo to Mallory, gdy myśli „o tych dwóch małych namiotach, zawieszonych na olbrzymiej, śnieżnej grani, czuje się niewypowiedzianie szczęśliwy", nie mniej szczęśliwy, „niż spoczywający w wygodnem schronisku alpejskiem".

Niekiedy było danem Mallory'emu przeżywać w namiocie noce ciche, jasne, owiane czarem gwiaździstego nieba; owe noce, w których według Witkiewicza „przeżywa się to wszystko, co przeżywali od narodzin duszy ludzie, kiedy oderwali oczy od ziemi i wznieśli je ku gwiazdom i kiedy po raz pierwszy odczuli ten poryw ku niedościgłym blaskom, to uświadomienie dali nieprzebytej, dzielącej chęć od możności — kiedy narodziła się tęsknota"... Noce takie napełniały Mallory'ego uczuciem niewysłowionego szczęścia.

„Leżę, mając głowę umieszczoną blisko otworu namiotu i patrzę w niebo zasiane gwiazdami. I wydaje mi się, jakby z nieba schodziły myśli i wślizgiwały się pod skrzydła namiotu. Sen zmienia się w ekstazę, która trwa aż do chwili, gdy bije godzina wstawania. A potem? — pyta Mallory. Pierzcha czar nocy górskiej, a jego miejsce zajmuje szary i pospolity obraz obozowiska ludzkiego; razi Mallory'ego widok owiniętego workiem do spania „sahiba", budzącego kulisów; razi go widok rozrzuconych skrzyń koło namiotów; żal mu niepokalanej bieli śnieżnej, zmierzwionej i zdeptanej stopami turystów. Żal mu „tych chwil, które znikły na zawsze", zostawiając jedynie „wspomnienia tego wszystkiego, co widzieliśmy, czego już nie ujrzymy i czego inni może nigdy nie zobaczą".

Jedynie bezgraniczne umiłowanie górskiego świata mogło zbudzić tę niezwykłą wrażliwość na nadziemskie wizje piękna, płynące z majestatycznej ciszy gór, jedynie subtelność i piękno duszy mogły wytworzyć to szlachetne przeczulenie na punkcie nienaruszania niepokalanej szaty przyrody górskiej. Gdy więc czytamy te skromne sprawozdania, przemawiające silniej, niż płomienne opisy wielu głośnych wypraw alpejskich, poznajemy głębię myśli tego niezwykłego człowieka i przeżywamy z nim chwile tak piękne i wzniosłe, jak te góry, które miłuje, któremi żyje i w których ginie...

Na te długie, pełne piękna spokoju lub straszliwej grozy noce himalajskie, spędzane w namiocie w oczekiwaniu na łaskawszy uśmiech „Matki-Góry", zabierał Mallory książki ze sobą. Rzucić się musi każdemu na usta pytanie: jakież to były książki, które mógł Mallory czytać na wyżynach najwyższego szczytu ziemi? Możnaby sądzić, że warunkom, w których zmuszeni byli żyć wówczas alpiniści angielscy, odpowiadałaby raczej literatura lekka, przynosząca potrzebne uspokojenie i miłą rozrywkę dla utrudzonych nerwów. „Niestety jednak — pisze Mallory — literatura lekka jest w rzeczywistości bardzo ciężką, gdyż... bardzo wiele trzeba jej ze sobą zabierać". Książkami, z któremi się nie rozstawał Mallory podczas swych wypraw na podniebne wyżyny Everestu, były: Antologja Roberta Bridge'a

„The Spirit of Man“ (Duch człowieka), oraz „Hamlet“ i „Król Lear“ Szekspira. Były to najmilsze książki dla Mallory'ego; w niejeden też wieczór czytał je na głos swym towarzyszom. Wspaniała scenerja najpotężniejszego szczytu ziemi uzupełniała nastroje, wywołane głębią dramatu szekspirowskiego. „Duch człowieka“ Bridge'a budził w Mallorym myśli, „które pozwalały nam wgłębiać się w filozofję Mount Everestu“.

Trudno zaiste oprzeć się ogarniającemu nas wzruszeniu, gdy wyobrazimy sobie Mallory'ego, w namiocie zawieszonym nad otchłaniami najwyższej góry ziemi, wśród szalejącej burzy, czytającego swym towarzyszom ustępy z „Króla Leara“, jednego z najpotężniejszych i najbardziej wzruszających dramatów, jakie napisane zostały. A wzruszenie to spotęguje się w nas, gdy weźmiemy do ręki studjum Maeterlincka o „Królu Learze“ i wczytamy się w pełne głębokiej intuicji rozważania o tem wielkiem dziele tragicznem, „jedynem może, którego czas tknąć nie zdołał“.

„Dramat ten olbrzymi — pisze Maeterlinck — rozgrywa pięć aktów swej akcji na szczycie tak wysokim, tak dostojnym, jest tak pełen poezji i niesamowitej grozy, jakby wszystkie znane z dawna potęgi nieba i piekieł wystąpiły do współzawodnictwa w dziele wznoszenia tegoż szczytu na wyże nieskończone. Dramat ten — pisze dalej Maeterlinck — jest zbudowany z olbrzymich skalisk gigantycznych bloków namiętności, wszystko spiętrzone jest tam i zwichrzone jakby katastrofą niepojętą, a jednak ugruntowaną w ludzkiej naturze“.

Dziwne to zaprawdę słowa, niepojęte i zjawiskowe w odczuciu — dopełnione przez Mallory'ego w bezkreśnej pustaci najwyższego szczytu ziemi.....

* * *

Wśród wszystkich uczestników wypraw wyróżniał się Mallory nadludzką niemal potęgą woli. On jedyny zdołał też przetrzymać trudy i cierpienia fizyczne wszystkich wypraw na Mount Everest. Zapewne, — jak słusznie pisze Finch — cierpienie fizyczne jest klapą bezpieczeństwa, w którą nas zaopatrzyła natura, dla ostrzegania przed zupełnem wyczerpaniem, nim zło nastąpi. Jednak na podniebnych wyżynach himalajskich, gdzie nietylko organizm, lecz i wola w człowieku zamiera, może dźwigać i przeć naprzód swe śmiertelnie utrudzone ciało jedynie ten człowiek, którego siła duchowa pozwala mu przetrzymywać najstraszliwsze cierpienia. Nie stracić panowania nad zamierającą w nim wolą — oto najważniejsze i bodaj najtrudniejsze zadanie dla alpinisty z Mount Everestu.

Temu nadludzkiemu niemal zadaniu zdołał sprostać Mallory. Dzięki niewyczerpanemu zapasowi energji moralnej mógł więc Mallory skutecznie

opierać się ogarniającemu go i jego towarzyszy zobojętnieniu, nie dopuszczać do zupełnego wyczerpania organizmu i w porę nakazywać odwrót. Podczas pierwszej próby wdarcia się na szczyt Everestu, w której osiągnięto olbrzymią wysokość 8.225 m, nie zawahał się Mallory powziąć decyzję odwrotu, gdy tylko dostrzegł u uczestników wyprawy pierwsze groźne objawy wyczerpania, jak zanik woli, zobojętnienie, nieodporność na zimno i t. d. „Byłoby fatalnem — pisze Mallory — osiągnąć taką wysokość w stanie zupełnego wyczerpania, albowiem nieprędko można siły odzyskać, a człowiek, który nie umie czuwać nad samym sobą przy schodzeniu, może się stać powodem katastrofy dla swych towarzyszy, nie posiadających wystarczającego zapasu sił, aby czuwać równocześnie nad sobą i nad nim".

Jak słusznem było to stanowisko Mallory'ego i jak wielkiem zbawieniem stała się jego potężna wola dla uczestników wyprawy, wykazał zaszły w powrotnej drodze wypadek, który omal nie skończył się straszliwą katastrofą dla wszystkich uczestników wyprawy. Stromem, nad lodowcem Rongbuk zawieszonem zboczem schodzą ku Przełęczy Północnej pod przewodnictwem Mallory'ego związani liną alpiniści, wyszukując stopami stopni, wyrąbanych w śniegu i lodzie w poprzednim dniu. Coraz większe ogarnia ich wyczerpanie, a w takiej chwili — pisze Mallory — skrada się zwykle niebezpieczny wróg: nieostrożność. Wydobywając pozostałe zapasy energji moralnej, czuwa nieustannie Mallory nad bezpieczeństwem swych towarzyszy. Kiedy więc w pewnym momencie usłyszał Mallory za sobą jakiś podejrzany szmer, nie oglądając się za siebie, nie tracąc ani jednej sekundy czasu, z niesłychaną przytomnością umysłu wbił czekan w śnieg, okręcił go liną i przytrzymał całym swym ciężarem. W tym momencie przelecieli w szalonym pędzie koło niego jego trzej towarzysze, którzy „odpadli" od oblodzonego, stromego zbocza góry. Cudownym zbiegiem okoliczności lina nie pękła, — czekan, przytrzymywany przez Mallory'ego, nie wyskoczył ze śniegu; byli uratowani.

Z powodu tego wypadku stracili Mallory i jego towarzysze wiele cennego czasu. Nadchodziła noc; grozę położenia potęgował fakt, iż jeden z alpinistów był już tak wyczerpany, że nie mógł iść dalej o własnych siłach. Od paręset metrów niżej leżącej Przełęczy Północnej dzieliły ich jeszcze olbrzymie wały lodowe, pełne zdradliwych szczelin. Nim zdążyli do nich dojść, zapadła ciemna noc. Przejmujący grozą opis tych ciężkich chwil, które spędzili wówczas alpiniści angielscy na grani Everestu, daje nam poznać w całej pełni olbrzymią energję moralną Mallory'ego, dzięki której mógł on szczęśliwie doprowadzić późną nocą swych towarzyszy do rozpiętych na Przełęczy Północnej namiotów.

Oprócz silnej woli i niezwykłej energji ducha posiadał Mallory zalety, które uzupełniały jego dojrzałość alpinistyczną: był ostrożny i rozważny. Wielokrotnie też podkreśla on z całym naciskiem, że posiadanie tych przymiotów jest niezbędnem dla każdego poważnego alpinisty. „Pędzić bez rozwagi ku niebezpieczeństwom — pisze Mallory — nie jest w żadnym wypadku dowodem stałej odwagi. Narażanie się na niepotrzebne niebezpieczeństwa jest fałszywem bohaterstwem“. Alpinizm współczesny stał się umiejętnością, opartą na pewnych zasadach; ścisłe przestrzeganie ich — pisze dalej Mallory — stanowi oddawna zaszczyt Angielskiego Klubu Alpejskiego; zdobywanie więc jakiegokolwiek szczytu, a tym więcej najwyższego na naszej ziemi, musi być przeprowadzone w myśl zasad, między któremi widnieją słowa: ostrożność i rozwaga.

A jednak nie zdołała ochronić Mallory'ego ani jego wielka wiedza, ani doświadczenie i rozwaga od nieubłaganej śmierci w górach. Demony, które według wierzeń górali tybetańskich zazdrośnie strzegą dostępu do szczytu „Matki-Góry“, przykuły go na wieki do najwznioślejszych turni świata. Jeśli we wszystkich górach zdarzają się wypadki, w których największa umiejętność, doświadczenie i ostrożność nie wystarczają, by chronić alpinistę od bezpośrednich niebezpieczeństw lawin, oberwań się skał, załamań śniegowych mostów nad zdradzieckiemi szczelinami lodowców, to cóż dopiero w Himalajach, w tym nieznanym, niedostępnym, a nad wszelką miarę olbrzymim świecie górskim, gdzie nietylko potworny żywioł góry, lecz i rozrzedzone powietrze grożą na każdym kroku śmiałemu wędrowcy niespodziewaną śmiercią.

Zginął jeden z największych i najszlachetniejszych alpinistów współczesnej doby. Wspaniała umiejętność, wsparta o potężną wolę i niezmożoną wytrwałość, zawsze budzić będzie wielki podziw; pierwiastki zaś etyczne i estetyczne jego alpinizmu, ugruntowane w pięknie jego duszy, skrystalizowane w bezgranicznej miłości do gór, głęboko wszystkich wzruszać będą. Nietylko na tem polegać będzie wielkość Mallory'ego, że w bohaterskiej walce z najwyższym szczytem ziemi wskazał nowe sposoby zdobywania nieosiągniętych przez żadnego człowieka wyżyn himalajskich i ze swymi nadludzkimi wysiłkami, okupionymi ofiarą młodego życia, zniżył skalę trudności górskich. Przeżywanie bowiem radości, która daje pokonywanie trudności i niebezpieczeństw, zmaganie sił duchowych i fizycznych z groźną potęgą żywiołu górskiego, — słowem walka o najwznioślejsze „zwycięstwo ducha nad materją“, nie były wyłącznemi motywami alpinizmu Mallory'ego. Z wyżyn najwznioślejszej góry światy, przepełnionej, jak żadna inna, symbolami, wypowiedział on słowa, będące niejako jego wyznaniem wiary —

wiary najszlachetniejszej, gdyż treścią jej była bezgraniczna miłość do gór. Wyprawa na najwyższy szczyt ziemi była dla Mallory'ego pielgrzymką, podczas której „wgłębiał się w filozofję Matki-Góry“, w ofiarnym trudzie zdobywał wszystkie jej przebogate, symboliczne wartości, upajał się pięknem przyrody, oraz doskonalił i pogłębiał, oddawna w jego duszy głębokimi wrośniętą korzeniami, miłość do górskiego świata.

Nic też dziwnego, że wielką i serdeczną troską napełniały Mallory'ego myśli o dzisiejszym, a zwłaszcza jutrzejszym stosunku człowieka do gór. Zdawał on sobie dokładnie z tego sprawę, że czasy świetności alpinizmu odkrywczego w europejskich górach bezpowrotnie minęły i że współczesny alpinizm doszedł obecnie do zwrotnego punktu, w którym musi szukać nowych dróg dla siebie. Zjawisko to jest zupełnie naturalne. Alpinizm doszedł istotnie do szczytu rozwoju, lecz jako twór żywy, nie może zatrzymać się na swej drodze w dążeniu do dalszych ewolucyj, którym ulegał od najdawniejszych czasów stosunek człowieka do gór. Podziw i tęsknota, pęd poznawczy, cele naukowe wiodły, jak wiadomo, dawniej człowieka w świat górski; wędrówka w górach, budząc w nim uczucia estetyczne, sprawiała nieznaną mu dotychczas radość. Wytworzył więc czynność dla samej siebie, alpinizm, i przez rozumowe ujęcie pogłębił jego treść pierwiastkiem etycznym. Nastąpił świetny okres alpinizmu odkrywczego. Zrazu najwyższe lub szczególnie wybitne, później wszystkie inne, tak zwane samodzielne szczyty padły pod śmiałemi stopami człowieka, który równocześnie wytworzył wspaniałą, opartą na pewnych zasadach umiejętność, stanowiącą nieodłączny warunek nowoczesnego alpinizmu; równolegle rozwijała się bogata literatura alpinistyczna. Z wprowadzonem w życie hasłem „l'art pour l'art“, zaczął występować w alpiniźmie moment sportowy; zdobywano każdą ścianę i grań, każdy komin i żleb, o ile dawały sposobność do wykazania sztuki alpinistycznej. Nic też dziwnego, że rozwijającemu się w tym duchu alpinizmowi pozostało w końcu jedyne zadanie: wyczerpać wszystkie możliwości. Równocześnie jednak zaczęły występować i mnożyć się objawy ujemnej natury. Najważniejsze czynniki, jak moment etyczny i estetyczny, pęd poznawczy, zaczęły w alpiniźmie ustępywać miejsca wybijającemu się na pierwszy plan kierunkowi sportowemu; ambicja, odgrywająca w życiu każdego niemal człowieka wielką rolę, zaczęła mu stale towarzyszyć w jego wyprawach górskich, znacząc swem piętnem jego poczynania. Rozwinął się czynnik współzawodnictwa i zaczął tłumić moment etyczny.

Skoro już te objawy, jakkolwiek drugorzędne, wywołały u Mallory'ego odruchy niechęci, to jakąż głęboką troską o losy jutrzejszego alpinizmu napełniać go musiały zjawiska, występujące coraz jaskrawiej w ostatnich

latach. Wzmagająca się z każdym dniem popularyzacja alpinizmu pociągnęła za sobą demokratyzację stosunku człowieka do gór; demokratyzacja ta niestety nie polegała na udostępnianiu szerokim masom tych wzniosłych wrażeń, które dają góry, i nie dbała o to, aby chronić ich źródło od skażenia i zepsucia, oraz zachować je niezmąconemi. W nowej fali, zalewającej wzniosły świat gór, zaczęły niknąć dawne cnoty alpinizmu, szlachetna bezinteresowność, wyobraźnia — nieodłączny pierwiastek estetyki a nawet etyki, wrażliwość, tak bardzo wzbogająca uczucie. Natomiast coraz więcej przychodził do głosu tak zwany „zdrowy rozsądek“, a z nim egoizm praktyczny, gruby, wspólny mianownik wszystkich instynktów i wszelakich uciech materjalnych. Smutne następstwa wojny, jak zmaterjalizowanie życia i obniżenie się poziomu etyki, dopełniły miary złego. Rezultały nie dały długo czekać na siebie. Pustynia górska w przerażającem tempie zaczęła się kurczyć i zanikać. Dostojna świątynia zaczęła się coraz gęściej zapełniać pospolitym, zgiełkliwym jarmarkiem ludzkim, któremu obcą i niepotrzebną była „ewangelja gór“. Symboliczne wartości, te bezcenne, a tak trudne do osiągnięcia dary, zaczęły znikać z wyniosłych, skalistych ołtarzy świątyni, na których je złożyły, jako najdroższe wota, odwieczny podziw i tęsknota człowieka do gór. „Gromada wróbli“ zaczęła coraz więcej „wypłaszać szlachetne ptactwo śpiewające“. Wiele też wybitnych jednostek dzisiejszego alpinizmu zadaje sobie pytania: co czynić w obecnym stanie? Jakie hasła należy przeciwstawiać odruchom egoizmu praktycznego w walce o „jutro“ alpinizmu?

Wstrzymajmy popularyzację „ewangelji gór“, powstrzymujmy falę współzawodnictwa w alpiniźmie, miłujmy i chrońmy pustynię górską i jej przyrodę! Oto myśli, wybijające się z przekonywującą siłą z ideologji alpinistycznej Mallory'ego na pierwszy plan.

* * *

Objawy ujemnej natury, które zaczęły występować na gruncie alpinizmu, nie ominęły i polskiego taternictwa. Nie można się temu dziwić; polski „sport górski“, jakkolwiek posiada swój odrębny charakter, jest przecież odłamem alpinizmu. Wiele jednostek naszego taternictwa i to z pewnością równorzędnych co do wartości swej z najwybitniejszymi przedstawicielami alpinizmu europejskiego, patrzyło jednak już przed wojną z obawą na grożące Tatrom, a więc i taternictwu, niebezpieczeństwa i zastanawiało się nad środkami zmierzającymi do ich obrony. Wystarczy wspomnieć powstanie w łonie Towarzystwa Tatrzańskiego Sekcji Ochrony Tatr, wystarczy przypomnieć wydanie przez Sekcję Turystyczną pięknej

i cennej książki „Zasady Taternictwa“, napisanej przez wybitnego taternika Zygmunta Klemensiewicza. Działalności tej stanęła niestety na przeszkodzie długoletnia wojna; powstała skutkiem tego luka, którą jedynie zdwojona energja wszystkich miłośników Tatr wyrównać zdoła. Uświadomić sobie bowiem należy z całą jasnością, że wybiła ostatnia godzina do ratowania zagrożonych Tatr, oraz do ustalenia drogi, zmierzającej do utrzymania w taternictwie tego poziomu, który nam przekazali wybitni jego twórcy. Jeżeli kraje o wielkiej tradycji i kulturze alpinistycznej, jak n. p. Szwajcarja, Włochy, Anglja, Francja, Niemcy i Austrja poddają obecnie gruntownej rewizji dotychczasową działalność swych zrzeszeń turystycznych na obszarze Alp, to z nieporównanie większą troskliwością powinno przystąpić polskie taternictwo do zrewidowania swego stosunku do Tatr, którym poważniejsze, niż Alpom, grożą niebezpieczeństwa. Stały się Tatry za ciasne — nie mogą pomieścić zwiększającej się z roku na rok fali ludzkiej. Wyłonił się szereg najpoważniejszych problemów, od których rozwiązania zależą losy jutrzejszego taternictwa.

Wdzięcznem i pożytecznem byłoby zadaniem skreślenie obrazu ewolucji, która się dokonywa we współczesnym alpiniźmie europejskim. Wystarczy wziąść do ręki wydaną u schyłku 1924 roku książkę Enzenspergera „Bergsteigen“, aby zdać sobie sprawę z wielkiego zwrotu, który się dokonał n. p. w ideologji alpinizmu niemieckiego i austrjackiego. Ze wzmożeniem się ruchu turystycznego na obszarze austrjackich i niemieckich Alp występywać zaczęły groźne zjawiska dla alpinizmu w tych krajach; udostępnianie gór, budowy coraz to nowych ścieżek i dróg jezdnych, przemiana schronisk na hotele i t. d. niszczyły w przerażającem tempie pustynię górską, wybijający się zaś na pierwszy plan czynnik współzawodnictwa wytwarzał akrobatyzm górski i zabijał ducha szlachetnego alpinizmu. Dlatego też w 1923 r. austrjackie i niemieckie kluby alpejskie, stosownie do uzgodnionych i ustalonych przez siebie linij wytycznych, postanowiły między innymi: wstrzymać popularyzację alpinizmu, a w miejsce powierzchowności i nadmiaru dążyć do utrzymania w nim zdrowego ducha, wrócić do prostoty życia w górach, wstrzymać budowę nowych schronisk, ścieżek, oraz znaczenie szlaków górskich, ograniczyć do minimum umieszczanie tablic i znaków orjentacyjnych, nie dopuścić do reklamowania schronisk, a nawet usunąć z dworców kolejowych i hoteli istniejące już reklamy. Za najważniejsze zadania uznano: utworzenie na obszarze każdej sekcji r e z e r w a t u, oraz wychowywanie przyszłych pokoleń alpinistycznych przez wpajanie w młodzież miłości do gór, oraz idei ochrony przyrody.

Te skromne uwagi, których należyte rozwinięcie wypełniłoby liczne strony niejednej książki, wystarczą dla stwierdzenia faktu, dla nas najważniejszego, że i my musimy wytężyć wszystkie siły ku ochronie wysokiego poziomu i czystości zasad w taternictwie, póki jeszcze nie uległy zwulgaryzowaniu, oraz, że musimy zawrócić na ową drogę po długiej wędrówce, w której popełniliśmy tyle błędów, szukając tam, gdzie jej nie było, gdy tymczasem mieliśmy ją blisko siebie, gdzie czekała nas od wielu lat: na drogę ochrony Tatr. Wierzymy, że w przeprowadzeniu tych pierwszorzędnych zadań odegrają najważniejszą rolę owe pierwiastki uczuciowe, które wytworzyły w taternictwie polskiem głębszy, odrębny, niespotykany nigdzie stosunek człowieka do gór. Nie zamierzam oczywiście kreślić historji, ani zwracać uwagę na znane zresztą dobrze zasadnicze momenty naszego taternictwa; nie dokonywam żadnych odkryć, a przyczynek mój skromny ogranicza się do elementarnych jeno faktów. Taternictwo polskie powstało i rozwijało się w czasach niewoli; Tatry budziły w ówczesnych turystach polskich, spieszących w nie z różnych dzielnic, rozdzielonych kordonami zaborców, nietylko uczucia radości, którą dają każdemu człowiekowi wędrówki w góry, lecz przedewszystkiem najwznioślejsze uczucia swobody i wolności; stały się one niejako ich symbolem. Wszakże na całym obszarze Ojczyzny — jak wołał w przepięknym sonecie Franciszek Nowicki — jedynie w skalnej świątyni tatrzańskiej wznosiły się ołtarze wolności.

Na tem tle wyrosła owa bezgraniczna miłość do Tatr, w której wychowywały się nasze pokolenia tafernickie. Miłość tę uzupełnił nadto odrębny, również nigdzie niespotykany charakter taternictwa, które Pawlikowski nazywa taternictwem etnograficznem; taternicy szli w góry z pięknym ludem góralskim, który im był nietylko przewodnikiem, lecz i najmilszym towarzyszem wypraw. Miłość do Tatr stała się dominującym pierwiastkiem polskiego taternictwa. Tkwiła ona głębokimi korzeniami w sercach pierwszych taterników, jak: Janoty, ks. Stolarczyka, Chałubińskiego, Asnyka, Mieczysława Pawlikowskiego, Leopolda Swierza, Eljasza Radzikowskiego i. i. Wybijała się ona na pierwszy plan również u ich następców, wybitnych przedstawicieli taternictwa klasycznego; świadczy o tem bogata literatura tafernicka i jej ozdoba: opisy wypraw tatrzańskich Karłowicza; wystarczy przeczytać wspomnienia Chmielowskiego o Leopoldzie Świerzu lub Klimku Bachledzie, studjum o Kazimierzu Tetmajerze Mieczysława Swierza, wspomnienie Kordysa o Karłowiczu, by zrozumieć ten odrębny, uczuciowy charakter polskiego taternictwa. W świadomości tego faktu budzi się w nas wiara, że taternictwo polskie w obecnym, niezmiernie doniosłym momencie stanie na wysokości zadania i z nakładem wszystkich

sił zabezpieczy przyszłym pokoleniom źródła najpiękniejszych i najszczytniejszych wzruszeń w taternictwie.

W ciągu niniejszego szkicu szkicu zaznaczyliśmy już większość wniosków, jakie zeń wyciągnąć można, wystarczy tedy w streszczeniu przytoczyć najważniejsze:

Z ideologją jutrzejszego taternictwa powinna być nierozerwalnie złączona idea ochrona Tatr. Czuwanie nad urzeczywistnieniem myśli tatrzańskiego parku narodowego, myśli, która zbliża się ku realizacji, jest w chwili obecnej najgłówniejszem zadaniem taternictwa polskiego; w koło tej zasadniczej kwestji powinny się zgrupować wszystkie wysiłki miłośników Tatr. Nie bójmy się, że pójdziemy za daleko i niech refleksje egoizmu praktycznego nie osłabiają zapału. Mnóstwo ludzi w koło nas poczuwa się jedynie do obowiązku gaszenia rozpalanych przez nas ognisk; niech płoną one coraz jaśniej i niech odpędzają mroki, w których zaczęło się już pogrążać polskie taternictwo.

W miejsce powierzchownej i jak się okazało, szkodliwej popularyzacji „sportu górskiego", wychowujmy raczej nowe pokolenia taternickie; starajmy się o jakość a nie o ilość. „Już to tak jest — mówi Zsigmondy — że to, co najtrudniejsze i najwyższe, zarówno w górach, jak i w życiu, niewielu tylko jest danem i że tylko ci na nie zasługują, którzy je sobie sami zdobyć potrafią". Nadchodzi czas, w którym polskie taternictwo wzorem zachodniego alpinizmu powinno zająć się młodzieżą, garnącą się coraz liczniej do szlachetnego „sportu górskiego"; utworzenie przy Oddziałach Tow. Tatrzańskiego grup młodzieży, zapoznawanie jej z pojęciem, treścią, kulturą i etyką taternictwa stworzyłoby dobre kadry przyszłych taterników. Powrót do prostej, skromnej formy życia w górach, przystosowanie urządzeń w schroniskach wyłącznie do potrzeb taternika, przyczyniłoby się również do utrzymania w taternictwie wysokiego poziomu i czystości zasad.

Więcej, niż kiedykolwiek, stają się dziś aktualnemi słowa, wypowiedziane przed laty przez Jana Gwalberta Pawlikowskiego: „Aby być naprawdę ternikiem, trzeba przyrodę i piękno wogóle, a Tatry w szczególności kochać; trzeba te Tatry znać i wreszcie obok zamiłowania do chodzenia po górach, trzeba mieć ku temu kwalifikacje".

„Taternictwo nie siedzi w nogach, lecz w sercu".

Zakopane, w styczniu 1925 r.

*Bronisław Romaniszyn.*

*Z cyklu: Na pustaciach.*

## Odeszła mię ma dusza...

Dawno już temu... kiedy?... nie pomnę zgoła ninie,
Odeszła mię ma dusza, odeszła w złej godzinie.

Po pustej poszła ścieżce — przez wietrzne poszła rżyska,
W dalekie gdzieś odludzia — w zapadłe uroczyska...

Na martwych gór pustacie — za głuchych puszcz rubieże,
Na nigdy niezwiedzanych ogromnych mórz bezbrzeże.

I gdy tu śród biesiady mój trup czerwony siedzi,
Pije szumiące wino, brząka językiem z miedzi —

Ściska naokół dłonie — braterstwa hasła głosi:
Dusza się w dzikim wichrze po gołych wierchach nosi,—

Nad mórz ogromnych pustką na skrzydłach cichych drzemie,
Lub gwiazd obłędnych szlakiem z pod stóp swych rzuca ziemię.

— A kiedy późnej nocy nadejdzie już godzina,
Trup mój u okna staje — coś myśli... przypomina...

I zda mu się — że k'niemu z przestrzeni leci... bieży
Coś niby ptak obłędny... już — już o pierś uderzy...

Przerażon z trzaskiem okien zamyka trup wierzeje,
A już go sen nie najdzie nim ranny kur zapieje

A byle ćma ponocna u szyby zakołacze,
W kącie samotnej izby trup blady drży i płacze.

*J. B. K.*

# Beskid Mały.

*W te góry, mało znane zwykłemu turyście,*
*który zawsze uważa na dróg barwne znaki,*
*chodź z nami! Od Wadowic wędrując po Żywiec,*
*spotkamy puszcze, rzeki, ruiny i zamki . . .*

*J. Brzostowska.*

## I. Przyroda.

(Sandecka a Żywiecka kotlina. — Pogardzony kopciuszek. — Trzy nazwy. — Beskid Mały jest odrębnym górotworem. — Pasemko Pewelskie. — Granice, obszar, charakter i całokształt Beskidu Małego. — Przełęcz „U Panienki". — Nowy Świat. — Krajobrazowe powaby. — Wybitniejsze szczyty i widokowe punkty. — Poprzeczne i podłużne doliny. — Przełomowe doliny Soły, Skawy i Choczenki. — Bogactwo i różnorodność borów. — Brzozowe gaje. — Cisowa góra. — Lasy limbowe. — Świat zwierzęcy).

Dwie walne kotliny śródbeskidowe współzawodniczą ze sobą o pierwszeństwo pod względem znaczenia kulturalno-gospodarczego, wielkości obszaru i malowniczości położenia: Sandecka i Żywiecka. Pierwsza jako niżej położona (Nowy Sącz leży 299 m., Żywiec 346 m. n. p. m.), znacznie mniej sfalowana i dużo niższemi pasmami gór otoczona, ma klimat łagodniejszy i glebę żyźniejszą, to też pod względem rolniczym stoi wyżej niż Żywiecka; dzięki temu osadnictwo ludzkie sięga w Sandeczyznie daleko w głąb doby przedhistorycznej, a w dziejach Polski, w rozwoju kultury i handlu od najdawniejszych czasów odgrywała ona zawsze wybitną rolę, podczas gdy Żywieczyzna nie może się na tem polu wykazać tak chlubnym dorobkiem.

Gospodarcze znaczenie Sandeczyzny podnoszą wielce świeżo odkryte żyły ropy naftowej, ślady węgla kamiennego i znane bogactwo źródeł mineralnych, w Żywieczyźnie zaś polegało i polega ono głównie na bogactwie lasów, a w ostatnim czasie wzmaga je silnie postępujące uprzemysłowienie powiatu. Kultura lasów została w Żywieckiem z kotliny całkowicie w góry wyparta, a dno kotliny zajęło rolnictwo, które pierwotnie musiało się począć w płaskich częściach kotliny, w okolicy dawniejszego starego i nowego miasta, którego imię od słowa „żywić, żywność" niezawodnie powstało. Nazwa Żywiec nie od czego innego chyba pochodzi, jak od tego, że miejscowość ta, w najurodzajniejszem miejscu kotliny połołożona, była pierwszą, która dla pierwotnej i lesistej okolicy poczęła żywność produkować. Natomiast pod względem wielkości obszaru i malowniczości położenia pierwszeństwo przyznać trzeba kotlinie Żywieckiej. Podczas gdy Sandecka liczy około 80 km$^2$ powierzchni i tylko od południa zamknięta jest głównym grzbietem Beskidów (niespełna 1300 m. wys.), a z innych stron otoczona jest ich niż-

szemi odnogami i podkarpackiemi wzgórzami, to Żywiecka liczy przeszło 100 km² powierzchni, a ze wszech stron ujęta jest w znacznie wyższe, potężniejsze i więcej malownicze wały górskie. Kształtem zbliżona jest Żywiecka kotlina do trójkąta, wierzchołkiem ku południu, a szeroką podstawą ku północy ustawionego, a rozpościera się dość wydatnie sfalowaną płaszczyzną nad górną Sołą i jej dopływami: Koszarawą, Łękawką, Leśną i Żylicą. Pasma, otaczające kotlinę Żywiecką, należą do różnych działów Beskidów Zachodnich: od wschodu opadają w nią kończyny Przedbabiogórskiego i Babiogórskiego pasma, od zachodu prostą linją zamyka ją Beskid Śląski z Górą Baranią, Skrzycznem i Klimczokiem, od południa wygiętem zakolem otacza ją główny, wododziałowy łuk Karpat z Pilskiem, Romanką i Wielką Raczą, który wytwarza ów charakterystyczny „worek" żywiecki, a od pół-



Widok z Żywca w stronę Beskidu Małego i Wilkowickiej Bramy.

nocy dłuży się nad nią pasmo znacznie niższe od poprzednich, tj. Beskid Mały, który tę kotlinę śródgórską od Pogórza karpackiego odcina.

Dziwne jest to pasmo, a raczej gniazdo górskie, ten Beskid Mały; nieznany i nieopisywany dotychczas przez nikogo, nieuczęszczany przez turystów, zapomniany i lekceważony przez znawców gór naszych; głucho o nim w opisach geograficznych i krajoznawczych, głucho w podręcznikach turystycznych. Na góry te nie zwrócił bliższej uwagi poprostu nikt. Przy podziale gór naszych między poszczególne Oddziały Towarzystwa Tatrzańskiego żaden z nich nie chciał zająć się Beskidem Małym i przyjąć go w obręb swej działalności turystycznej, choć jest on i z Krakowa i Śląska Górnego dobrze widoczny i ledwie 2—3 godziny jazdy odległy. A przecież

ten zapomniany i pogardzony kopciuszek górski, to nie żaden bękart nieudały, ale rodzone dziecko naszej polskiej ziemi, dziecko piękne, miłe, powabne i zajmujące, w dobra przyrodzone uposażone, uwagi, poznania i miłości godne, którego jedynym defektem, ściągającym nań niechęć niesłuszną, jest to, że jest niższe wzrostem od innej braci beskidzkiej.

Beskid Mały ma jeszcze dwie inne nazwy, a to Beskid Polski i Beskid Kocierski. Nazwy te nadali tej grupie Żywczanie; pierwszą z tego powodu, że jest ona znacznie niższą w porównaniu z resztą grup okalających Żywiec; drugą dlatego, że stoi ona w całości na obszarze polskim, podczas gdy inne pasma, od południa i zachodu stojące, jako graniczne nazwali Beskidem Węgierskim lub Orawskim i Beskidem Śląskim; a trzecią, lokalną, z powodu położonych w jej wnętrzu dwóch wsi, Kocierza Rychwałdzkiego i Kocierza Moszczanickiego.

Wzmiankę o tych trzech Beskidach: Węgierskim, Śląskim i Polskim, znajdujemy u W. Pola, u E. Janoty w jego opisie Żywieczyzny, zaś prof. A. Rehman w swem wielkiem dziele o Karpatach pisze w paru słowach tylko o tym górotworze bez wymienienia wszakże jego nazwy, że zachodnia jego część po Sołę jest częścią „Raczohalskiego“ (Wiślańskiego) ramienia, a wschodnia jest „czwartym od strony Wisły działem Babiogórskiego ramienia“. Jest to zapatrywanie mylne, oparte widocznie nie na autotypsji, ale na teoretycznym podziale gór według kruchej podstawy hydrograficznej.

Ani z Wielką Raczą ani z Babią Górą nie ma Beskid Mały zgoła nic wspólnego, jest on bowiem wyraźnie odrębnym, wybitnie od innych grup górskich odgraniczonym i pokaźnym co do obszaru, lubo pośledniejszym co do bezwzględnej wysokości górotworem. Soła nie rozdziela tu wcale dwóch różnych ramion górskich, lecz najwyraźniej przełamuje się przez środek jednolitej grupy górskiej, mającej swoje wyraźne granice. Jednym rzutem oka z jakiegoś oddalonego szczytu od strony południowej (n. p. z Grojca nad Żywcem, z Baraniej, Skrzycznego, Klimczoka) stwierdzić można, że Beskid Mały jest zupełnie oddzielną od innych grupą górską, między kotliną Żywiecką a Pogórzem dźwigniętą, w charakterze zewnętrznym i przeciętnej wysokości jednolitą, w której nieświadomy stanu rzeczy, z oddali na całość patrząc, przełomu rzecznego ani domyśleć się nie może.

Z pasmem Baraniem lub Wiślańskiem (przez Rehmana też niewłaściwie Raczohalskiem nazwanem) nie ma Beskid Polski żadnej łączności, pasmo to bowiem kończy się Klimczokiem (1119 m.), ktorego stoki spadają w t. zw. Wilkowicką Bramę, tę zaś żadną miarą za przełęcz między Klimczokiem a pobliską Magórką w Małym Beskidzie uznać nie można. Brama Wilkowicka jest kilka kilometrów szerokim ujściem z kotliny Żywieckiej na

Pogórze Śląskie, mieszczącem w sobie dwie wsi, Wilkowice i Bystrą, poziomem prawie równą kotlinie, bo tylko 400 m. wzniesioną. I z Babiogórskiem pasmem nie ma Kocierski Beskid żadnej prawie łączności, dzieli je bowiem od siebie kotlina Żywiecka i Suska. Jedynie niska przełęcz, a raczej też rodzaj bramy 557 m. między temi dwoma kotlinami we wsi Lesie koło Ślemienia, przez którą przechodzi gościniec o słabem wzniesieniu, mogłaby być uważaną za bardzo luźny łącznik Beskidu Małego z pasemkiem Pewelskiem, które znów koło stacji kolejowej w Hucisku 568 m. łączy się również luźnie z odnogami pasma Przedbabiogórskiego.

Owo Pewelskie pasemko odgranicza od Beskidu Małego gościniec żywiecko-suski, a od pasma Przedbabiogórskiego tor kolejowy między Lachowicami a Jeleśnią, który został tędy przeprowadzony wcale nie po linji najmniejszego oporu, ta bowiem przypadałaby była wzdłuż biegu gościńca przez Ślemień. Powodem puszczenia kolei Sucha—Żywiec przez bezdroża górskie miała być wydatniejsza jej rentowność dla eksploatacji lasów żywieckich, co jednak przypłacić musiało miasteczko Ślemień z folwarkiem dóbr suskich swym upadkiem i zredukowaniem niemal do rzędu wioszczyzny.

Poczyna się Pewelskie pasemko pod wsią Kukowem i biegnąc na południ. zachód, kończy się w Jeleśni Janicową Grapą. Jest ono niskie i zaledwie wybija się ponad typ pogórza, bo tylko dwa wierzchołki przenoszą nieco 750 m., a to Baków 766 m. i Zwaliska 757 m. Lasy okrywające jego zbocza i wierzchowiny, należą do dóbr suskich i do gmin pod niem położonych, jak Kurów, Lachowice, Ślemień. Gilowice, Huciska, Las, Mutne, Pewel Wielka, Pewel Mała, Pewel Ślemienieńska, a płynące zeń strumienie Pewlicy i Pewelki zasilają rzekę Koszarawę. Odcinek kolei Lachowice-Hucisko-Jeleśnia, mający wzniesienia i spadki powyżej $20^0/_{00}$, należy do bardzo malowniczych partyj górskich kolei, zaś mała imitacja Częstochowy, Jasna Górka nad Ślemieniem, ze źródłem, któremu przypisują cudowne właściwości, jest najwięcej uczęszczanem miejscem odpustowem w Żywieczyźnie. Odpust wrześniowy na Podniesienie św. Krzyża ściąga tu tłumy pątników nawet z dalszych powiatów, głównie z Wadowickiego, które ciągnąc pieszo przez Beskid Mały, wypoczywają pod Krzyżem na szczycie Leskowca.

Obszar Beskidu Małego da się dość ścisłemi granicami wytyczyć. Ze wschodu jest nią rzeka Skawa od Suchy po Wadowice, której kręty bieg w okolicy Mucharza tworzy przełom między Pogórzem a Beskidem Małym [1]);

---

[1]) W. Pol rozciąga granicę Beskidu Polskiego od wschodu aż poza Rabę. Nie jest to rzeczą trafną, bo grupa gór Myślenickich jest odrębną i od omawianej szerokim pasem Pogórza oddzieloną.

ze wschodu granicą jego jest Wilkowicka Brama z rzeczką Białą ; od południa północny brzeg kotliny Żywieckiej, po którym biegnie główny gościniec Karpacki z Biały przez Żywiec, Ślemień i Suchą; od północy zaś naturalną granicą są stoki tych gór, które stromym progiem dźwigają się nad Pogórzem, a po podnóżach których biegnie gościniec i tor kolejowy z Biały przez Kęty i Andrychów do Wadowic.

Górotwór ten ciągnie się w kierunku wschodnio-zachodnim, a długość jego w linji powietrznej od Skawy do Biały wynosi 35 km., przeciętna zaś szerokość 10 km.; kształtem jest on zbliżony do zwężonego na wschodzie prostokąta, a obszar jego — po odliczeniu wciskających się gdzieniegdzie weń zatok nizinnych, jak w Porąbce i Rzykach – liczy ponad 250 $km^2$, jest więc sporym szmatem górskiej dziedziny, równającym się swym spiętrzonym obszarem omal połowie powierzchni Tatr, a mniej więcej równym obszarowi Gorców.

W stosunku do głównego łańcucha Beskidów Zachodnich nie jest Beskid Mały ani jego ogniwem ani boczną odnogą, lecz zgoła izolowaną wyspą górską, na północ ku Pogórzu mocno od niego wysuniętą. Zachodzi pytanie, czy górotworu tego nie należałoby zaliczyć do Pogórza lub do typu gór niskich? Odpowiedzieć trzeba stanowczem — nie. Do typu gór niskich zalicza geografja wierchy poniżej 750 m. n. p. m.; skoro tedy nie zalicza się do nich ani Małych Karpat koło Preszburga, ani Beskidu Niskiego czyli Środkowego koło Duklańskiej przełęczy, to tem mniej uznać za nie można Beskid Mały, którego przeciętna wysokość sięga znacznie wyższego poziomu, a to 850 m., kilka zaś wierchów przenosi wysokość 900 m., zatem wiele, bo 200 m. przekraczają te góry granicę wysokości gór niskich. Beskid Mały jest górotworem *średniego typu*, mającym charakter i fizjognomję wybitnie średniogórską.

Przeciętny poziom kotliny Żywieckiej wynosi niespełna 400 m., a Pogórza po północnej stronie tych gór niespełna 300 m.; jeśli tedy zważymy, że wierzchołki Małego Beskidu ponad poziomy kotlin wystrzelają 500 do 650 m., to okaże się, że ta wyspa górska pomimo nieznacznej wysokości bezwzględnej ma wcale *pokaźną wysokość względną*, dzięki czemu z oddali przedstawia się ona dość okazale. Wrażenie okazałości potęguje ta jeszcze okoliczność, że zarówno z południowej, jak i z północnej strony stoki Beskidu Małego podnoszą się z równi jednym śmiałym, a często tak stromym progiem, iż zdaje się nieraz, że las z tych zboczy obsunąć się może. Gdy n. p. znacznie wyższy Turbacz 1311 m. w Gorcach lub Barania Góra 1214 m. wiele tracą na wrażeniu wysokości przez to, że są oto-

czone rojem przedgórzy, to tu wierchy Magórki i Jaworzyny nad Żywcem, Groniczków nad Lipnikiem, Hrobaczej i Bujakowskiej nad Czańcem, Jawornicy i Gancarza nad Andrychowem tak śmiało w górę się wyrywają, jak n. p. Sarnia Skała nad Zakopanem. Zarys tych gór jest ogółem wyrazisty i ostry, a tylko we wschodniej kończynie koło Wadowic poprzedza je pasemko przedgórza ok. 500 m. wysokiego.

Pod względem ukształtowania jest Beskid Mały także pewną oryginalnością, nie tworzy bowiem jednego wydłużonego łańcucha, nie wytwarza rozrogu odśrodkowo rozbiegających się ramion, jak Gorce, nie ma odosobnionych gór wyspowego typu, lecz jest on dość chaotycznem zgrupowaniem pasm i pasemek, łuków, splątanych odnóg, dolin podłużnych, poprzecznych i przełomowych, siodeł i przełęczy, posiada tedy charakter gór masowych czy też gniazda górskiego, którego wierzchowina z powodu równomierności wyniesień przedstawia się naogół jako jeden wielki, lesisty, dość słabo sfalowany płaskowyż.



Groniczki nad Lipnikiem (500 m. próg nad poziom doliny). (Fot. *K. Sosnowski*).

Przełomowa dolina Soły rozdziela Beskid Mały na dwie nierówne części: mniejszą zachodnią i większą wschodnią. Zachodnia ma kształt prawie foremnego półkola, które poczyna się jednym końcem koło wsi Zadziele, 5 km. na północ od Żywca — i otarłszy się podnóżami o Mikuszowice, Straconkę i Lipnik koło Białej — wraca nad Sołę w Porąbce, 7 km. od Kęt oddaloną.

Południowy odcinek tego półkola stanowi kilka kilometrów długi grzbiet Magórki, która nad Sołą rozszczepia się na trzy odnogi: zewnętrzna jest rodzajem przedgórza, ciągnącego nad Łodygowicami i Bierną, a mieszczącego na swych stokach wieś Tresną; wewnętrzna krótko opada do Międzybrodzia Lipnickiego, środkowa spada do Czernichowa. W grzbiecie Magórki pierwszą znaczniejszą kulminacją jest S u c h y  W i e r c h w Czernichowie 799 m., następną C z u p e l 933 m., dalszą właściwa M a g ó r k a 913 m., nazwana przez niemieckich turystów Josefsbergiem; ostatnią, już ku półn. zwróconą,

jest Sokołówka 858 m., z której grzbiet główny spada w przełęcz Przegibek 663 m. (Kamienny Krzyż), łączącą Straconkę z Międzybrodziem Lipnickiem. Z tej przełęczy powtórnie dźwiga się grzbiet na Groniczki (Hanslik) 824 m. i Trzy Kopce (Wróblowica) 839 m., z których znów stromo spada w głęboko wciętą, lesistą przełęcz „U Panienki" 741 m., przez którą przemyka się droga z Kóz do Międzybrodzia Kobiernickiego. Nazwa przełęczy „u Panienki" lub „ku Panience" pochodzi stąd, że stoi na niej kamienna figura Matki Boskiej, przez leśniczego z Kóz w r. 1884 ufundowana. Na Hrobaczej Łące wraca znów grzbiet do wysokości 830 m. i zwolna przez Bujakowską Górę 749 m. i Zasolnicę 567 m. spada w dolinę Soły. Uderzającą cechą tego półkola górskiego jest dzikość i stromość zboczy po zewnętrznej stronie, od 50—70° dochodząca.

Znacznie łagodniej opadają zbocza tego półkola ku wewnętrznej stronie. Kotlinka, jaka między niem a Sołą powinna się była wytworzyć, została częściowo odnogami gór zajęta, a na poły przeciął ją poprzeczny grzbiet od Groniczków ku Sole wysunięty, i z kotliny zrobił dwie podłużne doliny. W jednej z nich leży Międzybrodzie Lipnickie, w drugiej Kobiernickie. Grzbiet ten do 5 km. długi, niespełna 700 m. wysoki, Nowym Światem zwany, ciekawym kontrastem odbija od lesistych dokoła siebie uboczy. Jego południowy stok, do potoku Ponikwy bystro pochylony, jest zupełnie gołą pustacią, gdzieniegdzie krzakami jałowca lub karłami smereków porosły. Jest to niby „pastwisko gminne", po którem krowy i kozy międzybrodzkie chyba przechadzki i pięknych widoków zażywają, bo na spieczonem żarem słońca i gruzem skalnem zawalonem zboczu, trawy niema prawie żadnej. Przykry widok przedstawia ten zacofany Nowy Świat, zmarnionych kilkuset morgów, które nadawałyby się nie tylko na kulturę lasu, ale miejscami i na grunta orne, bo jednostajność tej pustaci przerywa przecież kilka ogajonych osiedli, a pod szczytem gnieździ się spory przysiołek, razem z górą Nowym Światem zwany. Podobnemi goliznami świecą też z drugiej strony Soły stoki Żaru, tylko że w mniejszych obszarach.

Daleko zawilszą co do układu gór jest wschodnia połać Beskidu Małego. I w tej także można się dopatrzeć zarysów nieforemnego, wydłużonego półkola, czy już raczej trójkąta, którego wierzchołkiem byłby szczyt Madohory 934 m., podstawą bieg Soły, ramieniem południowem pasemko Ślemieńskie z wierchami: Antoniówka 708 m., Płone 740 m., Ściszków Groń 779 m., Szkolarzówka 822 m., Gibasów 809 m. i lesista Łamana Skała 898 m.; ramieniem północnem: Bukowski Groń z Palenicą 782 m., Złota

Góra 759 m., Cygańska 745 m., Wielka Bukowa 755 m., grzbiet Beskid 759 m. i Potrójna 888 m.

Z dość dowolnie zestawionego trójkąta tego biegną ku Sole dwa wewnętrzne pasma, a to Kiczory 831 m. z Żarem 761 m. — i od przełęczy Kocierskiej 718 m. dzikie, puszczami okryte pasmo Wielkiej Góry (Upłaz) 879 m, Wielkiego Cisownika 893 m., Przysłopu 853 m., Jaworzyny 864 m. i Kościelca 795 m. W obu tych półkolach gór koło Soły ciągną się ku rzece doliny podłużne, w reszcie zaś całego górotworu mamy już doliny poprzeczne.

Od wierchu Madohory ciągnie się jeszcze na półn.-wschód dalszy ciąg naszego górotworu, lecz już jako wyraźnie pojedyncze pasmo Leskowca 922 m., od którego w obie strony odchodzą boczne odnogi, jak Jawornica 834 m., Gancarz 802 m. nad wsią Rzeki, Żar 665 m. nad Ponikwią, Królowa Wyżnia 819 m. nad Jaszczurową, Makowa Góra 751 m. nad Tarnawą i i. Wierchy Bukowej, Potrójnej i Madohory są linją wododziałową między Sołą a Skawą. Całą wschodnią połać Beskidu Małego od Soły po Skawę możnaby uznać za jedno długie pasmo, kształtem do litery S podobne, od połudn.- zach. na półn.-wschód po szczytach Jaworzyny, Cisownika, Upłazu, Potrójnej, Madohory i Leskowca się ciągnące, w którem wszystkie poprzednio wymienione wierchy byłyby tylko odnogami, w różne strony skierowanemi. W nomenklaturze wierchów Beskidu Polskiego zachodzą różne nieścisłości. Wiele z nich albo wcale niema nazwy, zarówno na specjalnej mapie generalnego sztabu austrjackiego, jak i u ludu miejscowego, który — jak to zresztą wszędzie bywa — nie nadaje nazwy górze jako całości, lecz tylko poszczególnym jej częściom, jak polanom, przysiołkom, lasom, a te dopiero przenoszą się z biegiem czasu na całość. Spotykamy też tutaj sporo nazw, narzuconych w odcinku bielskiego powiatu przez niemieckich turystów i leśników, jak Josefsberg (Magórka), Hanslik (Groniczki), Wachholderberg (Pośredni), Rudolfswarte, Kaiserquelle i t. d., które rugując nazwy rodzime, poczęły się nawet wśród ludu przyjmować. Inne znów nazwy, figurujące na specjalnej mapie, nie istnieją wcale u ludu, np. Wróblowica, zwana przez lud Trzy Kopce, „Uplas“ zwie się Wielką Górą, Łamana Skała i Madohora raz są podane jako identyczne, to znów jako inne góry, niektóre wreszcie nazwy zostały z niemiecka przekręcone, jak Potrójna na „Potrojno“, lub fatalnie przeistoczony Cisownik lub Cisowe na nic nie mówiący „Czysownik“. Poprawienie tych nazw według prawowitego brzmienia ludowego jest jednak dość trudne, bo zarówno na przełęcze, wierchy i hale lud używa tu ogólnej nazwy „Bieskid, do Bieskidu, na Bieskidzie“. Tak np. szczyt Leskowca, jedni nazywają Leskowcem, inni „Bu-

tami“, inni Bieskidem, to też chwiejności te trzeba w niektórych wypad- samodzielnie rozstrzygnąć.

Całość Beskidu Małego nie ma wybitnych indywidulności szczytowych z tego powodu, że linja grzbietów faluje po przeciętnej wysokości 800—900 metrów. To też wierzchowina jego przedstawia się niemal jako jeden wielki płaskowyż, jako kręty splot grzbietów i ich odnóg, roztok, dolin i kotlinek, zalanych lasami, pokrytych halami i wyspami osiedli i przysiółków.

Mimo to krajobrazowe powaby i punkty widokowe są tu rozległe i wspaniałe, godne rozgłosu, poznania i wydobycia z kąta zapomnienia. Nie zawsze wysokość gór decyduje o ich estetycznej wartości; dowodem tego niewysokie Pieniny. Porównania krajobrazowego jednak między Pieninami a Beskidem Małym czynić nie można, bo gdy pierwsze są wapiennym, delikatnie rzeźbionym, lotnym i fantastycznym tworem, to drugi jako twór piaskowcowy ma rzeźbę ciężką, kształt przysadzisty, garby okrągłe, wcięcia siodłowate, długie, połogie grzbiety, a przecież mimo to jest on rzeczywiście powabną, miłą i ze wszechmiar pociągającą dziedziną górskich piękności.

Największem wzięciem i frekwencją turystów cieszy się M a g ó r k a (nad Wilkowicami I Łodygowicami) jako bliska sąsiadka miast Bielska i Białej i jako jedna z najlepszych gór widokowych w Żywieczyźnie. Długi jej grzbiet, niewiele wysokość 900 m. przekraczający, daje na wszystkie strony widoki różnorodne, niezwykle piękne i rozległe dzięki temu, że ciągnie się po nim długą linją falista, seledynowa hala. W całogodzinnej po niej wędrówce oko turysty sycić się może coraz to nowym i coraz to piękniejszym widokiem. Na zachodnim jej końcu ściele się przed okiem Śląsk Cieszyński i Górny i dymią kominy fabryczne Białej, Bielska i Lipnika, dalej roztwiera się widok na pasmo Wiślańskie, kotlinę i Beskid Żywiecki, na Żywiec do podnóży Grojca przytulony, na Pilsko, Babią Górę, a w jednym punkcie wyłania się przy przejrzystem powietrzu także widok na Tatry. Ze strony przeciwnej odsłania się część przełomu Soły, zakola gór, otaczających z obu stron jej przełom, doliny do niego uchodzące, Ponikwa, Wielka Puszcza, na Pogórzu odsłania się Porąbka, Kobiernica, Czaniec, miasto Kęty — i wreszcie ginąca w bezkresie nadwiślańska nizina. Znacznie wyższe okoliczne szczyty Beskidzkie nie mają tak pięknych i różnorakich widoków, jak niepokaźna Magórka.

W środkowym punkcie jej grzbietu pas lasu przerywa szczytową halę; jeżą się w nim złomiska i gruzy skalne, w nich widnieją leje i szczeliny piaskowcowe. Jedna z nich, „Wietrzna Dziura“ dochodzi do rozmiarów małej groty. Prosta ta szczelina. oświetlona naturalnem światłem, u wnijścia niska, rozszerza i podnosi się w głębi i tworzy jaskinię z zawilgłemi ścia-

nami do 3 m wysoką. Długość całej groty wynosi 20 m, jest to zatem grota małych rozmiarów; w piaskowcu atoli, rzadko wytwarzającym jaskinie, jest ona zjawiskiem dość pokaźnem.

Południowe zbocza Magórki spowił las do szczytu samego; osiedla ludzkie świecą tylko paru wyrwami w tym płaszczu leśnym, dość marnym, bo do gmin pobliskich przynależnym i często bezmyślnie trzebionym; sosna, tak rzadka w górach, tworzy tu jeszcze duże i zwarte połacie. Po północnej, międzybrodzkiej stronie, stoi las potężniejszy, świerkowy, do dóbr żywieckich należny; zbocza tworzą tu miejscami dzikie urwiska, stoczonemi z góry głazami zawalone, po których sączą się siklawki. Koło najwyższego wyniesienia tej góry, Czupla 933 m., w pokaźnych obszarach rośnie buczyna.

Następne wierchy za Magórką w zachodniem półkolu Beskidu Małego, t. j. Groniczki 824 m, Trzy Kopce 839 m, Hrobacza 830 m i Bujakowska Góra 749 m, wiążą się razem z Magórką w przepiękną, około 25 km długą linję grzbietową z wyjściem w Czernichowie, ze zejściem w Porąbce. Wprawdzie dalsze wierchy tego półkola nie dają już takich rozległych, jak Magórka widoków, jest jednak w tej wędrówce pośród wonnych lasów do podziwiania dużo krajobrazowego piękna. To wyrwa, to zarąbek, to polana otwiera się w murze leśnym — i w jedną lub w drugą stronę — i w góry i na niziny — daje coraz inny widok, który w pełni otwiera się dopiero na Hrobaczej Łące. Poniżej jej ogołoconego z lasu wierzchołka stoi domek letni właściciela Kóz, bar. Czecza; niewielka łąka po wewnętrznej stronie grzbietu jest własnością międzybrodzkich gazdów. Cechą, podnosząca wartość i powab tego pasma, jest, jak na Beskidowe właściwości, nader bystra stromość zewnętrznych stoków. Turystyczna ścieżka z Lipnika na Groniczki robi 20 serpentyn w bukowym lesie koło źródła Seeligera, do którego przedtem prowadziła dróżka po 480 w terenie kopanych schodach, a wyjście z Kóz na Hrobaczą lub z Bujakowa i Kobiernic na Bujakowską Górę, przedstawia dobrze natężające uciążliwości.

Z drugiej strony Soły nad Bukowcem, Czańcem, Brzezinką i Targanicami piętrzy się długi Groń Bukowski 782—729 m. i Złota Góra 759 m, na której według tradycji miały się znachodzić kamienie ze złotym połyskiem; zalesione czuby tych gór są skąpe w widoki, jedynie gołe zbocze Bukowskiego nad Porąbką daje na bieg Soły widok istotnie niepospolity. Przez Targanicką, następnie przez Kocierską przełęcz i przez szereg skromniejszych wierchów łączy się to pasmo z górą Potrójną 888 m., we wnętrzu górskiem osadzoną. Potrójna, zapewne od schodzących

się tu trzech grzbietów nazwana, jest pięknym i wyniosłym wierchem. Do jej połudn. stoku tuli się kilka ubogich domostw przysiółka Potrójna, do pobliskiej gminy Rzyki przynależnego, a na jej halnym czubie matołkowaci przeważnie pasterze pasą krowy, owce, kozy.

Lecz choć Potrójna z pobliską Czarną Górą są wybornem miejscem widokowem, to przecież w tej mierze przewyższa ją jej córka, choć niższa nieco, halna Jawornica 834 m., punkt widokowy iście pierwszorzędny. Jej 3 km. długi grzbiecik, cały szeroką halą zasłany, odbiega w kierunku półn.-zach. od Potrójnej i kończy się gołym pagórem, jak bastjon nad nizinami sterczącym. Widok z niego na wszystkie strony otwarty. Świetnie widnieje Andrychów z wielką fabryką płócien, Czaniec z fabryką papieru, Kęty nad Sołą, w prawo Wadowice, dziesiątki podgórskich wiosek z kościołami, w głębi majaczeją Kalwaryjskie wzgórza, Zator, Oświęcim i dymy fabryk górnośląskich, szczakowskich, trzebińskich i jaworznickich kopalń. Z przeciwnej strony widny jak na dłoni cały Beskid Mały, jego czuby gołe i lesiste pasma, a z za nich na dalszym planie wychyla się cała panorama najwyższych Beskidowych szczytów.

Jako punkt widokowy rywalizuje z Jawornicą jej sąsiad od wschodu, Gancarz 802 m, z drugiej strony szerokiej doliny Rzyk od Leskowca w tym samym kierunku wysunięty, podobno wygasły wulkan, także goły na szczycie, dużym krzyżem przez amerykańskiego reemigranta uświęcony, o tyle jednak sąsiadce ustępujący, że przedgórze Kobylej Głowy nad Inwałdem nieco rozpęd widokowy pierwszego planu skraca.

Najlepszy widok na przełom Soły daje wysunięty ku niej Żar 761 m.

Jaworzyna 864 m. z Kościelcem 795 m. należą też do wybitniejszych wierchów naszego górotworu. Górują one wyniośle nad kotliną Żywiecką i doliną Soły, opadając w nią stromemi i kamienistemi zboczami ku wsi Tresny, od strony zaś Czernichowa i Międzybrodzia Żywieckiego spadają pośrednio po wstępnych, foremnych groniach, tworząc między niemi wiszące dolinki. Z trzech hal Jaworzyny: Zoniówki, Oczkowskiej i Międzybrodzkiej, przesuwa się bogata galerja widoków na przełom Soły, na pobliskie i dalekie góry, przecież jednak sam Żywiec ze swem najbliższem otoczeniem, wprost na południu na kotlinnej tafli rozścielony, przedstawia się z tego wierchu wyraziściej i ponętniej, niż z jakiegokolwiek innego.

Po wierchach bez nazwy przeważnie, między którymi wybija się śpiczasty Przysłop 853 m, Cisownik 893 m, Wielka Góra (Upłaz) 879 m, biegnie od Jaworzyny odludny i głuchy grzbiet na półn.-wschód ku przełęczy Kocierskiej. Głuche i mroczne knieje, zarastające go zė stron

obu, przesłaniają prawie zupełnie widok w dal świetlistą, a budzą nastrój ponury i trwożny.

Honorowe miejsce co do malowniczości szczytu i rozległości widokowej przypadło w Beskidzie Polskim nie najwyższemu jego wyniesieniu, Łamanej Skale[1]) lub Madohorze 934 m, lecz nieco niższemu, ostatniemu od wschodu wierchowi Leskowca 922 m. Choć dziki, skalisty i śpiczasty, porósł jednak wierch Madohory całkowicie lasem, a od „patryji“ (piramidy mierniczej), ustawionej tu na świeżym zarębku, widnieje zaledwie z jednej strony długa, w lesiste równe zbocza ujęta, dolina Kocierza, którą ta góra od wschodu okazale kończy — a z drugiej czub Leskowca i Gancarza.

Grzbiet między Madohorą a Leskowcem, około 6 km. długi, zrazu dziki, skalistemi wyskokami najeżony, lasem zacieniony, daje nam w swej drugiej połowie wędrówkę, pełną najmilszego uroku. Z jednej jego strony prostą jak mur linją ciągnie się omszała knieja suska, z poschniętemi od przeciwności klimatu u brzegu jedlami i bukami, we wnętrzu rosła i potężna; z drugiej jego strony spada w łagodnych załomach długim pasem seledynowa hala Rzycka, odsłaniająca na północ rozległy, tchnący rozgwarem życia i pracy ludzkiej krajobraz. Tuż u jej podnóża z pięciu roztok wymykają się strumienie i zjednoczone w nizinnej zatoce Rzyk idą jako silny potok tej nazwy do pracy w andrychowskiej fabryce, by dalej już pod nazwą Wieprzówki zasilić strugę Skawy; z lewej strony dłużą się boczne pasemka w kilku falach nad sobą, dając typowy bezkidzki, pełen łagodnego uroku krajobraz.

„....Cześć wam bracia, rycerze na bezkidzkiej górze — tym pniom waszym, sękatym piersiom bez zalęku, co w największe jednako się wspierały burze, a blizn chwałę zaszczytną w każdym noszą sęku. Bezramienne kaleki! potyrane czoła!

Nie wam spocząć! Już czarny zmierzch w dolinach knuje nowej burzy szturm walny!.....“ (*Tad. Szantroch*: Buki na Leskowcu).

Ten miły sztafaż ciągnie się i potęguje co do uroku i rozległości aż na szczyt Leskowca. Jego goła, trawiasta kopa, choć otoczona z dwóch stron prawie równie wysokiemi wierchami, choć miejscami porosła płatami karłowatej, „sztandarowej“ buczyny, przecież na wszystkie strony pozwala oku poić się rozległą panoramą widokową. Wszystkie szczyty, bliskie i dalekie, aż do mrocznych iglic Tatr, grań babiogórska, szczyty żywieckie i ślą-

[1]) Nazwę Łamanej Skały należy prawdopodobnie odnieść do pobliskiego, na mapie nie nazwanego wierchu 898 m.

skie, wszystkie doliny, kotliny, zamglone niziny, rzeki, miasta, któreśmy z różnych punktów mniej dokładnie widzieli, stąd ukazują się w całej pełni. Leskowiec jest świetnym punktem widokowym. Zdobi wierch jego wysoki krzyż drewniany, około leżą duże płyty kamienne, na których byli właściciele tych dóbr z przed 30-tu lat ku upamiętnieniu swego pobytu kazali wykuć ślady swych stóp i herby. Nie dali się ostać tym pańskim kaprysom pasterze i płyty potłukli, bądź „skulali" na dół ku swojej uciesze. Obecnie widać jeszcze stopy hr. Potockich z Zatora i hr. Wielopolskiej. Trwalszą atoli pamiątką po byłych tutejszych dziedzicach została pamięć o ich złej gospodarce; wyniszczone i zmarnowane lasy przeszły powoli w wielki organizm dóbr żywieckich, w którym chronione i odnawiane, przychodzą do przyzwoitego stanu. Z powodu onych stóp chłopi okoliczni nazywają też Leskowiec „Butami", niektórzy zaś twierdzą, że zwie on się właściwie „Bieskidem", a Leskowcem sąsiedni wierch od strony północno-wschodniej. W żlebach między temi wierchami można dojrzeć ledwie dostrzegalne ślady pracy lodowców. Końcowe odnogi Leskowca ciągną się jeszcze kilka kilometrów na wschód i w Kozińcu, Mucharzu i Jaszczurowy opadają połogo do doliny Skawy.



Szczyty Leskowca. (Fot. *W. Medwecki.*)

Wszystkie wymienione wierchy od Jaworzyny do Leskowca — wiążą się w jedno pasmo, wiodące z doliny Soły do doliny Skawy.

Beskid Mały posiada doliny wszelkich typów, więc poprzeczne, podłużne, wiszące i przełomowe. Gdy w Beskidach Zachodnich doliny poprzeczne są regułą, a podłużne rzadkim wyjątkiem, to w omawianej ich grupie jest przeciwnie. Doliny poprzeczne występują tu tylko we wschodnim odcinku Madohora-Leskowiec, układając się prostopadle do wydłużonego tu grzbietu głównego. Są to przeważnie dolinki drobne, niezaludnione, z wyjątkiem Targoszowskiej, Tarnawskiej i wielkiej doliny, raczej kotlinki Rzyk, głęboko w góry między Jawornicę, Gancarz i Kobylą Głowę wsuniętej Lecz i w tym odcinku raczej za podłużną trzeba uznać dużą i ma-

lowniczą dolinę Ponikiewki 366 m, w półn. wschodnie odnogi Leskowca i w pasmo przedgórza z wierchami Skolec 564 m, Bliźnięta, Łysa Góra 554 m i Iłowiec 477 m, prawie równolegle ujętą. Podobnie niezdecydowany charakter między podłużnym a poprzecznym kierunkiem ma z drugiej strony skrzydła Leskowca położona dolina Jaszczurowy.

W zachodniej części Beskidu Małego, półkolem przełom Soły otaczającej, tylko od zewnętrznej strony powstały nieliczne małe i płytko wcięte dolinki poprzeczne, jak Zimnik i Bartoszowiec w Magórce Łodygowskiej, dolina Straconki między Sokołówką a Groniczkami, większa i zaludniona dolina Targanicka między Złotą Górą a Jawornicą; wszystkie zaś inne doliny, we wnętrzu tych gór położone, a ujściami do Soły skierowane, są dolinami podłużnemi.

Pierwszą z nich, po lewym brzegu Soły, w rozwidleniu Magórki powstałą, jest ciasna i lesista Roztoka Tresneńska, przysiółki Klimczaków i Żurków mieszcząca, także Żurkową zwana; drugą jest dolina Ponikwa, szeroka, jasna i długa, w górnym końcu przez Przegibek ze Straconką połączona, grzbietami Magóry i Nowego Świata objęta, nad Sołą charakter kotlinki przybierająca, gminę i parafję Międzybrodzie Lipnickie w sobie mieszcząca; trzecia, między Nowym Światem a Hrobaczą, Bujakowską i Zasolnicą rozłożona, to dolina Międzybrodzia Kobiernickiego, przełęczą „U Panienki" z Kozami połączona.

Znacznie większe i krajobrazowo o wiele piękniejsze są doliny po prawym brzegu Soły, co się przedewszystkiem do Wielkiej Puszczy i Kocierza odnosi, dwie bowiem pomniejsze, w środku między powyższemi leżące, a to Mała Puszcza i Isepnica, nie są niczem osobliwe. Dolina Małej Puszczy jest raczej poprzeczną, bo ze stoków Kiczory i Żaru zbiega krótko i skośnie popod Kozubnik 568 m. do Soły, ściany jej są niskie i mało lesiste. Także dolina Isepnicy ma bieg skośny ku połudn.-zachodowi; okalają ją południowe, gołe stoki Żaru i Kiczory z domostwami pod sam grzbiet dochodzącemi, i północne, lesiste, wielce wstępnemi pagórami urozmaicone zbocza Cisownika, Przysłopia i Jaworzyny; w górnym końcu zamyka ją przełęcz 698 metr. między pasmem Kiczory a Jaworzyny, w dolnym rozszerza się w polisty płaskowyż Żywieckiego Międzybrodzia.

Wspaniałe i wielkie doliny podłużne Wielkiej Puszczy i Kocierza godne są pod względem rozmiarów i poetycznego powabu stanąć do porównania i współzawodnictwa z najpiękniejszemi dolinami całych Beskidów Zachodnich.

Wielka Puszcza poczyna się pod Porąbką u samego wylotu przełomu Soły i w kierunku połudn.-wschodnim dobiega do przełęczy Kocierskiej, 10 km. odległej. Jak nazwa wskazuje, była to dolina jedną po-

wodzią nieprzejrzanych lasów, a choć one obecnie znacznie przetrzebione, przecież są jeszcze potężne przestrzenią i dorodnym wzrostem. Spadają w tę dolinę od południa stoki Kozubnika 568 m., Miherdy 604 m., Kiczory 831 m., Przysłopu 853 m., Cisownika 883 m. i Wielkiej Góry 879 m., a od północy dzieli ją od równin długi Groń Bukowski 782 m., Złota Góra 759 m., za którą ciemne grzbiety schodzą w polistą przełęcz Targanicką (Bieskid) 562 m., i po czubie Cygańskiej i śmiało zarysowanej Bukowej łączą się z poprzedniemi na Kocierskiej przełęczy.

Nie wysokie jest tedy otoczenie tej doliny, ale malownicze wielce. Dno doliny jest wąskie i wznosi się miarowo od 300 do przeszło 600 m., wzdłuż potoku idzie dobra droga lasowa; począwszy od prześlicznie położonej leśniczówki, następnych dwóch gajowni i tartaku, aż do Kotlinki i przysiółka Wielkiej Puszczy, wzmaga się malowniczość doliny, aż u końca w Malakowie, popod Kocierską przełęczą, kończy się kotłem, wypełnionym wspaniałym, gonnym „Wysokim Lasem" jodłowym, który w całości, jak stoi, mógłby powędrować na jakąś światową wystawę. Gajownia na polance pod Kocierzem kończy tę romantyczną dolinę, obfitą w całej swej długości w lasy wszelkiego wieku, rodzaju i powabu.

Dorównywa jej romantycznością, a przewyższa ją jeszcze długością (ok. 13 km.) po południowej stronie górotworu ciągnąca się d o l i n a K o c i e r s k a. Ujęta od północy w pasmo Madohora—Potrójna—Cisownik—Jaworzyna, od południa w pasmo Madohora—Ściszków, które nazwaliśmy Ślemieńskiem, biegnie między niemi od wschodu na zachód ok. 10 km., lecz odgrodzona od Soły górą Jaworzyną, skręca wprost na południe i rozszerzonem ujściem przeciska się w kotlinę Żywiecką. Jej potok, Kocierz, płynie spory kawał w kotlinę i złączywszy się koło Rychwałdu z Łękawką, wpada poza obrębem gór do Soły. W gardziel tej doliny wchodzi też kocierski (żywiecko-andrychowski) gościniec, opuszcza ją jednak na Cisowem, w połowie jej długości. Wnętrze kocierskiej doliny mieści w sobie dwie gminy i trzy przysiółki. W zakręconej na południe części leży Kocierz Niżni lub Moszczanicki, dlatego tak zwany, że lasy okolne należą do dworu w Moszczanicy (Kępińskich), w połowie zaś jej długości, w miejscu, gdzie gościniec opuszcza dolinę, leży Kocierz Wyżni czyli Rychwałdzki, bo dwór w Rychwałdzie (Milowskich) ma tu swoje posiadłości lasowe.

Dolina Kocierska, z początku szeroko ujęta we wzgórki, porosłe brzezinowemi gajami, coraz się zacieśnia, i wtłacza się w strome zbocza lesiste, urozmaicone odkrywkami, lub wyrwami wśród lasów, a po wysokich pochyłościach czepiają się chaty przysiółka Miasteczko. Oliwkowy potok toczy spokojnie wody po uregulowanem łożyku, jego dopływy mijają ładne mosty

dobrze utrzymanego gościńca. Dolina wkracza na Cisowem w głuchą gardziel lesistą w przełomie potoku, by znów niespodzianie za pierwszemi zakosami gościńca, który stąd odchodzi na przełęcz, odsłonić uroczą kotlinkę z Kocierzem Górnym, nad wyraz malowniczo położonym. I znów dalej leśne uroki i głusze, i znów jasne zbocza z przysiółkiem Walaszków; i jeszcze raz dzikie i głuche odludzia, a w końcu pod piramidą Madohory ukazuje się ostatni, z ośmiu chałup i gajowni suskiej złożony, w lasach zatopiony przysiołek Zakocierz, ok. 750 m. wysoko w tych zaświatach położony.

Wielka przełomowa dolina Soły jest geograficzną i krajobrazową osobliwością już nie Beskidu Małego, ale Polski całej. I dziwną jest rzeczą, że gdy w geografji naszej wielce się sławi przełomy Popradu i Dunajca, to nie wymienia się nawet przełomu Soły; dość powiedzieć, że w „Karpatach" Rehmana nie istnieje on wcale, a tylko Pol uwzględnia go w „Półn. stokach Karpat". W Beskidach Zachodnich nie dwie, lecz trzy rzeki tworzą wielkie przełomy: Poprad, Dunajec i Soła, nie licząc pomniejszych, jak: Olza, Skawa i Raba. Z pienińskim przełomem Dunajca przełomu Soły porównywać nie można, bo tam przebija się rzeka przez wapień, tu przez piaskowiec. Porównanie zatem da się czynić tylko z analogicznemi przełomami, a to Dunajca przez Beskid i Pogórze, Popradu przez Beskid, Wlary na Morawach przez Bielawy, oraz z Hradyskim i Strecznеńskim przełomem Wagu na Słowacji przez Małą i Wielką Fatrę. I pod względem wielkości i pod względem piękna krajobrazu przełom Soły w porównaniu z niemi nie na ostatniem stoi miejscu. Wymienione zagraniczne przełomy są znacznie krótsze od przełomu Soły, a co do malowniczości przewyższają go może pewnemi szczegółami, nie zaś jako całość. Przełomy Popradu i Dunajca są okazalsze i powabniejsze od doliny Soły, a to dzięki temu, iż otaczają je góry wyższe, a głównie dzięki temu, iż rzeki tworzą w nich liczne i silne zakręty, pod-



Kocierz Rychwałdzki i dolina Kocierska.
(Fot. *K. Sosnowski*).

czas, gdy Soła czyni wężownice nieliczne i lekkie. Meandry Popradu pod Żegiestowem, Dunajca pod Kłodnem, Tylmanową, a w Pogórzu pod Rożnowem i Tropiem dochodzą do $^3/_4$, Soły zaś tylko do $^1/_4$ odcinka koła. Cały bieg Soły jest prawie jedną prostą linją, tak, że Beskid Mały przerzyna ona jakby cięciem piły, lub świdrem na wylot; cztery jej znaczniejsze zakręty, rozłożone tu na przeszło 10 kilometrową przestrzeń, osłabiają znacznie poetyczność przełomu.

Że Soła tworzy tu istotny przełom przez jeden górotwór, a nie rozdziela dwóch odrębnych pasm górskich — jak twierdzi Rehman — dowodem jest to, że mając z kotliny Żywieckiej dogodną, szeroką i o nieznacznem wzniesieniu drogę ku Śląskowi przez Wilkowicką Bramę, lub choćby na wschód ku kotlince Suskiej, nie poszła przecież po linji pozornie najmniejszego oporu, lecz na wylot przebiła zwarte gniazdo górskie, zagradzające jej w poprzek drogę od północy. Jakie w tem działały czynniki, nie jest jeszcze rzeczą naukowo przez specjalistów wyjaśnioną; z różnych odnośnych teoryj najprawdopodobniejsze zastosowanie mogłaby tu mieć teorja tekto-



Dolina Soły u podnóży Jaworzyny. (Fot. *K. Sosnowski*).

niczna, t. j. że wody prajeziora kotliny Żywieckiej w najniższym jej punkcie, t. j. w obecnem Zadzielu 325 m., gdzie dotąd zachowały się duże stawy i mokradła, silnym naporem utorowały sobie ujście przez szczelinę górską, niższą co do poziomu od Wilkowickiego otworu.

Dolina przełomowa Soły nie tworzy wcale ciasnych i krętych wąwozów, owszem jest dość szeroka, bo przeciętnie $^1/_2$ km., jasna i słoneczna. Zbocza górskie opadają w nią przeważnie połogo, tworząc miejscami typowe,

wyraziste i wysokie terasy, jak między Porąbką a Czańcem; zbocza te są w dużej mierze ogołocone już z lasów, a działki pól uprawnych, zajmujące całe dno doliny, podsuwają się na nie dość wysoko. W miejcach, gdzie z doliną przełomową łączą się doliny boczne, potworzyły się dość obszerne kotlinki, z których największa w Międzybrodziu Lipnickiem, ze szkołą, leśniczówką i z kościółkiem na tło górskie rzuconym, ma najwięcej malowniczości. Wnętrze przełomu mieści w sobie pięć wiosek: Tresną, w brzozowych gajach po stokach gór rozrzuconą, Czernichów do podnóży Suchego Wierchu przytulony, Międzybrodzie Lipnickie z Nowym Światem i Międzybrodzie Kobiernickie, wszystkie na lewym brzegu rzeki; po prawym, koło ujścia Isepnicy, mieści się jedna wieś tylko, Międzybrodzie Żywieckie. W Porąbce, gdzie Soła opuszcza góry, kończy się wyraźnie góralszczyzna, a zaczynają się Lachy.

Brzegi rzeki są uregulowane, to też bieg wody, mającej spadek dość łagodny, jest naogół powolny, miejscami jeno rzuca się do wartszego, szumnego biegu, miejscami zaś tworzy płytkie brody i spokojne tafle wodne, jakby śródgórskie jeziorka. Długość doliny od Zadziela do Porąbki wynosi przeszło 10 km., spadek zaś wody na tej przestrzeni wynosi tylko 18 m. (Zadziele 325 m., Porąbka 307 m.), lecz rozpęd wody zwiększa wydatniejsza różnica poziomu między Żywcem 346 a Kętami 277 m., które to miasta łączy za biegiem Soły idący, dobrze utrzymany gościniec. Projektowana budowa kolei Żywiec—Oświęcim nie przyszła do skutku z powodu wybuchu wielkiej wojny.

Wszystkie te okoliczności sprawiają, że dolina przełomowa Soły ma charakter łagodny i mało dziki; człowiek wziął ją już prawie w zupełności pod swe panowanie. Stawiają mu jeszcze opór silnie spadziste stoki Jaworzyny, zalesione obficie, oszańcowane bystremi wstępnemi kopcami, poprzerzynane wiszącemi dolinkami, które zazwyczaj suche, w czasie powodzi dają się pracy człowieka silnie we znaki; stawia mu też opór maleńka Isepnica, która stożkiem powodziowym zawaliła swoje ujście tak, że woda potoku popod wzgórzem rumowiska do Soły uchodzi, a most na gościńcu, zakolem w jej dolinkę wsunięty, stale za każdą powodzią bywa zrywany; nie dały się mu także ujarzmić wyjątkowo spadziste i dzikie zbocza niepokaźnego Żaru, który między Małą Puszczę a Sołę wpił się długim, ostrym klinem. Zbocza tego klinu, poszarpane, kamieniste i dzikie, tworzą „grapy", porosłe krzewiastemi zaroślami buka i brzozy, a poorane są licznemi żlebami, które stożkami grubego piargu zawalają gościniec, i świecą licznemi odkrywkami.

Te odkrywki występują w dolinie Soły licznie i pokaźnie przez całą jej długość. Uwarstwowienie ich jest przeważnie poziome lub skośne, warstwy piaskowca, nieraz bardzo grube, tworzą czasem lite ściany, częściej cienkie, przetykane łupkiem warstwy, których wystające brzegi przybierają formy ostro ząbkowane, nawet misternie koronkowane, nie tylko dla badacza ciekawe, ale i dla oka ładne. — Największa z tych odkrywek, znajdująca się w Porąbce, służy obecnie, jako wielki kamieniołom, po którego ścianach ze swisających górą obrywów stuka sobie ustawny deszczyk kamienny, lub z szelestem obsuwają się kamienne lawinki.



Stożek powodziowy przy ujściu Isepnicy do Soły w Międzybrodziu Żywieckiem. — (Fot. *K. Sosnowski*).

Zasadniczą skałą Beskidu Małego jest piaskowiec godulski, twardy i odporny, przeważnie pierwszorzędnej jakości. Występuje on w różnych odmianach i zabarwieniach nie tylko w odkrywkach u podnóża gór, ale i po ich zboczach, a nawet po szczytowych grzbietach, przeważnie w formie sterczących nad powierzchnią wielkich bloków, brył i ciężkich skrzyń kamiennych, przyczyniając się wielce do urozmaicenia krajobrazu. Szczególnie występują te bloki w okolicy Łamanej Skały, choć trafiają się i gdzieindziej, n. p. dość misternie rzeźbiony „Djabelski Kamień" na Magórce, w okolicy Łodygowskich Kolib. Wyróżnia się wszakże wśród tych ciężkich bloków skała w Zakocierzu przez swą rzeźbę, do spotykanej w wapiennych formacjach podobną. W zagłębieniach jej ściany spękanej wytworzyło się spore okno, podparte od zewnątrz okrągłym słupem, kształt nogi przypominającym; zjawisko w piaskowcu zgoła wyjątkowe.



Skała piaskowa „z oknem" w Zakocierzu.
(Fot. *K. Sosnowski*).

Prócz przełomowej doliny Soły jeszcze dwie inne tego rodzaju znachodzimy w obrębie Beskidu Małego: Choczenki i Skawy. Potok Choczenka tryska na północnych stokach Gancarza, w zamkniętej górami wioseczce Kaczynie, i zamiast skierować się w lewo do Rzyk lub w prawo do Ponikwi, bo z przodu zagradza mu drogę jednolite pasemko przedgórza wadowickiego, przebija je na wylot między wierchami Kobylej Głowy 562 m. i Skolca 564 m. i przez Chocznię toruje sobie samodzielnie drogę do Skawy. Maleńki ten, ale ciekawy przełom, jest dobrze widoczny z pociągu między Inwałdem a Chocznią.

Rzeka Skawa płynie aż do Suchej dobrze rozwiniętą, szeroką doliną, która zacieśnia się następnie koło Zembrzyc i Skawiec. W Mucharzu i Świnnej Porębie dostaje się rzeka pomiędzy podnóża Królowej Wyżnej, Żaru i przedgórza z jednej, a Jaroszowickiej góry („Na Lenji“ 544 m.) z drugiej strony, krętym biegiem wijąc się pomiędzy niemi. W ślady tych silnych wężownic idzie tor kolei lokalnej wśród okolicy zajmującej i pięknej. W miejscu tem ma dolina Skawy, przez którą Jaroszowicka góra została niejako odcięta od kompleksu Beskidu Małego, charakter niewątpliwie przełomowy.


Dolina przełomowa Skawy w Beskidzie Małym. (Fot. *W. Medwecki*).

„... Beskidzki lesie — w drzewach twoich serce dzwoni,
beskidzki lesie — głusz twa przed rozpaczą chroni,
beskidzki lesie — święty przed sobą i Bogiem,
beskidzki lesie — tyś jest ku wieczności progiem!“

*(E. Zegadłowicz).*

Trudno rozdzierać szaty z żalu, że góry te nie są już jedną olbrzymią knieją, jaką były przed stu, może i kilkudziesięciu laty, bo naturalnym biegiem rzeczy los ten stał się udziałem wszystkich nieprzejrzanych kniej i pralasów. Lasy tutejsze są obecnie przetrzebione i w obszarze skurczone, nie można atoli powiedzieć, iżby były straszliwie wyniszczone i bezmyślnie wytępione. Zajmują one 60% do 70% powierzchni tego górotworu, co czyni w przybliżeniu 150 $km^2$.

To silne zalesienie czyni z Beskidu Małego wonny i przepiękny park natury — i łącznie z urozmaiconem ugrupowaniem gór, podnosi wielce

piękno i poetyczność krajobrazu, a z punktu widzenia gospodarczego daje tym górom wysoką wartość realną, czyniąc je potężną wytwórnią, jedną z najpotężniejszych w Polsce, drzewa doborowego i różnogatunkowego.

Rzecz oczywista, że trzebienie tutejszych lasów szło w parze z udogodnieniem środków komunikacyjnych; dwa gościńce przecinające górotwór ten w poprzek, liczne gościńce i linje kolejowe, otaczające go szczelnie dookoła, a ocierające się o same podnóża gór, spowodowały to zjawisko, że zewnętrzne ich stoki i dolina Soły są z lasów znacznie więcej, miejscami rażąco ogołocone; gdy natomiast wnętrze gór, zwłaszcza ich dalsze zakątki, mają nierzadko jeszcze postać głuchych, pierwotnych ostępów. Mroczne, ok. 150-letnie knieje, znachodzimy jeszcze w dużych obszarach w dolinie Wielkiej Puszczy i Kocierskiej, a zwłaszcza w wewnętrznem paśmie Jaworzyna—Cisownik—Wielka Góra—Potrójna, Madohora—Leskowiec. Są to przeważnie bory jodłowe lub bukowe, niekiedy mieszane.

Buk, coraz rzadziej w zawartych kompleksach występujący, ma w Beskidzie Małym jeszcze silną ostoję. Na Groniczkach, Wielkiej Górze (Upłazie), na Magórce i Leskowcu, w rewirze Rzyk i Ponikwi, stoją jeszcze zwarte obszary młodych i starych lasów bukowych, a domieszka buka w szpilkowych dzewostawach znachodzi się wszędzie.

W grubych, starych borach ma przewagę jodła, w młodnikach świerk. Dała mu ją — jak wszędzie zresztą — gospodarka obliczona na rychły zysk. Rozpanoszył się świerk szczególnie po onych zewnętrznych, przetrzebionych zboczach, a gęste, ciemne jego zawoje, nie przekraczające nigdzie 50 lat wieku, spowijają wierchy i zbocza Magórki, Góry Hrobaczej, Bukowskiej i Złotej, Jawornicy, Jaworzyny i wielu innych, pnąc się po nich jak równo strzyżone dywany.

W ostatnim jednak czasie nastąpił w kulturze lasowej nawrót do buka i jodły, gdyż świerk mało okazuje odporności na okiść śniegową. Rzadka w lasach górskich sosna występuje tu dość licznie na podnóżach Magórki i w Czanieckim rewirze. Także nie do rzadkości należy tu modrzew, w dobrach suskich i żywieckich spotykamy w pokaźnych grupach i pięknych okazach. Dość znaczną przymieszkę stanowi modrzew w obszarze Czanieckim, gdzie rozwija się bardzo dobrze, dochodząc w 90 roku życia w wysokości 1·30 m. nad ziemią do średniej grubości 45 cm, zaś do całkowitej wysokości 32 m przeciętnie. Buk, jodła i świerk są obecnie zasadniczemi drzewami tutejszych lasów; że jednak rosły w Beskidzie Małym lasy innego gatunku, jak dębowe, lipowe, brzozowe i cisowe, są na to dowody, choćby w samych tradycjach i nazwach, jak Lipska Góra koło Suchy, Cisownik, Cisowe i t. d.

Tęgie brzozowe gaje, omal całe lasy, znachodzą się tu dotychczas, szczególnie u południowego wylotu przełomu Soły. Brzozowe zagajniki spotykamy w Beskidach Zachodnich dość często, n. p. w dolinie Popradu, zwłaszcza koło Rytra i w dolinie Dunajca koło Kłodnego, tu jednak brzoza występuje w tak zwartych i obfitych masach, jak w żadnem innem miejscu. Południowe i wschodnie podnóża Magórki i Suchego Gronia, zachodnie podnóża Jaworzyny i jej wstępne pagóry, grapy Kocierza R. i Porąbki porastają brzeziną tak obficie, że nadaje ona okolicy piętno szczególnie miłe i łagodne, a porą jesienną pożółkłe jej listowie złocistą barwą uwesela ciemny dokoła krajobraz. Z bliska atoli dostrzegamy, że tutejsze brzeziny, zwłaszcza bliskie domostw, przypominają podgolone szlacheckie łepety, — dołem mianowicie ogołocone są z gałęzi, a u szczytów dopiero szumią bujniejszą koroną; podgalają bowiem mieszkańcy tujejsi te poetyczne drzewa do całkiem prozaicznych celów, do wyrobu... mioteł. Cały szereg wsi tutejszych, jak: Bierna, Zadziele, Czernichów, Międzybrodzia, a głównie Tresna, wykorzystując tę obfitość brzeziny, wytworzył sobie lokalny przemysł miotlarski, po części i koszykarski. W dni jarmarczne ładowne fury rozwożą te miotły w stronę Żywca lub Kęt, skąd znowu „idom kajsi do świata“. Światowy ten eksport trzeba jednak rozumieć po góralsku, t. j. jarmarki miasteczkowe w promieniu mil kilkunastu. Mioteł wyrabiają dwa rodzaje, „czarne“ z gałązek naturalnych i droższe „białe“ z gałązek z kory oskrobanych; sprzedawane dawniej po cztery centy, obecnie po kilkadziesiąt groszy, miotły te, choć giętkie, są jednak twardą podporą dochodową wymienionych wiosek.

Tradycja lasów cisowych jest jeszcze żywą w okolicy obu Kocierzów. Szczyt Cisownik i w dolinie Kocierskiej partja Cisowem zwana, świadczą, że rozmiary lasu cisowego nie były małe i że porastał on może całe południowe stoki tej góry. Resztki jego zniknęły gdzieś niespełna przed stu laty, jak wnoszę z opowiadania pewnego gazdy z Kocierza Górnego, około sześćdziesięcioletniego człowieka; las ten wycięli — według niego — „ojcowie obecnych gazdów“; on sam pamięta z lat młodych jeszcze mnóstwo pniaków cisowych, czerwono zabarwionych i twardych, jak żelazo, z których ludzie odrębywali trzaseczki i z braku cisowych gałęzi wtykali je do snopków ze święconem zielem, bo według tamtejszych i ogólno-góralskich wierzeń, cis poświęcany chroni od burz i gradów. Młodym pokoleniom górali cis nie jest znany ani z wyglądu, ani nawet z imienia; nie wiedzą już, skąd pochodzi nazwa Cisowego.

Na dawnych cisowiskach stoi dziś knieja bukowo-jodłowa, omszała i stara, lecz twarda i rześka. Z twardych i zdrowych pni bukowych wy-

rabia dwór Moszczanicki kawały na części składowe kół, a gotowe do obróbki dzwona kołowe stoją stosami po wyrębach.

Gospodarka lasowa różnie jest prowadzona w Beskidzie Małym; zależnie od właściciela, stoi ona na najniższych i najwyższych poziomach, a właścicieli dóbr gospodarzy tu bardzo wielu. Niemało leśnych obszarów należy do gazdów, do gmin okolicznych i śródgórskich, które gospodarkę prowadzą dorywczo i bezplanowo; drzewostany są cięte masowo czy pojedynczo bez oglądania się na przyszłość, przestrzenie bywają mało albo wcale nie wyzyskane; dość wskazać na wspomniany już Nowy Świat. Nic lepszego nie da się powiedzieć o gospodarce wielu dworów, które wyniszczywszy lasy, sprzedały gołą niemal ziemię obszarowi żywieckich dóbr, szczególnie po północnej stronie górotworu. W kompleks żywiecki wsiąkły kolejno: Porąbka i Czaniec, Rzyki i Ponikiew (od hr. Potockich), Targanice i Sułkowice (od hr. Reyów), Roczyny (od hr. Bobrowskich), razem przeszło 5.000 ha obejmujące. Są tu też obszary gmin miejskich, jak: Andrychowa, miasta Białej na Groniczkach, największy i dobrze utrzymany. Przy swoich obszarach ostały się jeszcze dwory: Okrajnicki, Mikuszowicki i Łodygowski na Magórce (bar. Klobusa), Kozy na Hrobaczej (bar. Czecza), Jaszczurowski (p. Tetschla) i kilka innych. Większe obszary grubych lasów posiada tu jeszcze dwór Moszczanicki (p. Kępińskich) i Rychwałdzki (p. Milewskich). Magnackie fortuny lasowe posiada w Beskidzie Małym dwór Suski, dawniej hr. Branickich, obecnie hr. Tarnowskiego, a to od strony południowo-wschodniej — i arcyksiążę Karol Stefan Habsburg z Żywca od strony północnej i zachodniej. Dobra lasowe żywieckie są prawdopodobnie najwzorowiej prowadzone w całej Polsce.

Ich właściciel, rozmiłowany w kulturze lasów, przyjmuje do zarządu doborowe siły i otacza swe lasy staranną pieczołowitością. Gospodarka obliczona jest na jak najdłuższą metę, a wiek lasu do wyrębu przeznaczonego, nie może tu być niższy od lat 80. W ostatnich kilkunastu latach pozwolił sobie zarząd lasów żywieckich na rzecz, godną podkreślenia i uznania. Ponieważ na grzbietach gór zwykłe drzewa szpilkowe są mało odporne na zapędy wichrów i śnieżyc i często ulegają połamaniu i wywrotom, przeto wprowadzono tu po szczytach ochronne pasy limbowe bądź czyste, bądź mieszane z modrzewiem, sosną amerykańską (wejmutką) i jodłą daglezją, które stanowią tu także i całe osobne kompleksy.

Niespodziewane spotkanie się z limbą w tych górach jest dla wędrowca prawdziwą i radosną niespodzianką. Czuje się ona tu dobrze, rośnie bujnie i żyje pełnem życiem, znaczącem się gęstą koroną, błysz-

czącem i wonnem igliwiem. Choć wyznaczono tu limbom na porost miejsca najgorsze, kamieniste i przez orkany najsilniej atakowane, przecież te młode orlęta drzewne trzymają się prosto, śmigają w górę i pełnią dobrze swą ochronną rolę. Młode limby rosną tu nie po kilka czy kilkanaście sztuk, ale setkami całemi po grzbiecie Trzech Kopców, Jawornicy, po wyskokach skalnych Potrójnej, a wiek ich sięga przeciętnie lat 15. Już nie zagajnik ale lformalny las tworzą imby koło Porąbki na Bukowskim Groniu.— Długi grzbiet tej niewysokiej, ale stromej i dzikiej góry, zasłany jest skalnym gruzem i tworzy w młodym lesie aleję, z obu stron obsadzoną limbą, mającą ponad 20 lat wieku, z okazami do 10 m. wysokiemi, modrzewiem i wejmutką przerastałemi. Ten zwarty las limbowy ciągnie się przeszło 1 km. po tem rumowisku skalnem na długość, a szerokości ma 12 m., w dalszym zaś swym ciągu w stronę Złotej Góry przerzedza się i przechodzi na północną pochyłość. Ponieważ zarząd dóbr Żywieckich wprowadził kulturę limby nietylko w tych stronach, ale i w innych swych obszarach, gdzie już znachodzą się okazy owocujące, przeto przyczynił się wielce do uchylenia zagłady limby na ziemiach polskich.



Hała szczytowa na Jawornicy (brzeg lasu obsadzony limbą).
(Fot. 2. Sosnowski)

Z chwilą, gdy zniknęły w tych górach dziewicze puszcze, zniknęła w nich także gruba zwierzyna. Stało się to przed 60—70 laty. Starzy ludzie pamiętają jeszcze dziewiczą puszczę Wysoki Las i Upłaz na rozdziale między doliną Kocierską a Wielką Puszczą, pamiętają ostatnie walki z rodzimemi wilkami i niedźwiedziami. O napadach wilków wspominają jeszcze ludzie w Rzykach, a ostatni krwawy wypadek zaszedł w potoku Jafery (borówki), gdzie wilk pożarł chłopa; ostatniego niedźwiedzia zabił ok. r. 1870 leśniczy dóbr zatorskich, Drapella, powstaniec z 63 r. W dolinie Wielkiej Puszczy jeszcze przed 15—20 laty staczano walki z licznemi rysiami, a słychać, że jeszcze dotychczas trafiają się niedobitki tego drapieżnika. Również dziki

grasują tu dotychczas. Stada tych szkodników, złożone z 8—16 sztuk, wyrządzały góralom w polach tak dotkiwe szkody, za które zarządy dóbr musiały płacić lub dawać w naturze odszkodowania, iż w ostatnich latach poczęto urządzać na nie zaciekłe nagonki, które doprowadziły do zupełnego prawie wytępienia tego zwierza. W wielu przysiółkach, gdzie poryte stajania ziemniaków i stratowane owsy do rozpaczy doprowadzały górali, od lat trzech przycichły skargi i poczęto się radować, że dzikich świń już niema. Przecież jednak w ostatnim roku znów wystąpiły ślady ich działania w plonach, sadzonych po wyrębach, a nawet atakowały pólka gazdowskie na Gładkiem w przełęczy Kocierskiej [1]).

W Brzezince pod Złotą Górą znajduje się źródło wody siarczanej; o innych mineralnych źródłach w Beskidzie Małym nie wiadomo.

## II. Człowiek.

*„..duse chłopskiej nikt nie zno! lecz nie tej z wyzysku,*
*ino tej zacioranej w pracy i ucisku*
*biedy śtyromorgowej a ośmiomorgiej dziećmi —*
*w niedowierzaniu wiecnym — w tej zwierzęcej sieci,*
*w której się pięść zacisko nienawistną dolą*
*ze nie je tak — ze włośnie nie jego jest rolą*
*ziemia cało — tą rolą, którą kocho więcy*
*niz cejco: ojców, babe cy kierdel dziecięcy!*

**E. Zegadłowicz**, „*Ballada o odpuście*".

(Subekumena. — Stan gospodarczy. — Limby ludzkie. — Kultura wyrębów. — Zanik szałaśnictwa. — Tradycje zbójnickie i legendy. — Poeci beskidzcy. — Gościniec Kocierski. — Kamieniołomy. — Sztuczne jezioro i zapora w Porąbce. — Turystyka).

Poliste rozłogi doliny Soły i jej pobocznych potoków, zwabiły do wnętrza Beskidu Małego pierwszych mieszkańców którzy gęsto zaludnili dna dolin i ich urodzaje stoki. Gdyby nie było tutaj tej doliny, byłby Beskid Mały po dziś dzień prawie niezaludnionym obszarem, wyspą bezludną między ludną kotliną Żywiecką i jeszcze ludniejszem Pogórzem, bo dostęp w ten zawiły splot wierchów, grzbietów, przełęczy, potoków, hal i borów, przedstawiałby zbyt wielkie trudności. Obecnie jest Beskid Mały w całości przez człowieka opanowany. Jego zewnętrze podnóża usiane są dziesiątkami kwitnących wiosek, lecz nas w krótkim rzucie oka zajmować będą tylko te,

[1]) Wielu wiadomości, tu i poniżej jeszcze przytoczonych, udzielił mi p. Jan Piesko właściciel gospody na Gładkiem, o lasach zaś informował mię p. inż. W. Fucik z Żywca.

które on w swem wnętrzu pomieścił. — Wprawdzie w jego ramiona górskie wciśnięte są z północnej strony trzy wielkie gminy: Porąbka, Targanice i Rzyki, lecz obszar ich tworzy tylko zatoki Pogórza, a cechy ich są raczej „lackie“, niż góralskie; także od wschodniej i południowo wschodniej strony dotyka jego odnóg kilka ludnych wiosek, jak Gorzeń, Koziniec, Świnna Poręba, Mucharz, Śleszowice, Tarnawa, Krzeszów, Las, lecz leżą one już poza właściwym tych gór obrębem.

Za właściwe beskidzkie gminy, oprócz znanych nam już z przełomu Soły trzech Międzybrodzi (Żywieckiego, Lipnickiego i Kobiernickiego), Tresny i Czernichowa, oraz z doliny Kocierskiej dwóch Kocierzy (Moszczanickiego i Rychwałdzkiego), należy tu jeszcze poczytać Kaczynę, Ponikiew, Jaszczurową i Targoszów. Łączna liczba mieszkańców tych jedynastu gmin wynosi około 8.000 dusz, co daje bardzo słabą gęstość zaludnienia, bo 32 na 1 km$^2$. Jest więc Beskid Mały obszarem połowicznie zaludnionym, czyli subekumeną.

Stan gospodarczy tych wiosek jest naogół dobry lub przynajmniej znośny, domy drewniane przyzwoite, dość schludne, chów bydła rozwinięty, rola wydaje wszelakie plony nizinne, choć uboższe, dojrzewają też niektóre owoce, drzewa jest dostatek. Małorolni zarobkują w lasach, kamieniołomach i w bialsko-bielskich fabrykach, dochodząc z nich w dni świąteczne do domów, gdzie gospodarkę rolną często prowadzą kobiety. — Szkoły są wszędzie, nawet przyzwoite. W Międzybrodziach daje się zauważyć znaczny wpływ kultury śląskiej w obyczaju, mowie i stroju, zapewne nie z tego już powodu, że niegdyś Soła miała być wschodnią granicą Śląska, ile z tego, że przez przełęcze przechodzi łatwo jej działanie z pobliskich miast i wiosek śląskich, z któremi przy sprzedaży produktów i zarobkowaniu mają tutejsi ludzie żywą styczność.



Krzyż przydrożny w Zawadce koło Wadowic. (Fot. *W. Medwecki*).

Mężczyźni tych wsi bezkidzkich porzucili już dawno góralskie odzienie, którego jedyną pozostałością bywają jeszcze kierpce, kobiety natomiast stroją się po śląsku, choć mniej barwnie, a więc w fałdziste, długie spódnice, lecz bez niebieskiej dolnej lamówki i w „jakle“, t. j. wolne, długie kaftany. Wszystkie wsi beskidzkie, a zwłaszcza leżące nad Sołą i Skawą, są z po-

wodu wybornych warunków zdrowotnych i krajobrazowych świetnemi miejscowościami letniskowemi, brak im atoli warunków kulturalnych, to też dotychczas nie zdobyły sobie znaczenia jako letniska. Wprawdzie Porąbka i Międzybrodzia miewają już spore grupki letników, nie tyle atoli, iżby to mogło wpłynąć na podniesienie dobrobytu ludności.

Temperament mają tutejsi ludzie ogólno - góralski, żywy, ruchliwy, umysł przeważnie pogodny i wesoły, interesują się światem, polityką; z wszystkiego, nawet z biedy swej potrafią sobie żartować.

— Tak wiedzom oni — mówił mi pewien gazda z Międzybiodzia, pytany o warunki bytu — jest u nas wszystkiego dość, nic tu nie brakuje i sprzedać znajdzie się co nieco, a nawet jednego jest za dużo — wódki! Wiedzom oni, żeby nie pijoki, toby lepiej u nas było.

W Górnym Kocierzu nocowałem u nader miłego, dowcipnego gazdy, który z uśmiechem tak sobie dworował z góralskiej niedoli:

— Nom się tu nie kotwi, choć świata nie widać, ino góry w koło. Siedzemy se ta spokojnie, jak w kosycku na dnie. I w nocy momy wesołość, bo idemy ku polom przeciw dzikom na warte, jak zołnirze do wojny. Polimy se ogień, strzylomy se z gęby albo kijem o buki, dremy sie co rety. One i uprzykrzone choć te dzikie świnie, ale to zawdy lepse, jak te ludzkie świnie. U nos tu kozdy gazda mo spolników do jodła. Nojpirwy rekwirują z pola dziki, potem dopiro gazdowie, a od nich jesce panowie (był rok wojny 1917). Ale tego zaś roku rekwirować co nie będzie. Idem w poniedziołek do pola — leje, idem we wtorek — leje, w środe leje, drugi tydzień juz leje. E co sie ta kłopocić, wezmem sobie odrazu z pola kupe gnoja, nie bedem sie młocką mordował — i tela!

W znacznie zacofańszych stosunkach gospodarczo - kulturalnych, niż w dolinie Soły, żyją mieszkańcy pozostałych wsi beskidzkich, a ludność niektórych, jak: Ponikwi, Kaczyny, Rzyk, zwraca nawet na się uwagę fizycznym niedorostem, wątłością, bladością cery i chudością twarzy tak, że stało się to powodem wyszydzającej piosenki ich sąsiadów:

Górole, Rzycanie, coście tacy mali?
Boście na Gancarzu nogi poździerali!

Uciążliwość warunków bytu potęguje się naturalnie w miarę tego, jak osiedla ludzkie wznoszą się w górę nad poziom morski. Przysiółków, nawet pojedynczych chałup „roztraconych“ po wierchach, „wepranych“ w zaświaty, w głuche bory, położonych na wysokości od 600 do blisko 900 m. n. p. m., jest tu spora ilość, szczególnie we wschodniej tych gór połaci. Łodygowska Magórka, Klisiówka, Klimczaki, Nowy Świat, Żarnówka, Żar, Kiczora, Gładkie,

Potrójna, Walaszkowie, Miasteczko, Zakocierz, Łysina, Szkolarzówka, Gibaszów — oto szereg — niecały jeszcze — tych przysiółków i osiedli, liczących po kilka domostw zaledwie. Jeżeli o Ponikwianach, w kotlince zamieszkałych, pisze poeta:

— nie znocie, wy doliniocy, ponikiewskich grap
ka sie na nic juz nie przydo osił górskich szkap —
ka trza wszyćko wnosić znosić — choćby przysło lec
po węzinach i wykrętkach prostopadłych miedz —
— orka ci tam jest! — mój Boże! — co tu dużo pleść:
jednym koniem, którego trza za uzdecke wieść —
a bronować to już sobą musi baba, chłop —
a zaś grape to ta ręką dropoj, zgarnioj, kop —
— dysc pozbiero, wiatr wykosi, wymłóci pan grad —
— hejzeino — pieknyładny — wesoły jest świat — —

*(E. Zegadłowicz, Ballada o Okrucie).*

to o ileż potęguje się ten znojny byt w górze po kamienistych wierchach, gdzie zima siedzi przynajmniej przez pół roku, gdzie „słońce z ciepłem sie nie spieszy, a ludzie wytrwale przez cały rok pokumani z postem“. Że w powyższym opisie nie przemawia wyobraźnia, lecz odbicie rzeczywistości, świadczyć może zdarzenie choćby takie, że w jednem z tych osiedli widziałem, jak podmuch wichru porwał całe stajanie zżętego owsa, uniósł w górę i rozrzucił po koronach lasu. Ludzie w tych przysiółkach bytują w ciężkim znoju, w ciągłym niedostatku, nieraz w napół zwierzęcych warunkach. Bezustanna walka z przeciwnościami klimatu, z napaściami dzików, na które prócz czuwania wymyślają różne mechanizmy straszaków, wieczna trwoga o wydajność i całość plonów, wyczerpuje ich siły fizyczne i moralne, to też przygnębienie, a także matołectwo jest tu powszechnem zjawiskiem. Ludzie są tu podobni do swych sąsiadów, buków szczytowych, skarlałych, pokręconych, połamanych przez wicher i śniegi, omszałych i dzikich.

Za Potrójną stoi na grzbiecie górskim samotna chałupa, zamieszkała przez matołkowatą rodzinę, której podstawą bytu jest jeden mórg gruntu i jedna jałówka i woda z potoku, o dobre sto metrów niżej w roztoce się wijącego. Zrobił ten gazda eksperyment: posiał pod laskiem limbowym stajanko pszenicą, równe powierzchnią czterem stołom — i otrzymał kłosy 2—3 cm. długie, w których naliczyłem 12 ziarn chudych. Cieszył się wielce, że „na Gody będzie miał placek — a może i dwa — pszeniczny!“ Ten przynajmniej swojej nędzy nie rozumie, ale są tacy, co ją odczuwają.

— Mamy żal do tych ludzi — mówiła pewna gaździna — co te polany wykarczowali, bo tu nie dla ludzi, ale prawie dla wilków siedziba.

Z wycieczką studencką szedłem raz przez wielki las na Jawornicę. Otwarła się przeszło 30 morgowa poana, a na niej jedna chału pka, przyparta do lasu. Psy nas zażarte opadły, dzieci na nasz widok pierzchnęły z przed domu. Na tumult niebywały wyszła z domu kobieta lat średnich z niemowlęciem na ręce, psy zamknęła w komórce, dzieci zwołała i wdała się z nami w rozmowę.

— Stało tu na tej polanie pięć chałup, ale „spólnicy“ (t. j. sąsiedzi) posprzedali się, a raczej zamienili się z pańskiem i osiedli przy wsi na na dole, na ich gruntach już las zasadzony. Oni zostali tu sami na czterech morgach, bo im się ze zamianą krzywdowało, a i żal było wyzbyć się ojcowizny. Radzą se, jak mogą; ociec jest robotnikiem we fabryce na Śląsku i czasem do chałupy zaglądnie, a gospodyni sama z dzieciskami obrabia rękoma rolę, pracuje za siebie i męża. Dzików od lat trzech — dzięka Bogu — nie było, ale zboże zjadły jej znów sarny i zające.

Siegnęliśmy rękoma do snopeczków, leżących przed domem — młócić co nie było, kłosy żyta i jarcu były prawie puste, lub objedzone do gołej słomy. Dzieci — najstarszy miał lat 13 — przywabione łagodnem słowem i łakociami, wmieszały się w naszą gromadkę i nieśmiało poczęły gawędzić; patrzyły za nami ciekawie, dopóki nie zanurzyliśmy się w lesie.

— Beskidzioki kochane — dziecka nieurodne,
jak i ten rok niemrawy — mgławe bezpogodne —
a jednak pełne krzepy na życia zapasy —

do szkół ni stąd ni z innych przysiółków i osiedli nie chodzą, bo „jedno za daleko, a drugie skróś śniega“, ale zimą uczy ich w domu, kto i jak ta może.

Wytrwałość tych ludzi i ich przywiązanie do ziemi są zadziwiające. Zdani tylko na siebie, zapomniani i opuszczeni w walce o byt lepszy, ponoszący ciążary społeczne, lecz korzyści z nich nie mający, ani myślą porzucić swych nędznych, kamienistych wykrawków roli, lecz tkwią tu w tych górach i chmurach — oporni, wytrzymali, mało potrzebujący, istne... limby ludzkie!

W tym niedostatku roli wiele pomagają sobie rolnicy tutejsi przez uprawę wyrębów w dworskich lasach, a zwyczaj zezwalania na to przyjął się tutaj ze względu na silny głód ziemi. Chłopi usilnie zabiegają o taką chwilową dzierżawę, płacąc za nią robocizną lub oddaniem części plonów.

W najgłuchszych nawet i najdalszych kątach spotyka się obsiane lub obsadzone wyręby.

Chwilowe zagospodarowanie leśnych obszarów odbywa się w następujący sposób: w pierwszym roku wypala się zrębisko, usuwa się duże kamienie z gruntu i układa się je stosami na pniakach, w drugim roku sadzi się ziemniaki, w trzecim już sadzi się kulturę, sieje się owies i krzycę równocześnie — i zbiera się owies w jesieni, zasiew krzycy pozostaje zaś do zbioru w roku czwartym. Na tem koniec gospodarki rolnej; w roku piątym bowiem sadzonka drzewna już podnosi głowy. Krzyca jest to osobliwy gatunek żyta, lubującego się w próchnicy i tak plennego, że z jednego ziarna wyrasta kilka, kilkanaście, nawet i więcej ździebeł, do wzrostu jednak potrzebuje ona dwóch lat; zżynanie dojrzałego owsa nic jej pędom nie szkodzi, późną jesienią można nawet jej pędy kosić na paszę dla bydła; ziarno daje krzyca chude; chleb z niego czarny, lecz dobry. Ziemniaki na wyrębach także udają się dobrze. Gdym w końcu sierpnia wyrwał z ciekawości na porębie krzak ziemniaczany, znalazłem dwie bulwki ledwie, wielkości gołębiego jajka i kilka zawiązków wielkości ziarnka grochu, zwątpiłem tedy, czy plon zdolen jest wynagrodzić pracę. Zasięgnąwszy jednak informacyj, dowiedziałem się, iż zbiory z wyrębów bywają naogół dobre, niekiedy nawet bardzo wydatne, lecz późne.

Życie pasterskie, które tyle swoistego wdzięku nadaje górskim obszarom, zanikło w Beskidzie Małym w zupełności. Na tutejszych halach napotyka się tylko drewniane koliby na siano lub kamienne stajenki na bydło, lecz nie widzi się już wcale dymiących szałasów, ogorzałych baców i juhasów, nie słyszy się tępego brząkania dzwonków kierdeli owczych. Wiemy już, iż hal tu jest wiele i niemałych; ciągną się one przeważnie wąskiemi, na kilometry długiemi pasami po grzbietach, ścielą się także po zboczach, przełęczach, po rozstajach grzbietowych. Pomijając wiele pomniejszych, jako największe trzeba przypomnieć hale: na Magórce, Sokołówce, Jaworzynie, Jawornicy, Potrójnej, Bieskidzie, Leskowcu. Dziś piękne te hale zalega głusza, gdzieniegdzie tylko spotkać można pastuszków z kilku krowami, z małem stadkiem kóz lub owiec.

Zanik szałaśnictwa datuje się tu od lat 25—30, a uzasadniają go drożyzną najemnych pasterzy i zakazem paszenia po lasach przez nowych gajowych, na co dawniejsi patrzyli podobno przez palce.

W r. 1917 natrafiłem na szałas na Oczkowskiej hali, zamienionej w połowie na orne pole, lecz nad liczbą owiec przeważała liczba krów, a w szałasie.... gdakały kury. Była to parodja szałasu, a celem jego było

nagromadzenie nawozu pod zasiew owsa. Mówiono jednak, że gdzieś za Solą jest jeszcze czysto owczy szałas.

Sporadycznie wznawiają tu jeszcze pasterstwo owcze; w r. 1923 stał na hali Bieskidu koło Leskowca baca, z Koszarawy pod Babią Górą sprowadzony, z półtora setką krzeszowskich owieczek, lecz już w ubiegłym roku wznowienie szałasu do skutku nie doszło.

Próby wykupienia hal przez zarząd żywiecki przeważnie spełzły na niczem, choć gazdowie niewiele mają z nich pożytku. Na niektórych po zniesieniu szałasów siano przez pewien czas owsy, lecz później zaniechano tego; zorana hala na Potrójnej leży teraz ugorem, inne, jak na Magórce, Jawornicy, na której przed 25 laty stały szałasy z 3.000 owiec (liczba zapewne przesadzona) z Rzyk, Sułkowic, Targanic, służą za łąki do koszenia siana. Ale opłakane to siano. Wyjałowiana z roku na rok gleba porasta niską, twardą, niesoczystą psiarą, „szczotnicą albo szczotką" tutaj zwaną, którą bydło tylko w ciężkiej konieczności zjada, a która wobec tego służy przeważnie za ściółkę. Po żywieckiej stronie hodowla owiec i wyrób wełnianych samodziałów trzyma się jeszcze jako tako, po wadowickiej upadła prawie zupełnie; dość powiedzieć, że w statystyce z r. 1922 powiat wado wicki wykazał 560 owiec.

O zbójnictwie w tych górach zachowały się jeszcze skąpe tradycje. Najsilniej mieli tu grasować zbójnicy po rokoszu Zebrzydowskiego, składający się z rozbitków jego armji, a napadali oni na kupców i na owczarzy po halach. Wiele nazwisk węgierskiego i rumuńskiego pochodzenia zachowało się po ich potomkach w okolicznych przysiołkach (Borgosz, Janosz, Kiznar, Uwer). O zniszczeniu ostatniej bandy zbójników z Bulowic takie zachowało się opowiadanie: Zbóje napadli na owczarzy na Jawornicy i bacę usmażyli w żętycy, juhasa postanowili upiec na ogniu, lecz przedtem kazał mu jeden zbój z ciekawości zagrać na długiej trombicie. Ten się zwrócił w stronę Kiczory i donośnie zagrał te słowa:

Spólnicy, spólnicy, bo tu są zbójnicy,
Bace uwarzyli, a ser na górnicy!

(t. zn. przygotowany na górnicy do zabrania). Zbóje zgniewani upiekli chłopca, lecz na jego wołanie zbiegli się chłopi z Targanic i rozbili tę ostatnią bandę. W Roczynach na Groblastej także mieli przebywać zbóje i pozostawić w jaskini ukryte skarby, za któremi rozbijało się wielu poszukiwaczy.

Świat podań ludowych, związanych z tutejszemi górami, jest — zdaje się — wcale ubogi i nie zawiera rzeczy nowych. Powtarzają się więc i tu

owe znane skądinąd legendy, odnoszące się do samotnych bloków kamiennych lub do nagromadzonych rumowisk skalnych, które djabli znosili i porzucili przy pianiu koguta; są nieco odmienne o „magli djabelskiej“ na Łamanej Skale, o młynie djabelskim na Magórce. Ta ostatnia, związana z „djabelskim kamieniem“ koło Łodygowskich Kolib, opowiada, że djabeł niósł tę skałkę na małym palcu na przeciwległą górę Skrzyczne, na której djabli mieli młyn kamienny postawić i mleć w nim takich ludzi, co zjedli muchę. Gdy kogut zapiał, djabeł upuścił niesioną skałę, która była przeznaczona na spód młyna, na Skrzycznem zaś porzucona skała miała być kołem młyńskiem.

Piękno gór kocierskich znalazło także wyraz w poezji naszej.

Poeta krakowski, Edmund Wasilewski, szukając wrażeń i osłody dla wytrąconego z równowagi umysłu, odbył w r. 1836 podróż w Beskidy i Tatry i wrócił z nich odświeżony i ożywiony. Owocem tej podróży było kilka utworów, górom poświęconych; jeden z nich, ma tytuł „Kocierz“; jest to sonet, daleko słabszy od wiersza, poświęconego przez poetę Babiej Górze, Lanckoronie i Tatrom:

Młodszy brat Babiejgóry pokrył się lasami
Ze wstydu, że od niego wyższa siostry głowa;
I w zielonym ich płaszczu białe piersi chowa,
I skryte łzy w doliny sączy strumieniami.
    I przed niebem zawstydził, bo pokrył się mgłami,
    Jako ślepa w południe w cieniu ruin sowa,
    Chociaż pióra ma lśniące, jednakże się chowa,
    Nie śmiąc ich równać z orła lśniącemi piórami.
Gdzieniegdzie po opokach poczepione chatki,
Bezpieczne — choć pod niemi strumień przepaść ryje,
Wiszą, jak niemowlęta ssące piersi matki;
    Ale kiedy w rozdołach groźny wiatr zawieje,
    Nie patrz, jak słabych słabsze mieszkania rozbije,
    I pytaniem o matkę nie smuć małe dziatki!

Przypisek, dodany w objaśnieniach do tego wiersza, brzmi tak: „Babiagóra i Kocierz“, nazwiska gór w Tatrach. Wierzchołek Kocierza prawie zawsze mgłami okryty“. Świadczyłoby to, iż poeta pisze o jakimś szczycie tatrzańskim, a nie o kocierskich górach; szczytu jednak pod nazwą Kocierz niema ani w Tatrach, ani w Beskidach, a przypisek pochodzi zapewne od jakiegoś nieświadomego rzeczy wydawcy, który Tatry z Beskidem pomieszał.

Prawdopodobnie poeta odbywał podróż przez nowo wybudowany w tych czasach gościniec kocierski na Babią, a z tej w Tatry.

Z urywków powyżej podawanych wiemy już, iż Beskid Mały ma swego własnego poetę. Jest nim Emil Zegadłowicz, rodem z Górzenia Górnego nad Skawą w pobliżu Wadowic, w miejscu rodzinnem stale zamieszkały, obok Wł. Orkana drugi świetny talent i drugi z Bożej łaski poeta beskidzki. Wyrosły z góralskiego podłoża, wybornie władający gwarą miejscową, spojony duszą z naturą i ludem, maluje w licznych utworach tajnie przyrody i wnętrza mistycznych, świetlanych duchów, z pośród najuboższych wyrosłych, ich znojne byty, wytrwałość, tęsknotę do pokoju i miłości wszechludzkiej, ich wizje wniebowzięte i wiarę w zwycięstwo dobra. Szczególny rozgłos i wzięcie zyskały ballady ludowe tego poety (Powsinogi Beskidzkie, Wielka Nowina), utwory nawskróś oryginalne i w swoim rodzaju doskonałe [1]).

Do pieśni o górach i o góralszczyźnie pociągnął Zegadłowicz także innych swych przyjaciół-poetów: Janinę Brzostowską i Tadeusza Szantrocha z Wadowic i Edwarda Kozikowskiego z Warszawy. Na skromny, zapomniany Beskid Mały spadł zaszczyt niezwyczajny: dokoła niego powstaje osobna grupa, czy szkoła poetów beskidzkich.



„Czartak“ w dolinie Skawy, punkt zborny poetów beskidzkich.
*(Według akwaforty L. Micky'ego)*

Widomym jej wyrazem jest „Czartak, zbór poetów w Beskidzie“, Warszawa 1925, wykwintnie wydany tom poezyj wymienionych tworców, na treść którego złożyły się wrażenia z doliny Skawy i Ponikwi, ze szczytu Leskowca i Babiej Góry. Ulubionem miejscem zbornem poetów jest „Czartak“, ongiś kaplica arjańska, dziś gospoda w Mucharzu.

[1]) Ograniczam się do krótkiej wzmianki o twórczości Zegadłowicza ze względu na to, iż w tegorocznych „Wierchach“ twórczości tego poety poświęcone jest osobne miejsce.

Z Międzyborza Lipnickiego pochodzi Stanisław Stwora, autor zbiorku poezyj p. t. „Ulica“, znany także z licznych wierszy okolicznościowych, który wszakże w miejskie podłoże Krakowa wrosły, na temat gór nie tworzy.

Po huraganie krajobrazów tatrzańskich także w malarstwie nadeszła kolej na krajobrazy beskidzkie. Maluje je jeden z najwybitniejszych przedstawicieli malarstwa polskiego, Juljan Fałat, od dłuższego czasu w Bystrej, między Klimczokiem a Magórką, stale zamieszkały. Jego obrazy, z letnich i zimowych motywów bezkidzkich wysnute, są wyższe ponad zdawkowe pochwały. Z dawna też znane są pejsaże górskie Adama Pełczyńskiego z Szymbarku i z nad Ropy w gorlickiem; niekiedy na temat Beskidów maluje też Stefan Filipkiewicz.

Gdy mowa o poetach beskidzkich, to zaiste w grono ich zaliczyć wypadnie także owego inżyniera, nieznanego już dzisiaj nazwiska, który zbudował gościniec Kocierski. Był on niezawodnie nie tylko tęgim inżynierem, ale i w swym zawodzie pewnego rodzaju poetą, a jego gościniec jest nie tylko świetnem dziełem technicznem, ale też i dziełem pięknem. W porównaniu z cudami alpejskiej techniki drogowej jest gościniec ten rzeczą skromną, ale w nizinnej Polsce należy on do rzeczy w tym rodzaju najwybitniejszych i najpiękniejszych. Ta droga górska przewyższa malowniczością wszystkie inne, wiodące w zachodniej Małopolsce przez Beskidy na Słowację, a jest prawie równie piękną, jak gościniec do Morskiego Oka, brak jej tylko owej dalszoplanowej scenerji skalistej. Beskid Mały przecinają w poprzek dwie drogi bite, łączące kotlinę Żywiecką z Pogórzem, obie prawie równolegle i w niedalekiej od siebie odległości biegnące. Powiatowy gościniec Międzybrodzki, łączący Żywiec z Kętami, 24 km. długi, przemyka się przez dolinę przełomową Soły, ściśle się brzegów rzeki trzymając. Cały powab doliny Solskiej zachwyca tu podróżnika; wszelakoż przez to, że nie ma on ani gwałtownych zakrętów, ani nie pokonywa żadnych wzniesień, stoi niżej pod względem krajobrazowym od swego sąsiada.

Gościniec Kocierski łączy Żywiec z Andrychowem, 27 km. długi, w obu swych kilkukilometrowych końcach, przytykających do tych obu miast, nie jest niczem osobliwy, chyba widokami w dal na szczyty Beskidów, bo poza tem jest sobie zwyczajnym gościńcem, falującym po gołych pagórach. Jego malownicza partja przypada na środkowych 15 km., z Kocierza Dolnego do Targanic, w czem na zakosy przypada 8 km. Największe wzniesienie pokonywa ta droga po stronie północnej, gdzie na przestrzeni 4 km., z górnej części Targanic na przełęcz Kocierską, zamaszyste serpentyny podnoszą jej poziom od 450 do 730 m., więc prawie o 300 m. Łagodniejszy nieco jest

spadek z przełęczy w stronę południową, gdzie również na przestrzeni 4 km. do Kocierza Górnego, robi ta droga kilka ślicznych zakrętów, opadając w dół przeszło 200 m. Malowniczość drogi na tej przestrzeni pełna jest najprzedniejszego górskiego uroku. Biała jej wstęga tonie w morzu przemiłych lasów, zatacza w nich kręgi, wynurza się na poliste wyrwy, w obie strony odsłania szerokie widoki na pobliskie i dalekie góry, na długie doliny, wioski i przysiółki. Podróż w tym zaciszym raju górskim zachwyca, upaja i pozostaje na trwałe w pamięci. Niemniej piękną od serpentynowej jest poniższa, 6 kilometrowa, część gościńca, przez ciasną dolinę Kocierską łukiem się przemykająca.



Przełęcz Kocierska z gościńcem z Andrychowa do Żywca.
(Fot. *A. Romanowski*).

Ciemną ponurość borów szpilkowych łagodzą jasno-zielone czeremchy, jarzębiny i jesiony, sznurem około drogi sadzone. Na samej górze, w miejscu, gdzie się droga ku południowi nachyla, ciągnie się wąskim pasem przysiółek „na Gładkiem", złożony z kilku chałup i ubogiej karczemki, zamknięty ścianą owego wspaniałego lasu jodłowego, który koniec doliny Wielkiej Puszczy porasta, a nad którym już kolej rębności zawisła. Zdobiła dawniej to miejsce karczma staropolskiego typu z zajazdem łukowym, w ślicznem miejscu, na samym przegibie (przy słupie 10·4 km.), a na rogu tej jodłowej puszczy postawiona, w obie strony przełęczy widoki roztaczająca. Gdy piesza turystyka mało była jeszcze rozwinięta, wycieczki wozami na Kocierz były dla Żywczan i Andrychowian najmilszą rozrywką, a dla fur ciągnących z ciężarem była ta gospoda koniecznym popasem. Zgorzała ona jednak w r. 1908 podobno nie z przypadku, zgorzała i druga w dolinie Kocierskiej, równie starego typu, a pozostała jeszcze jedna u wylotu doliny Kocierskiej, najmniej charakterystyczna, z zajazdem na przestrzał, bokiem do gościńca postawiona.

Droga Kocierska jest starą arterją komunikacyjną; jeszcze „za polskich czasów" wiodła tędy prymitywna droga, której zachowały się ślady, a obecny

gościniec zbudował rząd austrjacki blisko przed stu laty, bo za cesarza Ferdynanda jeszcze, przymusową pracą więźniów z Wiśnicza i Spielbergu. Przewijał się tędy żywy ruch handlowy głównie z solą do Węgier, a z winem i pszenicą z Węgier, kierujący się w dalszym ciągu na Zwardoń. Od czasu jednak wybudowania goscińca Międzybrodzkiego, wolnego od wzniesień, gościniec Kocierski opustoszał i obecnie służy on przeważnie do zwózki drzewa. Ożywia się tylko w pogodne, letnie dni świąteczne warczeniem korowodów samochodowych, głównie ze Śląska przybywających, a jego głośnym powabem nęconych.



Fragment z Kocierskiego gościńca.
(Fot. *K. Sosnowski*).

Prócz krajobrazowych mieści w sobie Beskid Mały także duże gospodarcze wartości. O najważniejszej, o „wielkiej fabryce drzewa“, była już wzmianka powyżej; drugą jest jego kamień, trzecią siła wodna. Górotwór ten jest nieprzebraną kopalnią piaskowców wszelkiego rodzaju; w złożach jego odnaleziono wszystkie odmiany tej skały, a więc piaskowce Magórskie, Ciężkowickie, Godulskie, Mikuszowickie i Wernsdorfskie, wreszcie warstwy Cieszyńskie, obramowujące północny kraniec dorzecza karpackiego. Odmiany te występują w ten sposób, że najmłodsze wysunięte są najbardziej na południe.

Warstwy piaskowca, ułożone przeważnie skośnie, z południa parte ku północy, przetykane warstwami łupków, mają częstokroć wydatną grubość, a nierzadko występują, jako lite ściany. Znachodzą się tu skały piaskowcowe różnego zabarwienia i twardości rozmaitej, przeważnie atoli jest tu piaskowiec pierwszorzędnej wartości, twardy i drobnoziarnisty, zdatny do użytkowania zarówno budowlanego, jak i drogowego, to też kamień tutejszy bywa wydobywany nie tylko do potrzeb miejscowych, ale także wywożony w dalsze okolice Polski.

Niema prawie wioski wśród tych gór i dokoła ich podnóża, gdzieby

nie łamano kamienia na miejscowe lub pobliskich miast potrzeby. Prymitywne kamieniołomy widzimy w Tresnie, w Kocierzach, Międzybrodziach, Oczkowie, Zadzielu, Łysinie, Mucharzu, Targanicach i wielu innych wsiach, w kilku jednak miejscowościach, jak w Straconce, Porąbce i Kozach, eksploatacja kamienia odbywa się na dużą skalę i na eksport. Kamień w Porąbce jest tak twardy i przepojony krzemionką, iż zbliża się do rogowców, a ma zbyt głównie na Górnym Śląsku jako wyborny materjał drogowy. Największy atoli kamieniołom znajduje się we wsi Kozy, u podnóża Hrobaczej Góry, na Jarmarczym Groniku, który zaopatruje w kamień drogowy rządowe gościńce w Polsce. Niedawno nabyty od bar. Czecza przez nasz rząd, urządzony po nowoczesnemu, zatrudniający przeszło stu robotników, ma przez duże rozmiary, przez parowe piece do łamania i sortowania kamieni na cztery rodzaje wielkości, przez góry nagromadzonych hałdów, baraki robotnicze, przez kolejkę linową, dowożącą kamień na stację kolejową — charakter dużej fabryki czy kopalni.

Wielkiem dziełem umysłu i rąk ludzkich będzie w niedługim czasie zapora wodna na Sole. Szczególnie korzystne warunki, jakie dolina Soły do tego celu nastręcza, zwróciły na siebie już dawno uwagę kół fachowych, a na podstawie pomysłu inż. K. Pomianowskiego (1906) i szczegóowych planów inż. Tad. Baeckera i K. Maćkowskiego, już b. Wydział Krajowy przystąpił w r. 1914 do rozpoczęcia robót kosztem 10 miljonów Koron. Roboty te po wojennej przerwie podjął bezwłocznie rząd polski na podstawie uchwały sejmowej z dnia 29 marca 1919 r., powziętej na wniosek ministra Pruchnika o t. zw. przegrodach, czyli zbiornikach wód górskich. Z powodu szczupłości przyznawanych kredytów praca postępuje wprawdzie w bardzo powolnym tempie, lecz nieprzerwanie — i śmiały projekt staje się zwolna rzeczywistością.

Przed kilku miesiącami prasa codzienna przypomniała tę sprawę, podając jednak szereg nieścisłych i przesadzonych wiadomości.

W świetle rzeczywistości zamierzona budowa przedstawia się, jak następuje: mur oporowy zbudowany będzie w średnim biegu Soły przy 32·3 km. jej biegu, w oddaleniu 1 km. od wsi Porąbki, a tuż przed ujściem bocznych dolin Małej i Wielkiej Puszczy do doliny Soły. W miejscu tem dolina Soły robi największy zakręt, a stoki Kozubnika i Zasolnicy spadają w nią tak stromo, iż wytwarza się tu ciasna gardziel górska, zaledwie 180 do 250 m. szeroka. Podłoże, poza cienką warstwą żwiru i rumowiska, składa się tu z litej, twardej skały, na której silnie da się ugruntować zapora z wykluczeniem obawy dzikich odpływów. Wysokość spadku wody wynosić będzie 20 m., a siła jej obliczona na 12 do 15.000 koni parowych

zaopatrywać będzie w energję elektryczną okolicę Kęt, Oświęcimia, Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie. Oprócz tego zbiornik ten, magazynujący 26·8 miljonów m³ wody, mieć będzie za zadanie osłabienie i uchylanie niebezpieczeństw powodzi, oraz podnoszenie niskich stanów wody, czyli charakter jego będzie retencyjno-użytkowy. Długość muru oporowego w koronie obliczona jest na 245·88 m., szerokość 8·40 m., największa wysokość nad dnem doliny 21·30 m., a razem z fundamentami ok. 30 m. Kaskada zatem, jaka tu powstanie, będzie rozmiarem i siłą imponująca.

Lecz niewątpliwie więcej imponującą i wspaniałą rzeczą będzie tu to wielkie, choć sztuczne jezioro, w jakie się Soła po zbudowaniu przegrody na całej prawie swej przełomowej przestrzeni zamieni. Kształt jego będzie podłużny, lekko kręty, a rozmiary bądź co bądź potężne, gdyż długość wynosić będzie prawie 8 km., szerokość od 500 do 1000 m., powierzchnia ok. 6 km², a najwyższa głębokość ponad 20 m. Obecny powiatowy gościniec, biegnący ściśle koło rzeki po jej prawym brzegu, zostanie prawie w całości zatopiony i zastąpiony nowym, 6 m. szerokim, na lewy brzeg przerzuconym i kilkanaście metrów wyżej po stokach gór prowadzonym. Długość nowego gościńca wyniesie bez mała 9 km., tak, że już przed Czernichowem odłączy się on od starego, przejdzie po trójprzęsłowym żelaznym moście na lewy brzeg rzeki i pójdzie po nim aż po przegrodę, po której wróci znów na brzeg prawy. Prócz gościńca zalane zostaną wodą także płaskie wybrzeża i pobliskie pola na łącznej powierzchni ok. 400 ha, skutkiem czego zostanie wykupionych i przeniesionych na stoki ok. 200 zagród włościańskich, obecnie na dnie doliny w trzech Międzybrodziach i w Czernichowie stojących.



Dolina przełomowa Soły pod Czernichowem z gościńcem powiatowym.
(Fot. *K. Sosnowski*).

Domy do przesiedlania mieszkańców już poczęto budować. powstały też tymczasowe baraki dla robotników i wille w Porąbce dla zarządu budowy

a w robocie znajdują się boczne tunele dla odprowadzania nadmiaru wody. Całe przedsięwzięcie ma być za lat 6—7 do końca doprowadzone.

Powstanie w bliskiej przyszłości we wnętrzu Beskidu Małego tak wielkiego, śródgórskiego jeziora wpłynie bezwątpienia wielce i na charakter krajobrazu i na znaczenie tej grupy gór. Czy wpływ ten będzie dodatni, czy ujemny, różnie sądzić można. Wypadnie żałować, że zacierać się będzie charakter przełomu, że zniknie poetyczna, wartka rzeka górska, że przestanie do niej podpływać łosoś, który choć nie tak licznym, jak w Dunajcu, przecież dość częstym bywa w Sole gościem, jednak wzgląd na praktyczne potrzeby życia przeważa w tym wypadku szalę na korzyść projektu.

Malowniczości krajobrazu nie obniży zresztą to sztuczne jezioro, przeciwnie podniesie ją wielce, a z nią razem i znaczenie tych gór tak miłych, choć skromnych. Wielkie śródgórskie jezioro będzie nowością i unikatem w Polsce, da nam rodzaj krajobrazów alpejskich i wszelkie korzyści i przyjemności z pobytu równoczesnego w górach i nad wielką wodą idące. Nie można w to wątpić, że po powstaniu jeziora poczną wyrastać nad jego brzegami wille, lecznice, letniska, że z powodu bliskości ośrodków fabrycznych i kopalnianych nasze zapomniane Międzybrodzia nabiorą wzięcia i rozgłosu, że ów pusty, a zaciszny i słoneczny „Nowy Świat“ stanie się istotnie nowym światem wypoczynku i krzepienia zdrowia dla wszystkich, którzy pracują i są utrudzeni, a w ślad za tem, także cały, dziś nieznany i niedoceniony nasz Beskid Mały, stanie się nowem „płucem Polski“.

Stanie się także nowym terenem dla ekspanzji naszej turystyki górskiej. Stłoczona w kilku zaledwie punktach, rozlać się musi nasza turystyka równomiernie na wszystkie góry w Polsce, a kolej na Beskid Mały wkrótce także nadejdzie. Dotychczas mimo tego, iż jest on zewsząd kolejami i gościńcami opasany, iż w łańcuchu Beskidów Zachodnich jest pierwszą grupą z brzegu, jako całość uchodzić może za „terra incognita“. Lecz jako całość tylko, gdyż niektóre jego partje i wierchy należą do najbardziej turystycznie ożywionych.

Opisana już Magórka należy wraz z naprzeciwległym Klimczokiem do najpopularniejszych wierchów w Beskidach Zachodnich, a to z tego powodu, iż jest ona najbliższą miastom Bielsku i Białej z Lipnikiem, ludnym ośrodkom włókienniczego przemysłu. Magórkę zagospodarował starannie związek turystów niemieckich z województwa Śląskiego „Beskiden-Verein“, postawił tu schronisko, wytyczył ścieżki, umieścił drogowskazy, zbudował tor saneczkowy, urządza szkoły, popisy i zawody narciarskie, to też zimą i latem tętni ta góra żywym rozgwarem turystycznym, głównie niemieckim. Piętrowe murowane schronisko, zbudowane w r. 1912 kosztem 80.000 koron (Maria

Theresia-Schutzhaus), jest miłym, czystym, obszernym i praktycznym, z nowoczesnym komfortem i wygodą urządzonym domem, raczej hotelem niż schroniskiem. Wielka widokowa weranda, sala jadalna, pokój zarządu, 10 pokoi sypialnych, sala sypialna wspólna, suszarnia odzieży, składownia na narty i sanki — dają tu wygodne pomieszczenie kilkudziesięciu turystom, którzy tu nie tylko przejściowo, ale i tygodniami mieszkają.

W oddaleniu kwadransa drogi stoi na grzbiecie Magórki drugie, dość obszerne schronisko, prywatna własność rodziny Sikorów, drewniane i skromnie urządzone, którego atrakcją jest widok na Tatry. I ten dom znajduje wielu amatorów, także na dłuższy pobyt.

Jest tedy Magórka jakby parkiem naturalnym dla Bielska i Białej, a istne procesje wycieczkowców, w dnie świąteczne zwłaszcza tu się przewijających, a nie zawsze o poszanowaniu cudzej własności pamiętających, i wprost całe obozy z ogniskami na trawnikach hal rozkładających, wprawiają w prawdziwe utrapienie ich właścicieli. Jeden z nich, nie wiedząc już, jak sobie poradzić, przybił do smereka taką tablicę: „Hodżynie po trawie zakazane jest pot karą 10 albo 20 albo 50 złotych, albo bedzie karane cięskiem więzieniem". Nie wiadomo, czy padł na kogo ten ostatni wymiar samosądu, przykre jest jednak, że tę tragiczno-humorystyczną tabliczkę bezwłocznie rozstrzaskano.

Prócz Magórki liczną frekwencję turystyczną mają też Groniczki, a także całe półkole górskie na zachód od przełomu Soły, jako wciągnięte w obręb działalności Beskiden Vereinu; natomiast cała wschodnia połać Beskidu Małego jest obcą wszelakiej turystyce i jej urządzeniom. Chociaż inż. E. Tischler w swym bardzo dobrym i zwięzłym Przewodniku z r. 1914 (Die östlichen Beskiden, Reiseführerverlag G. Brieger, Schweidnitz i Skitourenführer durch die östl. Beskiden, Bielitz 1912) posunął się w opisie za Sołę po Cisownik, to jednak w te strony zapuszczają się bardzo rzadko nawet i niemieccy turyści. Góry między Sołą a Skawą są prawie pierwotne, głuche i odludne, stopami turystów nie wydeptane zgoła.

Spotkany w tych stronach turysta budzi u ludności zdziwienie, zaciekawienie, a nawet przestrach i podejrzenie o celach swej wędrówki, gdyż górale mają przesadne wyobrażenia o rozległości i możności orjentowania się w labiryncie gór i lasów, a sami znają zwykle okolice tylko sobie najbliższe. Gdym raz mrocznym wieczorem wynurzył się z lasu i w turystycznym stroju stanął przed gazdą, ładującym krzycę na wóz, ten tak się zaląkł, nie wiedząc, z kim ma do czynienia, iż omal nie pocza̧ł uciekać. Wstrzymała go męska ambicja, grzeczne powitanie i podany papieros, a kiedym go zdołał przekonać o nieszkodliwych celach mej wędrówki,

rzekł: „Jak wy możecie, panie, robić takie głupstwa i włóczyć się wieczorem po lasach?! Wy nie wiecie o tem, że tu są lasy okropne. Obcy ludzie gubią się w tych lasach, błądzą, chodzą w koło po parę dni, a bywało, że z głodu i ze zmęczenia poginęli śmiercią!“ Nie wiem, gdzie on tam słyszał o takich wypadkach, ale to wiem, że gdyby nie to szczęśliwe spotkanie zapóźnionego pracownika, byłbym na pewne nie trafił na nocleg do znajomego gajowego, choć w tem miejscu byłem już po raz drugi.

Innym znów razem ostro zestrofował mię pewien gajowy za lekkomyślne wałęsanie się samopas po kniejach i wierchach. Obu moich mentorów uspokoiła jednak najwięcej okazana im mapa, ludzie bowiem wiejscy mają duże uszanowanie dla map; szczególnie lubią je górale, upatrują zaraz „ka my tu stoimy“ — i dają do zrozumienia, iż wiedzą, że mają z inteligentem do czynienia.

Teren Beskidu Małego objęty jest dwoma turystycznemi mapami, wydanemi przez „Beskiden-Verein“, „Spezialkarte der Beskiden für Touristen, 1:150.000“ i „Beskidenkarte, 1:75.000, herausgegeben vom Bielitzer Beskidenverein“ 1923; obie są przystosowaniem austrjackich map wojskowych do turystycznych celów.

Lokalna, familijna turystyka, docierająca na Gancarz, Jawornicę, czasem i na Leskowiec, zasadzająca się nie tyle na wchłanianiu wrażeń, ile zawartości przyniesionych koszyków, legnie tu niebawem pod naporem prawdziwej turystyki i narciarstwa, bo w obrębie tej grupy gór dadzą się dobrze kombinować jedno-, dwu- i kilkudniowe wycieczki, proste i okrężne, wycieczki naprawdę piękne i interesujące.

Pierwszym krokiem do obudzenia ruchu turystycznego w Małym Beskidzie będzie wciągnięcie go w materjał „Przewodnika po Beskidzie Zachodnim“ (co stanie się w drugiem wydaniu), drugim oddanie jego obszaru w gospodarkę jednemu z istniejących Oddziałów Tow. Tatrzańskiego (Krakowskiemu lub Górnośląskiemu), albo nowopowstałemu (Wadowickiemu lub Bialskiemu), trzecim, wytyczenie dróg, ostatnim pobudowanie schronisk.

Najpilniej potrzebnym byłby dom turystyczny na Kocierzu (lub górze Potrójnej), następnie na Leskowcu, a z biegiem czasu zajdzie niezawodnie potrzeba zbudowania trzeciego na Hrobaczej albo Bujakowskiej górze.

Kraków, w listopadzie 1924.

*Kazimierz Sosnowski.*

# Emil Zegadłowicz
## i „Powsinogi beskidzkie“.

**Od redakcyi „Wierchów“.** Oto znowu raz nareszcie poezja o zapachu ziemi, ziemi swojej, i o „rymach podpartych sercem“, — dwa nieodzowne warunki każdej poezyi prawdziwej. A że ziemia ta — to ziemia górska, beskidzka, a miłość rozlana na świat szeroko także w tej miłości gór i ludu górskiego bierze początek — przeto pismo nasze, które z tych samych źródeł czerpie rację swego bytu, musi się poezją tą zająć i czytelnikom swoim ją pokazać.

Nie mamy zamiaru pisać ani studjum naukowego, ani nawet krytyki publicystycznej o dziele Emila Zegadłowicza, — oba szkice, które tu następują, nie są krytykami; jeden (p. Kozikowskiego) podaje wiadomości o poecie, a przedewszystkiem o Beskidzie jako o poetyckiem podłożu jego twórczości, drugi (p. Wolskiej) jest impresją osobistą, która może ułatwi nawiązanie kontaktu między poetą a czytelnikiem. Głównem zadaniem naszem jest podać czytelnikowi próby poezyi Zegadłowicza, które mówić będą same za siebie. W tym celu uprosiliśmy poetę o pozwolenie przedrukowania z utworów jego wyjątków, któreby mogły dać pewne wyobrażenie o całości (wybór został w zupełności nam pozostawiony). Oczywiście może to tylko dać przedsmak tego, co czytelnik znajdzie w dziele samem, pełnem i skończonem, — pragniemy jedynie wskazać ku niemu drogę.

Twórczość Zegadłowicza datuje się jeszcze od roku 1908, w którym wydał pierwsze swe poezje, jednakże kierunek obecny, drogę „poety beskidzkiego“, znalazł dopiero w r. 1921 w utworze p. t. „Dziewanny“, a dzieło kapitalne tego kierunku stanowią „Powsinogi Beskidzkie“, wydane w r. 1923 (wydanie drugie 1925 r.). Utwór ten zawiera sześć ballad: o druciarzu, o śklarzu, o sadowniku, o świątkarzu, o kamieniotłuku, o piecarzu; jako typ takiej ballady podamy poniżej w całości pierwszą z nich, balladę o druciarzu.

Niejako dalszy ciąg „Powsinogów“ stanowi „Wielka Nowina“, zawierająca ballady tego samego typu: o babce Góralczyczce, o zabawkarzu, o zabawkach dziecięcych, o dzieciątku stolarzowem, i dwie ballady o Okrucie, — a ostatnio „Gody pasterskie w Beskidzie“, zawierające dalszych sześć ballad, którego to zbiorku dopiero początek otrzymaliśmy przez uprzejmość poety w arkuszach korektowych [1]).

[1]) Ze zbiorku tego pierwsza ballada „O nawiedzeniu miłosnem“ ukazała się już była w książce p. t. „Czartak; zbór poetów w Beskidzie; poezje Janiny Brzostowskiej, Edwarda Kozikowskiego, Tadeusza Szantrocha, Emila Zegadłowicza“, 1925. Ze Zegadłowiczem trzej inni poeci Czartaka żadnego nie mają podobieństwa: Beskid w ich utworach nie ukazuje też rysów szczególnie charakterystycznych. Jest to raczej sym-

W zbiorku tym Beskid ma jeszcze pełne prawa, ale zaznacza się już pewne odchylenie od typu „Powsinogów“. Na pierwsze miejsce wysuwa się postać Chrystusa wędrującego po Beskidzie, a w związku z tem (boć trochę mu tam za ciasno) teren z konieczności rozszerza się i uniwersalizuje; pewna abstrakcyjna ideologja zajmuje po części miejsce konkretności epickiej i lirycznej bezpośredniości, — jędrność swoistego języka ustępuje niekiedy wpływom literackim (tak n. p. w rozmowie Chrystusa z żydówką w balladzie „O płonącej górze“.....). Ale przyszłego rozwoju Zegadłowicza przesądzać nie można; stoimy na razie przy „Powsinogach Beskidzkich“ i cieszymy się nimi.

Charakter naszego pisma uwalnia nas też od wchodzenia w te rysy twórczości i ideologji Zegadłowicza, które z Beskidami nie mają nic wspólnego.

Obok wspomnianych utworów, które ogólnie mianem pierwszego z nich „Powsinogami Beskidzkimi“ określićby można, wydał Zegadłowicz od roku przełomowego 1921 szereg innych, bądź dramatycznych, bądź lirycznych [1]); z tych podamy tylko ustęp z „Kantyczki Rosistej“ (1924).

---

# Beskid w poezyi Emila Zegadłowicza.

Jeśli komukolwiek zaświta ta myśl szczęśliwa poznania Beskidu, niechaj nie sięga po przewodnik, z którego można dowiedzieć się o wszystkiem, co dotyczy tej ziemi, ale z którego nie sposób poznać tę ziemię, poznać, to znaczy — pokochać.

Ziemia beskidzka posiada w sobie tyle odrębności i przyrodniczej i społecznej, że naiwnością wprost byłoby w suchem wyliczeniu informacyj szukać serca, które bije pod każdą niemal piędzią tej ziemi.

Aby poznać Beskid, trzeba podchwycić sercem rytm serca ziemi, w którym streszcza się cała historja: przeszłość i teraźniejszość. Historja ziemi jest jej poezją. Jest przypływem i odpływem tych fal, które są

---

pozjon grupy poetów skupiających się około Zegadłowicza w Beskidzie, aniżeli grupa, na którejby przyroda i lud beskidzki wycisnęły odrębne piętno. „Czartak“, to miejsce „zboru“; jest to dawna kaplica arjańska, dziś zamieniona na gospodę. Rysem wspólnym (z wyjątkiem Zegadłowicza) najbardziej rzucającym się w oczy jest szczególne upodobanie w t. zw. „rymach kulawych“, czyli zastępywanie pełnodźwięcznego rymu słowami o podobnem brzmieniu na końcu wiersza. Kozikowski i Brzostowska nie używają wogóle zakończeń innych. Poza tą manierą jednak bliższa analiza odkryje pewne wspólne rysy dodatnie, polegające na wyzwoleniu się z urbanizmu, zamiłowaniu przyrody, zdrowiu uczuć i pewnej prostocie i jasności stylu.

[1]) Podajemy tytuły utworów Zegadłowicza począwszy od r. 1921. — Dziewanny (1921). — U dnia, którego nie znam, stoję bram; poemat (1921). — Kolędziołki beskidzkie (1923). — Zielone Święta (1923). — Powsinogi beskidzkie (1923, wydanie 2 1925). — Ballada o Wowrze (1924). — Przyjdź Królestwo Twoje (1924). — Wielka Nowina (1924). — Noc św. Jana Ewangelisty; misterjum balladowe (1924). — Kantyczka Rosista; poemat (1924). — Nawiedzeni; misterjum balladowe (1925). — Lampka Oliwna; tragedja (1925). — Gody pasterskie w Beskidzie (1925). — Alcesta; tragedja (1925). (Skład główny w księgarni Krzyżanowskiego w Krakowie).

zawsze te same, a jednak jakby inne, bo aczkolwiek historja nieraz naśladuje samą siebie, to jednak człowiek jest zawsze inny i syn nie bywa podobny do ojca.

Historja ziemi w ujęciu poetyckiem niema nic wspólnego z tą treścią, którą upatrywać zwykliśmy pod pojęciem historji. Tego rytmu serca ziemi, który jest nienapisaną syntezą historji ziemi, nie szukajcie w najlepiej opracowanych przewodnikach po Beskidzie, bo tęsknocie Waszej nie stanie się zadość. Znajdziecie go natomiast w całej twórczości Emila Zegadłowicza, który na ziemi beskidzkiej ujrzał światło dzienne, wzrastał wśród tysięcy legend i opowieści, któremi karmiono jego wyobraźnię i po długich latach bratania się z każdym niemal pyłem przydrożnym, wyrósł na piewcę Beskidu. Nie wiem, czy w dziejach literatury polskiej znalazłbym drugiego pisarza, którego twórczość tak mocno i nierozdzielnie zrosła się z rodzinną ziemią, z jej przyrodą i ludźmi, z jej dolą i niedolą, z jej smutkami i radościami, jednem słowem — ze wszystkiem, co stanowi życie człowieka na ziemi.

Beskid w poezji Emila Zegadłowicza odgrywa rolę czołową, wysunięty na to stanowisko nie drogą jakiegoś kaprysu autorskiego, lecz wskutek normalnego skrzyżowania wyobraźni poetyckiej z ślepem wręcz przywiązaniem do ziemi, która poetę wydała. Ostatnie lata twórczości Zegadłowicza pod tym właśnie stoją znakiem i poeta może bez przesady powiedzieć o sobie, parafrazując znane powiedzenie Mickiewicza: Beskid — to moja poezja! Każdy mój wiersz — to Beskid!

Kto nie zna Beskidu, nigdy w tych górach nie bywał, a zaledwie może o nich zasłyszał, ten czytając poematy Zegadłowicza, pozna „najpiękniejszy spłacheć ziemi na świecie" z jej bezmiarem tajemnic, strzeżonych zazdrośnie przed okiem człowieka z równin przez samą przyrodę beskidzką".

Poeta nie odrazu wyrósł na piewcę tej ziemi. Przymusowa rozłąka, długi pobyt poza granicami Beskidu, obudziły w poecie tęsknotę, po której przyszło uświadomienie sobie tej prawdy tak prostej, a tak uczuciowo zawiłej, że niema piękniejszej ziemi nad Beskid, który jest rodzinną ziemią. Zaczęło się to w jednej [1]) z licznych ballad Zegadłowicza, w której poeta utwierdził się ostatecznie w swem przywiązaniu i miłości do rodzinnej ziemi.

Wśród obrazów, wynurzających się z powodzi wspomnień, dojrzał nagle „syn marnotrawny" wizję „drożyny polnej i przydrożnego krzyża, co tak boleśnie ręce rozpina nad światem w pytaniu beznadzieją zastygłej rozpaczy: kiedy stanie się człowiek człowiekowi bratem i bezinteresownie ran-

---

[1]) „Ballada o poczętych a nienarodzonych balladach", wydrukowana w „Dziewannach" 1921 r.

nego opatrzy i bez myśli zapłaty poda ramię w drodze i cierń czuć będzie tkwiący u bliźniego w nodze“ [1]). W tym wierszu streszcza się niejako cała Ewangelja religijno-społeczna Beskidu, której patronuje na wszystkich lipach przydrożnych nieśmiertelny Chrystus Frasobliwy. Ta ewangelja to może — najprostsza ze wszystkich ewangelij świata, bo polega na oddawaniu czci przed każdym świątkiem przydrożnym i w pozdrowieniu wędrującego człowieka. W tej ewangelji mieści się zarazem źródło solidarności etnicznej mieszkańców Beskidu, którzy uważają się za jedną zamkniętą rodzinę, żyjącą inaczej, odrębniej od reszty Polski. Ma to swoje uzasadnienie i w odrębności przyrody, która wychowując człowieka, przekazuje mu wszystkie indywidualności swoje.

Historja Beskidu jest najprostsza ze wszystkich historyj, bo jest historją czterech pór roku. Prześwietlona wizją poety, staje się legendą, której już nietrudno trafić do serca człowieczego.

Oddajmy głos poecie. On nam najlepiej o tej ziemi opowie.

„Ziemia beskidzka nie jest czarnoziemem, wcale nie; glin to rzadko przepuszczalny, uparty; po deszczach strugi i bajorki śmieją się błękitnie; roztopy powolne, choć słońce dogrzewa rzeźwo; w cieniach lasu w wybojach są wody nigdy nie wysychające; te są żółte i mętne, zamieszkują je żabki o podbrzuszach koloru skórki pomarańczowej; żabki te kumkają osobliwie. Lasy beskidzkie są urokliwe, pełne klechd, które obijają boki o pnie drzew; rankiem stukają w szorstkie pnie sosen, smreków i modrzewi jak dzięcioły; wrzawa się wtedy czyni znaczna: bowiem w gałęziach gnieździ się ptactwo przerozmaite; sójki wrzeszczą przeraźliwie; niemniej sroki; w leszczynach kryją się bajki; pod parasolami muchomorów ćwierkają krasnoludki; rozbijają tam stragany i zalecają szmaragdowe dywany mchów; dywany to puszyste, zacnie tkane, w kwietniu podszywają się lasy dzikim czosnkiem; wtedy jest bardzo zielono, maj jest cudowny; w czerwcu kwitną złotogłowy — kwiaty elizyjskie — asfodele; w tym miesiącu zakwita też paproć w Beskidzie — w noc świętojańską; w jesieni Beskid jest pełen omgły różowo - fioletowej, czas to wrzosów. Noce są bardzo tajemnicze, pełne niesamowitych poszumów, pojęków i pogłosów; tu i ówdzie słychać chlupotliwe przytupywanie tancerzy w zatopionych karczmach; nad rozrzuconemi wsiami przelatują lelki i sówki, płaczące jak dzieci, a nie daj Boże, jeśli się ktoś powiesi — wtedy jest zupełnie straszno; wiatr huczy i wyje jak opętany; djabli się żenią z wierzbami: na psa urok!!“ [2]).

---

[1]) „Dziewanny“ 1921 r. [2]) „Dziewanny“.

Wiemy już, jak wygląda ta ziemia wśród najpiękniejszych pór roku — od narodzin do zamierania kwiatów i traw i dlaczego tak łatwo otoczyć legendą każdy kawałek beskidzkiej ziemi, na którym pleni się życie.

Przez tęsknotę prowadzi droga najprostsza do miłości, w której poeta odnajduje siebie. „Wędrowałem po świecie — odnalazłem cię kwiecie. Pątnik — szedłem jak w zwidzie — tutaj kwitniesz w Beskidzie“. [1]).

A gdy tęsknota stała się rzeczywistością i po długich latach rozłąki osiadł wreszcie poeta na stałe w Beskidzie, rozpoczyna się okres zżywania braterskiego z każdą miedzą, z każdą wierzbą przydrożną i z każdym człowiekiem. Z tego przykładania serca jednostki do serca gromady, urodziła się mitologja chłopska, którą poeta zamknął w balladach o powsinogach beskidzkich.

Wychodząc z założenia, że „najlichsze źdźbło trawy może stanąć za skocznię na wysoki rzut — temci bardziej te powsinogi serdeczne, drutujące serca, śklące okna pod zachód i mróz, stróże sadów cienistych, ogrojców bożych, kamieniotłuki moszczące drogi gwiazdami spadającemi, wycinacze w lipinie Chrystusów frasobliwych, zduny pieców chlebowych, budowniczowie błogosławieni“ [2]). Z tej mitologji chłopskiej wyziera również ewangelja religijno-społeczna Beskidu, w której człowiek odgrywa rolę wysłannika bożego, bo „nieskończoność jest w nas — idących z wieczności w wieczność“ [3]).

Mieszkańców Beskidu podzielić można na osiadłych, żyjących z plonów ciężkiej do obróbki ziemi i na wędrujących od osiedla do osiedla, tak zwanych powsinogów, zajmujących się druciarstwem, szklarstwem, sadownictwem i tym podobnymi zawodami, niezwiązanymi ani miejscem, ani czasem. Taki powsinoga „chodzi przez wsie przepadłe, przez wsie zatracone, od babiej do zatoru, zno caluśką stronę, ziemi kawał — beskidziak — w Beskidzie się rodził, pisać, czytać nieświadom, do szkoły nie chodził“ [4]). Jedynie zimą nie widać nigdzie powsinogów. Znikają, jak niedźwiedzie zagrzebujące się w legowiskach pod śniegiem. Niech jeno słońce przygrzewać zacznie mocniej, zjawiają się, jak z pod ziemi wyrośli, pod progiem każdej chałupy i dworu, witani radośnie, bo krok w krok za nimi idzie oczekiwana wiosna. „Goś w dom, Bóg w dom — tak mówią — siadojcie druciorzu i wy kamieniotłuku, piecorzu i śklorzu, sadowniku, świątkorzu — siadojcie, prosimy — jageście wy juz przyśli — to ta koniec zimy“ [5]). Wskutek kapryś-

---

[1]) „Dziewanny“ — [2]) „Powsinogi beskidzkie“ wydanie pierwsze 1923 r., wydanie drugie 1925 r. — [3]) „Dziewanny“. — [4]) „Powsinogi beskidzkie“. — [5]) „Nawiedzeni“. Misterjum balladowe 1925 r.

ności pogody, która w Beskidzie nigdy nie jest stała, uprawa roli należy do najcięższych bodaj zajęć i dość często bywa, że — „dysc pozbiero, wiatr wykosi, wymłóci pan grad — hejzeino — pieknyładny — wesoły jest świat — jak ta zimą sól jest w chałpie — to ta jesce cud, bo bez soli — to markotno — jesce gorsy głód“ [1]). „Robis — robis — ciągły głód — nie ujedzies wtył ni wprzód — ciągiem haruj — cós mos za to?“ — [2]), „bo tu w górach jes najgorzy“ [3]): „kwarde grapy, skalne gronia pazurami dropoj, kop“ [4]).

Mimo tych ciężkich warunków życiowych, w których placek owsiany uchodzi za nieprzeciętny przysmak, mieszkańcy Beskidu odznaczają się naogół pogodą ducha, świadczącą o mocnem przywiązaniu do tej ziemi, z której plony są tak niepewne. „Ano dziej się wóla boska — jak znacone — to nie minie“ [5]).

Poza tymi „wolnymi zawodami“ dość rozpowszechnione jest w Beskidzie grzybobranie. Niejeden komornik żyje „ino z gzybobranio — bo i scegozby — jak — co — — na kumorze siedzioł to ta i jojka na tem przecie nie wysiedzioł — grontu nimioł nic — chodził na wyrobek: dziesięć palicy zgrubnych caluśki zarobek — i więc ino sie tak majem zzielała dąbrowa juz sie ta więcy w lesie niśli w chałpie chowa i szuko grzybów — trza rzec — istnie sie znoł na tem jakby był tyk podziomków wyrośniętym bratem“ [6]).

Poza gospodarstwami małorolnemi, innych gospodarstw w Beskidzie się nie spotyka. Dwudziestomorgowe gospodarstwo uchodzi za dość zamożne. „Cós by sie udać ni miały — gospodarstwo panieświęty dość ujdawe — krowy dwie, trzy mórg pola — panieświęty“ [7]).

Górale beskidzcy zżyci od dawien dawna z wolnością, do której przyzwyczaił ich wiatr, chodzący szczytami gór i bezmiarem nieba, są wrogo usposobieni — jak sięgnąć pamięcią — względem przymusowej służby wojskowej. „Ledwie zacnies świat poznawać juz do wojska musis stawać — juz cie bierą — muśtra — kroki — trzymają cie tele roki — jak w hareście — — padnij — — wstań — — rządzi tobą lada drań — z ciągłym pyskiem, z ciągłą drwiną matke wciąz ci wypomino jaz okropa — tfy — psiakrew, ino cłeka poli gniew — na ćwiceniach na maniebrach dostanies nieros po żebrach — no i to ze sie tak cni, tak łokropnie — za górami, za chmurami, za wiatrami — myślis ze nie dockos dni kie cie

[1]) „Wielka Nowina“ 1924 r. — [2]) „Nawiedzeni“. — [3]) Tamże. — [4]) „Nawiedzeni“ 1925 r. — [5]) Tamże. — [6]) „Wielka Nowina“ 1924 r. — [7]) „Nawiedzeni“ 1925 r.

puscą — jak z hareśtu" [1]). A potem — „furt podotki noś do kasy — kiebyś ino płacił furt" [2]).

Dzieci beskidzkie dzielą ciężką dolę ze starszymi, bo „ino się to od ziemi conieco podniesie, juz zaros chrust i ściołe zbierać musi w lesie. Potem borówki — tota przyjemniejse jesce — gorzej paś po jesieni, gdy tak siępią dysce" [3]).

Jeśli idzie o miejscowości, w których jakiś ślad historji świata pozostał, to przedewszystkiem należałoby wymienić Kwaczałę, gdzie „są smętorzyska, budowle nadwodne" [4]) i gdzie warto „w twarz spojrzeć prasłowiańskim grobom" [5]). Potem Czartak w Mucharzu, „ongi kaplica arjańska" [6]), budowana z kamienia w typie wybitnie romańskim. Z innych osobliwości: Kalwarja Zebrzydowska, w której „zwycojnie pietnostego sierpnia [7]) jest łodpust wielgi Wniebowstąpienia Marji", ściągający „luda kupa" z całej niemal Polski.

Oto — przyroda, oto — ludzie, oto — cały Beskid.

Na zakończenie oddajmy jeszcze raz głos poecie, niech powie nam o swej koncepcji poetyckiej Beskidu, o tej wizji przyszłego świata, który ogląda jakby przez szkła mikroskopu: w Beskidzie.

„Beskid z nieogarnionem pięknem przyrody, legend, odrębności etnicznej mieszkańców, ich realizmem i mistycyzmem (społecznym i religijnym) stał się krainą wybraną poezji — i czemś więcej jeszcze — symbolem wolności i wzniosłości — pojęć zatraconych i stłumionych eksperymentalizmem złudnym lub reakcjonizmem barbarzyńskim" [8]). Poeta boleje „nad całą anormalnością życia (współczesnego wszystkim epokom), jakie ludzkość z upartym trudem konstruuje — snać na — to jedynie — by zatracić w ponurych mrokach obłąkanych fantasmagorji resztki kontaktu duchowego z wszechświatem, oraz wszelki ślad radości, uśmiechu, upojenia, ekstazy, miłości i wiary".

„Najwyższą kreacją człowieczą współczesności" jest „utajony pod postaciami chleba powszedniego i wina świątecznego najpłomienniejszych tęsknot, wiecznie w sercach żyjący, w sercach tych krzyżowany bezprzerwnie, w sercach też ustawnie zmartwychpowstający: CHRYSTUS, który chwili każdej zjawić się może w postaci dotykalnej, potrzebnej dla Tomaszów, więc dla nas wszystkich — o ile jeno sprężenia wytężonych oczekiwań zetkną się w spięciu wybuchowym — wtedy — w tej godzinie

---

[1]) „Nawiedzeni" 1925 r. — [2]) Tamże. — [3]) „Wielka Nowina". — [4]) „Dziewanny". — [5]) Tamże. — [6]) „Noc świętego Jana Ewangelisty" 1924 r. — [7]) „Wielka Nowina". — [8]) „Powsinogi beskidzkie".

wiecznej wiosny w to odświętne kwieciste rano słowa zatracone w poniewierce i wypaczone potrzebami władz wszelakich staną się ciałem promieniejącem jak reflektor słoneczny — rozświetlą się też noce wszelkie, rozewrą się tajnie gnębiące, ziemia i wszechświat wypełnią się pełnią kojącą MIŁOŚCI".

*Edward Kozikowski.*

---

# Poeta beskidzki.

W Gorzeniu górnym siedzi i pisze. Bywał i w mieście — wiadomo — ale miał dość i poszedł w góry. Nie obejrzał się za dólskim światem, musiało mu tam być djablo duszno, zadługo i cudzo, bo usypał ze siebie, ile się dało, z toboła „masek, skradzionych dwudziestu wiekom", z walizki, pełnej miastowych pomyśleń i papierowych słów — natomiast gromadzić począł inne. Myśli bose i zaroszone po pas, słowa, jak borówki ścigłe, otchnięte modrością barwy, jaka o pogodzie jesiennej zawleka Beskidy, słowa, jak obłaskawione jeże, słowa jak ciepłe podpłomyki z odciskiem liścia na spodzie, skrzypiące pod zębami popiołem paleniska.

I sypać się jęły, rok po roku, szczyptami, książczyny chude, bibulaste, a na nich gryzmołki bogobojne, trochę jak na senniku, czy dziadowskiej kantyczce. Zaś wewnątrz sypkie zatrzęsienie liter, zapach trzykrólskiego kadzidła i macierzanki, woń daleka, jakby od Monte al Verno. Drukuje je IMCPan Franciszek Foltin w Wadowicach, z wielkiem poszanowaniem i staraniem.

Posłuchajmy przedmowy, z jaką przyprowadza nam poeta gór, swoich „Powsinogów Beskidzkich". W niej, i oni i on sam, pokażą się lepiej czytelnikowi, niż może do tego pomódz, przygodny, o nich wszystkich opowiadacz.

...„przyniosłem przygarść ziemi świętej, ziemi czystej z grapy Beskidu —

— a z nią, powsinóg licznych wyłaniające się twarze umęczone, oczy wybladłe, wypite słońcem, deszczem zmyte, suszone wiatrem —

— postacie sękate, żylaste, twarde i wichrowate jak te łyka drzewinowe na wietrznych szczytach rosnące —

— koślawe, graniate, pokręcone —

— kumotry świątkowe —

— osobliwe nad wyraz —

— ku wieczności zwrócone wyrastają mitem i klechdą niebywałą, — jakby pod dróg nawianą powłoką — drugie szlaki wiodły prawe, właściwe, pile, bezmiernie włóczęgie, a już łońskie, bardzo niedosie, o nie, — dalekie, okolne od rubieży słowackich, spiskich, orawskich, po oświęcimskie modrzejowe drogi, po zatorskie stawiska, po kętskie niedźwiedziny po odpusty kalwaryjskie zupełne — na wieki —

— z wądołu w górę — z wądołu w górę i tak ciągle — po skon, po skon zdruciarzony, zśklarzony, zświątkarzony —

— zwiduny góralsko szumne, dolinnie zadumane, nizinnie teszne —

— ostatni to dziś potomkowie baśniarzy, klechdziarzy, bajdałów — znajomkowie Henryka dobrego, Meluzyny, Genowefy świętej i krasnoludków, z któremi są spowinowaceni po ojcu lesie, po matce drodze —

— i coś więcej jeszcze —

— więcej, niż żywa legenda Beskidu: co tam za górami, z kogo dusza wyszła migotliwym płomykiem, a zaś panna miała syna z topielcem — i gdzie i że już ancykryst się narodził szkaradny aż okropa, i że jeszcze jeszcze królewic się swędro po wsiowej chudobie i dukaty cyrwone bidocie rozdaje jak ten zbójnik co do zebrzydowic conoc z pod tatrów do kamratki chodzoł — — no i Chrystus idzie naprzeciw ancykrysta z wielgą hurmą uśpienioków babiogórskich — bedzie koniec świata, bo sie płanetniki mieszają między gromade jak oto na jarmaku w Suchy kie Kupciok konia karego sprzedawoł to uny przysły i zapłaciły przez targu pieknie ładnie — a jak kcioł w karcmie urysiowej kwaterke okowity zapłacić to mioł zaprzeproseniem końskie łajno w portkach —

— no tak —

(żywotna mitologja chłopska; i te świątki też)

— lecz że najlichsze źdźbło trawy może stanąć za skocznię na wysoki rzut — temci bardziej te powsinogi serdeczne, drutujące serca, śklące okna pod zachód i mróz, stróże sadów cienistych, ogrojców bożych, kamieniotłuki moszczące drogi gwiazdami spadającemi, wycinacze w lipinie Chrystusów frasobliwych, zduny pieców chlebowych budowniczowie błogosławieni —

— oto idą korowodem poszóstnym po najdalszym wrębie widnokręgu w rozemgle słonecznej, w rozświacie pełnianej — podzwaniający wieńcami drutów, zbyrkający lustrami śklanych tafli, toczących beczki nieheblone, połupujący młotami o kamieńska, w złotym oplocie linek, kobiałek, kozików, pjonów, obcęg, pilników, całym tym sprzętem ladajakim, a tak wymownym, tak przekonywującym —

— mijają ziemię wytrwałe chodziki kierpcowe —

— naprzełaj poprzez chmury — ku mlecznym drogom — ku gwiazdom —

— na nowe konstelacje —

— przeszli — “...

Dziś — w dobie wierszy kamienicznych, doskonałych, iskrzących i zimnych, jak biżuterja, są te zeszyty wadowickie czemś przedziwnie błogiem i niespodziewanem. Po za eterycznym olejkiem poezji, wzrusza w nich bowiem i raduje coś, jakby skwapliwy, pełen skruchy, nawrót do domu. I w tem, naprawdę, jak ręczy sam autor, „niema nic z piśmiennictwa“, nic z bazarowej hurtowni miejskiej. Niema w tem śladu obczyzny. Jest zgrzebne, razowe, rodzone. Połapane wprawdzie w linijki na marginesach, słania się to jednak we własnem jakiemś poufnem istnieniu, nie wymyślonem, ale jak gdyby dzianem, i zdaje się, że strumień tego wiersza szumieć musi i przed tytułem i po słowie ostatniem, jak żywy.

Nazywają się te książczyny rozmaicie: „Przyjdź królestwo Twoje“, „Kolędziołki Beskidzkie“, „Zielone Święta“, „Kantyczka rosista“, „Wielka Nowina“, — ale, poza paroma wyjątkami, w których gdzieniegdzie przypomni się tamten dólski świat i trochę zacudaczy nieswojo, — jest w nich wszystkich ten sam akt strzelisty ku Bogu, jeden pokłon aż do ziemi, przed nią właśnie, tą wybraną i wszystkim tchem uwielbioną, świętą grapą Beskidu... Z niej-to pozierają miłujące oczy człowiecze w dół ku dziedzinom, czy w zwyż ku Temu, z którym wsłuchana w „gwiazd pobrzęki“, dusza poety rozmawia sam na sam. Tu ona, opowiada sama sobie, jako „niema bolu krom niemocy sprostania radości“, tu, na rosistej kantyczce rozśpiewana, spowiada się z cudowną pokorą starej wierzbie, tu, świadomość nieistnienia śmierci zakwita dla niej „doskonałym uśmiechem“, — tej śmierci, której niema „poza jej tańcem na skrzydłach drzwi starych i tryptyków ołtarzowych“... Stąd, z tego wyżu, podpatruje i podsłuchuje w białe zimowe noce „wymarzki świątkowe na nutę ulinień zapodzianych, skrzypiących kół wozowych i suchego wysmugu sani“...

Tu wreszcie, miłością serca zwołane, jawią się kozikowe struganki „Powsinogów Beskidzkich“, szereg drewnianych posążków, w których żywe, czerwone serca biją, ubożuchnych a czarujących, — z których coniektóre pokazaćby się tu chciało czytelnikom!)... Te posążki, — śmiem powiedzieć odważnie — choć się ich snycerz słusznie „piśmiennictwa“ odrzeka, choć w niektórych Kolędziołkach zwłaszcza, — (użyję tu własnych słów jego), — sens mu się „złamał jak dyszel przed wozem ze strachu“, —

te posążki w literaturze polskiej, — p o l s k i e j, podkreślam, — zostaną i żyć będą. Wiekuistość pracy, nędzy i żmudy człowieczej, które same o sobie niewiedzą, kładzie na te figurynki bezśmiertne, jakby poświatę otwartego nieba. Są ludowo - jarmarczne i gotycko - kościelne zarazem. Doskonałe jako sztuka i, jako prawda, mistrzowsko rzeczywiste. Niebywałe wprost, jako odczucie. Objął je bowiem Zegadłowicz tem samem umiłowaniem, jakiem kocha swoje góry, przyniósł nam je w ręku ostrożnie, nabożnie, i, na tle szczytów błękitnych jak kielich gencjany, ustawił wzdłuż siwego postawu drogi, te „koślawe, graniate, pokręcone kumotry świątkowe“... I stanęli przed nami, wrośli w swój Beskid na zawsze: druciarz, śklarz, sadownik, kamieniotłuk - biedaczyna, babka Góralczycka, mocny Okruta i „stolarzowe dzieciątko“.

W dolinach by się tacy nie ulęgli. To pewne.

Beskid nie zacieśnił wielkiego talentu swego poety. Po dramacie, jak, malowana niby zbójnicki obrazek na szkle, „Lampka oliwna“, po „Nawiedzonych“ i „Głazie granicznym“. napisał Zegadłowicz „Alcestę“, dzieło, pełne wielkich i silnych wartości, w którem, po linji greckiego antyku, poszła znów twórcza myśl polskiej poezji, na starych ścieżkach poszukać piękności nowych.

Świadomie zupełnie omijam tu głęboko osobistą, odrębną ideologję poety, jego mistykę i wierzenia, czyniące z Beskidu jakowąś Ziemię Świętą, dla cudu objawień przyszłych wybraną. Program „Wierchów“ i rama dla słów niniejszych zakreślona, niepozwalają na dokładniejsze wykończenie wizerunku; uczyni to niechybnie ktoś bardziej powołany od przygodnego, starszego kolegi - zachwytnika, który wolał się młodszym przedewszystkiem — ucieszyć.

*Maryla Wolska.*

# Wiązanka poezyj Emila Zegadłowicza.

*(Ustępy podane kursywą pochodzą od Redakcji)*

## BALLADA

### O POWSINODZE BESKIDZKIM DRUCIARZU KUTERNODZE, O DUSZKACH GARCZYCH I LIPOWEM KWIECIU.

*(„Powsinogi beskidzkie").*

*(Przedmowa autora.)*

w wielgim mieście wtedyk był — — siedziołem na urzędzie — od pudziewiątej do pudocwortej — ino pis jakiesik donicego, ino słuchoj co ci nazbyrcy telefon — ino patrz co ka powiedzieć komu do rzecy, zeby z tego nic nie wiedzioł — obmierzło mi to, kościom w gordle stoło — anik ta juz potem tyk godzin nie pilnowoł — ale to i tak nic z tego nie było —;— kiesik wiecorem siedziołek w moji izdebce, co to w nij łokno na murek akurat wychodziło — a jageś kcioł nieba kapke ujrzyć, toś sie musioł dobrze wychybnonć a głowe zadrzyć toś ta cosik zabrzydzonego uźrocył jak przez komin — to mo być niebo? — bodaj to! — a przed tobą mur ino łbem o niego tłuc — a pod tobą sześpiętrowo studnia, a na dnie jej drzewko jak patycek; liście popielate na palcakbyś porachowoł — jesceby ci zbyło — ogród niby — rozumis — ? — ogród ! — siedze tak przemęcony i medytuje co i jak — pióra do ręki nie biere — naco? — cytać mi sie niekce — no źle — luto jaz okropa — cuje ze mi sie wargi trzęsą i cosik mokro pod powieką — no źle i jus — — tak mi wszyśko obmierzło — po szyjek mioł tyj uganiacki głupij, tego przelewanio z pustego w próżne, tej mitręgi wnątrznej — — jo co inkse kcioł — jo co inkse widzioł — jo co inkse cuł — ; — i wroz jak tak siedze w tyj tesznej medytacyi — zdało mi sie — nie zdało — ! — alek usłysoł tak wyraziście jak wos tu widze — jak tam kasik zpoza tyk domów tyj kupy dachów kamienicnych lecioł ku mnie zdaleka ten głos wołający: gorki drutować — — słuchom — a tu zaś: gorki drutować — i tak do trzeciego razu — ; — wstołek jak pijany, jazek sie stołu chycić musioł — tak mie zmogło — zmokrzołek jak mys z tego wielgiego strachu — ; — bo to niby nic — bo cós ta — druciorz? — a to ziemia moja mnie tak woło — a to góry mi tak nogle zasumiały — a to niebo mi się tak zaśkliło nad za-

krętem rzyki — a to sie noc tak roziskrzyła nademną a kozdo gwiozda — śmiech powiedzieć — wołała: gorki drutować — — Jezu co jo tu robie — ? — co wy odemnie kcecie — ? — ! — juz jo wiem ka są istne drógi któremi Bóg chodzo — juz jo wiem co jest światłoś uzdrawiająco — juz jo wiem ka moje mieśce — ! — tam ka miedze wydreptane stopami kierpcowemi, tam ka mądroś ostatnio jako ino jes na ziemi rośnie w kozdej trowie co sie pod wiatrem kwieje — — bo zebyś wszyśkie książki świata znoł — wszyśką nauke pojon — jakis z tego mos zysk, gdy nie zaznos miłości — gdy jej som nie poznos — gdy jej dać nie potrefis — ? — to jes ostatnio mądroś świata — innyj nima — ! — spol książki które inacy mówią — nie wierz kto ci bedzie ucenie godoł ze jest inacy — to nieprowda!! — — tego wiecora prasnyłek wszyśkim — anik sie obejrzoł za siebie — nik mie nigdy w mieście nie widzioł — ; a wszyśkiemu tyś winien bracie mój — druciorzu — — ej nie winien — inok cie przeznoł w tyj kwili jak nigdy — inok posed do ciebie w nauke do terminu a jakiego ucnia mos to mos ale to wiedz ze cie kocho i bratem ci jest i ostanie na wieki wieków amen.

*Ballada*

— zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoło świata —

— zieleni się lipa
szumi pszczelna praca —
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —

— zieleni się lipa
latosią potrzebą —
korzeniem wrosła w ziemię
a koroną w niebo —

— przyseł haw
ze śpiża z oraw —
wędrujący za grosiwem
za żywiołem, przyodziewem
sobkiem społem

jak ta trafi
po gromadzie i parafi
druciarz:
— — gorki druuutować —
— — blaaaszane naprawiać —
garki, dzbanki, miski, kotły
co tam z kątów zmiotą miotły —
szczerby, trzópki, brzucha, ucha —
szyje, denka i pokrywy —
cały sprzęt po nocy żywy —
— kto nie wierzy — niechaj słucha —
......gdy północka zbudzi dziwy —
rada w radę rży gromada —
gada, bada, opowiada —
wraz się z półek, z nalep skrada
i beznogą sunie drogą
dudni, brzęczy, dźwięczy, chrzęści
coraz żwawiej, chutniej, gęściej — —
— na kuchennem na klepisku
kręcą się i tańczą w ścisku —
podskakują, dęba stają
całują się, obłapiają —
garki, dzbanki, miski, kotły
co tam z kątów zmiotą miotły —
szyje, trzópki, brzucha, ucha —
uha — uha —
garnek w garnek wali z ucha —
dudni, dźwięczy, gwarzy, dudni
raz na studni, raz z pod studni —
coraz warciej, coraz ludniej
garczej, dzbanniej, kotlej, brzuszej —
aż koguta głos zagłuszy
i hałastra znów na półki
gromadzi się, podskakuje —
kaszle, chrypi, pobrzękuje —
z pod niecułki
patrzy martwo —
jakby nigdy nic — —
jeno żywsze wzbrzuszeń szkliwo

zdradza ono nocne dziwo — —
— — jeno lipa płatki pruszy
na sen-marę garczej duszy
— gorki druuutować —
— blaaaszane naprawiać —
pobić, sklepać, pomajstrować,
podrutować, zreperować,
dziury blachą ponadstawiać — —
— niema garków —
— Panbóg prować —
— coś mamroce, klnie i biada —
— idź druciarzu do sąsiada —
— zebrali z pod okapu
zebrali z polepy
łapu capu
garki i czerepy —
—
poustawiał toto w koło
czoło utar łatną połą —
wieńce drutów wyjon z torby,
szczypce, cęgi, młotki, korby,
drut prostuje, kręci, zmierza,
wkoło brzucha wcwał obieża,
supli, węźli, naklepuje —
majster walny — haj — drutuje,
garkiem zwinnie obertuje,
snuje, kuje, przydreptuje —
jak do tańca, jak do tańca —
ode denka aż do krańca —
snuje, kuje, przydreptuje,
przymlaskuje, przymrużuje
tą zdrową powieką — —
— będzie — będzie gar na mleko
na mleko
na ziemniaki, kapuste
na rosoły na tłuste —
a już się widziało
— jak go stłukły dzieci —
że trzeba nim już smyrgnąć

na oborę w śmieci —
aż tu przyseł ozdrowieniec
wyjon z torby drutu wieniec —
pomajstrowoł, odrutowoł,
w kwadre pieknie sprzymierzowoł
ucho zgrabnie przylutowoł
majster - klepka — majster boski
umniejszył nom dzisiok troski —
nie było do czego doić
i wieczerzy w czem nastroić —
odjon przekleństw sto i kar
grzech odchybnął precz od duszy
chłop nie psiekrwi nie psiojuszy
bo już jest na mleko gar
zdrutowany jak sie patrzy —
—
druciorz takici odmieniec —
skończył — zwieńczył drutu wieniec —
złożył nabożnie do torby
świdry, młotki, cęgi, korby — —
— — zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoło świata —
—
coś sie tam śnim targowali —
wreszcie przystoł — grosze wzion
kubek mleka, chleba glon —
— poszed dalej — —
— — zieleni się lipa
szumi pszczelna praca —
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —
—
— — gorki druuutować —
— — blaaaszane naprawiać —
—
przyjdźże boży druciarzu
przyjdź raz jeden do mnie —

coś ci mom na wyzdrade
potrza cie ogromnie —
— lankur mi leg na wnątrzu
po kucy sie wierce
drutujesz bracie garki
podrutuj mi serce — —
                                        — — lipa kwiatem wgłos się śmieje
                                        na miłoście na nadzieje —
— zanim druciarz przyszed na zwołania
obszed kuśdykując trzy stajania —
swoim zwykiem — duchowym porządkiem
przylgnął kapke pod lipą pod świątkiem —
ej nie kapke — — bo umar dziadyga —
któzta wie moiściewy kto jest pierwszy z brzyga —
—
odszed druciarz - kuternoga
trzópek cielska ostawując
zgarbionego, kulawego,
wychudłego, zgarczonego —
—
odszed druciarz - kuternoga — —
                                                  — — zieleni się lipa
                                                  latosią potrzebą —
                                                  korzeniem wrosła w ziemię
                                                  a koroną w niebo —
—
za piecem u Panaboga
— tam — majstruje — naklepuje —
reperuje i drutuje
        i drutuje
słonecznemi promieniami
w kwadre pieknie przymierzuje
łaty ćwieczy wkrąg gwiazdami —
świątkom garki wciąż drutuje —
powsinoga beskidzki kamratowy gość
ma słonecznych drutów, gwiezdnych ćwieków dość —
—
święci garnków nie lepią — —
                                                  — — jeno lipa płatki pruszy
                                                  na sen - marę garczej duszy —

---

# FRAGMENT Z BALLADY O SADOWNIKU.

*(„Powsinogi beskidzkie").*

*[Sadownik mówi]:*

— „Sadownictwo rzecz święta:

— jak Ponbóg świat stworzył
pierse se na ucieche
ogródek założył
    — ano gatonki fajne
    — haj poro scęśliwa —
    chodził se adam z ewą
    oględować dziwa —
— każde drzewo złociste
srebrzyste wieczyste
rodzi straśne jagody
słodziste soczyste
    Ponbóg se ino bacy
    tu dyscem poleje
    tam pieronem przeorze
    zaś ziorka posieje
a uśmiecho sie przytem
przykurzuje pyko
— już ta sie nieoducy
kto z młodu nawyko —
    a mioł ta jednom jabłoń
    okropnie rozległą
    lubioł jom, więc ją bezma
    sto janiołów strzegło —
lecz ka ta — nie ustrzegli —
zwiedziała sie ewa
i smak jom wzion spróbować
jabka z tego drzewa —
    Zakradła sie kryjomko
    jakoś od wiecora
    — janioły sie zdrzymnyły —
    a ona do wora

Zacyno zbierać 'jabka
drzyć z liśćmi z przycepką
— kciała mieć jaknowięcy
zwijała się krzepko —
ledwie sie nie podźwigła —
— a potem juz wiecie —
śmierzć z tego posła cięzko
niescęście po świecie —
Ponbóg zeźlił sie straśnie
sklon ich zmiesoł z błotem —
(— bo to i adam zar z nią —)
— wygnoł za płot potem
a na odchodne pedzioł
jesce do adama
pier ewe kie do sadu
bedzie chodzić sama"

Uśmioli sie ta wszyścy takici wymowny
ten sadownik serdecny a tyla śpasowny
—
ino sie wiesna pocznie — kwitną sady w koło
— ten roz drugi w beskidzie wesoło i bioło
(— piersy roz bywo w zimie gdy sie zwolą śniegi
pod drożynki zajęcze lisowe wybiegi —)
— już tam te kwiotki liczą cieszą się przykwolą
lecz cóż ta — zaś przymrozki chudobie przypolą
— lecą płatki — kwiat marźnie — nieobrodzi — — Boże
któż ta owocowanie dziś przewidzieć może —
—
maj... czerwiec... — już sie przywlók — zakupuje sady
beskid zdrepto na umór a robi układy —
...sady... sady... sady.....
z synami z babą z swokiem z wszelijakim bratem
sprzęgnie sie i ześniuchto jak kamrat z kamratem —
i budują wieś nową — z każdej wsi dwie robią —
tak się do wartowania przemyślnie sposobią —
i budują wieś drugą ci budowniczowie
w sad się nieco tak drzewiąc w duchowej połowie
— w każdej wsi rosną budki pod starą jabłonią

na której sie nopirwi jagody zapłonią —
— w każdej wsi pomnożonej bliźniaczą połową
sadownik ładzi sprzęty ze sadownikową —
wartuje śpi spoziero po wierchach w gałęzie
zbiero zielne padonki jak sie ka ulęzie —
sprzęt wszelaki potrzebny: kulki przycięgace
drabiny i kobiałki potrzebne do prace
i cejnieco inkszego swoje a niczyje
przysposobił — tak każdy patrzy z czego żyje —
cementówki ćwiartówki beczki nieheblone
pójdą drogą koleją na wszelaką stronę
ku węgrom ku śląskowi krakowu warszawie
— tyle sie tego zdało — zaś wydoli prawie —
—
jabłoni się i gruszy śliwi serce sadu
wpatrzone w źrałość swoję — w przedzgonie opadu —
moreli się brzoskwini malinowe chruście
na tem dojrzenia soków stubarwnym odpuście —
bezpieczy się opłocie orzeszy leszczyni —
— gwiazdy się przypatrują malinowej skrzyni —
—
— nocka zmierza pod drzewa — zalazła do budki
na spoczynek malutki na tapczanik krótki — —
...cicho... szumi listowie... rozmowne gałązki
ślą półszepty beskidem ku granicy śląskiej...
...przygwarzają... znów... cicho... straśno tak i ciemno
noc jest tako wielgaśno i tako pojemno —
cicho... ciap... jabko spadło... gałązki trzepocą —
gacek i lelek lecą w pogoni za nocą
...cicho... szum... las i rzeka... tu cienie... tam cienie...
cosik sie zaś łopoce... wieczne odpocznienie...
...aniołpański... westchnienie... śpisz... słuchaj... słuchają...
noc sie walnie przypiero ku śliwkowym gajom —
drzewa w nocy noc w drzewach kole siebie stają —
— idą rzędem — wraz idą — ku błędnym rozstajom — —
baba krzyżyk miętosi przebiero palcami —
wszystko śpi, psi posnęli — ci wartują sami —
— staje ziemia... ssyt... cicho... straśnie tak i ciemno
noc jest tako wielgaśno i tako pojemno —

...cicho... ciap... jabko spadło pomiędzy habazie
— aże ich ciarki przeszły w tym samotnym razie —
—
wreszcie świta —
—
już się niebo kwiatuli różowo i złoto
tysiącami wstęg żniwnych umajone złoto
nakrapiane zielenią dożynkami wonne
nad bezkreśną bezdenią jak Bóg tak ogromne —
— przywarli sadownicy nakształt tych jabłoni
przyklękłych, podmulonych — — a skowronek dzwoni —
wieś wyspana w mgły spadłej modrocie hań śpiewa —
— modlą się sadownicy owoce i drzewa
i ta rzeczna opowieść w dziewannę skwiecona
i ta bławatna cisza rankiem zsłoneczniona
za wiklami za rzeką w iłowcowym borze —
kiedy ranne — kiedy ranne — wstają zorze
—
słońce!
—
— jabłka słoneczne jabłka z raju się wywodzą
— jabłka rumiane jabłka rajskie sny przywodzą
pod okno wpółotwarte to okno samotne
bezcelowe niczyje okno bezrobotne —
okno patrzące w północ w zmierzch krwawy w świt blady
poskróś popod i ponad te beskidzkie sady —
to okno wartownicze niczyje i moje
czyste wonne i śpiewne jak wiośniane zdroje
jak wiośniane kwitnienie nad drogą daleką
zapłodnione pszczołami pachnące pasieką —
—
— grusze wpodłuż się wężą jak wspomniany zapach —
w snach schodzą się do izby na kogucich łapach —
—
nie mój sad i nie moje rumiane owoce —
lecz moje świty wszelkie i moje północe —
— u mnie oset w kamieńcu dwa mendle pokrzywy
jeden jest gaj jabłeczny lecz stary i krzywy
nie rodzi i nie rośnie ino się stuleci

i marzy o tej wiośnie w której się zakwieci —
— marz sobie ile wlezie — toć rzekę z pewnika
nie potrza mi mój bracie pana sadownika
i tak z ciebie dziadygo nic zbierał nie będę
— ino się śniegiem bielisz pod śniącą kolędę
ino skrzy w twych koślakach jak gwiaździsta tęcza
zasadzka na biedronki wiotka nić pajęcza
ino się u twej wierchli zorzy i djamenci
rosa niespita słońcem w rozwidleniu pręci —
— ano nic — niechże będzie — wszystko to jest jedno —
co się pożytkiem stanie i tak to niewiedno —

---

## FRAGMENT Z BALLADY O BABCE GÓRALCZYCZCE.

*(„Wielka Nowina").*

dzieci moje beskidzkie
bledziutkie chudziutkie —
jus tes ta kwile scęsne
niedługie — ba — krótkie
—
ino sie to od ziemi
conieco podniesie
jus zaros chrust i ściołe
zbierać musi w lesie
—
potem borówki — tota
przyjemniejse jesce —
gorzej paś po jesieni
gdy tak siępią dysce
—
gdy tak saro okropnie
tak smutno tak straśnie —
kiedy ogienek tępy,
nim zatli juz zgaśnie
—
krowy skubią niemrawie
ścierń rzodką kolącą —

jedne z tą sarą dolą
dziecięcą — juz drzącą
—
łociec i matka zmarzli
kopią hań zimnioki —
a gmła za nimi idzie
w te zbolałe kroki
—
dzieciska moje płowe
z ocami bławatów —
wpatrzone w tajemnice
niewidzianych światów
—
same jak tajemnica
najświętsza najcichsza —
szare ziarno rozsiane
w świat z bożego spichrza
—
dzieciska moje brudne
zapaprane chude
ze stopkami skwardłymi
na rędzinną grude
—
dzieciska ukochane
— jak kwiaty tak boże —
— — tak mi żal że to dla was
pieśni nie ułoże
—
tak prostej jak dni wasze
od chałpy do stajni —
kwiecistej jak ta lipa
co wam okna majni
—
— tak szczerej jak przyśpiewka
beskidzkiej chudoby —
opiewająca dolę
na wszystkie sposoby
—

dzieciska moje święte
zaranną robotą —
— żyję — zwierzam się kornie
serdeczną tęsknotą
—
że kiedyś — kiedyś — kiedyś —
jaki grajek ślepy —
przyjdzie ku wam
usiędzie hań kole nalepy
—
przychrypłym głosem
bajkę moją wam wyśpiewa —
ano taką — jakgdyby
z dyli wzrosły drzewa —
—
jakby złoci ptoskowie
zaćwierkali pod niebem —
nakarmieni przez Panne
manną miodem i chlebem —
—
wraz sie dola odmieni —
jadła tyle — mój Boże —
każde bierze co zekce
roz sie najeś tak może —
—
a już słonko przez szyby
złote pyły przesiewa —
skrzy się w waszych płowinach
złocistości ulewa —
—
śrybrzą się te kołtunki
nieczesane leniate —
bławacą się fartuchy
jarmarkowe kwiaciate —
—
a tu bajka wciąż mówi —
mówi — śpiewa donośnie —

a drzewo już zakwitło
ano rośnie a rośnie
—
hań ku niebu — — a z nieba
nadlatują anieli —
w sukienczynach ze zorzy
w koszulinach z rozbieli —
—
nadlatują — na ziemie
zeskakują wianem —
rozsuwają skrzydłami
wybutwiałą ściane —
—
....izba — łąka — wielgaśno:
a na tej łące — a na tej łące
białe owieczki dzwonią pasące —
dzwonią i dzwonią
— ave — ave
: poćcie dzieciątka
poćcie dzieciątka
śnami na zabawe:
—
aniołki was biorą
za malutkie ręce —
— a już utworzyły
świetlane obręce —
—
ze śmiechem z radością
tończycie dokoła —
dokoła wroz tońcom:
wsie góry i sioła —
—
i rzeka zataca
rozsemrane koło —
hejzeha — radośnie —
— woniato wesoło —
—

a bajka z grajkowych
warg zeszła i tońcy —
tu i tam najmłodsze
popieści poniońcy —
— ave — ave — zdrowaś pogodo—
—
dzieci moje beskidzkie
bledziutkie chudziutkie
jus tes ta kwile scęsne
niedługie — ba — krótkie —
—
— ave —
— — —

---

## FRAGMENTY BALLADY O NAWIEDZENIU MIŁOSNEM W OWO RANO SŁONECZNE ZEJŚCIA SYNA CZŁOWIECZEGO.

*(„Gody pasterskie w Beskidzie").*

*[a. — Chrystus idzie Beskidem z gromadką powsinogów beskidzkich, apostołów, zmierzając ku wsi do chaty Matczynej.*

*b. — Wieś beskidzka, gdzie mieszka Matka Chrystusowa].*

*a)* beskidzki lesie Boga wydeptany krokiem,
pełen pieśni widzialnych i sercem i okiem,
melodyjnych kolorów rozśpiewany wonią,
rozsiadły nad wiecznością, jak nad jezior tonią —
— beskidzki lesie górą ku gwiazdom woniący
dołem człowieczą dolę snem ochraniający,
snem o tem, że jest dobrze: gdzie mech za posłanie,
a w przychylni gałęźnej wielkie miłowanie
rodzi się: miłowanie wszystkich,
: miłowanie wszystkiego —
— beskidzki lesie — w drzewach twoich serce dzwoni,
— beskidzki lesie — głusz twa przed rozpaczą chroni,
— beskidzki lesie — święty przed sobą i Bogiem,
— beskidzki lesie — tyś jest ku wieczności progiem —
—

Zeszedł Chrystus upłazkiem ze swoją gromadką
i rzecze: — trza się najpierw iść zobaczyć z Matką —
ka sie wom zdarzy myśleć o ziemskiej świętości,
pierso rzec wnieście serce ku onej miłości
matcynego kochanio — bo ta i na świecie
niewiela tego dobra — sami o tem wiecie —
a nowiękse bezmała po widzeniu Boga
jest — przyść z dali i usionść wedle matki proga —
na kolanach sklękanych złozyć cięską głowe
i wsłuchać sie w te wielgą niemówioną mowe
— co idzie od zapachu ziemi, ziół i kwiatów,
nasycono jasnością — tak bliskich zaświatów —
— co idzie od obory i od oziminy
potrąco okiem dziecka — jak dziecko bez winy —
— co idzie od tej strzechy dymem przysmolonej
i upodo w łzie nagłej, niespodzionej, słonej —
— co idzie od pól, lasu — tam — od widnokręgu
bosiato, cichostopno — — az w nogłym zeprzęgu
zsiostrzy sie z mową dłoni, co sie tak po tworzy
trzęsące pomykają — az — — : juz nigdy gorzy
nie bedzie — ! — juz wies święcie — — : ino lepi, lepi —
bo cie ta pieś dłoniato na zycie wykrzepi —

*b)* W kępach drzew bezlisciastych w zieli przyubogiej
po obu stronach niebem wymodrzonej drogi
blescyła sie wieś w słońcu białemi ścianami
i śkliła wymytemi szybami oknami —
— ka ta — fuksja cyrwono, cyrwieńso begonjo
bez śkło cyste zapachem przywidzianym wonio —
— ka ta — firanki małe jak sieć pajęczyny
mówią o zabiegłości krzątliwej dziewczyny —
— ka ta — pląto sie wszyśko kole swej chudoby
medytując co, gdzie, jak — na różne sposoby —
— poniektóra wzdłuż płota wedle małej łąki
rozciągo od jabłoni do śliwy postronki —
wieso pranie w widoku przybliskiej niedzieli —
niek se sknie na wiaterku, niek sie słońcem bieli —
— ka ta — po zimie dymnej szofy i komody
wynosują i myją na świeże urody

ługiem, sodą i wrzątkiem, ryżowemi szczotki —
tu i tam postukują sprawiające młotki —
— pierzyny i poduszki wietrzą się pod strzechą
napchane i pierzate — gospodyń pociechą —
są i dumą —
— na płotach cebrzyki i garce,
putnie i sprzęty drzewne zdatne w gospodarce
bielą się i czerwienią denkiem i polewą —
— tu i tam cień ruchliwy rzuca na nie drzewo
wszelakie: śliwa, kasztan, lipa, orzech włoski — —
— pod dachem na drabinkach ocipki i trzoski
suszą się zgodnie — czasem oczom się nawinie
bury nawiąz badyli w złotej grochowinie —
— strzechy wszystkie słomiane — mchów kępki zielone
mają je i blaszanią pod słoneczną stronę —
— kole chałup w ogródkach ka sie ino nada
w opłociu chabaziowym włosi sie rozsada
kapuściana, nakryta, by nie psuły ptaki
nie mierzwiły gołębie — przy kapuście kwaki,
a pod płotem wonieje ziół nieco w przycieniu
sposobnych przy chorobach i krów ocieleniu:
piołun się w bożym drzewku, ruta w ślazie piące
przyschnięte zeszłolistne lecz już wieśniejące —
— kury kuse, czubate kręcą się — na przedzie
kogut krasy powoli a w pole je wiedzie —
płoni się grzebień krwawy jak sztandar cechowy
z dwoma stułami płatów wiszących u głowy —
a jakoby buńczukiem piórami ogona
wskazuje która w pokarm najplenniejsza strona —
i tak wiedzie procesję gdaczą gadatliwą
drogą spłókaną deszczem modratą i siwą —
kwaczą kaczki, gęgają gęsi a gęsiory
syczą węsząc nieprzyjaźń w obrębie obory —
psy warują przy budach w półsennem uśpieniu
śnią bezdrożne swobody w chałp więżącym cieniu —
— a tam dalej na polach skrzypią lśniące pługi
orzące skład wystały wąski ale długi —
kładą się skiby tłuste jak karki wołowe
te od śródka na lewą te w prawą połowę —

— a tam na bronowiźnie bezpyrznej i miałkiej
idzie siejbiarz — razporaz z czerwonej kobiałki
nabiera ziarn i rzuca miarowy, ostrożny —
złoci się deszcz ziarnisty jego dłoni zbożnej —
— za pługiem popielate jak popiół i sadze
kroczą wrony i kawki w uważnej powadze —
dziś pomocnie przychylne niezłowróżbne znaki
zbierają pod grudami glisty i pędraki —
— nad siejącym gołębi srebrzy się gromada
to wlatuje ku górze, to jak śnieg opada —
— konie, chomonta, pługi, brony, skiby, ludzie
śpiewają pieśń o Pracy zwycięskiej i trudzie —
niezmienną jak pokoleń odrodzenie wieczne
wiarą jakiegoś celu uparte, bezpieczne —
— — jak dzwon — ziemię: swe serce miłujące, drżące —
nakrywa wieś firmament płomienny jak słońce,
co jeno jest ogniskiem — iskrą w tej pożodze
rozpalonej na niebie, roli, rzece, drodze —
— — —
— —
—
i tak w tę wieś ruchliwą, zajętą, nagrzaną,
wiód rzeszę powsinogów Chrystus w ono rano —
a znać tajemna przemoc kryła się w ich dziele,
bo znagła wielka cisza spadła — jak w kościele
po podniesieniu — wszyscy, ka byli tam stają
w czekaniu nieruchomem — a psy nie szczekają —
a kogut zarwał pianie — w skrzydła na półwzlocie
zatrzepotał i zastygł na wierzbowym płocie —
a dzieci zaprzestały wrzawy i gry w plika —
— w wszystko — w wszystkich ten zamilk znaglony przenika —
— — a Chrystus ku tej chałpie, ka siadają sroki
na lipie przykaplicznej, kieruje swe kroki —
tam owo i czeladka w skupieniu się zmierza —
tam owo mieszka Matka Dobrego Pasterza
oczekująca —
— — — —

# FRAGMENT BALLADY O PRZEMIENIENIU WODY W WINO NA WESELU CÓRKI KOŁKOWEJ.

*(„Gody pasterskie w Beskidzie“).*

*[Świtanie; Chrystus wychodzi z chaty Matczynej].*

za górami mglistemi świt się czynił blady —
wraz się w wietrze chłodliwym zszumiały narady
drzew bezlistnych, soczystych urodą wiośnianą
która mówiła głośno, że znów idzie rano
jedno — dalsze — cieplejsze — bogatsze pogodą
liścieniatą, kwiaciatą, rozśpiewną i młodą —
— wraz bladość nieboskłonu wzmagała się w siły
tu i tam różowości złotem się ziskrzyły —
wbił się sopel fjoletu wyostrzonym pasem
pomiędzy żółcią nieba a niebieskim lasem —
— od północy napłynął jak okręt zbłąkany
obłok w amarantowe sztandary przybrany —
już wpłynął na złotością zwichrzone odmęty
i wraz jak lśniący motyl nad tonią rozpięty
zatrzepotał purpurą, seledynem, miedzią — —
tymczasem środek nieba zimną gołoledzią
zsiniały — nagle ożył — stopił się w kolorze
ognia — zajął się żarem — już płonie — już gorze — —
— tabuny krwawych koni!! — rozżagwione grzywy!! —
wypadły z wschodu pędem — na step! na step żywy...
wpłoszyły się na zachód znacząc krwią powietrze —
śladami gasnącemi — coraz cichsze — bledsze — —
— — a oto ta historja barw źrałych na niebie
niedojrzali się trwożnie na wodzie i glebie —
miedzią się skiby tłuste i liljowią społem —
krwawią się wirchem drzewa a granacą dołem —
stawy, bajora patrzą wraz pawiemi oczy
na to co się tam dzieje pośród podobłoczy —
orzyska, miedze, składy, konicze, ozimy
bawią się jak łowickie pasiate kilimy
tkane na krosnach nieba tęczą, zorzą, złotem
na osnowie mgieł spadłych pod wiatru przelotem —

zaś gościniec mokraty, wyboisk wodami
patrzący zórz odbitych szybami oknami
zbiera naręcza świateł barwę z barwą sprzęga
łyszczy się i kwiatuli jak krakowska wstęga —
—
w onej godzinie cudów szkarłatnie bogatej
zaskrzypiały drzwi cicho — a z matczynej chaty
wyszedł Chrystus w tę rześkość rosiatą i złotą
i wpatrzył się w barw bezmiar z miłosną tęsknotą —
— usiadł na progu — ręce na kolanach złożył
i całym sobą w świat ten wsrebrzył się i wbożył
i zasłuchał jutrznianie w wonne szepty głosów
rozmawiającej ziemi, drzew, gór i niebiosów —
i dojrzał w tem zjawieniu, w zwróconym beskidzie
Siebie jak z dobrą wieścią pod te strzechy idzie
by wrócić cześć człowieczą sercu umarłemu
by zrównać nierówności — zło zostawić złemu
aż zemrze w nieposile — a głód wielki chleba
dostatków, pychy — zmienić w głód modrego nieba
na ziemi — w ukój zbożny, w którym się dokona
jasność bytu i celu — bólem wypragniona —

---

## FRAGMENTY Z KANTYCZKI ROSISTEJ.

1

przez zieleniejące łany
popod brzóz nawisłe konary
w ten rozkwit niesłychany
w te niepojęte czary
które się nisko kładą
które się wznoszą wysoko
to modrością przybladą
to modrością głęboką —
idziesz o serce człowiecze
w przewonnych cudów bezpiecze —

2

macierzankową gromadą
której nie sieją nie koszą

a jeno słodką jej wonią
tak jak tęsknotą się bronią
przed długą złotą jesienią
przed zimą długą i białą —
— — znów się chmury rumienią
— — znów śpiewniście powiało —
idziesz o serce człowiecze
w przewonnych cudów bezpiecze —

3

przez zieleniejące łany
które się tęczą i mienią
radością przewspaniałą —
w ten rozkwit niesłychany —
idziesz o serce człowiecze
w przewonnych cudów bezpiecze —

4

i zapomniałoś dorazu
idące pobok głazu
co mchami się zieleni
o upiorności cieni

5

jeśli są cienie — to jeno
na ochłodzenie. spoczynek —
blaski je wnet wyżeną,
a rozliściony młynek
ruchliwych ramion gałęzi
na krótko cienie uwięzi
i pomrok — już — już — zjaśniały —!—
spełnił się dobry uczynek
przez ten pień brzozy białej

6

przelatuje rybitwa
nad wierzby, topole
jak strzelista modlitwa
rzucona przez pole

7

a tu się złocą rosy
a tam się rzeka wije

a rozmodrzone niebiosy
twoje jeno — niczyje
— — — —

10

O rosy perliste
traw szczeremi łzami —
— — módlcie się za nami
o dole przymgliste
za temi górami —
— — módlcie się za nami
przestworza wieczyste
pisane gwiazdami —
— — módlcie się za nami

11

a tu zbliska zdaleka
idzie Bóg do człowieka —
idzie człowiek do Boga
— jedna jedna im droga
— — — —

49

drożyna się skończyła — —
— cóż to tu za ścieżka
tak się wmig wywsężyła —?—
...cicho —!— Bóg tu mieszka —!!—

50

— a to właśnie do Niego — —
— — no to szczęśliwej drogi —;—
— — — — — — — — —
nic dobrego, nic złego
nie przynoszę w te progi —

51

jeno serce miłujące
jeno myśli gorejące
jeno radość niesłychaną
i dar jeden: ziemi rano

52

zebrałem to jak umiałem
we dwie ręce, całem ciałem —



Ganek

*Fot. T. i S. Zwolińscy.*

blaski w oczy, w uszy pieśni,
w nozdrze wonie — — niech się wieśni
niech słoneczni się wieśniato
wiosna jesień zima lato

53

mówi Panbóg — : mądryś bracie —
— wszystko macie, wciąż złamdacie —
— skądżeś ty się wziął taki —?—

54

o mój miły Panie Boże
uczyły mnie sny i zorze
no i te śpiewające ptaki

55

mówi Panbóg — : dobrze gadasz —
lecz cóż robisz gdy upadasz
pod brzemieniem trosk i niedoli —?—

56

o mój miły Panie Boże —
nie znam więc mnie to nie zmoże —
mnie tylko nadmiar radości boli —

57

mówi Panbóg — : takiś ty to —
— wszyscy mówią do mnie skryto
i zawsze o coś mnie proszą —

58

o mój Panie Boże miły
widać brak im ino siły —
ale wierzaj i oni serce ci przynoszą —

59

mówi Panbóg — : no no — widzę
że ty jesteś ze mną w lidze —
we mnie — widzisz — też tak to serce gorze —

60

o mój Panie Boże złoty —
pokarm nasz: serce tęsknoty —
każdy cię wielbi jak umi i może —

61

. . . . . . . . . . . . . . .

przerwała się rozmowa
bo kraina znów nowa —!—
— góry, góry się piętrzą
jak schody do nieba z ziemi,
a słońce zawisło nad niemi
Hostją Przenajświętszą —

62

tam przy dróg załomie stała
wierzba mocno przypróchniała
i czekała — na kogo? —
kto się przydarzy drogą

63

wierzbo wierzbo koszlawa
od spodu dziurawa
— czy na jamy lisie —?—
— — wyspowiadam ci się —

64

w Imię Ojca, Syna, Ducha...
— spowiadam się — wierzba słucha — —
: bardzo mi dziś jest szczęśliwie...
— wierzba słucha dobrotliwie — —
: za dużo mnie świat miłuje....
— wierzba ważnie przytakuje — —
: za mało mną wszyscy gardzą....
— wierzba słucha pilnie bardzo — —
: widzę dobro nigdzie złego...
— wierzba mruczy: no coż z tego — —
: jeno we mnie złego dużo...
— gałęzie się wierzbie nużą — —
: wiary nie mam w żadnem dziele
— wierzba się gałęźmi ściele — —
: spowiadam się z mych słabości...
— — a już wierzba skróś miłości
gałęziami mnie nakryła —
— — już umarłem —!!— wierzba żyła ! —

# Historja jednej wycieczki.

*(„Z Gorganów").*

Kto po latach nałogowego chodzenia po górach przebiegnie myślą wstecz odbyte wycieczki i przypomni sobie wszystkie przygody, jakie go przy tej sposobności spotkały, musi przyznać, że najsilniejsze wrażenie wywiera i najwięcej może wspomnień zostawia pierwsze w życiu zetknięcie się z przyrodą górską, kiedy to brak doświadczenia i odpowiedniego wyposażenia turystycznego naraża człowieka na różne niewygody i trudy. Bo przecież wyszkolony i wprawny turysta orjentujący się dobrze w terenie, obładowany różnemi potrzebnemi i niepotrzebnemi rzeczami, podkuty gwoździami, z wielkim worem na plecach, puszcza się na kilkudniową włóczęgę po górach i przygód, ściśle mówiąc, nie przeżywa, zwłaszcza w takich górach, jak Karpaty. Bo cóż go spotkać może? Zabłądzić, nie zabłądzi, bo ma dobrą mapę, kompas, aneroid, doświadczenie turystyczne, no i co najważniejsze, głowę na karku. Z głodu nie zginie, bo ogromną ilość aluminiowych puszek różnej wielkości i kształtu wypełnił dokładnie wszelakiemi smakołykami, a kuchnię też ma ze sobą. Deszczu się nie boi, bo ma w worku doskonały płasz nieprzemakalny. Pod drzewem spać nie głupi, bo zawsze tak sobie rozłoży tury, aby zejść na nocleg w jakąś dolinę, lub do schroniska — a zresztą wypadnie mu nocować w lesie albo pod szczytem, to też nic strasznego — pocóż dźwiga ze sobą worek do spania? Słowem, wszystko przewidział, na wszystko się przygotował, więc nic go tak dalece spotkać nie może. Ale kto idzie pierwszy raz w góry na szereg dni bez tych wszystkich przyborów, temu ta wycieczka wryje się w pamięć ponad wszystkie inne, ten nie zapomni nigdy chwil, jakie wtedy przeżył.

Taką to wycieczkę pragnę opisać.

Było to przed wielu laty, gdzieś jeszcze przed rokiem 1910. Jako całkiem młody akademik, znalazłem się w Mizuniu Nowym w wesołem gronie znajomych i przyjaciół, pełnych humoru i szalonych pomysłów. Wznosząca się tuż nad Mizuniem Łysa nie czekała długo na nasze odwiedziny. Stamtąd dopiero zobaczyliśmy góry. Całe morze nieznanych a tajemniczych czubów otaczało nas zewsząd. Nad tem wszystkiem górował w stronie półn. - wsch. ogromnej długości wał górski. Dowiedzieliśmy się, że to Arszyca z Gorganem Ilemskim (1.589 m. bezwzględnej wysokości). Więc i ja i dwaj moi rówieśnicy i towarzysze wycieczki powiedzieliśmy sobie, że tam musimy pójść i to na cały tydzień.

Ułożyliśmy więc następujący plan. Pójdziemy przedewszystkiem do Zarządu lasów państw. w Grabowie i poprosimy o jakiegoś gajowego na przewodnika. Z nim wyjdziemy na Gorgan Ilemski, zejdziemy na drugą stronę Arszycy, aby zobaczyć, jak tam wygląda, bo tegośmy z Łysej nie widzieli, przejdziemy potem do Ludwikówki w dolinie Świcy, a stąd przez pasmo Dauszkę do doliny Mizunki. Następnie zwiedzimy klauzę w Sobolu i wrócimy gościńcem do Mizunia.

Trzeba przyznać, że pomyśleliśmy o pewnem wyekwipowaniu. Każdy z nas miał przecież na plecach worek turystyczny, a w nim jakąś starą pelerynę na wypadek deszczu, pewne prymitywne przybory kuchenne i prowianty. Zaprowiantowanie nie było coprawda zbyt obfite. Uważaliśmy, że dla wszystkich trzech wystarczy bochenek chleba, dwa kg. mąki kukurydzianej, dwa pudełeczka sardynek, trochę herbaty i cukru. Kwestję obuwia rozwiązaliśmy w sposób możliwie najprostszy i najłatwiejszy. Lekkie a jak najstarsze, przeznaczone już na zdarcie trzewiki, uważaliśmy za najodpowiedniejsze. Nie zapomnieliśmy oczywiście i o pieniądzach. Wzięliśmy ze sobą całych 5 koron i coś tam hal. Trzy świeżo wycięte kije stanowiły podporę i uzbrojenie.

Jedną z poważnych niedokładności naszego wyposażenia był brak mapy. Mieliśmy wprawdzie nawet dwie sekcje mapy 1:75.000, ale te nie obejmowały już Arszycy, t. j. głównego celu naszej wyprawy. Jednakże pocieszaliśmy się, że gajowy, którego napewno dostaniemy, zna doskonale całą okolicę i zastąpi nam niewątpliwie wszelkie mapy.

Pierwszy więc dzień wycieczki przeznaczyliśmy na zdobycie tego idealnego przewodnika. Wypadło nam w tym celu udać się do Grabowa i uprosić tamtejszego zarządcę lasów państw., by nam dał przewodnika. Wcale nam to nie było po drodze. W tym czasie można było wyjść na Arszycę i zejść do Ludwikówki na noc. Tymczasem straciliśmy cały dzień i oddaliliśmy się znacznie od celu naszej wycieczki. Ale trudno — sądziliśmy, że tak już być musi.

Przed wieczorem tego dnia znaleźliśmy się w Grabowie na leśniczówce. Nie wiem, czy nasz zewnętrzny wygląd budził wielkie zaufanie. Ale były to przecież czasy przedwojenne, gdy nie patrzono na nieznanego przechodnia tak złemi oczyma, jak to się zdarza dzisiaj. Zresztą wyłuszczyliśmy dokładnie, coza jedni jesteśmy i co nas tu sprowadza i jakoś odrazu przypadliśmy do gustu panu leśniczemu. Bo cóż dziwnego. Człowiek mieszkający w jakiejś zapadłej wiosce górskiej, wśród lasów i wierchów, musi niejednokrotnie przykro odczuwać swoje odosobnienie od cywilizowanego świata. To też, gdy się zjawi u niego niespodziewanie trzech młodych

ludzi z miasta, choćby takich sobie akademików, wita ich serdecznie i szczerze.

Więc i nas spotkało gościnne przyjęcie i czuliśmy się dobrze, żeśmy się stali bohaterami dnia na leśniczówce, a to nam dodało humoru i pewności siebie. I nie można powiedzieć, żeby nam się tam źle powodziło. Pani leśniczyna zaprosiła nas na kolację, którą, ceremonjując się, ile trzeba było, jedliśmy z niemałym apetytem po całodziennym marszu. Rozwinęła się miła a interesująca pogawędka o tem i owem, o sprawach aktualnych, politycznych i t. d.

Wreszcie po kolacji pan leśniczy zaproponował:

— A możeby tak preferansika, panie tego? Panów trzech, ja czwarty — doskonale się składa.

Zrobiło mi się trochę niewyraźnie. Moi towarzysze umieli wprawdzie grać w preferansa, ale ja pojęcia nie miałem nietylko o preferansie, ale wogóle o kartach. Dobrze, że odróżniałem pik od trefa a kier od kara. Cóż tu robić? Przyznać się do tego, że nie umiem grać w preferansa, to znaczy stracić całą dobrą opinję. Cóż wart młodzieniec, który nie umie grać w preferansa. Odmówić wogóle człowiekowi, który nas tak serdecznie przyjął, nie można. Więc zgodziliśmy się bez wahania.



Nad Mizunką. *(Fot. St. Pazirski).*

Zanim pan leśniczy przyniósł karty i przygotował, co potrzeba, mój przyjaciel wprowadzał mnie pospiesznie w tajniki gry.

Po chwili siedzieliśmy przy stole z kartami w ręku.

Nie mogę powiedzieć, żeby ten preferans należał do moich milszych wspomnień z wycieczki. Wprawdzie przyjaciel mój robił, co mógł, by ratować sytuację, podpowiadał i szturkał pod stołem, jednakże dużo mnie to kosztowało, żeby nie wypaść z roli i wytrwać do końca, zwłaszcza, że

jak zauważyłem, jedną z najistotniejszych cech gry w karty jest to, że się nie chce skończyć.

Ostatecznie skończył się ten nieszczęśliwy preferans ze skutkiem wcale dla nas pomyślnym. Mimo mego udziału w grze i tych głupstw, jakie popełniałem, przegraliśmy tylko tyle, że z naszego pięciokoronowego funduszu wycieczkowego została nam jeszcze cała korona i coś tam halerzy.

Rankiem następnego dnia poszliśmy do Ilemki, a stamtąd w towarzystwie gajowego do Lisnej, położonej u stóp Arszycy w dolinie potoku tej samej nazwy.

Nasz gajowy imieniem Wasyl okazał się bardzo sympatycznym i rozmownym towarzyszem. Jego tęgi wąs, bystre oczy, dziarska mina i strzelba przewieszona przez ramię, budziły w nas chętkę spotkania przynajmniej kilku niedźwiedzi, stada wilków i innych dzikich i niebezpiecznych zwierząt.

Szliśmy w górę doliną Ilemki. U naszych stóp w głębokim jarze wije się, skacze z kamienia na kamień po progach i płytach skalistych, szumi i bulgoce i mieni się czysta jak kryształ rzeczka górska.

Właśnie mieliśmy zamiar chwilę odpocząć w cieniu jakiegoś drzewa, gdy nagle niezwykły widok zarysował się przed naszemi oczyma. Ujrzeliśmy z daleka ogromny drewniany most, przerzucony nad jarem rzeki, most - olbrzym kilkunastometrowej wysokości, o jakiejś dziwacznej i pogmatwanej konstrukcji, sklecony z belek i z beleczek, pokrzywiony i w pobliżu przeciwległego brzegu tuż nad spienioną rzeką, przerwany i zwalony. Zdawało się, że za chwilę cały ten splot belek runie na dno jaru. Doszliśmy do mostu i usiedli na odpoczynek. I wtedy opanowała mnie jakaś dziwna i nieprzeparta chętka: pójść po moście aż do miejsca, gdzie się urywa i zobaczyć, jak wygląda z góry rzeka i czy to bardzo wysoko. Wasyl odradzał, ale ja i jeden z moich towarzyszy już byliśmy na moście. Nie było to łatwe przejście. Deski poprzeczne były połamane albo tak spróchniałe, że iść po nich nie można było. Musieliśmy stawać tam, gdzie się opierały o podłużne belki. W dodatku za każdym krokiem cały ten olbrzym chwiał się i skrzypiał złowrogo. A im bardziej zbliżaliśmy się do urwanego końca, tem groźniej skrzypiał most, tem wyraźniej czuliśmy jego wahania. Jednakże ambicja młodzieńcza nie pozwoliła nam zawrócić z drogi. Doszliśmy do końca i zaglądnęli przez belki na dno jaru. Wprost, kilkanaście metrów pod nami, pieniła się rzeka wśród białych i krągłych jak groch kamieni; nad nią przy przeciwległym brzegu pionowa i poszarpana skała. Byliśmy zachwyceni widokiem, oraz wysokością i po-

wietrznością naszego stanowiska. Ale trzeba było myśleć o powrocie. Czy wytrzyma ten staruszek jeszcze naszą powrotną drogę? A staruszek chwiał się znowu, skrzypiał, ale wytrzymał.

Usiedliśmy w cieniu drzewa, aby się posilić. Ale gdyśmy otworzyli nasze worki, jakieś niewesołe nawiedziły nas refleksje. Ten kawałek chleba nie bardzo nas pożywi, a z mąki kukurydzianej bez żadnego tłuszczu także nie będziemy mieli pociechy. Wygrzebaliśmy więc jakąś puszkę sardynek i gryząc chleb z sardynkami, rozmyślaliśmy sentymentalnie o przyzwoitym obiedzie i naszem całkiem nieprzyzwoitem zaprowiantowaniu.

Przed wieczorem tego dnia doszliśmy do Lisnej, gdzie wypadało przenocować. W wąskiej dolinie nad potokiem tej samej nazwy znaleźliśmy wielką drewnianą budę, jakiś magazyn na narzędzia i prowianty dla robotników leśnych. Gospodarz tej budy, uprzedzony telefonicznie o naszem przybyciu, przyjął nas bardzo gościnnie i kazał urządzić posłanie z siana. Byliśmy bardzo zadowoleni i wogóle nabraliśmy otuchy do dalszej podróży, kiedy na nasze prośby, zgodził się odsprzedać nam kawał słoniny. Pozbyliśmy się korony z wizerunkiem cesarza, a za to dostaliśmy jakąś dostojną część ciała zwierzęcia, które ma to nieszczęście, że się świnią nazywa, ale chyba nią nie jest, skoro tyle pociechy człowiekowi przynieść potrafi. Na kolację „mamałyga“ ze słoniną, herbata i chleb smakowały nam chyba lepiej, niż niejedna luksusowa uczta i dodały humoru więcej, niż wszelkie rozweselające trunki.

Rankiem następnego dnia szliśmy wygodną serpentyną na Kruhłą, górę przytykającą od północnych stoków Arszycy. Dzień był piękny i słoneczny, ale Wasyl nie wróżył pogody. W rzeczywistości słońce piekło nielitościwie i jakieś brzydkie chmurzyska zaczęły wyłazić z prawej strony. Kilkugodzinny marsz pod górę zmordował nas porządnie, więc trzeba było pomyśleć o dłuższym wypoczynku. Zatrzymaliśmy się na jakiejś polanie. Bujna trawa i niezliczone mnóstwo różnobarwnych kwiatów otaczały nas zewsząd. Wasyl usiadł i zapalił fajkę, a my rozciągnęliśmy się na miękkiej trawie, prostując strudzone członki. Rozmyślałem leniwie, jak tu miękko i rozkosznie, wsłuchując się w szum strumyka, który poniżej spadał zworem i oglądając leżący po drugiej stronie zworu wielki zrąb z myślą o malinach, które tam z pewnością rosły. Gdyby tak chciały przyjść tutaj!....

Tymczasem Wasyl, który opowiadał jakąś historję o polowaniu, zamilkł nagle. Twarz mu się jakoś ożywiła, a bystre i roziskrzone oczy utkwił gdzieś daleko w zrębie. Poszliśmy za jego spojrzeniem, ale nie widząc niczego, zapytałem:

— Co tam widzicie Wasylu?

— Rogacz — odrzekł krótko.

Byliśmy poruszeni. Zobaczyć rogacza, a może jelenia tu, w tem dzikiem pustkowiu, w jego królestwie, autentycznego jelenia, wydawało się niemałą atrakcją. Swoją drogą, gdzie on tego rogacza widzi? — myślałem — bo ani ja, ani żaden z moich towarzyszy nie dostrzegł niczego podobnego. Ale Wasyl miał lepsze od nas oczy, rogacza widział stanowczo, mówił, że schodzi zrębem w dół do potoka i że możnaby go łatwo podejść. W rzeczywistości, idąc za wskazówkami Wasyla, zobaczyliśmy wreszcie na zrębie jakąś żółtą plamę, poruszającą się zwolna ku dołowi. W jednej chwili powstał w naszych głowach genjalny plan. Gdyby tak upolować rogacza! Za jednym strzałem możemy zdobyć obfitą aprowizację na szereg dni. Coza szczęśliwy zbieg okoliczności! Wasyl ma strzelbę i naboje, a jeden z moich towarzyszy odrazu objawił gwałtowną żądzę zabicia rogacza. Strzelał nieraz do wróbli z flobertu, więc może i do rogacza strzelać. Wziął więc strzelbę od Wasyla i szybko skradając się, pospieszył w dół, w stronę zrębu. Siedzieliśmy na miejscu, czekając w wielkiem naprężeniu, a każda sekunda dłużyła się nam w nieskończoność. Wreszcie doczekaliśmy się strzału. Skoczyliśmy co sił w nogach i pobiegli w dół do potoku. Powyżej na zrębie zobaczyliśmy naszego myśliwego, pochylonego nad czemś. W jednej chwili znaleźliśmy się przy nim. Lecz co za rozczarowanie! Na ziemi leżała martwa sarna, taka sobie łagodna sarenka, wyciągnąwszy zgrabne nóżki.



Mizunka.

*(Fot. St. Pazirski).*

— Stała — tłumaczył się nasz myśliwy — na tle suchego drzewa i całkiem tak wyglądała jak rogacz.

Wasyl miał minę markotną i zakłopotaną. Polowanie i tak nie bardzo było legalne, a jeszcze w dodatku sarna padła ofiarą. Tylko nasz strzelec

mimo swej słabej orjentacji w płci zwierząt leśnych szybko otrząsł się z niemiłego nastroju, a pełen dumy z udanego polowania, umaczał gałązkę świerkową w krwi zabitego zwierzęcia i z tryumfującą miną zatknął ją sobie za kapelusz. Nam niemyśliwym wydało się to tak komiczne, że mimo całej powagi chwili uśmieliśmy się serdecznie.

Tymczasem Wasyl zajął się zdjęciem skóry i wycięciem jadalnych części nieszczęśliwej sarny, oraz zatarciem śladów popełnionego morderstwa. Jedno nas pocieszało. Zdobyliśmy sporą ilość żywności, co przy naszem lichem zaprowiantowaniu stanowiło bardzo cenny nabytek.

Po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę z wielkim zapasem sarniny i z myślami pełnemi otuchy.

Tymczasem pogoda zepsuła się zupełnie. Ciemne chmury zasnuły już całą zachodnią część nieba. Gdzieś jeszcze daleko na północnym wschodzie widać było jasne słoneczne plamy. Jakaś ciężka chmura przylgnęła już do grzbietu Arszycy i zaczęła się przewalać na naszą stronę. Górą powiał wiatr i przypadł do lasu, powyginał czuby świerków i zaszumiał groźnie, poczem wpadł na polanę i cisnął w nas pierwszemi kroplami deszczu. Parę chwil później uspokoił się nieco, a zaczął padać gęsty, równomierny, systematyczny, typowy karpacki deszcz. Wyciągnęliśmy wierzchnie okrycia. Ale zanim wyszliśmy z polany w las, woda chlupała nam już w trzewikach, wydając za każdym krokiem jakieś syki i świsty. Lecz nie na tem koniec. Idąc przez wysoką trawę, zbieraliśmy z niej na naszą dolną garderobą coraz więcej wody i w krótkim czasie od dołu było nam już całkiem mokro. Ale i od góry zaczynało być coraz gorzej. Kapelusze przemokły szybko i woda zaczęła nam spływać strugami po twarzy, za kark i na szyję, a peleryny straciły wkrótce swoją nieprzemakalność.

Ostatecznie było nam już wszystko jedno.

Tymczasem około południa wyszliśmy na wysoką polanę przytykającą wprost do stoków Arszycy, zwaną Słobusznicą. W samym jej środku ujrzeliśmy sześciokątną budę pokrytą dachem z otworem w środku.

— To koliba — objaśniał nas Wasyl — w której musimy przenocować.

Zaglądnęliśmy do środka. Niezbyt wesoło przedstawiała się nasza kwatera. Za podłogę służyła goła matka ziemia, dość dokładnie zaśmiecona węglem i suchemi gałązkami świerkowemi. Przez otwór w dachu padał deszcz obficie i bez ceremonji zalewając parę zwęglonych polan drzewa. Stąd woda w postaci małych potoków rozlewała się po całej „ubikacji“, tworząc po drodze stawki i kałuże. Jakże tu spać? Ale Wasyl pocieszał nas, że będzie dobrze i zabrał się raźno do roboty. Przyciągnął

z lasu jakieś kłody suche i patyki i w krótkim czasie wspaniałe ognisko zapłonęło w środku naszej siedziby. Ożywiło nas miłe ciepło i zabraliśmy się także do pracy. Należało przedewszystkiem coś zjeść, a pod tym względem czekała nas niemała atrakcja: trzeba było mięso upolowanej sarny doprowadzić do stanu jadalnego. Ale jakże się to robi? Rozumowałem, że dobrze będzie zjeść coś płynnego i ciepłego; z mięsa podobno robi się rosół. Więc zrobimy rosół. Ale jak? Woda, w której gotuje się mięso, skutkiem jakichś tajemniczych procesów staje się rosołem. A zatem nic trudnego. Stawiamy garnek z wodą na ogniu, do tego wrzucamy kilka kawałków mięsa, gotujemy i czekamy, co z tego będzie. Wreszcie oceniamy, że już dość, i odstawiamy, zaglądając ciekawie i łakomie do środka. Co u djabła? Całkiem niepodobne do rosołu. Po wierzchu pływa popiół, śmieci i węgielki, a pod spodem jakiś płyn brudny, szary i tajemniczy. Kosztujemy. Ciepłe to i płynne, ale smak jakiś dziwny. Poprostu świństwo. A jednak głód przemógł, a szary płyn znikł szybko z garnka. Po rosole miała nastąpić pieczeń sarnia. Długie patyki zacięliśmy na ostro, nadziali na nie kawałki mięsa naszpikowane słoniną i wsadzili do ognia. Z wolna obracane mięso przypiekło wcale dobrze i ta druga potrawa smakowała nam nieporównanie lepiej. Potem herbata i obiad skończony. Mieliśmy jeszcze parę godzin czasu do wieczora. Cóż tu robić? Jesteśmy tak blisko szczytu, że byłoby grzechem nie wyjść jeszcze dziś, mimo deszczu i mgły, na szczyt Arszycy. Zresztą ta mgła, to chmura, całkiem autentyczna chmura. Być w chmurze, to się tak łatwo nie zdarza. Może grzbiet Arszycy jest ponad chmurami, w takim razie będziemy mieli niezwykły widok.

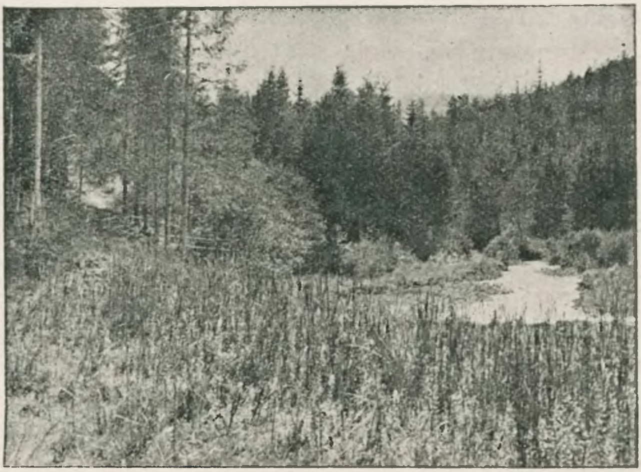
Zostawiliśmy Wasyla w kolibie i pospieszyliśmy wprost przez las, na przełaj w górę. Niedługo las się skończył, a zaczęła się kosodrzewina. Pamiętam dobrze, że ta kosodrzewina zrobiła na mnie niezwykle silne wrażenie. Widziałem ją po raz pierwszy w życiu. Zatrzymaliśmy się chwilę, oglądając te bujnie w Gorganach rozrosłe krzaki, uzbrojone w potężne i mocne igły. Po półgodzinnym wspinaniu się w górę, wśród mgły stanęliśmy na grzbiecie. Ale widoku nie było. Zimny wiatr pędził coraz to nowe mgły. Jednak humor nas nie opuszczał. Myśl, że jesteśmy ponad 1.500 m. nad poziomem morza napawała nas dumą i niemałem zadowoleniem. Osiągnąwszy szczyt sąsiadujący z Gorganem Ilemskim, wróciliśmy tą samą drogą do naszej koliby. I tu spotkała nas miła niespodzianka. Cała nasza siedziba zmieniła się do niepoznania, zapanował ład i porządek, znikły kałuże, a na ich miejsce zjawiły się wspaniałe łoża. Z kunsztownie ułożonych gałązek świerkowych zrobił nasz przewodnik sprężyste i wcale miękkie materace. W środku doskonale założona watra darzyła nas bło-

giem ciepłem. Obok zapas drzewa na całą noc. Byliśmy z całem uznaniem dla Wasyla i wesoło zabraliśmy się do przygotowywania kolacji i suszenia przy ogniu naszej przemokniętej garderoby. Przedewszystkiem zdjęliśmy trzewiki i poustawiali rzędem możliwie jak najbliżej ognia. Suszenie innych części garderoby, a zwłaszcza skarpetek odbywało się w bardzo podobny sposób, jak pieczenie sarniny. Nadziewaliśmy je na patyki, oczywiście nie te same, i obracali w ogniu. Jak im to wyszło na zdrowie, można sobie wyobrazić.

Po tych zabiegach, rozciągnięci na naszych materacach, gwarzyliśmy wesoło. Wasyl opowiadał nam, nie wiem już którą z rzędu historję jakiegoś polowania.

Wreszcie przyszedł czas na spanie. Rozdzieliliśmy między siebie dyżury nocne dla pilnowania ognia i na mnie wypadł pierwszy.

Niedługo więc sen zmorzył moich towarzyszy i cisza zapanowała w kolibie. Cisza? Kto nocował kiedykolwiek w takich warunkach, wie dobrze, że o ciszy nie ma tu mowy. Ileż wrażeń wzrokowych i słuchowych, jeśli się człowiek wpatrzy i wsłucha w ognisko i to wszystko, co się w niem dzieje. Jasne, czerwone, rozchwiane języki wysuwają się w górę z pomiędzy ułożonych kunsztownie kłód drzewa. Tysiące iskier mniejszych i większych wzlatuje co chwila, jak najwspanialsze rakiety. Jedne gasną szybko, inne zataczają wspaniałe łuki i spadają opodal lub też wznoszą się aż do otworu w dachu i giną gdzieś na dworze. Słucham i uszom nie wierzę. Wyraźnie coś jęczy. Jęczy przeciągle i boleśnie, coraz dotkliwiej, aż jęk w syk się przemienia, jakiś przejmujący i wstrząsający, złowrogi syk. Chwila ciszy i nagle ogromna iskra wylatuje z głośnym trzaskiem i ginie gdzieś wysoko. Za nią jedna, druga, trzecia i dziesiąta. Teraz coś się śmieje. Śmieje się, chichoce... całe



W dorzeczu Mizunki.

*(Fot. St. Pazirski).*

powietrze rozdrgane chichotem. Wszystko drga, trzęsie się, zanosi od śmiechu. Patrzę ponad ognisko, na przeciwległą ścianę koliby. Wyraźnie drga, chwieje się i trzęsie. Wracam oczyma znowu do ogniska. Oto biały kawał drzewa nietknięty jeszcze leży spokojnie, cierpliwie czekając na swoją kolej. Aż tu pocichu, z wolna, nieśmiało wysuwa się z pod niego mały, czerwony języczek. Oblizuje go lekko i delikatnie, chowa się figlarnie. Za chwilę drugi, większy i jaśniejszy, wysunął się śmiało i przylgnął z rozkoszą do białego drzewa... ale się skurczył i opadł nieco, wyczerpany. Zda się, że zginie. Ale nie. Już się podnosi, już rośnie, już obejmuje białe drzewo całą swoją powierzchnią. A drzewo ciemnieje z wolna, drży i syczy z bolu czy rozkoszy, pęka z trzaskiem, a z każdego pęknięcia nowy wybucha języczek i nowy pęk iskier. Aż się języki połączyły i wspaniały płomień buchnął w górę. I nagle doznaję wrażenia, że się kurczę, maleję, staję się nikłą drobiną, a ogień rośnie i rośnie w ogromny świat płomieni, świat strasznych kataklizmów i wybuchów potężnych.

I nie dziwię się już wcale, że człowiek pierwotny mógł czcić ogień jako bóstwo tajemnicze, groźne, łaskawe i twórcze...

Ocknąłem się. Moja straż dobiegała końca. Na dworze szumiał wiatr i obrzucał dach koliby kroplami deszczu. Wyjrzałem na dwór. Nieprzenikniona ciemność, zimno i wilgoć. Spojrzałem na ognisko. Co za błogosławiona siła...

Zbudziłem mojego towarzysza, wyciągnąłem się na zielonem posłaniu i zasnąłem twardo.

* * *

Rankiem następnego dnia wyjrzeliśmy ciekawie na dwór. Deszcz przestał padać, ale mgły i chmury zasnuły horyzont. Widoki pogody nie były wesołe; mimo to postanowiliśmy odbyć wyznaczoną turę, t. j. przejść na drugą stronę Arszycy, a stamtąd w jakiś sposób dostać się do Ludwikówki.

Zaczęliśmy przedewszystkiem oglądać naszą mocno nadwyrężoną garderobę. Zwłaszcza trzewiki zwróciły naszą baczniejszą uwagę. Spostrzegłem z przerażeniem, że moje uległy jakiejś dziwnej przemianie. Wykrzywiły się, skurczyły, stwardniały, a jeden nos uległ prawie zupełnemu zwaleniu. Z ogromnym trudem udało mi się wtłoczyć w nie nogi. Skurczona i powyginana skóra wrzynała się w ciało i gniotła niemiłosiernie. Tymczasem przyjacielowi mojemu, którego trzewiki stały zwrócone obcasami do ognia, przypaliły się i skurczyły cholewki tak, że w żaden sposób nie mógł ubrać trzewików. Dopiero po długiej mordędze i naszej pomocy udało mu się

pokonać oporne cholewki. Wreszcie po śniadaniu i spakowaniu, ruszyliśmy w drogę na grzbiet Arszycy.

Nie uszliśmy daleko, kiedy mój przyjaciel, który od dłuższej chwili skarżył się, że go cholewki cisną i obcierają mu nogi, siadł i oświadczył, że dalej iść nie może, bo każdy krok dla niego, to istna tortura. Cóż było robić? Po krótkiej naradzie, orzekliśmy zgodnie, że skoro cholewki cisną, to należy je obciąć; zaczem wyciągnąwszy scyzoryk, wykonałem szybko, bez zdejmowania trzewików, potrzebną operację, odrzucając daleko niewdzięczne cholewki mego przyjaciela, którego szanowne nogi odziane teraz były w piękne meszty, trochę niezwykłego kroju i fasonu. W każdym razie operacja pomogła i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Ze szczytu znowu, nie mieliśmy widoku. Stąpaliśmy po typowym Gorgańskim grechocie, t. j. ruchomych głazach, otoczeni gęstą mgłą. Wobec tego, nie zatrzymując się dłużej, przeszliśmy na drugą stronę grzbietu i zaczęliśmy schodzić w kierunku doliny Mszany.

O ile nasz przewodnik, znając doskonale swój teren, prowadził nas dotychczas najlepszemi ścieżkami, o tyle teraz, gdyśmy wyszli poza granicę lasów państwowych i znaleźli się na terenie dóbr metropolitalnych, wiedział tyle, co i my. W dodatku nie mieliśmy żadnej mapy tych okolic. Wobec tego schodziliśmy tak na ślepo bez ścieżki w dół w nieznaną nam dolinę. Wkrótce znaleźliśmy się w starym, dziewiczym lesie. Droga nie była wygodna. Trzeba było skakać i przełazić przez wiatrołomy, lawirować wśród większych i mniejszych, porosłych oślizgłym mchem głazów, wśród których czaiły się zdradzieckie szczeliny.

Droga w górę, a potem w dół rozgrzała nas i wzbudziła pragnienie, a wody nigdzie ani kropli. Zacząłem się rozglądać za jakimś jarem, ale bezskutecznie. Nagle usłyszałem wyraźny szmer strumyka. Pobiegłem w tym kierunku, ale strumyka ani śladu. Idę dalej, szum się oddala. Co u djabła? Dopiero po chwili zorjentowaliśmy się, że strumyk płynie głęboko pod kamieniami.

Szliśmy więc dalej w dół w nadziei, że gdzieś niżej wypłynie na wierzch. Po dłuższym czasie takiego schodzenia, trafiliśmy na małą kotlinkę. Z za drzew błysnęła woda. Zbliżyliśmy się szybko i stanęli nad małym, ciemnym stawkiem, obrosłym w koło ogromnemi świerkami. Jakiś świerk, który śmielej wystrzelił w górę, powalony wichrem, runął i zwalił się wprost do jeziorka. Leżał teraz martwy na wodzie, wspierając się drugim końcem o brzeg przeciwległy.

Zatrzymaliśmy się chwilę nad stawkiem i odbyliśmy naradę co do dalszej drogi. Ale narada niewiele pomogła. Stwierdziliśmy, że nikt z nas, nie

wyłączając Wasyla, nie wie, gdzie jesteśmy i którędy iść należy, aby trafić na jakąś drogę. Postanowiliśmy ostatecznie iść w dół, w nadzieji, że przecie gdzieś wyjdziemy. Tymczasem już od chwili puścił się rzęsisty deszcz. Schodząc w dół jakiś czas, trafiliśmy na większą polanę, na której pasło się bydło. Zatrzymaliśmy się chwilę w nadzieji odszukania pastucha, który nam udzieli informacyj. Tymczasem całe pasące się szanowne towarzystwo ujrzawszy nas, podniosło głowy do góry. Wszystkie woły, krowy i cielaki, jakby na dany znak, przestały się paść i oglądając nas badawczo, zaczęły z wolna ze wszystkich stron zbliżać się do nas. Jakaś krowa śmielszej natury przyszła na kilka kroków, stanęła i wpatrzona w nas, przekrzywiła łeb tak zabawnie, żeśmy wybuchli śmiechem. Ale sytuacja była niezwykła. Rogate bydło otoczyło nas ze wszystkich stron, a koło zacieśniało się coraz bardziej. Nie rozumieliśmy, co to znaczy. Dopiero Wasyl nas objaśnił, że one tak idą za solą i zawołał na pastucha. Po chwili wynurzył się z lasu jakiś człowiek czarny jak kominiarz, rozpędził bydło i zbliżył się nieśmiało. Stanął przed nami pół dziki o głupkowatym wyglądzie młody chłop, okropnie brudny, odziany w koszulę i spodnie z grubego płótna, których czarna barwa wyraźnie wskazywała, że je nosi na sobie już od kilku miesięcy. Zapytany o przyczynę tego, Wasyl wyjaśnił całą sprawę. Pastuch, który od wiosny aż do jesieni siedzi z bydłem w górach, wdziewa na siebie bieliznę napojoną masłem i zdejmuje ją dopiero po powrocie do domu. Te dziwne zabiegi mają go chronić przed pasożytami mniejszego kalibru.



Łąka w Gorganach.
*(Fot. St. Pazirski)*

Zaczęliśmy indagować zakłopotanego naszą obecnością osobnika, ale niewiele mogliśmy od niego wydobyć. Mówił, że jest z Perehińska, że siedzi tu od wiosny. Do Osmołody i Perehińska toby trafił, ale w Ludwikówce nigdy nie był, więc nie wie, czy to daleko i którędy się tam idzie.

Zostawiliśmy naszego informatora i poszliśmy dalej w dół.

Było już około południa, kiedy przemoknięci zupełnie, zmęczeni i wygłodzeni, natknęliśmy się na jakąś kolibę. Tu zatrzymaliśmy się na obiad. Rozpaliliśmy oczywiście ognisko i jak dnia poprzedniego, piekliśmy sarninę na rożnie, ale, żeśmy się spieszyli, nie wiedząc, jak długo nam jeszcze iść wypadnie, sarnina była na pół surowa. Jednak apetyty mieliśmy tak świetne, że nam to zbyt wielkiej różnicy nie zrobiło.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę. Tymczasem kwestja drogi stawała się coraz poważniejszym problemem. Niewyraźna ścieżka, której trzymaliśmy się jakiś czas, znikła zupełnie bez śladu.

Znaleźliśmy się znowu w dzikim lesie bez najmniejszego pojęcia, którędy iść dalej. Szliśmy jednak ciągle markotni i milczący. Wysunąłem się nieco naprzód i zacząłem rozważać sytuację. Jesteśmy w każdym razie w dorzeczu Łomnicy. Aby się dostać do Ludwikówki, musimy przejść w dorzecze Świcy przez jakiś grzbiet, który stanowi dział wód. Ale jak trafić na ten dział wód? Małe zboczenie z właściwego kierunku może nas wyprowadzić tam, skądeśmy przyszli, t. j. znowu na grzbiet Arszycy, albo gdzieś w przeciwną stronę doliny. Gdzie my tak zajdziemy i gdzie nam wypadnie nocować? W dodatku deszcz pada ciągle. Gdybyśmy przynajmniej mieli mapę, możnaby się zorjentować, jak wygląda teren. A tak idziemy, jak ślepi, nie wiedząc gdzie i dokąd.

Kiedy tak szedłem ze spuszczoną głową i ponuremi myślami, oddaliwszy się nieco od towarzyszy, ujrzałem nagle coś białego opodal pod drzewem. Co też to być może? Wygląda jak płatek śniegu, ale to przecież niemożliwe. Zbliżam się i patrzę zdumiony. Pod drzewem, tu, w tym dzikim lesie, leży papier, biały papier w kilkoro złożony. Schylam się, podejmuję, rozkładam i głupieję zupełnie. Mapa! Sekcja Porohy 1:75000, właśnie ta, do której przed chwilą wzdychałem. Trochę zamoczona po brzegach i zwilgotniała, ale zresztą w całkiem dobrym stanie. Ktoś tędy szedł niedawno i zgubił. Oznaczenie czerwonemi linjami rewirów lasowych, kazał się domyślać, że właścicielem jej był jakiś leśniczy dóbr metropolitalnych. Ale w tej chwili prawny właściciel mapy nie wzruszał mnie wcale.

Z tryumfem pokazałem zdumionym towarzyszom cenną zdobycz. Teraz już damy sobie rady. Usiedliśmy więc pod drzewem, aby przestudjować mapę. Zorjentowawszy się w terenie i stronach świata, doszliśmy do przekonania, że jesteśmy bardzo niedaleko działu wód między dorzeczem Świcy i Łomnicy i że do Ludwikówki mamy jeszcze około 14 km. drogi.

Raźno już i pełni otuchy, puściliśmy się w dalszą drogę. Idąc stromo w górę przez las, stanęliśmy wkrótce na dziale wód. Przed nami w dole rozciągała się dolina Prawicza, którą mieliśmy iść dalej. Mając szerszy widok, rozglądnęliśmy się po niebie i okolicy. Deszcz jeszcze padał, ale na zachodzie zaczęło się jakoś przecierać. Mgły rozsunęły się trochę i tuż przed nami zarysowały się wspaniałe strome stoki Jajka Ilemskiego. Od szczytu z lewej strony spadał żleb prosto w dół wypełniony piargiem, a na jego dnie wiła się ruchoma, jasna nitka potoku. Z drugiej strony zamajaczył tuż nad nami szczyt Gorganu Ilemskiego, przytłoczony ciężką chmurą, a dalej, w kierunku ku zachodowi, ustrojony kosodrzewiną czub Pustoszaka. Prawie cała dolina Prawicza przedstawiała się nam jako jeden wielki, stary zrąb. Dziś stoi tam już znowu gęsty las.



Na granicy lasu.
*(Fot. St. Pazirski).*

Staliśmy bezpośrednio nad żlebem, którego dnem ciągnęła się do samego dołu długa rynna z belek częściowo już spróchniałych i połamanych. Była to t. zw. ryza, którą kiedyś spuszczano drzewo ze zrębu. Uznaliśmy, że tędy najprędzej zejdziemy w dolinę, gdzie musi być jakaś droga.

Zaczęliśmy więc schodzić. Ale droga ta nie była wcale ani wygodna, ani bezpieczna. Stąpanie stromo w dół w niepodkutych trzewikach po oślizgłych, po długotrwałym deszczu belkach, było przedsięwzięciem wprost karkołomnem. Iść bokiem niepodobna było, gdyż z obu stron piętrzyły się stosy połamanych i zeschłych gałęzi albo rosły tak gęste krzaki, że przedzieranie się przez nie było wykluczone.

Trudno policzyć, ile razy każdy z nas leżał. Biedny Wasyl obuty w kierpce, ślizgał się najbardziej. Tylko jakiemuś osobliwemu szczęściu należy przypisać, żeśmy tam rąk i nóg nie połamali. Co chwila mierzyliśmy przestrzeń, dzielącą nas od dna doliny i od czegoś, co nam się wydawało wygodną drogą; ale przestrzeń bardzo powoli malała.

Wreszcie znaleźliśmy się na dole. Zdawało nam się, że już wszystkie trudy są za nami, ale niestety rozczarowaliśmy się niemile. Okazało się bowiem, że to, co z góry wyglądało na drogę, wcale nią nie było. Był to stary tor kolejki konnej, zbudowany z podłużnych i poprzecznych belek do kilkumetrowej wysokości. Przestrzeń między belkami wypełniała kiedyś ziemia. Teraz ziemia opadła, a zostało samo rusztowanie spróchniałe, połamane i poprzerywane w wielu miejscach. Cóż było robić? Skakaliśmy dalej na przestrzeni kilku kilometrów po śliskich belkach, wpadali w dziury i doły lub przedzierali się przez gęste, obok rosnące krzaki, trzymając się ciągle toru w nadziei, że przecie w końcu wyjdziemy na jakąś drogę.

Odetchnęliśmy z ulgą, ujrzawszy z prawej strony drogę leśną, prowadzącą w pożądanym kierunku. Zeszliśmy na nią, ale nasze udręki jeszcze się nie skończyły. Droga prowadziła przez teren bagnisty i zbudowana była z poprzecznie ułożonych beleczek. W czasie pogody byłoby może jako tako. Ale teraz po deszczu cała droga zalana była wodą. Brnęliśmy po kostki. W dodatku w niektórych miejscach spróchniałe belki załamywały się, a wtedy wpadało się w grząskie błoto. Pamiętam, że raz, nie widząc pod wodą luki między belkami, wpadłem w bagno po kolana. Jak pięknie wyglądaliśmy wszyscy, można sobie wyobrazić. Jedno nas pocieszało. Wypogadzało się stanowczo. Pod koniec dnia błysło nam ogromne, czerwone słońce na zachodzie. Bagnisko, po którem stąpaliśmy już bez żadnych ceremonij, zaróżowiło się, ożywiło i nabrało barw.

Ciemno już było, gdyśmy wreszcie stanęli u ujścia Prawicza na gościńcu prowadzącym do Ludwikówki. Stąd mieliśmy jeszcze 4·5 km.

Późnym wieczorem stanęliśmy w Ludwikówce.

Byliśmy zmęczeni okropnie. Pierwszą troską naszą było znalezienie kwatery. Tuż przy zbiegu gościńców ujrzeliśmy wielki dom, jasno oświetlony, dokąd bez wahania skierowaliśmy kroki i trafiliśmy doskonale. Była to gospoda, oczywiście żydowska, gdzie można było zjeść i przenocować.

Żyd obrzucił nas w pierwszej chwili nieufnem spojrzeniem. Przemoknięci, obłoceni i obdarci, wyglądaliśmy istotnie podejrzanie. Ale nasza wymowa, a przedewszystkiem fakt, że mieliśmy ze sobą strażnika lasów państwowych z torbą, orzełkiem austrjackim i strzelbą na ramieniu, wyjaśniły odrazu sytuację. W ciągu kilku minut wprawiliśmy w ruch całą rodzinę żydowską. Żyd pobiegł na piętro przygotować dla nas pokój i łóżka, jego zacna małżonka znosiła nieprawdopodobne ilości mleka i przyrządzała uczciwszą kolację, a dwie pulchne żydóweczki rozwieszały przy kuchni

nasze mokre okrycia. Dla Wasyla znalazła się kwatera na dole, nas zaprosił gospodarz na piętro. Pożegnaliśmy więc naszego przewodnika, który wczesnym rankiem miał już wracać do domu i weszliśmy do naszego pokoju. Co za rozkoszny widok, co za przepych!

Trzy łóżka napęczniałe od poduszek, pierzyn i innych betów stały dumnie pod ścianami. Na środku stół nakryty do kolacji, woda do mycia i t. d. — słowem, wszystko, czegośmy w tej chwili mogli zapragnąć. Takiej kwatery nie spodziewaliśmy się nawet w naszych najśmielszych marzeniach.

Żyd krzątał się, przynosił kolację, suszył nam przemokłe szatki i bawił rozmową.

— Aj, aj, że to panom tak się chce poniewierać po tych górach. Jabym tam nie poszedł, żeby mi kto nawet płacił, a panowie tak za darmo. A może to taka manipulacja?

— Coza manipulacja?

— Nu, taki, co mierzą z instrumentem te lasy.

— Nie panie, my tak całkiem dla przyjemności.

— Dla przyjemności? Tak si męczyć?

Kiwał głową z pewnem politowaniem, zdziwieniem i rezygnacją i zdawał się mówić:

— Ha, trudno, bywają i tacy.

Poszedł wreszcie spać, w domu się uciszyło, a my z niemałą rozkoszą wyciągnęliśmy strudzone członki na miękkich łóżkach. Po tylu trudach wypoczywaliśmy z prawdziwem zadowoleniem. Ale niestety, w chwilach największego zadowolenia lubią na człowieka przychodzić przykre refleksje. Przyszły i na nas:

Czem my właściwie za to wszystko żydowi zapłacimy? Mleko, kolacja dla nas i Wasyla, nocleg, jutro śniadanie, wszystko to razem będzie kosztowało kilka koron, a my mamy zaledwie kilka halerzy. Prosić żyda, żeby zaczekał, było dla nas rzeczą zbyt upokarzającą. Zresztą mógł się nie zgodzić. Jedno tylko znaleźliśmy wyjście. Któryś z nas musi zaraz jutro rano pójść do Mizunia, wziąć pieniądze i wrócić na wieczór tutaj. Dwaj inni odpoczną tymczasem, poczem przenocujemy tu jeszcze jedną noc i pojutrze ruszymy w dalszą drogę przez Dauszkę, zgodnie z ułożonym planem.

Jakoś tak wypadło, że ja się podjąłem spełnienia zaszczytnej misji przyniesienia pieniędzy.

Rankiem następnego dnia zebrałem się szybko i chyłkiem, tak, żeby żyd nie widział, wymknąłem się z gospody. Przebywszy 20 km. drogi

gościńcem i ścieżkami popod Łysą, stanąłem na południe w Mizuniu Nowym. Spiesznie zjadłem obiad, wziąłem 10 koron, a nie chcąc odbywać pieszo drugich 20 km., wsiadłem na rower i drogą okrężną na Mizuń Stary, Wygodę i Wełdzirz, odbywszy 30 km. drogi rowerem, dostałem się przed wieczorem do Ludwikówki. Miałem za sobą porządną turę i dość powodów, aby z przyjemnością myśleć o wygodnym noclegu w Ludwikówce.

Moi towarzysze powitali mnie z radością. Sytuacja była uratowana. Spędzimy tu jeszcze jedną noc, a rano pomyślimy, co dalej. Właśnie mieliśmy zamówić kolację, ale coś mnie tknęło. Trzebaby przecież zrobić naj-



Jajko Ilemskie.

*(Fot. A. Lenkiewicz).*

pierw z żydem rachunek, aby się zorjentować, ile to będzie kosztowało. Odszukałem naszego gospodarza i zażądałem rachunku. Wyraził zdziwienie z powodu mego tajemniczego zniknięcia i powrotu z rowerem. Nie wyłuszczając powodów, powtórzyłem prośbę. Żyd poskrobał się w głowę, wziął papier, wyjął ołówek z za ucha i zaczął liczyć.

— Cztery kolacje, cztery noclegi, śniadania, obiady i t. d. — pozycje rosły z przerażającą szybkością. Przy tej sposobności dowiedziałem się, że moi towarzysze urządzili sobie w czasie mojej nieobecności forsowne od-

żywianie, czemu się zresztą zupełnie nie dziwiłem. Jednak z niemałą tremą oczekiwałem końca tych obliczeń. Wreszcie padł wyrok:

— Panowie zapłacą — mówił żyd uprzejmie — dziesięć koron i cztery halerze...

Zrobiło mi się trochę niemiło. Podałem żydowi dziesięciokoronówkę i cztery halerze, wróciłem do towarzyszy i opowiedziałem, co się stało. Byliśmy zmartwieni. O nocowaniu w Ludwikówce nie było już mowy. Musieliśmy natychmiast opuścić gospodę. Spełzły na niczem moje nadzieje na wygodne spanie po trudach dzisiejszej drogi, a drugi raz biegać do Mizunia po pieniądze nie miałem ochoty. Szybko spakowaliśmy swoje worki i wyszliśmy z gospody.

Był pogodny wieczór, niebo wyiskrzone gwiazdami i chłód przenikliwy. Byliśmy bezdomni i znalazłszy się na gościńcu, zaczęliśmy radzić, co zrobić ze sobą. Wreszcie postanowiliśmy, trzymając się ułożonego planu, podejść pod stoki Dauszki, w pierwszym lesie rozpalić ognisko i przesiedzieć przy niem do rana. Była tylko kwestja, co zrobić z rowerem. Moi towarzysze uparli się, aby iść przez Dauszkę, mnie wobec tego wypadało wracać samemu na rowerze. Ale jakże nie odbyć wycieczki do końca? Na wszelki wypadek postanowiłem spędzić z nimi noc, odkładając dalsze plany na potem.

Dwa kilometry za Ludwikówką rozbiliśmy w lesie obóz, rozpalili ognisko i przesiedzieli przy niem do świtu. Tymczasem ja namyśliłem się stanowczo. Niech się co chce dzieje, biorę rower na plecy i idę z wami.

Tymczasem wypadało zjeść śniadanie. Zaczęliśmy szperać po workach i jedynym przedmiotem jadalnym, jakiśmy wygrzebali, była mała puszka sardynek. Sarninę zostawiliśmy Wasylowi. Otworzyliśmy więc sardynki, ale ich woń nie była zachęcająca. Mój przyjaciel powąchał i zostawił, ja skosztowałem tylko i dałem za wygraną. Za to trzeci nasz towarzysz z zapałem zabrał się do puszki i w krótkim czasie pochłonął całą jej zawartość wraz z ościami i oliwą. Skutek był na szczęście szybki i stanowczy, a sardynki wróciły tą samą drogą na łono natury.

O chłodzie i głodzie zaczęliśmy podchodzić ścieżką na grzbiet Dauszki. I teraz zaczęła się dla mnie naprawdę istna Golgota. Wynieść ciężar roweru 600 m. w górę nie byłoby rzeczą zbyt uciążliwą, ale mieć na plecach takie długie i niewdzięczne bydlę, co w nagrodę za to, że się je niesie, bije człowieka ciągle pedałami po bokach — nie należało do miłych sposobów odbywania wycieczki górskiej. W dodatku zawsze bestja musiał o coś

zaczepić: to o pień drzewa, to o gałąź, to o patyk sterczący. Ileż razy leżałem pod nim! Ale najbardziej dał mi się we znaki na samym grzbiecie Dauszki. Wypadało nam przejść przez zrąb. Trzeba było przedzierać się przez krzaki i wiatrołomy, przełazić co chwila przez ogromne pnie powalonych drzew, najeżonych gałęziami — właśnie po to, aby rower miał o co zaczepić. Całą naszą pociechą były obficie rosnące maliny i borówki, które zresztą stanowiły tego dnia jedyne nasze pożywienie.

Piękny widok ze szczytu wynagrodził do pewnego stopnia poniesione trudy.

Przeszliśmy na drugą stronę w kierunku doliny Mizunki i tu było już znacznie lepiej. Dobrze utrzymane ścieżki w terenie lasów państwowych ułatwiały mi znacznie pochód z rowerem. Było już chyba popołudniu, gdyśmy zeszli wreszcie na gościniec w dolinie Mizunki, zrobiwszy jakich 10 km. drogi. Tak się odbyło pierwsze, zupełnie osobliwe i zapewne nie powtarzane dotychczas przejście pasma Dauszki z rowerem. Teraz mieliśmy jeszcze 16 km. gościńcem do domu. Ale w planie było prócz tego zwiedzenie wielkiej klauzy w Sobolu, t. j. przedłużenie drogi jeszcze o 14 km. Nasz zapał wycieczkowy był tak wielki, że mimo zmęczenia i głodu, mimo, że nasze trzewiki kończyły już całkiem stanowczo swój byt we właściwej sobie postaci, jakoś bardzo ciężko było nam odstąpić od nakreślonego planu. To też, kiedyśmy przyszli do miejsca, gdzie się zaczynała boczna droga do klauzy, zaczęliśmy się namyślać. Zdania były podzielone, więc zdaliśmy decyzję na łaskę losu. A losowanie odbyło się tak: wyciągnęliśmy jedyną pozostałą dwuhalerzówkę. Jeśli rzucona na ziemię padnie orzełkiem do góry, idziemy do Sobola, jeśli dwójką, do Mizunia. Wypadła dwójka i poszliśmy do Mizunia. Głód tak nam dokuczał, że za tę dwuhalerzówkę kupiliśmy po drodze od jakiegoś chłopa kromkę chleba. Ale chleb był tego rodzaju, żeśmy go jeść nie mogli.

Wycieczka nasza miała piękne i godne zakończenie. Parę kilometrów przed Mizuniem złapała nas już późnym wieczorem gwałtowna burza. Niebo poprostu oszalało. Ulewny deszcz, grzmoty i błyskawice towarzyszyły nam do samego domu.

Przyszliśmy prawie na bosaki, przemoknięci, obdarci, wygłodzeni i zmęczeni, ale mimo wszystko pełni zadowolenia z powodu odbycia sześciodniowej wycieczki, która tyle nam zostawiła wspomnień na całe życie.

*Adam Lenkiewicz.*

# Przyczynki do poznania grot lodowych w Tatrach.

## I. W sprawie powstania Groty Lodowej w Kamiennem.

Jak wynika z opisów i rysunków (przekrojów) Groty Lodowej publikowanych w artykule pp. Zwolińskich w tomie I, str. 37—42 „Wierchów“ Grota Lodowa w Kamiennem pod Ciemniakiem w grupie Czerwonych Wierchów ma kształt komory o dwóch otworach: jednym wejściowym, dość szerokim i dostępnym, który prowadzi do części mniej lub więcej horyzontalnej groty; drugim, wąskim, o przekroju rury, zawalonym głazami i niedostępnym, tworzącym wylot niemal pionowego komina, którym grota ku górze się kończy. Powietrze, którego cyrkulacja w grotach, obok temperatury i niewielkiej ilości wody jest miarodajnym dla powstawania grot lodowych czynnikiem, wchodzi do groty w Kamiennem oboma tymi otworami: Że przedostaje się do groty także otworem górnym, na to mieli dowód pp. Zwolińscy i prof. Stecki podczas jednych z odwiedzin grot, kiedy przez ten wąski otwór słyszeli dobrze poświst wiatru halnego.

Zjawisko to, podobnie, jak ogólny kształt i przekrój groty, przypomina bardzo silnie alpejskie groty lodowe, typu, zwanego przez uczonych niemieckich „Windröhre“ lub „Durchgangshöhle“, co możnaby określić po polsku jako grota „przewiewowa“. W typie tym, przy takiem ułożeniu otworu wejściowego i ujściu komina, jak to jest w grocie w Kamiennem, oraz przy takim stosunku właściwej groty (poziomego korytarza) do komina (prostopadłej, do góry prowadzącej rury), występuje na wielkich wzniesieniach nad poziom morza zjawisko nierównomiernego działania prądów powietrznych zimowych i letnich, tak, *że średnia temperatura takiej groty leży stale poniżej średnicy temperatury rocznej danego punktu.* Ponieważ ta średnia temperatura roczna takiego wysokogórskiego punktu jest z natury rzeczy bardzo niska, zjawisko całe prowadzi do ustalenia się w grocie temperatury poniżej zera zamarzania wód, przesiąkających do groty przez szczeliny skał, wśród których grota leży i w rezultacie do wytworzenia się wielkich mas lodu. W ten sposób powstały n. p. wspaniałe jaskinie lodowe lgrupy Dachstein'u w Alpach Wschodnich, ze stalaktytami i stalagmitami odowymi, lodospadami i t. d. — tak też tłomaczę sobie powstanie Groty Lodowej w Kamiennem, położonej wśród przesiąkliwych i potrzaskanych wapieni Czerwonych Wichrów.

Ostateczne rozwiązanie mego przypuszczenia możliwe byłoby, rzecz asna, tylko przy dokładnem geologicznem i geofizycznem zbadaniu tej groty, z pomocą dalszych jeszcze badań odkrywczych w stylu tych, które tak skutecznie i pożytecznie przeprowadzają w Tatrach od lat kilku pp. Zwolińscy. Sprawą tą należałoby się zająć celem zbadania tego ciekawego i jedynego na ziemiach polskich zjawiska, jakiem jest ta grota i sądzę, że geneza jej przy zgodnem współdziałaniu wszystkich zainteresowanych badaczy dałaby się niedługo rozwiązać.

*Walery Goetel.*

## II. Kilka spostrzeżeń dokonanych w grocie lodowej w Kamiennem.

Szata lodowa tej groty nie jest stałą. We wrześniu 1923 roku, nad drugim progiem lodowym, od wejścia po prawej stronie, był tylko dość nikły stalagmit lodowy, dający się zauważyć na przekroju B. w planie T. Zwolińskiego, Wierchy II str. 39. W dniu 12 lipca 1924 roku, to samo miejsce przedstawiało się natomiast tak, jak to uwidacznia załączona fotografja. Wymieniony stalagmit przybrał na rozmiarach i zdradził zarazem swoje pochodzenie: był połączony „stalaktytem“ w postaci pasa lodu, o przekroju wydłużonego owalu, z kominem czy szczeliną w stropie groty, skąd woda czy lód wypływał. Pas ten składał się z grubo krystalicznych ziaren lodu, stojących w pionowych szeregach nad sobą; średnica największych ziaren nie przekraczała 3 cm. Długość pasa lodu, od stropu



po stalagmit wynosiła ok. 3 m., szerokość ok. 0·5 m., a największa grubość ok. 0·2 m. Drobniejsze stalaktyty, zwisające ze szczeliny w ścianie groty, wykazywały podobne szczegóły; prócz tego można było stwierdzić na nich budowę odśrodkowo promienistą.

Również zwał lodu na III progu, t. zw. „lodospadzie", wykazywał podobną budowę ziarnisto-krystaliczną, szczególnie w okolicy t. zw. „nawisu". Ziarna odgraniczały się ostro od siebie i wykazywały zarysy 4-, 5- i 6-boczne. Powierzchnia poszczególnych ziaren była pokrytą licznemi żebrowaniami figur wytrawionych, wykazującymi jednorodność osobników krystalicznych.

Prześwietlając warstwę lodu na t. zw. „ślizgawce" można było zauważyć pod jej powierzchnią, inne wyraźnie oddzielające się, jak gdyby starsze warstwy, równoległe do powierzchni lodu. Grubość całej tafli lodu nie przekraczała paru decymetrów.

*Ludwik Chrobak.*

---

## III. Inne groty lodowe w grupie Czerwonych Wierchów.

(W Ilustr. Kurjerze Codziennym (z 23 marca b. r.) znajdujemy artykuł dr. Adama Gadomskiego, z którego pozwalamy sobie przytoczyć kilka interesujących ustępów).

Grota lodowa w Ciemniaku odznacza się kierunkiem ku górze od wylotu, natomiast do rzędu grot lodowych cechujących się kierunkiem w dół od wylotu, a więc typu dobszińskiego, należy zbadana przez braci Zwolińskich grota zwana Studnią w Dziurawem. Znajduje się ona ponad grotą „Piwnicą Miętusią" w dolinie Małej Świstówki prawie pod skałami Żarów, wśród żłobów wapiennych, pokrywających całe zbocze Dziurawego. Jest to owalny otwór jak gdyby studni, o ścianach gładkich i zupełnie prostopadłych. Głębokość jej, licząc do zaścielającego dno lodu, wynosi 25 m. Co dalej jest, tego nie można było stwierdzić z powodu tejże przykrywy lodowej.

Podobne studnie — przypominające spotykane w Krasie francuskim areny, znajdują się w kilku innych miejscach, w okolicach Czerwonych Wierchów, zwłaszcza w grzbiecie Krzesanicy. Natomiast o wiele więcej ciekawą jest również świeżo zbadana grota lodowa w Krzesanicy, o której wiadomość otrzymałem z ust dr. Wiktora Kuźniara, który jeszcze przed wojną, robiąc profil geologiczny północnych stoków Czerwonych Wierchów od doliny Miętusiej do ściany Krzesanicy, po ciężkiej, trudnej drodze, znalazł w ścianie szczytu otwór groty, która następnie okazała się lodową.

Udałem się tedy na poszukiwanie tejże groty w towarzystwie p. T. Kozłowskiego z Warszawy i p. Stobieckiego z Krakowa. Grota ta znajduje się w wysokości około 1.900 m. w ścianach Krzesanicy, a dostęp do niej może się odbywać albo z dołu bardzo ciężko, albo z góry, od tak zwanej Szczerby pomiędzy Ciemniakiem a Krzesanicą. Idąc z góry od Szczerby w dół, ku dolince Mułowej, stromym żlebem wśród wapiennych ścian, natrafiamy na pierwszą wkładkę czerwonych łuplin trjasowych (40 cm.); wkładek tych jest więcej ku dołowi. Postępując teraz równolegle do pierwszej wkładki w stronę wschodnią, znajdujemy otwór groty, wielkości człowieka. Grot tych jest więcej i do naszej nie tak łatwo jest trafić, trawersując urwistą półkę. Grota zapada w głąb od wylotu i postępując, wkrótce napotykamy lód, opadający ku dołowi. Schodzenie po tym stromo nachylonym lodzie jest najtrudniejszą partją i należy się przy niej asekurować liną. W dolnej części grota jest całkiem lodem zablokowana, a należy przypuszczać, iż ma swój dalszy ciąg we wnętrzu podziemnego labiryntu Czerwonych Wierchów, zwłaszcza, iż wyżłobioną jest w miękkich łupkach trjasowych, stromo opadających ku południowi.

Ponieważ z drugiej strony Czerwonych Wierchów, po słowackiej stronie, w dolinie Rozpadłej, również znajdują się wyloty owych wkładek trjasowych, naturalnie znacznie niżej położone, a z wylotami tymi połączonem jest również występowanie licznych grot w tejże dolinie, być może, iż istnieje połączenie podziemne na wylot Czerwonych Wierchów. Groty w dolinie Rozpadliny są bardzo mało znane i nie badane (przed wojną częściowo zwiedzał je p. Marjusz Zaruski), a natomiast wyloty grot od strony doliny Mułowej, jako trudno dostępne, są zupełnie nieznane, tak, że zajęty w W. Tatrach głównie robotami morfologiczno-glacjalnemi, nie mogłem im tyle czasu poświęcić, by problem tych grot rozwiązać całkowicie. Te, które zwiedziłem, okazywały się zablokowanymi lodem i śniegiem, a niektóre z nich występują nawet na grani Krzesanicy i mogą swemi dziurami ku dołowi stanowić poważne niebezpieczeństwo dla turystów, schodzących po nocy z Krzesanicy, nawet zwyczajną ścieżką.

Przy sposobności stwierdzenia wkładek tryjasowych, przebijających na wylot masyw Krzesanicy i związanych z niemi występywaniem grot po polskiej i słowackiej stronie, należy zwrócić uwagę na pewną nienormalność odwodnienia półn. stoków Czerwonych Wierchów. Stwierdzamy bowiem, iż dolina Wielkiej Świstówki jest zupełnie suchą, tak, że potok Miętusi płynie dopiero z obszarów trjasowych reglowych, natomiast południowe stoki Czerwonych Wierchów w stronę doliny Cichej, są bardzo obficie odwodnione, jak n. p. potoki Tomanowy i potok doliny Rozpadłej.

Przyczyna tego leży w ułożeniu warstw, które zapadają ku południowi, a na północ wychodzą w górę, odpływ zaś naziemny po stromiznach ku Miętusiej Dolinie utrudniają moreny stadjalne, nałożone w kotłach Mułowym i Litworowym. Skutkiem tego wody spływające z Czerwonych Wierchów w dolinę Litworową i Mułową, nie mając odpływu, wsiąkają szczelinami w podłoże i płyną wzdłuż szczelin ku południowi wstecznie w głąb, zasilając bogato stronę południową w wodę, a pozostawiając stronę północną suchą.

Główny więc dział wód nie przebija szczytami Czerwonych Wierchow, a wody, spływające ku północy z tychże, mają krzywą spadku odwróconą.

*Adam Gadomski.*

# O Góralach i ich stosunku do ludności napływowej.

I.

Wśród nawarstwionych poniżej myśli przewija się jedna przewodnia: chrońmy górala tatrzańskiego od zagłady, której jest bliski.

Dowody? W statystyce chorób i zbrodni ostatnich kilku dziesiątków lat na Podhalu.

Chronić, znaczy opiekować się, wychowywać. Dlatego to, co tu podaję, jest małym wycinkiem z wieloletnich rozmyślań o wychowaniu człowieka. W treści tego wycinka mieści się tylko tyle pierwiastka uczuciowego, ile go z sobą wnosi niepokój o losy góralszczyzny, które mnie osobiście są bliższe, niż losy samych gór, ich fauny i flory. Pozatem jestto gra czysto racjonalistyczna, daleka od artystycznego emocjonalizmu, a więc irracjonalizmu. Gdyby się trzeźwi cofali przed terrorem fanatycznego artyzmu, który wszelką trzeźwość piętnuje jako ciasnotę, pospolitość i fili-

*Przyp. Redakcji.* — Artykuł ten, mimo to, że w niektórych punktach z nim się nie zgadzamy, drukujemy z wielką przyjemnością, w nadziei, że zainauguruje on dyskusję nad tą tak bardzo ważną przez Szan. autora poruszoną sprawą, sprawą fizycznej i moralnej degeneracji górali przy zetknięciu się ich z ludnością napływową. Oprócz poruszonej tu strony biologicznej, ma ta rzecz jednak inną jeszcze stronę: zanik swoistych cech góralskiej kultury, ujawniających się w języku, budownictwie, sztuce zdobniczej, stroju i obyczaju. Dyskusję, którą chcielibyśmy tym artykułem otworzyć, należałoby przeto rozszerzyć i w tym kierunku, czy, o ile i jakimi środkami można i należałoby przeciwdziałać temu zanikowi swoistych cech góralszczyzny. Sprawa „Ochrony swojszczyzny" na Podhalu jest sprawą analogiczną do wysuwanej obecnie z coraz to większym naciskiem sprawy ochrony przyrody górskiej. Oczekujemy w tym względzie zainteresowania się i współpracy naszych czytelników.

sterstwo, musielibyśmy się wyrzec wychowywania, którego podwaliną jest trzeźwość, nie afekt.

Mówię o typie górala przeciętnym, najliczniejszym, wziętym z życia potocznego, całodziennego, chwyconym na kliszy trzeźwości, która wiernie oddaje rzeczywistość, nie o wyjątkowym, ani też o tym, którego znamy z literatury, ze sceny, z obchodów lub reklamy afektowanych entuzjastów.

Przeciętny góral dzisiejszy niedaleko odbiega od stanu półdzikości, zaznaczonego wyraźnie w Kronice ks. Józefa Stolarczyka (1847—1893).

Dowody? W obyczajach, słowach i czynach. O dowody łatwo jednak tylko tym, którzy mają oczy ku widzeniu, uszy ku słyszeniu, a nosy ku wąchaniu. Ci już nie potrzebują dotykać, ani kosztować góralskiej kultury, na którą się składały: walka z twardą, bezlitosną przyrodą, zachłannością starostów i ich siepaczy, napastliwością sąsiadów południowych, a nadto naśladowanie mieszkańców wsi, miasteczek i miast przez górali gnanych w świat przypadkiem, potrzebą, ciekawością, lub przymusem, jak n. p. służbą wojskową w pokoju i wojnie.

Elektrony takich związków chemicznych jak alkohol, nikotyna, bombardowały oddawna tkankę mózgową i nerwową górali nie mniej, niż innych wieśniaków i mieszczan. Przykład bliźnich o „wyższej“ kulturze, których mieszkaniec gór oglądał w świecie, wywierał wpływ znany. Odkąd zaś chorzy i zdrowi z bliższych i dalszych okolic poczęli gromadnie napływać w góry jako przelotni goście, lub osiadać na stały pobyt, zataczał wpływ kultury „wyższej“ coraz szersze kręgi wśród góralszczyzny. Ale ta „wyższość“ w nielicznych tylko wypadkach była istotna.

Zato w nielicznych również wypadkach odpłacali się górale podarkami swojej starej w góralach przechowanej kultury. Przybysze wnosili postęp w sprawach sanitarnych, administracji, komunikacji i t. p. — górale ofiarowali swoje zdobnictwo, budownictwo, a twórczej podniety dostarczyli artystom.

W namiętnościach i żądzach atoli nie ustępowali sobie wzajemnie, a zwiększające się z przybywaniem obcych zarobki górali dostarczały środków do nadużyć, pijaństwa i rozpusty.

Szczepienie ideałów socjalnych i politycznych było i jest dobrą sposobnością do szerzenia demoralizacji.

Wśród gości i stałych osadników w Zakopanem były reprezentowane wszystkie warstwy społeczne, a wyższa inteligencja, zwłaszcza z odległych stron Polski wpadała pod działaniem czaru przyrody górskiej i kontrastu między uciskiem w domu a swobodą w Zakopanem, w pewien rodzaj obłędu górskiego, który pozbawiał krytycznego spojrzenia na ludność góralską i trzeźwego o niej sądu.

Natury artystycznie wrażliwe nie musiały aż zdaleka przybywać, aby ulegać temu oszołomieniu. W zachwytach i podziwianiu głośnem a bezpośredniem nie było miary. I dzisiaj jeszcze tak się dzieje na szkodę górala z wychowawczego punktu widzenia.

W takim nastroju przybysz kulturę górali przeceniał, w oczy chwalił, a równocześnie przykładem własnym w różny sposób na pokuszenie wodził. W ostatnich czasach pojawiają się jednak coraz częściej żale na prostactwo górali zakopiańskich i inne ich wady, a skargi, drwiny i szyderstwa w prasie. Ale czy i dzisiaj ci zawodowi lub przygodni korespondenci starają się świecić dobrym przykładem tym prostakom podczas pobytu w Zakopanem?!

Urodziłem się na Podhalu, Góralka mnie piersią swoją wykarmiła, dziewczęta góralskie mnie do snu kołysały w dzieciństwie, chodziłem do szkoły z Miętusami, Nowobilskimi i innymi góralami, znam ich zwyczaje, obyczaje, zapatrywania i t. d., ale mi się w głowie nie zmąciło od ich cnót i przymiotów homeryckich; przeciwnie, nabyłem przekonania na podstawie doświadczenia i bezpośredniej obserwacji, że góralski lud ulegnie zupełnej zagładzie, jeżeli w jego trybie życia nie zajdą zmiany, które go mogą uratować.

Idąc dalej śladami bohaterów sławionych w literaturze podhalańskiej, dojdzie ten niegdyś przynajmniej fizycznie dorodny typ ludu górskiego w niedługim czasie do powszechnego sietniactwa i matołectwa, jak Walek Prascularz ze Zębu, który sobie myślał: „Bez co to tys to, co jo jest taki? Co jek komu zrobił i co jek winowaty, co jo je jest taki?“ (K. Tetmajer, Na skalnem Podhalu, O Walku Sietniaku). Odpowiedzieć łatwo Walkowi: to zasługa przodków i tych, co ich wychowywali.

Ochrona gorala przed zagładą jest jego naturalnem prawem, co najmniej tak naturalnem, jak ochrona flory, fauny i krajobrazu tatrzańskiego. W narodowym parku tatrzańskim powinnaby specjalna ustawa chronić górala od wyniszczenia przez chorą kulturę. Miłośnicy Tatr mają dobrą sposobność odznaczenia się przez wprowadzenie w życie tej idei we wszystkich towarzystwach i instytucjach pracujących na niwie wychowania fizycznego i intelektualno-etyczno-estetycznego, nie wyłączając zrzeszeń samych górali.

Dotychczas tylko Duchowieństwo i Nauczycielstwo zajmowało się tą sprawą — dodajmy — z małym skutkiem.

Znałem w młodości człowieka, który kilka razy wziął mnie z sobą w góry. Chadzaliśmy w milczeniu. To był jego warunek. Ten taternik sia-

dywał na wierchach i szlochał jak dziecko. Patrząc na niego, bywałem sam przejęty jakąś bezmierną tęsknicą. Łkanie nieutulone wstrząsało jego całą postacią, a mnie ciągło „coś“, żeby skoczyć w przepaść i skończyć z mizerją nizinnego życia, do którego wracać miałem.

Zdarzyło nam się spotkać raz gromadną wyprawę jednego z ówczesnych mecenasów tatrzańskich, z góralską muzyką, śpiewem i strzelaniną. Wtenczas towarzysz mój zerwał się do obłędnej ucieczki, jak zwierz, któremu grot utkwi w ciele i nie zatrzymał się aż tam, gdzie nie było ani widać, ani słychać owej głośnej gromady.

Był to człowiek przeczulony, ale go można zrozumieć.

To pewne, że nie udawał, bo się później nie mógł uspokoić ze śmiechu, którym chciał pokryć swoje zażenowanie z powodu swego zachowania się. Ten uważał góry za świątynię, ale Górali nie znosił i unikał ich stale, szczególniej podczas wycieczek, jako niegodnych Tatr.

Dziwactwo i przesada. Ale słusznie miał, gdy mówił, że Górale żyją nawet na wirchach życiem „nizinnem“. A gdy już wtenczas ktoś zauważył, że „rasa“ góralska jest na wymarciu, bąknął: „im wcześniej, tem lepiej“. Pewnie, że kiedyś wszystko się skończy, ale dlaczego jakakolwiek rasa, mała, czy wielka, ma umierać po szpetnem, gnojnem życiu, dlaczego ma mieć starość przedwczesną, cuchnącą, niechlujną, dlaczego góral nie ma odpaść z drzewa życia jako owoc dojrzały i szlachetny, usypiać snem wiecznym, wydawać ostatnie tchnienie w jasności duszy i czystości ciała? Dlaczego?

Planem ochrony Górala w zarysie zajmuję się w drugiej części.

Te homeryckie przymioty, jak: fantazja, poczucie honoru, dostojeństwa, rozmach i humor szekspirowski, które dostrzegają w Góralach dawnych ich wielbiciele, zanikły w zakopiańskich doszczętnie, a w dalszych pozostały tylko ich resztki. Atoli w szczytowym okresie swego rozwoju mogły one budzić zachwyty artystów, nie biologów. Tym ostatnim przedstawiają się jako odruchy marnujące energję i wiodące najkrótszą drogą do wyczerpania rasy przez wyczerpanie osobników.

Jest pewna analogja między skarlałą descendencją wielkich harnasiów tatrzańskich a wielkich talentów we wszystkich dziedzinach energji psychicznej człowieka. Tu i tam potomstwo jest pośladem hodowli. Czy to tak być musi? Czy nie jest to u człowieka tylko niezdolnością stosowania praw genetyki do siebie samego? Czy się to nie da zmienić?

Zaliby nie spróbować na Góralach?

## II.

Zastanawiając się nad planem ochrony Górala, zadaję sobie pytanie, jakie jej cele wytknąć należy, a przedewszystkiem, czy skierować usiłowania ku przywróceniu tej góralszczyzny, którą znaleźli około połowy zeszłego stulecia „odkrywcy“ Zakopanego i przodownicy „taternictwa“ w Polsce, czy też dążyć do przyswojenia ludności góralskiej nietylko Podtatrza, ale całych Karpat polskich tej kultury, która powinnaby być ostatecznym celem rodu ludzkiego, t. j. kultury zgodnej z wynikami badań naukowych i etyką, która jest podstawą ustawodawstwa przeważnej części ludów ziemi.

Na pierwsze pytanie odpowiadam, że przeszłość ma godne siebie miejsce w muzeach, kronikach, w sztuce, legendzie, że chwila bieżąca ylko tam może szukać zetknięcia z przeszłością, której ani zmienić, ani tprzywrócić nie zdoła. O ile zaś człowiek posiada w bieżącej chwili możność wywierania wpływu wychowawczego na siebie i innych ludzi, to jako cel przyświecać mu może jedynie kultura. A nie jest ona ani przeciwieństwem, ani czemś odrębnem od natury, lecz właśnie tylko jej wytworem, boć przecież energja psychiczna człowieka, z której wynika kultura, jest zjawiskiem przyrodzonem, nie nadprzyrodzonem.

Wychowanie jest czynnością szczepienia kultury, a ochrona Górala może odbywać się tylko przez jego wychowanie, czyli przez kulturę.

Szerzyciele kultury powinni jednak wiedzieć, co, kiedy, jak, gdzie i ile pozostawić, a co zmienić lub usunąć z pierwocin rozwojowych, kiedy z nich korzystać, jako z godnych naśladowania wzorów.

Wychowanie nie jest przecież kulturą czystą, a więc intelektualną, czy uczuciową rozkoszą, sobie samej poświęconą, ale użytkową, t. j. zastosowaną do optimum biologicznego, tak w zakresie fizycznym, jak psychicznym.

Pojęcie prawdziwości lub fałszywości kultury zależy od założenia, z którego się wychodzi. Ja n. p. mierzę wartość kultury trwaniem i napięciem cierpienia przy wykluczeniu środków zmieniających wrażliwość.

Jeżeli dojdziemy do zgodnego przekonania, że kultura Górali nie jest ani zdrowa, ani wysoka, to chociażbyśmy nie sobie wyłącznie — my napływowcy — przypisywali ten stan rzeczy, może nie zrzekniemy się ani kompetencji, ani obowiązku wzięcia w odpowiedniej mierze udziału w uzdrawianiu i dźwiganiu tej kultury.

Zdaje mi się, że w celu rozpoznania faktycznego stanu, należałoby rozpocząć od statystyki.

Oto daty, które poznać należy: Ilość ludności góralskiej, po dokładnem określeniu, którą za taką uważać można. Śmiertelność wogóle, śmiertelność wśród dzieci, stan chorób wenerycznych i gruźlicy, stan ostrych chorób zakaźnych (mimo korzystnego klimatu), ilość dzieci nieślubnych, matołków (od urodzenia), chorób umysłowych, zbrodni, analfabetów; ilość ziemi ornej, łąk, pastwisk, lasu, ilość zagród i domów, bydła rogatego, koni, owiec, świń, drobiu. Stan rolnictwa, przemysłu, rękodzieła i handlu. Statystyka mieszkaniowa i higjena (ile $m^3$ na osobę, czystość chat i obejść, odżywianie, ilość spożytego w ostatnim roku alkoholu, wentylacja, czystość pościeli, bielizny, odzieży i t. p.).

Poznanie tych cyfr pouczyłoby o potrzebie wielu radykalnych zmian, począwszy od gospodarstwa rolnego wraz z racjonalnem mleczarstwem i serkarstwem, hodowlą lnu, konopi, malin, agrestu, porzeczek, truskawek, grzybów z wyrobem soków, powideł i t. p. Przemysł drzewny i kamieniarski, co najmniej dla potrzeb miejscowych i najbliższej okolicy, kasy Reifeisena, wprowadzenie specjalnego typu wózków motorowych, zamiast konnych dorożek z nieuchronnem zanieczyszczeniem ulic końskim nawozem, oto dalsze etapy kultury materjalnej, która dobrobyt zwiększy, a setki mężczyzn uchroni od demoralizacji i pijaństwa, złączonych ściśle z próżnictwem zawodu dorożkarskiego. Ograniczenie szynków do minimum, a zwłaszcza zniesienie ich w najbliższem sąsiedztwie postojów dorożkarzy, byłyby zasadniczemi postulatami w większych miejscowościach (Nowy Targ, Zakopane, Czarny Dunajec i t. p.).

Potrzeby umysłowe Górali są więcej, niż skromne. Należałoby ich w tym kierunku dopiero wychować i przyzwyczaić, wyzyskując w tym celu ich zamiłowanie do zabawy. Odpowiednio pomyślany i wykonany d o m l u d o w y z salami do gier i zabaw z herbaciarnią i restauracją mieściłby w sobie również czytelnię, bibljotekę, salkę dla ćwiczeń w śpiewie chóralnym i drugą dla prób teatru amatorskiego.

Osobne miejsce dla palących tytoń, z prostemi ekshaustorami dymu, nie byłoby zbytkiem, lecz koniecznym środkiem wychowawczym, oduczającym od niekulturalnego zwyczaju podkurzania niepalących wstrętnym nieraz dla nich dymem.

Opieka kobiet, mających nieraz dużo wolnego czasu, nad góralskiemi zaniedbanemi dziećmi, wycieczki kształcące urządzane dla Górali przez Towarzystwo Krajoznawcze, założenie i odpowiednie poprowadzenie hufca góralskiego z pouczeniami o istocie i celach państwowości, o korzyściach organizacji społecznej i ekonomicznej mogłyby sprostować cyniczne pojęcia Górali o polityce i patrjotyźmie, które oceniają najczęściej ze stanowiska

osobistych interesów za przykładem dość licznych „p o l i t y k ó w“ z inteligencji.

Jak dawniej, tak i obecnie żywioł napływowy daje zły przykład także i pod wielu innemi względami, albo podziwia górali niby okazy wystawowe, poufali się. rozwydrza grzecznostkami, pochlebstwami, napiwkami, lub poczęstunkiem in natura. Góral w ten sposób wychowywany, zaczyna wkrótce sam pozować, być natrętnym, poufałym, bezczelnym w żądaniach, a nawet grubjańskim. Są to wszystko skutki niezręcznego postępowania gości i turystów, którym należy przeciwdziałać przez odezwy i częste ostrzeżenia w prasie całej Polski. Przepisy i taryfy powinne obowiązywać obie strony. Naddatki bogatych, czynią nieraz ubogim niemożliwem korzystanie z dorożek lub innych usług.

Nie wątpię, że plan przezemnie nakreślony można rozszerzyć i uzupełnić wielu nowymi pomysłami, że zebranie potrzebnych środków natrafi na znaczne trudności, ale nie takie, którychby przy energji i wytrwałości nie dało się pokonać.

Wyobrażam sobie, że Towarzystwo Tatrzańskie w porozumieniu z Tow. Krajoznawczem i Towarzystwem Muzeum im. Chałubińskiego może zwrócić się do Starostw: Nowotarskiego i Spisko-Orawskiego z prośbą o pomoc w sprawie „O c h r o n y G ó r a l a“.

Prócz tego należałoby, jak mniemam, zaprosić do współdziałania wszystkich Proboszczów i Nauczycieli, Związki Podhalan starszych i młodszych, Związki Górali, Gazetę Podhalańską, Głos Zakopiański, Posłów sejmowych z Podhala i wszystkich, których to zagadnienie zajmuje, starszych do rady, młodszych do pracy.

Szczegóły organizacji mogą być w drodze korespondencji lub przy pomocy Gazety Podhalańskiej i Głosu Zakopiańskiego omówione i ułożone, na razie tylko dla Podhala, a następnie na całe Karpaty rozszerzone ze szczególnem uwzględnieniem tych miejscowości, w których fizyczny i moralny upadek ludności góralskiej domaga się jak najrychlejszego ratunku.

*Tadeusz Mischke.*

Zakopane w styczniu 1925.

# Z włóczęgi po Tatrach.

## (Doliną Białej Wody przez ścianę północną na Galerję Ganku).

— „Już czas!“.

Miały to być uprzejme słowa powitalne p. Marjana[1]), skierowane do mnie w mem własnem mieszkaniu.

Uprzejme!

„Już“ — waliło we mnie mocą rozmachniętego oskarda.

„Czas“ — świsnęło mi w ucho niczem syk rakiety, lecącej przez mroźne powietrze.

Byłem w tej chwili jak napadnięty z nienacka saper, co zaspał, a gdy się zbudził i nim się podniósł, dostał od nieprzyjaciela przeszywający cios w kark, jak ten wykrzyknik po słowie „czas“!

— Ależ Panie...! Nie mogę...!“ — krzyknąłem.

„Najwyższy czas..! Najwyższy czas..!“ powtarzał złowieszczo p. Adaś.

— „Panowie! Zaczekajcie! Mam pisać artykuł... o Tatrach... Już zacząłem. Muszę skończyć!“.

— „No! No! Ty nigdy nie skończysz!“.

I ten jeszcze!! Mój kochany gość! Major, szef sztabu dywizji górskiej — Wisieczek![2]). Stanął przedemną jak przed raportem nad własnym ordynansem i cedził słóweczka soczyście. Koniec rozmyślań byłby dla mnie smutny. Znam, zanadto dobrze znam: — „Tydzień aresztu o chlebie i wodzie!“.

— „Nie naglijcie, drodzy! Dajcie mi dwa dni czasu. Obiecałem, no, trudno! Mogą się losy na was za mnie zemścić. Przeciem najstarszy z Was. Wszak wiecie, że ja też już wytrzymać nie mogę. Wisieczku! nie karz aresztem. Z chleba suchego bolą często zęby. Po wodzie puchlina przychodzi. Zaczekaj!“ —

Godne kompanjony! Czuli, że zaraz iść nie jestem w stanie! Przykrości mi robić nie chcieli. Złączyły nas w taternickiej igrze przeżycia tragiczne i wesołe: taki sprzęg dusze stapia i zostaje na zawsze. Lecz i kunktatorstwu memu kres położyć postanowili; bo też nie co innego odgrodziło nas przez kawał czasu od reszty miękkiego życia, jak rozkaz piorunny.

G a n e k  o d  p ó ł n o c y!

---

[1]) Wycieczkę opisaną odbyłem z braćmi: pp. D-rem Marjanem i Adamem Sokołowskimi.

[2]) Major szt. gen. Ludwik de Laveaux.

Złożyli przeto sąd wojenny nademną: p. major, p. kapitan w rezerwie i takiż p. porucznik. Wyrok zapadł pobłażliwy: trzy dni czasu do wymarszu. Punkt zborny — Karpowicz. Godzina dwunasta — termin ostateczny.

Taki był początek naszej wyprawy na Galerję Gankową!

Było mi dobrze. Zapomniałem o mojem życiu codziennem. Myślą biegłem do prapustyni górskiej, cieszyłem się i bolałem z nią. Tęsknica niosła me serce w odludzie, nad Czeski Staw i malowała drogie obrazy szlachetnych walk o dobra wierchowe, idealne, czyste.

Druhowie moi śnili zapewne te same tatrzańskie obrazy. Major-artysta widział je w pięknie barw, florysta p. Marjan w bujnych zasiągach limb. Medyk p. Adaś odtwarzał je, jako już uleczone, w ognistych porywach z dni poczęcia odrodzone w dziewiczych praborach, w niesłabnącej mocy tytanicznych bystrzyc, w wybuchach krynic i wywierzysk.

Gdzieś pod wantą, mrucząc do zjawy tatrzańskiej, drzemał przy watrze czujny król krzesanic, pan ścian, władacz przechylin, p. Mieczysław [1]).

Z marzeń budził mnie rzeźwy świt. Cuciło mię przeraźne słońce. Poszliśmy.

Gdy tak minął dzień trzeci, czwarta noc zastała mię już w Roztoce, w schronisku i jak dobra matka otuliła płaszczem ożywczego, dobroczynnego snu.

Noc ta — z 6-go na 7-go sierpnia (1924) — była dla towarzyszy mych mściwą macochą. Urzekła zjadliwie Ludwika, sprowadzając nań zapalenie okostnej i pogrążyła go w bolesnej męce. Odegnała złośliwie sen z powiek dwu braci, gdyż p. Adaś pełnił przez noc całą posługę przy chorym — p. Marjan musiał przeonaczyć się w kuchtę, kucharza i służkę. Grzali otręby, czy też inne młóto i parzyli tem biedaka do skutku. Koniec był żałosny. Ludwiś płonął rumieńcem piwonji, wargi mu wzdęło na modłę murzyńską, oczy zwężyły się w mocno skąpy grymas, nos stanął dęba i zadarł dziurki, jakby go srogi ujeżdżacz ściągnął w pasji nieznającem litości wędzidłem.

Świtaniem labiedziliśmy nad niemocnym wszyscy wespół z gaździną. Luto nam było i markotno. Dzień bowiem wstawał niepowszednie piękny. Obrzeża gór śmiały się szczeremi salwami złota do okąpanych w rosie dolin. Srebrzystą nutą dziewczęcych melodyj owite, bryzgały skorusze i paprocie radość promienną kroplami rosy ku słońcu jasnemu. Z nieba zbiegały Boże oddechy rozpylonych mgiełek, to kluczem żórawim stubarwnym, to łukiem

---

[1]) Dr. Mieczysław Świerz. Zaliczam go do grona mych towarzyszy w tej wyprawie, gdyż poraz pierwszy, a potem wielokrotnie z nim układaliśmy projekty zdobycia ściany Gankowej. Przypadek zrządził, żeśmy razem iść nie mogli. W parę dni po powrocie z wycieczki, dowiedziałem się. że p. Świerz przeszedł płn. ścianą Galerji Gankowej w dzień po nas wraz z p. H. Grossmanem.

zakrętnym różanym ku ziemi pieszczoty niesytej. Gasły na chwilkę w przełocie między źródłem słonecznem a ustami kwiatów, aż wgrążywszy się w nie, marły dla siebie, by żyć siedmią barw tęczy w nich.

I pomyśleć: jednego z nas i to artysty-malarza rozrzutne życie barw rozradować nie mogło! Podwójny smutek. Ciężka nadto rezygnacja. Musiał pozostać z cierpieniem i wlec się dalej gościńcem z Roztoki do Morskiego Oka po leki, a nam trzeba było ku szczytom bez czwartego miłego towarzysza.

Samotrzeć, ze zgryzem nieco, skręciliśmy w bok od gościńca na ścieżkę



Z doliny Białej Wody.

*Fot. T. i S. Zwolińscy.*

i zanurzyliśmy się w leśne omrocze, a raczej w namulaste zalewiska i w stężałe z wierzchu błotne bryje. Nagotowała je tu niedawno nieskąpa gaździna-słota, zapalczywa i uporna; pozalewała warząchwią rozrzutną rozdoły, wgłębienia i misy ziemne. Z zacierki tej biły tęgie, niezbyt smakowite wonie — raj dla muszego narodu i komarzego plemienia. W kotlikach nadrożnych, pełnych kisnącej strawy, maczały opuszczone głowy połamane smreczki i starmoszona młódź jedlna. Tu i ówdzie tkwił w większych bajorach opyzgłany sucharz. Nad popsutą ścieżą rozmyślał gdzieniegdzie rozkraczony wykrot, lub wolaty poturbowany otoczak.

U wylotów, rozwydrzonych przez ulewę i napęczniałych poruszeństwem wód, teraz ledwie zipiących, rozesuły się po ścieżce w kształt nakrytej muszli tłumy żabic i pomniejszych kamieni. Gawiedź ta migotliwa i nieustatkowana rozbiegała się pod stępem okutych butów i wpuszczała nogę w głąb, powyżej kostek, tamując przejście i męcząc nas. To znów tam, gdzie las na skraju drogi wyrastał z wypukłego podłoża, gdzie podszycie bujniej się krzewiło i drzewa były gęstsze, naniosły przegony wodne brzemiona zczerniałego i zrudziałego igliwia.

Płot Hohenlohego rozniosło i podmuliło w paru miejscach. Schodki, służące do przejścia ogrodzenia przy polanie pod Żabiem, odprawiły długoletni i znojny swój termin i walały się pogniłe za parkanem.

Zapewne wspomniane przeszkody miał na myśli syn starego Kuby Wawrytki — młody przewodnik Jędrek, kiedy w Morskiem Oku poważnie odradzał pewnemu niedoświadczonemu towarzystwu turystów, by się niebrali ku Białej wodzie, bo nie zdolą, a on nie myśli ich przenosić na barana przez kałuże i naderwane mosty. A kiedy pochwycił zdziwienie na mej twarzy, zmrużył szelmowskie, czarne wytrzeszcza i szepnął: „Przepytujem Was, Panie Kapelancie, ale lo Was to plotka. Dyć wiem. Ino uwazujem: ka jeleń hipnie, nie przeskoci krowa. A to to — poźryjcie: — Boże się pozol! Pod jednem nogi jak pod srokom, drugie nie wiada skąd wysło i kany lezie, a trzecie — no nie ma co duzo godać —: krom duse ciste ciele —".

Moje oniemienie na takie dictum acerbum uważał za decydującą uchwałę, ogłosił ją przeto uroczyście swym gościom: „Ukwalowaliśmy z Jemoście, co Wam hań nie moda iść i telo!".

Dla nas miała ta droga od gościńca do przełazu na polanę wiele uroku. Przecie miłą jest rzeczą obłapić omszałego smereka i zajrzeć przelotnie w opuch mchu zblizka, ogłaskać jagodą przymilną jego aksamitność, otrzymać od zielonej, chłodnej chabiny zalotny raz w otwarte wargi i być zmuszonym przez nią do zamykania oczu w niepewności, czy się je jeszcze otworzy, niezmącone mgłą łez.

Tak stary budarz lubi chadzać podle znanych z lat młodości chałup i gdy go wzrok już zawodzi, dłonią poznaje stare przyjacioły: przyciesie, odrzwia, węgły i płazy; głaszcze je z radością i cieszy się, choć czasem go po powiekach jesionek gałązką chlaśnie, na oszronioną czuprynę gąsienica spadnie, a nawet niekany czołem o drzewo zawadzi.

A potem: czy nie są rozkoszne te błyski radosne, gdy nagłym rzutem wpada w komorę oczną z góry, z ponad wierzchołków drzew, orgia światła i barw, gdy zamajaczy w świadomości na moment wizja obdalnego szczytu,

gdy pierwsze plany kamieni, pni, wody, wżłobią się w dno duszy siłą przybliżenia i masą nasilenia, by pozostać na zawsze w muzeum ludzkich zdobyczy!

I ten ustawiczny, nieobliczalny ruch świata, ruch urojony w zmienności widoków, i rozbudzone poczucie w sobie, że prężność młoda w ciele jeszcze żyje, że się rozwija, że nie zawodzi przy skokach, lansadach, podłazach!?

Urok i niezadowolenie nieprzyjemnej — jakby się wydawać mogło na oko — chodzy podnosiła jeszcze świadomość wzrastającej na każdym kroku swobody, której doznawaliśmy podczas przebytej drogi.

Taternik pozbywa się ciężarów, gdy w szczyty podąża. Zostawia je w schronisku, pod wantą, w lesie, gdzie tylko nadarza się sposobność, by potem wrócić i znowuż je zabrać z powrotem. Robi to świadomie gwoli wygody, z koniecznej potrzeby, dla bezpieczeństwa w czasie wspinaczki.

Z wielu nagniotków i zgrzytów wewnętrznych uwalnia go koicielka-przyroda, kochanka i pani zarazem.

Tak też i nas zbawiała przyroda tatrzańska już tu na tej drożynce od „wanty“ ku polance z trosk codziennych i form bezmyślnych, śmiesznych słabostek, nabytych goryczy. I pod niejednym krzem gęstym spoczął tu list, na który niema do dziś odpowiedzi. W błotnem kisielisku zgniła tam już dawno zaczepka ludzka. Na ostrym konarze zawisł zły język. Z popod kamienia wypełznąć nie śmieją smutki i smęteczki.

Zawidzieć, pragnąc czegoś od świata, mieć żal do kogoś — skryło się w igliwiu w dzięciolem dziuple i w jemiolem okłęczu.

Gdybyż to można z wierchów, z pod ścian i z nad śnieżnych pól nigdy tą samą nie powracać drogą...!

Wolejby z brzydactw życiowych powstały na krańcach lasów jak straż stwory upiorne: strzygonie, huby nieruchliwe — lecz żywe, ropuchy śliną plwające, padalce oślizłe, rozdęte poczwarnice, złe jutrobohy, jędze jutrzenice!! Niechby przypadły do tych, co tu wniosą zamęt zgiełkliwych ambicyj i nieść go chcą w górskie wyże, niechby wmiesiły im na konwenansowe głowy kapelusze białego przestrachu i grozy obłędnej, by w Białą Wodę iść się nie ośmielili.

W tej bałwochwalni ludzkiego pomiotu snadnieby mogli się bogacić niszczyciele Bożej świątyni, zatruwacze prostoty serc, mąciwody pokornej myśli i woli poczciwej psowacze.

Interes z wami i mamona..!

Jednej nocy, około dwunastej, wracając z męczącej wycieczki, widziałem w tym zaklętym lesie prawie że realność tego, czego życzę zaborcom tatrzańskiej dziewiczości. Ciemność była tak zawiesista i ciężka, że gdyby się

jej dało w wór nabrać, unieśćby nie można na plecach w jasny poranek. Minąłem naprzód przełaz, a kiedy wreszcie zdołałem wejść w las, wypełzły z ponurych komyszy boru niesamowite okropności i wyjść mi nie chciały pozwolić do ludzkich siedzib.

Jazgot jakichś czarownic z przedpiekla, chichot zbereźnic karnawałowych, pomruk i chłeptanie przedpotopowych zwierząt, rzężenie mordowanych wymyślną torturą — doprowadziło mię do utraty poczucia mej osobowości.

Wtedy nie pomoże nawet pogodna filozofja żydka, który pocieszał zdruzgotanego losem malarza: „Wie pan? Jak jest ciemno, tak bardzo ciemno, że już bardziej ciemno być nie może, to ja sobie myślę, że się zrobi zaraz jasno!",

Być może, że malarzowi zrobiło się potem z wesołości jasno.

Ja musiałem, w braku latarki, w niewesołym nastroju, palić przez półtorej godziny naprzód znalezione trzaski, oblewane spirytusem, potem papiery, chusteczki, wreszcie rękawice. Jakoś się zratowałem, choć nie doczekałem jasności naturalnej. Wspomnienie przeżyć owej nocy wydaje mi się tak nierealnem, że gdyśmy wkroczyli na jasną polankę, byłem przekonany, iż to był sen romantyka-fantasty, lub wynik krótkiej zadumy w lesie u przechodu.

Sen i marzenie...! Zaduma!...

Tak skąpy jest zasób słów, któremi możemy określić doznania duszy naszej w godzinach współżycia z przyrodą! Niebogatsze też mamy ujęcie tego, co w nas dokonuje się w owych podniosłych chwilach.

Pospolitością zjawisk sprasowani, zamknięci na klucz mądrości przyrodniczej w kurnej izbie codzienności, zapominamy, czy wiedzieć nie chcemy o tem, że najprawdziwszą jest rzeczywistością, a nie ułudną mrzonką, wchłanianie wszelkiego piękna, spływającego na nas z poza obsłon materjalności.

Dlatego dusimy się dymem „czarnych" izb. Nalepy naszych serc zimnicą nas mrożą, choć spalamy na nich stosy zmysłowych wrażeń i namiętnych czynów. Z oczu naszych zgryźliwe kapią łzy, nie z wnętrznej potrzeby głębokiej, lecz wywołane podrażnieniem śluzów. Źrenica z przerażeniem chce przebić żrące kłębowiska swądu, zatonąć w błękicie nieba.., tymczasem walać się i tarzać się musi po szklących szczotach brudnej sadzy, mieszkanki pował i tragarzy.

Zaczadziła mnie tumanem tych smutnych myśli brzydka chata leśnego, szpecąca polankę i fetor bujawy, który ją szerokim otoczył kołnierzem, a wreszcie, napotkany obok ludzkiej siedzy, sponurzony przyziemną niewolą, niezdarny „słowiak". Kroczył beznadziejnie w las, wpatrzony w koniec spiczastego nosa, czy może w okopconą fajkę, z tępą siekierą o zdrzyżdżonem stylisku na ramieniu.

Ten chłop bez twarzy, zgięty w pałąk, zaparty dom z oknami na ścieżkę, ku północy, szczytów słonecznych nieciekawy, to smutny kontrast „życiowej“ mądrości z „nieżyciową“ fantazją rozrzutnej przyrody.

Jakżeż przehojną jest ona w swej „białej izbie“, w dolinie Białej Wody!

Za „Żabim Potokiem“, w którego wartogłowych bluzgach zanurzyłem bezobawnie głowę i zbierałem z rozbieży fal nowotne wieści o tem, co słychać po żlebach — wdzialiśmy na się cienistość wspaniałych gonnych drzew.

O czemś radził dostojnie stary park.

Chybko, na palcach uciekały od nas w głąb zebranej rzeszy ostrzegawcze hasła i szeptały po drodze, że aleją przekradają się ludzkie stwory, że coś wybadać chcą i zdradzić. Zewsząd śledziły nas czujki i patrole. Chłodny wiew przypadał do czoła, po piersi badał nieokrytej, czy przyjacielskie mamy zamiary wobec przyjaciół jego, żywicieli.

Z popod obalin błyskał zielonkawy pełgot żuków. Czasem przycupnął na chwilę i znów się niósł sprężystym rzutem po szarej opadłej na drodze cetynie, miedziany błysk kusaka.

Skądś przywarkotał gderliwy trzmiel. Coś nawarczulił bez sensu do uszu; zaprzeczył prawem temu, co naswarzył lewem. Poczynił czarnoksięskie znaki na wietrznych szlakach: nito sfastyki, nito wietki krzywe, aż go przeniknął wzrok słoneczny i zdradził nam, że to prosty złodziej. Na kudłach futra miodziarza, nawet na napiorze skrzydeł, złocił się puder pyłu kwiatowego. Uląkł się trzmielisko blasku słońca, zajęczał i odstrzelił od nas po prostej, jak nieprosto przed momentem nadleciał.

Na ciemni śródlesia krwawy znak się zardzawił i zniknął. Zmatowiały spadł bliżej bezszelestnie, zaplamił okno błękitu, owstążył kilka wierzchołków smerekowych piętnem zbrodni i spadł w gąszcz chyłkiem, gdyż go wydało słońce: rabuś, o kobuzim profilu, jastrząb!

W czarny bór, w zielone przedgancze leśnego gmachu, wparła się z lewa struga Białej Wody. Wszystkie się barwy w jej bieli skupiają, jak w toni leśnej zieleni całość się gamy tęczowej roztapia.

Długie siągi płócien bielących się na garbach fal do słońca!...

Od smukłych, granitowych monolitów, co nurzają swe stopy w chłodni wód, coś chluszcze pokropem rośnych bryzgów na płótna szare płaty. Zda się, że jakaś Róża lub Regina z podhalańskiej ziemi skopcem polewa na kamieńcu płótno.

Powyżej, na wskos strumienia, przez całą szerzyznę rzeki, wyrósł próg skalny przemyślnie rzezany — rzekłbyś: ciąg ludzkich, ruchliwych postaci. Srebro wód gnie się ponad ich barkami, otula je i sypie w odmęt piany, do ich stóp, pąkowie róż, lazur gencjan, żółtość jaskrów.

Na płytkiej chyliźnie wód, poniżej, jakieś dłonie gładzą pomierzwione biegi.

Poranne, w oczy bijące słońce barwi i kąpie na rozpływach rzecznych tiule powiewne, wzorzyste batiki... Prąd je unosi i topi opodal... Na skrajach nurtu płonią się satyny, perlą się szale, niebieszczą atłasy...

Pod tamtym brzegiem dłużą się głębinowe seledyny. Jakby wielmożne panię porzuciło słucki jednolity pas i uciekło od zdradnych miejsc. Jeszcze z za kamienia wystaje safjanowy but z złotą ostrogą. Bliżej znowu brodaci szynkarze osiedli na kobiercach mchów. Przelewają do roztruchanów i rżniętych czasz likwory klarownych win i miodów, co grają odblaskiem topazu...

Korowód rzeczny minął nas. Oczy znów widzą przed sobą błyszczącą drogę. Czujemy, jak ona pod nami zawija się w kłębek, jak bierze nas w swoje zwoje, unosi i wciąga do góry.

Słuch przylgnął do podłoża doliny. Leci wstecz ku spadom potoku. Przypada do dudławych drzew i słucha tej ciszy żywej, harmonją w żadne karby nieujętej.

Z oddali klaska takt kijanki.

Boginki leśne dzwonią dźwięcznemi tonami, w zachwycie nad pawiooką przyodziew tkaniną.

Przestały.

Któremuś z kupców wypadł z dłoni dzban. Zajęczał kryształ donośnie i zgasł.

Pisnął kordusek raz i drugi raz.

Zabrzmiały skrzypce przytłumione w lesie.

Podniósł się rozgwar wielogłośnych rozmów.

Plotkują ciche poszepty.

Śmiech zawodzi kaskadą — chwila milczenia —

i popłynęła pieśń radosna, falista:

„Już woda nauczyła nas wędrować“...

Lasem wstrząsał i ziemią nieustannie monotonny grzmot stu foluszów.

Olbrzymy ruszyły w takt pieśni.

Zapewne niejeden smrek osunął się bezwolnie o tej godzinie w bystre nurty i powędrował głową w dół na wiry.

Porwać by chciała, zatrzymać i nas ta muzyka górska i ten ukojny wraz upajający, widok strumieni i lasu. Zanim zaśniemy w końcowym zachwycie na skalnej płaśni po trudach wędrówki, nim się na ścieżaj roztworzą przed nami wrota widoków, co śpią zamknięte w ocembrzynach dolin, na kalenicach szczytów, w obrzutach widnokręgów, tu chcemy wypić do dna wszystko piękno wokół nas błądzące. Tu dusze nasze wyzbyte z kre-

tesem pospolitej troski, chętnie oddają się beztrosce marzeń. Te zaś niepomne na cele, wytknięte przez wolę, słabią muskuły, chcą nas rozbarłożyć. Ale nad nami czuwa Galerja. Przemądry rybak! Dała na przypon szczytową ponętę. Myśmy ją dawno połknęli niebaczni. Rybak dufny w pewność swego chwytu zwija skwapliwie wędę na kołowrot. I choć pozwala byśmy na moment jeszcze, zanurzeni w leśnych ostępów padolnej omgle, śnili sen dolin, przecież od czasu do czasu podrzuca wędziskiem. Hak przenika przez splot marzeń i podrywa w zwyż. Oto szarpnął mnie mocno, niemal boleśnie.



Ganek od doliny Czeskiej.

Podniosłem wzrok ku szczytom. Wyszły naprzeciw nas już blisko. Przelewem rozedrganych fal wietrznych wołają i nęcą. Oczy biegną po moście promieni ku ich czołom. Zawstydzone śmiałością swą, słaniają się i błądzą po dalekich limbach, na Zamkach, na Młynarzu. Pół odemknięte tulą się do ścian i spadów pobliższych wrębów doliny i kryją się wśród sadu kwietnego na stokach Młynarza. Ośmielone, chcą zapaść się na długo, bezpamiętnie, w oblicza gór, lecz słońce je poraża jastrzębim spadem. Już tylko przez mieniące się rzęsy mogą trwożnie podziwiać ich dumę, jak się srebrzy i złoci starym haftem przygasłych ornatów, odwiekowych witraży przyblakłym migotem.

Serce cichnie. Krew więzgnie po skroniach. Słuch zanika. Nozdrza dygocą pod naporem nabrzmiałych woni. Wargi piją anielski napój pojednania.

Nadeszła godzina rozżagwień Bożych... Wziąłem w rękę brewiarz. Zacząłem szeptać psalmodje. Dziwne! Im modlitewny szept opadał szronem cichszym, wnętliwszym, po rozłożach duszy i im się serca ostatnie niestatki w otęcz pogody jaśnią czystszą kładły, tem głośniej, szumniej grały wodospady; klangor od wierchów bił coraz donośniej; słońce się coraz wieściło goręcej, a gdy się skończył... zaczęliśmy gwarzyć:

— Pięknie.

— Ej! Pięknie też, pięknie!

— Pachnie.

— Do cudu!

— Idziemy godnie.

— O! godnie!

Za chwilę: — Staw blisko!

I coś tam jeszcze ktoś mruknął, ale mało wiele, bo słowo wszelkie milknie, gdy cisza śpiewa górska, niemilknąca, kiedy się wiekuistość przędzie wśród zmian czasu, gdy przestrzenności skrzydła w bezmiarze się topią. Wonczas dusza przystaje na rubieżach myśli, by się skupić. Jeśli dłonie ku niebu wyciągnie w pokorze i w płomieniach ofiary spali pyszny upór, ptakiem swobody wzleci ponad mleczną drogę: w Stwórcy znajdzie swe szczęście, nie tracąc swej jaźni. Jeśli na szczytach ziemskich dłoń zaciśnie w pięści i mroczną głowę schyli ku roztoce pomarlisk, zostanie przy ziemi, w pył kosmiczny owiana, ziemię zrobi Bogiem i z górskich zrębów do dom wróci wiecznie smutna, zatraciwszy po drodze sedno, samą siebie.

Cyt! Staw się Czeski kolebie. Przez zwał bujnej kosówki bełkot w nas uderza. Posęp Ganku, Wysokiej groźnie nas ogarnia. Dusza prości się. Serce młotem bije. Więc tak mówię na miedzy, na której się schodzą słoneczność Białej Wody z grozą mroźnych światów:

— „Zdążam do ciebie ma kapelanjo, by uciec na chwil parę od świata i ludzi. Wiem, że powrócę do nich, wzbogacony przez ciebie. Ty mnie wyrozumiesz. Wyrozumienie zniosę w doliny od ciebie dla ludzi.

— Napniesz łuk bohaterstwa, rdzewiejący przydługo. — Codzienność go rzuciła pomiędzy rupiecie.

— Niemocnemu, co tęsknie ku Tobie pozierał w bezładzie, łzę obtarłaś i krzepą karmiłaś nadzieji.

— Nieraz w pokój zaglądasz ciekawa, gdy z czekanem się pieszczę lub liną. Wiesz Ty przecie, że lubię je tylko dla Ciebie, mych pochodów przezorne magistry.

— Uczysz kochać mnie niże, z których ongi wyrosłaś, Wspaniała.

— W czas niewoli znicz święty chowałaś Ojczyźnie.

— Twardych bojów mi nigdy nie skąpisz ni zwycięstw. Każdą klęskę łagodzisz uśmiechem.

— Kiedym losy chciał rzucać w serce, Tyś porwała je w głębie przepastne, Zazdrosna. Ale dzisiaj już jesteś niegniewna, że Ci życia nie niosę w ofierze, wszystkich myśli nie składam w pogłówne.

— Rok w rok w twych się zanurzam urokach, z przeżyć drogie unoszę wspomnienia.

— Miłość moja ku Tobie jest człecza; z serca płynie. Jest młoda i silna, nie obłędna i pełna wesela.

— Prawda! Ciężko godzić się z życiem, że włos srebrzy się, boli...

— Twoje piękno chciałbym ludziom zachować i Tobie.

— Po nas dawno żałobne przebrzmi echem podzwonne, Ty pozostań urocza w krasie, woni, natchniona. Dzwoń radością, odradzaj czcicieli..."

— Staw się bieli! — Pan Marjan dobiegł do Stawu. Za nim p. Adaś. Stanęli zdumieni. Tak stali i naprzemian wtórzyli: — Staw się bieli! — Za chwilę byłem przy nich i patrzyłem. Opalizująca biel z nalotem mętu odsadzała się mocno od ciemnego otocza brzegu. Rówień wodna tańczyła powabnie obrzędowy, rozchwiejny tan. U odpływu do spadu rytm się więził i łamał. Gubił wdzięku powolność.

Czas spocząć.

Trzygodzinna wędrówka, bujność wrażeń przeżytych i trud skalny przed nami stojący, mówił za tem. Padliśmy ciężarem spoconych ciał w borowiny nadbrzeżne. Na zmrużonych powiekach chłód osiadał i cucił pieściwie. Natrętny głód odganiał słodką rozleniwiałość i doradzał kusząco, by uszczuplić niemnogich zapasów. Zaschłe wargi tęskniły do miarek z herbatą.

Po przekąsce, gdy doniosłe gulgoty trojga przelewnych grdyk spłoszyły pragnienie, trysnął z serc humor beztroski. Jest on objawem dziecięcej swobody, najcenniejszego daru gór. Pławić się w niej można do syta, zwłaszcza w czas biwakowej odelgi. Przyroda niesie ślebodę i dobry żart z gościnną prostotą. Tak niekłamanie szczerze podaje stary baca w czerpaku żętycę i śnieżno lśniący ser na dłoni, prosząc:

— Przepytujem! Pijcież! Jedzcież! Niek służy!

Więc każdy z nas coś opowiedział, lub przydał do opowieści. Pamiętam szczwaną historję o poczciwej gaździnie z Gąsienicowej Hali, Jędrusiowej Bustryckiej z Bustryka, przedstawioną kapitalnie przez p. Marjana.

„Znaną jest rzeczą wszem wobec — zaczął patetycznie, — że gdy gaździna zdala zobaczy jegomościa, albo posłyszy, że „krzikajom", woła do Jędrzeja seniora lub juniora:

„Jędruś! Hybajże dzicie! Sešć mlików i sešć herbat dla Jegomościa! A warciuśko!“

— No i zdarza się — ciągnie dalej p. Marjan, w przyzwoitej odemnie odległości — że te płynne wartości znikają niemniej „warciuśko“, jak się do Jegomościa dostały.

Nie oponuję. Kiedyś tam po pracowitem zmęczeniu, zdarzyło mi się istotnie, że — jak twierdzą złośliwi — wszystko to się jakoś prędko „minęło“.

— Na jednej z wycieczek — prawi dalej, przyszedłem z Adasiem do Bustryckiej. Gości ćma. Wołam przez głowy: „Jędrzejowa! Dwie szklanki mleka dla nas!“ A pić nam się chciało jak kaniom.

„Bajtoć! Nima panie! Zanieskorzyliście!“ Co robić? Naradzamy się z Adasiem, jakby się dowiedzieć, czy gaździna nie mija się z prawdą, no i za wszelką cenę mleka dostać. Adaś mówi: Powiedzmy, że to dla księdza! Dobra! Przed drzwiami trochę się rozprzestrzeniło. Podchodzę i mówię niby do Adasia, ale tak, że Bustrycka musi słyszeć. „Adaś! My jak my! Ale co będzie z księdzem kapelanem?“

„O jakim księdzu mówicie?“ wtrąca się gaździna.

„Szkoda gadać. I tak nic z tego. Mleka nie macie, a on tam leży w kosówce. Coś zasłabł i nie chciał tu iść, bo powiada: wstyd w takiem odzieniu iść do Bustryckiej. Tam ludzi moc...“

„Raty, przeraty!“ — krzyknie Jędrusiowa — „Toście go nicpote, próżnioki, zawłócyły po scytach i jesce nie fcecie pedzieć, ze haw jest?“

„Jędrek! Ruć syćko! Sešć mlików i sešć herbat lo Jegomościa!“

„A wy!“ — wpadła na nas z impetem — „Biercie tace! Zanieście a nie ozlijcie!“

— W ten sposób — kończy pan Marjan — urządziliśmy sobie „skromną“ pijatykę, zaco najserdeczniej dziękujemy. Dodajemy, żeśmy za napitek zapłacili, co Jędrzejową mocno zmarkociło.

Cóż miałem robić? Gniewać się, skoro śmiech mnie porwał „do rozpuku“. Śmiałem się zresztą już nie z samej rzeczy, bo wiem, że amatorów na Jegomościowe „sześć mleków i sześć herbat“ było o wiele więcej. Znam sporo mych górskich przyjaciół, którzy użyli podobnego podstępu z drobnemi warjacjami na moje konto, a o iluż nie wiem? Śmieszyła mnie moja pozycja u poczciwych Bustryckich: co oni sobie myślą o mnie? Tak często do nich przez zastępców zachodzę, nigdy nie dziękuję. Tych sześć mlek zgoła po mnie nie poznać! Osoba niczego, bo duchowna, ale „persona“ wcale nie chwalebna — wciąż chuda.

Zdradzić mi miłych towarzyszy nie wypada... mleka się sumują

i będą się nadal zbierały... wnet utworzą sporą kadź... a to wszystko na mój rachunek! Ha! ha!

Wiszar nam odpowiada z Młynarza ha! ha! i zda się w odbiciu na Stawie pląsać w podrygach pośmiechów.

Szedłbym nad upływ wód. Tam ciagnie mnie litwor pachnący, co baldach rozłożył wśród kamieni. Z zeszłego roku dobry mój ziomek. Pachnie drażniąco... lecz trzeba go rzucić, dla Ganku — na znanych drogach ostatnie małe wyrzeczenie.

Już towarzysze moi giną wśród kosówki. Sierpem się ona rzuciła stalowym popod północno-wschodnią grań Gankową. Plamy kępiastych traw, na których szroni się dotąd siatka subtelnych mgieł, wżarły się w granat pełzających drzew. Człowiek jednak pełzać jak wąż wśród nich, ni chodzić po ludzku, nie jest w stanie. Na wzór kalikanta skacze z pnia na pień. To wpadnie w mokrą opaść rosy, na traw otulność wcale nie przytulną, to znów szczupaka daje w kiście igieł, albo jak podrzut myszaty w powietrzu szuka chwytów... łapie za worek idącego wprzód, albo obłapia za szyję kolegę.

Widok paradny! Gdy Marjana podrzuci sprężyna kosówki, zrówna go z jaką wznioślejszą wiechą, myślisz, że głowa to szyszka w przedwiośniu, rudawa trochę, w sam raz pokrętna, nie w miarę zaduża. Pana Adama czarna — stara szyszka, mniejsza, szykowna i rzadziej widoczna.

Zdałby się czekan. Lina zawadza. But kiełza. Ręce się lepią na smolnych gałęziach. Szczęście, że łan kosówki, choć bujny, nieduży, nareszcie się kończy. Stajemy na kamieńcu. Nasz botanik wyciąga ołówek, notuje, że... znalazł rdest.

Patrzę na Zmarzły Staw. Żółwim krokiem posuwają się po zmąconej powierzchni zielonkawe kry. Jedyny objaw życia w zmartwiałej kotlinie. Nie! jest jeszcze drugi. Wyższy, bo się objawia wyżej, aż na Wadze, okropny, jak nieszczery krzyk nad milczącą śmiertelną pościelą. To ludzie!... Trzeba mieć dla nich także zrozumienie. Kto wie czy oni mają inną mowę dla wyrażenia zachwytu i grozy. Ja też tego kiedyś nie umiałem. W Rohaczach wąsy osmaliłem strzałem świstakowi. Pod Jaworowemi Szczytami biłem do łani z rewolweru. Raz blok strąciłem z Wysokiej. Mówię szczerze, choć mi wierzyć nie chcą moje druhy. — „Jakże ksiądz? Strażnik górski?"

— Tak! Tak. Niestety!

— „Nie może być!"

Za lat chłopięcych psociłem wiele. Nieraz kropidłem dostałem od matki. Kiedy dziś w półmroku siadę u Jej stóp i dawne czasy wspomnę, zapytam: Mamo, pamiętasz? — Dobra Matka przeczy. Czy się nie gorszy, że o tem

wspominam. Jakżeż ja mogłem psotne figle płatać. Ona chłostać mogła... kapłańską powagę!? Droga ma Matko! wtedy nią nie byłem. Wdzięczny Ci jestem za wszystko, co dałaś, najwięcej za to, że karciłaś.

Chwalić się nie ma czem, lecz i taić niema czego. Udawać, że się człek urodził mądrym, szlachetnym, to kłamstwo; blagi przyroda nie znosi, ni Pan Bóg.

Z błędów młodości wstaje mądrość życia.

Przed nami podnóżek północnej ściany Galerji! Adaś z Marjanem wdzierali się po gładkich stopniach podnóża lśniącego wodną polewą. Kilkanaście metrów dość trudnych. Uparłem się wziąć je wprost. Właśnie na miejscu, gdzie jedynie można dostać się wyżej na pewny chwyt w bardzo nieuchwytnej pozycji, bo przy wsparciu jednej tylko nogi, spadł na mnie kamyk trącony przez poprzednika. Taki maleńki kamyczek, płaski, jak spodeczek z pod miniaturowej japońskiej filiżanki. Spadł, zesunął się po wierzchu dłoni na płask — i ręka wzdrygnęła się boleśnie. Podciągnąłem się wyżej, już zaczęła puchnąć. Brzegi obicia krwawiły. Kość drętwiała. Porwała mnie złość i żal.

Złość na wszystko: na Adasia, na skałę, na Zmarzły Staw, na ludzi wrzeszczących na Wadze, na siebie.

Żal: u stóp Galerji pozostać? Nie! Za żadną cenę! Okazało się na szczęście, że ból był większy, niżeli szkoda. Władnąć palcami nie sposób, ale kość cała. Piąć się z biedą można. Lodowa woda i śnieg znieczuliły ból. Ale drugi żal: Nie będę mógł iść pierwszy. A prowadzenie wyprawy na miejscach trudnych ma swój urok. Niekoniecznie musi się tłumaczyć ambicją.

Wlokłem się popod ścianą Galerji, przez nasyp świeżo spadłych odłamów granitu, ostrych i szorstkich; przez twardy śnieg. Za mną szła tępa rezygnacja i postanowienie, że pójdę trzeci. „Wolno ci iść? Nie narażasz współtowarzyszy?“ pytał nieśmiały trzepot wątpliwości. Rozpraszczałem przemocą palce. Próbowałem chwytów. Nieskładnie szło, lecz pewnie. Pójdę.

Co się działo podówczas w duszach braci — nie wiem. Miny nie były obiecujące. Usiedliśmy milczący i chmurni. Tak długo trwać nie mogło. Ktoś musi przemówić. Marjan z Adasiem podeszli cichutko.

— „Boli? Nie gniewa się ksiądz kap....?“.

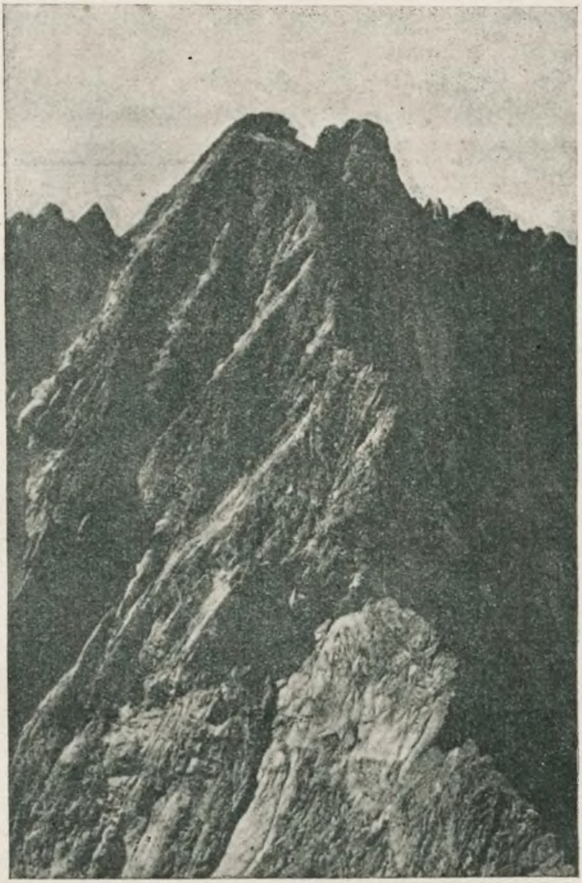
Coś dobrego podniosło się we mnie. — „Cóż znowu? Na kogoż mam się gniewać? Na was obrzydłe smyki?! Chodźno tu Adaś! Przybliż się doktór!“ Nim się spostrzegli wylałem moją serdeczną złość zmieszaną z rozczuleniem w gwałtownym uścisku.

Odskoczył Adaś — Marjan gdzieś znikł.

Dopiero teraz, gdy powróciły zgodna radość wspólna i zdecydowała o podjęciu walki, spojrzałem prosto w oczy Galerji.

Potęga! Polot!

Bronzowy, lity mur wrósł w skalny posad dwoma odrożami. Rozparł się na nich i dźwignął się w chmury wzlotem stu pięter[1]). Z przyziemu strzela wprost — nieprzystępny —; w połowie zbrojny gładzizną, wyżej nieustraszony szaleństwem polotu i dumny ściętą, wieńczącą attyką. Bez żadnych spojeń. Nawet przypornice wykuł mocarny twórca z litego ciosu, bez użycia kielni. Polecił jedynie od czoła z góry zryzować rowy i od połowy calizny murowej puścić je w przepaść, by chlustnąć niemi z tarasu mnogość wód. Gdzie wrasta lewa przypornica w mur, worać się kazał strugowi i dłutom, rozporać do posadu wątek bronzu. Czy pion zwiódł mistrza, czy oko zawiodło, albo też z woli własnego grymasu, wżłobienie zbiegło z lekka na wskos muru. Tuż u krawędzi Galerji, pod blankiem, — chyba już później za innego własta — wkliniono w szczerbę godną bryłę spiżu. Stąd powstał między ścianą a przyporem ponury komin z wylotem na przepastne głębie. Z czarnej gardzieli komina, jak z maźnicy smolnej, ciecze wąziuchna rysa. Głęboko drąży kutą tarcz skały, ginie w ciemnej niszy i spada szerszą, długą rynną do skalnego kotła. Hen w górze nad wlotem komina stanął nie ułomek, rycerz kamienny, widny z oddali. Wystarczy, aby z rzadka, od niechcenia, sypnął garść gruzów z Galerji, a zmiecie



Widok na Wysoką z Ganku.

1) Północna ściana Galerji Gankowej wynosi około 300 m.

śmiałków jak wróble. Tędy do zamku wróg się wedrzeć może. Tym szlakiem orłów i my piąć się mamy.

Bitwa zaczęta. Wysoka z północy zagrzmiała kanonadą. Leci w odmęty doliny piorunowa burza. Lawina obrywów granitowych tłamsi się i przewala w kurzu i pyle.

Trzaskają pogarście drobnych drzazg kamiennych od Wagi. Świsnęła zabłąkana kula z Galerji. Na białym płucie śniegu nowa zaczerniła się rana.

Do ataku!

Złączeni liną suniemy po ścianie wzdłuż rysy. Chroboce gwóźdź po skale. Szeleści lina. Zaszuści manchester otarty o chropowatą powierzchnię. Przezorność się tai w tym pochodzie. Marjan przystaje, ubezpiecza. Dochodzi Adaś, zwija linę. Podchodzę ja. Zaczyna Marjan, rozwija Adaś, kończę ja. Pełznie, jak chrabąszcz po zeschłym liściu, Marjan, dziwi się Adaś i ja. Podsuwa się Adaś, strzeże Marjan i ja. Gramolę się ja, śmieje się Marjan i Adaś. I tak napozór jednako nudnie, ciągnie się paciorek taternicki, a w istocie jest on nieprzerwanym łańcuchem podniosłych zwierzeń, upartych zmagań, cichych cierpień, radosnych wykrzyków duszy, serdecznych próśb, rozkosznych olśnień. Po linie płyną tajemne fluidy od serca, niecą wstrząsy energji w stosie pacierzowym, podciągają ramiona, rozszerzają lub kurczą śledzące źrenice. Z ust padają rozkazy: „Ściągać linę! Już idę! Popuść! Uwaga! Stań!“. Ciało rozciąga się lub pęcznieje; roznosi ciężar swój, waży się lekce; wrasta w ścianę, rozpłaszcza się, to grubieje. Drgają naprężone palce, wciska się w szpary kamienne dłoń. Chrupie w stawie gniewna kość, ugniata się niezadowolone jabłko w kolanie, marszczy się pochmurnie na łokciu skóra. Zdarza się, rzadko co prawda, że na moment zmrozi się krew. Częściej, przeważnie, faluje w rozgłośnym przypływie.

Skała w zespoleniu ze wspinaczem nie milczy nigdy, mówi zawsze. Wypowiada więcej, niż wyrazić może uścisk ludzkiej dłoni, niż wysłowić mogą usta. Lecz trzeba przynieść w skalne odludzie miłujące serca, obudzić własną duszę. Słodka jest gawęda ze skałą. Biedni są ludzie, którzy jej w życiu swem nie słyszeli...

Słyszę jak Marjan na stanowisku do swych myśli głośno mówi: „Czterdzieści metrów ściany, plus dziesięć w podwieszonym żlebie... Nachylenie prawej ściany 71 stopni... Teraz przewieszka“, Tymczasem już ją wziął. Zapewne doliczy dalszych dziesięć metrów grzędy.

Przewieszka? To bardzo miłe, choć czupurne stworzenie. Stajesz przed nią i mówisz: „Dzień dobry!“. Ona odpowiada: „Nie wiem!“. Naturalnie obrażasz się i powiadasz: „Zobaczymy!“. — Rozpierasz nogi po obu stronach jakiejś tam formacji skalnej, łamiesz się w grzbiecie wstecz, szukasz

dłońmi pewnego chwytu nad jej pyszałkowatą główką, unosisz się w powietrzu na rękach i jesteś ponad nią. Prawda! Zmiął się guzik od kurtki przy tem lekkiem uniesieniu się w górę, coś tam jeszcze znajdujesz w dziurawym porządku, plasterek naskórka ozdobił miluchny chwycik, ale to fraszka! Zwracasz się do niej z góry, a ona główkę pochyliła i mówi z wdziękiem: „Dzień dobry!“

Z dobrym uśmiechem wspinam się po ściankach trawiastych i grzędkach na lewo od rynny w górę. Chwilami odczuwam w lewej ręce słaby, tępy ból. Odwracam od niego uwagę, bo zresztą trudno inaczej. Mam pod stopami śliczne, szkoda, że zrzadka rozrzucone, kępki mchów, obok fioletowe kwiatuszki gęsiówki. Nieco obok od prawej ręki chyli się w męce oliwkowa ściana. Gdy wynurzała się ongiś płomienna z ziemi, siekły ją bicze złowrogich sił. Tak w bolu zastygła. Widzę dokładnie krwawe, nabrzmiałe pręgi po jej ciele.

Za pierwszym planem „cierpiącej“ skały wzrok gubi się na zwałach potwornych. Zda się, że z kotła wypadł wicher olbrzymi i pognał mgieł kłęby w zawrotnej szybkości ku niebu, a one w szalonym, podniebnym wyścigu zamarły i tak już zostały. Widok ze Zmarzłej Przełęczy na południową ścianę Zamarłej Turni jest nieco do tego podobny, lecz groza tu wieje straszniejsza, ogrom nierównie większy, otoczenie wspanialsze. Dość wspomnieć, że za tło ostatnie scenerji służą północne urwiska Wysokiej.

Wędrówka po grzędzie oddala nas na chwilę od rynny, i ściąga trawersem znów pod ścianę. Teren do manewrów skąpy, naogół dla taternika dość trudny i urozmaicony. Przez dwumetrową ściankę po trawiastych półeczkach doszliśmy pod cyklopowy schron. Co to za genjalny artysta-cyzeler kował te wzory! Futuryzm nowych czasów uboższą ma fantazję. Zbladłby tu przed orgjastycznem twórczem bogactwem!

Pielgrzymia rzesza zdąża do świątyni po schodkach łupanych w kararyjskiej bieli. Na ostatnim stopniu strażnik w kapturze, z palcem na wargach, zwrócił się do tłumu z napomnieniem: „Skupić się trzeba, bracia!“ Pod schodami, na przewieszeniach, hulają wiedźmy. Którąś odpadła do skalnego kotła. Nie zazdroszczę jazdy! Spadam za nią myślą. Przeszło sto metrów koziołkuje do woli. Odbija się jak piłka od piargu i łukiem szerokonośnym opada jak placek rozbity w taflę Zmarzłego Stawu. Wstrętna zawartość wiedźmowego kałduna bryzła na progi pod Czeską Turnią. Widzę dokładnie na nich brudną, zgniłą zieleń, zmieszaną z czarno-czerwoną posoką.

Zmarzły się wstydzi. Zakrywa welonem oparów ropiejącą plamę, lecz ślad po czarownicach, podobnie — według podań ludowych — jak po strzygoniach, zmyć się i utaić nie da.

Patrz i mijaj!

Na stanowisku mojem wykwitnął cudny, złoty kozłowiec. W marzeniowej wysoczyźnie buja nad nami, jak dwie pajęczyny, podwójna lina. Czyżby nieszczęścia znak? Oślad po nieudałej wyprawie?

Czas leci. Już kry od końca Zmarzłego Stawu zdążyły stanąć przy odpływie. Na długość paru lin lawirowaliśmy w niezgorszej mordędze po trudnej grzędzie. Ponad nią objąłem przewodnictwo, czterdzieści metrów pod ścianką, z pod której wrócił ongiś Wanjura z Kienastem przy pierwszej próbie zdobycia Galerji, lat temu czternaście. Jestto ścięte pionowo, z przewieszką u szczytu, żeberko. Tu wdzialiśmy trzewiczki skalne. Wzięcie tej ścianki wymaga sprawności większej niż na miejscach bardzo trudnych. O moich losach godnych politowania świadczą dwa tęgie haki wbite pod przewieszką. Adaś chytrzejszy obszedł żebro w prawo i zabezpieczał nas z góry jak zawsze dokładnie.

Jeżeli kiedyś, w odległej przyszłości, kiedy sportowcy zwyciężą przyciąganie ziemi, gdy lepić się będą po przewieszkach jak muchy po powale, przeczyta młody zapaleniec górski moje wyznanie, jak ja czytam straszne opowieści Simplicissimusa z podróży do Tatrów, może uśmiechnie się z politowaniem. Nie przeto, bym mu do pamiętnika] nie wpisał, że stękałem ciężko na przewieszce, żem pod nią stał, jeśli to staniem nazwać można, długie minuty, na pionowej skale, żem wreszcie z goryczą skarżył się mej zdrowej ręce: „o reko, ręko, jakośmy już starzy!"

Skamrzenie moje nie trwało długo.] Ktoś tu się smęcił nierównie wymowniej. Na małej płaśni, nad ścianką tkwi skamieniała głowina fakira z kawałkiem szyji. Ten „ktoś" się wieszał na karku fakira. Zostawił linę obciętą, zmurszałą, którąśmy z dołu widzieli niedawno.

Nie koniec męki i mitręgi czasu. Stąd trzeba chyba przefrunąć ponad ziejącą przepaścią na stopień, a potem susem wskoczyć do komina. Nieduża przestrzeń, kilkanaście metrów. Dla siedzącego w bocianiem gnieździe, na naszej płaśni, nie sposób powstać pod górną osłoną z głową do góry dumnie podniesioną. Górne wzniesienie nie lubi pyszałków. Wyjście na ściankę wprost, jak to zrobił Adaś, stanowi widok bezprzecznie ciekawy. Wolałem jednak z lewa przejść trawersem, zażyć kominka zgodnego z zasadą murarskich pionów. Potem już składnie, — znaczy bardzo trudno, lecz bez namysłów, — z wyższego piąterka, jak gąsienice, wpełzliśmy na stopień nad prawą rysą, poniżej komina.

Stopniu! Gdybyś nie ty, miałbym ochotę piąć się raz jeszcze w życiu przez urwiska wspaniałej Galerji. Tyś mi ją obrzydził. Do dziśdnia ciebie mój worek pamięta. Sam jesteś miły, ale te kamienie i to, żem musiał

stać przez pół godziny z tobą i na tobie. Powiedz kamieniom furczącym z komina, że będę mówił wszystkim źle o tobie. Niechaj cię straszy moja zła twarz, odbita w ścianie naprzeciwko ciebie. Musiała zostać i zostanie długo. Przeciem jej nigdy do ciepłej poduszki tak nie przytulał jak tam do tej skały.

Winniście: lodowa ściana, komin, ty i ludzie, co bili do mnie chmarą nieustanną kul bzykających, winniście śmierci biednego motyla. Pamiętam. Biedny, przyniesiony wiatrem, padł nad mą głową. Nie mogłem go cucić, unieść do słońca, puścić na swobodę. Dobił go ślepy strzał w mych oczach, ciężar kamienia, co padł z pod stóp mych druchów. Brr!

Uciekałem z mokrej, zimnej cieśni z pragnieniem jednem, by napić się słońca. Ciężka przewieszka przez blok, haniebny komin i przegniła ściana żyją w mem sercu, nie mam do nich żalu. Podówczas jednak brakło na nie miejsca w zmęczonej duszy.

— — — — — — — — — —

Słońce! Przestrzeń! Stały grunt! Widok na szczyty — srebrna Galerja! W głowie się mąci. Rozumiem żeglarzv, którzy po długiej wędrówce na morzu, chwiejnie, ostrożnie łapią stopą ziemię.

Legliśmy pokotem na przenajsłodszem, miękiem skalnem łożu. Nic nie ugniata, śnimy szczęście górskie. Szczyty się kłonią nad naszą kolebką. Światło łagodnie ogarnia w ramiona, unosi serce, śpiewa hymn uciszeń.

*Nota.*

Itinerarium: wymarsz ze schroniska $4^{25}$ rano. Czeski Staw $8^{10}$. Pod ścianą Galerji $9^{10}$. Wejście w skały $9^{35}$. Przy ściance („żebrze") Wanjury 12. Nad nią przy bloku, z którego zwiesza się lina $1^{40}$. Na stopniu pod kominem $2^{30}$. Na Galerji $3^{15}$ popołudniu.

*X. Jan Humpola.*

# KRONIKA

**Fundacja Zamoyskich** (Akt fundacyjny).

*Dnia 16 lutego 1924 r. Władysław i Marja hr. Zamoyscy podpisali u Prezydenta Rzeczypospolitej następujący akt donacyjny:*

„Już dawno za czasów niewoli postanowiliśmy to, cośmy posiadali, tak zabezpieczyć, by i nadal polskiej służyło sprawie.

Dzisiaj, gdy możemy się zwrócić do Sejmu, do Senatu i do Rządu Polskiego, składamy przed nimi prośbę, by raczyli zamierzonemu przez nas dziełu zapewnić opiekę Rzeczypospolitej i potwierdzić załączony tu statut.

Od rozbioru Polski każde powstanie Narodu, celem odzyskania utraconej niepodległości, jakiś przyniosło zaszczyt rodzinie właścicieli Kórnika; śmierć lub wyrok śmierci na Działyńskiego.

My, którym ostatni z nich spuściznę swą przekazał, wydaleni z Kórnika przez Niemców, od długiego, bo trzydziestukilkuletniego szeregu lat, niejedną musieliśmy przerwać rozpoczętą pracę. Nie mogliśmy niejednego tak wykonać, jakbyśmy pragnęli.

Mamy jednak nadzieję, że jak uzyskamy potwierdzenie tu przedstawionego statutu, pozwolenie, by majątki nasze nieruchome, tak odziedziczone, jak na wrogach zdobyte, zostały zapisane na niepodzielną własność narodową i zapewnienie, że one pozostaną polem pracy polskiej i chrześcijańskiej, a że Zarząd Zakładami już w tych majątkach istniejącemi lub mającemi w nich powstać, oddany będzie w ręce ustanowionego Kuratorjum, — to się niejedno da uzupełnić, niejedno uskutecznić na chwałę i pożytek Ojczyzny.

Dla zaznaczenia stosunku „Zakładów Kórnickich" do Kościoła i Ojczyzny pragnęlibyśmy gorąco, by patronat nad Zakładami Kórnickiemi przyjąć raczyli Prezydent Rzeczypospolitej i X. Prymas, do których, jak i do Ich Następców, pełni wiary i nadziei zwracamy się z prośbą serdeczną, by łaskawą raczyli opieką dzieło, powstałe z gorącego umiłowania Ojczyzny i z pragnienia, by tych Zakładów praca nie przestała za Bożą pomocą, przy udziale synów wszystkich ziem polskich, w najdalsze czasy polskiej służyć sprawie.

Do Kuratorów, do członków Zarządu, do przyszłych Naczelników, Kierowników Zakładów i poszczególnych działów, którzy jakikolwiek udział brać będą w pracy przez Zakłady Kórnickie podjętej, zwracamy się z równie serdeczną prośbą, by strzedz raczyli Zakłady Kórnickie przed każdym, któregoby nie polecały jego dzielność, zdolności, roztropność, nie skalane ręce, przed wszystkiem, coby najlżejszą Krajowi ujmę przynieść mogło, pamiętając, że na pracowniach, które się w ich ręce oddaje, a które z wielu wysiłków i poświęceń powstały, od długiego szeregu lat wrzała praca licznych Polaków i Polek w Imię Boże, służbie Polski.

— — — — — — — — — — — —

*Śrem, dnia 20 czerwca 1924 r. — Sąd powiatowy. Obecny sędzia pow. Dzierżyński.* — Staje sędziemu osobiście znany właściciel dóbr Władysław Zamoyski, zamieszkały w Kórniku, przedkłada projekt ustawy o Zakładach Kórnickich i oświadcza: Występuję jako

jeneralny pełnomocnik matki mojej Jadwigi z Działyńskich Zamoyskiej, na mocy ważnego i na wypadek śmierci pełnomocnictwa, z dnia 8. 2. 1923 r., (Sąd Powiatowy Śremski, Roki Sądowe w Kórniku) i w imieniu własnem.

Imieniem mojej mocodawczyni i imieniem własnem zobowiązuję się, z chwilą uchwalenia przez ciała ustawodawcze Rzeczypospolitej Polskiej załączonego projektu ustawy o Zakładach Kórnickich, tworzącego nierozdzielną całość z niniejszym protokółem, wszelkie majątki ziemskie i nieruchomości będące własnością tak mojej mocodawczyni jak i moją, a w załączonym projekcie ustawy wymienione, na rzecz utworzyć się mającej fundacji pod nazwą Zakłady Kórnickie powzdać i na przepisanie prawa własności w księgach wieczystych zezwolić. (Następują zwykłe formalności dokumentów i wypisów).

(—) podp. *Władysław Zamoyski.*
(—) podp. *Dzierżyński.*

— — — — — — — — — — —

*Ustawa o Zakładach Kórnickich.*

I. Jadwiga z Działyńskich Zamoyska, właścicielka w Województwie Poznańskiem, w powiecie poznańskim zachodnim dóbr Trzebaw karta 1., i t. d. i t. d.*).

Władysław Zamoyski, właściciel w Województwie Poznańskiem, w powiecie Śremskim dóbr Biernatki tom 1,, i t. d. i t. d. Dóbr leżących w powiecie Śremskim ale zapisanych w hipotece poznańskiej Dachowa k. 1., i t. d. i t. d.. a w Województwie Krakowskiem powiecie Nowotarskim dóbr tabularnych Zakopane Lwh. 765 i t. d. i t. d.

Oddali Narodowi Polskiemu wszystkie Swoje majątki nieruchome, które odtąd stanowić będą, pod patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej i X. Prymasa Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego Fundację niepodzielną pod nazwą „Zakłady Kórnickie" z siedzibą w Kórniku, która wraz z przyszłemi darami i zapisami jest przeznaczona wieczyście na cele poniżej wymienione. Do części majątków fundacji obciążonych hipotecznie zasada niepozbywalności stosowaną będzie od chwili umożenia długów hipotecznych.

II. Cele I. Utrzymanie i rozwój Szkoły Domowej Pracy Kobiet założonej w Kórniku 24. 6. 1882 r., wygnanej przez rząd pruski i przeniesionej do Lubowli na Spiżu, do Kalwarji Zebrzydowskiej, do Zakopanego na Bystre, wreszcie do Kuźnic 11. 6. 1891 r. na zasadach, na których powstała i od przeszło czterdziestu lat rozwijała się mimo prześladowań i wydalań.

2. Popieranie wychowania młodzieży męskiej, w duchu polskim i katolickim.

3. Pomoc do nauk wyższych dla wyjątkowo zdolnych, zwrotna gdy zarabiać będą.

4. Utrzymanie Zamku w Kórniku, ku pamięci tego co Polska przecierpiała, jak się jej synowie Ojczyźnie zasłużyli, dla przechowywania i uczczenia pamięci najszlachetniejszych wśród owych, którzy wobec Polski zasługi położyli, jej się w czasach prześladowań i najsroższych ucisków przyjaciółmi okazali.

5. Utrzymanie Bibjoteki Kórnickiej, piecza nad jej wydawnictwami.

6. Założenie i utrzymanie Zakładu badania, tak na stokach gór jak i na równinach wszystkiego co wchodzi w zakres hodowli, życia, ochrony i należytego wyzyskania wszelkiego rodzaju drzew, tak w kraju istniejących jak i zagranicznych, mogących się krajowi zdać, leśnych, ogrodowych, owocowych, użytkowych, ozdobnych, ich drewna, owoców, liści, soków. Piecza nad ogrodami Kórnickiemi.

7. Krzewienie w majątkach Zakładów Kórnickich wśród ludności wiedzy zawodowej rolniczej i zasad współdzielczości w duchu katolickim i narodowym.

---

*) Opuszczamy wyliczenie nazw dóbr, liczb katastralnych etc.

8. Uprzemysłowienie i podnoszenie wartości majątku Zakładów Kórnickich, przeprowadzenie meljoracyj, na co Kuratorjum i Zarząd będą mieli wzgląd szczególny.

III. Władzą naczelną Zakładów Kórnickich jest Kuratorjum, do którego należą:

X. Biskup Krakowski, Delegat Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publ.

Dwaj Delegaci zaproszeni na lat trzy przez Polską Akademję umiejętności.

Dwaj Delegaci zaproszeni na lat trzy przez Komitet Kasy im. Mianowskiego.

Prezes i czterej członkowie Wydziału Związku Zamoyskich, założonego w Krakowie w 1910 r. lub wybrani przez Wydział na ich miejsce niekoniecznie członkowie Związku.

Należeć do Kuratorjum może tylko Polak Chrześcijanin.

IV. Kuratorjum zbiera się raz do roku na posiedzenie zwyczajne, na którem w głosowaniu tajnem, większością głosów, wybiera na rok jeden swego prezesa i jego zastępcę. Wrazie równości głosów przy uchwałach prezes rozstrzyga.

Posiedzenie nadzwyczajne zwołuje prezes, gdy tego potrzebę sam uzna, lub gdy tego zażąda czterech Kuratorów.

V. Kuratorjum wybiera Zarząd złożony z trzech członków, tak by każdego roku następował wybór jednego członka na lat trzy i wyznacza wśród nich prezesa. Kuratorjum uchwala budżet, zatwierdza regulaminy poszczególnych Zakładów i mianuje Komisje rewizyjne.

VI. Prezes Zarządu jest przedstawicielem Zakładów Kórnickich na zewnątrz. Zarząd mianuje naczelnika zarządzającego majątkiem Zakładów Kórnickich, oraz Kierowników poszczególnych Zakładów i za ich działalność odpowiada przed Kuratorjum. Zarząd na przedstawienie naczelnika, mianuje kierowników poszczególnych działów gospodarczych, buchaltera głównego, a na przedstawienie kierowników poszczególnych Zakładów mianuje ich pracowników.

Zarząd przyjmuje dary i zapisy na rzecz Zakładów Kórnickich.

VII. Zakłady Kórnickie utrzymywać będą własną Kasę Chorych; Kasę emerytalną i Kasę ubezpieczeń utrzymywać mogą.

VIII. Gdyby która z osób lub Instytucyj wymienionych w składzie Kuratorjum nie mogła spełniać nałożonych tą ustawą obowiązków, pozostali członkowie Kuratorjum powołają na ich miejsce inne osoby lub inne instytucje z ducha i zadań tamtym pokrewne.

IX. Z czystych zysków 8% będzie oddawane Wydziałowi Związku Zamoyskich do jego rozporządzenia.

X. Wydziałowi Związku Zamoyskich służy prawo korzystania bezpłatnie z czterech pokoji w domu w Poznaniu 78. Rynek.

XI. Zarząd Zakładów Kórnickich czuwać będzie nad utrzymaniem grobu zmarłego na wygnaniu 1868 r. Jenerała Zamoyskiego w Montmorency pod Paryżem, grobu Marji Zamoyskiej w Hastings i grobów Działyńskich w Kórniku.

XII. Pierwsze posiedzenie Kuratorjum zwoła Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

XIII. Pierwszych Delegatów do Kuratorjum (art. III.) Polska Akademja Umiejętności zaprosi na rok jeden. Komitet Kasy im. Mianowskiego na lat dwa, następnie już Delegaci wybierani będą na lat trzy.

XIV. Pierwszych trzech członków Zarządu zaprosi Wydział Związku Zamoyskich. Z tych co roku jeden przez losowanie ustąpi, a w jego miejsce nowego Kuratorjum powoła na lat trzy. Przez pierwsze trzy lata Zarząd co roku z pośród siebie wybiera prezesa.

XV. Władysław i Marja Zamoyscy będą mieli prawo dożywotnie głosu doradczego w posiedzeniach Kuratorjum i Zarządu; prawo dożywotnie używania bezpłatnie obecnie przez nich zajmowanych w Kórniku i Zakopanem mieszkań, ze światłem, opałem, usługą, żywienia się przy stole urzędników kawalerów w Kórniku i Zakopanem wraz z gośćmi, korzystania z trzech koni i wózków.

Władysław i Marja Zamoyscy otrzymywać będą od Zakładów Kórnickich miesięcznie z góry po sto centnarów metrycznych żyta, wedle ich życzenia, w naturze, loco dworzec kolejowy, lub w gotówce po najwyższej cenie giełdy poznańskiej, pierwszego każdego miesiąca. Zakłady Kórnickie pokryją koszty leczenia w razie choroby i pogrzebów Władysława i Marji Zamoyskich jak najskromniejszych.

XVI. Zakłady Kórnickie będą wypełniały zobowiązania przyjęte przez właściciel[i] przed zatwierdzeniem niniejszej ustawy.

XVII. Z mocy ustawy niniejszej prawo własności nieruchomości wyliczonych w ustępie I, przepisane będzie na Zakłady Kórnickie bez pobrania podatku od spadków i darowizn.

XVIII. Wykonanie niniejszej ustawy powierza się Ministrowi Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

XIX. Ustawa obowiązuje z dniem jej ogłoszenia.

## Słów kilka o Bibliotece Publicznej w Zakopanem.

Pierwszy, do publicznego użytku oddany księgozbiór w Zakopanem był własnością Towarz. Tatrzańskiego i mieścił się w dawnym drewnianym dworcu Tatrzańskim, znanym pod nazwą „kasyna". Niewielki ten, około 2.000 tomów liczący księgozbiór spłonął w czasie pożaru Dworca. d. 21 stycznia 1900 r.

Drugi księgozbiór, który się rozwinął w dzisiejszą Bibljotekę Publiczną, gromadzić począł klub naukowo-towarzyski „Czytelnia Zakopiańska", który statutowe swe istnienie rozpoczął d. 11 stycznia 1900 r.

W dniu tym odbyło się pierwsze walne zgromadzenie klubu, a pierwszemu przez nie obranemu zarządowi przekazał niezwykle czynny, tymczasowy, komitet organizacyjny, zbiór książek liczący już dwieście kilkadziesiąt tomów.

Pierwszą wzmiankę powstania tego klubu, którego główną zasługą jest założenie Bibjoteki Publicznej w Zakopanem, podaje „Przegląd Zakopiański" nr. 16, z d. 16 XII 1899, w artykule pod tyt. „Pożądana instytucja", który jako pierwszą drukowaną wiadomość o założeniu Bibljoteki Publ., przytaczamy tu w całości.

> „Dowiadujemy się o rozpoczętych obecnie staraniach utworzenia w Zakopanem nowej bardzo tu potrzebnej instytucji. Ma to być rodzaj klubu o charakterze głównie naukowym, ale i towarzyskim zarazem."
>
> „Głównem zadaniem tego towarzyskiego kółka ma być wytworzenie wspólnemi siłami takiego ogniska, przy którem grupować się będą mogli stali i czasowi mieszkańcy Zakopanego, pragnący poważniejszej umysłowej rozrywki i które dostarczać będzie mogło materjału nawet do prac naukowych. Dla dopięcia tych celów czytelnia kółka zaopatrzoną będzie prawie we wszystkie poważniejsze czasopisma polskie i niektóre obce, a w bibjotece stopniowo gromadzić się będą dzieła z rozmaitych dziedzin wiedzy. Jest także zamiar urządzania pogadanek naukowych i możliwie najczęstszych zebrań towarzyskich. Podanie do władzy

o zatwierdzenie statutu podpisali p. dr. Marjan Hawranek i p. Wacław Tokarz, słuchacz wydz. histor. w Uniw. Jagiellońskim".

O dziejach i działalności tego klubu mówić tutaj nie będziemy, wspomnimy tylko, że w r. 1904 przekształcił się w towarzystwo, które przyjęło nową nazwę: „Bibljoteka Publiczna w Zakopanem".

Z tej zmiany widać, że zadanie tworzenia bibljoteki, które z początku było jednem w pośród wielu, wygórowało nad inne i stało się głównem, by wreszcie z biegiem czasu, wyłącznem się stać zadaniem towarzystwa. Chcąc wymienić tych wszystkich, dzięki którym B. P. powstała i rosła, wypisać by tu trzeba długi rejestr nazwisk, przeważnie powszechnie znanych i cenionych w Polsce, było bowiem niemal zwyczajem, że każdy z bawiących w Zakopanem literatów polskich, przyczyniał się w jakiś sposób do wzbogacenia księgozbioru. Dość jest przejrzeć roczniki „Przeglądu Zakopiańskiego", by się o tem przekonać. Świadczą też o tem niezliczone dedykacje w książkach bibljotecznych. Nie mając na więcej miejsca, wymieniamy choć kilka nazwisk z pośród tak wielu zasłużonych. Są tu więc: Dyonizy Beck, Stefan Żeromski, Mieczysław Limanowski, Wł. Reymont, Wacław Wolski, Piotr Chmielowski, Tadeusz Miciński, A. Szymański, Józafat Nowiński, Artur Górski, W. Szukiewicz, Wacław Tokarz, W. Orkan, L. Kulczycki, Stanisław Wyrzykowski, A. Strug.

Ileżby nazwisk jeszcze wymienić trzeba, ilu wspomnieć artystów z pod znaku wszystkich muz, chcąc podać spis głównych współpracowników! (Artykuł Przegl. Zakop. Nr. 12, z d. 20 III 1902, p. t. „Raut literacki", wymownie rozpowiada o tem.) Licznych ofiarodawców trudno też jest tu wyliczać. Jednym z najzasłużeńszych jest ś. p. dr. Ignacy Baranowski. Pierwszą siedzibą towarzystwa był dom obok sklepu Słowika przy górnych Krupówkach, drugą była szeroko znana „Polanka", tutaj bowiem ogniskowało się przez długi czas umysłowe życie Zakopanego, trzecią siedzibą była oficyna „Bazaru Polskiego", obecną zaś od r. 1914, jest Dworzec Tatrzański. Nie mamy zamiaru kreślić tu historji towarzystwa, więc po tych kilku informacjach o początkowych dziejach przechodzimy do krótkiego przedstawienia obecnego stanu B. P.

Stwierdzamy nasamprzód, że skutkiem ewolucji, na dokonanie której wiele czynników się złożyło, stał się księgozbiór wreszcie jedynym celem towarzystwa albo raczej jedynym środkiem jego działania. Gdy w r. 1914, dzięki przychylności Tow. Tatrz., wprowadzała się B. P. do Dworca tegoż Towarzystwa, mniemał ówczesny zarząd Bibljoteki, iż zdobył dla niej po latach starań, przestronny lokal, rokujący jej możność niekrępowanego rozszerzania się przez czas długi. Nadzieje te jednak były zawodne. Powstaniem niepodległej Polski wywołana reorganizacja Tow. Tatrz., zrodziła nowe jego potrzeby, na zaspokojenie których B. P. ustąpić musiała z większej części wynajmowanego jej lokalu i stłoczyć się w mniejszej.

Gdy to się stało, zniknęła ostatecznie możność utrzymywania czytelni, urządzania odczytów i zebrań, gdyż przestrzeń, jaka pozostała po redukcji lokalu, nie wystarcza nawet na wygodne i dostępne rozmieszczenie księgozbioru, oraz licznych roczników cennych, czasopism. Same tedy już warunki zewnętrzne położyły nieodwołalnie kres, zajmowania się innymi celami, niż sama bibljoteka, niż działanie wyłącznie za pomocą niej.

Księgozbiór sam ze siebie nie jest też już małym celem i jeśli ma być należytym staraniem otoczony, nie ścierpi już obok siebie równorzędnych z nim celów, urósł bowiem w ciągu 25 lat do liczby 16.000 dzieł w dwudziestu przeszło tysiącach tomów, nie licząc dubletów i czasopism.

Stawiając sobie inne jeszcze cele, rozpraszałoby tylko towarz. B. P. energję swoją i szkodziłoby temu celowi, od którego wzięło swą nazwę. Tyle dla wytłumaczenia ewolucji, która od licznych celów „Czytelni Zakopiańskiej“, doprowadziła do jedynego celu obecnej B. P. w Zakopanem.

Teraz już tylko o samym księgozbiorze.

Skład jego ma niewątpliwie cechy pewnej przypadkowości, co wynika jużto ze sposobu jego powstania, jużto ze stałego braku środków, gnębiącego wszystkie zarządy od chwili zawiązania się towarzystwa, a wreszcie z konieczności liczenia się z żądaniami abonentów, od których pobierane opłaty są jedynem stałem źródłem dochodów B. P. Dopóki B. nie uzyska funduszów któreby ją niezależną uczyniły od abonentów, dział naukowy stale, w większej lub mniejszej mierze upośledzony będzie na korzyść beletrystyki, której poszukuje większość czytelników.

Nie jest winą kierowników B. dysproporcja w wyposażeniu różnych jej działów, w stosunkowym bogactwie jednych, a zbytniem ubóstwie innych, i ci, którzyby skłonni byli poddać księgozbiór nasz ostrej krytycznej ocenie na uwadze mieć winni nie już szczupłość, lecz rzeczywistą minimalność środków materjalnych, jakimi rozporządzali jego twórcy i zamiast wytykać to, czego nie dostaje, ocenićby raczej winni to, co jest.

$^2/_3$ księgozbioru tworzą dzieła naukowe, $^1/_3$ beletrystyka. Z działów naukowych najzasobniejszy jest dział historji polskiej, wzbogacony w r. 1921 1500 dziełami po znanym historyku śp., Ern. Świeżawskiem, ofiarowanemi Bibljotece naszej przez jego małżonkę.

Dzięki temu darowi służyć może Bibljoteka nasza przynajmniej w zakresie tego działu, nawet zawodowym badaczom naszych dziejów. Jest to opinja kilku historyków, którzy tę Bibljotekę zwiedzali. Z pośród innych działów nieźle zaopatrzony jest dział historji, literatury i krytyki literackiej oraz dział polityczno - społeczny, zawierający mnóstwo druków, które dziś już są rzadkością.

Wcale pokaźny jest zbiór dzieł polskich z pierwszej połowy zeszłego wieku, wśród nich sporo jest wydawnictw emigracyjnych. Posiada też B. druki polskie z dawnych wieków, od XVI. począwszy, między nimi Postyllę x. Wujka, Dzieje papieży przekładu x. Skargi, Kazania x. Birkowskiego, Starowolskiego, wspaniałe wydanie lipskie Długosza z r. 1712 i wiele innych. Nadmienić tu jeszcze należy, że w B. znajduje się znaczna liczba dzieł w obcych językach, więc: w łacińskim, francuskim, angielskim, niemieckim i rosyjskim.

Zarząd obecny wierzy niezłomnie, że wcześniej czy później, wartość i znaczenie B. zdobędzie sobie należyte zrozumienie, a rozwijające się coraz szybciej Zakopane, dla którego jest ona nieodzowną, dostarczy jej środków, które jej byt i rozwój ugruntują tak, by chlubą się stała tego nowego Zakopanego i by wszelkim wymaganiom zadość uczynić mogła. Dlategoto Zarząd obecny B. widzi ideał swych dążeń w jej uniwersalności, w tem, by wszystkim służyć mogła i wszystkiem, czegoby tylko we wszelkich dziedzinach wiedzy zapragnąć mogli. O ile więc środki pozwalają, wzbogaca się wszystkie działy równomiernie. Wyjątkiem jest oczywiście żywicielka B., belletrystyka, a musi być w obecnych warunkach zasilona najobficiej.

W zamieszczonem poniżej zestawieniu podajemy garść dat, obrazujących rozwój Bibljoteki. Nie wchodząc w szczegóły, podajemy tylko liczby ogólne.

Z początkiem r. 1900 liczyła bibl. tomów dwieście kilkadziesiąt, w r. 1902 wzrosła już ta liczba do 2.000.

Ponieważ w r. 1911 nie wydawano drukowanych sprawozdań, a brak nam również pisanej statystyki, nie możemy podać dat, odnoszących się do tego okresu.

| | |
|---|---|
| 1. I. 1912 liczyła Bibljoteka dzieł . . . | 5.666 |
| 1. I. 1913 „ „ „ . . . | 7.324 |
| 1. I. 1914 „ „ „ . . . | 7.532 |
| 1. I. 1918 „ „ „ . . . | 9.159 |
| 1. I. 1922 „ „ „ . . . | 13.558 |
| 1. I. 1924 „ „ „ . . . | 15.664 |

Obecnie zaś (grudzień 1924 r.) liczy **dzieł 16.000** bez dubletów i czasopism.

Wypożyczono przez ten czas czytelnikom około 800.000 tomów.

Taki jest dorobek 25-letniej pracy towarzystwa.

Nie jestto dorobek imponujący, nie odpowiada bynajmniej zamierzeniom, ale jest wiernym obrazem wysiłku, na jaki towarzystwo zdobyć się mogło. Wyniki działalności początkowej są niewątpliwie znacznie większe, niż działalność w dalszych okresach: bo gdyby pierwotny impet mógł był stale być zachowany, winienby księgozbiór liczyć dziś nie 16, lecz 50 tysięcy dzieł, zważywszy, że w ciągu dwu pierwszych lat zdołano zebrać tomów czy dzieł 2.000. Impet pierwotny jednakże nie mógł trwać długo, bo rychło stawiać mu opór zaczęły liczne a w sumie swej przemożne czynniki hamujące, których rozpatrywać tu niepodobna.

Czynniki te przemożne, których przezwyciężenie było nad siły towarzystwa, sprawiły, że zamiast 50-ciu tysięcy dzieł, posiada B. tylko 16. Ale w tych 16-tu tysiącach uznać należy ofiarność, zapał i mozolną pracę małej grupy niezamożnej inteligencji polskiej, a kto zważy, jak ta bibljoteka powstała i rosła, ten zaiste plonu 50-letniej pracy nie nazwie małym, albo za małym!

O przyszłość Bibljoteki nie lękamy się. Jeśli w dawnem, małem Zakopanem, znaleźć ona mogła warunki istnienia, to tembardziej w tworzącem się wielkiem, nowoczesnem Zakopanem znaleźć je musi. I chociaż dzisiaj ogół Zakopian mało się Bibljoteką s w o j ą interesuje, zmienić się to musi i zaświtać musi zrozumienie, że tak poważna skarbnica wiedzy, jaką jest B. P., nie jest sprawą błahą i że jestto wprost kwestją honoru gminy o tak wyjątkowem znaczeniu, jak Zakopane, by w jej budżecie rocznym znalazła się pozycja stała na uposażenie Bibljoteki, odpowiadająca ważności tej instytucji, wzrastającym jej potrzebom i wielkości jej zadań!

*Jerzy Gawliński*
bibljotekarz B. P.

Zakopane, w grudniu 1924.

## BADANIA NAUKOWE.

**Badania geologiczne w Tatrach i Pieninach w r. 1923 i 1924.** Dr. Ferdynand Rabowski, geolog Państwow. Instytutu Geologicznego w Warszawie, przeprowadził w ciągu miesięcy letnich 1923 r. dalsze uzupełnienia zdjęcia geologicznego w podziałce 1:25.000 (częściowo 1:10.000) serji wierchowej tatrzańskiej, przedewszystkiem w partji Czerwonych Wierchów (dol. Kościeliska i Tomanowa). Uzupełnienia te dozwoliły na wykonanie szczegółowego profilu tektonicznego serji wierchowej wzdłuż wschodniego zbocza dol. Kościeliskiej, z którego wynika silne skomplikowanie tej serji, szczególnie w partji korzeniowej (Tomanowa, Czerwone Żlebki).

Dr. F. Rabowski i dr. W. Goetel, profesor Akademji Górniczej w Krakowie, wykonali wspólnie zdjęcie geologiczne w podziałce 1:25.000 serji reglowej w partjach: Furkaska-Huciska-Siodło, Kiry Kościeliskie- Upłaz-Miętusia-Mała Łąka, Filipka-Gęsia Szyja-Rusinowa, Czerwona Skałka-Holica. Rezultatem tego zdjęcia jest rozwiązanie kwesji stosunku płaszczowiny choczańskiej do płaszczowiny

reglowej w obrębie serji reglowej Tatr i skonstruowanie szeregu szczegółowych profilów tektonicznych, ze szczególnem uwzględnieniem przekroju wzdłuż wschodniego zbocza dol. Kościeliskiej, przedstawiającego obecnie całość serji wierchowej i reglowej Tatr (przekrój Tomanowa-Ciemniak-Gładkie-Upłaz-Kiry-Miętusia- Kończysta-Hruby Regiel).

W. Goetel skartował nadto partję dol. Strążyska-dol. ku Dziurze-, Spadowiec-dol. Białego w obrębie serji reglowej.

W zakresie badań stratygraficznych zebrał W. Goetel bardzo obfitą i różnorodną faunę z warstw dolno-liasowych dol. Kościeliskiej (Pisana, Smytnia) i dol. Starorobociańskiej, oraz wyższych poziomów liasowych dol. Chochołowskiej (Tylkowe Kominy), nadto warstw przejściowych kajprowo - liasowych dol. Chochołowskiej, zdejmując równocześnie szczegółowe profile stratygraficzne.

*W. Goetel.*

Wspólnie z W. Goetlem badałem w Tatrach rejon reglów od Furkaski w Tatrach Zachodnich aż po Holicę w Jaworzynie. Udało się nam dokładnie wydzielić, co w tych masach należy do płaszczowiny reglowej, a co do choczańskiej. Pierwsza składa się z serji normalnej, od triasu po kredę, leżącej na serji wierchowej, i z jednej dygitacji; druga zaś — z całego szeregu dygitacji, czyli fałdów czołowych, zanurzających się ku N. i wtulonych w kredę reglową.

Nieoczekiwanym rezultatem naszej analizy tektonicznej jest to, że w reglach na S. od Zakopanego, między Małą Łąką a Suchą Wodą, niema wcale płaszczowiny reglowej, lecz wyłącznie tylko panuje choczańska. Pierwsza jest tu zupełnie wyciśnięta pod wpływem zsuwających się w depresję transwersalną mas choczańskiej płaszczowiny.

Łącznie z L. Horwitzem zbadaliśmy w Pieninach jedną z ładniejszych i o wyjątkowo wyrazistej budowie skałkę — skałkę Haligowiec. Serja stratygraficzna stwierdzona przez Uhliga, okazała się zupełnie fałszywą. Nie na wschodnim cyplu skałki Haligowieckiej, lecz na zachodnim znajdują się poziomy najstarsze. Idąc od W. ku E. mamy wapienie i wapienie dolomityczne triasu, na nich leżą różne poziomy liasu i doggeru, a następnie poziomy ralum. Warstwy mają upad przeważnie ku SSE. Skałka zwartą masą wynurza się z pod osłony skalicowej i jest na nią nasunięta od W i od N, ku E zaś zanurza się.

Krótka wycieczka w masyw Drużbaków, wynurzających się z pod fliszu podhalańskiego, wykazała, że tak zwany „Barkokalk“ Uhliga jest tu triasem nasuniętym na poziomy młodsze. *F. Rabowski.*

W roku 1924 F. Rabowski kontynuował swe prace nad budową i stratygrafją Tatr, przeważnie na obszarze Jaworzyny. W Zamkach, nad doliną Białej Wody, zauważył, że jądro krystaliczne fałdu Czerwonych Wierchów jest wybitnie rozwinięte. W płaszczowinie zaś reglowej stwierdził, że dygitacja Czerwonej Skałki widoczna jest i na E od Jaworowej doliny w Rogowej Skale, oraz w łuskach leżących pod płatami dolomitów choczańskich w Tatrach Bielskich.

W masie Drużbaków F. Rabowski dokładniej, niż zeszłego oddzielił masy nasunięte, składające się z utworów triasu średniego, jury i kredy, od podłoża antyklinalnie wygiętego a złożonego z kajpru, retu i liasu. Wapienie „Barko“, zaliczone przez Uhliga do liasu, są częściowo triasem, częściowo zaś jurą lub kredą. Pozostaje nadal nierozstrzygniętem, czy masy reglowe Drużbaków należą do jednej, czy też do dwóch jednostek tektonicznych.

W związku z problemem wapieni „Barko“ F. R. badał „skałki“ w Homonie (dolina Laborczy, S. od Łupkowa) gdyż „Barkokalk“ z okolic Barko okazał się to triasem, to jurą. Analiza zaś budowy wykazała, że mamy tu czynienia z dwoma łuskami. Dolna, antyklinalnie wypiętrzona w pasie południowym, składa się z triasu średniego, leżącego na kajprze, występującym w oknach. Górną łuską, oddzieloną od poprzedniej łuskami neokomu, tworzą warstwy triasu, retu i jury.

Dążąc do wyjaśnienia problemu występowania skałek F. R. zbadał dolinę Popradu między Pławcem a Leluchowem i doszedł do wyników następujących: skałka jurajska Pławca, oraz występowania czerwonych margli kredowych osłony skalicowej ponad brzegiem Popradu są jakby masami oderwanemi od podłoża i wtłoczonemi w flisz Podhala wzdłuż linij nasunięć.

Przyczyną tego jest silne nasunięcie fliszu Podhala wraz z całem podłożem i Karpatami centralnemi na flisz magórski, stanowiący brzeg wewnętrzny geosynkliny fliszowej.

Na obszarze Pienin F. R. wspólnie z L. Horwitzem kontynuował dokładne zdjęcia skałki Haligowieckiej, rozszerzając je i na osłonę skalicową. Badania te wykazały bardzo skomplikowaną budowę osłony, a mianowicie istnienie całego szeregu przechylonych ku N. „klinowych“ antyklin kredowych,

poprzedzielanych głęboko ku S wciśniętemi pasmami eocenu.

W r. 1924 F. R. rozpoczął badania i na obszarze Karpat fliszowych (arkusz Przemyśla). Na zachód od Przemyśla między Dubieckiem a Krzywczą i Bachowem z jednej strony, brzegiem karpackim z drugiej strony, wydzielił pięć antyklin kredowych poprzedzielanych utworami eocenu i oligocenu.

*F. R.*

— L. Horwitz prowadził w r. 1923 badania geologiczne, związane z rewizją arkuszy Nowy Targ i Szczawnica Atlasu Geolog. Galicji.

1. Sprawa wieku t. zw. północnego fliszu granicznego. Dane zdobyte przemawiają za jego dolno-oligoceńskim wiekiem.

2. Stratygrafja osłony skalicowej. *a)* Kompleks skał z charakterystycznym wapieniem krynoidowym — senon górny, *b)* margle puchowskie (albo kompleks czerwonych łupków) — senon dolny, *c)* piaskowce płytowe i zlepieńce, często w kontakcie z facją pienińską — *cenoman* (Czorsztyn, przekrój Niedzicki).

3. Trzeciorzęd Złotnego (okolica Felsztyna) ma większe znacznie rozprzestrzenienie, niż to stwierdził Uhlig. Jego stosunek do otaczającego pasa skalic przemawia raczej za superpozycją trzeciorzędu na tym ostatnim, niż odwrotnie.

4. Stratygrafja facji pienińskiej. W okolicach Czorsztyna odkryte zostało nieznane ogniwo serji pienińskiej (dogger środkowy—górny?) w postaci wapieni, częściowo krynoidowych.

5. Geologja „wyspy Haligockiej“ (razem z F. Rabowskim). Zdjęcie Uhliga nie odpowiada rzeczywistości. „Wyspa“ obejmuje wszystkie tereny (od tryjasu do neokomu), przyczem rozpada się ona na dwie nierówne części, jedną wielką (tryjas — tyfon), drugą małą na zachodzie, złożoną z neokomu, malmu i łupków posidonomycznych, które tu obejmują i lias środkowy (Spiriferina).

*L. H.*

**Badaniem zlodowacenia północnych stoków Tatr** zająłem się jeszcze w r. 1919. Prowadzone dalej w następnych latach badania doprowadziły do opracowania dyluwjum tatrzańskiego w dolinach Białej Wody, Rybiego Potoku i Roztoki czyli całego obszaru Białki. W obszarze tym przeprowadzono paralelizację utworów erozji glacjalnej we wnętrzu gór z utworami akumulacji lodowcowej i utworami rzeczno—lodowcowemi. Dalej scharakteryzowany krajobraz glacjalny Tatr w jego najwspanialszej części, (doliny wiszące, żłoby lodowcowe, zamknięcia korytowe, kary w ich rozmaitym co do stopnia zachowania wykształceniu, progi zamykające, stopnie dolinne, utwory morenowe co do wieku i osady rzeczno — lodowcowe). Dla całego tego obszaru wyrysowano mapę morfologiczną w podziałce 1:25.000 i liczne profile dolinne. Przytem zauważono po raz pierwszy transfluencję lodnika Białej Wody przez Opalone w dolinę Roztoki, w związku z którą zdołano wyjaśnić genezę progu Siklawy w dolinie Roztoki; w dalszym ciągu badając regle wschodnie (grupa Kopek Sołtysich), zauważono ślady transfluencji lodowców Białej Wody i Suchej wody w dolinki tychże regli (podobnej do znanej już od czasów Altha transfluencji lodowca Suchej Wody w dolinę Olczyską), w końcu zdołano wydzielić nowy typ stawów upłazowych (wysoko położonych marmitów glacjalnych) n. p. Swistowe Stawy pod Polskim Grzebieniem, małe stawki u stóp północnej ściany Mnicha I-go, których nie należy utożsamiać z obecnie prawie wyschniętym stawkiem Staszica w dolinie za Mnichem. Pracę o zlodowaceniu doliny Białki w Tatrach złożyłem w roku 1922 jako jako rozprawę doktorską w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W r. 1923 będąc w ciągu lata w Zakopanem zająłem się opracowaniem zlodowacenia doliny Jaworowej w wysokich Tatrach. Zaopatrzony w stałą przepustkę czeską wystawioną przez konsulat czeski w Krakowie w ciągu paru wycieczek mogłem się dokładnie poinformować o stosunkach glacjalnych w tej dolinie. Jako punkty oparcia służyły mi szałasy góralskie w dolinie Jaworowej a po części schronisko na Łysej Polanie. Materjały zebrane w terenie, które również przeniosłem na mapę 1 : 25,000 znajdują się w mym posiadaniu jak i również rękopis zlodowacenia doliny Jaworowej opracowany w jesieni roku 1923. Ponieważ zaś z poprzednich lat w czasie opracowywania doliny Białki, zbierałem również i materjały do doliny Suchej Wody, tak że po opracowaniu doliny Jaworowej uzyskałem całokształt stosunków glacjalnych północnych stoków Wysokich Tatr. Porównanie tych trzech walnych dolin tatrzańskich zezwala nam zebrać całość zjawisk lodowcowych Wysokich Tatr, rozpadającą się na dwie części, zachodnią i wschodnią. Granicę stanowi dział wodny pomiędzy Dunajcem a Białką, ciągnący się od Świnicy

2306 m. do Gęsiej Szyji 1488 m. a rozdzielający w czasie epoki lodowej wschodnie lodowce od zachodnich. Dwojakiego typu to były lodowce: zachodnie, krótkie, szerokie o dużej miąższości jak n. p. Pańszczycy i Suchej Wody i o dużej sile transportowej; wschodnie — to lodowce długie a słabe n. p. Białej Wody, Rybiego Potoku, Roztoki, Jaworowy i Kołowy. Pozatem w lecie r. 1923 zająłem się również badaniem grot lodowych a więc na nowo odkrytej przez braci Zwolińskich groty w Ciemniaku i groty lodowej w dolinie Spis—Michałowej zauważonej przez prof. Kowalskiego. Stosunki w obu grotach analogiczne, które posiadają kierunek w górę od wylotu i pokrywę lodową dna stwarzają na małą coprawda skalę jedynie istniejące lodowce jaskiniowe w Tatrach i stanowią nowy przyczynek do znajomości naszych grot. O grotach tych lodowych pisałem obszernie w lutowym numerze, Orlego Lotu, miesięcznika krajoznawczego dla młodzieży.

W roku 1924 uzupełniałem pewne jeszcze luki w topografji opracowywanego przezemnie poprzednio terenu. A więc zająłem się morfologją glacjalną doliny Szerokiej położonej pomiędzy dolinami Jaworową a Białej Wody, Bielskimi Tatrami, doliną Kiezmarską. W Bielskich Tatrach stwierdziłem szereg wysoko-górskich karów lodowcowych a w dolinach Szerokiej, Bielskiej, Tokarskiego Potoku niewątpliwe ślady akumulacji lodowcowej. A więc i ta grupa Tatr dotychczas uważana za niedotkniętą zlodowaceniem, posiadała lokalne lodowczyki. — Zajmując się zlodowaceniem doliny Kiezmarskiej stwierdzono wybitny przelew w dolinę Czerwonej Glinki, zajęto się bliżej granitową grupą Sterek i Rymasa, które w czasie maksymalnego zlodowacenia były wybitnym nunatakrem, sterczącym z nad morza lodów. Przy sposobności studjów glacjalnych stwierdzono w dzisiejszym krajobrazie tych okolic ślady walki o dział wodny pomiędzy Dunajcem a Popradem, która to walka doprowadziła do ściągnięcia (z koptowania) na korzyść Popradu, Bielskiego Potoku i wytworzenie dzisiejszej pięknej przełomowej doliny pomiędzy Tatrami Bielskimi a Spiską Magurą.

Nawiązując do badań lat poprzednich w dolinach Białki, Suchej Wody i Jaworowej stwierdzono również i w tych okolicach trójkrotność fenomenu erozji glacjalnej i akumulacji zaznaczoną wybitnie w krajobrazie dzisiejszym. Nakoniec zajmując się bardzo licznemi wystąpieniami wiecznych śniegów w górnych piętrach doliny Zielonego Stawu Kiezmarskiego, stwierdzono iż w kotle i żlebie śnieżnym poniżej tak znanej Miedzianej Ławki znajduje się pod warstwą wiecznego śniegu lodowczyk miąższości do 10—15 metrów. W lodku tym znaleziono liczne poprzeczne i podłużne szczeliny, pozwalające się dostać do pięknych jaskiń dennych a pozwalające wglądnąć bliżej w strukturę lodu. Do zachowania się w miejscu tym tak wielkiej masy lodu mogącej zupełnie słusznie mieć nazwę lodowczyka upłynęły pewne specjalne warunki tych okolic jak wysokość szczytów, nawiewanie śniegów z dolin zachodnich i tego rodzaju ekspozycja słoneczna iż dolina ta przeważną część dnia pozostaje w cieniu.

Widzimy z tego wszystkiego iż Tatry te najpiękniejsze góry nasze, rok rocznie odsłaniają nam swe nowe powaby leżące albo w ukryciu albo w zapomnieniu.

*Adam Gadomski*

— St. Małkowski w roku 1923 zajmował się sprawą moreny najstarszego ze znanych dotychczas lodowca tatrzańskiego, odnalezione przez niego w Szaflarach pod N. Targiem. Morena tu spoczywa na bardzo silnie skorodowanej powierzchni wapieni skalicowych.

Ciekawym i pięknym (ze względu na formy korozji wapienia) tym zabytkiem zajęła się Państwowa Komisja Ochrony Przyrody. Zagadnienia związane z odryciem moreny w Szaflarach poruszył na Zjeździe odbytym w r. 1923 w Warszawie, a poświęconym dyluwjum Polski, w reformacie p. t. „W sprawie zasięgu lodowców po północnej stronie Tatr“. *St. M.*

**Badania geologiczne w Beskidach.** — Tytuł naukowy mniej jednak dla szerokich kół zrozumiały winien brzmieć: Badania geologiczne w Karpatach fliszowych, taką bowiem nazwę naukową pozostającą w związku z treścią i swym charakterem petrograficznym nasze Beskidy posiadają. Badania te w porównaniu z czasami bezpośrednio dawniejszemi znamionuje niezwykłe ożywione tętno, z drugiej zaś strony stojąca na współczesnej wyżynie wiedzy metoda pracy. Dzięki tej ostatniej właściwości są one między sobą porównywalne w tym sensie iż arkusz zdjęty przez jednego pracownika przy zetknięciu z arkuszem sąsiednim, zdjętym przez drugiego nie daje gwałtownej zmiany obrazu, lecz jeden jest dalszym ciągiem drugiego.

W uwzględnieniu konieczności państwowych przedewszystkiem wzięto pod uwagę

przy zdjęciach wiele pod względem naftowym obiecujący pas brzeżny wschodnich łańcuchów karpackich i to w ciągu ostatnich trzech lat dokonano dzieła naprawdę heroicznego, gdyż zdjęto dokładnie pas długi naokoło 230 km. a szeroki około 50 km. (razem około 10.000 km$^2$) a rozciągający się mniejwięcej od Sambora aż po wschodnią granicę Rzplitej. W dziele tem wzięli udział (od wschodu ku zachodowi) Dr. B. Świderski (od doliny Czeremosza aż po dolinę Prutu), dalej na zachód Dr. B. Bujalski (obszar obu Bystrzyc). Obszar stąd na zachód aż po dolinę Świcy opracowali Dr. E. Jabłoński i S. Weigner, zaś Dr. K. Tołwiński przy współpracy Dr. K. Krajewskiego zdjęli obszar ku zachodowi aż po za Borysław, Dr. Krajewski opracował samodzielnie jeszcze dalsze partje Karpat ku zachodowi w okolicy Opaki. Ten tak poważny szereg prac zmieniający wcale zasadniczo naszą znajomość tej części Karpat już to został ogłoszony drukiem jako Biuletyny Stacji geologicznej w Borysławiu wchodzącej częściowow 'skład Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie (Wydział naftowo-solny) i pozostającej pod kierownictwem Dra Tołwińskiego — już to w najbliższej przyszłości tamże zostanie ogłoszony. Obok znakomitych map geologicznych i przekrojów, prace te zawierają treściwe opisy odnośnych terenów w formie tekstu.

Tu należy również praca H. de Cisancourta wykonana na przedgórzu polskich Karpat wschodnich przygotowana do druku w Biuletynie St. geol. Ostatni z wymienionych, geolog francuski pracował nadto obok Dra Styrnałównej i Dra Horwitza (Państw. Inst. Geol.) na arkuszu 1 : 75.000 Stary Sambor, a gdy znaczna część tego arkusza została przedtem zdjęta przez Dra Jabłońskiogo, mam wrażenie, iż arkusz ten niedługo będzie wykończony. Idąc po porządku ku zachodowi i brzegiem Karpat trzeba jeszcze wspomnieć o pracy Prof. Dra W. Teisseyre'a i Dra J. Tokarskiego na arkuszu Dobromila, wreszcie Dra F. Rabowskiego (Państw. Inst. geol.) na arkuszu przemyskim, którego znaczna część została zdjęta.

Pp. Bujalski, Jabłoński, Tołwiński i Weigner przygotowali nadto do druku pracę o tektonice brzeżnych Karpat wschodnich z mapą, która ukaże się w najbliższym czasie.

Jeżeli chodzi o Karpaty głębsze to pp. Bujalski, Jabłoński, Tołwiński i Weigner pracowali tu około mającej się ukazać mapy przeglądowej sięgając swemi zdjęciami niejednokrotnie aż do naszej granicy południowej. Tu należy również praca szczegółowa Dra S. Opolskiego obejmująca duży szmat pogranicznych, południowych łańcuchów karpackich górnego biegu Osławy, Osławicy, Solinki i Wetliny. J. Nowak dokonał zdjęcia szczegółowego pasa naftowego Ropienka — Wańkowa — Leszczowate. S. Weigner opracował znaczną część zachodnich wysoczyzn magórskich między Limanową a Gorlicami, Dr. F. Bieda zdjął duży szmat okolicy Ciężkowic przy koleji tarnowsko — leluchowskiej, Dr. Horwitz pracował około rozwikłania stosunków geologicznych flisza na północy od pasa skałek pienińskich, zaś p. Sokołowski opracował mapę kilkudziesięciu km$^2$. na pd—zd od Żywca. W końcu Dr. Czesław Kuźniar (Państw. Inst. Geol.) dokonał zdjęcia bardzo skomplikowanej części łańcuchów karpackich między Myślenicami, Dobczycami a Skrzydlną.

Przegląd ten jest niewątpliwie niekompletny, gdyż o niektórych badaczach, którzy w Karpatach pracowali brak mi wiadomości (Prof. W. Rogala, geolog. szwajcarski Bruderer, Prof. W. Szajnocha i in.). Należy tylko jeszcze wspomnieć o szczegółowych opracowaniach kopalń naftowych w różnych okolicach (Krosno Inż. Strzetelski, Inż. Aslam Zumpart, Bitków Dr. Bujalski, Inż. Żelechowski, Weigner, Dr. Świderski i in.).

W rezultacie tych bardzo rozległych i intensywnych badań karpackie arkusze mającej się wkrótce ukazać Geologicznej Mapy Przeglądowej Polski (w wydawnictwie Państwowego Instytutu Geologicznego) ukaże się w znacznie zmienionej nowej szacie. Nie od rzeczy będzie podnieść, iż poza zdjęciami dokonanemi przez współpracowników Państwowego Instytutu Geologicznego, które były finansowane przez Rząd, które jednak w szeregu wymienionych 15 nazwisk stanowią tylko 20% i poza dość skąpemi subwencjami rządowemi dla nieznacznej części wymienionych pracowników sedno tej ogromnej pracy zostało dokonane ofiarnością prywatną samych badaczy, co należy podkreślić z ogromnem uznaniem zwłaszcza i przedewszystkiem, gdy chodzi o wymienione powyżej okolice wschodnich Karpat brzeżnych, z któremi wiąże się przyszłość naszego przemysłu naftowego będącego — jak wiadomo — jedną z podstaw,

jednym z postulatów naczelnych naszej żywotności państwowej i naszego odrodzenia.

*Jan Nowak.*

**Prace Zakładu mineralogicznego Uniw. Jagiel.** — Pracownicy krakowskiego Zakładu Mineralogicznego U. J. odbyli w r. 1923 i 1924 szereg dłuższych wspólnych wycieczek badawczych, w tem dwie w Tatry zachodnie, celem kontynuowania prowadzonych tamże od dłuższego już czasu badań mineralogiczno-petrograficznych.

1. Wycieczka w lipcu 1923 poświęcona była badaniu stoków tatrzańskich na południe od Wołowca i Rohaczów; podczas dłuższej wyprawy w lipcu 1924 dotarliśmy gnejsów i łupków krystalicznych Smreku (2089 m.) i prawdziwie wielkiego „Wielkiego Wierchu“ (2184 m.). Występują tu gnejsy i inne łupki krystaliczne (łupki biotytowe, dalej na zachód serycytowe) z licznemi wtrąceniami bogatych w granaty amfibolitów i łupków grafitowych. Charakterystycznym jest tu niebieski kwarzec żyłowy, piękny zwłaszcza gdy deszczem zwilżony. Zauważymy tutaj, że w granitach najdalej na zachód wysuniętej części Tatr, na pd. od Palenicy dostrzehamy i skaleń niebieski, co można uważać za łącznik z innymi, bardziej zachodnimi trzonami granitowymi Karpat, gdzie bywa on częsty.

Wspomniany pas gnejsowo - łupkowy ciągnie się szerokim szlakiem ku zachodowi



Żleby i rozpadliny na Smreku nad dol. Smreczańską.

do najdalej na zachód wysuniętej części krystalicznego masywu Tatr, do doliny Bobrowieckiej i Jałowieckiej, po wapienny Siwy Wierch. Grzbiet granitowy, wrzynający się miejscami bardzo wąskim pasem, zwłaszcza na pn. od doliny Raczkowej, w gnejsy i łupki, rozszerza się na zachód. Okazuje on lokalnie ślady silnego sprasowania. Jak wielkiem było tu ciśnienie, okazują łukowato wygięte powierzchnie ciosowe granitu, ciągnące się na wielometrowej przestrzeni na stokach Rohacza nad Jamnicką doliną.

Zaraz od przełęczy na pd. od Płaczliwego Rohacza zaczyna się potężny kompleks i tylko najwyższe części dolin S m r e c z a ń s k i e j i J a ł o w i e c k i e j są granitowe. Na uwagę zasługują częste w tym okręgu spękania o kierunku *NEN.*, zgodnym z jednym z dwu kierunków kruszcowych żył na Ornaku i szczelin obserwowanych po północnej stronie Tatr. Tu jednak zjawisko jest przez to charakterystyczne, że systemy spękań przerywają tu łupki i gnejsy w poprzek. Wzdłuż linji ciągnącej się od W i e l k i e g o W i e r c h u przez S m r e k wzdłuż grzbietu ku R o h a c z o w i O s t r e m u wytworzyły się na Smreku rozwarte długie szczeliny, poprzeczne do łupków, tworząc

głębokie czeluście, jakby groty, dające wygodną ochronę przed deszczem.

Ze szczelinami temi wiąże się pęknięcie Rohacza Ostrego, dające się śledzić daleko w głąb. Interesującą jest stara kopalnia złota (?) przy wejściu do doliny Smreczańskiej, założona w łupku chlorytowo-amfibolowym, w którym wiele jeszcze zachowało się pirytu. Plany stosunkowo rozległych i bardzo wygodnych chodników rysował podpisany podczas ostatniej wspólnej wycieczki w r. 1918 ze śp. Dr. Władysławem Pawlicą, zakończonej wówczas dość niefortunnie aresztowaniem nas obu przez żandarmerję węgierską u progu doliny Jałowieckiej pod zarzutem szpiegostwa. W sztolni wykuta data: 1832. Występowanie pirytów w dolinie Smereczańskiej przypomina żywo piryty z doliny Starej Roboty, związane z takimiż łupkami schlorytowanymi, występujące tu jako soczewki w granicie.



Grzbiet Smreka.

Wędrówkę po dolinie Jałowieckiej i okolicy odbyliśmy tym razem bez przeszkód. W pamięci zapisał się nam tylko nocleg w malutkim i biednym, a bardzo gościnnym szałasie w górnej części doliny Jałowca wśród szalonej burzy i łomotu kobyt źrebiąt tu wypasanych stadami, które, strwożone burzą, uderzały bez przerwy prawie w drewniane ściany szałasu.

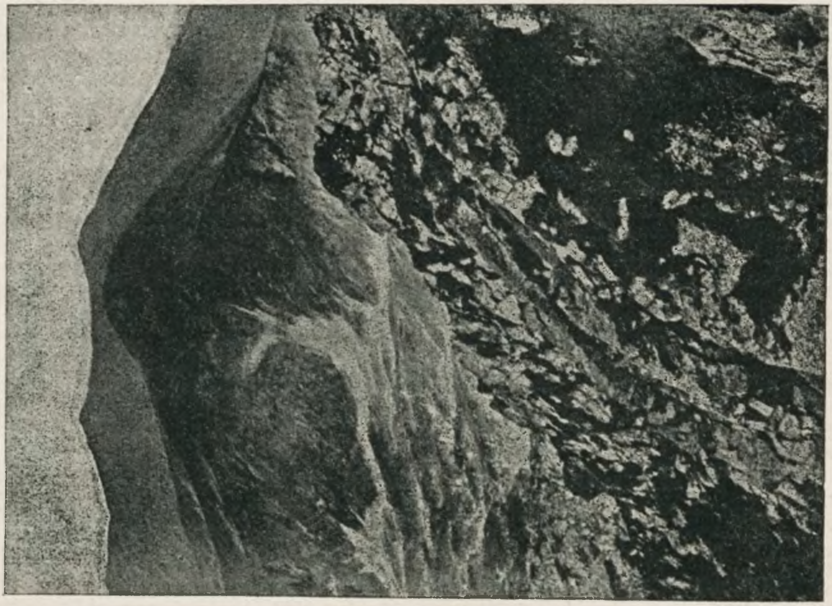
Z północnej, bardziej znanej, przeważnie wapiennej części tej strony Tatr, zasługują na uwagę groty, o których ludność miejscowa długie opowiada gawędy, oraz, bliżej już naszej granicy, u podnóża Osobitej leżące termy Jaszczurzycy, opracowywane szczegółowo od kilku lat przez Dra L. Kowalskiego. Nieco na zachód od źródła z wykrytymi przez Dra Kowalskiego osadami trawertynu znajduje się teraz basenik kąpielowy (drugie źródło) i altanka, wystawiona przed dwoma laty przez jakiegoś lekarza wojskowego (czesko-słowackiego), który bardzo się zainteresował tą wodą, poznaną podczas manewrów. Z dna basenu wydobywają się przez wodę liczne duże bańki jakiegoś gazu.

Niezmiernie malowniczo przedstawiały się nam rozległe łąki, należące do wsi Chabówka pod Zubercem, z setkami kosiarzy i dziewcząt grabiących siano. W tej części Tatr zauważyliśmy dość żywy ruch turystyczny czeskosłowackich legjonarzy.

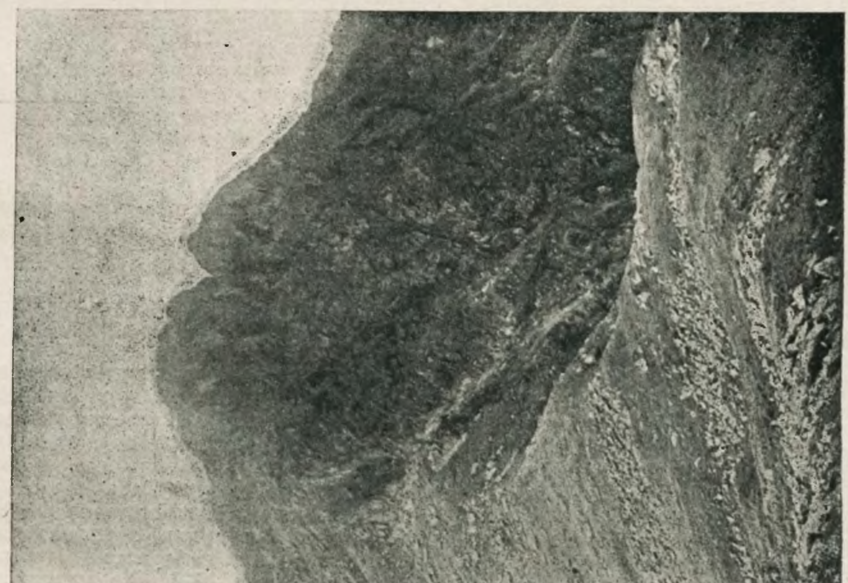
Wycieczkę zakończyliśmy studjowaniem zbiorowisk lodowych w grocie pod Ciemniakiem.

Z Zakładu Mineralogicznego U. J. wyszły w r. 1924 o Tatrach dwie prace: obszerna praca „O amfibolitach tatrzańskich i ich pochodzeniu" p. Dra Stanisława Jaskólskiego, oraz notatka „O żyle fiołkowej z kotła Mięguszowieckiego" Stef. Kreutza, obie w Biuletynie Polskiej Akademji Umiejętności z r. 1924 str. 63 — 118 i 153 — 158.

2. Chęć poznania skał krystalicznych, występujących w najdalej na pd.-wschód wysuniętej części Polski, zawiodła nas z końcem lipca r, 1923 na pierwsze dnie sierpnia do źródlisk Czeremoszu. Przez Ardżeluzę i Żabie, wszędzie zbierając materjały do badań fliszowych, doszliśmy pieszo do Burkutu i ztąd rozpoczęliśmy badanie Czywczyna (1769 m.) i gór sąsiednich (Łozdunia 1656 m., Mokryni). Stroną kartograficzną wycieczki kierował towarzyszący nam Dr. Zwierzycki. Cały kompleks skał



Granit łukowato wygięty; płd. stok Rohacza nad dol. Jamnicką. W głębi Smrek i Wielki Wierch.



Spęknięcie Rohacza Ostrego.

krystalicznych oraz starych wapieni, jakoteż zasadowych skał wylewnych i tufów z porwakami wapieni, dalej kompleks łupków ilastych jest tu nasunięty na piaskowce fliszowe. Wchodzący tu w granice Polski skrawek „krystallinikun“ (gnejsów, łupków grafitowych, łupkòw kwarcytowych) jest o wiele mniejszy, niż zaznaczono na mapie „Atlasu Geolog. Galicji“. Zasługuje na uwagę duże stosunkowo rozprzestrzenienie na Czywczynie starych skał wulkanicznych, wykrytych przez H. Zapałowicza. Tuż przy granicy rumuńskiej, w fyllitach niewyraźne ślady starych kopalń srebra. Bogaty materjał, zebrany w tym odległym od dróg komunikacyjnych terenie, jest obecnie w opracowaniu.

Wspomnę tu wreszcie ogòlnikowo, że celem poznania materjału fliszowego i rekonstrukcji skał pierwotnych, z których piaskowce fliszowe powstały, przeszliśmy podzieleni na grupy, szereg przekrojów w poprzek Karpat, począwszy od śląskich Beskidów aż do Kossowa — Krzyworówni — Żabiego i dalej na południe. Piaskowiec jamneński gór tych okolic (jak n. p. Chomiak), jest obecnie w opracowaniu.

Wyszła w r. 1924 praca p. J. Zerndta: „Petrografja okolic Ciężkowic“ i „O mikroskopowych cyrkonach piaskowców z okolic Ciężkowic“ (Biul. Ak. Umiejętności 1924 195 — 218 i 219 — 229). Zasługuje na uwagę różnorodność form krystalicznych naszych karpackich cyrkonów, oraz ciemne aureole pleochroityczne dookoła nich, świadczące o ich działaniu radjoaktywnem. Stopień zabarwienia minerałów, otaczających wrosłe w nich cyrkony, służyć może do oznaczenia wieku tych minerałów, a zatem i skał krystalicznych, w których skład niegdyś wchodziły — starych trzonów granitowych, tworzących rdzeń zerodowanych dziś „Prakarpat“, z których materjału powstał dzisiejszy flisz karpacki. *Stefan Kreutz.*

**Granit z Kościelca Małego w Tatrach.** W pracy pod tym tytułem ogłoszonej w „Kosmosie“ (tom 50, z. 1, r. 1925), prof. Juljan Tokarski podaje dwie nowe chemiczne i mikroskopowe analizy granitu tatrzańskiego. Badane próbki pochodzą ze świeżej odkrywki na stokach Małego Kościelca, przy ścieżce wiodącej z Hali Gąsienicowej do Czarnego stawu Gąsienicowego. Dwie różne odmiany zostały poddane analizie: odmiana jasnoszara, znana oddawna jako typowa dla Tatr, oraz odmiana ciemno-szara, barwą przypominająca nieco diabaz. Badania wykazały, że obie te odmiany są ze sobą bardzo blizko spokrewnione pod względem chemicznym, różnią się natomiast znacznie od granitów dotychczas poznanych. Różnice te niepozwalają zaliczyć badanych granitów do żadnego z dwu typów: „*Kosista*“ i „*Goryczkowa*“, jakie Morozewicz wyróżnił w obrębie trzonu krystalicznego Tatr. Na podstawie molekularnych projekcyj dochodzi się do wniosku, że w ogólności typy te nie istnieją, lecz, że dotychczasowe analizy chemiczne granitu tatrzańskiego (w liczbie 8) obsypują w tych projekcjach pewne charakterystyczne pole, które należy do tzw. *pacyficznego* szeregu skał magmatycznych. Granice tego pola i jego punkt ciężkości nie dadzą się dziś jeszcze dokładnie wyznaczyć, rozporzadzamy bowiem narazie zbyt małą ilością analiz. Analiza mikroskopowa wykazuje między innemi, że takie składniki, jak *ortoklaz*, *mikroklin*, pierwotny *muskowit* i *myrmekit*, dotychczas uważane za zupełnie uboczne, mogą odgrywać w granicie tatrzańskim ważną rolę. Ten ostatni zwłaszcza jest bardzo charakterystyczny i może być uważany za utwór znamienny dla granitu z Małego Kościelca.

**Prace Meteorologiczne w Beskidach.** Założona w r. 1922 Stacja Astronomiczna Obserwatorjum Krakowskiego na szczycie Łysiny (912 m.) prowadzi bez przerwy spostrzeżenia nad klimatem i warunkami atmosferycznemi Beskidòw. W latach 1923 i 1924 były wykonane na szczycie Łysiny pomiary promieniowania słonecznego. Jak dotychczas, jest stacja meteorologiczna na Łysinie jedyną stacją szczytowo-górską w Polsce.

Literatura. 1) Wyprawa Astronomiczna w Beskidy. Rocznik Astr. Obs. Krak. Tom II (1923).

2) *E. Stenz.* Zachmurzenie wieczorne i inne czynniki atmosferyczne na szczycie Łysiny i w Krakowie. Roczn. Astr. Obs. Kr. Tom III (1924).

3) *E. Stenz.* Własności optyczne atmosfery nad szczytem Łysiny. Tamże. *E. S.*

**Badania promieniowania słonecznego w Zakopanem.** W roku 1924 były prowadzone w Zakopanem spostrzeżenia nad natężeniem promieni słonecznych. Spostrzeżenia te mają na celu zbadanie warunków klimatycznych Zakopanego i porównanie ich z warunkami innych miejscowości górskich w Polsce, oraz nawiązanie łączności z dawną serją spostrzeżeń prof. *A. Witkowskiego* z r. 1903. Dla uzupełnienia studjów słonecznych, rozpoczęto również

badania nad zawartością pyłu w powietrzu, zarówno w Zakopanem, jak i w okolicznych górach. Wyniki tych spostrzeżeń są nader interesujące.

Publikacja tymcz.: *E. Stenz.* Badania promieniowania słonecznego w Zakopanem. Głos Zakop. № 2, 1924. *E. S.*

**Wyprawa Instytutu Geofizycznego Uniw. J. K. w Karpaty Wschodnie,** z inicjatywy prof. H. Arctowskiego została zorganizowana w lecie 1924 r. dla zbadania tamtejszych warunków słonecznych. Wyprawa prowadziła spostrzeżenia w paśmie Czarnohory (Howerla i szczyt Pożyżewskiej), głównie jednak pracowała na połoninie Pożyżewskiej (1406 m.). W zakres prac wyprawy wchodziły: pomiary energji słonecznej zapomocą metod precyzyjnych, pomiary zawartości pyłu w powietrzu, spostrzeżenia optyczne w atmosferze górskiej i t. p. Wyprawa uruchomiła nieczynną od 1916 r. stację meteorologiczną na połoninie Pożyżewskiej, należącą do tamtejszej stacji Bot.-Rolniczej, a mającą prowadzić spostrzeżenia w okresie wegetacyjnym.

Literatura: *E. Stenz i H. Orkisz.* Wyniki wyprawy pyrheliometrycznej w Karpaty Wschodnie w lecie 1924 r. „Kosmos“, 1925 (przyg. do druku). *E. S.*

**Badania botaniczne prowadzone w górach w latach 1923 i 24.** P. Jadwiga Wołoszyńska prowadziła badania nad rozmieszczeniem glonów osiadłych oraz nad wpływem glonów jeziornych, na tworzenie się osadów słodkowodnych w Morskiem Oku, w Tatrach. Badania te łączą się z podobnemi studjami prowadzonemi uprzednio przez p. Wołoszyńską na Jeziorze Wigierskiem i przynoszą ze sobą pewien porównawczy obraz różnic w rozmieszczeniu glonów osiadłych oraz w rozwoju i składzie planktonu w głębokich jeziorach nizinnych i górskich. Florę glonów Morskiego Oka cechuje w odróżnieniu od jeziora Wigierskiego słaby rozwój glonów porośIowych, wywołany brakiem oczeretów i łąk podwodnych oraz bardzo słabem rozwinięciem ławic przybrzeżnych, następnie ubóstwo pelagicznych osadów w okrzemki pelagiczne, stojące w związku z nikłą produkcją planktonu, wreszcie stosunkowo bujny rozwój wstężnic wywołany brakiem węglanu wapniowego. Produkcja osadów organicznych w Morskiem Oku jest tylko nieznacznym ułamkiem produkcji osadów nieorganicznych w których skład wchodzi przedewszystkiem piasek kwarcowy. Organiczne osady, złożone przedewszystkiem z resztek tkanek roślinnych powstają w strefie przybrzeżnej i w cichszych zatokach, zwłaszcza od strony Czarnego Stawu, Żabich szczytów i moreny czołowej. Tutaj też rozwija się najbogatszy zespół glonów osiadłych. W czasie silniejszego falowania jeziora cząstki organiczne wraz z glonami opadają w miejsca głębsze; typowy osad organiczny da się jeszcze stwierdzić poniżej 40 m. głębokości. Strefa glonów zielonych, do których należą przeważnie wstężnice, sięga niżej niż w Wigrach, a mianowicie do około 20 m. głęb. Zapewne wpływa na to większa przeźroczystość wody oraz większa ilość tlenu przynoszonego przez bystre potoki. Strefa okrzemek sięga niżej niż glonów zielonych. W wielkich głębokościach ujawnia się redukcja form osiadłych a uwydatnia rola organizmów planktonowych w tworzeniu osadów pelagicznych. Morskie Oko znajduje się obecnie w III fazie swego rozwoju od czasu ustąpienia lodowców. Pierwszą fazą była kamienista pustynia na jego brzegach, druga rozpoczęła się wraz z wkroczeniem roślinności niższej, trzecią wreszcie zapoczątkowało zalesienie zboczy, co dopiero umożliwiło znaczniejsze tworzenie się osadów organicznych, a kiedyś umożliwi rozwój wyższej roślinności wodnej, więc łąk podwodnych i oczeretów i sprowadzi za sobą czwartą fazę Morskiego Oka.

Grono botaników złożone z prof. Szafera, pp. Kozłowskiej, i Czeczottowej oraz pp. Pawłowskiego, Kulczyńskiego, Steckiego Sokołowskiego, Motyki i Szafrana prowadziło badania nad zespołami roślinnemi w Tatrach. Badania te rozpoczęte w r. 1922 w dol. Chochołowskiej objęły w r. 1923 dol. Kościeliską, w roku 1924 dalszy kompleks Tatr zachodnich po dol. Białego i Kondratową. Do listy zespołów wyróżnionych już uprzednio w dol. Chochołowskiej przybyło kilka nowych, częściowo endemicznych Tatrom, t. j. takich, których brak w Alpach. Szczególnie interesującemi okazały się szczątkowe zespoły roślin granitowych na wapiennym szczycie Ciemniaka, które zdradziły swą obecnością ostatnie, kryjące się w podglebiu ślady czapki granitowej pokrywającej niegdyś szczyt Ciemniaka, a obecnie zniszczonej siłą erozji. Obok studjów nad zespołami prowadzono także obserwacje porównawcze klimatu stanowiskowego przy użyciu termometrów maksymalnych i minimalnych oraz psychrometru Assmanna. Nakreślono także mapę zespołów roślinnych na zbadanym terenie.

Analogiczne studja nad zespołami roślinnemi prowadzone były w latach 1923 i 24 przez S. Kulczyńskiego w Pieninach. Zbadane zostały przedewszystkiem naskalne zespoły roślinne pasma Skalic, zasadniczo różne od zespołów sadowiących się na wapieniach tatrzańskich. Na skalicach pienińskich żyją obok siebie dwa różne zespoły, jeden o typie górskim drugi o typie stepowym, oraz resztki trzeciego zespołu utworzonego przez sosnę, zdradzającego pewne pokrewieństwo z zespołami sosny na wapieniach płyty środkowo — rosyjskiej. Wykonane zostało również zdjęcie kartograficzne zespołów roślinnych na przestrzeni od Czorsztyna po Wysokie Skałki.

*S. K.*

**Prace faunistyczne tatrzańskie od roku 1920.** Lata ostatnie przyniosły następujący szereg prac naukowych, wykonanych przez badaczy polskich, a poświęconych całkowicie lub częściowo faunie Tatr i Podhala:

1) Błędowski R. i Kraińska K. Materjały do fauny Ichneumonidów Polski Cz. I, Polskie Pismo Entomol. T. III zesz. 1—2 1924.

2) Dzińdzielewicz J. Owady siatkoskrzydłe ziem Polski. Rozpr. i Wiadom. z Muz. im Dzieduszyckich. Tom. III i IV 1919—1920.

3) Fudakowski J. Znane i nowe stanowiska Boreus chiemalis i B. Westwoodi. Polskie Pismo Entomol. T. II zesz. 4, 1923.

4) Tenże. Ważki (Odonata) rowu dunajeckiego. Tamże T. III, zesz. 3, 1924.

5) Jakubski A. Mapa faunistyczna Polski w Romera „Atlasie Polski Współczesnej". Zeszyt I, Lwów 1924.

6) Kinel J. Kilka słów o flisakowatych (Haliplidae) ziem polskich. Arch. Tow. Nauk. Lwów. Dział III, Tom III, zesz. 2, 1922.

7) Tenże. Notatki koleopterologiczne z Polski. Polskie Pismo Entom. T. II, zesz. 4, 1923.

8) Kozikowski A. Przyczynek do znajomości chrząszczów Polski. Rozpr. i Wiad. Muz. im. Dziedusz. T. V — VI wyd. 1922.

9) Krasucki A. Przyczynek do poznania fauny pluskwiaków (Hemiptera) krajowych, tamże,

10) Tenże. Materjały do poznania pluskwiaków wodnych (Rhynchota — Heteroptera — Aquatilia); tamże Tom. IX wyd. 1924.

11) Kulmatycki Wł. Mrówki niektórych okolic Małopolski. Spraw. Kom. Fizjogr. Kraków. Tom. 53 — 54 1920.

12) Kuntze R. Rasy Biegacza wręgatego (Carabus cancellatus) na ziemiach polskich. Polskie Pismo Entomol. T. II, zesz. 2, 1923.

13) Liberak M. A. Kornik w lasach Tatr Polskich. Zakopane 1924.

14) Lityński A. Etude eritique sur la repartition des Cladoceres dans le Tatra. Ann. Biol. Lac. XI. 1923.

15) Łomnicki J. Spis ryjkowców rodzaju Rozpucza Muzeum im. Dzieduszyckich. Rozpr. i Wiad. Muz. im. Dziedusz. T. IX wyd. 1924.

16) Mazur E. Nowe dla fauny polskiej gatunki i odmiany chrząszczy oraz nowe rozsiedlenia cz. I i II. Polskie Pismo Entomol. T. I i II 1922—1923.

17) Tenże. Pteroloma forstroemi w polskich Tatrach. tamże. Tom II, zesz. 2, 1923.

18) Noskiewicz J. Przyczynek do znajomości fauny żądłówek Tatr polskich. Kosmos 1920 r.

19) Tenże. Żądłówki nowe dla Małopolski. Polskie Pismo Entomol. T. I, zesz. I, 1922.

20) Poliński Wł. Anatomiczno — systematyczne i zoogeograficzne studja nad Helicidami Polski. Bull. intern. Acad. Pol. Sc. et Lettr. 1924.

21) Prüffer J. Studja nad motylami Tatr polskich. Spraw. Kom. Fizjogr. Kraków. T. 57, 1923. (Francuskie streszczenie w Bull. intern. Acad. Polon. Sc. et Lettres 1922).

22) Stach St. Przyczynek do fauny motyli Podhala. tamże T. 57, 1923.

24) Stecki K. O świstaku w Tatrach. Ochrona Przyrody zesz. 3, 1922.

25) Stefański W. Nicienie zamieszkujące mchy z okolic Zakopanego. Bull. intern. Acad. Polon. Sc. et Lettres, 1923.

26) Wagner A. Przyczynki do fauny malakozoologicznej Europy środkowej. Prace zoolog. Polsk. Państw. Muz. Przyrodn. T. I. zesz. 2 — 3, 1922.

Prace wymienione pod № 1, 2, 3, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 15, 16, 19, 20 i 26 zawierają tylko częściowo materjały tatrzańskie. Wśród nich wysuwa się na pierwsze miejsce gruntowna, niemal monograficzna praca Wł. Polińskiego (20), w której zbadane zostały szczegółowo pod względem morfologicznym i etologiczno — zoogeograficznym wszystkie (13 gatunków) Helicidy tatrzańskiej. Notatka E. Mazura (17) omawia etologję chrząszcza *Pteroloma forstroemi*, będącego w naszych Tatrach reliktem z epoki lodowcowej. Obszerna praca J. Prüffera (21), poświęcona motylom Tatr polskich, daje cały szereg nowych dla Tatr gatunków; ogólne wyniki są następujące: fauna tatrzańska motyli większych ma wiele cech wspólnych z alpej-

s
k ą; najliczniej występuje rodzina *Geometridae*; maximum występywania wypada w Tatrach o 2—4 tygodnie później niż na nizinach; ilość gatunków zmniejsza się przy posuwaniu się w górę, przyczem przełomową linją graniczną jest granica regla dolnego i górnego (1200 m.). W Tatrach występują często odmiany ubarwione ciemno, a skrzydła przednie gatunków górskich wykazują tendencję ku zwężeniu w stosunku do gatunków nizinnych.

Pięknem uzupełnieniem prac nad fauną motyli Tatr są prace St. Stacha (22—23) dotyczące Podhala. Rdzeń fauny podhalańskiej stanowią gatunki pospolite w półn. i środkowej Europie, nizinne i podgórskie. Element górski występuje w ilości około 20%.

Faunie Podhala poświęconą jest również praca J. Fudakowskiego (4) o ważkach okolic Czarnego Dunajca i Nowego Targu (21 gatunków). Elementów górskich brak. J. Noskiewicz (18) podkreśla ubóstwo fauny żądłówek w Tatrach: 101 gatunków u stóp Tatr. Ilość ta w górę szybko się zmniejsza, tak, że na wysokości 1000 m. występują tylko 16 gat. a w krainie kosodrzewu górnego (1800—2100 m.) już tylko 3 gatunki. Z wymienionej liczby 101 gat. 52 są nowe dla Tatr polskich.

Praca W. Stefańskiego (25) daje wykaz nicieni 23 gat.) zamieszkujących mchy w Tatrach polskich — ogromna większość gatunków jest nowa nietylko dla Tatr, ale i dla Polski.

A. Lityński streszcza w swej pracy (14) wyniki wieloletnich badań nad fauną wioślarek tatrzańskich, rezultat zbadania 120 stawów i kałuż. Ogółem występuje w Tatrach 27 gatunków. Ciekawą jest rzeczą, że strona północna Tatr posiada faunę bogatszą i bardziej urozmaiconą, aniżeli południowa, ale za to na południu poszczególne gatunki zachodą wyżej w góry.

Ilość gatunków zmniejsza się przy posuwaniu się w górę, i w stawach najwyższych występuje zwykle tylko 1 gatunek *Chydorus sphaericus*.

Artykuł dr. K. Steckiegoo świstaku (24) posiada charakter artykułu popularnego.

Mapa zoogeograficzna A. Jakóbskiego (5) jest pierwszą w literaturze obejmującą wszystkie ziemie polskie. Tatry zostały oznaczone na niej w postaci czerwonej plamy, reprezentującej wraz z kilkoma innemi krainę podalpejską dzielnicy alpejskiej. Z granic zasięgów poszczególnych gatunków dotyczą Tatr granice rozmieszczenia kozicy, motyla Apolla i węża Eskulapa (zaznaczę jednak, że ten ostatni gatunek w Tatrach, o ile mi wiadomo, nie występuje, przeprowadzanie więc granicy jego zasięgu przez Tatry nie odpowiada rzeczywistości. Ref.)

Z powyższego widać, że zoologja polska o Tatrach nie zapomniała i jak się zdaje, w przyszłości zainteresowanie nie tylko się nie zmniejszy, lecz raczej, przeciwnie, wzrośnie. Komisja fizjograficzna Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie powzięła myśl zestawienia listy zwierząt dotychczas dla Tatr polskich podanych, co będzie stanowiło podstawę dla badań dalszych. Cały szereg specjalistów opracowuje przygodnie lub też planowo poszczególne grupy zwierzęce. Badania te są popierane przez wyżej wymienioną Komisję Fizjograficzną zasiłkami, niestety ze względu na brak funduszów, niewielkimi. W większym jeszcze stopniu badania naukowe na terenie Tatr i Podhale popiera Muzeum Tatrzańskie im. Dra T. Chałubińskiego, które, pomimo że samo walczy z ciągłym brakiem funduszów na najkonieczniejsze potrzeby, oddaje badaczom Tatr bezinteresownie umeblowane pokoje, przez co umożliwia im pobyt w kosztownem Zakopanem. To też jeśli w najbliższych latach wyżej przyłączona lista prac faunistycznych wzbogaci się szeregiem nowych, będzie to zasługą przedewszystkiem tych dwóch instytucyj.

*W. Roszkowski*

P. Witołd Niesiołowski, em. pułkownik, i członek komisyi fizjograficznej P. Akademii Umiej. zajął się zbadaniem motyli i ciem na Podhalu, powiększając grono pracowników naukowych, znajdujących punkt oparcia w Muzeum Tatrzańskiem. Rezultaty swych prac ogłasza p. Niesiołowski w „Polskiem czasopiśmie entomologicznem" popularyzując też wiedzę o motylu tatrzańskim zwanym „Apollo".

**Prace ludoznawcze dotyczące Podhala.** Równomiernie z ogólnym rozwojem badań etnograficznych w Polsce, wzrasta też w ostatnich czasach ilość publikacyj poświęconych Podhalu.

Więc przedewszystkiem nasze wydawnictwa zbiorowe i czasopisma jak „*Prace i materjały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne*" wydane przez komisję antropologiczną Akad. Umiej, jak „*Lud*" wyd. przez Tow. Ludoznawcze we Lwowie, miesięcznik krajoznawczy „*Orli lot*", wydawany w Kra-

kowie, a wreszcie organ miejsk. Muzeum Przemysłowego w Krakowie *„Przemysł — rzemiosło — sztuka“* poświęcają wiele uwagi naszej góralszczyźnie. Tembardziej zaś wydawnictwa specjalnie poświęcone Podhalu jak *„Rocznik podhalański“* lub *„Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego“*.

Z prac zawartych w tych wydawnictwach zasługuje na szczególną uwagę praca tragicznie zmarłego zasłużonego etnografa polskiego Br. Piłsudzkiego p. t. *W sprawie Muzeum Tatrzańskiego* (Roczn. podhal. I. 147—188). W tymże „Roczniku“ daje W. Sieroszewski zarys życia i prac ś. p. Br. Piłsudskiego (s: V—XXX).

Zagadnienia zróżnicowania terytorjalnego góralszczyzny opracował S. Udziela p. t. *Etnograficzne ugrupowanie i rozgraniczenie rodów górali polskich* (Przegl. geograf. I. 80—91). Na podstawie znamion etnograficznych wyróżnia autor następujące szczepy góralskie: 1. Górali beskidowych, 2. Podhalan, 3. Kliszczaków, 4. Lachów sądeckich. Zasługują też na podkreślenie studja R. Zawilińskiego p. t. *Z naszych kresów południowych* (Pam. Tow. Tatrz. XXXVII 37—63) i J. Grzegorzewskiego studja i teksty wydane p, t. *Na Spiszu* Lwów 1919. Nieco materjału etnograficznego zawiera też praca K. Sosnowskiego p. t. *Beskidy zachodnie* Kraków 1924. Także w wydanych przez Akad. Umiej. *„Pismach pośmiertnych“* K. Potkańskiego T. I—II. Kraków 1922—1925, mamy ciekawe prace dotyczące osadnictwa Podhala. Wiele problemów osadniczych mogą też objaśnić badania J. Zborowskiego: *Przezwiska górali powiatu nowotarskiego,* (Lud. XXI, 219—227).

Badania nad odrębną kulturą materjalną Podhala budzą dalsze zainteresowanie. T. Dobrowolski pisze: *O skrzyni z Nowego Sącza* (Przemysł — Rzemiosło — Sztuka, 1923, 50 52) a S. Udziela omawia: *Kuśnierstwo w Starym Sączu* (Przemysł — Rzemiosło — Sztuka 1922, 15—18) oraz: *Przemysł drzewny w Koszarawie* (Przemysł i rzemiosło 1921, 79).

Szczególnie cenne opracowanie daje J. Stokłosa p. t.: *Tkactwo ludowe w Gruszowcu i Jurgowie* (Prace i mater. antr. arch. i etn. I 1—69). Omówiono tu wyczerpująco tkactwo ludowe w Jurgowie na Spiszu Gruszowcu w pow. limanowskim zarówno pod względem starej techniki, jak też i charakterystycznych swojskich nazw.

Pasterstwo górskie znamy dokładniej dopiero od badań L. Sawickiego nad szałaśnictwem na wołoszczyźnie morawskiej, na Śląsku cieszyńskim i w górach żywieckich. (Mat. antr. arch. i etn. XIV). Krótki zarys wiadomości z tego zakresu dał B. Piłsudski w artykule: *Almen-Viehzucht im Tatra Gebirge in Polen* Schweiz. Archiv. f. V.-Kunde XX).

Wiele zainteresowania budzi też w dalszym ciągu sztuka podhalańska. Obrazy ludowe malowane na szkle omawia L. Lepszy p. t.: *Obrazy ludowe na szkle malowane* (Przemysł i rzemiosło 1921, 23) oraz K. Stecki p. t. *Ludowe obrazy na szkle z okolic podtatrzańskich* (Rocznik podhalański I. 189). Przy sposobności krytycznej analizy polskich wycinanek przeprowadzonej przez E. Frankowskiego p. t. *Wycinanki i ich przeobrażenie* (Lud XXII 82—128) znalazły właściwe uwzględnienie wycinanki w skórze, tak charakterystyczne dla góralskich serdaków.

Wreszcie podjęty został temat zupełnie zaniedbany, a mianowicie prof. dr. A. Chybiński opracował: *Instrumenty muzyczne ludu polskiego na Podhalu,* Kraków 1924. Prace i materjały antr.-arch. i etnogr. Tom. III, str. 1—142, 18 rys. i 6 tabl. Z badań tych wynika, że na Podhalu mamy zarówno instrumenty smyczkowe jak i dęte. Wśród smyczkowych mamy „gęśle“, „basy“ i „oktawkę“. Gęśle podhalańskie są instrumentem lokalnym podhalańskim, odznaczają się one odmiennym kształtem, spód pudła i szyję mają wykonane z jednego kawałka drzewa, nadto brak tu samodzielnych boków, ponieważ spód sklepiony łączy się linją krzywą z wierzchem, a wreszcie szczególną cechą tych gęśli jest niezwykła ich smukłość. Basy są albo małe (odpowiadające wiolonczeli) albo duże (kontrabas). Dawne rysy zawiera konstrukcja smyczka, która się objawia zarówno w formie kija i główki, jak też w umocowaniu żabki i włosia. Bardziej obfita jest grupa instrumentów dętych, a mianowicie: 1. róg, 2. trąbita, 3. piszczałki a) pojedyńcze, b) dwoiste (bardzo charakterystyczne na Podhalu), 4. dudy (gajdy). Dudy podhalańskie odróżniają się od innych dud polskich następującemi cechami: a) jeden „bąk“ mający osobną piszczałkę, b) gajdzica z trzema przewodami, z których dwa wydają po jednym stałym tonie, trzeci zaś pięć tonów dla melodji, c) stroiki klarnetowe, d) brak mieszka.

W pewnej łączności z tą pracą pozostaje też i inna bardzo cenna rozprawka prof. Adolfa Chybińskiego p. t. *Dzwony pasterskie ludu polskiego na Podhalu,* Kraków 1925. z 10 rysunkami. (Materjały, t. IV). Na podstawie zebranych dotąd muzealnych okazów stwierdza prof. Ch, że dzwonki

podhalańskie wyrabia się z metalu i występują one w dwu formach: pierwszy typ ma kształt podłużny i bardziej smukły, a przytem zbliżony do walca. Drugi typ ma kształt odwróconego trapeza, ale jest nieco spłaszczony. Dzwony są umocowane do rzemienia lub drewnianego obłęku, opasującego szyję zwierzęcia. Obłęk drewniany bywa sporządzony z limby lub kosodrzewiny przez juhasów, którzy następnie wyrzynają na tych obłąkach piękny ornament. Możliwe, że niegdyś używano dzwonków drewnianych, tak jak to widzimy w kulturze wołoskiej. Dzwon metalowy jest natomiast właściwoscią zachodnią, która się jednak np. na Podhalu zastosowała do bardziej prymitywnych drewnianych obłęków. Jak widzimy więc choćby na podstawie ogólnikowego zaznaczenia treści prac prof. Ch. instrumenty muz. i dzwonki podhalańskie, które były dotąd jedynie przedmiotem estetycznych, nieraz dość pustych zachwytów, zostały wreszcie naukowo i krytycznie opracowane.

Nie brak też opracowań i materjałów z dziedziny kultury społecznej naszych górali. Ks. F, M a c h a y opisuje „*Wesele w Jabłonce na Orawie*“, (Pam. Tow. Tatrz. XXXVII, 26). Prof R. G a n s z y n i e c w rozprawie p. t „*Pas czerwony*“ (Lud XXIII i odb.) wspomina przy omawianiu opowieści o czerwonych pasach także podhalańskie podanie o Janosiku.

Mało studjów poświęcono kulturze duchowej. J. K a n t o r tylko omawia „*Pieśń ludową Podhala*“ (Rocznik podhalański, I. 124). Natomiast dla dokładności należy zaznaczyć, że bardzo wiele materjału góralskiego omówiono w monografjach etnograficznych wydanych w ostatnich latach, a więc w J. S. B y s t r o n i a „*Zwyczajach żniwiarskich*“, tegoż autora „*Zwyczajach związanych z narodzinami dziecka*“, wreszcie w różnych studjach Bystronia o naszej pieśni ludowej. Wiele materjału podhalańskiego uwzględniają też zarówno A F i s c h e r a „*Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego*“, jak E. F r a n k o w s k i e g o „*Zabiegi magiczne przy pożyczaniu, kupnie i sprzedaży ludu polskiego*“ (Lud. T. XXIII.),

Dorobek kilku lat ostatnich jest więc wcale znaczny, ale nie pozostaje on jednak w żadnym stosunku do tego bogactwa materjałow etnograficznych, jakie Podhale do dziś jeszcze posiada, a ktore domagają się jak najrychlejszego uratowania od zagłady i ogłoszenia ich celem zapoznania z niemi nietylko sfer uczonych specjalistów, ale całej Polski. Idee Matlakowskiego i Witkiewicza muszą być wcielone jak najrychlej; niedługo bowiem już będzie to przy najlepszych nawet chęciach zupełnie niemożliwe, gdyż niwelacyjne wpływy cywilizacyjne zacierają coraz bardziej odrębną kulturę ludową Podhala. *Adam Fischer.*

— Zakład architektury polskiej w politechnice warszawskiej, pozostający pod kierownictwem prof. Oskara Sosnowskiego, zajmuje się od szeregu lat badaniem budownictwa i przemysłu artystycznego w Karpatach, w szczególności w Beskidzie Zachodnim, Gorcach, Pieninach i Tatrach. Zdobywszy punkt oparcia w Muzeum Tatrzańskiem, grupa studentów tegoż Zakładu pod kierowoictwem p. Jana Chmielewskiego, zajęła się w r. 1924 i 1925 Podhalem, badając również szczegółowo budowę szałasów i chałup (np. w Chochołowie). Rezultaty tych prac (pomiary i zdjęcia), podobno już bardzo cenne, będą wydane przez Zakład architektury.

— Dr. Włodzimierz Antoniewicz, profesor prehistorji w uniwersytecie warszawskim, zajął się w br. zbadaniem spinek góralskich ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego w drodze porównawczej z wykopaliskami przedhistorycznemi i spinkami z epok historycznych.

— W uzupełnieniu wykazu **stanowisk limby w naszych Tatrach,** podane w artykule moim w II-gim roczniku „Wierchów“, podaję tu nowe jej stanowiska odkryte przeważnie przy badaniach zespołów roślinnych, wymagających nader szczegółowego zwiedzania terenu. Cenne wiadomości o stanowisku limby w Małej łące, — przez co granica limby w Tatrach polskich przesunęła się znacznie na zachód — zawdzięczam speleologom pp. Stefanowi i Tadeuszowi Zwolińskim.

Nowe stanowiska limby będę na razie oznaczał liczbami od 16 w zwyż, t. j. od liczby znanych mi dotychczas stanowisk (Wierchy I. c.).

17. W dolinie Małej Łąki na wschodnich stokach Wielkiej Turni (zwanych „Kamienne“) na wzniesieniu ok. 1450 m. wśród smreków i jarzębiny znaleziono tego roku (1924) 1 okaz limby 4 — 5 m. wys. Fakt ten potwierdza przypuszczenia moje co do sztucznego wyniszczenia limby w dolinach Małej Łąki, Kościelisk i Chochołowskiej. — 18. W dolinie Strążysk na grzbiecie dzielącym Wielką Rówień od Małej Dolinki rosną 3 limby na wzniesieniu 1365 m. Jedna z nich potężnych

rozmiarów obalona wichrami i częściowo uschła ma 2·5 m. obwodu, jest wspaniałym przykładem niezwykłej żywotności tego drzewa. Druga limba jest w średnim wieku, trzecia młoda.

19. Podane przezemnie w wykazie stanowisko pod l. 1, w dol. Białego należy właściwie rozdzielić na dwa. Jedno z nich posiada wymienione w wykazie okazy i znajduje się w pierwszym na wschód od „Zameczków" żlebie, drugie, które jest odległe od poprzedniego i znajduje się na półn. stokach „Zameczków", posiada na wzn. 1375 — 1420 8 limb (2 stare, 1 młoda i 5 średnich).

20. W tejże dolinie Białego w żlebie na zachód od wyżej wymienionych „Zameczków" widziałem w pasie od 1300 — 1450 6 limb w średnim wieku.

21. W dolinie Suchej Wody koło ścieżki wiodącej od Hali Gąsienicowej ku Pańszczycy w pobliżu miejsca gdzie perć wychodzi z lasu na wzniesieniu 1500 m. rosną 3 młode 8 m. limby.

*Marjan Sokołowski*

**Stacja meteorologiczna w Zakopanem,** założona przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, rozpoczęła swą działalność w grudniu r. 1876. Pierwszym Obserwatorem był nauczyciel L. Cubernat. Równocześnie założono stacje w N. Targu, Białce, Czarnym Dunajcu, Czorsztynie i Kościeliskach. Spostrzeżenia meteorologiczne umieszczano w Pamiętnikach Pol. T. T., a oprócz tego w osobnych odbitkach wydał opracowane przez siebie wyniki swych obserwacyj długoletni obserwator ś. p. B. Wigilew.

Aż do roku 1922 obserwacye były w pewnych okresach prowadzone dorywczo i nie systematycznie, gdyż nie było funduszów na uposażenie stałego obserwatora. Cenny materjał nagromadzony w ciągu 50 lat działalności stacji, mógłby posłużyć za podstawę do monograficznego opracowania klimatu Zakopanego.

Nakreśliwszy pokrótce historję stacji przechodzę do wyjaśnienia ogólnego stanu działalności Stacji Meteorologicznej w obecnej chwili, oraz jakie mają zajść zmiany w funkcjonowaniu stacji w przyszłości. Od roku 1922 stacja meteorologiczna jest utrzymywana staraniem Tymczasowej Komisji Uzdrowiskowej w Zakopanem, Państwowego Instytutu Meteorologicznego, Muzeum Tatrzańskiego i Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i znajduje się pod naukową opieką P. I. M.

W zakres działalności stacji wchodzi: prowadzenie spostrzeżeń klimatologicznych, poszczególne opracowanie materjału obserwacyjnego z każdego miesiąca, ogłaszanie biuletynów codziennych o stanie pogody, prowadzenie spostrzeżeń t. zw. synoptycznych dla codziennych przewidywań pogody i nadsyłanie tych ostatnich za pomocą telegrafu do Państwow. Inst. Meteorolog. w Warszawie, prowadzenie spostrzeżeń fenologicznych, obejmujące obserwacje rozmaitych faz w życiu roślin i zwierząt, wykonanie graficznego zestawienia o przebiegu czynników meteorologicznych dla Muzeum Tatrzańskiego.

Z dniem 1 maja prawdopodobnie działalność stacji będzie rozszerzona przez podjęcie badań promieniowania słonecznego, oraz pyłu w powietrzu i wypromieniowania nocnego.

Badania powyższe, jako próbne, były dokonane w roku 1924 pod egidą Państwow. Inst. Meteorolog. przez asyst. Uniw. Warszaw. p. Edwarda Stenza, którego pracę zamieszczamy w sprawozdaniu rocznym za 1924: „Wyniki spostrzeżeń meteorologicznych stacji Zakopiańskiej za 1924 r. i zimę r. 1925".

Otóż nader ciekawe spostrzeżenia jego wykazały konieczność założenia specjalnej stacji słonecznej w Zakopanem.

Jedyna w Zakopanem instytucja naukowa Muzeum Tatrzańskie dopomogła do uzyskania subwencji na ten cel od Tymczasowej Komisji Uzdrowiskowej w Zakopanem. To samo uczynił i Główny Zarząd Pol. T. T., obiecując nadto ze swojej strony wyasygnować na cele stacji słonecznej odpowiednią subwencję w gotówce.

Ponieważ badania powyższe mają służyć w wielkiej mierze potrzebom uzdrowiska, T. K. U. wyasygnowała na zakup przyrządów 500 złotych. Suma ta jednak nie wystarczyła na zakupno potrzebnych przyrządów, gdyż aktynograf kosztuje 1200 złotych. Za staraniem P. I. M. i Muzeum Tatrzańskiego uzyskano niezbędną sumę ze skarbu Państwa; przyrząd wreszcie zakupiono. Tymczasowo znajduje się jeszcze w P. I. M. dla ustalenia spółczynników przejścia. Opylomierz Owensa i pyrheliometr Tiulipan P. I. M. odda do użytkowania dla stacji ze swego zapasu.

Należałoby jeszcze dążyć do tego, aby sieć stacji meteorologicznych na obszarze Tatr została zreorganizowana w ten sposób:

1) uruchomić stację meteorolog. II. rzędu przy Morskiem Oku, która winna funkcjonować stale i prowadzić spostrzeżenia klimatologiczne, jako też synoptyczne.

2) to samo tyczy się stacji meteorolog. na Hali Gąsienicowej z wyłączeniem obserwacji synoptycznych.

3) Założyćby należało dwie stacje II. rzędu w dwu punktach, a mianowicie: przy sanatorjum Dłuskich i przy Domu Zdrowia nauczycieli, na Ciągłówce. Dyrektor Domu Zdrowia p. T. Malicki ma zamiar założyć stację I. rzędu!

4) Stacja III. rzędu znajdować się powinna w dolinie Kościeliskiej przy restauracji, oraz w Kuźnicach, przy zakładzie kórnickim.

Stacje wymienione pod liczbą 1, 2, 4, pozostawaćby mogły pod patronatem Polskiego Tow. Tatrzańskiego, a nadsyłany materjał obserwacyjny opracowałaby stacja meteor. Zakopiańska.

Stacja na Hali Gąsienicowej zobowiązana być powinna do nadsyłania za pomocą telefonu codziennie wiadomości o stanie pogody dla celów turystycznych. Dla tych samych celów założyćby należało radjostację przy Zakop. stacji Meteorolog. Dobrze byłoby prowadzić systematyczne badania nad wiatrem halnym; trzeba aby stacja meteorologiczna Zakopiańska posiadała chociażby anemograf.

Mamy nadzieję, że wszystkie wymienione tu życzenia będą wprowadzone w życie, tem bardziej, że nieraz były one omawiane w P. I. M., T. K. U. i Głów. Zarządzie Pol. T. T.

Nie w mniejszej mierze w funkcjonowaniu powyższej sieci meteorologicznej jest zainteresowane i Biuro Hydrograficzne. Przypuszczam że i Muzeum Tatrzańskie, które zawsze z wielką gotowością niesie swoją pomoc wszelkiego rodzaju naukowym badaniom Podhala przyczyni się i w tym wypadku do zrealizowania tej idei. *J. Fedorowicz.*

## OCHRONA PRZYRODY.

**Państwowa Komisja Ochrony Przyrody za czas 5-lecia od 1 stycznia 1920 do 1 stycznia 1925.** Dnia 5 stycznia 1925 r. odbył się w Warszawie w sali posiedzeń Senatu Uniwersytetu Zjazd Sprawozdawczy P. K. O. P. za 5-letni okres jej działalności. W obszernem sprawozdaniu przedstawił jej obraz przewodniczący Komisji prof. dr. Władysław Szafer, który streścić można w następujący sposób:

Powołana do życia na okres 5-letni przez Ministra W. R. i O. P. w dniu 17/XII 1919 ukonstytuowała się na I. Zjeździe Organizacyjnym w Krakowie 7 i 8 lutego 1920 na zasadach ogłoszonych w zeszycie I, „Ochrony Przyrody". Pracę swoją oparła Komisja na współdziałaniu przedewszystkiem z najrozmaitszemi instytucjami naukowemi: Polskie Towarzystwo Przyrodników imienia Kopernika, Komisja Fizjograficzna Polskiej Akademji Umiejętności, Polskie Towarzystwo Botaniczne, Polskie Towarzystwo Geologiczne, Związek Entomologiczny, Towarzystwo Rybackie, Uniwersytety, Towarzystwa Techniczne, nauczycielskie, rolnicze i leśne, z Muzeami Przyrodn. w Warszawie, Lwowie, Poznaniu i Zakopanem, Towarzystwa turystyczno-krajoznawcze, Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, Akademicki Związek Sportowy, organizacje pokrewne, Towarz. Ochrony Zwierząt i Przyrody, i inne. Tylko bowiem na tak szeroko opartych podstawach ochrona przyrody może rozwijać się pomyślnie. Prace Komisji popierały we wszystkich wypadkach i żywo się nią zajmowały Władze Centralne. Równocześnie utrzymywała Komisja ścisły kontakt z zagranicą, wysyłając delegatów na Międzynar. Zjazd Ochr. Przyr. w Paryżu w maju 1923, współpracując z pokrewnemi organizacjami czesko-słowackiemi nad stworzeniem rezerwatów granicznych w Tatrach, Pieninach, na Babiej Górze i w grupie Czarnohory, wymieniając swe wydawnictwa za zagraniczne i utrzymując z zagranicą stosunki listowne. Wyniki 5-letniej działalności Komisji, mimo poważnych nieraz trudności prawnych i finansowych, przedstawiają się następująco: *Inwentarz osobliwości i zabytków przyrody* przy Biurze Centralnem w Krakowie liczy obecnie 610 pozycji, z czego na florę przypada pozycyj 494, na faunę 35, geologję 32, krajobraz 39. Wzorowy inwentarz dzielnicowy posiada Kuratorjum w Poznaniu. Komisja przyczyniła się do wydania przez Władze odpowiednich tymczasowych rozporządzeń, chroniących szereg *zwierząt* (kozica, świstak, żubr, bóbr, orzeł, bocian czarny, pustynnik, pardwa) i *roślin* (cis, limba, mikołajek, zielina, różanecznik wschodniokarp., szarotka i t. p.), jakoteż zabytków *przyrody martwej* (meteoryty, erratyki, skały, groty, jaskinie i źródła). Założono szerek *rezerwatów* stepowych, leśnych, torfowych, jeziornych, wrzosowiskowych i *park natury* w Puszczy Białowieskiej (5 tysięcy ha). Prócz tego są bliskiemi zrealizowania parki graniczne polsko-czeskie i wiele innych rezerwatów. Wydawnictwa

Komisji obejmują 4 zeszyty „Ochrony Przyrody", 6 wydawnictw osobnych większych i 6 mniejszych. Działalność Biura Centr. Komisji w Krakowie przedstawia się w następujących cyfrach: w r. 1920 załatwiono spraw 353, w r. 1921 — 374, w r. 1922 — 475, w 1923 —563, w r. 1924 — 350. Odbyto też szereg konferencyj prawnych, komisyj urzędowych i wyjazdów w teren.

Po przyjęciu do wiadomości przedłużenia kadencji Komisji przez Min. Wyznań Rel. i Oświec. Publ. jeszcze na rok 1925 i po wyczerpującej dyskusji nad sprawozdaniem przewodniczącego i nad planami pracy na najbliższą przyszłość, Zjazd zamknięto.

Sprawozdanie P. K. O. P. wyszło jako osobne jej wydawnictwo, t. t.: „Sprawozdanie z pierwszej działalności Państwowej Komisji Ochrony Przyrody (1920—1925). Napisał Prof. dr. Władysław Szafer, przewodniczący P. K. O. P.". Kraków 1925. Nakład P. K. O. P. — Adres P. K. O. P.: Kraków, ul. Lubicz 46 (Instytut botaniczny).

**Sekcja Ochrony Tatr Pol. Towarz. Tatrzańskiego** posiada jak w latach ubiegłych delegację P. Kom Ochr. Przyrody na teren Tatr, i działa jako jej organ na tym terenie. Sprawozdanie S. O. T. za rok ubiegły znajduje się niżej w dziale sprawozdawczym Pol. Tow. Tatrzańskiego.

**Sprawa rezerwatów** (względnie „Parków Narodowych") w Tatrach, Pieninach i Beskidach, stoi na czele wszystkich spraw w dziedzinie ochrony przyrody na terenie górskim. Sprawie „Parku Narodowego" tatrzańskiego poświęcamy osobny wyczerpujący artykuł pióra prof. W. Goetla. Od czasu sprawozdań naszych w poprzednim Roczniku w sprawie owych rezerwatów górskich nie zaszło nic zasadniczo nowego, co nie znaczy aby nic w tych sprawach nie robiono. W Pieninach toczą się dalej układy z właścicielami o wymianę terenów rezerwatowych na odpowiednie ekwiwalenty w dobrach państwowych. Akademja Krakowska podejmując urządzenie swej Babiogórskiej fundacji nie spuszcza z oka interesów ochrony przyrody. Nieco leniwie, skutkiem zupełnej nieczynności lwowskiego Kuratorjum Ochr. Przyr. w roku ubiegłym, postępuje finalizacja rezerwatu wschodnio-karpackiego na Dancerzu. Chodzi tu o pewne rozszerzenia granic i przystosowania ich do natury terenu. Zaznaczyć jednak trzeba, że poniechaną została, oby na zawsze, przez rząd myśl eksploatacji kosówki, wszędzie szkodliwa a na terenie „rezerwatu" wprost niedorzeczna.

Rezerwatowi tatrzańskiemu bardzo poważnem niebezpieczeństwem groziła — i bodaj jeszcze grozi — danina państwowa nałożona na fundację Zamoyskiego. Danina ta zmuszałaby do tak wielkich wyrębów lasu, że byłaby to wprost dewastacja. Nie mówiąc już nawet o tem, że tereny, na których rezerwat myśli się tworzyć, szczególnej powinny podlegać opiece, taka dewastacja lasu w górach, (zwłaszcza że skutkiem patrzenia przez palce władz odpowiedzialnych, lasy tatrzańskie na terenie sąsiednich dóbr zostały już zdewastowane), jest już ze stanowiska gospodarczego prawdziwem horrendum, niedopuszczalnem w państwie cywilizowanem gdzie jakakolwiek myśl gospodarcza istnieje. Jeśli się doda, że chodzi tu nadto o strefę uzdrowiskową, że drożyzna opału po takiej dewastacji na szereg lat jeszcze wzrośnie, a już dziś jest nieznośna, że wywóz budulca zabije i tak już zagrożone budownictwo stylowe Podhala, okaże się, jak wiele i jak ważnych interesów jest w grze i jaki odpór powinno dać całe społeczeństwo tego rodzaju zakusom. Pol. Tow. Tatrzańskie, łącznie z szeregiem innych poważnych instytucyj wydało w sprawie tej odezwę do Rządu, Sejmu i Senatu i zamierza dalej interweniować w tej sprawie Odezwa ta podana została w № I-szym „Przeglądu turystycznego". Jest ona bardzo lakoniczna i nie podaje zgoła szeregu decydujących argumentów. Na razie wstrzymujemy się od uwag, w przypuszczeniu, że albo podpisane pod odezwą instytucje uważają ten akt za wystarczający, albo że szczegółowo motywowany memorjał przedstawiły już czynnikom miarodajnym i że tylko o nim nic nie wiemy (— choć szkoda! —); w każdym razie byłoby dobrze aby tak czy inaczej społeczeństwo było poinformowane o ważności sprawy i aby przygotowano na wszelki wypadek w opinii broń do odporu — aby przypadkiem nie było zapóźno.

**Masowe wycieczki i obozowiska w Tatrach.** Masowe wycieczki szkolne w Tatry, przeciw którym Sekcja Ochrony Tatr wniosła w roku zeszłym memorjał do Rządu, (pomieszczony w naszym Roczniku II. str. 250), wycieczki nie przynoszące żadnej korzyści, owszem szkodę uczestnikom a w okropny sposób dewastujące Tatry, w roku zeszłym, jak stwierdza Przegląd Turystyczny, znacznie się zmniejszyły. Z noclegu w domu wycieczkowym im. ks. Stolarczyka w Zako-

panem, korzystało o sześć tysięcy osób mniej w ciągu sezonu letniego, aniżeli w r. 1923. Statystyka ta jednak nie wiele jeszcze dowodzi, nie wiadomo bowiem w jakiej mierze to obniżenie frekwencji przypisać należy planowej akcji władz szkolnych a w jakiej innym czynnikom, a także w jakiej mierze frekwencja takich wycieczek wpływa na ogólną frekwencję domu wycieczkowego. Radzibyśmy mieć te dane a równocześnie także i dane o frekwencyi wycieczek szkolnych w Beskidy wschodnie i zachodnie. Intencją bowiem wspomnianego memorjału było odwrócenie wycieczek młodzieży młodszej a także i żeńskiej od Tatr w Beskidy, i wcale nie byłoby pożądane aby wycieczki szkolne w góry miały wogóle się zmniejszyć. Z tego względu jest też rzeczą bardzo potrzebną i naglącą pobudowanie domów wycieczkowych w odpowiednich miejscach Beskidów.

Podobną plagą dla Tatr jak masowe wycieczki szkolne są obozowiska skautów, zwłaszcza że ich kierownicy nie liczą się zupełnie z interesem ochrony gór! Zdawałoby się że tego rodzaju ideje jak ochrona przyrody powinnyby raczej wejść w katechizm skautowski, a nie prowadzić do kolizyi z tak sympatyczną skąd inąd ideją skautingu. Nie jest bowiem żadną koniecznością skautowskich idej ogołacać zbocza z darni przez niedorzeczne masowe drapanie się po nich, — przeciwnie — wszakże skauci noszą w Niemczech nawet nazwę „Pfad finder“ t. j. „szukający ścieżek“. Nie jest też sprawą ideową skauta niszczyć kosówkę, palić ogień w lesie i zamącać nieustannem trąbieniem ciszę górską. I dla skautingu teren beskidzki byłby bez porównania odpowiedniejszy. Podobną bolączkę mają widocznie i Czesi, podkreślali to bowiem bardzo dobitnie na zakopiańskiej konferencyi polsko-czeskiej w sprawie „Parku Narodowego“ że skauting i camping powinny być w Tatrach ustawą wykluczone. Czesi skarżyli się jeszcze na trudności jakich doznają w porozumieniu się z władzami wojskowemi. Chyba idea „Parku Narodowego“, owego symbolu przyjaźni polsko-czeskiej, powinna by doprowadzić do tego, aby ustały ćwiczenia wojskowe w Tatrach, które i tak, gdyby nawet przyszło kiedy do zbrojnego zatargu między oboma zaprzyjaźnionemi dziś narodami, napewne ważnym terenem walki nigdy nie będą. W każdym razie pewne unormowanie tej sprawy i ograniczenie jej do właściwych granic jest pożądane.

**Odwrót — do kultury.** (Kilka cytat ku rozważeniu). — Przed kilku miesiącami pojawiła się książka E. Enzenspergera p. t.: „Bergsteigen“. Główną jej treścią jest technika alpinistyczna, pragnąc jednak dać całokształt alpizmu mówi ona także o jego historyi aż do chwili obecnej, uwzględniając przytem oczywiście głównie stosunki niemieckie i austryackie, a wszczególności rozwój Austro-Niemieckiego Towarzystwa Alpejskiego. Towarzystwo to, „Der Deutsche und Östereichische Alpen-Verein“, założone w r. 1873, liczyło z początkiem roku 1924 397 sekcyj (oddziałów) i 215,111 członków. Autor omówiwszy rozwój i zasługi Towarzystwa około uprzystępnienia Alp wschodnich, wyliczywszy pobudowane schroniska, drogi i ścieżki tudzież coraz to dalej idące udoskonalenia i udogodnienia, kończy ten rozdział nadspodziewanem pytaniem: „Jestże ten świetny rozwój rzeczywiście zawsze postępem?“ I tu przychodzi do następujących refleksyj:

„Gdzie jest światło, tam muszą być i cienie. Bywa tak zawsze, że gdy ruch jakiś, zamknięty dotąd w ciasnem kole wybranych i pionierów rozszerzy się na szerokie masy, to masy te, to, co było dobrem i rzadkiem zachwaszczają swoją pospolitością. I trzeba opatrzyć się wcześnie i postawić silny a stanowczy odpór aby odwrócić niebezpieczeństwo i szlachetne usiłowania uwolnić od mętów nizkich i pospolitych instynktów. Tego rodzaju zjawisko powtórzyło się także w historyi alpinizmu i w działalności Austro-Niemieckiego Towarzystwa. Uprzystępnienie gór wyświadczyło ludzkości wielkie usługi... ale w gorliwości swojej i wyścigu współzawodniczym poszło Towarzystwo za daleko“. Słowa te napisano w r. 1924, a w jednem z pism propagandowych*) Sekcyi Ochrony Tatr. P. T. T. z r. 1913 czytamy: „Żywą siłę kultury stanowią ludzie, którzy przynoszą ludzkości nowe ideje. Ale kiedy idea się przyjmie, rzuca się na nią tłum podludków, czyni z niej

---

*) Mówimy tu o memorjale S O. T. przedstawionym Zarządowi P. T. T. w r. 1912, (powtórna redakcya z r. 1919 drukowana w „Ochronie Przyrody“ zeszyt 1), o wydanej przez Sekcję w r. 1923 broszurze „Kultura a natura“ (pióra J. G. Pawlikowskiego) i o przemówieniu prezesa Sekcyi wygłoszonem na Zjeździe jubileuszowym P. T. T. w r. 1913, a ogłoszonem w wydawnictwie Towarzystwa p. t. „Czterdzieści lat istnienia Tow. Tatrzańskiego w Krakowie 1873—1913“.

modne hasło, wykrzywia, banalizuje. Z idei uchodzi duch, zostaje tylko pusta i skażona forma". — A w innem miejscu: „Dzięki działalności Towarzystwa Tatry zostały otwarte i uprzystępnione. Dzięki tej działalności niewątpliwie uzyskały w społeczeństwie naszem to ogromne znaczenie jakie dziś posiadają. Ale okres uprzystępniania ... należy uważać za zamknięty. Jeszcze tu i ówdzie znajdzie się coś do uzupełnienia, zawsze coś do poprawienia, ale na ogół, gdyby się chciało kroczyć wciąż dalej po tym samym torze, to przyniosłoby to Tatrom już nie pożytek, ale dotkliwą szkodę".

A dalej pisze Enzensperger: „Gęsta sieć schronisk pokryła Alpy; drogi stają się coraz to lepsze i szersze a niejedna z nich daje nawet pojazdom wygodny dostęp na wyżyny. Wiją się one zrazu po połogich grzbietach na długość wielu kilometrów i pozwalają wędrowcowi wśród wielogodzinnej wędrówki podziwiać bez trudu widoki na góry i doliny. Potem wciskają się w najdalsze zakątki górskich pustaci i nie zatrzymują nawet przed zimnym majestatem turni, który dotąd zwyciężała tylko żelazna wola doświadczonego alpinisty; z pomocą lin stalowych, klamer i haków zostały niejedna grań i niejeden wierch zdegradowane do roli uległego służki niepowołanych łazików. Wygodnisiostwo wypełzło z dolin, z dolinnych obyczajów i dolinnej codzienności w owe okolice, w których trud i wzniesienie ponad pospolitą codzienność były dotąd najcenniejszym kordjałem dla człowieka. Niepodobna nam cytować wszystkiego, streszczamy więc tylko. Oto dawne proste schroniska i koleby zamieniły się w hotele, na miejsce prostego stróża przyszedł przedsiębiorca, zwabiający wszelakiemi wygodami tłumy gości, których żadna nić duchowa z górami nie łączy. W miejsce surowego życia alpinisty wstępuje wygodna a bezduszna łazęga, flirt z panienkami, — po dzikich turniach brzęczą mandoliny .. etc. etc. „W żałobie uleciała dusza z gór".. Wszystko to są rzeczy które wielokrotnie powracają w pismach S O. T. Wyjmujemy jeden ustęp: „Pewien kacyk murzyński kazał podobno w pańskości swojej żuć swój pokarm niewolnikowi, tutaj kultura robi to samo. Oto co zrobiono z owych źródeł zdrowia i siły, z miejsc, w których miała hartować się wola, z samotni, w których duch miał powracać sam w siebie dla odnalezienia siebie samego... Przyroda tak jak prawda jest kobietą i lubi bojowników; chce być za każdym razem zdobywaną na nowo. Inaczej zamyka swoje skarby. Najpiękniejsze góry świata znieprawione przez filisterską kulturę, stają się bezwartościową kupą gruzów. Jedyną korzyść jaką dać mogą jest przyjemność powiedzenia, że się tam było. Toteż filistry podpisują się po wszystkich kamieniach i nie darują żadnemu zakątkowi, a prawdziwi miłośnicy przyrody, którzy ten prąd rozpętali, podobni owemu uczniowi czarodzieja, co niebacznie rozpętawszy moce szatańskie, sam ujść przed niemi nie może, daremnie uciekają coraz dalej, szukają nowych samotni; wszędzie jak zgraja ogarów ściga ich krzyk i zgiełk filistrów, wszędzie spotykają nienawistne ich ślady". — Rysem Tatr najbardziej charakterystycznym — czytamy znowu gdzieindziej w jednem z pism S. O. T., — rysem, który stanowi o ich piękności i właściwym uroku jest ich pustynność, ich dzikość i jałowość. Każdy ślad kultury ludzkiej charakter ten psuje i mąci. „Problem, który się tutaj nasuwa, jest to problem wynalezienia sposobu pogodzenia dwóch przeciwieństw, dwóch na pozór sprzecznych tendencyj: uprzystępniania i zachowania". — Memorjał Sekcji przedstawiony Zarządowi P. T. T. szczegółowo rozwija zasady jakich się w gospodarce Towarzystwa trzymać należy. Mówi o tem, że ścieżki wolno robić tylko w ten sposób, aby nie mąciły pustynnego charakteru gór, że wogóle należy je robić tylko w miejscach najliczniej uczęszczanych a gdzieindziej poprzestać jedynie na dyskretnem znaczeniu szlaku, w miejscach zaś dostępnych tylko wytrawnym taternikom i tego zaniechać; — drogi jezdne niepowinne być wogóle doprowadzane do wnętrza Tatr. Mówi o ograniczeniu użycia klamer i łańcuchów. Mówi, że właściwą postacią schronisk nie jest postać rzucająca się w oczy, ale postać niknąca z oczu i t. d. Te ideje nie przyjęły się odrazu, i nie bez trudu musiały wywalczać sobie stopniowo uznanie przez lat dziesiątek. Aż wreszcie dała im wyraz pamiętna uchwała Zjazdu Delegatów P. T. T. w r. 1923. Uchwała ta ustala zasady, że ilość schronisk w Tatrach Polskich jest już wystarczającą i nowych budować nie należy, — koleby nie zagospodarowane, nie mają być zmieniane na zagospodarowane — schroniska mieszkaniowe mają służyć tylko turystyce a nigdy nie zamieniać się w hotele; — ilość ścieżek i szlaków znaczonych jest wystarczająca; — drogi jezdne nie mają dochodzić do wnętrza gór, na istniejących ruch kołowy winien być zatrzymany w pewnej odległości od schronisk (Morskie Oko, Hala

Gąsienicowa); kolejki wszelkiego rodzaju są w Tatrach niedopuszczalne. — Te zasady, propagowane przez S. O. T. od roku 1912, znalazły swoją analogię w D. u. Oe. A. V. dopiero po wojnie, w r. 1919-ym w postulatach postawionych na Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa przez sekcje monachijskie „Bayerland" i „Hochland", ale trwało to aż do roku 1923, w którym na Zgromadzeniu w Tölz uchwalone zostały jako obowiązujące całe Towarzystwo. Gospodarka Towarzystwa w Alpach ma mieć odtąd na uwadze w pierwszym rzędzie interesa alpinisty a nie zwykłego zwiedzacza, — ilość ścieżek i dróg ma być ograniczona, tożsamo ilość schronisk, a typ ich nie ma przechodzić w typ hotelowy, zwłaszcza w strefie szczytowej; — mają być potworzone rezerwaty w których zachowałby się nieskażony charakter przyrody pierwotnej. — Mniej więcej też w tym samym czasie, kiedy S. O. T. zwróciła do władz szkolnych swój memorjał w sprawie wycieczek szkolnych, uchwalił istniejący już od roku 1913-go Wydział D. u. Oe. A. V. dla wycieczek młodzieży — zasady, odpowiadające zupełnie postulatom owego memoryału: tylko dojrzalsza młodzież winna być dopuszczoną do wycieczek wysokogórskich, tylko młodzież należycie fizycznie i duchowo przygotowana, — i wreszcie tylko prowadzona przez odpowiednich kierowników; — memorjał S. O. T. idzie o krok dalej i wyklucza wogóle wycieczki zbyt tłumne.

Kiedy rozpatrujemy te cytaty i te daty, moglibyśmy — gdybyśmy hołdowali praktykowanej przez wielu historyków literatury „wpływologii" — dojść do wniosku, że niemiecko-austryackie Towarzystwo, jeśli nie popełniło wprost plagjatów z pism S. O. T., to w każdym razie uległo jej ideologji...! Oczywiście chodzi tu w rzeczy samej tylko o analogie, wywołane analogicznemi stosunkami. Ale jeśli pozwoliliśmy sobie na te zestawienia, to dlatego, że od początku swego istnienia S. O. T. spotykała się ciągle z zarzutami o „przeżytym romantyzmie", „galicyjskiej ruskiniadzie", i w ogóle dziwactwie niezgodnem ze współczesną kulturą Zachodu. Otóż „kultura Zachodu" przyszła za nami — i potrzebowała kilku lat żeby nas dogonić... boć chyba opinja Stowarzyszenia o liczbie dwustu kilkunastu tysięcy członków, nie jest już wybrykiem pojedynczych fiksatów... — Nauka: 1. symbolem kultury nie są jeszcze water-closety i tym podobne szacowne zresztą urządzenia, 2. droga do kultury nie musi prowadzić przez stadjum małpy.

**Ananas.** — Niech czytelnik nie myśli, że zwaryowani ochraniarze do rzędu roślin chronionych jak szarotki, limby i t. d. chcą dodać jeszcze jedną: ananasa tatrzańskiego. Ochraniarze, którzy chronią tyle rzeczy niepotrzebnych, których się nie je i które wogóle do niczego nie służą, znają jednak pewne wyjątki. I tak n. p. w projekcie ustawy o Parku Narodowym wyjęto z pod ochrony wilki, króliki, węże jadowite i pasorzyty roślinne i zwierzęce. Do tej to właśnie kategoryi tworów wyjętych z pod opieki, owszem przeciwko którym zwraca się z całą stanowczością tak humanitarny zwykle ochraniarz, jest „ananas tatrzański".

Rozumiemy to dobrze, że idea ochrony przyrody nie dla wszystkich jest jeszcze zrozumiałą i że w niejednem sprzeciwia się zakorzenionym przyzwyczajeniom. Przyjąwszy ją nawet popadamy przecież nieraz z nią w sprzeczność — przez nieuwagę lub z nałogu. Dlatego trzeba być pobłażliwym. Ale są wypadki gdzie pobłażliwość musi ustać, wypadki które muszą być napiętnowane. Przytaczamy jeden z nich — modelowy. Od pewnej osoby najzupełniej wiarogodnej ze składu Zarządu dóbr Fundacyi Zamoyskiego, otrzymaliśmy następującą wiadomość: ów pan, nazwijmy go X., zauważył na zboczu regla zakulturowanem młodą sadzonką, jegomościa, który postanowił użyć psiego sportu i podłożywszy odłamaną gałąź pod siedzenie — (człowiek od zwierzęcia różni się zdolnością używania narzędzi) — sankować się ze stromego zbocza wprost poprzez kulturę. Kiedy mu pan X. zwrócił uwagę na niewłaściwość tej zabawy, odpowiedział ów matołek, że nie przyjmuje nauk, bo nie jest byle kim ale urzędnikiem wielkiego banku, a Fundacja Zamoyskiego jest dobrem narodowem, każdy więc może jej używać jak mu się podoba.

Oto „ananas tatrzański"! Na razie, na prośbę pana X., nie chcemy wyjawiać ananasowego nazwiska. W przyszłości jednak zamierzamy wprowadzić imienną listę honorową ananasów tatrzańskich.

**Niszczenie kosówki.** W chwili kiedy zdawało się, że Zarząd dóbr państwowych zaniechał wreszcie praktyki wydzierżawiania eksploatacyi kosówki, donosi nam Oddział Stanisławowski P. T. T., że zmuszony był wysłać do Państ. Komisji Ochrony Przyrody w Krakowie alarmujące pismo, z którego przytaczamy co następuje: „W celu eksploatacyi kosodrzewiny na olejek kosodrzewi-

nowy wydzierżawił dr. Łucki, adwokat z Nadwórny, na przeciąg 50 lat około 560 morgów kosodrzewiny w obrębie Czarnohory. Ponieważ eksploatacja kosodrzewiny w tym rejonie jako rezerwacie czarnohorskim jest stanowczo niedopuszczalna w myśl uchwał tymczasowej Państwowej Komisji Ochrony Przyrody (w ten sposób zniszczono zupełnie kosodrzewinę w Gorganach na Chomiaku), przeto podpisany Oddział w interesie ochrony górskiej przyrody zakłada stanowczy protest przeciw eksploatacyi kosodrzewiny w tem miejscu i uprasza o najenergiczniejszą akcję w tym względzie". — W dalszym ciągu powiedziano w tem piśmie, że można znaleźć miejsca odpowiedniejsze do takiej eksploatacyi, jeśliby produkcja olejku kosodrzewiowego była wogóle niezbędną, tudzież podniesiono, że trudność nadzoru czyni wszelkie zastrzeżenia kontraktu co do eksploatacyi racjonalnej i umiarkowanej illuzorycznem. Otóż znajdujemy że pismo Oddziału Stanisławowskiego idzie tu za daleko w swych koncesjach. Eksploatacja kosodrzewiny nie jest żadną zgoła koniecznością, ponieważ olejek sosnowy może bardzo dobrze olejek kosodrzewiowy zastąpić, należałoby więc raczej potworzyć olearki na ogromnych przestrzeniach naszych lasów sosnowych, dochód zaś jaki może mieć państwo z dzierżawy kosówki nie stoi w żadnym stosunku do szkód jakie jej eksploatacja wyrządza. Zaprzeczamy również jakoby istniała lub mogła istnieć jakaś t. zw. racjonalna i umiarkowana eksploatacja. Kosówka nie jest drzewem odroślowem a gałęzie pozbawione szpilek nieodzownie usychają, z czasem odpada z nich kora i takie miejsca „racjonalnej i umiarkowanej eksploatacyi" wyglądają jak pobojowiska najeżone nagiemi kośćmi szkieletów. Jeśli zaś kosówkę wycina się z gałęźmi albo karczuje, to zadrzewienie powtórne jest tak uciążliwe że żaden dzierżawca się go nie podejmie. Dlatego to przedsiębiorcy chcąc się od takiego obowiązku uwolnić, mydlą poprostu oczy opowiadaniem o „racjonalnej i umiarkowanej eksploatacyi", ta bowiem polega nie na czem innem jak na obcinaniu szpilek bez naruszania gałęzi. Jest to taka umiarkowana operacja jak ucięcie głowy bez naruszenia reszty ciała. Eksploatacja kosówki powinna więc być wszędzie i bezwarunkowo zakazana. O ile chodzi o własność prywatną można przy odpowiedniej energii Władz znaleźć dostateczną podstawę zakazu w ustawie krajowej z dnia 15 czerwca 1904 r., Dz. u. kr. № 93.

## TURYSTYKA.

**Czasopisma turystyczne.** — W łonie P. T. T. istnieją obecnie dwa czasopisma turystyce górskiej poświęcone: dawny nasz znajomy „Taternik" i świeżo powstały organ Zarządu Głównego Towarzystwa, „Przegląd turystyczny". Ostatni zeszyt „Taternika" za rok 1923/24 ukazał się w kwietniu br. W dziale artykułów zawiera on wspomnienia o dawnych taternikach — prof. J. G. Pawlikowskiego z czasu około 1880 roku (głównie o Leopoldzie Świerzu) i dr. M. Świerza z niedawnej przeszłości o Władysławie Kulczyńskim młodszym. Dalej artykuł dr. Marjana Sokołowskiego „O istocie i drogach rozwoju nowoczesnego taternictwa" tudzież J. Dürra o drugiej wyprawie polskiej na Mont Blanc; pozatem kronikę spraw taternickich etc. Zeszyt ten, który wyszedł ze znacznem opóźnieniem, nosi na sobie pewne ujemne cechy tego faktu. Mieszczą się tu rzeczy, które już dawno straciły aktualność, jak n. p. recenzja z Pamiętnika Tow. Tatrzańskiego za lata 1915—1918, natomiast nie przyjęła jeszcze redakcja do wiadomości istnienia „Wierchów", które wychodzą od roku 1923. Sprawozdanie Sekcyi turystycznej kończy się na 1923 r. a sprawozdanie na rok następny odłożone zostało do zeszytu przyszłego. Miejmy nadzieję, że te braki sympatycznego organu usunięte zostaną wraz z tym przyszłym zeszytem, który wedle zapowiedzi, ma się ukazać już w najbliższym czasie. Musimy wyrazić radość, że obawa iż Taternik z chwilą rozpoczęcia wydawnictwa Przeglądu Turystycznego wychodzić przestanie, była płonną. Ma on bowiem zawsze swoją rację bytu jako organ taternictwa w najściślejszem znaczeniu, aby tak powiedzieć „taternictwa ezoterycznego". Do artykułu M. Sokołowskiego wrócimy jeszcze niżej, tutaj parę uwag o owej rzekomo drugiej wyprawie polskiej na Mont Blanc.

Wyprawę tę miał odbyć hr. Karol von Stoppen o czem podała wiadamość panna d' Augeville, która spotkała go na swojej drodze. Miał to być Polak, gdy jednakże takiej rodziny w Polsce niema, przypuszcza p. Dürr, że zaszła tu pomyłka i chodzi zapewne raczej o kogoś z rodziny Hoppenów. Nasuwa się tu uwaga że jeśli wiadomość o tej wyprawie, i to tak niedokładną, zawdzięczamy jedynie przypadkowi, który po-

zwolił pannie d' Augeville spotkać owego Stoppena czy Hoppena na swej drodze, to jakże łatwo mogło się zdarzyć że z braku takiego szczęśliwego przypadku zarówno ta wyprawa jak i cały szereg innych podobnych mogły ujść zupełnie uwadze. A jeśli to się mogło wydarzyć na Mont Blanc, to o ileż łatwiej wydarzyć się mogło w Tatrach, w których nie wznosi się ani jeden z najwyższych szczytów Europy, i które nie leżą lub nie leżały w zakresie interesów międzynarodowej turystyki. Czy zatem owe wszystkie podejmowane dziś z predylekcją badania „o pierwszych taternikach" nie są robotą Penelopy, którą ciągle trzeba będzie pruć na nowo? i czy wreszcie nie okaże się, że jestto wogóle trud daremny. Historya taternictwa ma wiele momentów ciekawych, ale te leżą zgoła gdzieindziej i monografie dotyczące tej sprawy byłyby o wiele ciekawsze, gdyby podawały wyjątki z dawnych opisów i uwzględniały psychologię dawnych zwiedzaczy Tatr. Jakże inaczej patrzyli oni na wszystko i jakiejże ten sposób patrzenia ewolucyi ulegał. W tej dziedzinie taternickiej literatury trzeba wejść wgłąb a nie robić z niej suchych studjów archiwalnych. — Ale wróćmy jeszcze do Mont Blanc. Wyprawa „Hoppena" uznana została przez p. D. za drugą, ponieważ pierwszym Polakiem który zwiedził Mont Blanc był Antoni Malczewski (4 sierpnia 1818), a o żadnej innej aż do owego „Hoppena" (1838) nic nie wiemy. Zadziwiającem jest twierdzenie p. D. że o wyprawie Malczewskiego niema żadnej wzmianki w zagranicznej literaturze, boć do literatury polskiej dostała się wiadomość o niej właśnie tylko z zagranicy. Malczewski o tem w Polsce nie pisał. Źródłem wiadomości jest jego artykuł w Genewskiej „Bibliothèque Universelle" p. t. „Lettre au Prof. Pictet sur une ascension á l' Aiguille du Midi de Chammuni et au Mont-Blanc, par un gentilhomme Polonais, dans les premiers jours d' aout de l'année 1818". Dziwnem też jest że p D. pisząc o wyprawie wielkiego poety powołuje się na jakieś artykuliki w Taterniku a nie uważał za stosowne zajrzeć do literatury polonistycznej o Malczewskim, przedewszystkiem do podstawowego dzieła prof. J. Ujejskiego, a także do znakomitej recenzyi tej książki w Pamiętniku literackim pióra E. Kucharskiego, wreszcie do przyczynków St. Wasylewskiego w Tygodniku Illustrowanym. Zwłaszcza uwagi Kucharskiego z punktu widzenia taternictwa zawierają momenty interesujące.

Oczywiście w „Taterniku" honorowe miejsce zajmuje sprawa nowych dróg. O tem jednakże rozpisywać się nie będziemy. Uważamy wszystkie trzy pisma, wychodzące w łonie P. T. T., za organicznie związaną całość, w obrębie której pomiędzy pojedynczemi jej składnikami istnieć musi podział pracy. Wobec podjęcia spraw turystyki zarówno jak bieżących spraw tatrzańskich przez dwa inne czasopisma, Wierchy będą w tej dziedzinie ograniczać się tylko do spraw zasadniczych i do konspektów ogólnych za dłuższe okresy czasu.

Co do drugiego z czasopism turystycznych, „Przeglądu Turystycznego", to budzi ono szczególny interes z tego względu, że powołany w niem został do życia urzędowy organ P. T. T. wydawany przez jego Zarząd Główny. Oczekiwano powszechnie z pewną niecierpliwością jak ten organ pojmie swoje zadanie, jakie będą jego treść i układ. Otóż numer pierwszy. który się ukazał w marcu b. r., (a ma to być kwartalnik), rozwiązuje to pytanie na ogół zadowalająco. Podobnie jak w Taterniku jest tu dział artykułów i dział wiadomości bieżących, traktujący bieżące sprawy Towarzystwa i jego Oddziałów, dający kronikę rzeczy interesujących świat turystyczny, informacye etc. Ten drugi właśnie dział ma tu główne znaczenie, chodzi bowiem o utrzymanie wszystkich interesowanych au courrant tego co się zarówno w Towarzystwie jak i w świecie turystycznym dzieje. O sposobie redagowania tego działu nie chcemy jeszcze zabierać głosu na podstawie jednego tylko numeru i zachowujemy to sobie na później. W dziale artykułów znajdujemy wspomnienie o Władysławie Zamoyskim pióra prof. St. Sokołowskiego, krótki „Szkic przebiegu sprawy Jaworzyny" prof. W. Goetla, bardzo dobry artykuł dr. M. Świerza „O przyszłość taternictwa", tudzież informacyjny artykuł dr. M. Orłowicza p. t. „Rząd a turystyka". Do artykułu dr. Świerza powrócimy jeszcze niżej.

Z poza drugiej strony Tatr doszło nas drogą koleżańskiej wymiany wydawane w Keszmarku przez Karpathen-Verein czasopismo „Turistik, Alpinismus und Wintersport" (zeszyty za lipiec 1924 do marca 1925). Czasopismo to weszło w miejsce wydawanego od r. 1874 w języku niemieckim i węgierskim „Rocznika Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego". Rocznik ten zawieszony został w r. 1917 i zamienił się na wydawane już tylko po niemiecku „Turistik und Alpinismus", które wychodziło pod tym tytułem do r. 1923. poczawszy zaś od 1 lipca 1924

wychodzi pod tytułem zmienionym, podanym na wstępie. Ma to być miesięcznik, ukazuje się jednak dotąd stale w zeszytach za dwa miesiące. Typ jego jest typem pośrednim między Wierchami a Przeglądem Turystycznym, zawiera on bowiem — i to w przeważnej części — dział wiadomości bieżących ale również i dział literacko-naukowy szerzej traktowany niż ma to miejsce w „Przerzeglądzie" a zbliżony raczej do „Wierchów". Z tego porównania obu typów czasopiśmiennictwa dwóch Towarzystw wynika naszem zdaniem wyższość typu zastosowanego u nas kwartalnik dla spraw aktualnych i rocznik dla literatury i nauki; aktualność bowiem wymaga częstszego ukazywania się, w roczniku staje się przeżytkiem i balastem, a natomiast rocznik pozwala na większe urozmaicenie treści, i na umieszczanie prac dłuższych i jest książką, którą się przechowuje trwale, i która nie starzejąc się tak rychło może liczyć na odbyt księgarski. W czasopiśmie Karpathen-Vereinu znajdujemy też między innemi i szczegółowe uwzględnienie taternictwa polskiego a przytem interesujące dla nas sprawozdania Beskiden-Vereinu. Czasopismo jest piękne i obficie ilustrowane.

**O ideologję i przyszłość taternictwa.** Jest to rzeczą ciekawą a znamienną, że w ostatnich zeszytach wszystkich trzech czasopism P. T. T. znajdują się artykuły poświęcone ideologii i przyszłości taternictwa. Nasz rocznik przynosi artykuł majora Br. Romaniszyna, gdzie sprawa ta traktowaną jest na tle wyprawy na Mount Everest, co daje pole do spojrzenia szerszego i zestawień porównawczych, — w Przeglądzie Turystycznym zabiera głos dr. M. Świerz, w Taterniku dr. M. Sokołowski. Artykuł dr. Świerza („O przyszłości taternictwa") traktuje tylko ubocznie sprawę ideologii taternictwa a zajmuje się sprawą jego przyszłości. Artykuł godzien jest ze wszech miar czytania, a sąd autora zrównoważony i wytrawny, nie daje powodu do polemiki. Autor stwierdza pewien chwilowy zastój w taternictwie i szukając jego przyczyn znajduje je w psychicznych i materjalnych warunkach okresu powojennego, które trafnie charakteryzuje. Ponieważ warunki te są przemijające, przeto sądzi autor, że i ów zastój jest tylko przemijającym objawem i że już w najbliższym czasie ustąpi. Jedna wszakże wysuwaną bywa jego przyczyna, wysuwana może przedwcześnie ale dlatego ważna, że trwale i coraz intenzywniej mogąca działać w przyszłości. Jest nią t. zw. „wyczerpanie problemów tatrzańskich". Dr. Świerz twierdzi, że do wyczerpania tego jeszcze daleko, niemniej jednak owe problemy kurczą się jakościowo i ilościowo coraz to bardziej i wreszcie muszą wyczerpać. Czy to oznacza koniec taternictwa? I na to daje autor mądrą i lapidarną odpowiedź, tem godniejszą szacunku, że sam on całą swą praktyką życiową a więc i psychiką tkwi głęboko we współczesnej formie taternictwa, w epoce „problemów skalnych"; to jednak nie zasłania mu wzroku na szersze horyzonty. „Taternictwo nie jest sportem — powiada — którego istota mieściłaby się w raz na zawsze przyjętych niewzruszonych zasadach i prawidłach, nie dopuszczających z góry do jakichkolwiek odchyleń od przepisanej normy. I alpinizm i taternictwo różne z biegiem lat przechodziły ewolucje, a sposoby wycieczkowania Chałubińskiego czy Pawlikowskiego były od form współczesnych zupełnie odmienne, któż jednak nie czuje, że z tych samych warstwic duszy co dzisiaj, dobywał się ich pęd ku wierchom...? Sądzić przeto o przesileniu się i przeżyciu taternictwa, na podstawie braku problemów, znaczy to chcieć wtłoczyć je w jedno tylko z łożysk, któremi prąd ten uchodzi na zewnątrz i zwątpić o jego sile wewnętrznej, głęboko w duszy utopionej, a prężnej, zdolnej żłobić sobie wciąż nowe ujścia i koryta". Dla tego samego zagadnienia znajduje też i dr. M. Sokołowski doskonałe słowa w swym artykule pomieszczonym w Taterniku, mówiąc, że tak samo jak wielokrotnie powracamy do tego samego poematu, tak samo powracać będzie prawdziwy miłośnik Tatr do tych samych widoków i przeżyć, bez względu na to czy sam je już poznał pierwej lub — tem bardziej! — czy poznali je przed nim inni. Ale ten sam artykuł dr. Sokołowskiego („O istocie i drogach rozwoju nowoczesnego taternictwa"), który oprócz tu przytoczonej zawiera jeszcze nie jedną myśl piękną, mieści także i rzeczy z któremi nietylko zgodzić się nie mogę, ale którym mimo całej sympatyi dla autora, wybitnego taternika i zasłużonego inicjatora Sekcyi taternickiej Akad. Zw. Sportowego — uważam za potrzebne dać stanowczy odpór.

Jeśli się nie mylę to artykułowi owemu dało początek przemówienie inauguracyjne otwarciu Sekcji Taternickiej A. Z. S. Leży przy to już w naturze rzeczy, że w takich przemówieniach okolicznościowych, jak na imieninach, jubileuszach, pogrzebach, wysławia się solenizanta, czy nieboszczyka w ten sposób, iż w jego osobie zdaje się nietylko

skupiać wszelka doskonałość, ale wogóle staje sie ona ośrodkiem świata. Obyczaj przyniósł taką egzagerację w tych wypadkach, i obyczaj też przyniósł, że nikt jej nie bierze zbyt na serjo Tę stronę sprawy moglibyśmy zatem pominąć. Ale gdy w świadomości autora skupiają się w taternictwie jak w soczewce wszystkie promienie światła, przeciw czemu jako przeciw osobistemu nastrojowi, nic nie mamy — to mamy bardzo wiele przeciwko konsekwencjom, które on z tego nastroju wyprowadza. Wedle jego mniemania prawdziwym taternikiem nie jest ten, który chodzi sobie poprostu po Tatrach, umie chodzić, orjentować się, patrzeć, a przedewszystkiem umie chłonąć w siebie dobra duchowe, które Tatry dają i kochać je, — ale dla przyjęcia do cechu potrzeba znajomości historji pierwszych wejść, trawersów, warjantów, etc., jednem słowem napełnienia sobie głowy aż do zupełnego wyjałowienia serca najniepotrzebniejszemi na świecie wiadomościami. Cobyśmy powiedzieli o tancerzu, który na miejsce wdzięku, swobody i radości za sedno swojej sztuki uważałby znajomość historji tańca?, — cobyśmy powiedzieli o kochanku, który zbliżając się do przedmiotu swej miłości uważałby za stosowne przestudjować przedtem starożytny podręcznik kunsztu kochania, indyjskie Kama-sutram, gdzie poklasyfikowano pocałunki i ich warjanty, przytaczając kontrowersje uczonych? Taternictwo nie jest z a w o d e m i nie powinno nigdy nim zostać; zwyrodnienie każdego sportu, i idąca za tem zupełna jego bezpożyteczność, zaczyna się z chwilą zmienienia go w zawód. Zapewne, że mogą być pożyteczni ludzie nieliczni, którzy się w tej dziedzinie zawodowo specjalizują jako przewodnicy lub nauczyciele, takich jednak, o ile chodzi o Tatry, dosyć jest zaledwie kilku. Dla innych taternictwo ma być źródłem orzeźwienia i siły, polem szerokiego oddechu, wolnego od trosk i drobiazgowości codziennego życia, a nie polem uprawiania biurokratycznego pedantyzmu i scholastycznej gadaniny o rozmaitych lapaljach. Przekonany jestem, co więcej wiem napewne, że i autor artykułu jest taternikiem w tem szerokiem i zdrowem znaczeniu, i że jego teorja nie idzie zgoła w parze z praktyką; i dlatego właśnie zastanawia mię to, zkąd się wzięła taka teorja.

Nie na tem koniec.

Autor stawia za szczególnie godny polecenia cel drobiazgowe, monograficzne opracowywanie — nie można już powiedzieć pewnych okolic — ale pewnych ułamków i zakątków górskiego grzbietu, i stawia pewien program takich monografij, program znów zupełnie fałszywy. Dajmy na to że chodzi o monografję grupy Tatr od przełęczy Świnnickiej do Zawratu. Otóż tu, wedle schematu programowego, ma się badać i opisywać nietylko tektonikę tej grupy, wszystkie jej załomy, żleby, kominki, ławki, bodaj kamienie pojedyncze, ale także jej geologję, florę i faunę — przy pomocy ewentualnie „zawodowych kolegów". Leży w tem zupełne pomieszanie pojęć taternictwa z jednej strony, studjum turystyczno-opisowego z drugiej, a wreszcie nauki z trzeciej. Są to wszystko rzeczy nie mające ze sobą żadnego związku. Można być wprawdzie taternikiem będąc turystycznym monografistą albo naukowym przyrodnikiem, można jednakże być nim i bez tego, a w żadnym razie te zajęcia komasowane być nie mogą. Inaczej dochodzi się do absurdów. Topografja turystyczna jest zgoła inna niż topografja np. geologiczna lub botaniczna; jakaś grupa skał, choćby nawet była pewną całostką turystyczną, nie jest tem samem żadną całostka geologiczną czy botaniczną. Dlatego geolog i botanik musi chodzić swemi własnemi drogami i oddzielić w sobie taternika od uczonego, inaczej i taternictwo i nauka źle na tem wychodzą. Monografja botaniczna grupy skał od przełęczy Świnnickiej do Zawratu byłaby czemś w rodzaju monografji lewej dziurki od nosa Szmula Mandelbauma (młodszego) z Kopytkowic (dolnych)!

Jak bardzo pomieszane są tu rzeczy zgoła różne, należące do odrębnych dziedzin i nie dające się nakryć jedną i tą samą taternicką opończą, dowodzi może jeszcze jaskrawiej fakt, że autor, mówiąc o przyszłych drogach taternictwa, zapuścił się aż w dziedzinę sztuki. Ażeby powiązać jakoś taternictwo z malarstwem, doszedł on do wniosku że powinno powstać malarstwo taternickie na wzór i podobieństwo malarstwa botanicznego; miałoby ono uwieczniać walkę taternika z górską przyrodą. Rzecz jasna że ta sprawa niema nic z taternictwem i z jego przyszłością wspólnego i nie może wchodzić do taternickiego programu, — niezależnie jednak od tego cała myśl jest tu z gruntu chybioną. Na dowód dość przyjrzeć się byle jakiej wysokogórskiej fotografji aby zrozumieć że człowiek jest w tym krajobrazie czemś obcem czemś przeciwnem jego charakterowi, czemś nieochybnie psującem wrażenie. W krajobrazie

wysokogórskim wyłączne panowanie muszą mieć góra i skała, — człowiek jest tu elementem ujemnym, rozkładczym, — przynosi nieodzownie z sobą zapach dołów. — A już Bóg raczy wybaczyć autorowi tę pobudkę jaką daje przyszłej taternickiej poezji, nie wie bowiem co czyni! Gdyby był redaktorem Wierchów zrozumiałby jakie to straszliwe duchy chce rozpętać!.. Zresztą... zresztą — kocham bardzo i naukę i sztukę, — sądzę jednak, że taternik który chodząc po Tatrach myśli już z góry o tem jak je opisze, namaluje lub wyśpiewa, podobny jest do tych dekadenckich kochanków, którzy nawiązują romans z myślą o tem jaki on im da temat do powieści czy poematu. A jeśli mam co przeciw takiej miłości, to chyba nie będzie zrozumianem jakobym miał co przeciw literaturze. Nie chcę tylko aby miłość i taternictwo były literaturą.

Jestem o tem przekonany, że o wielu rzeczach, o których tu mówiłem, dr. M. S. nie tylko wie równie dobrze jak ja, ale — w gruncie rzeczy — jest ze mną tego samego zdania; aura inauguracyjnych uroczystości uwiodła go do policzenia na rachunek solenizanta wszelkich dóbr jego i cudzych, tych które są, być mogą, lub być nie mogą. Możnaby też tę rzecz przyjąć pogodnem sercem, gdyby nie jeden moment niepokojący. Oto oprócz nastroju „solenizanckiego“ drugi zdaje się motyw podziałał tutaj na autora: zagadnienie, co właściwie Sekcia taternicka A. Z. S. będzie miała przez cały rok do roboty? To pytanie powtarza się w coraz liczniejszych Oddziałach P. T. T.

Zachodziła obawa, że każden Oddział, mając prawo do podjęcia się robót na pewnym przydzielonym sobie terenie Tatr, przez emulację tak będzie na tym terenie gospodarował, że nareszcie z Tatr nic nie zostanie, — będą natychmiast ścieżki szutrowane, bite gościńce, schody, poręcze, ławki, hotele, etc. etc. Uchwała Zjazdu Delegatów z 1923 r. normująca zasady gospodarki tatrzańskiej, zdaje się że to niebezpieczeństwo na razie przynajmiej odsunęła. Pozostaje drugie niebezpieczeństwo organizacyjnego przerostu, a tem jest popadnięcie w pedanterję, drobiazgowość, specjalizację, quasi-zawodowość taternicką, jednem słowem utopienie ducha taternickiego w dólskim zaduchu. Obok niebezpieczeństwa zatracenia oblicza Tatr, któremu przeciwstawia się idea ochrony przyrody, istnieje drugie niebezpieczeństwo — skrzywienia ducha taternickiego, i o zaradzeniu temu niebezpieczeństwu trzeba pomyslеć. Na tej drodze nie jedynym, ale bardzo poważnym problemem jest należyte wytyczenie działalności Oddziałom Towarzystwa i wszvstkim podobnym organizacjom. Kto wie czy rozwiązanie tego problemu nie zmusi z czasem do zupełnego przeobrażenia ustroju P. T. T. i odmiennego zakreślenia jego zadań. Ale jest to rzecz której nie można traktować przygodnie, przy sposobności omawiania jednego jakiegoś artykułu; artykuł ten jest przecież znamiennym, a że wyszedł z pod pióra którego w świecie taternickim nie można lekceważyć, jest tem znamienniejszym i tem bardziej ostrzegawczym.

*J. G. Pawlikowski.*

**Schronisko Oddziału Warszawskiego P. T. T. na Hali Gąsienicowej** weszło już w fazę ostatecznego wykończenia i będzie prawdopodobnie oddane do użytku w sezonie letnim br. W chwili, kiedy to piszemy (kwiecień 1925) postępują w szybkiem tempie roboty nad wewnętrznem urządzeniem schroniska. Granitowe mury są wszędzie wykładane drewnianemi ściankami, oddzielonemi od kamienia przestrzenią izolacyjną tak, !ż się odnosi wrażenie, że schronisko będzie rzeczywiście suche i ciepłe. W układzie sal i pokoi widać staranność, posuniętą do najdrobniejszych szczegółów i chwalebną tendencję uzyskania miejsca. Jednakże hale do spania na naiwyższem poddaszu są tak niskie i ciasne, jakby nie były pierwotnie założone, ale dopiero w trakcie budowy przypadkowo odkryte i do celów mieszkalnych wyzyskane. Uderza także wszędzie dziwnie niski wymiar drzwi, zmuszający każdego, mającego wzrost niższy niż średni, do schylania się,

Pomijając jednak drobiazgi nowe schronisko wywiera bezwarunkowo korzystne wrażenie i będzie najlepszem i najbardziej celowo zbudowanem w Tatrach.

W tej chwili najważniejszą jest kwestja zagospodarowania schroniska. Byłoby największem błędem nadanie schronisku charakteru wytwornego hotelu górskiego, w którym panoszyłby się posiadacz grubo wyładowanego portfelu i snob, hołdujący dziś tak ochotnie „sportowi górskiemu i wierchowemu“, a gdzie nie byłoby miejsca dla prawdziwego taternika i skromnego miłośnika gór. Decyzja leży w rękach warszawskiego Oddziału. Znając jego kierowników jesteśmy pewni, że nie dopuszczą do spaczenia istotnego celu schronika. Dlatego spodziewamy się, że przy wyborze zarządcy schroniska

i układaniu regulaminu kierować się będą właściciele schronika nie względami gospodnio-szynkarskiej natury i apetytami na wysokie oprocentowanie włożonego kapitału, ale idealnemi celami turystyki górskiej. I o jednem tego w lesie, dokąd dojazd będzie dozwolony („Psia trawka"?).

Pozostają wreszcie dwa jeszcze bardzo ważne problemy: problem oświetlenia i opału, i problem zabliźnienia dotkliwych ran zada-





przedewszystkiem pamiętać się musi, że dojazd końmi musi być bezwzględnie uniemożliwiony. Ze schroniska będzie mógł korzystać ten tylko, kto zdoła sam dojść piechotą od miejsca oddalonego o parę kilometrów a ukrynych hali Gąsienicowej przy budowie i przywrócenia jej pierwotnego wyglądu,

Wiemy, że Oddział warszawski rzeczy te gruntownie rozważa i wierzymy, że wywiąże się należycie i z tego zadania.

## KRONIKA ZAKOPIAŃSKA

Pisać kronikę Zakopanego, by ta zainteresowała ogół, a nie tylko tubylców. to pisać raczej kronikę sezonów zakopiańskich. A więc tych trzech miesięcy letnich i tyluż zimowych. Te dwa jedynie okresy zainteresować mogą ogół, w nich bowiem jedynie życie zakopiańskie bije żywszem tętnem. W okresach międzysezonowych Zakopane żyje skromnem i nieciekawem życiem i tylko rzadkie i nad codzienne zdarzenia wydobywające się wypadki, interesować mogą szerszą publiczność.

A więc zacznijmy od sezonu letniego 1924 roku. Że był on pod względem frekwencji gości znacznie słabszy od poprzedniego wykazują suche cyfry statystyki. Otóż według tejże ilość przyjezdnych w roku 1924 osiągnęła cyfrę 28,622 osób, co w porównaniu z rokiem 1923 (37.250 osòb) daje różnicę 8.628 osób na niekorzyść roku 1924. Stosunek sezonu zimowego 1923/24 do 1924/25 przedstawia się również niekorzystnie: w czasie od 1 stycznia do końca lutego było w roku 1924 osób 4327, w rcku 1925 o kilkaset osób mniej.

Przyczyny zmniejszenia się frekwencji przyjezdnych w ubiegłym roku są powszechnie znane, dlatego ich na tem miejscu nie powtarzamy. Nie możemy jednak pominąć najważniejszej i w dziejach Zakopanego niezwykłej przyczyny nieudania się sezonu zimowego. Przyczyną tą była niezwykle lekka i niemal zupełnie bezśnieżna zima. Tak lekkiej i bezśnieżnej zimy nie notują kroniki, ani pamięć ludzka. Nic też dziwnego, że w sezonie zimowym 1924/25 roku nie udały się niemal całkowicie wszystkie zawody i konkursy sportowe, o ile zależne były od warunków śnieżnych. Katastrofalnym był ostatni sezon przedewszystkiem dla sportu narciarskiego.

O ileż inaczej przedstawiała się zima 1924 roku. Ba, był moment, że zdawało się iż Zakopane zupełnie zniknie pod śniegiem. Nawiedziła nas bowiem w dniu 2 lutego 1924 roku trwająca do dnia 8-go tak gwałtowna śnieżyca połączona z wiatrem huraganowym, że Zakopane i całe niemal Podhale zostało odcięte od świata, a ruch kolejowy zdołano uruchomić dopiero 13 lutego. Masy śniegu leżały całymi miesiącami, dając narciarzom pole do popisu a zwolennikom zimy tatrzańskiej moc wrażeń i dużo satysfakcji.

Wiosna i lato były kapryśne i zmienne — niepogoda nie dawała się jednak we znaki. Jak zima 1924 wspomnianą śnieżycą zapisała się w kronikach zakopiańskich na długo w pamięci wszysfkich, tak znów lato zazdrosne o siebie, przysporzyło Zakopanemu niemało kłopotu i strat, gwałtowną, dwadzieścia cztery godzin trwającą ulewą, której rezultatem była niebywała w stosunkach tutejszych powódź. Masy wody spadłe w dniu 31 lipca w postaci gwałtownego deszczu, spływając w gwałtownym pędzie korytami potoków w dół poczyniły duże schody, czyniąc duże wyrwy w potoku uregulowanym, podmulając brzegi, niszcząc tamy, drogi, mosty i domy nadbrzeżne. Opad w tych dwudziestu czterech godzinach osiągnął niebywały stan bo około 120 mm., czyli mniejwięcej $^{1}/_{10}$ całorocznego opadu,

Jesień jak zwykle pogodna, przeciągnęła się niebywale długo. W listopadzie, grudniu, styczniu i lutym mieliśmy naprzemian i bezustannie dnie więcej lub mniej ciepłe, pogodne lub deszczowe, od czasu do czasu pojawiały się śnieg i mróz, ale poto tylko, aby po paru dniach znów ustąpić miejsca ciepłu i deszczom.

W lutym 1925 nawiedził skalne Podhale niezykle silny i wyjątkowo długotrwały, bo przez kilka dni wiejący, halny wiatr. Właściwie dopiero marzec zaznaczył się silniejszemi mrozami i znaczniejszym opadem śnieżnym. Lecz i ten okres był bardzo krótki i kapryśny.

O ile pod względem frekwencji gości i ich ilości rok 1924 zaznaczył się pewnem, nawet dość znacznem cofnięciem się wstecz, to znów pod względem ruchliwości i bujności życia nastąpił pewien dość silny ruch naprzód. Mieliśmy więc przedewszystkiem cały szereg bardzo ciekawych i poważnych odczytów, więc Maciej Szukiewicz mówił o Tutenkhamenie, W. Sieroszewski o „Japonji na wulkanach“, Boy-Żeleński mówił o tem jak został literatem, Kasprowicz o Salome. Przybyszewski dał ciekawy temat p. t. „Tajemnice kart do gry“ — pozatem w ciągu urządzonego przez P. T. T. „Tygodnia tatrzańskiego“ usłyszeliśmy cały szereg pięknych i interesujących odczytów których tematem były Tatry. Mówili więc: prof. dr. J. G. Pawlikowski (2 wykłady) „O dawnem Zakopanem“, i o tem „jak się dawniej po Tatrach chodziło“, prof. dr. M. Świerz mówił o działalności Tow. Tatrzańskiego (z projekcjami). prof. dr. E. Romer „O klimacie Tatr“, dyr. K. Stryjeński o zdobnictwie i budownictwie podhalańskiem, prof. dr. W. Szafer (2 wykłady) „O idei ochrony przyrody“ i „o szacie roślinnej

Tatr", prof. S. Sokołowski „O Tatrach jako parku narodowym", prof. Chybiński „o muzyce góralskiej", dr. W. Roszkowski „O świecie zwierzęcym Tatr", prof. Klemensiewicz „O taternictwie".

Po kilkuletniej przerwie i zupełnym zastoju w ruchu teatralnym, w r. 1924 za inicjatywą dyr. Dante Baranowskiego zrzeszenie artystów zorganizowało w Zakopanem stały Teatr. Przepraszam, próbowało zorganizować, bo niestety obojętność publiczności i trudne warunki (brak sali, wysokie koszta wynajmu tejże itp.) po paro miesięcznych wysiłkach i pracy kwestję stałego tearu postawiły znów pod znakiem zapytania. W krótkim paromiesięcznym okresie swego istnienia, starał się zespół artystów, owiany optymizmem swego dyrektora, uczynić wszystko, by zasłużyć na uznanie i to mu się w dużej mierze udało. Teatr wystawił około dwudziestu sztuk, między innemi „Śluby panieńskie", „Radcy pana radcy", „Żabusia", „Głupi Jakób", „Ojciec" Strindberga, „Morphinum", „Złodziej i mecenas", „Chrześniak wojenny" itp. Niestety trudności techniczne i brak zainteresowania zmusiły artystów tego zespołu do opuszczenia Zakopanego i szukania wdzięczniejszego niż Zakopane terenu. Poza stałym zespołem tego teatru brali udział w przedstawieniach jego gościnnie pp. Adwentowicz, Iza Kozłowska, Nowacki i inni.

O ile pod względem odczytów i przedstawień teatralnych, ubiegły sezon letni przedstawia się wcale dobrze, to znów pod względem koncertowym zupełnie niedostatecznie. W sali Czerwonego Krzyża wystąpiła raz pani Kawecka, a w sali „Morskiego Oka" Adam Didur. Pozatem dwa wieczory zapełnili pani Kalinowska i prof. Zachara. Stanowczo jak na Zakopane, trochę zamało.

Dnią 9 i 10 sierpnia dali dwa wieczory kabaretowe w sali Trzaski artyści Teatrzyku „Bagatela" we Lwowie z p. Bronowskim na czele. Pozatem bawił publiczność swym humorem Leon Wyrwicz — i darzyła swą sztuką deklamatorską panna Rychterówna. Dla specjalnie zaproszonych gości w salonie P. P. Szczeniowskich wygłosiła p. Magdalena Samozwaniec szereg swych satyrycznych utworów.

Wreszcie na dochód P. T, T. w „Tygodniu Tatrzańskim" odbył się w sali hotelu „Morskie Oko" wieczór artystyczny z współudziałem p. Zofji Mazanowskiej, St. Malinowskiego, Z. Trojanowskiego, Edwarda Żyteckiego i K. Umlauffa a w sali „Klubu Tatrzańskiego" w „Stamarze. wieczór autorski E. Biedera.

Pisząc o ruchu kulturalno-umysłowym Zakopanego w roku 1924, nie wolno pominąć nam urządzanych przez „Sztukę Podhalańską" wystaw w salach Bazaru Polskiego. Brali w nich udział przedewszystkiem artyści plastycy stale w Zakopanem mieszkający. Prócz tych mieliśmy zbiorową wystawę prac Skoczylasa i wystawę prac uczniów szkoły zawodowej, poprzednio urządzonej w salonach Garlińskiego w Warszawie.

Ruch kulturalno-artystyczny, jak z tego sprawozdania wynika ożywił się nieco w Zakopanem — daleko mu jednak i tak do pełni bujnego życia umysłowego w okresie przedwojennym. Podobne piętno nosiło na sobie i życie towarzyskie Zakopanego. Parę zabaw publicznych w karnawale 1924 r. z których najwspanialej wypadł urządzony dn. 16 lutego bal artystyczny na dochód Muzem Tatrzańskiego — raut z okazji Zlotu sokolego — zabawy w Tygodniu Tatrzańskim, oto cały plon. Próby w kierunku rozbudzenia życia towarzyskiego, o charakterze rzeczywiście towarzyskim i na wyższym poziomie, a więc nie ograniczającym się tylko do tańca i kart, niestety nie udawały się. Tubylcza ludność zakopiańska z dziwnym uporem ignoruje te poczynania, chadzając stale luzem. Nawet wysiłek Tow. Tatrzańskiego, które zdobyło się na założenie w salach hotelu „Stamary" Klubu Tatrzańskiego nie osiągnął dotąd należytego sukcesu. Manja dancingowa i na życiu towarzyskiem Zakopanego wycisnęła swe piętno, a dancingi w kawiarniach zdają się być jedynym żywotnym przejawem życia towarzyskiego.

Życie turystyczno-sportowe w roku ubiegłym, z powodu urządzenia zawodów o mistrzostwo Polski w Krynicy i pewnego rodzaju bojkotu Zakopanego przez sfery narciarskie, nie miało tego rozmachu co w latach ubiegłych. Najważniejszem zdarzeniem w sporcie narciarskim w zimie ub. r. były urządzone w ostatnich dniach lutego i pierwszych marca, Zawody o mistrzostwo armii i Zakopanego (urządzone przez armię i S. N. P. T. T.). Trwały one cały tydzień przy dobrych warunkach śnieżnych. Oba mistrzostwa przypadły zakopiańczykom. Armii: strzelcowi Krzeptowskiemu Andrzejowi II., Zakopanego Krzeptowskiemu Andrzejowi I. Udział w zawodach tych był bardzo liczny. Zawody zakończyły się uroczystością rozdania nagród i rautem w sali restauracyjnej Trzaski przy bardzo licznym udziale gości, przybyłych specjalnie na zawody. Drugą uroczystością narciarską były pierwsze Zawody Oddziału narc. pol. państwowej odbyte w dniu 6. marca,

a urządzone na zakończenie pierwszego kursu narciarskiego zorganizowanego przy utworzonym zakopiańskim Oddziale narc. P. P.

W dniu 3 sierpnia odbyły się zawody kolarskie i bieg na przełaj, zorganizowane przez Oddz. narciarski Sokoła w Zakopanem. Do biegu o trasie 6 km, stanęło 16 zawodników, z których dziesięciu przybyło do mety. Pierwszy przybył Krzeptowski Andrzej w czasie 23·20 m. W zawodach kolarskich odbytych na trasie 14 km. zwyciężył Żytkowicz Władysław w czasie 31·08 min.

W tym samym dniu odbył się w Zakopanem ogólny Zjazd Polskiego Związku Narciarskiego, na którym po obszernej dyskusji nad sprawozdaniem, omawiano sprawę międzynarodowych zawodów narciarskich, uchwalono regulamin sportowy, omawiano sprawę zniżki cen biletów kolejowych dla turysłów, wreszcie dokonano wyborów, wybierając na prezesa pułk. Bobkowskiego, a na zastępców rotm. Mryca i dyr. Chełmińskiego.

W dniach od 15 do 19 sierpnia odbył się staraniem odrodzonego po paroletniem zamarciu klubu sport. „Krokus" turniej tenisowy o tytuł mistrza Zakopanego, który zdobył dotychczasowy posiadacz tegoż p. Łabuński.

Odbyte w zimie 1925 roku zawody narciarskie, z wiadomych powodów t. j. lekkiej zimy i braku śniegu nie osiągnęły właściwego poziomu. Pozatem zapowiedziane międzynarodowe zawody z tych samych powodów nie odbyły się.

Pisząc o ruchu sportowym należy wspomnieć o wznowionej pracy Tow. „Park sportowy" i realnych tej pracy owocach, objawiających się przedewszystkiem w stworzeniu wspaniałej i drugiej co do rozmiarów w Europie skoczni na Krokwi. Życzyć należy, aby Zarząd „Parku" nie ustając w pracy, w tym samym tempie zrealizował cały swój program i to tak dla dobra Zakopanego jak i całego polskiego sportu.

Jeszcze jedną atrakcję sportową miało Zakopane w roku ubiegłym, a był nią raid samochodowy, który w dniach 8 i 9 lipca w swej parotysięczno - kilometrowej trasie przebył odcinki trasy Zamość-Zakopane-Morskie Oko-Kraków. W raidzie brało udział 21 samochodów różnego typu. Z okazji raidu odbył się w dniu 8 lipca w godzinach wieczornych bankiet w sali restauracji Trzaski.

Już nie o czystem znaczeniu sportowem, ale w każdym razie ściśle z nim związany był okręgowy Zlot sokolstwa okręgu krakowskiego, odbyty w dniach 29 i 30 czerwca, a połączony z ćwiczeniami i popisami gimnastycznemi sokołów. Zlot bardzo licznie przez gniazda okręgu krakowskiego obesłany, ściągnął do Zakopanego około półtora tysiąca druhów i druhiń. Ćwiczenia odbyły się przy niezwykle licznym tłumie widzów, którzy szczelnie zapełnili specjalnie na ten cel wybudowane trybuny przy ulicy Nowotarskiej. W następnych dniach odbył się szereg zbiorowych wycieczek sokołów i sokolic w Tatry. Wycieczki te, jak również i Zlot zorganizował Sokół zakopiański, który w tym wypadku wykazał niezwykłą energję, sprężystość i żywotność. Zlot sokoli mający bardzo poważny charakter, był bodaj największą atrakcją ubiegłego roku i pozostawił jaknajlepsze i trwałe wrażenie tak na uczestnikach samego Zlotu, jak i na widzach.

O turystyce nie będziemy się na tem miejscu rozpisywać szerzej, odsyłając ciekawych do specjalnych artykułów w „Przeglądzie Turystycznym" i „Taterniku".

Nieszczęśliwych wypadków w Tatrach było w r. 1924 trzy, z których dwa zakończyły się śmiercią. Ciężkiemu okaleczeniu uległ w dniu 28 lipca p, inż. Kalicki znany taternik, który schodząc z Mięguszowieckiego nad Czarnym Stawem ku Przełęczy Mięguszowieckiej, stoczył się wraz z głazem, którego się uczepił w przepaść 30 metrową po stronie Doliny Mięguszowieckiej. Uwiadomiony o wypadku, a przebywający w schronisku nad M. Okiem dr. fil. Łomnicki, pospieszył bezwłocznie na miejsce wypadku z pomocą. Całą zimną noc przesiedział p. Ł. przy co chwila omdlewającym z bolu inż. Kalickim, niosąc mu ratunek i otuchę. Zaalarmowane Och. Pogotowie ratunkowe przybywszy w nocy do Morskiego Oka — z pierwszym brzaskiem dziennym udało się na miejsce wypadku, a po opatrzeniu rannego sprowadziło go do M. Oka, a stąd do Zakopanego. P. inż. Kalicki doznał złamania prawej ręki, silnego potłuczenia wszystkich kończyn i głowy. Rany jednak nie groziły utratą życia i inż. K. po kilkutygodniowej kuracji przyszedł zupełnie do zdrowia. W akcji ratunkowej podkreślić należy ofiarność i poczucie obowiązku obywatelskiego ze strony dr. Łomnickiego, który z narażeniem własnego życia i zdrowia pospieszył pierwszy z pomocą.

Drugi wypadek o tragiczniejszem zakończeniu zdarzył się w dniu 9 sierpnia na Durnym. Towarzystwo złożone z czterech turystów z Warszawy udało się pod wodzą przewodnika spiskiego Pawła Spitzkopfa młodszego na Durny. Powyżej przełęczy Klimkowej, strącony w niewyjaśnionych okolicznościach kamień, rozbiwszy się na gła-

zach, odłamkami obrzucił młodego turystę. Turysta otrzymawszy kontuzję zawisł nieprzytomny na linie nad przepaścią. Ponieważ trudności terenowe nie pozwalały pozostałym na sprowadzenie poranionego w dół, pozostawiono go pod opieką jednego z towarzyszy a reszta z Spitzkopfem udała się po pomoc. Szczęśliwym trafem spotkali dążących w góry starszego Spitzkopfa i Breuera, do których przyłączył się jeszcze zakopiański przewodnik Gąsienica Daniel. Równocześnie zawiadomione telefonicznie Karpackie Towarzystwo bezwłocznie wysłało dalsze dwie ekspedycje ratunkowe. Dzięki energicznej i szybkiej pomocy, cała sprawa zakończyłaby się szczęśliwie, gdyby nie tragiczny wypadek w powrotnej drodze. Oto znany przewodnik Breuer, odłączył się od całej grupy, by skrócić sobie drogę do schroniska. Wyprawa, która spodziewała się po powrocie do schroniska zastać już tam Breuera, nie zastała go, a gdy i następnego dnia Breier nie ukazał się, zarządzono poszukiwania, rezultatem których było odszukanie już zimnych zwłok śp. Breuera, który wracając skrótami w wieczór, skąpo rozjaśniony, skutkiem mgły światłem księżyca, pośliznął się widocznie i życiem przypłacił odłączenie się od towarzyszy. Zaznaczyć przytem należy, że z osób w akcji ratunkowej biorących udział, nikt nie wyszedł bez szwanku, a zakopiański przewodnik Daniel, złamał rękę.

Trzeci, również tragicznie zakończony wypadek zaszedł w dniu 12 grudnia. Ofiarą jego padł jeden z najstarszych przewodników zakopiańskich Gąsienica Daniel. Katastrofa nastąpiła w Dolinie Pięciu Stawów. Daniel prowadził p E. Gejsztara, a celem wycieczki było Morskie Oko. Po uciążliwem przejściu Zawratu, dotarli oni wieczorem do Doliny Pięciu Stawów. Daniel postanowił zejść przez Dolinę Roztoki. Przy zejściu u progu koło Siklawy zaproponował towarzyszowi zjazd w dół na t. zw. saneczkach: gdy p. G, ostrożny, nie zgodził się na to, Daniel podpierając się czekanem zjechał sam z szaloną brawurą w dół. Natrafiwszy na kamień, który go zbił z kierunku, spadł w dół na lód koło wodospadu. P. G. na skutek wołania dochodzącego z dołu „paniczu ratuj!" spuścił się przy pomocy liny w dół, gdzie wpadł w sadzawkę pod Siklawą. Wydostawszy się na kamień, począł się rozglądać za towarzyszem i ujrzał po chwili rękę jego wystającą z wody. Zarzuciwszy linę na rękę, przyciągnął Daniela ku sobie i wydobył z wody. Daniel odzyskał tylko na chwilę przytomność, a wskazując ręką w stronę Miedzianego zdołał przed śmiercią wyszeptać zaledwie te słowa: „paniczu, tam idźcie!" — poczem skonał P. Gejsztar błądząc całą noc zdołał dopiero na drugi dzień o godz. 2-iej dotrzeć do schroniska przy Morskiem Oku, gdzie opowiedział o tragicznym wypadku. Że p. Gejsztar nie padł również ofiarą nieostrożnego i ryzykownego pomysłu wycieczki w Tatry w niezwykle trudnych warunkach, zawdzięczać należy jedynie szczęśliwemu trafowi.

Rok ubiegły był mniej obfitym w gromadne wycieczki szkolne, czego przyczyną były, jak się zdaje, ogólnie znane stosunki finansowe. O ile zmniejszenie frekwencji gości w Zakopanem miało swe zgubne wpływy na stosunki ekonomiczne Zakopanego, to słabszy stosunkowo ruch zbiorowych wycieczek wyszedł tylko na dobro Tatr i okolicy Zakopanego. Nie piszemy tych słów dlatego, abyśmy się sprzeciwiać mieli zupełnie gromadnym wycieczkom — bynajmniej — ale ich dotychczasowe kierownictwo i system bezwarunkowo na pochwałę nie zasługiwały. Nie będziemy wchodzili w szczegóły, gdyż o nich dostatecznie rozpisywali się w ubiegłym roku tak na łamach „Głosu Zakopiańskiego" jak i w codziennej prasie polskiej wybitni znawcy stosunków. Jeszcze raz tylko podkreślić należy, że na ogół poziom kulturalny turystów, względnie pseudoturystów obniżył się znacznie. Ich zachowanie się w stosunku do przyrody, objawiające się masowem niszczeniem sadzonek, masowem zrywaniem rzadkich okazów flory tatrzańskiej, ich wrzaskliwe i niesforne zachowywanie się wobec majestatycznego piękna ciszy tatrzańskiej, niszczenie schronisk i t. p., zasługują ze wszech miar na potępienie. U obecnego typu turysty trudno dopatrzeć się tych cech i przymiotów, któremi odznaczał się turysta z przed paru czy kilkunastu lat. Z bezmyślnością i niekulturalnością tych pseudo-turystów walczyć winni nie tylko ci z dawnych szeregów rekrutujący się prawdziwi turyści-taternicy, Ci wierni do zgonu kochankowie gór, nie tylko organizacje sportowo-turystyczne i Tow. Tatrzańskie i „Ochrona Przyr.", ale i przedewszystkiem szkoły.

Mówiąc o turystyce, wspomnieć należy choć w paru słowach, o nowych zdobyczach i udogodnieniach turystycznych w Tatrach. Więc poza zwykłemi robotami, jak poprawa dróg i t. p. przeprowadzono parę nowych, względnie poprawiono dawne znaki orjentacyjne. Prowadzono w dalszym ciągu budowę granitowego schroniska na hali Gąsienicowej i rozpoczęto budowę schroniska w dolinie Pięciu Stawów.

Ścisłą łączność z kwestją turystyki miała, odbyta w dniach 6, 7 i 8 września w Zakopanem, Konferencja polsko-czechosłowacka w sprawie konwencji turystycznej i parków natury. W sprawie konwencji turystycznej doszło do pełnego porozumienia na podstawie bardzo szeroko pojętych udogodnień z obu stron. — W sprawie parków natury omówiono i uzgodniono projekt utworzenia w Tatrach po obu stronach granicy rezerwatów, o czem w tymże roczniku Wierchów mówi szeroko artykuł prof. W. Goetla.

Również pewną łączność z turystyką miała wycieczka do Zakopanego i Tatr szkoły sztabu generalnego, która bawiła tu z końcem czerwca, oraz odbyte w lecie ćwiczenia wysokogórskiej kompanji, pod kierunkiem turystycznym pp. Dr. Świerza i Oppenheima.

Inny charakter, ale znów łącznie z wojskowością wogóle, miała wycieczka wojskowej misji tureckiej, która bawiła w Zakopanem z początkiem września. Podejmowani gościnnie w Sanatorjum Czerwonego Krzyża oficerowie. zwiedzili w Zakopanem „Muzeum Tatrz.“, Szkołę przem. i t. d., Morskie Oko, przyglądali się zabawie góralskiej i tańcom, zwiedzili dolinę Strążyską, wywożąc z Tatr i Zakopanego dużo wrażeń i miłych wspomnień.

Oprócz urzędowych gości w sprawie konwencji turystycznej i z misji tureckiej, gościło w przeszłym roku Zakopane przez parę dni przedstawicieli kilkunastu państw w osobach młodzieży akademickiej, przybyłej do Zakopanego na Zjazd Związku Chrześcijańskich Stowarzyszeń Studenckich. W Zjeździe tym brali udział przedstawiciele następujących państw: Austrji, Bułgarji, Czecho-Słow., Danji, Estonji, Łotwy, Rosji, Rumunji, Węgier, Anglji i Belgji.

Prócz tego odbył się jeszcze w dniach od 2 do 5 lipca Zjazd botaników polskich. Program zjazdu obejmował dwa dni obrad, połączonych z prelekcjami i dwa dni przyrodoznawczych wycieczek w Tatry. Na Zjeździe tym wygłosili odczyty pp. Ruppert, M. Sokołowski, K. Stecki, D. Szymkiewicz, W. Szafer, B. Pawłowski i S. Kulczyński. Zebrania Zjazdu botaników odbywały się w gmachu Muzeum Tatrzańskiego.

Ważnym wypadkiem ubiegłego sezonu letniego był z dużym nakładem pracy i na szeroką skalę pomyślany „Tydzień Tatrzański“, urządzony w dniach od 11 do 17 sierpnia ub. r. przez Towarzystwo tatrzańskie.

Motywy, któremi powodował się Zarząd Towarzystwa były trojakie: po pierwsze chodziło o to, aby w jakiś sposób skupić chodzących luzem i nie wiedzących często o sobie prawdziwych miłośników Tatr, — po drugie, aby szerzyć znajomość Tatr i Podhala, ich przyrody i ich ludu, wreszcie taternictwa, jego historji i obecnych problemów, — po trzecie, by z okazji tych przedsięwzięć uzyskać pewien dochód na cele Towarzystwa. Pomysł takiego tygodnia godzien jest najżywszej pochwały i mutatis mutandis „tydzień tatrzański“ powinien by się zamienić w trwałą instytucję. Zdobyte doświadczenie pozwoli na poprawienie tej lub owej usterki w organizacji, w żadnym jednak razie nie należy się zniechęcać osiągniętemi w tej pierwszej próbie wynikami. Na razie nadzieja skupienia licznej rzeszy miłośników Tatr nieco zawiodła, Audytorjum odczytów było bardzo wdzięczne, bo doborowe, — ale widzieliśmy wciąż tych samych ludzi, których znamy od dawna jako miłośników Tatr, szerszych kół jednakże i nowych żywiołów przyciągnąć się nie udało. Tak jak w Tatrach odczuwa się w ostatnich latach znaczne obniżenie jakości rzesz turystów, tak samo i tutaj znalazło to swój wyraz. Ci nowo przybywający są to jakby przygodni goście, którzy z Tatrami się nie zżyli i nie umieją się niemi prawdziwie zainteresować. Tem potrzebniejszą jest działalność wychowawcza, do której w pierwszym rzędzie jest właśnie powołane Pol. Tow. tatrzańskie. O wygłoszonych odczytach i urządzonym w sali Hotelu Morskie Oko „Wieczorze artystycznym“ mówiliśmy już wyżej; w Hotelu Stamary odbyła się zabawa towarzyska. Zbiórka uliczna i „licytacja amerykańska“ paru, przez artystów ofiarowanych obrazów, wypadły niezgorzej i stanowią gros dochodów uzyskanych przez P. T. T. w Tygodniu tatrzańskim.

Łącznie z otwarciem „Tygodnia Tatrzańskiego“, odbyło się otwarcie i poświęcenie lokalu założonego przez Pol. Tow. Tatrz. w salach hotelu „Stamary“ Klubu Tatrzańskiego. Liczny udział przybyłych na uroczystość, oraz również licznie zgłoszony akces Członków, rokował Klubowi Tatrzańskiemu jak najlepszą przyszłość i rozwój. Niestety brak poczucia towarzyskości u Zakopian uczynił z Klubu Tatrzańskiego instytucję, żyjącą tylko na papierze. Być może, że Klub jeszcze odżyje, ale obecnie śpi snem sprawiedliwego.

Z takim rozmachem w ostatnich latach rozwijający się ruch budowlany, w lecie ub. r. wskutek ogólnego w Rzeczypospolitej zastoju, stanął na martwym punkcie. Z rozpoczętych budowli zaledwie mniejsza część wykańcza się, reszta czeka na lepsze czasy. Nie ma jednak nic złego, coby na dobre nie wyszło. Vis major tamująca rozbudowę, przyszła

w samą porę. Bezplanowe zabudowywanie groziło Zakopanemu raz na zawsze utrąceniem myśli o jego regulacji, bowiem brak specjalnych przepisów budowlanych i niezatwierdzenie, a raczej opóźnianie zatwierdzenia, planu regulacyjnego, pomagały tylko dzikiemu zabudowywaniu. Niestety nie można powiedzieć, aby niebezpieczeństwo w zupełności minęło. Wszak i tak czy w mniejszym, czy większym stopniu powstawanie nowych budowli nie opartych o zasady planu regulacyjnego i związane z nim przepisy budowlane, tylko utrudniać będą realizację planu. Plan regulacyjny proj. arch. K. Stryjeńskiego został ostatecznie na komisji z kwietnia ub. r. przyjęty i zatwierdzony łącznie. Przyjęciem planu uchwalono wydać na mocy ustawy uzdrowiskowej nowe przepisy budowlane. Niestety nie wydano ich dotąd i nie stworzono urzędu budowlanego, a nieszczęśliwe prowizorjum, ze strasznym mieczem Damoklesa w postaci starej „galicyjskiej“ gminnej ustawy budowlanej, ciąży nadal jak zmora nad Zakopanem Walczą wprawdzie z tą plagą i gmina i klimatyka, ale niemal bezskutecznie.

Wysiłki tak urzędu gminnego, jak i klimatyki w kierunku podniesienia Zakopanego szły po wytkniętej w ostatnich latach linji. W roku ubiegłym dokończono zakładanie chodnika betonowego przy Krupówkach, oraz położono nowy wzdłuż ul. Chramcówki od stacji do Sanat. Czerw. Krzyża. Sprawę budowy nowej gminnej elektrowni posunięto znacznie naprzód, prace około wykończenia chłodni i fabryki sztucznego lodu ukończono i w maju nastąpiło otwarcie obu tych zakładów. Klimatyka ze swej strony, po odgrzebaniu z aktów samorządowych dawnych planów i projektów kanalizacji, rozpoczęła prace przygotowawcze i ma w ciągu roku 1925 przystąpić do budowy tychże. Plan regulacyjny, po przyjęciu go przez Komisję odbiorczą i wystawieniu w myśl ustawy na widok publiczny, poszedł do zatwierdzenia do Warszawy. Co było do przewidzenia, ludność miejscowa wniosła zbiorowe protesty przeciw planowi. — Od rozstrzygnięcia tych protestów przez władze wyższe zależy przyszłość nie tylko planu, ale i samego Zakopanego. Podnieść wreszcie należy fakt stworzenia wspólnym wysiłkiem gminy i klimatyki urzędu zdrowia. Przez zjednoczenie rozdzielonych do tej pory kompetencyj lekarzów klimatycznego i gminnego, poprawa stosunków sanitarnych ma najlepsze widoki, zyskując przedewszystkiem na szybkości działania.

Według preliminarza budżetowego Kom. klimat. na r. 1925, przewiduje się następujące większe inwestycyjne wydatki: roboty kanalizacyjne 24.000 zł., plan regulacyjny i przepisy budowlane 12.000 zł., naprawa chodników i ścieżek 8.000 zł., razem 44.000 zł., czyli przeszło 35% całego budżetu. Wydatki na sprawy zdrowotne wynieść mają 11.000 zł., czyszczenie i oświetlenie ulic (subwencje) zaliczone do rubryki: „Udogodnienie pobytu gościom (?) 16.000 zł,. administracja 25.000 zł., razem 52.000 zł., czyli około 43% całego budżetu, dopiero reszta z dochodów a więc około 22% przeznaczona jest na wydatki złączone ściśle z interesami przybywających do Zakopanego i Tatr gości, a przecież taksy przez tychże wnoszone wynoszą przeszło 66% dochodów klimatyki. Kanalizacja jest rzeczą nieodzowną, ale przecież stanowi ona podstawę, a nawet w myśl ustawy uzdrowiskowej warunek charakteru Zakopanego, jako uzdrowiska i koszta jej powinni ponosić obywatele z charakteru uzdrowiskowego Zakopanego ciągnący zyski, a nie goście. Wygląda to tak, jakby ktoś kazał komuś wybudować dom własnym kosztem, a potem jeszcze kazał sobie czynsz płacić. Zgodzić się można na pewien udział w ponoszeniu ciężarów na inwestycje ze strony klimatyki, ale udział ten nie może być dysproporcjonalnym. Zdaniem naszem dochód z taksy klimatycznej winien iść jedynie na wydatki złączone z uprzyjemnianiem gościom pobytu, a dochód z podatków klimatycznych ściąganych od przemysłowców zakopiańskich dopiero na cele związane z wydatkami złączonemi z utrzymaniem charakteru uzdrowiskowego Zakopanego.

Jeszcze jeden ważny moment przeżyło Zakopane w r. 1925, a jest nim — znacznie naprzód posunięta sprawa parku narodowego i fakt stworzenia z terenów należących do dóbr zakopiańskich fundacji narodowej. Podstawą istnienia parku natury jest las, to też z lękiem obserwowaliśmy w latach ubiegłych katastrofalne niszczenie lasów tatrzańskich przez kornika. Z radością skonstatować należy, że energicznie przeprowadzona w latach 1923 i 1924 akcja ratunkowa, niebezpieczeństwo, o ile całkiem nie usunęła, to w każdym razie ograniczyła do minimum. Śmiało można już dziś powiedzieć, że lasy tatrzańskie, aczkolwiek znacznie uszkodzone, zostały jednak w znacznej części uratowane. Zasługę tego ponoszą przedewszystkiem Ci, którzy na niebezpieczeństwo zwróciwszy uwagę, zmusili rząd do energicznego wystąpienia w obronie lasów tatrzańskich. O ile jednak stan lasów w górach, przynajmniej na terenie

fundacji Zamoyskiego poprawił się znacznie, to przeciwnie lasy i przylaski w bezpośredniem sąsiedztwie Zakopanego, wskutek gwałtownego ruchu budowlanego, narażone były i są na wielkie niebezpieczeństwo. Przykładem tego jest wycięcie dużych przestrzeni lasu i zamienienie ich na parcele budowlane przy ulicy Zamoyskiego. Lasy te według projektu planu regulacyjnego, miały wchodzić w obręb parku sportowego. Wycięcie ich uszczupliło obszar parku o znaczną, bodaj czy nie najładniejszą przestrzeń. Na niebezpieczeństwo dalszego niszczenia drzewostanów w samym obrębie Zakopanego należy baczną zwrócić uwagę i ze wszystkich sił przeciwdziałać temu. Zadanie to powinna wypełniać przedewszystkiem prasa podhalańska, której jest to obowiązkiem obywatelskim.

Prasa zakopiańska w roku 1924 weszła na szersze tory i ożywiła się znacznie. Regularnie i dobrze redagowany „Głos Zakopiański“ wydawany przez p. Maksymiljana Skibińskiego, trzyma swą dłoń na pulsie życia Zakopanego i w życiu tem sam bierze bardzo czynny udział, starając się zajmować objektywne stanowisko. Bardzo szczęśliwą myślą redakcji „Głosu Zakopiańskiego“ jest wydawanie, tak niezbędnej dla gości, listy gości. Pod tym względem wyręczała redakcja klimatykę, która do tego obowiązku nie poczuwała się jakoś. W roku ubiegłym zaczęło również wychodzić w Zakopanem Czasopismo „Giewont“. Jest to bardzo bogato i luksusowo wydawany kwartalnik ilustrowany, poświęcony Zakopanemu i Tatrom. Wydawca tegoż jest p. Adam Kowalczewski-Siedlecki. Numer I-szy tego wydawnictwa ukazał się w jesieni ub. r. i wzbudził swym wyglądem niebywałe zainteresowanie i podziw; dotąd nie wyszedł jednak numer II-gi.

Pisząc o prasie, wspomnieć należy również o wydawanem przez p. Adama Czerbaka rewolwerowem wydawnictwie jednodniówek, których celem były przedewszystkiem ataki na poszczególne jednostki Zakopanego. Zwalczanie tych jednostek leżało w interesie pewnych kół zakopiańskich, używających p. Czerbaka i jego wydawnictwo jako taranu do obalenia przeciwników. Z radością skonstatować należy, że ataki te, o bardzo niekulturalnym charakterze, rezultatu nie odniosły, a jednodniówki widząc bezowocność swej walki, przestały się ukazywać. Że metoda walki jednodniówek p. Czerbaka była rzeczywiście zła, tego dowodem uspokojenie opinji i nawrót do współpracy, oraz zaniechanie przynajmniej na razie, walk osobistych, a skierowanie całego wysiłku zbiorowego w kierunku podniesienia Zakopanego, Być może, że zapał do walki ostudził się. dzięki klęskom spadającym na Zakopane wskutek nieudałych sezonów. Fakt pozostanie jednak faktem, że nareszcie w Zakopanem nastąpiło pewne otrzeźwienie i myśl o przyszłości. Najwyższy to już czas! Zakopane nie może nadal żyć życiem dojutrków, życiem od przypadku do przypadku, czyli od sezonu do sezonu. Zakopane musi iść w przyszłość z wytkniętym planem swego rozwoju i z zrozumieniem roli, jaką ma w życiu Polski do spełnienia. Zakopane jest bramą do Tatr, a Tatry są płucami Polski. Tatry są własnością całej Polski i Zakopane zrozumieć też musi, że ono nie jest podwórkiem nadającem się do karczemnych burd i małomiasteczkowych sporów o fotele prezydjalne, ale jest „letnią stolicą“ Polski i również jak Tatry, tejże całej Polski własnością. Niechże więc obecni ojcowie Zakopanego pamiętają, że wzięli na siebie wielką odpowiedzialność za przyszłość Zakopanego nie tylko przed tymi, którzy ich do tego upoważnili, ale przed całem społeczeństwem polskiem.

Zakopane 2 kwietnia 1925.

*Karol Kwaśniewski.*

## STOWARZYSZENIA I INSTYTUCJE

**Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem.** Zdołaliśmy uzyskać szereg cennych wiadomości o tej instytucji jakkolwiek nie zastąpią one rocznego sprawozdania. Mamy przedewszystkiem do zanotowania fakt, iż stałe dotacje rządowe dla Muzeum zostały wreszcie uregulowane. Byłyby one podstawą dalszego rozwoju instytucji, słabą jednak stroną jest to, że rok 1924 (kryzys walutowa), nowe inwestycje budowlane i powiększenia bibljoteki i zbiorów wywołały konieczność operowania pożyczkami, co jednak dowodzi, że muzeum wyrobiło sobie opinję dobrego i sumiennego płatnika w czasach, gdy poważne nawet firmy handlowe nie mogły otrzymać pożyczek. Najważniejszem zadaniem Muzeum i jego zarządu w tym roku jest spłata długów. Bolączką również brak kustosza działu przyrodniczego odkąd dawny kustosz dr. Stecki przeniósł się do Poznania. Zarząd mimo tych niedostatków nie porzuca dawniejszych i nie rezygnuje z nowych planów. Z roku

na rok wyrównuje teren koło Muzeum. W b. roku reguluje drogę między dworcem P. T, T. a Muzeum wspólnym kosztem z P. T. T. w myśl estetycznego wyglądu otoczenia i obustronnych korzyści, mimo iż droga ta jest własnością P. T. T. Powolne te prace są prowadzone z myślą o przyszłem otoczeniu budynku muzealnego; zarząd Muzeum pamięta, iż przed regulacją Zakopanego postawiło pewne postulaty co do terenu przy Muzeum i dworcu, konsekwentnie postulaty te ponawia i baczy, aby nie nastały niekorzystne zmiany. Zarząd kompletował i w tym roku nadal zbiory w sposób celowy. Jak dział instrumentów muzycznych znacznie się powiększył, tworząc wielki materjał dla pracy naukowej o nich (por. sprawozdanie z badań etnograficznych), tak obecnie zyskano wielki zbiór spinek góralskich, obok szeregu innych przedmiotów. Cały niemal prywatny zbiór p. J. Kotarbińskiego przeszedł na własność Muzeum. Pertraktuje się o nabycie innych prywatnych zbiorów. Skompletowano także bibljotekę, tak iż można w niej pracować naukowo, choć — mimo wytężonych starań kustosza J. Zborowskiego — daleko jeszcze do należytego całokształtu. Zapełniono bardzo poważne luki w kompletach czasopism przyrodniczych. Muzeum otrzymało w darze od kustosza J. Zborowskiego zbiór ważnych dla pracy o Podhalu wycinków z gazet z ostatnich pięciu lat. Zanotować należy następnie współpracę Muzeum z innemi instytucjami. I tak na skutek starania Muzeum i stacji meteorologicznej ta ostatnia otrzymała szereg przyrządów dla badań, które dotychczas nigdy na terenie Zakopanego wzgl. Tatr nie były prowadzone. Muzeum zaznaczyło dalej swą współpracę z urzędem konserwatorskim w Krakowie (sprawa Kościoła w Trybszu) i z Państw. Komisją Ochrony przyrody i jej strażą górską. Liczne korespondencje dowodzą nawiązania stosunków z instytucjami naukowemi w Polsce, a jednem z najbliższych zadań Muzeum będzie nawiązanie stosunków z najbliższą Podhalu zagranicą. Jak w poprzednich latach, tak i w ostatnim roku dostarczono szkołom kompletów okazów geologicznych z Tatr, nadto po raz pierwszy puszczono w ruch szkolny zielnik tatrzański i odlewy gipsowe ornamentów łyżnikowych. W zamierzeniu są również inne pomoce szkolne.

Jest wreszcie nadzieja, iż w b. r. zostaną uruchomione ponownie wydawnictwa Muzeum (w pierwszym rzędzie „Rocznik Podhalański"). Działalność swą naukową rozwinie Muzeum także z tego powodu, że obejmuje administrację i łączność z górskiem naukowem schroniskiem dla badaczy naukowych, które dzięki P. dr. Dłuskiej powstanie w okolicy Roztoki i Łysej Polany według planu dyr. K. Stryjeńskiego.

**Szkoła przemysłu drzewnego w Zakopanem.** — Reorganizacja jej pod kierunkiem dyr. Karola Stryjeńskiego postępuje ustawicznie naprzód, a w łączności z nią także reorganizacja bursy z wielkim dla uczniów pożytkiem. Zwiększono opiekę nad uczniami; dozór, hygjena i odżywianie nie pozostawiają nic do życzenia. W dziale nauczania zanotować można szereg faktów. I tak n. p. powiększono dział rzeźby figuralnej, nie ograniczając się do materjału drzewnego, lecz posługując się także kamieniem (np. t. zw. marmurem szaflarskim i innemi krajowemi gatunkami).

Ze zbiorowych prac szkoły wspomnieć należy o wykonaniu w Roztoce przez uczniów części składowych schroniska, które z wiosną przetransportowane będą wraz z wewnętrznem urządzeniem do doliny Pięciu Stawów. Jestto owoc praktycznych ćwiczeń oddziału stolarskiego i ciesielskiego Szkoły.

Do sukcesów szkoły zaliczymy udział w wystawie paryskiej, poprzedzony wystawą przedwstępną (oceniającą) w Warszawie, która — jak wiadomo — zdobyła jednomyślne uznanie. Dzięki staraniom dyr. Stryjeńskiego doszło do wydzierżawienia przy drodze do Kuźnic placu na budynek nowy dla Szkoły.

**Polski Związek Nauczycielstwa Szkół Powszechnych** buduje na stokach Gubałówki (Ciągłówka) sanatorjum dla swych członków. Budowa postępuje z wielką solidarnością i szybkością rzeczy, dzięki czemu wewnętrzne urządzenie odpowie najwyższym wymaganiom hygjeny. Budowę prowadzą pp. Ostafin i Winnicki, dyrektorem zaś administracyjnym jest p. Tadeusz Malicki.

**Towarzystwo „Sztuka Podhalańska" w Zakopanem.** Istniejące od roku 1909 T-wo „Sztuka Podhalańska" w Zakopanem łączyło przez ten czas inteligencję (literatów, malarzy, rzeźbiarzy itd,) w pierwszym rzędzie przebywających stale lub czasowo w Zakopanem. T-wo to zasłużyło się całym szeregiem poczynań kulturalno artystycznych w Zakopanem, a pomiędzy niemi stałemi wystawami obrazów, rzeźb itp.

W roku bież. dokonywa się reorganizacja T-wa w kierunku rozszerzenia jego celów, pola działalności, sprężystości funkcjonowania itp.

Prezesem Towarzystwa jest ks. Jan Humpola, zast. dyr. Karol Stryjeński, sekretarzem W. Brzega.

Podług §. 2 projektu nowego Statutu T-wa, który czeka zatwierdzenia go przez władze rządowe celem T-wa jest: a) rozwój i wszelkie popieranie sztuki na Podhalu, b) ochrona i rozwój sztuki podhalańskiej we wszystkich jej przejawach, c) wprowadzenie artyzmu w przemysł na Podhalu, d) popieranie przemysłu ludowego, e) opieka nad zabytkami sztuki na Podhalu i badanie ich, f) ochrona stylowości Zakopanego i jego okolic, g) studjowanie Podhala lingwistyczne, etnograficzne i krajoznawcze, h) współpraca ze wszystkiemi towarzystwami i organizacjami o celach pokrewnych.

§. 3 Środkami prowadzącemi do celu są: rozpowszechnianie zadań T-wa słowem i drukiem, b) urządzanie wystaw, c) organizowanie pracowni i studjów artystycznych, d) ułatwianie zbytu wyrobów artystycznych, e) utrzymanie bibljoteki i własnych zbiorów, f) usunięcie pośrednictwa przy nabywaniu przez członków materjałów niezbędnych dla wszelkich gałęzi sztuki, jak również i przy zbywaniu ich wytworów, g) zakładanie warstatów oraz pracowni naukowych, h) założenie drukarni oraz perjodycznych i nieperjodycznych wydawnictw i reprodukcji, i) organizowanie samopomocy materjalnej tudzież życia towarzyskiego, k) budowanie i prowadzenie domów i sanatorjów dla artystów i literatów.

Obecny Wydział T-wa wykazuje dużą energję i inicjatywę. Poza szeregiem wykonanych już mniejszych poczynań Wydział ten 1) organizuje wystawy letnie obrazów i rzeźb w Zakopanem od 1 lipca do 15 sierpnia i od 15 sierpnia do 30 września br. 2) rozpoczął przygotowania do 1-szej w Polsce wystawy drzeworytów polskich od 10 lipca do 30 sierpnia br., 3) organizuje wystawę fotograficzną Podhala (geografja, etnografja, architektura itp., 4) rozpoczął formowanie wystawy okrężnej T-wa, która przewieziona będzie po całej Polsce, 5) zapoczątkował wybudowanie przez T-wo pomnika śp. Władysławowi Zamoyskiemu ofiarodawcy na rzecz narodu Dóbr Kurnickich.

Pozatem Wydział ten dąży do ujęcia wszelkiej pracy kulturalnej tworząc w łonie T-wa autonomiczne Sekcje: malarsko-rzeźbiarską, teatralną, widowisk ludowych, prasową itd.

Celem nawiązania łączności z jednostkami i towarzystwami pokrewnemi zamianował Wydział swoich delegatów: na m. Lwów p. prof. dra. Adolfa Chybińskiego, Kalecza 20, na m. Toruń p. Artura Górskiego, Teatr miejski, na Warszawę, p. prof. Władysława Skoczylasa, T-wo Sztuk Piękn. „Zachęta“, na m. Kraków, p. prof. Stanisława Kamockiego, Szkoła Sztuk Pięknych, na m. Zakopane p. dra Mieczysława Świerza, Tow. Tatrzańskie.

*W. Brzega* sekretarz, *Ks. Jan Humpola* prezes.

**Karpackie Towarzystwo Narciarzy w r. 1924/35.** — Ubiegły sezon był jak wiadomo sezonem nieurodzaju na śnieg nietylko u nas, ale i w całej Europie. W okolicy Lwowa wogóle śniegu pod narty nie było, zato tem wyraźniej wystąpiły zalety klimatyczne Sławska, gdzie można było jeździć bez przerwy — jakkolwiek często w niekorzystnych warunkach — od początku stycznia do połowy kwietnia. Mimo złego stanu śniegu ruch wycieczkowy był dość żywy, co zawdzięczać należy uzyskanym przez P. Z. N. zniżkom kolejowym dla grup powyżej 5 osób. Natomiast bolączką turystyki jest wciąż jeszcze nieuregulowana sprawa poruszania się w pasie granicznym i przekraczania granicy, którą każde ze starostw według swego widzimisię inaczej traktuje. Z wycieczek zbiorowych urządzono kilkanaście jednodniowych w Bieszczady i jedną kilkudniową w Czarnohorę. Prywatne wycieczki członków były również liczne. Na jednej z nich zwiedzono po raz pierwszy bardzo piękną krajobrazowo i obfitującą w pierwszorzędne tereny narciarskie, południową grupę Gorganów centralnych ze szczytami Strimbą (1723) i Niegrowcem (1712), położoną po stronie czechosłowackiej. Kursów urządzono 2 dła początkujących i 1 dla wprawnych, wszystkie w Sławsku. Wybudowano we Lwowie na Zniesieniu dużą skocznię, której jednakże z braku śniegu nie uruchomiono. Dnia 18 stycznia odbył się zorganizowany przez T-wo doroczny bieg z Trościana. Zawodnicy Twa startowali we wszystkich prawie zawodach w Polsce a także w niektórych zagranicą. Członków było z końcem sezonu ok. 220. Adres K. T. N.: Lwów, Podlewskiego 7, II. p. *Z. K.*

**Sekcja Taternicka akad. Związku sportowego w Krakowie** rozwijając nakreślony na początku swego istnienia postawiony program (p. Wierchy I.), urządziła sze-

reg odczytów klubowych i publicznych z przeźroczami z zakresu taternictwa i alpinizmu. Prócz tego w sezonie wiosennym odbywały się w każdą niedzielę wycieczki w okolice Krakowa, mające na celu ćwiczenia w wspinaniu się i użyciu liny. Wreszcie 8. czerwca odbyła się pierwsza wycieczka kursowa w Tatry, w ciągu której przeszli uczestnicy półn.-wsch. ścianę Świnicy i wschodnią grań Niebieskiej Turni, a 9 czerwca dokonali nowego wejścia na północną ścianę Wielkiej Buczynowej Turni. W sezonie letnim (lipiec—wrzesień) odbyto drugą wycieczkę kursową na Ganek (od Rumanowej prz.) i na Rumanowy.

Poszczególni członkowie Sekcji dokonali całego szeregu różnych przejść o których bliższą wiadomość podaje Taternik.

W ciągu sezonu letniego weszła Sekcja w ścisły kontakt z Sekcją Turystyczną P. T. T. Szereg członków S. T. A. Z. S. wszedł w szeregi S. T. P. T. T. Pozatem na Walnem Zgromadzeniu S. T. P. T. T. uchwalono, by „Taternik“ był zarazem oficjalnym organem i Sekcji Taternickiej A. Z. S., co zostało uwidocznione w tytule najbliższego numeru tegoż czasopisma, które ma też zawierać osobną rubrykę poświęconą sprawom Sekcji Taternickiej A, Z. S. Niezwykle gorące przyjęcie, jakiego w kołach Sekcji Turyst, P. T. T. doznała młodsza jej siostrzyca i zawiązanie między obiema temi organizacjami tylu ścisłych węzłów, pozwala rokować nadzieję, że taternictwo wejdzie teraz w nową powojenną fazę pomyślnego rozwoju,

W ostatnich czasach powiększyła Sekcja swój księgozbiór o szereg wyborowych dzieł z zakresu techniki i dziejów alpinizmu. Grono zaś Sekcji zwiększyło się w ciągu lata przez przystąpienie do niej paru wybitnych acz młodych jeszcze sił.

Sekcja pracowała wydatnie nad ochroną Tatr. Z łona jej bowiem wyszedł projekt zorganizowania Ochotniczej Straży Górskiej, przy Sekcji Ochrony Tatr P. T. T., która też w ub. sezonie letnim spełniała już swe zadanie. *M. S.*

**Park Sportowy (sp. z ogr. odp.) w Zakopanem.** Spółka „Park Sportowy“ w Zakopanem powstała przed dwoma laty dzięki inicjatywie ludzi dbających nie tylko o dobro Zakopanego lecz także o wychowanie fizyczne młodszych pokoleń. Skromnemi środkami lecz z ufnością w poparcie społeczeństwa przystąpiono do dzieła. Wybudowano na początek skocznię narciarską, w stylu największych skoczni zagranicznych, na terenie ofiarowanym bezinteresownie przez Zarząd Dóbr Kuźnickich. Wykończenie skoczni wymaga jednak jeszcze dużego nakładu środków pieniężnych, które z trudem udaje się uzyskać. Cele Parku Sportowego objęły szeroki zakres. Chcąc zaspokoić potrzeby zimowego sportu, Park Sportowy zamierza wybudować wielki tor bobsleigh'owy, ślizgawkę, na lato zaś dać możność rozwoju na terenie zakopiańskim wszystkim gałęziom sportu letniego, zatem w projekcie P. S. jest budowa bieżni i boiska lekkoatletycznego, kortów tennisowych, pływalni, strzelnicy itp.

Spółka „Park Sportowy“ wprowadzając plan swój w czyn pragnie stworzyć dzieło wielkie i pożyteczne. Na terenie Zakopanego i na tle powstającego Parku Narodowego stawać będzie młodzież polska do szlachetnych zawodów. Tu miejsce dla przyszłej Polskiej Olimpjady. To też Rada Nadzorcza Parku Sportowego z ks. Humpolą jako prezesem i Dyrekcją w osobach pp. dyr. Karola Stryjeńskiego, dra Stefana Góry, dyr. M. Jamontta, dyr. Mochnackiego, posła M. Kozłowskiego, St. Roja i in. czynią wysiłki, aby zaczęty program wykonać we wszystkich jego punktach.

## RÓŻNE ZAPISKI

**Nasza rotograwura** umieszczona przy karcie tytułowej jest reprodukcją obrazu Tadeusza Ajdukiewicza, malowanego w r. 1882. Fotografję z obrazu zawdzięczamy uprzejmości jego obecnego właściciela, a wnuka dr. Tytusa Chałubińskiego, p. Tomasza Surzyckiego w Warszawie. Niektórych informacji o tym obrazie udzieliła nam uprzejmie na prośbę naszą córka dr. T. Chałubińskiego, p. Jadwiga Surzycka. Wedle jej zdania obraz nie przedstawia jakiejś specjalnej wycieczki, ale jest jakgdyby syntezą, typem słynnych wycieczek Chałubińskiego. Toteż i krajobraz górski nie zdaje się być odtworzeniem natury, jakkolwiek p. Surzycka przypuszcza, zapewne na podstawie zachowanej tradycji, że jest to obozowisko pod Wysoką. Znaczna część postaci obrazu są to portrety, które jednak dziś trudno odpoznać. Z tyłu za ogniskiem siedzi Chałubiński, chłopiec u jego boku jest to Adaś Krasiński. Widać też wysoką postać księdza Stolarczyka. Po prawej stronie można poznać siedzących z gęślami Sabałę i Bartka Obrochtę, po lewej w głębi Maćka Sieczkę; muszą gdzieś być nieodstępni towarzysze Chałubińskiego, Wojtek

Roj, Szymek Tatar i Wojtek Ślimak. O historji obrazu pisze nam p. Surzycka, że Tadeusz Ajdukiewicz, zaraz po swoim ślubie w jesieni r. 1881, zaproszony był wraz z żoną do Zakopanego przez p. Różę z Potockich Krasińską. (Dom Krasińskich, przebudowany i rozszerzony, jest to dzisiejsza „Księżówka" u wylotu doliny Kuźnickiej). Ajdukiewicz malował wiele w Zakopanem, a obraz o którym tu mowa na zamówienie hr. Krasińskiej wykończył ostatecznie w Krakowie, jako dar dla dr. Chałubińskiego ofiarowany mu przez hr. Krasińską w dowód wdzięczności za opiekę nad hygjenicznem wychowaniem jej syna.

**Ameryka o Parkach narodowych polsko-czeskich.** Marcowy numer organu Nowojorskiego Towarzystwa Zoologicznego („Zoological Society Bulletin") podaje na naczelnym miejscu obszerny artykuł o polsko-czeskim parku narodowym w Tatrach, w formie listu dr. Walerego Goetla do dr. Hornaday, dyr. parku zoologicznego w Nowym Yorku. Kilkanaście doskonałych ilustracji z Tatr i Karpat dodano do tego artykułu. W poprzedzającym list wstępie podkreśla dr. Hornaday ogromną wagę dla kultury tego programu, na który w powojennym chaosie i ekonomicznych zmaganiach, zdobyły się zgodnie Polska i Czechosłowacja „celem ochrony piękności przyrody". Ruch ten — pisze dr. H. — wykazuje wysoki stopień duchowego poziomu i potężnej przedsiębiorczości, godnych największego podziwu. Dr. H. zwraca uwagę na doskonałe ujęcie całości, tak krajobrazu, jakoteż różnych dziedzin dzikiego życia przyrody przez objęcie programem zarówno wielkiego tatrzańskiego parku, jakoteż mniejszych: Babiogórskiego, Pienińskiego i Wschodniokarpackiego. Rozmaitość wzniesień i scenerji górskiej, rozmiar terenów, które dadzą schronienie różnym przejawom życia dzikiej przyrody, składają się na prawdziwie wielką całość. Dr. H. podnosi najbardziej nowoczesne zasady, które przyświecają programowi, oraz to, jak umiano skorzystać z najświetniejszych doświadczeń amerykańskich, tworząc zarówno ochronę dzieł natury, jak równocześnie przez stosowne udostępnienie prawdziwe źródło radości dla jej miłośników. Ze słów adresata przebija prawdziwe uznanie i podziw dla programu. Jednej tylko uwagi może nie podzieliliby twórcy projektu tatrzańskiego parku narodowego, mianowicie słów, zawierających myśl, iżby w parku tym można w przyszłości robić próby aklimatyzacji obcych gatunków fauny czy flory, głównem bowiem założeniem jest tu jak wiadomo — idea rezerwatu pierwotnej przyrody rodzimej z którą nie mogłoby harmonizować zaszczepianie sztuczne elementów obcych organizmowi tej rodzimej przyrody.

Po tym wstępie dr. Hornaday'a, którego cenne uwagi — co podkreślić należy — przyczyniły się między innymi w dużej mierze do opracowania pewnych szczegółów projektu, następuje streszczenie projektu programu naszego parku narodowego pióra dr. Goetla, programu znanego zresztą naszym czytelnikom.

# Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.

Urzędowe sprawozdania i komunikaty Zarządu Głównego, Sekcyj i Oddziałów P. T. T.

## Zarząd Główny.

Sprawozdanie niniejsze obejmuje działalność Zarządu Głównego za czas od 1 maja 1924 do 30 kwietnia 1925.

### *I. SPRAWY ORGANIZACYJNE.*

Zjazd Delegatów w Krakowie dnia 27 IV 1924 r. wybrał nowy Zarząd Główny, który po ukonstytuowaniu się ma przy końcu okresu sprawozdawczego skład następujący:

Prezes: Inż. Jan Wacław Czerwiński, Kraków.

Wiceprezesi: Stanisław Osiecki, Warszawa, Dr. Walery Goetel, Kraków, Dr. Adolf Chybiński, Lwów.

Sekretarz: Dr. Emil Stolfa, Kraków. Zastępca sekr.: prof. Franciszek Sykutowski, Kraków,

Skarbnik: Stanisław Porębski, Kraków. Zastępca skarbn. Józef Dorawski Kraków.

Członkowie: Adam Konopczyński, Dr. Mieczysław Orłowicz, Warszawa, Dr. Adam Lardemer, Dr. Jan Nowicki, Ferdynand Goetel, Kazimierz Sosnowski, Kraków, Inż. Mieczysław Mączyński, Żywiec, Inż. Karol Stryjeński, Dr. Mieczysław Świerz. Zakopane, Karol Burek, Cieszyn, Inż. Janusz Chmielowski, Szopienice, Dr. Roman Kordys, Lwów, Dr. Tadeusz Smoluchowski, Poznań, Dr. Adam Raczyński, Stanisławów,

Zastępcy członk.! (wszyscy w Krakowie): Mieczysław Białkowski, Józef Dorawski, Tadeusz Dropiowski, Inż. Stanisław Krawczyk, Stefan Porębski, Franciszek Sykutowski.

Delegat Sekcji Narciarskiej: dr. H. Szatkowski, Kraków.

Delegat Sekcji Turystycznej: dr. Marjan Sokołowski, Kraków.

Delegat Sekcji Ochrony Tatr: prof. tanisław Sokołowski, Kraków.

Delegat Województwa: inż. Władysław Piotrowski, Kraków.

Komisja Kontrol. (Kraków) Wacław Anczyc, Jan Fischer, Dr. Faustyn Jakubowski.

Komisja dla robót w górach: W. Goetel, Białkowski, Dropiowski, Nowicki, Orłowicz, Stefan Porębski, M. Sokołowski, Sosnowski, Stryjeński, Sykutowski, Świerz.

Komisja administr. skarbowa: Dorawski, Lardemer, Nowicki, Porębski.

Komisja wydawnicza: W. Goetel Sosnowski.

Wydział Wykonawczy: stanowili krakowscy członkowie Zarządu Gł. wraz z zastępcami.

Zarząd Główny odbył w okresie sprawozdawczym 4 posiedzenia, Wydział Wykonawczy 14. Sprawom organizacyjnym Towarzystwa poświęcał Zarząd Główny i Wydział Wykonawczy pilną uwagę. Na podstawie nowego statutu Towarzystwo rozwijało się w okresie sprawozdawczym pomyślnie, już to przez powstawanie nowych Oddziałów, już to przez nowe organizacje w obrębie Oddziałów.

W pierwszym rzędzie rozwinął się silnie Oddział górnośląski w Katowicach, który pod względem liczby członków i żywotności stał się jednym z najsilniejszych Oddziałów Towarzystwa, przyczem wewnątrz niego powstał szereg kół miejscowych w liczbie 8 a ma powstać jeszcze 5 dalszych.

Nowy Oddział powstał w Tarnowie a statut jego zatwierdzono w czerwcu 1924 r. przydzielając mu jako obwód administracyjny powiat tarnowski. Oddział ten zobowiązał się popierać czynnie gospodarkę turystyczną Oddziału Pienińskiego w Pieninach.

W tym czasie przeprowadzono rozdział terytorjalny między Oddziałem lwowskim. stanisławowskim i kołomyjskim celem ułatwienia gospodarki w górach. W tym samym celu zainicjowano konferencję międzyoddziałową Oddziałów: żywieckiego cieszyńskiego i górnośląskiego dla unormowania gospodarki w Beskidzie Zachodnim i opracowania jednolitego planu tej gospodarki. Konferencja odbyła się w Bielsku. Delegatem Z. Gł. na niej był prof. K. Sosnowski, który zajmuje się w sposób wybitny jako najlepszy znawca spraw beskidowych gospodarką w Beskidzie Zachodnim i przygotował jednolity jej plan aż po przełęcz tylicką.

Oddział nowosądecki zainicjował utworzenie koła swego Oddziału w Krynicy, którego organizację aprobował Z. Gł. Utworzono równocześnie biuro informacyjne w Krynicy.

Zatwierdzono statut Oddziału Pienińskiego.

Rozwój Towarzystwa parł w omawianym okresie ku zmianie statutu; Oddziały domagały się zmiany postanowień o przynależności terytorjalnej członków, Sekcje Towarzystwa żądały zmiany postanowień co do stosunków prawnych Sekcyj, wreszcie przy Oddziałach zaczęły się organizować Sekcje, zwłaszcza narciarskie, jako sekcje oddziałowe. Uregulowanie tych prądów, będących wyrazem życia i żywotności Towarzystwa, zdawało się istotnie wymagać zmiany statutu; udało się jednak Zarządowi Głównemu uczynić zadość wymaganiom Oddziałów i Sekcyj bez takiej zmiany; w następstwie uchwalono nie przedkładać wniosków w tym kierunku na tegorocznym Zjeździe Delegatów. Zezwolono na powstawanie Sekcyj narciarskich przy Oddziałach na podstawie regulaminu, Sekcjom ogólnym zaś zabezpieczono władanie majątkiem na podstawie regulaminów tych Sekcyj. Referentem spraw statutowych był Lardemer.

Celem pociągnięcia wszystkich Oddziałów Towarzystwa do pracy w górach, zainicjował Z. Gł. utworzenie trzech grup międzyoddziałowych t. j. grupy tatrzańskiej, grupy zachodnio-beskidowej i wschodnio-karpackiej.

W porozumieniu z p. Budziszewską, właścicielką pensjonatu Stamary w Zakopanem zainicjowano utworzenie Klubu członków P. T. T. w Zakopanem. Komisja organizacyjna wybrana z łona Z. Gł. ułożyła projekt umowy z właścicielką lokalu, i regulaminu dla Klubu; Zarząd przeznaczył 500 zł. na rozpoczęcie dzieła, a w dniu 11 sierpnia 1924 r., podczas tygodnia tatrzańskiego, Klub został otwarty. Jest nadzieja,

że Klub okaże swą żywotność, rozwinie się i będzie miłą i pożądaną ostoją dla członków P. T. T. mieszkających lub bawiących w Zakopanem. Do Klubu należeć może każdy członek Towarzystwa, który spełni przepisane regulaminem warunki.

Wobec coraz liczniejszych agend Zarządu Głównego zaprowadzono w biurze Towarzystwa w Krakowie urzędowanie całodzienne i przyjęto nową urzędniczkę. W uznaniu zasług Dra Stolfy, który bezinteresownie kieruje pracami biura, Zarząd Główny mianował go dyrektorem biura. Zreorganizowano również biuro Z. Gł. w Zakopanem.

Wysokość wkładki na rok 1925 na rzecz centrali oznaczono na 6 zł. do 15-go czerwca, po tym terminie wkładka wynosi 8 zł.; we wkładce tej mieści się opłata 1 zł. na wydawnictwa. Od członków zamiejscowych, zapisujących się do Oddziałów w biurze Zarządu Głównego w Zakopanem, ściągać się będzie nadto po 5 zł. na rozbudowę Dworca Tatrzańskiego. Do wkładki na rzecz centrali Zarządy Oddziałowe mają prawo dodać wkładkę na rzecz Oddziału.

## *2. SPRAWY TURYSTYCZNE.*

Popieranie i ułatwianie turystyki w górach wysunęło się po wojnie i złączeniu w całość wszystkich dzielnic polskich w jeden organizm, siłą rzeczy na czoło prac i zadań Towarzystwa. Zarówno Zarząd Główny jak i Oddziały skierowały swe wysiłki ku tym pracom. W latach poprzednich wypracowano obszerny program gospodarki w górach mającej na celu rozwinięcie turystyki i przystąpiono do realizacji tego projektu. Sprawami temi kieruje Komisja dla robót w górach.

Pod bezpośrednią administracją Zarządu Głównego znajduje się Dworzec Towarzystwa w Zakopanem i schronisko w Roztoce.

W Dworcu wykończono instalację elektryczną i zaprowadzono wodociągową; umieszczono dużą muszlę we formie umywalni na sali dolnej, co stanowi duże udogodnienie dla turystów; zbudowano doły kloaczne według najnowszych wymagań higjeny i urządzono klozety spłukiwane wodą. Dzięki energicznej inicjatywie i pracy p. Dobrowolskiego, administratora Dworca i urzędnika Towarzystwa, wybudowano na poddaszu trzy pokoje i drugą salę turystyczną, przerobiono schody i pomnożono ilość łóżek, tak, że ilość miejsc noclegowych zwiększyła się bardzo wydatnie. Postanowiono również dobudować od strony południowej werandę podwójnie oszkloną i ogrzewaną, tudzież wybudować kuchnię w suterenach budynku i prowadzić na werandzie restaurację turystyczną dla członków. Na dzierżawę restauracji przyjęto ofertę p. Dobrowolskiego i budowa jest w toku, tak, że restauracja funkcjonować już będzie w sezonie letnim. Dla wygody członków urządzone będą pod werandą łazienki z tuszami. Niezależnie od tych robót wybrano komisję mającą zająć się opracowaniem planu gruntownej rozbudowy Dworca na schronisko turystyczne; wypracowanie planu powierzono p. inż. Karolowi Stryjeńskiemu, dyrektorowi Szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem, a plan przyjęto na jednem z posiedzeń.

Schronisko w Roztoce wydzierżawiono na r. 1924 poprzedniemu dzierżawcy Stanisławowi Obrochcie, na rok 1925 zaś Wojciechowi Budzowi, który poprzednio prowadził na własny rachunek gospodę przy wodospadach Mickiewicza. Zmianę dzierżawcy uskuteczniono mimo, iż Towarzystwo było z gospodarki Obrochty zadowolone, ze względu na znacznie wyższą ofertę Budzów, tudzież na ich umiejętność prowadzenia restauracji turystycznej. Nadto na decyzję Wydziału wpłynęły motywy będące w związku ze zburzeniem gospody przy Wodospadach przez Zarząd dóbr

Zakopiańskich. Przystąpiono również do rozbudowy tego schroniska przez dodanie nowych izb i przesunięcie kuchni.

Pozatem Zarząd Główny wykonywał ogólny nadzór nad gospodarką Oddziałów w schroniskach i popierał Oddziały w ich usiłowaniach zmierzających do budowy i urządzenia nowych schronisk w górach. Zatwierdzono więc plan schroniska na Turbaczu w Gorcach, do budowy którego przystąpił w okresie sprawozdawczym Oddział „Gorce“ w Nowym Targu i udzielono subwencji na ten cel. Przyznano również subwencję Oddziałowi Stanisławowskiemu na budowę schroniska pod Chomiakiem i Oddziałowi Zakopiańskiemu na budowę schroniska w dolinie Pięciu Stawów. Poparto usiłowania Oddziału górnośląskiego zmierzające do urządzenia schroniska na Baraniej Górze i interwenjowano w Dyrekcji Okręgowej lasów państwowych we Lwowie. Dzięki tej interwencji Oddział katowicki przystąpił już do urządzenia schroniska na Przysłopiu pod Baranią Górą w dawniejszym domku myśliwskim dóbr arcyksiążęcych a schronisko będzie oddane do użytku w obecnym sezonie. Interwenjowano również w sprawie urządzenia domu noclegowego w Bukowinie. W Pieninach oświadczono się za budową schroniska w Sromowcach, natomiast sprzeciwiono się budowie schroniska szczytowego ze względu na ochronę przyrody.

Zajmowano się zażaleniami na gospodarkę w schroniskach, a po zbadaniu zarzutów wywierano nacisk na zarządy tych schronisk celem poprawienia gospodarki.

Goszczono różne wycieczki obce w Dworcu w Zakopanem a uczestnikom kursu narciarkiego Akad. Związku Sportowego przyznano w sezonie zimowym 15 miejsc noclegowych na czas trwania kursu.

Wszystkim członkom Towarzystwa przyznał Zarząd Główny w schroniskach zniżkę 50% za noclegi, dla żon członków 25%, tudzież prawo pierwszeństwa przy zajmowaniu noclegów. Prawa członków przyznano również młodzieży szkolnej, biorącej udział w wycieczkach zbiorowych, o ile chodzi o noclegi w halach turystycznych. W zamian za to zwrócono się na wniosek prof. Sosnowskiego do Ministerstwa Oświaty z żądaniem, aby Ministerstwo poleciło Dyrekcjom szkół średnich na terenie całej Polski przeznaczyć 10% z funduszu gier ruchowych na cele Towarzystwa, a przedewszystkiem na rozbudowę hal turystycznych, i schronisk dla młodzieży szkolnej. W związku z tem zażądano również wydania rozporządzenia, aby wszystkie szkoły w czasie feryj zamienione były na schroniska turystyczne dla młodzieży szkolnej podobnie, jak to się dzieje w sąsiedniej Czechosłowacji, gdzie za inicjatywą Klubu Czeskosłowackich Turystów ruch turystyczny młodzieży znalazł potężnego opiekuna w Ministerstwie Oświaty. Zarząd Główny oczekuje, że postulaty te będą pomyślnie zrealizowane a dobry początek zrobiło Kuratorjum Okręgu Szkolnego Krakowskiego, które przeznaczyło 10% z funduszu gier ruchowych w okręgu jednorazowo na budowę schroniska na Turbaczu, zabezpieczając tem samem prawo korzystania ze schroniska dla młodzieży szkolnej tego okręgu. Za to składa Zarząd Kuratorjum Krakowskiemu gorące podziękowanie. W takiem współdziałaniu władz szkolnych z Towarzystwem widzi Zarząd Główny skuteczną drogę dla rozwinięcia ruchu turystycznego młodzieży z korzyścią dla jej rozwoju umysłowego i fizycznego. Ponieważ ruch turystyczny młodzieży szkolnej przy wszystkich korzyściach może mieć i strony ujemne z powodu niewłaściwego kierownictwa i złej organizacji wycieczek, Zarząd Główny zwrócił się z memorjałem w tej sprawie do władz szkolnych i postanowił wypracować odpowiedni regulamin dla wycieczek szkolnych.

### 3. KONWENCJA TURYSTYCZNA Z CZECHOSŁOWACJĄ.

Po roztrzygnięciu sporu o Jaworzynę i ustaleniu granic polsko-czeskich wysunęła się na czoło prac Zarządu Głównego z konieczności sprawa zawarcia konwencji turystycznej z Czechami i uregulowania, tudzież ułatwienia turystycznego ruchu granicznego.

Najpiękniejsze bowiem partje naszych gór: Tatry i Karpaty leżą na pograniczu lub stanowią wspólną granicę obu Państw. To, co pod względem przyrodniczym i turystycznym stanowi nierozerwalną całość, zostało przez stosunki polityczne rozdarte na dwie części i dążeniem kół turystycznych obu Państw, stało się złagodzić skutki tego rozdarcia i udostępnić sobie wzajemnie graniczne partje gór interesujące pod względem turystycznym. Już więc przy obradach delimitacyjnych wyłoniła się sprawa konwencji turystycznej. Na wniosek Dra Goetla Wydział Wykonawczy wybrał komisję dla tej sprawy złożoną z Dra Goetla, dyr. Dropiowskiego i prof. Sosnowskidgo. Dyr. Dropiowski przedłożył Komisji zarys projektu takiej konwencji, który Komisja z uzupełnieniami przyjęła i który następnie aprobował Zarząd Gł. i Zjazd Delegatów w Krakowie z dodatkiem Ks. Gadowskiego w sprawie ruchu turystycznego młodzieży szkolnej, jako podstawę do rokowań z Czechami.

Rokowania te odbyły się we wrześniu 1924 r. w Zakopanem przy udziale reprezentantów władz a w roku bieżącym w Pradze i doprowadziły do uzgodnienia stanowiska sfer interesowanych w ogólnych zarysach.

Zwłoka we wprowadzeniu Komisji w życie wynikła ztąd, że sprawę tą związano z rokowaniami o utworzenie rezerwatu Parku Narodowego w Tatrach, tudzież o uregulowanie t. zw. „małego ruchu granicznego“, a całość tych spraw wiąże się z ogólnym tokiem rokowań polsko-czeskosłowackich.

Na konferencji w Pradze wyłoniły się pewne trudności co do długości pasa turystycznego na granicy i co do uprawnień członków innych towarzystw turystycznych poza P. Tow. Tatrz. i klubem czeskosłowackich turystów. Wysunięto projekt, aby z konwencji wyłączony był Beskid Średni. Co do uprawnień przewiduje się możliwość kompromisu z towarzystwami turystycznemi mającemi teren działania na granicy w obu państwach.

Zarząd Główny K. C. T. zatwierdził umowy wstępne zawarte w Zakopanem i przedłoży je swemu Zjazdowi Delegatów. Tymczasem wprowadził dla członków P. T. T. na zasadzie wzajemności zniżki 50% przy noclegach w swoich schroniskach obecnie już obowiązujące. Nadto korzystać mogą członkowie P. T. T. ze zniżkowych obiadów turystycznych.

Na tej konferencji zaproponowano również założenie Rady Turystycznej składającej się z przedstawicieli K. C. T., Hrwatsko-Planinarskiego Drustva, Slovensko-Planinskiego Drustva i P. T. T. w liczbie 12 członków a pierwsze zebranie się tej Rady ma się odbyć we wrześniu b. r. w Tatrach. Wydział Wykonawczy prowadzi obecnie pertraktacje z wymienionemi klubami jugosłowiańskiami o wzajemne przyznanie praw członków.

Na wniosek K. C. T. uchwalił Zarząd Główny wnieść podanie do Ministerstwa czeskich koleji o zniżki dla członków P. T. T. na kolejach elektrycznych podtatrzańskich.

Obecnie po zawarciu układów międzypaństwowych z Czechami jest nadzieja, że umowa o konwencji turystycznej uzyska zatwierdzenie władz obu Państw i niebawem wejdzie w życie, co usunie trudności i szykany w granicznym ruchu turystycznym.

### *4. OCHRONA PRZYRODY.*

Ochrona przyrody górskiej jest stałym przedmiotem troski Zarządu Głównego, który w tej sprawie współdziała ze Sekcją Ochrony Tatr P. T. T. w Zakopanem i z Państwową Komisją Ochrony Przyrody w Krakowie. W dążeniu do utworzenia Parku Narodowego w Tatrach zainicjowano w tej sprawie pertraktacje z Czechami, ze względu że rezerwat taki objąć powinien terytorja po obu stronach granicy. Pertraktacje te prowadzone równocześnie z rokowaniami o konwencję turystyczną, doprowadziły do obopólnego porozumienia we wszystkich punktach zasadniczych. Podstawą debat odbytych w tej sprawie na Zjeździe wrześniowym w Zakopanem, był projekt ustawy rezerwatowej przedstawiony ze strony polskiej (referat prof. Dra J. G. Pawlikowskiego). Granice i strefy rezerwatu po polskiej stronie określa wydana przez P. Kom. Ochr. Przyr. broszura prof. St. Sokołowskiego. Realizację Parku Narodowego ułatwi i przyspieszy niewątpliwie utworzenie fundacji ś. p. Wład. Zamoyskiego.

W związku z tem interwenjował Z. Gł. w sprawie Fundacji u Rządu gdyż przez obłożenie Fundacji wielkim podatkim majątkowym i daniną leśną zagroziło lasom tatrzańskim wielkie niebezpieczeństwo. W porozumieniu z innemi instytucjami wystosowano odpowiedni memorjał do Rządu, Sejmu i Senatu; memorjał ten wydrukowano w „Przeglądzie Turystycznym“.

Prócz tych spraw interweniowano w sprawie nieprawidłowej gospodarki w lasach na stokach Babiej Góry; rabunkowej eksploatacji kosodrzewiny w Karpatach Wschodnich i w innych pomniejszych sprawach mających związek z gospodarką turystyczną lub sprawami ochrony przyrody w obrębie Tatr i Beskidów.

Celem zasadzenia i zalesienia moreny przy Morskiem Oku współdziałał Wydział Wykonawczy z Oddziałem Krakowskim i Sekcją Ochrony Tatr a rezultatem ych działań jest rozpoczęcie prac zmierzających do ochrony moreny.

### *5. WYDAWNICTWA.*

Przystępując do wykonania uchwały Walnego Zjazdu w r. 1924 powołano do życia Komisję redakcyjną złożoną z pp. Dra W. Goetla, F. Goetla i prof. Sosnowskiego i w myśl uchwał Komisji przystąpiono do wydawania czasopisma perjodycznego p. t. „Przeląd Turystyczny“, jako kwartalnika, którego pierwszy numer ukazał się w marcu 1925 r. Redaktorem mianowano p. Ferdynanda Goetla, a po jego ustąpieniu p. Stanisława Fächera. Członkowie, którzy opłacili wkładkę za rok bieżący, otrzymywać będą kwartalnik bezpłatnie. Wydawnictwo kwartalne jest nowością w dziejach Towarzystwa, stało się jednak koniecznością wobec silnego rozrostu Towarzystwa i potrzeby organu jednoczącego Oddziały i będącego źródłem informacji dla członków. Niezależnie od tego wydawnictwa Zarząd Główny podjął rokowania z Oddziałem lwowskim w sprawie wydawnictwa „Wierchów“, celem uznania tego pisma za organ całego Towarzystwa. Rokowania te doprowadziły do porozumienia i już ten rocznik Wierchów ukazuje się w tym charakterze. W ten sposób w nowej formie i w rozszerzonym co do treści zakresie, wskrzeszony został dawny „Pamiętnik PTT.“.

Ponieważ P. T. T. zostało zaproszone do wzięcia udziału w wystawie turystycznej w Grenoble we Francji a Ministerstwo Robót Publicznych udzieliło Towarzystwu na ten cel znacznej subwencji, przystąpił Wydział Wykonawczy do wydania albumu widoków górskich, będących odbitkami klisz cynkowych znajdujących się w posiadaniu Oddziału krakowskiego. Są to zdjęcia w różnych latach

reprodukowane w rocznikach Towarzystwa; zebrane w jedną całość stanowić będą piękny album, który z powodu niskiej ceny będzie mógł nabyć każdy członek P. T. T.

### 6. *RÓŻNE SPRAWY.*

Sprawy poruszone w porzednim ustępie mają na celu po części propagandę w kraju i zagranicą. Chodzi o zjednanie członków Towarzystwu, bo niewątpliwie liczba obecna kilku zaledwie tysięcy, daleką jest od tej jaką Towarzystwo po 52 latach swego istnienia i przy żywem a ciągle rosnącem zainteresowaniu się społeczeństwa naszego górami, liczyć może i powinno. Chodzi również o wzmożenie ruchu turystycznego i o ściągnięcie obcych do naszych gór i uzdrowisk, bo ruch turystyczny jest w wielu krajach ważnym czynnikiem ekonomicznym. W celu więc tej propagandy urządzono szereg odczytów (Dr. Goetel, prof. Sosnowski), i przygotowuje się (z okazji wystawy w Grenobli) album 70-ciu widoków tatrzańskich. Przygotowywanem jest wydanie nowego przewodnika po Tatrach Janusza Chmielowskiego i Dr. M. Świerza, najlepszych znawców Tatr. W tej dziedzinie jest jednak jeszcze wiele do zrobienia; zwłaszcza potrzebne jest nagląco wydanie map turystycznych dla Beskidu Zachodniego i Wschodniego.

Ułatwieniem dla turystyki i propagandą na rzecz Towarzystwa jest uzyskanie przez Zarząd 33% zniżek kolejowych dla zbiorowych wycieczek co najmniej 10 członków Towarzystwa; biuro Zarządu w Krakowie pośredniczy w urządzaniu takich wycieczek.

Dla udogodnienia ruchu turystycznego Zarząd starał się jak corocznie o ulepszenie rozkładu jazdy; w tym celu zwołano 7 XI 1924 konferencję interesowanych organizacyj, a przedtem zwrócono się do Oddziałów, aby przedłożyły swoje postulaty w tej sprawie. Uchwalono żądać całego szeregu udogodnień ruchu kolejowego a postulaty przedstawiono Ministerstwu Kolei w Warszawie.

Nadto starał się Zarząd o zniżki dla członków w pensjonatach i sklepach w Zakopanem z pomyślnym skutkiem a w pierwszym numerze „Przeglądu Turystycznego“ ogłoszono te firmy, które dają członkom P. T. T. za okazaniem legitymacji zniżki od 5 do 10%. Rozpoczął również Zarząd starania o pewne ulgi dla członków przy płaceniu taksy klimatycznej w Zakopanem.

Celem propagandy celów Towarzystwa a zarazem przysporzenia funduszów urządził Zarząd Główny „Tydzień tatrzański“ w Zakopanem w dniach od 11 do 16 sierpnia, połączony z otwarciem Klubu P. T. T. Szereg odczytów i zebrań towarzyskich przyczynił się niewątpliwie do nawiązania silniejszej spójni między członkami i do zjednania nowych członków. Dochód 5.000 zł. uzyskany z tych przedsięwzięć i ze zbiórki ulicznej przeznaczono na roboty w górach.

Dla potrzeb turystyki i celów naukowych utrzymywano w Dworcu tatrzańskim w Zakopanem nadal stację meteorologiczną, dla której przeznaczono osobny pokój na drugiem piętrze. Stacja ogłaszała codziennie biuletyny i prognozy pogody w Zakopanem. Zadaniem Zarządu Głównego w przyszłości będzie zorganizowanie ogłaszania tych biuletynów w Krakowie, Katowicach, Warszawie i t. d.

Bratniej instytucji „Muzeum im. Chałubińskiego“ spieszył Zarząd z pomocą, udzielając jej ze swych zapasów węgla na opalenie sal muzealnych.

*Z polecenia Z. Gł. zestawił Tadeusz Dropiowski.*

## Zamknięcie rachunków Z. Gł. P. T. T. za rok 1924.

| *Przychód* | Zł. gr. |
|---|---|
| Saldo 1 stycznia 1924 . . . . . | 74·63 |
| Wkładki i wpisowe członków . . | 12,760.23 |
| Subwencje i dary a) od Tymczas. Komisji Uzdrow. Zakopane 300; b) p. Dr. K. Morawskiego 250; c) Skarbofermu 105·55; d) dary 25·55 . . . . . . . . . . . | 684·10 |
| Dochód ze schroniska w w Roztoce 500; Dworca Tatrz. 2684·85 | 3184·85 |
| Z tygodnia tatrzańskiego . . . . | 6052·90 |
| Dochód ze szkoły przem. drzewn. Zakopane . . . . . . . . . | 173·32 |
| Ze sprzedaży odznak . . . . . | 311·15 |
| Z publikacyj . . . . . . . . . | 148·01 |
| Procenta z lokaty gotówki . . . | 25·49 |
| Zwroty udzielonych zaliczek . . | 4345·38 |
| Wpływ na roboty w górach . . . | 150·— |
| Wpływy obce i krótkoterminowe pożyczki . . . . . . . . . . | 2483·29 |
| Drobne . . . . . . . . . . . . | 184·88 |
| | 30,575·23 |

| *Rozchód* | Zł. gr. |
|---|---|
| Zwroty wpisowego i wkładek Oddziałom . . . . . . . . . | 2659·14 |
| Utrzymanie schronisk (Roztoka) . | 1007·78 |
| Roboty w górach . . . . . . . | 566·70 |
| Utrzymanie biura P. T. T. w Krakowie . . . . . . . . . . . | 2073·93 |
| Utrzymanie biura P. T. T. w Zakopanem . . . . . . . . . . | 3686·66 |
| Utrzymanie Dworca P. T. T. w Zakopanem a) konserwacja 262·08; b) inwestycje 6990·01 . . . . | 7252·99 |
| Zakupno inwentarza a) dla Dworca w Zakop. 1258·57; b) dla schroniska w Roztoce 359·94 . . . . | 1618·51 |
| Koszt sporządzenia odznak . . . | 805·40 |
| Wydawnictwa i t. p. . . . . . | 425·78 |
| Podatki . . . . . . . . . . . . | 94·30 |
| Subwencje: a) Oddziałowi „Gorce“ 890; b) Oddziałowi Zakopane 750; c) Sekcji Ochr. Tatr na ochronę moreny przy M. Oku 600; d) Sekcji turyst. 299·75; e) na rozbudowę schron. w Roztoce 1000; f) rodzinie ś. p. Brajera 50 . . . . . . . . . . . . . | 3589·75 |
| Obce i zwroty . . . . . . . . | 754·45 |
| Różne . . . . . . . . . . . . | 70·34 |
| Zaliczki do zwrotu . . . . . . | 3241·66 |
| Saldo . . . . . . . . . . . . | 2727·84 |
| | 30575·23 |

| | |
|---|---|
| Saldo . . . . . . . . . . . . | 2.727·84 |
| Po potrąceniu niewpłaconych należytości Oddziałów . . . . . . | 2007·75 |
| | 720·75 |

**Sprawozdanie Komisyi dla robót w górach za rok 1924.** — W roku 1924, jako drugim po wejściu w życie projektu nowej organizacji robót w górach P. T. T., uchwalonego na Walnym Zjeździe Delegatów w r. 1923, zdołano wykonać podobnie, jak w roku ubiegłym, a to mimo nader trudnej sytuacji finansowej (okres letnich robót w górach zbiegł się z początkiem sanacji skarbu i kryzysem gospodarczym), większą część prac zakreślonych planem na ten rok. W szczególności wykonano następujące roboty górskie:

I. Tatry. a) schroniska. 1. Zarząd Główny rozpoczął rozbudowę schroniska w Roztoce przez dobudowanie obszernej kuchni i pokoju dla dzierżawcy. Całkowity materjał budowlany, na rozbudowę, uzyskany po nader niskiej cenie dzięki życzliwemu stanowisku Zarządu Dóbr Zakopane, zakupiono i zwieziono na miejsce, tak że z wiosną 1925 budowa będzie mogła być wykończona.

2) W schronisku nad Morskiem Okiem rozpoczęto przebudowę zbiorowej hali noclegowej na pokoje, przeprowadzono adaptacje w starem schronisku, które otwarto prowizorycznie dla turystów, wyposażono schronisko w inwentarz pościelowy. Staraniem Sekcji Ochrony Tatr P. T. T. a za subwencją Zarządu Głównego przystąpiono do zasadzenia zniszczonej moreny pod schroniskiem przy Morskiem Oku. Narazie ogrodzono całe zniszczone miejsce wysokim płotem, na który uzyskano od Zarządu Dóbr Zakopane bezpłatnie materjał drzewny i zwózkę.

3) Schronisko przy Pięciu Stawach Spiskich. Staraniem Oddziału Zakopiańskiego i pod łaskawem kierownictwem dyrektora Szkoły Przemysłu Drzewnego inż. K. Stryjeńskiego wykonano w Zakopanem z drzewa ofiarowanego przez firmę F. Okuniewski zrąb nowego budynku schroniska, który następnie przy pomocy wojskowości przewieziono do Wodogrzmotów Mickiewicza. Wobec tych wykonanych robót istnieje uzasadniona nadzieja, że nowe to obszerne schronisko, zostanie w r. 1925 wykończone.

4) Schronisko na Hali Gąsienicowej. Oddział Warszawski przeprowadził wielkim kosztem i trudem całkowite wykończenie wewnętrzne nowego granitowego schroniska, tak że budynek wymaga już tylko mebli i końcowych instalacyj dla całkowitego uruchomienia.

5) Schronisko na Pysznej otrzymało staraniem Sekcji Narciarskiej drugą izbę, zostało przebudowane i urządzone.

6) W schronisku w dol. Chochołowskiej przeprowadzono staraniem Sekcji Narciarskiej konieczne adaptacje.

7) W dworcu P. T. T. w Zakopanem przeprowadzono staraniem Zarządu Głównego całkowitą przebudowę wnętrza przez urządzenie hali noclegowej i pokojów dla turystów i obserwatorjum meteorologicznego, urządzenie wewnętrzne oraz uporządkowanie otoczenia. Dworzec może obecnie pomieścić ponad 60 osób na noclegi.

8) W dziale altan rozebrano w myśl planu zrujnowaną altanę przy Siklawie w dol. Strażyskiej i poprawiono altanę nad Smreczyńskim Stawem.

b) Szlaki i ścieżki turystyczne. Staraniem Oddziału Krakowskiego wyznaczono według nowego systemu wszystkie szlaki w dol. Morskiego Oka, staraniem Oddziału Zakopiańskiego kilka szlaków w dol. Pięciu Stawów oraz w dol. Bystrej i grupie Czerwonych Wierchów, Oddziału Warszawskiego niektóre szlaki w otoczeniu Hali Gąsienicowej, Zarządu Głównego wszystkie szlaki w reglach okolicy Zakopanego.

c) Inne roboty. Staraniem Oddziału Zakopiańskiego i Łódzkiego udostępniono Smoczą Jamę i Raptawicką Grotę w dol. Kościeliskiej. Sekcja Narciarska wzięła żywy udział we wzniesieniu nowej wielkiej skoczni narciarskiej na Krokwi.

II. Beskid Zachodni. 1) W obszarze działania Oddziału Cieszyńskiego przeprowadzono dalsze prace w urządzaniu schroniska na Stożku.

2) Oddział Katowicki uzyskał dworek arcyksiążęcy na Przysłopiu pod Baranią Górą na schronisko.

3) Oddział Żywiecki uzyskał od Zarządu Dóbr Żywieckich piękne schronisko pod Pilskiem, które otworzył dla użytku turystów, przeprowadził adaptację w schronisku na Babiej Górze.

4) Oddział „Gorce“ w Nowym Targu doprowadził znacznym kosztem przy pomocy Zarządu Głównego nowe schronisko na Turbaczu pod dach.

5) Oddział Nowosądecki wyznaczył główny szlak beskidowy według projektu prof. Sosnowskiego na przestrzeni od Prehyby do Zalowskiej Hali i kilku szlaków polannych.

III. Beskid Wschodni. Oddziały lwowski, stanisławowski i czarnohorski rozpoczęły prace około budowy nowych schronisk na Jalu za Osmołodą na Chomiaku w Gorganach i na Zawilaku pod Howerlą. Oddział stanisławowski wyznaczył szereg szlaków w Gorganach, oraz postawił tablice orjentacyjne. Oddział kołomyjski przeprowadził remont dworku czarnohorskiego w Worochcie.

W pracach Komisji dla robót w górach poza jej członkami brali żywy udział i wspomagali ją pp. dyr. K. Stryjeński, mjr. B. Romaniszyn, kpt. Ziętkiewicz, nadto stałej i wydatnej pomocy doznawała Komisja dla robót ze strony Zarządu Dóbr Zakopane i wojskowości. Wszystkim tym osobom i instytucjom wyraża się serdeczne podziękowanie, a w szczególności pp. dyr. Dóbr Zakopane dr. Wilczyńskiemu i Mochnackiemu pp. jen. Kulińskiemu Galicy i pułk. Wagnerowi. Podnieść również należy zasługi Oddziałów: warszawskiego, krakowskiego, zakopiańskiego nowotarskiego, nowosądeckiego i stanisławowskiego w budowie schroniska i znaczenia dróg, nadto ofiarność gminy i inteligencji miasta Nowy Targ w budowie schroniska na Turbaczu.

*Dr. Walery Goetel*
przewodniczący Komisji dla robót w górach.

**Homagium Pol. Tow. Tatrzańskiego dla Ojca Świętego.** — Z polecenia Zarządu Głównego wyjechał w lutym b. r. do Rzymu Major Bronisław Romaniszyn, (polski Komisarz graniczny przy Międzysojuszniczej Komisji dla wyznaczenia granicy polsko-czecho-słowackiej), aby w charakterze delegata Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wręczyć Ojcu Św. album, zawierające czterdzieści zdjęć fotograficznych z Tatr i Pienin. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie wybrało ten wyraz hołdu ze względu na to, że obecny Papież jest wielkim miłośnikiem gór i był w ubiegłych latach jednym z najwybitniejszych alpinistów. Na pierwszej stronie tego pięknego albumu, wykonanego według projektu artysty malarza Fabijańskiego, umieszczono dedykację łacińską, opracowaną przez prof. U. J. dr. T. Sinkę, o następującem brzmieniu: „Pio XI. Pontifici Maximo, Populi Poloni Fautori Benevolentissimo Montium Patirorum Amantissimo, ut etiam Montium Poloniae notitiam habeat, cum devotione filiorum ad pedes procumbens, hanc Collectionem aspectuum Tatrensium offert Societas Polona Tatrensis, Cracoviae sedem habens“.

Ojciec Św. przyjął delegata P. T. T. na specjalnej audjencji a wysłuchawszy jego przemówienia, przyjął album, wyrażając podziękowanie oraz zaznaczając, że otrzymany dar jest mu szczególnie miły, jako dawnemu alpiniście. W ciągu audjencji zadał Ojciec Św. majorowi Romaniszynowi szereg pytań, dotyczących Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego a wkońcu udzielił błogosławieństwa apostolskiego dla Towarzystwa Tatrzańskiego i jego delegata.

W marcu b. r. otrzymał Prezes Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego pismo od Kardynała Gasparriego, w którem to piśmie Kardynał Sekretarz Stanu przesyła Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu od Ojca Św. wyrazy podziękowania za otrzymany i szczególnie miły dar.

*B. R.*

# Sekcje.

**Sekcja Ochrony Tatr.** — Działalność doroczna Sekcji Ochrony Tatr P. T. T. w r. 1924 rozpoczęła się z wiosną przypomnieniem ogłoszeniami publiczności o zanikaniu krokusów i wezwaniem do ich ochrony. Do miejscowych szkół zwrócono się z prośbą o pouczenie młodzieży i powstrzymywanie dzieci od masowego zbierania krokusów.

Do listów wysyłanych przez biuro T. T. w Zakopanem z informacjami na zapytania co do wycieczek w Tatry, dołączane były kartki S. O. T .z głównemi przykazaniami ochrony Tatr.

Z początkiem wiosny S. O. T. przedstawiła Zarządowi Głównemu P. T. T. opłakany stan moreny przy Morskiem Oku, z podaniem dokładnego planu robót zrobionego przez prof. S. Sokołowskiego, jakie należy przeprowadzić celem ubezpieczenia i zadarnienia moreny. Otrzymana we wrześniu subwencja Zarządu Głównego P. T. T. i wydatna pomoc Zarządu Dóbr Zakopane w postaci udzielenia materjału drzewnego i pomocy swoich nadleśniczych, pozwoliła przystąpić do wykonania wstępnych robót, polegających na otoczeniu oparkanieniem całej usypującej się moreny, celem niedopuszczenia do chodzenia po niej. Z wiosną 1925 praca nad dalszem ubezpieczeniem będzie kontynuowana.

Interwencja S. O. T. w sprawie szarotek, przyczyniła się do ostrego występowania policji przeciw trudniącym się tą sprzedażą.

Celem zaznajomienia służby policji państwowej w Zakopanem z celami ochrony przyrody, członek Zarządu S. O. T. ks. Jan Humpola miał wykład o ochronie przyrody dla policji, przyjęty z nadzwyczajnem zainteresowaniem.

S. O. T. wysłała do Starostwa Nowotarskiego pismo wykazując coraz to większe niszczenie kosówki dla opału i wyrobu węgla drzewnego, prosząc o wydanie odpowiednich zarządzeń. Odpowiedzią był okólnik Starostwa zabraniający wyrąbywania kosodrzewiny.

Do Ks. Proboszczów i nauczycielstwa w gminach podhalańskich zwróciła się S. O. T. z memorjałem, prosząc o rozpowszechnianie i zaszczepianie w duszach dzieci umiłowania i poszanowania przyrody, jakoteż zwracając uwagę na różne wykroczenia młodzieży góralskiej przeciw ochronie przyrody.

S. O, T. wzięła czynny i wybitny udział w Tygodniu Tatrzańskim urządzanym przez Zarząd Główny P. T. T. urządzając przez swych członków szereg odczytów z dziedziny ochrony przyrody i ochrony Tatr i przyczyniając się artykułami swych członków do wydania specjalnego numeru Głosu Zakopiańskiego poświęconego ochronie Tatr. W tymże czasie zainicjowała S. O. T. zwołanie posiedzenia międzysekcyjnego z Zarządem Głównym, na którem przedyskutowano problem Ochrony Tatr łącznie z planem powstania Parku Rezerwatowego i kwestję dalszego rozwoju tak poszczególnych sekcyj jak i całego Tow. Tatrzańskiego.

Członkowie zarządu S. O. T. brali wybitny udział w pracach i konferencjach polsko-czeskich przygotowujących Park Rezerwatowy.

Po długim okresie nieczynności wznowiono tego lata Ochotniczą Straż Górską, liczącą około 50 członków, której działalnością ma być doraźna ochrona Tatr wykonywana na ich obszarze. Dłuższa nieprzerywana jej działalność przyczyni się w wysokiej mierze do zapoznania szerszych warstw z ochroną przyrody Tatr.

S. O. T. interwenjowała w sprawie ćwiczeń wojskowych na obszarze Tatr, poruszyła sprawę wyrobienia nowej drogi na Liliowe i Wołowiec przez oddziały czeskie transportujące z polskiej strony kamienie graniczne, odniosła się przez Polską Delegację

do Tur. Klubu Czesko-słowackiego i czeskich Konserwatorów przyrody w sprawie tępienia kozic, niszczenia limb i budowy nowych schronisk po czeskiej stronie. Wydała też S. O. T. opinję w sprawie budowy schroniska im. Heleny Dłuskiej, sprzeciwiając się budowie pod Rysami a zalecając okolicę Łysej, lub żleb Waksmundzki pod Krzyżnem gdzie już dawniej istniało schronisko T. T. Do Z. Gł. wniosła S. O. T. przedstawienie przeciw chowaniu kóz i królików w schronisku przy M. Oku, ze względu na szkody jakie te zwierzęta czynią młodej roślinności.

Przez całe lato staraniem S. O. T. rozlepiano po ulicach i pensjonatach po kilkadziesiąt plakatów tygodniowo, zaznajamiających publiczność z przykazaniami Ochrony Przyrody Tatr.

Na odbytem pod koniec sezonu letniego Walnem Zgromadzeniu Sekcji wybrano nowy wydział; prezesem Sekcji jest prof. Dr. Pawlikowski, wiceprezesami senator Ksawery Prauss i prof. St. Sokołowski, sekretarzem i skarbnikiem majorowa H. Romaniszynowa, naczelnikiem Straży górskiej Dr. Marjan Sokołowski, delegatem do Zarządu Głównego P. T. T. prof. St. Sokołowski, delegatem do Komisji robót w górach dr. M. Sokołowski, delegatem Sekcji na Zjazd Delegatów major Br. Romaniszyn.

Z wiosną 1925 r. Prezydjum Sekcji przy pomocy subwencji P. Komisji Ochr. Przyr. przygotowało podobnie jak w roku zeszłym, ogłoszenia pouczające o ochronie przyrody dla rozlepienia ich po pensjonatach i schroniskach; wniosło łącznie z P. K O. P. przedstawienie do Starostwa w N. Targu, aby odmówiło przedłużenia wygasłej koncesji na gospodę Burowej nad Morskiem Okiem (które to przedstawienie odniosło już pożądany skutek) i wydało przychylną opinję o urządzeniu zamkniętej zagrody na postój samochodów przed moreną M. Oka, co przyczyni się do uchronienia moreny od zajeżdżania samochodami.

Jak dotąd tak i w tym okresie S. O. T. posiadała delegaturę Państwowej Kom. Ochrony Przyrody na terytorjum Tatr.

*H. Romaniszynowa* sekretarz. *Dr. J. G. Pawlikowski.* przewodniczący.

**Sekcja turystyczna.** Działalność Sekcji Turystycznej P. T. T. w roku sprawozdawczym 1924 rozpadała się jak i w latach poprzednich na działalność taternicką poszczególnych członków Sekcji oraz prace Zarządu, z organizacją i pogłębianiem taternictwa związane.

O pierwszej z tych działalności zaznaczyć należy, że pomimo słotnego lata była ona znacznie żywsza, aniżeli w sezonach ubiegłych. Oprócz taterników z doby wojennej, wśród których na honorowem miejscu wymienić należy powróconego Tatrom inż. Janusza Chmielowskiego, w ruchu wysokogórskim wziął udział cały szereg młodych taterników, którzy wykazali wiele inicjatywy i zapału górskiego, z pośród których znaczna część weszła w skład Sekcji Turystycznej. Taternicy polscy dokonali w Tatrach ogółem 10 nowych przejść, wśród których jest kilka pierwszorzędnych problemów, oraz dużej liczby powtórzeń najtrudniejszych i najpiękniejszych szlaków tatrzańskich.

Działalność Zarządu Sekcji obejmowała zwykłe dziedziny jej zainteresowań. Specjalne komisje zajmowały się sprawami przewodnictwa w Tatrach i organizacją popularnych, pod wodzą przewodników-górali odbywanych wycieczek tatrzańskich. Kładąc wagę na wyrabianie się nowych sił taternickich, Zarząd zainteresował się żywo powstaniem w Krakowie Sekcji Taternickiej Akad. Związku Sportowego, biorąc udział w układaniu ram organizacyjnych dla tejże, zasilając ją swemi wydawnictwami i otwierając

dla niej łamy swego pisma. Pozatem współdziałano w wyszkoleniu wysokogórskiem oddziałów wojskowych i policji państwowej. Sprawę masowych wycieczek szkolnych w Tatry poruszano kilkakrotnie w prasie. Jakkolwiek wydawnictwa organu Sekcji „Taternika“ nie udało się w roku sprawozdawczym uskutecznić, zebrano jednak cały materjał do rocznika, który ukaże się w r. 1925, poczem pismo Sekcji wychodzić będzie już w perjodycznych odstępach. Energiczną działalność rozwinął Zarząd w kierunku przywrócenia Sekcjom, odjętej im przez nowy statut P. T. T., osobowości prawnej oraz innych praw, jest też nadzieja że postulaty Sekcyj zostaną życzliwie przez Towarzystwo Tatrzańskie uwzględnione. Bibljotekę Sekcji przewieziono z Krakowa do Zakopanego i powiększono ją o szereg dzieł tatrzańskich i alpinistycznych. Zwiększyły się również sekcyjne zbiory przeźroczy. Z ramienia Sekcji wygłosił prof. dr. Z. Klemensiewicz podczas „Tygodnia Tatrzańskiego“ odczyt „O taternictwie“, a dr. Świerz — połączony z pokazem obrazów świetlnych — odczyt p. t. „Zdobycie Tatr“, wypowiedziany w Warszawie, Krakowie, Łodzi i Zakopanem. Fundusze Sekcji przedstawiały się dość pomyślnie.

Taternik za rok 1923—24 (rocznik X) ukazał się z początkiem roku 1925 (z datą 1-go stycznia 1925).

*H. Grosman* — *Dr. M. Świerz*
sekretarz. — przewodniczący.

**Sekcja Narciarska.** — S. N. utrzymała i w ostatnim sezonie zimowym dawną swą (od r. 1907 datującą) tradycję, wielkiej żywotności sportowej. Czynni jej członkowie uzyskują we wszystkich biegach w kraju pierwsze miejsca i mistrzostwa, również i za granicą zdobywają zawodnicy Sekcji N. P. T. T. wśród światowej konkurencji zaszczytne miejsca. Mistrzostwo Polski i mistrzostwo Zakopanego na 1925 r. przypada w udziale członkowi Sekcji Henrykowi Mückenbrunowi. Biegi długodystansowe, urządzane po raz pierwszy w Polsce (w Zakopanem „bieg wytrwałości“ 30 km. i w Krynicy 30 km. wygrywa członek Sekcji Józef Bujak. Na Międzynarodowych Zawodach Narciarskich w Czechosłowacji (Jańskie Łaźnie) w biegu 50 km. uzysknje Józef Bujak 24 miejsce na 64 uczestników w najlepszym czasie wśród grupy polskiej, jak również Franciszek Bujak w biegu 18 km. na 170 zawodników 27 miejsce (najlepszy czas w grupie polskiej). Tenże zawodnik w biegu tatrzańskim, urządzonym łącznie z Oddz. Narc. Zak. „Sokoła“ na otwarcie wielkiej skoczni pod Krokwią przebywa trasę w najkrótszym czasie. W zawodach o mistrzostwo Tatr na 1925 r. urządzonych przez „Karpaten-Verein“ w Czechosłowacji (Westerowo) uzyskuje Józef Bujak w ogólnej klasyfikacji miejsce drugie, tamże zawodnik ten w biegu narciarskim urządzonym przez Koszycki Klub Sportowy zdobywa pierwsze miejsce. W grupie najlepszych zawodników Sekcji zaszczytne miejsce zajmuje p. Ela Ziętkiewiczowa zdobywająca w Westerowie dwukrotnie pierwsze nagrody, a również i w Krynicy, będąc w biegach pań stale bezkonkurencyjną.

Sekcja Narciarska P. T. T. czuwa nad rozwojem i postępem narciarstwa polskiego szerząc do niego zamiłowanie wśród młodzieży przez urządzanie kursów dla początkujących jak również i kursów wysokogórskich, mających na celu pokonywanie trudnych przejść w górach porą zimową,

Łącznie z Tow. „Park Sportowy“ w Zakopanem wybudowano skocznię narciarską rozmiarami swemi zbliżoną do olimpijskiej. Nieocenione zasługi w tym kierunku położyli dowódca 3 p. s. p. pułk. Franciszek Wagner i Major Wł. Ziętkiewicz użyczając pomocy w ludziach i środkach technicznych.

Sekcja Narciarska P. T. T. urządziła i utrzymuje w swej pieczy schroniska zimowe dla narciarzy na hali Pysznej i na Starej Robocie, a także i przy Pięciu Stawach Polskich.

Bilans wyników działalności organizacyjnej i sportowej wskazuje na rokroczny postęp i rozwój Sekcji, mimo ogromnych trudności finansowych, z któremi zwłaszcza w ub. sezonie zimowem trzeba było walczyć. W chwilach krytycznych przychodziła Sekcji w pomoc Tymcz. Kom. Uzdrowiskowa w osobie prezesa dra Diehla, jakoteż i Gmina Zakopane.

Członków liczy Sekcja około 300; Skład Zarządu Sekcji następujący: Prezes Dyr. Karol Stryjeński, wiceprezesi inż. Kaz. Schiele i prof. Zygmunt Mirtyński, sekretarz Ignacy Bujak, skarbnik Józef Oppenheim, następnie major Wł. Ziętkiewicz, dr. Mieczysław Świerz, Franciszek Bujak i August Zamoyski.

*Ignacy Bujak* sekretarz. — *Z. Mirtyński.* zast. przewodniczącego.

## Oddziały.

**Oddział Cieszyński „Beskid Śląski".** — Oddział liczył w r. 1924 423 członków. Wydział składał się z 11 członków; prezesem był ks. J. Londzin, wiceprezesem dr. Jan Gulicz, sekretarzem Jerzy Cieńciała. Ponieważ w ciągu roku ks. poseł Londzin zrzekł się prezesowstwa, objął je wiceprezes dr. Jan Gulicz.

Wydział w ciągu roku odbył 7 posiedzeń, których tematem było rozbudzanie turystyki i rozbudowa schroniska na Stożku. Schronisko to pomału, ale ciągle zbliża się do ostatecznego wykończenia; dziś już ma ośm pokoji gościnnych urządzonych.

Wydobycie funduszów na rozbudowę schroniska kosztowało niemało pracy. W r. 1924 wynosiły dochody 4094·59 zł.; mianowicie wkładki 1083·52 zł., subwencje 1611·11 zł., dochody wewn. 1052 zł., inne dochody 167·86 zł. Wydatki 4350·70 zł. w tem administracja 62·50 zł., budowa schroniska 2141·77 zł., urządzenia wewnętrzne 1037·30 zł., spłata długu (u budowniczego wynoszącego około 3000 zł) 405 zł, inne wydatki (np. widokówki 426·80) 690·13 zł. Stan majątku z końcem roku wynosił po odciągnięciu długu 151.601·30 zł. na co się składa wartość parcel 700 zł., wartość schroniska 127,011·72 zł. urządzenia wewnętrzne 25.903.64 zł.

Ruch turystyczny i zamiłowanie do turystyki wzrasta stale, daleko nam jednakże do tego zamiłowania jakim się tutejsi Niemcy odznaczają. Chociaż liczby wskazujące frekwencję w naszem schronisku są trochę niższe w przeszłym roku (3365 wobec 3800 w r. 1923) to należy je przedewszystkiem przypisać przesileniu gospodarczemu i połączonemu z drożyzną mijaniu schronisk, przy równoczesnej dostępności gór i łatwej własnej aprowizacji.

Silnego rozwoju doznał sport narciarski i młodzież nasza całą minioną zimę hojnie używała w górach i na pagórkach koło Cieszyna tego sportu.

Z ruchu organizacyjnego należy wspomnieć, że otworzyło się Koło oddziału Cieszyńskiego w Bielsku.

*J. Cienciała* sekretarz. — *Dr. Jan Gulicz* wice-prezes,

**Oddział Jarosławski.** — Jakkolwiek Oddział ten zawiązał się w listopadzie r. 1923, to jednak niemógł w zupełności jak inne Oddziały należycie fungować, głównie

z tego powodu, że formalności zatwierdzenia statutu trwały długo i dopiero 25 marca 1925 doręczony został Zarządowi zatwierdzony przez Województwo lwowskie statut.

Nie mógł więc Zarząd zwoływać zebrań członków i rozwijać działalności w ramach statutu. Mimo to wielu członków naszego Oddziału korzystając z praw członków P. T. T. przebywało w miesiącach letnich w Zakopanem, bądź to dla odpoczynku, bądź to dla turystyki, robiąc większe i mniejsze wycieczki. Kilku naszych członków i członkiń brało też udział w 10-cio dniowej wycieczce zorganizowanej przez dr. M. Orłowicza; zwiedzono Dolną Koprową, Newcyrkę, Krywań, jezioro Szczyrbskie, Osterwę, Kończystą, Gerlach, Małą Wysoką, Szmeks, Tatro-Łomnicę dolinę Keszmarską, groty Bielskie. Wydział składają: prezes: dr. Mieczysław Stanecki, adwokat, wiceprezes: gen. Jan Hempel, sekretarz: Jan Świątecki, major, skarbnik: Bronisław Kotzian starszy zarządca podatkowy i 5 członków. Lokalu własnego Oddział nie ma, posiedzenia odbywają się w lokalu Kasyna Wojskowego.

*Prezes. Dr. M. Stanecki.*

**Oddział Katowicki, „Górnośląski".** Oddział Górnośląski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego powstał w dniu 29 marca 1924 r. w Katowicach, na Walnem Zebraniu istniejącego w Katowicach Towarzystwa Turystycznego „Beskid". Towarzystwo Turystyczne „Beskid" istniało przez 2 lata. Nie miało ono nic wspólnego z Towarzystwem „Beskidenverein" w Katowicach.

Dwa lata istnienia Towarzystwa Turystycznego „Beskid" wykazały, że po pierwsze lud górnośląski ma wiele upodobania w przyrodzie górskiej i garnie się do sportu górskiego, a po drugie, że rzesze turystów górnośląskich pragnęły złączyć się w silnej organizacyi turystycznej, obejmującej nie tylko jedno miasto lub jedną tylko dzielnicę, lecz cały kraj. Kiełkowała pozatem już od czasów przedwojennych myśl założenia na górnośląskiej ziemi Towarzystwa Tatrzańskiego, któreby uważało za swój teren działalności oprócz Tatr także i Beskidy zachodnie.

Nadszedł dzień drugiego Walnego Zebrania Towarzystwa Turystycznego „Beskid". Członkowie Zarządu byli zdecydowani do rozwiązania lokalnej tej organizacyi i utworzenia w jej miejsce Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Propozycja ta na Walnem Zebraniu została jednogłośnie przyjęta i rozpoczęto dalszą pracę na niwie turystycznej już pod nową nazwą. Nowe ustawy zostały przyjęte; wybrano Wydział składający się z 15 członków, którego prezesem został Dyrektor Sądu Okręgowego Kazimierz Sękowski, zastępcą prof. Juljan Wojciechowski, sekretarzem aplikant sądowy Kazimierz Neuman, skarbnikiem Antoni Kęsa.

Towarzystwo turystyczne „Beskid" liczyło z górą 2000 członków. Z nich wielu opuściło Śląsk, inni zgłosili swe wystąpienie, a jeszcze inni zostali wykreśleni. Nowy Oddział z tego powodu swą pracę rozpoczął w liczbie niespełna 200 członków. Porą letnią powiększyły się szeregi członków o 700 osób. Z końcem roku 1924 liczyliśmy już 900 i kilku członków, takich którzy uiścili wkładkę. Pozostało jeszcze około 600 członków którzy zgłosili swe przystąpienie, ale wkładki nie uiścili.

Rzecz jasna, że Zarząd przy tak poważnej liczbie członków miał wiele pracy. Powstała z tej przyczyny myśl utworzenia Kół miejscowych, mających działać w przydzielonym im okręgu. Koła miejscowe powstały w następujących miejscowościach:

1) w Rybniku. Prezes p. dr. Tchórzewski.
2) w Kopalni Roemer. Prezes p. spedytor Czapała.
3) w „ Emy. (Wiadomości o wyborze Zarządu brak).

4) w Wodzisławiu. Prezes p. Krystek.
5) w Bielszowicach. Prezes p. Wiatarek.
6) w Mysłowicach. Prezes p. Korfanty.
7) w Mikołowie. Prezes p. Kurzak.
8) w Katowicach. Prezes p. adwokat Mroczkowski.

Zamknięcie kasowe na rok 1924 przedstawia się jak następuje:

| Przychód | zł. | Rozchód | zł. |
|---|---|---|---|
| 1) Wkładki członk. . . . . . . | 3,884·04 | 1) Administracja tow. . . . . . . | 876·94 |
| 2) Dobrowolne datki . . . . . | 2,002·22 | 2) Wkładka do Głów. Zarz. . . . | 1,357·— |
| | | 3) Wydatki przejściowe . . . . | 471·60 |

Stan gotówki per. 1. I. 1925 zł. 3,176·72

W pierwszym roku istnienia Oddział polecił wydrukowanie statutu Oddziału, który wobec odmiennych praw w dzielnicy Górnośląskiej brzmieć musi nieco inaczej jak w innych Oddziałach; drugą ważniejszą czynnością było ustalenie i wydanie regulaminu dla Kół Miejscowych. Dla propagandy Oddział wykonał kartki reklamowe, nawołujące do zwiedzania Beskidów i Tatr, oraz zapisywania się na członków. Reklamki te zostały wywieszone po wszystkich sklepach, urzędach i bankach w Katowicach i w większych miastach polskiego Górnego Śląska. Oddział wydał własnego uprojektowania listy spisu członków i listy zgłoszeń na członków, co umożliwia jednolitą manipulację we wszystkich Kołach Miejscowych.

Prasę uważał Oddział nasz za nader ważny czynnik i z tego powodu zasilał ją kilkakrotnie artykułami o działalności Towarzystwa Tatrzańskiego, jak niemniej o samej turystyce. Za pomocą prasy odbywały się zaproszenia na wspólne wycieczki, których w roku 1924 odbyło się 36 pod kierownictwem przez Zarząd zatwierdzonych przewodników. Dwie wspólne wycieczki odbyły się w Tatry, dwie do Ojcowa, a reszta w Beskidy zachodnie. Udział w wycieczkach był różny; raz liczyliśmy nawet 125 osób. W tymże dniu odbywały się nadto dwie wycieczki w różnych kierunkach. Liczbę wycieczkowców z Górnego Śląska w Beskidy oceniamy w sezonie 1924 roku mniej więcej na 50000 osób; liczymy wycieczkowców bez względu na to, czy należą do organizacyi turystycznej czy nie. Liczba ta opiera się na obliczeniach osób, które przejeżdżały pociągiem wycieczkowym, zdążającym z Katowic do Zwardonia w niedziele i święta. Pogoda letnią porą roku 1924 nie sprzyjała; z tego też powodu liczba wycieczkowców w porównaniu do roku 1923 się nieco zmniejszyła. Statystyka osób biorących udział w wycieczkach wykazuje, że najwięcej w wycieczkach brali udział członkowie z byłej dzielnicy pruskiej, a najmniej z Małopolski.

Posiedzenia Zarządu odbywały się co miesiąc a nadzwyczajnych posiedzeń Zarządu było 4. Oddział Górnośląski wysłał w ciągu ubiegłego roku z górą 650 korespondencyj. Większa część jest treści informacyjnej co do terenów górskich i co do zgłoszenia członkowstwa. Wśród liczby tej jest 29 korespondencyj do Rządu w Warszawie, 40 do Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego i Dyrekcji Kolei Państwowych w Katowicach.

Oddział posiada swe konto bankowe w Banku Ludowym w Katowicach i w P. K. O. w Katowicach Nr. 301.058. Kasowanie wkładek odbywało się za pomocą inkasenta i częściowo za pobraniem pocztowem. Do Rządu w Warszawie Oddział wnosił o zniżkę biletów, o lepszą komunikację, o wydanie ustawy ochrony przyrody, o wydanie rozporządzenia co do drogowskazów i tablic orjentacyjnych w gminach terenu górskiego, i kilka razy w sprawie konwencyi turystycznej lub w sprawie ujemnych stosunków

na granicy polsko-czeskiej panujących. Częste narady nad dotkliwym brakiem dobrej mapy i krótkiego ale przejrzystego przewodnika po Beskidach zachodnich, nie znalazły niestety w roku 1924 zrealizowania.

Naszemu Oddziałowi brak schroniska. Słowa te szły z ust do ust wszystkich naszych członków. Zarząd wobec tego wystąpił z silną inicjatywą i uchwalił zbudowanie schroniska na Hali Boraczej. Rysunki wygotowano i rozpoczęto pertraktacje o grunt i drzewo. Lecz sprawa ta się nieudała. Uchwalono jednogłośnie, by projekt zbudowania schroniska na Hali Boraczej odroczyć, a wynająć odłogiem stojący zameczek myśliwski na Przysłopiu pod Baranią Górą; i to się stało. Zameczek został wynajęty na lat 12 a w końcu roku 1924 rozpoczęto remont. W ten sposób Oddział Górnośląski będzie posiadał własne, we wspaniałem położeniu znajdujące się schronisko.

Odroczono do roku przyszłego znaczenie dróg i ścieżek, gdyż znaczenie dróg zależne jest od wielu okoliczności, których badaniem i ustaleniem zajęła się specjalna komisja.

Uruchomiono stację turystyczną w Szczyrku, gdzie obok stacyi tej znajdować się będzie pływalnia, długości 40 metrów. Inne stacje turystyczne są w przygotowaniu w dolinie Białej Wisełki, w dolinie Żabnicy, w Kętach i w Milówce lub w Rajczy. Stacja turystyczna w Szczyrku podawała tygodniowo stan śnieżny, co jest nader ważne dla narciarstwa, które w sezonie 1924/25 na Górnym Śląsku otrzymało dość silny impuls przez nasz Oddział. Istniejące tutaj Towarzystwo Górnośląskich Narciarzy stało się naszą sekcją i przynależy pod naszą firmą do Polskiego Związku Narciarzy w Warszawie.

Całe społeczeństwo zainteresowało się naszemi zabiegami i nigdy nie stawiano nam przeszkód. Niejednokrotnie wprawdzie poza gładkiemi słowami nie było rzeczowego poparcia, lecz i w tem się w ciągu jednego roku wiele zmieniło. Zmiana ta obudza w nas uzasadnione nadzieje, że drogą dotychczasową dojdziemy daleko i przyczynimy się wiele do rozwoju turystyki polskiej.

*Kazimierz Neuman.* — *Kazimierz Sękowski.*
sekretarz — prezes

**Oddział Kołomyjski, „Czarnohorski“.** Praca Oddziału za r. 1924 streszczała się w odbudowie dobytku zniszczonego przez wojnę. Brak odpowiednich funduszów oraz apatja i brak zrozumienia znaczenia turystyki u miejscowego społeczeństwa nie pozwoliły, niestety, Zarządowi Oddziału na rozpoczęcie budowy schroniska pod Howerlą, chociaż i plan schroniska został już wygotowany i budulec przysposobiony. Być może że w tym roku, przy pomocy bratnich Oddziałów w Stanisławowie i we Lwowie, budowa wspomnianego schroniska zostanie uskuteczniona.

W roku sprawozdawczym odnowiono przez pobicie gontami dach na dworku czarnohorskim i przyprowadzono do możliwego stanu domek letni obok dworku, tak że turyści, wytrzymali na niewygody, znajdowali tam nocleg na sianie.

Na odbudowę dworku uchwalono zaciągnąć pożyczkę rządową. Zarząd dworku oddano na dogodnych warunkach p. Wesołowskiemu, którego fachowość daje rękojmię należytego wywiązania się z poruczonego mu zadania. Członkowie P. T. T. korzystają z odpowiednich ulg.

Urocze położenie dworku wśród zagaju świerkowego, ściąga do dworku licznych gości. Bawili tu między innymi znani literaci: Andrzej Strug (z żoną) i Jarosław Iwaszkiewicz. Obaj nie mieli dość słów zachwytu dla gór tutejszych. Pan Iwaszkiewicz wyraził swe wrażenie z wyprawy na Czarnohorę w szkicu p. t. „Pod Howerlą“, druko-

wanym w „Tygodniku Ilustrowanym". P. Strug obiecał propagować w prasie Huculszczyznę.

Ruch turystyczny w roku ubiegłym był dość ożywiony. Wśród innych wycieczek urządził warszawski A. Z. S. dwutygodniową wycieczkę w Gorgany i na Czarnohorę. Na podniesienie zasługuje gościnność, z jaką przyjmowała turystów stacja botaniczna na Pożyżewskiej oraz placówki straży celnej.

Przeszkodą w rozwoju ruchu turystycznego, zwłaszcza dla osób wybierających się na dalsze wycieczki, była konieczność uzyskiwania przepustek we właściwych starostwach. Z praktyką tą należałoby zerwać. gdyż dla turystów winnna wystarczyć legitymacja Pol. Tow. Tatrzańskiego lub dowód osobisty.

Zwiedzanie Czarnohory, tego dzikiego pasma gór, panującego nad całym północnym wschodem Europy, gdzie aż po Ural niema już wyższych szczytów, utrudnia brak odpowiedniego przewodnika (przewodnik Dra M. Orłowicza po Beskidach wschodnich nie jest wystarczający). Brakowi temu stara się zaradzić Oddział Stanisławowski przez wydanie w nowem opracowaniu, wyczerpanego już w w handlu księgarskim, przewodnika H. Hoffbauera.

Skład Zarządu Oddziału Czarnohorskiego w r. 1924 przedstawia się następująco: prezes honorowy: Henryk Hoffbauer; przewodniczący: Franciszek Piątek, zastępca przewodn. Marceli Szindler; sekretarz: Ignacy Śnigowski; skarbnik: Wilhelm Szindler i 5 członków.

Członków zwyczajnych liczył Oddział 162 oraz 1 członka honorowego.

Jedyną imprezą, jaką urządził nasz Oddział w roku zeszłym był wykład inż. E. Libańskiego ze Lwowa o wyprawie na Mount Everest. Wykład ten ilustrowany przeźroczami zgromadził liczną publiczność. *Marjan Haleniak* zast. sekretarza.

**Oddział Krakowski**. Zarząd Oddziału Krakowskiego miał w r. 1924 skład następujący: Prezes: inż. Jan Wacław Czerwiński, wiceprezes: dr. Adam Lardemer, sekretarz: dr. Włodzimierz Łaba, skarbnik: dyr. Józef Dorawski, bibljotekarz: dyr. Tadeusz Dropiowski, i 12 członków.

Zarząd odbył w okresie sprawozdawczym (od 1 maja 1924 do 30 kwietnia 1925) 9 posiedzeń. Ilość członków, którzy opłacili wkładkę za rok 1924 wynosi 653.

Terenem działalności Oddziału były przedewszystkiem schroniska przy Morskiem Oku, które dzierżawił podobnie jak w latach poprzednich p. Teofil Janikowski. W jesieni 1924 r. postanowił Zarząd przerobić halę turystyczną na strychu na pokoje, gdyż hala nie odpowiadała prymitywnym nawet wymaganiom, była powodem częstych skarg i nadto groziła niebezpieczeństwem pożaru. Obecnie wybudowano tam trzy pokoje, pomnażając tym sposobem ilość wygodnych noclegów o kilkanaście łóżek. Roboty te wykonał na razie swoim kosztem dzierżawca, Zarząd jednak zobowiązał się ten koszt w ratach mu zwrócić, stosownie do nowo zawartej umowy prolongującej dzierżawę na dalsze dwa lata. Urządzenie do tych pokoi ma zakupić dzierżawca, a Zarząd zobowiązany jest zwrócić mu połowę kosztów, o ile dzierżawa nie będzie prolongowaną na rok 1928. Nadto zakupiono do schroniska znaczną ilość nowych łóżek, materaców, poduszek, koców i bielizny pościelowej. Stare schronisko ma trzy pokoje dla turystów i może pomieścić znaczną ilość osób; nadaje się ono dla wycieczek zbiorowych; nadto mieści się w niem służba i straż celna.

Staraniem Oddziału wykończono znaczenie dróg w otoczeniu Morskiego Oka, zostających pod opieką Oddziału, i poprawiono je, w schronisku zaś umieszczono

tablicę orjentacyjną sporządzoną przez dr. Nowickiego z podaniem znaków i czasu wyjścia na poszczególne szczyty i przełęcze.

Dr. Nowicki był delegatem Oddziału i Zarządu Głównego przy Morskiem Oku podobnie jak w latach poprzednich, udzielał informacyj, przyjmował wycieczki i reprezentował P. T. T. wobec gości, tudzież wykonywał nadzór ze strony Towarzystwa.

Na sezon tegoroczny zobowiązano dzierżawcę do uruchomienia suszarni dla turystów, gdzieby można oddać za niewielką opłatą rzeczy przemoczone do wysuszenia; urządzenie takie powinno istnieć w każdem większem schronisku górskiem.

Na rok 1925, ustalono ceny noclegów w nowem schronisku dla niečłonków na 5 zł., bez względu na pokój, dla członka 50%, dla żony 75% tej ceny; w starem schronisku nocleg dla niečłonka na 2 zł. dla członka 50%, dla żony 75% tej ceny. Również młodzież szkolna płaci 50% czyli 1 zł., i ma prawa członków w tem schronisku. Dzierżawcę zobowiązano do prowadzenia dokładnej ewidencyi noclegów i uchwalono nowy regulamin dla schronisk. Poza tem rozpoczęto starania o nową łódź.

W myśl pisma Sekcyi Ochrony Tatr postanowiono przystąpić do zadarnienia i zalesienia moreny przy Morskiem Oku i za podstawę robót przyjęto wskazówki zawarte w tem piśmie; roboty będą wykonane w r. 1925. Ponieważ własność gruntowa Towarzystwa przy Morskiem Oku nie jest jeszcze uregulowaną, wybrano Komisję dla zbadania stosunków prawnych.

Zarząd utrzymuje bibljotekę, zawierającą szereg dzieł, pism i map przeważnie turystycznych; w związku z rozszerzeniem godzin biurowych powierzono za zgodą bibljotekarza wypożyczanie książek urzędniczce biura, tak, że książki można pożyczać codziennie; jednak ruch w bibljotece był mały. Bibljoteka liczy dzieł i map 684, nadto piękny zbiór rycin, albumów i fotografij, klisz i przeźroczy.

Na dochód Oddziału oraz Sekcji Turystycznej Akademickiego Związku Sportowego urządzono w Krakowie w Kinie „Uciecha" odczyt Dra Walerego Goetla „O parku narodowym", ilustrowany przeźroczami; odczyt cieszył się liczną frekwencją.

Pod kierownictwem dyr. Dropiowskiego urządzono w czerwcu 1924 r. wycieczkę uczennic Państwowego Seminarjum Żeńskiego w liczbie 24; zwiedzono Halę Gąsienicową, Morskie Oko, Białą Wodę i Kaczą Dolinę.

**Oddział Lwowski**. Działalność Oddziału szła jak dotychczas w kilku kierunkach. Obok urządzenia szeregu wycieczek zbiorowych w Karpaty wschodnie w sezonie letnim i obok pracy wydawniczej („Wierchy" i druk statutów P. T. T.), rozwinął Oddział wytężone starania o uzyskanie miejsca i materjału na urządzenie swego pierwszego schroniska w Gorganach Zachodnich. Starania te przeprowadzone głównie przez wiceprezesa Oddziału prof. Adama Lenkiewicza, są na dobrej drodze ku zrealizowaniu ich, w zależności od przychylnego załatwienia petycyi Oddziału przez Ministerstwo robót publicznych i Ministerstwo rolnictwa. Plany schroniska opracowali: prof. Lenkiewicz i inż. Maksymiljan Dudryk, członkowie Zarządu Lwowskiego Oddziału. O ile nie zajdą nieprzewidziane trudności, prace nad budową schroniska, w górnej dolinie Łomnicy za Osmołodą, rozpoczną się już w lecie b. r. Łącznie z tą pracą postępuje druk mapy Gorganów (1 : 100.000), sporządzonej w szeregu lat wśród trudnych warunków przez prof. Lenkiewicza. Mapa ta wydaną będzie w nakładzie „Atlasu" i „Książnicy T. N. S. W.". Na terenie tatrzańskim obok szeregu wycieczek zbiorowych, prowadzonych przez członków Zarządu Oddz. Lw. prof. dra Zygm. Klemensiewicza i prof. dra Rudolfa

Nałęckiego odbyły się w ramach „Tygodnia Tatrzańskiego“ w sierpniu w Zakopanem odczyty członków Oddziału: prof. Pawlikowskiego, prof. Romera, prof. Klemensiewicza, prof. Chybińskiego, nadto niektórzy z wymienionych członków Oddziału prowadzili na terenie Tatr wzgl. Podhala badania naukowe. Prof. Pawlikowski rozwinął działalność jako przewodniczący Sekcyi Ochrony Tatr P. T. T. i jako członek konferencyi polsko-czechosłowackiej we wrześniu r. 1924. Ilość członków Oddziału powiększyła się do 230. Z inicjatywy Oddziału urządzono w kwietniu 1925 zebranie „taternickie“, na którem dr. Kordys mówił o historyi pierwszych wejść na Łomnicę, poczem omawiano potrzebę i program zebrań tego rodzaju. Zamierzono odbywać je stale co parę tygodni. Prezydjum Oddziału: prof. dr. Adolf Chybiński, przewodniczący: prof. Adam Lenkiewicz, zastępca przewodniczącego: dr. Adam Tomaszewski, sekretarz: Władysław Nidenthal, zastępca sekretarza: Stanisław Czołowski, skarbnik. Adres lokalu dla zgłoszeń na członków: plac Marjacki 8, firma Krawiański i Sp. Adres dla korespondencyi: Prof. dr. Adolf Chybiński, ul. Kalecza 20. Adres redakcyi „Wierchów“ : Prof. dr. Jan Gwalbert Pawlikowski, Trzeciego Maja 5 lub Prof. dr. Adolf Chybiński, Kalecza 20.

**Oddział Nowosądecki, „Beskid“**. Zewnętrznym objawem rozwoju tut. Oddziału jest liczba członków w roku ubiegłym. Przystąpiło nowych członków 90-ciu, tak, że liczba członków zwyczajnych, którzy zapłacili wkładkę za rok ubiegły, wynosi 170. Nadto przybyło 51 uczestników z pośród młodzieży akademickiej i szkół średnich. Ogólna liczba członków Oddziału wynosi 221.

Ważniejszem atoli znamieniem rozwoju Oddziału jest fakt powstania Koła Krynickiego. Zainicjowany w sierpniu przez Zarząd Oddziału festyn w Krynicy doszedł do skutku staraniem miejscowych osób, a ponieważ osoby te objawiły chęć zawiązania koła w Krynicy, czysty dochód z festynu w wysokości 1774 zł. mógł być w części użyty jako subwencja dla powstałego w październiku Koła, na czele którego stanął p. R. Nittribit jako przewodniczący i p. Z. Kamyk jako sekretarz. Koło mając poparcie i przychylne stanowisko ze strony Zarządu Zdrojowego w osobie dyrektora p. inż. Leona Nowotarskiego, oraz prywatnych instytucyj w Krynicy, zdołało skupić w sobie 61 członków, założyło własny lokal i czytelnię (willa Krakus) z telefonem (Nr. 8). a wreszcie ujęło w swe ręce organizację sportów zimowych w Krynicy. Utworzona pod przewodnictwem p. K. Żarlikowskiego Sekcja narciarska współdziała z Zarządem Zdrojowym w wybudowaniu skoczni narciarskiej na górze Krzyżowej. Niestety fatalne warunki ostatniej zimy nie pozwoliły dostatecznie rozwinąć należytej działalności na terenie Krynicy.

Również w łonie Oddziału powstała Sekcja narciarska pod przewodnictwem p. Inż. Lazarowicza. Otrzymawszy z kasy Oddziału kredyt w wysokości 1200 zł. zakupiła cały szereg sprzętu narciarskiego, które mogła odstępować członkom Oddziału na dogodnych ratach miesięcznych. Pomimo niekorzystnych warunków śniegowych urządziła w okoliczne góry 8 wycieczek cieszących się zawsze liczną frekwencją. (10 do 29 osób).

Zarząd przystąpił do nowego wyznaczania dróg turystycznych w Beskidzie sądeckim, według projektu Komisyi dla robót w górach. Wyznaczono szlak główny (b c b) na przestrzeni Prehyba, Radziejowa, Rogacz, Niemcowa, Rytro, Makowice, Pisana Hala, Łapowska Hala. Nadto szlak Rytro, Wdżary, Prohyba, (b ż) Piwniczna, Pisana Hala, (b ż) i Piwniczna, Łapowska Hala (b n). Zarząd spodziewa się dokończyć znaczenia dróg w roku bieżącym, poczem przystąpi do umieszczenia nowych tablic orjentacyjnych.

Wycieczki letnie afiszowane publicznie przez Zarząd początkowo nie cieszyły się frekwencją mieszkańców miasta, wobec czego Zarząd odstąpił zupełnie od organizowania w ten sposób wycieczek, natomiast urządzał wycieczki werbując do nich uczestników pomiędzy znajomemi lub młodzieżą szkolną. W ten sposób doszło do skutku 8 wycieczek letnich, między któremi 2 większe w Tatry przy 16 — 18 uczestnikach.

Na wycieczkach tych porobiono szereg zdjęć fotograficznych a z otrzymanych w ten sposób oraz innych wypożyczonych klisz sporządzono 142 przeźroczy tatrzańskich, które następnie publicznie wyświetlano. W projekcie sporządzenie przeźroczy z Pienin i Beskidu Sądeckiego.

Odczytów z obrazami świetlnemi zorganizowano 5. Jeden prof. dra W. Goetla „O parku narodowym w Tatrach“, dwa wieczory przeźroczy tatrzańskich w Nowym Sączu i dwa w Limanowej. Czysty dochód z odczytów przeznaczono na budowę schroniska w Beskidzie Sądeckim. Fundusz ten wynosi obecnie około 450 złotych. Projektowane są dalsze odczyty w Nowym Sączu jakoteż w Jaśle, w Gorlicach i Krynicy.

Bibljoteka Oddziału liczy 32 tomów dzieł naukowych (przybyło 10), 82 tomów czasopism (przybyło 8), 21 map (przybyła 1).

Nadzwyczajnem utrudnieniem w należytym sprawowaniu czynności Zarządu jest brak własnego lokalu; brakowi temu nie zaradziło utworzenie biura Informacyjnego, które dzięki uprzejmości p. Pilińskiego można było urządzić w jego cukierni przy ul. Jagiellońskiej. Wprawdzie Wydział Sokoła przyrzekł udzielić Oddziałowi lokal w swoim gmachu, dotychczas jednak z powodu niewykończonej rekonstrukcyi rozbudowy gmachu sprawa ta nie mogła być jeszcze zrealizowaną.

Uzyskana ze sprzedaży ostatnich egzemplarzy „Przewodnika po Beskidzie Zachodnim“ Sosnowskiego kwota 230 złotych została przeznaczona jako subwencja na schronisko w Gorcach. Zarząd także zastanawiał się nad nowem wydaniem „Przewodnika“ oraz nad wydaniem mapy Beskidu Sądeckiego i Pienin. Obie te sprawy zostały na razie odroczone aż do zebrania odpowiedniego materjału faktycznego.

Otrzymawszy w darze od p. Bączkowskiego sztancę, Zarząd przystąpił do wybicia srebrnych odznak T. T., które rozesłał do kilku Oddziałów, a które są do nabycia za zamówieniem, po 5 zł. za sztukę.

Zamknięcie kasowe wykazuje 1554·87 złotych jako pozostałość kasowa na rok 1925.

Adres Oddziału: Nowy Sącz, Długosza 34.

*J. Konopacki*
sekretarz

*F. Rapf*
prezes

**Oddział Nowotarski „Gorce“**. — Oddział nasz pod nazwą „Gorce“ został założony w roku 1920, wskutek jednak różnych lokalnych stosunków, prócz kilku posiedzeń Zarządu, nie wykazał do roku 1923 żadnej pozytywnej pracy.

Od czasu założenia Oddziału istniała w Zarządzie myśl wybudowania schroniska turystycznego w części Beskidu Zachodniego, zwanej Gorce, myśl ta jednak nie przyoblekła się w realne kształty z powodu braku gotówki, a właściwie z tego powodu że w czasie tym nastąpiła dewaluacja naszej waluty i każdy zebrany grosz w krótkim czasie tracił zupełnie na wartości, co zniechęciło tak członków Zarządu, jakoteż i ofiarodawców do czynienia świadczeń na powyższy cel.

Za inicjatywą prof. Sosnowskiego z Krakowa, postanowiono w maju 1924 zreorganizować Oddział; w tym celu zwołano Walne Zebranie członków, wzmocniono Zarząd ludźmi chętnymi do ofiarnej bezinteresownej pracy, oraz postanowiono nieodwołalnie przystąpić do budowy schroniska, na wybranym poprzednio, a przez sąsiednią gminę Waksmund darowanym placu, na polanie pod Turbaczem (1311 m. nad p. m.) według bezinteresownie sporządzonego planu prof. Stryjeńskiego z Zakopanego.

Wydelegowana przez Zarząd Komisja, złożona z członków Zarządu i fachowców, wyznaczyła w dniu 8 maja fundamenta pod budowę, a prof. Sosnowski i sekretarz Oddziału Czaja rozesłali listy składkowe z gorącemi odezwami po całym kraju o datki w naturze i w gotówce.

Apel do społeczeństwa nie został bez skutków i w krótkim stosunkowo czasie poczęła napływać gotówka oraz dary w naturze.

Zanim Zarząd przystąpi do imiennego ogłoszenia wszystkich ofiarodawców, co nastąpi po ukończeniu budowy, trzeba podnieść i wymienić tych ofiarodawców, którzy hojnemi darami dopomogli Zarządowi do urzeczywistnienia wykonania uchwały Walnego Zebrania, która polecała bezzwłoczne przystąpienie do budowy, mimo że Oddział nie rozporządzał ani gotówką ani materjałami budowlanemi, i tak: gmina miasta Nowego Targu ofiarowała z własnych lasów potrzebną ilość drzewa budulcowego, zarząd dóbr Zakopane nadesłał potrzebną ilość wełnianki drzewnej do umszenia ścian, zarząd dóbr Poręba Wielka wyznaczył 37 sztuk drzewa z własnych lasów, p. Kazimierz Głowiński, właściciel dóbr Raba Wyżnia nadesłał około 11 $m^3$ sosnowych desek, zarząd wapienników Ski Rajski i Dudziński 2100 kg. wapna palonego.

Do dnia 8 czerwca wymurowano fundamenta z kamienia, pod bezinteresownem kierownictwem miejscowego budowniczego p. Chodorowicza i w dniu tym t. j. 8 czerwca urządził Oddział uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego, którego dokonał prof. gimn. ks. Łukasik.

Uroczystość poświęcenia przy pięknej pogodzie, wśród dźwięków miejscowej orkiestry i przy współudziale bardzo licznie zebranej publiczności, wśród której przeważał lud z okolicznych wiosek, wypadła nader podniośle i okazale.

Dzięki energicznej agitacyi i gorliwym zabiegom, w miarę postępu robót wpływała gotówka, tak że Zarząd nie był zmuszony, z powodu braku funduszów, ani robót przerywać, ani uciekać się do wysoko procentowej pożyczki, którą zresztą w tym czasie trudno by było uzyskać.

Do końca września postawiono zrąb budynku, nakryto go dachem a do 15 listopada założono drzwi, okna, opatrzone drewnianemi, żelazem silnie kutemi okiennicami, nadto w jednej z izb postawiono piec, tak, że schronisko mogło być częściowo użyte w nadchodzącym sezonie zimowym. Niestety brak śniegu w czasie obecnej zimy, przekreślił rachuby i nadzieje Zarządu ściągnięcia większej ilości narciarzy w Gorce, gdzie tereny narciarskie tak pod względem obszaru, falistości, jak i pod względem przewspaniałych widoków są pierwszorzędnej jakości.

Na dominującym punkcie postawione schroniko mieści w części parterowej: duży pokój (wspólna sypialnia), jadalnię z wyjściem na werandę, kuchnię (od strony północnej) susznię i mały pokój we wschodnim narożniku budynku, a na piętrze dwa małe pokoje i wspólną halę noclegową, przez całą długość budynku biegnącą, nieogrzewaną, przeznaczoną na nocleg w porze letniej.

Według zestawionego przez Zarząd kosztorysu wynoszą koszta dotychczasowej budowy kwotę 8,136 zł. 16 gr. w której to kwocie mieszczą się dary w naturze i datki

gotówkowe, a na dokończenie budowy i postawienie izby dla stróża, preliminowaną jest kwota 4.000 zł., którą przy dalszej energicznej pracy Zarządu i spodziewanych subwencjach da się uzyskać w bieżącym roku.

Zarząd ma nadzieję, że w porze letniej będzie mógł urządzić uroczystość poświęcenia całego budynku i oddać go do użytku w całości.

Jeżeli się zważy trudności wywozu materjału na taką wysokość, oddalenie (około 2 i $^1/_2$ godziny drogi pieszej z Nowego Targu), sumę uzyskanej gotówki i szybkość przeprowadzonych robót, musi się przyznać, że Zarząd wywiązał się należycie z powierzonego mu zadania, a z najżywszem uznaniem podnieść ofiarność tak miejscowych czynników jak i całego społeczeństwa. Za Zarząd:

*Józef Czaja, sekretarz.*

**Oddział Poznański.** — Podobnie jak w poprzednich latach kładziono nacisk na propagandę i w tym celu urządzano odczyty ilustrowane przeźroczami. Z powodu trudności uzyskania sali odbyły się tylko cztery odczyty: dr. T. Smoluchowskiego „Ubiegły sezon w Tatrach"; Inż. Hetpera „Orla Perć"; prof. Dedio „Z wysokich Tatr" i dr. T. Smoluchowskiego „Wędrówki po Dolomitach". Odczyty cieszyły się dużem zainteresowaniem. Skutki propagandy uwidaczniają się w coraz liczniejszych wyprawach z Wielkopolski w Tatry, również ilość członków wzrosła do 252.

Zarząd czyni starania, żeby na dworcach kolejowych, w szkołach i t. d. wywiesić reklamowe afisze, fotografje i t. p. Ponieważ Walne Zebranie odbędzie się z powodów niezależnych od Zarządu dopiero w połowie maja, więc skład Zarządu pozostał na razie bez zmiany. Sekretarz:

*Inż. St. Dębicki.*

**Oddział Stanisławowski.** — Rok ubiegły nie ziścił tych nadziei jakieśmy w nim pokładali. Wpłynęło na to wiele czynników, ale jednym z najważniejszych to brak 50% zniżek kolejowych jakie obiecywaliśmy naszym członkom. Znaczna część wpisujących się członków Towarzystwa Tatrzańskiego liczyła że będzie miała zniżkę, z braku tejże straciliśmy kilkunastu członków.

Główną troską Wydziału było zabieganie o przysporzenie funduszów, aby módz przystąpić do budowy choćby najprymitywniejszego schroniska na „Baraniej" pod Chomiakiem, na Zaroślaku pod Howerlą i we Worochcie. To zwłaszcza ostatnie jest konieczne, gdyż schronisko Oddziału Czarnohorskiego jest małe i w stanie zaniedbania znowu wskutek braku środków na odbudowę. Zgłosiło się do nas Towarzystwo Transportowe Orbis z propozycją, ażeby budynek drewniany będący własnością stowarzyszenia księży polskich w Worochcie, wspólnym kosztem odbudować. Orbis chciał w ten sposób uzyskać bazę dla wycieczek, które zamierzał organizować w sezonie letnim i zimowym. Myśl piękna, którą Wydział pragnął urzeczywistnić. W tym celu weszliśmy w porozumienie z komitetem księży, który godził się na oddanie schroniska swego w użytkowanie przez lat 15, w zamian za odbudowę. Jeden z członków Zarządu sporządził kosztorys odbudowy, jednakże, gdy okazało się że koszta remontu wyniosą 14.000 zł., czyli że na Oddział nasz wypadłoby 7.000 zł., cała rzecz upadła.

Celem przysporzenia dochodów urządziliśmy 8 odczytów a to 1. dr. Kordysa: „O turystyce zimowej", 2. prof. Jasińskiego: „Wyprawa na Mount Ewerest" i cztery odczyty Inż. Libańskiego w Stanisławowie, w Stryju, w Kołomyi i Bitkowie: „Wyprawa na Mount Ewerest",, odczyt p. pułkownika Puchalskiego: „Wybrzeża morza

Adrjatyckiego", w końcu odczyt p. radcy Wiśniewskiego: „Do źródeł Prutu", wszystkie z wyświetlaniem obrazów własnym aparatem projekcyjnym.

Oddział T-wa liczy 3 sekcje: Sekcja narciarska, kolarska i gołębi pocztowych, których użycza nam komenda placu. Członkowie Sekcyi otrzymują parę gołębi bezpłatnie z warunkiem że po roku mają oddać 2 pary.

Sprowadziliśmy kilkadziesiąt kompletów sprzętu narciarskiego i odstępywaliśmy tenże członkom sekcji narciarskiej na dogodne spłaty.

Dnia 24 lutego staraniem Oddziału odbyły się wewnętrzno klubowe zawody narciarskie w Worochcie z udziałem 8 junjorów, 8 nowicjuszy, 2 pań i 14 huculów.

Członek Towarzystwa p. Pułkownik Puchalski sporządził za zwrotem kosztów 850 sztuk oryginalnych kartek fotografji z doliny Prutu, Bystrzycy, Łomnicy, które sprzedajemy otrzymując pewien dochód.

Dnia 27 maja pojechali do Krakowa jako delegaci Oddziału Dr. Raczyński i dyr. Buergel. Wysłaliśmy również delegatów na Walne Zebranie Oddziału Czarnohorskiego do Kołomyji. We wrześniu brał udział nasz członek p. Radca Wiśniewski jako delegat naszego Oddziału w Konferencji polsko-czeskosłowackiej w Zakopanem; tenże mianowany został delegatem na przyszłą konferencję polsko-rumuńską. Dnia 25 stycznia 1925 r. wyjeżdżał na posiedzenie Zarządu Głównego do Krakowa jako członek tegoż Zarządu Dr. A. Raczyński.

Dyrekcja koleji w Stanisławowie postanowiła znieść przystanek koleji Podleśniów. Byłoby to wielką szkodą dla turystów i narciarsy, przystanek ten bowiem stanowi niejako bazę dla wycieczek górskich i narciarskich. Aby temu zapobiedz wysłaliśmy dwukrotnie delegację do prezesa koleji z pomyślnym skutkiem. Wówczas omawiano także sprawę otworzyć się mającego przystanku przy Kamieniu Dobosza jak i sprawę bezpośredniej komunikacji Warszawa—Lwów—Worochta.

Roboty w górach z braku funduszów szły w słabem tempie. Dzięki ofiarności p. Igora Czaykowskiego i pułk. Puchalskiego wyznaczono farbami następujące szlaki: z Podleśniowa: 1, na Chomiak biało—czerwone. 2, na Liszniów żółto—białe. 3, na Kruchty, Jawornik biało—niebieskie. 4, na Syniak płajem jamnejskim biało—zielone. 5, z Żeńca na Jawornik biało—błękitne. 6, do Wodospadu Żeńca biało—czarne.

W sezonie letnim przystąpimy do wyznaczenia reszty szlaków w dolinie Prutu, Bystrzycy i Łomnicy.

Członkowie Tow. za okazaniem legitymacji z fotografją mają wolny wstęp do lasów państwowych.

Na Walnem Zgromadzeniu dnia 24 lutego b. r. wybrany został Wydział; prezesem został inż. Antoni Firich, zastępcą Dr. Wacław Majewski. Delegatami do Zarządu Głównego oprócz prezesa i vice prezesa zostali pp. E. Bürgel, Dr. A. Raczyński, Radca K. Wiśniewski. Sekretarjat T-wa znajduje się w drukarni p. Chowańca.

**Oddział Tarnowski** zawiązał się na Walnem Zgromadzeniu, odbytem dnia 8 maja 1924 r. Zgromadzenie przyjęło statut ramowy dla Oddziałów, wybrało Wydział i uchwaliło opiekować się wycieczkami na Chełm pod Grzybowem i do przełomu Dunajca pod Rożnowem. Kiedy nie udało się rozbudzić wśród członków ochoty do zwiedzania tych okolic, Wydział postanowił zwrócić swe wysiłki na urządzanie wycieczek do Pienin i Tatr a fundusz obracać na naprawę ścieżek w Pieninach.

Pod przewodnictwem prezesa Oddziału ks. W. Gadowskiego odbyły się dwie wycieczki w lipcu: jedna, czterodniowa, do Tatr Zachodnich, druga, sześciodniowa,

w Tatry Wysokie; w wycieczkach tych wzięło udział 11 osób. Na naprawę ścieżek w Pieninach złożył prezes imieniem Oddziału 100 zł. W kwietniu b. r. przystąpił Oddział nasz do wyznaczonej pracy w Pieninach.

Liczba członków Oddziału wynosi 58 osób.

Prezesem Oddziału jest X. Wal. Gadowski, wiceprez. inż. Romuald Wowkonowicz skarbnikiem p. Eug. Kirschner, sekretarzem prof. gimn. Karol Piękoś. Adres Oddziału: Tarnów ul. Słowackiego l. 635.

*Karol Piękoś* — sekretarz     *X. Walenty Gadowski* — prezes.

**Oddział Warszawski.** W szóstym roku istnienia Oddziału Warszawskiego P. T. T. Zarząd jego stanowili prezes: Stanisław Osiecki, wiceprezes: Stefan Makarczyk, sekretarz: Jan Jaroszyński, zast. sekr. Bohdan Dzięciołowski, skarbnik: Adam Konopczyński, zastęp. skarbnika: Jan Lenartowicz i 9 członków.

Komisja rewizyjna składała się z 3 członków, sąd honorowy z tyluż.

Do liczby 1004 członków z końca r. 1923 przybyło w ciągu 1924 roku 283 nowych członków, wykreślono zaś z powodu zalegania z płaceniem wkładek 175, tak iż w dniu 31 grudnia 1924 roku Oddział liczył 1112 członków, w tem 36 dożywotnich.

W ciągu roku sprawozdawczego odbyło się 1 roczne ogólne zebranie i 6 zebrań miesięcznych, na których były wygłoszone następujące odczyty i pogadanki: „Wrażenia z igrzysk sportowych w Chamonix“ przez p. J. Wyczałkowskiego, „Babia Góra i Pilsko jako tereny wycieczek letnich“ przez Dr. M. Orłowicza, „Wrażenia z wycieczki w Alpy Rodniańskie, Karpaty Marmaroskie i Gorgany“ przez p. M. Dobiję, „Co zwiedzać i co fotografować w Tatrach i Karpatach“ przez Dra M. Orłowicza, „Sprawozdanie z budowy schroniska na Hali Gąsienicowej“ przez p. M. Makarczyka. „Sprawa konwencji turystycznej z Czechosłowacją i rezerwatu w Tatrach“ przez Dr. M. Orłowicza. „Sprawa Jaworzyny a park narodowy Tatrzański“ przez prof. Dra W. Goetla. Odczyty były ilustrowane przeźroczami. Oprócz odczytów na zebraniach miesięcznych były omawiane sprawy bieżące dotyczące Tatr, Karpat jakoteż Oddziału. Lokalu na zebrania udzielało na warunkach przystępnych Stowarzyszenie Techników, frekwencja zebrań była liczna.

Majątek Oddziału w Tatrach stanowi nowowzniesiony budynek dla schroniska na Hali Gąsienicowej całkowicie wykończony, lecz wewnątrz nie urządzony oraz całkowite wewnętrzne urządzenie odrestaurowanego starego schroniska, umożliwiające do korzystania z niego w nocy 30 osobom.

Majątek Oddziału w Warszawie stanowi zbiór przeźroczy, których liczba w roku 1924 wzrosła o 314 i wynosi obecnie 2064, w tem 1160 tatrzańskich, 490 karpackich i 414 alpejskich i różnych. Do powiększenia zbioru przeźroczy przez użyczenie negatywów przyczynili się w większym stopniu pp. J. Chmielowski, M. Dobija, K. Drewnowski, H. Makarczyk, Cz. Żakiewicz i inni. Oprócz tego Oddział posiada 250 negatywów, 150 fotografji z Tatr i Beskidów, zbiór składający się z 95 map i książek i mapę plastyczną Tatr.

Zarząd Oddziału odbył w zakresie sprawozdawczym 7 posiedzeń plenarnych i 14 posiedzeń prezydjum dla załatwienia pilniejszych spraw. Poszczególne referaty mieli sobie powierzone: propagandę i prasę K. Wernik, J. Lenartowiacz i St. Samsonowicz, turystykę K. Drewnowski, M. Orłowicz, St. Samsonowicz, i J. Lenartowicz, roboty w Tatrach: St. Osiecki, M. Orłowicz, budowę schroniska: St. Osiecki, St. Makarczyk, J. Jaroszyński, A. Konopczyński, K. Drewnowski, finanse, dochody i niestałe:

A. Konopczyński, St. Makarczyk, F. Bielecki, J. Lenartowicz, bibljotekę: M. Dobija, przeźrocza i zbiory: J. Jaroszyński.

Brak odpowiedniego lokalu uniemożliwił Zarządowi Oddziału utrzymywanie biura, co sprawiało wiele niewygód dla Zarządu jakoteż dla członków Oddziału. Uiszczanie wkładek przez członków pomimo zorganizowania inkasa szło opornie. Uiściło wkładki za rok sprawozdawczy 762 członków, zaś 350 członków zalega z wkładkami, nie licząc 175 członków, których Zarząd zmuszony był wykreślić z listy Oddziału z powodu zalegania za lat kilka.

Propaganda wycieczek w Tatry i Karpaty połączona była z trudnościami z powodu wysokich kosztów przejazdu koleją i opornego stanowiska władz kolejowych co do przyznania ulg kolejowych członkom P. T. T. Ze strony prasy Oddział w dalszym ciągu odczuwał nie tylko brak poparcia lecz i lekceważenie i obojętność dla sprawy propagandy turystyki górskiej. Poza odczytami na zebraniach miesięcznych, dostępnych dla szerszej publiczności Oddział urządził publiczny odczyt Dra M. Świerza na temat „Zdobycie Tatr". Stale powiększające się zbiory przeźroczy takoż były używane dla celów propagandy. W roku sprawozdawczym wypożyczono 1486 przeźroczy dla organizacji akademickich, harcerskich, wojskowych, krajoznawczych oraz dla innych Oddziałów P. T. T., a mianowicie w Łodzi, Wilnie, Jarosławiu, Samborze i t. p. Zarząd Oddziału prowadził w dalszym ciągu sprzedaż przewodników, map i wydawnictw, mających styczność z Tatrami i Karpatami na warunkach przystępnych dla członków.

Najwięcej starań i pracy Zarząd Oddziału poświęcił w dalszym ciągu budowie nowego schroniska na Hali Gąsienicowej trwającej 4-ty sezon w roku sprawozdawczym, ażeby doprowadzić budynek do zupełnego wykończenia. Nie mogąc liczyć na dalsze wpływy z udziałów od członków, które dały w roku bieżącym bardzo małą kwotę, ani na poparcie ze strony innych Oddziałów, z których jedynie Oddział Łódzki ofiarował pokaźniejszą sumę 555 złotych (miljard marek), Zarząd Oddziału musiał zabiegać u różnych instytucji o pożyczki i subwencje. Wydatną pomoc w tym względzie Zarząd Oddziału uzyskał od Pocztowej Kasy Oszczędności, która udzieliła Zarządowi Oddziału wydatnej pożyczki, i Komisji Uzdrowiskowej w Zakopanem. Wreszcie na cele budowy obrócony był całkowity czysty dochód z gruntownie przez Oddział odbudowanego i wewnętrznie urządzonego starego schroniska na Hali Gąsienicowej. Przy rozpoczęciu sezonu budowlanego w 1924 r. stan budowli był następujący: mury wykończone wraz z pokryciem dachowem, wewnątrz założone główne belki. Roboty wykonane w roku sprawozdawczym przy budowie nowego schroniska na H. G. były następujące: ułożenie podłóg, sufitów, urządzenia podwójnych ścian na parterze i I. piętrze i urządzenie drewnianych ścian i przegródek na II piętrze i na poddaszu, wytynkowanie ścian, wprawienie futryn, okien i drzwi, okucie ich i oszklenie oraz urządzenie betonowej klatki schodowej. W ten sposób sam budynek schroniska został w ubiegłym sezonie wykończony. Dla całkowitego urządzenia schroniska pozostały do wykonania wewnętrzne roboty instalacyjne a mianowicie: łóżka, materace, poduszki, koce, bielizna pościelowa, umeblowanie i wreszcie wyprawa kuchni i restauracji. Całe to wewnętrzne urządzenie schroniska pochłonie jeszcze znaczną sumę, obliczoną na ok. 50.000 złotych. Zadaniem Oddziału będzie zdobycie tych funduszów w r. 1925 i wykonanie tych ostatecznych urządzeń, ażeby schronisko już na początku sezonu letniego oddane być mogło do użytku publicznego. Zarząd dotychczasowy poczynił w tym kierunku potrzebne starania i przygotowania, niewątpliwie niezbędne będą w tym celu znaczne wysiłki ze strony Zarządu, do których takoż winni przyłączyć się członkowie Oddziału. W sezonie

ubiegłym przy budowie Oddział korzystał w mniejszym niż przedtem zakresie z pomocy wojskowej, szczególnie przy transportach i dlatego została zakupiona przez Zarząd Oddziału para koni do tego celu.

Na tem miejscu Zarząd składa podziękowanie tym osobom, które ofiarnie przyczyniły się do szybkiego postępu robót, a mianowicie B-ciom Jenike za dostarczenie okuć do schodów betonowych, p. inż. Dymarskiemu za ofiarowaną robociznę przy wykonaniu betonowej klatki schodowej, inż. Arkuszewskiemu za ofiarowany zbiornik żelazny do instalacji wodociągowej, pp. Grohman za ofiarowanie 60 koców i wyprawy pościelowej na 6 łóżek, oraz Komisji Uzdrowiskowej w Zakopanem w osobie D-ra Diehla za wydatne materjalne poparcie budowy schroniska.

Wreszcie zaznaczyć należy, iż rozpoczęte zostały prace nad doprowadzeniem do pierwotnego stanu okolicy w pobliżu schroniska i usunięciem zmian dokonanych koniecznościami, związanemi z budową.

Warszawa, dnia 31 marca 1925.

Dnia 27 kwietnia 1925 odbyło się Walne Zebranie, na którem dokonano wyboru Wydziału. Do Prezydjum wybrano te same osoby i pozatem zaszły nieliczne zmiany. Na rok 1925 uchwalono następujący projekt budżetu:

| *Dochody* | Zł. gr. | *Rozchody* | Zł.gr. |
|---|---|---|---|
| Wkładki 700 á 12·— | | Zarząd Główny 800 á 6·— . . . | 4.800·— |
| 100 á 10·— . . . . . | 9.400·— | Sale na zebrania . . . . . . | 500·— |
| Wpisowe 200 á 5· . . . . . | 1.000·— | Biuro i administracja . , . . . | 2·400·— |
| Wpływy z pożyczek, udziałów | | Wydatki kancelaryjne . . . . . | 700·— |
| i subwencji . . . . . . . . | 50.000·— | Roboty w Tatrach . . . . . . | 500·— |
| Dochód ze schroniska . . . . | 20.000·— | Wykończenie i urządzenie nowego | |
| Dochód z odczytów, przeźroczy | | schroniska . . . . . . . . | 50.000·— |
| i wydawnictw . . . . . . . | 200·— | Spłaty pożyczek i procenty . . . | 21.400·— |
| Nieprzewidziane . . . . . . . | 200·— | Zbiory i przeźrocza . . . . . | 200·— |
| Razem Zł. | 80.000·— | Nieprzewidziane i reprezent. . . | 300·— |
| | | Razem Zł. | 80.000·— |

**Oddział Wileński.** Rok sprawozdawczy obejmuje dzieje powstania i początków działalności Oddziału Wileńskiego, 17-go z kolei a najdalszego terytorjalnie od Tatr Oddziału P. T. T.

Inicjatywę stworzenia Oddziału w Wilnie podjęli Dr. Tadeusz Czeżowski, prof. U. S. B., Jerzy Lande, zast. prof. U. S. B. i Inż. ppułkownik Witold Wolański, którzy utworzyli Komitet Organizacyjny i rozpoczęli pierwsze czynności, korzystając z rady i pomocy kilku jeszcze zamieszkałych w Wilnie członków P. T. T. W celu zebrania zgłoszeń, wymaganych dla założenia Oddziału, Komitet urządził w dn. 21 marca w Sali Śniadeckich U. S. B. zebranie inauguracyjne z odczytem prof. Czeżowskiego „O angielskich wyprawach na Mount Everest w latach 1921/2", ilustrowanym oryginalnemi przeźroczami z wypraw. Z pomiędzy licznie zebranych słuchaczy 46 osób zapisało się na listę członków. Natychmiast też Komitet złożył Zarządowi Głównemu w Krakowie projekt statutu Oddziału Wileńskiego, oparty na statucie ramowym P. T. T. i uzyskał jego zatwierdzenie przez Zarząd Główny dn. 30 marca. Statut został zatwierdzony przez Delegata Rządu w Wilnie dn. 6 czerwca i wciągnięty do rejestru stowarzyszeń pod Nr. 156.

Dn. 28 maja odbyło się Walne Zgromadzenie organizacyjne Oddziału, na którem Komitet Organizacyjny po złożeniu sprawozdania ze swych czynności otrzymał absolutorjum i złożył swe mandaty, a Oddział ukonstytuował się ostatecznie, wybierając Wydział złożony z 7 członków. Przewodniczącym obrany został prof. Dr. Tadeusz Czeżowski, wiceprezesem ppułk. Witold Wolański, sekretarzem prof. J. Lande.

Wysokość wkładek członkowskich na rzecz Oddziału na rok bieżący oznaczono 5 zł., dla studentów Uniwersytetu na 1 zł. a dla uczestnika na 2 zł. Kwoty te zostały do końca roku niezmienione.

Wielką pomocą w sprawie Organizacji i funkcjonowania Oddziału było ofiarowanie przez p. dyr. Piotra Hniedziewicza usług Księgarni Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego przy ul. Królewskiej 1 w charakterze stałego biura Oddziału. Przy stałem współdziałaniu osobistem p. Hniedziewicza jako skarbnika i przy uprzejmej pomocy lub szastępstwie innych współpracowników Księgarni członkowie mieli możność nie krępując się godzinami wpłacania wkładek, otrzymywania legitymacyj, oraz informowania się o sprawach Towarzystwa. Wszelkie zawiadomienia Oddziału były tu wywieszane w ramkach, wykonanych bezinteresownie dla T-wa przez zakład introligatorski p. K. Kamińskiego.

Liczba członków Oddziału, którzy wpłacili należne wkładki na r. 1924, wynosiła 52, w tem trzech członków, należących jednocześnie do innych Oddziałów, oraz 2-ch dożywotnich.

Działalność Oddziału skupiła się narazie na urządzaniu zebrań odczytowo-pokazowych dla członków i wprowadzonych gości w celu wytworzenia ściślejszego kontaktu wzajemnego i propagandy.

Poza wspomnianem już zebraniem inauguracyjnem z odczytem prof. Czeżowskiego, odbyły się jeszcze 3 zebrania, a mianowicie:

26 czerwca w sali wykładowej Wydz. Sztuk Pięknych U. S. B. z odczytem prof. T. Czeżowskiego „Z wycieczek we Wschodnie Karpaty".

23 października w tejże sali z odczytem prof. J. Landego „Trzy noce na drodze Jordana".

11 grudnia w sali wykładowej Zakładu fizycznego U. S. B. z odczytem p. Witolda Sławińskiego: „Roślinność Alp Sabaudzkich i Piemontu", stanowiącym sprawozdanie z własnych badań prelegenta.

Wszystkie odczyty były ilustrowane przeźroczami lub, jak ostatni pokazem zdjęć i obrazów przy pomocy epidjaskopu.

Sale do zebrań były stale udzielane bezinteresownie przez Władze Uniwersyteckie. Frekwencja słuchaczy na zebraniu w sali Śniadeckich wynosiła 140 osób, na pozostałych zaś zebraniach przeciętnie po 30.

Na terenie Tatr Oddział nie przedsiębrał i nie planował na razie żadnych prac. Lecz w ruchu turystycznym tegorocznym wzięło udział, pomimo trudności wynikających z oddalenia, kilkunastu członków, a między nimi, obok dawnych taterników, kilka osób świeżo przez Oddział dla taternictwa pozyskanych.

Krótki czas działalności nowopowstałego Oddziału, przerwany przez okres wakacyjny, nieustalone jeszcze stosunki finansowe, brak stałego lokalu oraz mała liczba członków, mogących współdziałać czynnie, sprawiły, że zamierzenia Zarządu co do założenia bibljoteki, zaopatrzonej w czasopisma i inną literaturę górską, zapoczątkowanie własnego zbioru przeźroczy i ożywienia działalności przez urządzanie wycieczek wspólnych i t. p., musiały być przesunięte na rok następny. Jednak nastrój zbiorowy,

wytwarzający się już między członkami w Wilnie i zapoczątkowany również przez kilka wycieczek wspólnych w Tatrach, pozwala sądzić, że życie Oddziału będzie szybko dążyło ku dalszemu ożywieniu, a rozszerzenie się i urozmaicenie jego objawów da się pomyślnie osiągnąć po przezwyciężeniu początkowych trudności technicznybh.

*J. Lande* — sekretarz

*Dr. Tadeusz Czeżoweki* — prezes.

**Oddział Zakopiański.** Główne wysiłki Oddziału Zakopiańskiego zwrócone były w roku sprawozdawczym w kierunku nowego schroniska nad Wielkim Stawem w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Dzięki uzyskaniu od firmy Bracia Okuniewscy daru w postaci 100 m. drzewa budulcowego, Zarząd Oddziału mógł z wiosną 1924 roku przystąpić do budowy zrębu schroniska, który wzniesiono według planów Inż. K. Stryjeńskiego w Zakopanem przy pomocy uczniów Szkoły Przemysłu Drzewnego. Schronisko o jak najprostszym wyglądzie zewnętrznym objęło wielką izbę sypialną, jadalnię, kuchenkę, pokoik dla dzierżawcy, suszarnię, na poddaszu zaś obszerną halę noclegową na lato. Wogóle służyć ono będzie potrzebom tak letniej jak i zimowej turystyki. Ukończony zrąb przewieziono przy pomocy wojskowej do Wodogrzmotów Mickiewicza, skąd porą zimową podciągnięto go Doliną Roztoki aż pod próg Siklawy. Ponadto zakupiono resztę materjału budowlanego, przygotowano drzwi, okna, urządzenie wewnętrzne, na miejscu zaś wytyczono i wykopano fundamenty pod nową budowlę. Na wykonanie powyższych prac, wykraczających daleko poza możności finansowe Oddziału, otrzymano subwencję od Tymczasowej Komisji Uzdrowiskowej i od Zarządu Głównego Pol. Tow. Tatrzańskiego, pozatem urządzono w Zakopanem, w dniu 13 lipca 1924 r. dzień zbiórki, który przyniósł 3.000 zł. czystego dochodu. Przy budowie schroniska podkreślić należy na tem miejscu ofiarną pomoc Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem z dyr. K. Stryjeńskim i gronem nauczycielskiem na czele, oraz współudział wojskowości pod kierunkiem majora W. Ziętkiewicza. Na rok następny pozostał jeszcze trud przeniesienia zrębu przez próg Siklawy i roboty budowlane na miejscu.

W myśl programu Komisji P. T. T. dla robót w Tatrach wyznaczono według nowego systemu znakowania szlaki: 1) Od Hali Strążyskiej przez Przełęcz Bacug i popod Mały Giewont ku Przełęczy Kondrackiej (czerwone znaki), przyczem w płytę pod Małym Giewontem wbito trzy nowe klamry, 2) Od Hali Kondratowej na Giewont przez Kondracką Przełęcz, (żółte znaki), 3) Z Doliny Pięciu Stawów Polskich na Krzyżne (żółte znaki).

Prócz powyższych robót tatrzańskich Oddział brał czynny udział w szeregu przedsięwzięć, inicjowanych przez Zarząd Główny P. T. T. Przewodniczącym Oddziału był Dr. M. Świerz, sekretarzem prof. Z. Mirtyński.

**Oddział Żywiecki, „Babiogórski".** Rok ubiegły w życiu Oddziału Babiogórskiego cechuje wielka jak na tutejsze stosunki ilość członków, bo 209. Ruch turystyczny i zrozumienie pięknej przyrody, budzi się bardzo powoli w tutejszej okolicy, jednakże postęp w porównaniu do lat poprzednich jest widoczny.

W ciągu lata oddane zostało do użytku turystów nowe schronisko pod Pilskiem dobudowane do znajdującej się tamże gajówki kosztem Dyrekcji dóbr żywieckich, zaco na tem miejscu Wydział składa serdeczne podziękowanie właścicielowi Karolowi Stefanowi Habsburgowi jak również Dyrektorowi Dóbr p. Inż. A. Cyhanowi. Schronisko

to oddawać będzie wielkie usługi turystom udającym się z Jeleśnina Pilsko i na Babią górę od strony polhorskiej a w szczególności ważnem ono będzie dla narciarstwa dla którego Pilsko jakoteż okoliczne stoki są idealnem terenem.

Kilka wycieczek wspólnych urządzonych przez Oddział nie cieszyły się wielką frekwencją, natomiast ruch turystów w schronisku pod Babią Górą był mimo nieszczególnej pogody ubiegłego lata bardzo wielki gdyż zapisanych w księdze pamiątkowej turystów było około 1800. Toteż wzmagający się stale ruch turystyczny głównie na Babiej Górze i do Zawoji zmusza Wydział do pomyślenia o budowie nowego schroniska pod Babią Górą, położonego jednakże bliżej szczytu, a którego budowa tylko wspólnemi siłami kilku Oddziałów dokonaną by być mogła. W samej Zawoji wzmógł się znacznie ruch budowlany, pobudowano wiele domków a w budowie znajduje się kilka will. Niestety droga z Makowa do Zawoji znajduje się w stanie bardzo złym, i odstrasza wiele osób od wyjazdu do tej pięknej miejscowości. W sprawie poprawy drogi Oddział Babiog. wspólnie z Zarządem Głównym w Krakowie będzie kołatał do władz kompetentnych, aby drogę tę wzięły w szczególniejszą opiekę.

W celach propagandy P. T. T. urządził prof. K. Sosnowski z Krakowa odczyt „O Beskidzie małym“ w Żywcu, niestety przy małem zainteresowaniu się tutejszego społeczeństwa.

W roku ubiegłym zakupiono kilka koców i łóżek do schroniska pod Babią Górą i pod Pilskiem, inwentarz więc Oddziału powoli ale stale się powiększa.

Z robót w górach projektowane odnowienie ścieżki ze Suchej do Zawoji ze względów technicznej natury nie mogło być uskutecznione i będzie dopiero w roku bieżącym wykonane.

Zestawienie kasowe za rok 1914.

| *Przychód* | Zł. gr. | *Rozchód* | Zł. gr. |
|---|---|---|---|
| Pozostałość kasowa z r. 1923 . . , | 5·95 | Druki i administracja . . . . . . | 100·96 |
| Wkładki członków . . . . . . . . | 696·— | Koszta urządz. zabawy . . . . . | 27·78 |
| Dary i przychody z zabaw . . . . | 228·76 | Datek na stację meteor. . . . . . | 17·78 |
| Schronisko za wstępy i nocleg. . . | 955·75 | Adaptacje w schronisku . . . . . | 68·06 |
| Sprzedaż „Wierchy“ i odznaki . . | 42·50 | Zakupno inwentarza . . . . . . | 112·70 |
| | | Wkładka do Zarz. Gł. . . . . . | 380·50 |
| | | Zakupno „Wierchów“ . . . . . . | 111·— |
| | | Zakupno „dolarówek“ . . . . . . | 262·81 |
| | | Pozostałość kas. na r. 1925 . . . | 847·37 |
| Su. | 1928·96 | Su. | 1928·95 |

*Inż. Fucik*
sekretarz

*Augustynowicz*
skarbnik

*Inż. Mączyński*
prezes

**Oddziały: Kielecki, Łódzki i Pieniński**

**nie nadesłały sprawozdań.**

## Zjazd delegatów Polskiego Tow. Tatrzańskiego.

*(Korespondencja)*

Na podstawie nowego statutu P. T. T. Walne Zgromadzenie (cz. Zjazd delegatów) odbywać się może nie wyłącznie w Krakowie jak to było dotychczas, ale w jakiejkolwiek miejscowości państwa, oznaczonej przez Zjazd poprzedni. Pierwszy zjazd tego rodzaju poza Krakowem odbył się w niedzielę 17 maja w Warszawie. Zjawili się delegaci nawet z tak odległych Oddziałów jak czarnohorskiego w Kołomyji i stanisławowskiego; z większych Oddziałów nie były reprezentowane jedynie Lwów, Wilno i Cieszyn.

Obradom, które toczyły się w Lokalu Warszawskiego Tow. Fotograficznego przewodniczył prezes Towarzystwa inż. Czerwiński, oraz wiceprezes a zarazem prezes Oddziału Warszawskiego, wicemarszałek Osiecki. Sprawozdanie z działalności Towarzystwa w roku ubiegłym złożył prezes Czerwiński, sprawozdanie z robót w górach jako prezes odnośnej Komisji Dr. Walery Goetel. Reprezentanci Oddziałów składali później sprawozdania głównie z zakresu postępu prac podjętych przez Oddziały przy budowie schronisk i wyznaczaniu ścieżek w górach. Ze sprawozdań tych dowiedziano się, że otwarcie schroniska granitowego wznoszonego przez Oddział warszawski P. T. T. na Hali Gąsienicowej odbędzie się w niedzielę 12 lipca prawdopodobnie przy udziale Prezydenta Wojciechowskiego, który przyrzekł zaszczycić uroczystość swą obecnością. Poświęcenie schroniska przy źródłach Wisły na Baraniej Górze urządzonego przez Oddział Górnośląski P. T. T. w Katowicach odbędzie się 29 czerwca, zaś poświęcenie schroniska na najwyższym szczycie Gorców Turbaczu, które wzniósł Oddział Gorce P. T. T. w Nowym Targu projektowane jest na pierwsze dni lipca.

W dalszym ciągu obrad zaaprobowano projekt umowy z Klubem Czesko-słowackich Turystów o ustępstwa na zasadzie wzajemności, wysłuchano sprawozdania Dr. Goetla o stanie pertraktacyj o konwencję turystyczną z Czechosłowacją, wyrażono życzenie, żeby konwencja podobna została zawarta też z Rumunją, wyrażono uznanie Ministerstwu Koleji za zaprowadzenie przy najbliższej zmianie rozkładu jazdy pociągu turystycznego ze Śląska do Zakopanego, i poprawę połączeń nocnych między Lwowem a Worochtą, oraz oznaczono jako miejsce przyszłego zjazdu Katowice. Uczyniono to głównie ze względu na to, że Oddział Górnośląski liczący 1200 członków i kilkanaście kół miejscowych jest obecnie największym i najenergiczniejszym w Towarzystwie.

*Dr. Mieczysław Orłowicz.*

---

## Przypomnienie ważniejszych postanowień Statatu P. T. T.

Na podstawie nowego Statutu uchwalonego 10 grudnia 1922 P. T. T. składa się z autonomicznych Oddziałów lokalnych, których wspólnym centralnym organem uchwalającym i kontrolującym jest Zjazd Delegatów a organem wykonawczym Zarząd Główny i jego stale urzędujący Wydział Wykonawczy.

Z wyjątkiem członków honorowych można być członkiem Towarzystwa tylko jako członek jednego z jego Oddziałów. Członkowie zamieszkali w siedzibie Oddziału mają należeć do Oddziału mającego siedzibę w ich miejscu zamieszkania. Natomiast osoby zamieszkałe poza miejscowością będącą siedzibą Oddziału mają wolność wyboru Oddziału do którego chcą należeć (§ 16).

O przyjęciu członków decyduje Zarząd Oddziału, który może odmówić przyjęcia bez podania powodów (§ 11).

Każdy członek Oddziału posiada prawo wyboru i wybieralności do władz P. T. T., tudzież korzystania z wszelkich urządzeń Towarzystwa i przysługujących członkom ułatwień, oraz schronisk będących własnością całego Towarzystwa lub poszczególnych Oddziałów (§ 12).

Członkowie zwyczajni opłacają wkładkę roczną określaną corocznie przez Zarząd Główny łącznie z wkładką uchwaloną przez Oddział na rzecz Oddziału; — nowowstępujący członkowie opłacają nadto wpisowe. „Członkami założycielami" są ci, którzy opłacą jednorazowo przynajmniej 50-krotną wkładkę roczną. „Członkami wspierającymi" są ci, którzy opłacają corocznie wkładkę 5-krotną.

Od początku r. 1925 wkładka mieści w sobie również abonament na wydawany przez Zarząd Główny kwartalnik „Przegląd Turystyczny". Członkom przysługuje zniżka przy nabywaniu „Wierchów".

W siedzibie Wyższych Zakładów Naukowych mogą powstawać Oddziały akademickie; członkowie ich korzystają z wszelkich praw członków P. T. T. z wyjątkiem prawa bezpłatnego otrzymywania publikacyj. Wpis i wkładka członka Oddz. Akad. wynoszą połowę wpisu i wkładki członka zwyczajnego (§ 25).

Statut Oddziału może postanowić, że uczniowie i uczennice szkół średnich jakoteż osoby niżej lat 17 mogą być dopuszczone do korzystania z urządzeń i udogodnień przysługujących członkom P. T. T. jako uczestnicy. Uczestnikom nie przysługuje prawo wyboru i wybieralności. Wkładkę uczestników uchwala Zarząd Oddziału (§ 15).

Oddział miejscowy może powstać, gdy grupa przynajmniej 30 osób zgłosi chęć utworzenia Oddziału do Zarządu Głównego przedkładając projekt Statutu zgodnego ze Statutem ramowym dla Oddziałów wydanym, i gdy Zarząd Główny powstanie takiego Oddziału uchwali. Jeśli odnośna uchwała Z. G. nie nadejdzie w przeciągu 3 miesięcy uważanem to będzie za milczące przyzwolenie (17).

Siedzibą Wydziału Wykonawczego P. T. T. jest Kraków (adres: ul. Andrzeja Potockiego l. 4).

# *Od Redakcyi.*

**Na podstawie umowy zawartej między Zarządem Głównym Pol. Tow. Tatrzańskiego a Oddziałem Lwowskim Towarzystwa, „Wierchy" uznane zostały za organ Pol. Tow. Tatrzańskiego. Własność pisma, redakcja i odpowiedzialność za nią pozostają nadal przy Oddziale lwowskim. Dla sprawozdań i komunikatów urzędowych P. T. T. zastrzeżonem zostało osobne miejsce (skutkiem czego rubryka „Pol. Tow. Tatrzańskie", mieszcząca dotąd ten materjał, została z Kroniki wyłączoną). Członkowie P. T. T. nabywający „Wierchy" za pośrednictwem bądź Zarządu Głównego bądź Oddziałów, otrzymują je z rabatem, określonym wyż wspomnianą umową. Sprawozdania i komunikaty wszystkich organów P. T. T., które mają być pomieszczone we „Wierchach" winne być nadesłane najpóźniej do 20 kwietnia każdego roku; nadesłanych po tym terminie Redakcja nie będzie przyjmować.**

---

Z dniem 1. stycznia br. ustąpił ze składu Redakcyi p. **Juljusz Zborowski.** Żegnając Szanownego Kolegę żywimy nadzieję, że i nadal nie przestanie zasilać Wierchów swą cenną współpracą.

W miejsce p. J. Zborowskiego wszedł do składu Redakcyi p. Major **Bronisław Romaniszyn** (Zakopane, ul. ks. Kaszelewskiego, willa Odrobina).

---

**Współpracowników** naszych upraszamy o wczesne nadsyłanie artykułów — a to do 1 grudnia roku poprzedzającego wydanie Rocznika. Wskazanem jest zgłaszanie prac wcześniejsze, gdyż zazwyczaj już w ciągu lata zebranym (względnie zamówionym) bywa cały materjał, a na prace później zgłoszone miejsca już niema. — Wiadomości i notatki do Kroniki, sprawozdania Towarzystw itp. nadsyłać można do 1 marca roku wydawniczego. Pożądanemi są zwłaszcza artykuły treści turystycznej, do Kroniki zaś opisy letnisk i zimowisk, warunków pobytu w nich itp.; — pożądanemi są również dobre i oryginalne zdjęcia fotograficzne (przy których podać należy dokładnie co przedstawiają).

Wszystkich naszych współpracowników i korespondentów prosimy o wyraźne pismo, a zwłaszcza o wyraźne wypisywanie nazwisk, nazw miejscowości i terminów technicznych.

**Sprawozdania Stowarzyszeń i Instytucyj** umieszczać będziemy chętnie w Kronice. Nie będziemy jednak nadal zwracać się po nie. Leży bowiem w interesie samychże Stowarzyszeń i Instytucyj uważać „Wierchy" poniekąd za swój organ. Sprawozdania umieszczone we „Wierchach" nie giną w niepamięci już po jednym dniu, jak sprawozdania umieszczone w dziennikach i mogą liczyć na daleko szerszy krąg czytelników jak sprawozdania umieszczane w organach lokalnych.

---

**Poprzednie roczniki Wierchów** są jeszcze do nabycia w Administracji, — a to: **rocznik I** po cenie 5 zł., — w oprawie 7 zł. 50 gr.; **rocznik II** po cenie 7 zł. 50; — w oprawie 10 zł.

Dla członków P. T. T. (przez Zarząd Główny lub Oddziały P. T. T.) odpowiedni rabat; na tych samych warunkach nabywać mogą członkowie P. T. T. „Wierchy" w Zakopanem w Dworcu Tatrzańskim za ukazaniem legitymacji członkowskiej.

Ceny tu podane obowiązują tylko na rok najbliższy (do lipca 1926).

---

**Adres Redakcyi:** Dr. Jan Gw. Pawlikowski (red. naczelny), Lwów ul. 3. Maja l. 5; w miesiącach lipcu, sierpniu i wrześniu: Zakopane, Kozieniec. W tychże miesiącach ogłoszone będą w Dworcu Tatrzańskim godziny urzędowe i miejsce przyjęć Redakcyi.

**Adres Administracyi:** Księgarnia wydawnicza H. Altenberg, Lwów, ul. Pańska l. 16, II. p.

## Odpowiedzi Redakcyi.

Tym naszym korospondentom, którym nie odpowiedzieliśmy listownie.

**P. K. Z. w W.** Wiersz Pański o Morskiem Oku nie jest bez zalet: dobre odczucie krajobrazu, jednolitość, jasność i prostota, (tylko poco ci spiący rycerze, możeby im już spać pozwolić?), — ale forma bardzo szwankuje: słownictwo ubogie, ztąd i określenia fałszywe (np. „zrąb moreny"), rymy pospolite; wreszcie z optycznych znamion wydaje się jakoby Pan sądził, że napisał sonet. Ależ Panie!? — Może Pan jednak spróbuje jeszcze co posłać. — **Autorowi „Czarnego Stawu"** (Warszawa, inicjały nieczytelne). Nie widać wcale aby Pan kochał Tatry, jak Pan zapewnia w liście; wszystko jest nieprawdziwe, a erotyka nie á propos. — **p. K. A. M. w L.** („Z halnych wspomnień"). Myśl pogmatwana, brak kośćca, forma słaba. — **p. J. S. Warszawa** („Górskim szlakiem"). Pomijając już wszelkie inne powody drukować nie możemy rzeczy, których nie rozumiemy; i tak nie wiemy co to jest „grzmiący Kreczmar", — a nuż to co nieprzyzwoitego?.., obnażający się Gerlach i Staw Wielicki pełen kału nakazywały mieć się na baczności. — **p. E. K. w Warszawie.** Jeden z przysłanych wierszy bylibyśmy drukowali ze względu na sentyment, pomimo, że nam od rymów Pańskich zęby cierpną; nie możemy jednak dawać przedruków, — wyjątek zrobiony dla Zegadłowicza jest właśnie wyjątkiem! — **p. T. Sz. w W.** („Na Łysej Górze"): rymy bolesne, boleśniejsze obrazowanie; — bardzo nam przykro. — **Pani J. B., Zakopane.** Dziękujemy za pamięć, opisany wypadek jest jednak zbyt pospolity aby to warto drukować; szczęśliwa Pani, która uważa go za wyjątek; zresztą to jeszcze wcale nie najgorsze w neoturyzmie. — **Prof. W. G. Kraków:** Bardzo dziękujemy i prosimy o życzliwą pamięć na przyszłość, ale z „Zagadki" nie mogliśmy korzystać, bo próba wykazała, że nikt kompetentny na nią się wziąć nie dał, zwłaszcza gdy wiedział, że to ma być „zagadka". Jest to Czarny Staw nad M. O., wszak prawda? Zdjęcie aparatem nie ustawionym w poziomie wygląda na pierwszy rzut oka jak otwór groty; czy o to chodziło? Czy możemy fotografię zatrzymać? — **p. W. Midowicza** prosimy o adres.